

Beatriz Williams

Zanim mnie pokochasz



Prószyński i S-ka

Kate nie wierzyła w przyszłość swojego związku z Julianem, lecz najbardziej zaskoczyła ją... ich wspólna przeszłość.

Amiens, Francja, rok 1916: kapitan Julian Ashford, brytyjski oficer walczący w okopach frontu zachodniego, zostaje odszukany przez młodą Amerykankę. Nieznajoma posiada informacje na temat misji zwiadowczej, które podobno mogą mu ocalić życie.

Nowy Jork, rok 2007: stąpająca twardo po ziemi analityczka z Wall Street, Kate Wilson, zakochuje się bez pamięci w majątnym biznesmenie, Julianie Laurensie. Nie wie, że ich romans nie jest dziełem przypadku. Julian długo czekał na spotkanie z nią – urzekającą kobietą, która wyłoniła się z mroków wojny, by uratować mu życie. Teraz, we współczesnym Nowym Jorku, muszą wspólnie obronić się przed konsekwencjami tajemnic z przeszłości i uwierzyć w miłość wymykającą się wszelkim wyobrażeniom.

„Zadziwiająca historia miłosna z fantastycznym i jednocześnie wiarygodnym wątkiem podróży w czasie dla tych, którzy szukają w książkach czegoś wyjątkowego”.

„Library Journal”

Beatriz Williams przez wiele lat pisała do szuflady. Jej literacki debiut błyskawicznie okrzyknięto „sensacyjnym”, a prawa do niego sprzedano do wielu krajów. Mieszka w Connecticut, z mężem i czwórką dzieci, pracując nad kolejnymi powieściami.



Beatriz Williams

Zanim mnie pokochasz

Przełożył
Robert Kędziński



Prószyński i S-ka

Amiens, marzec 1916

Deszcz padał miarowo przez całą noc aż po nędzny świt.

Mój płaszcz już dawno przemókł, a uporczywe kropelki opadały mi na twarz i dłonie, odbite od pobliskiego bruku, wystukiwały rytm minut, podczas gdy wierni zgromadzeni w katedrze po drugiej stronie placu śpiewali jutrznię.

W jakimś odległym zakątku świadomości musiałam odczuwać dyskomfort. Ale reszta mnie ledwie to zauważała. Siedziałam skulona na ławce kawiarenki, pod skąpą osłoną markizy w zielone pasy, i z przypominającym trans oddaniem studiowałam zachodnią fasadę świątyni. W środku tej strzelistej przestrzeni kapitan Julian Lawrence Spencer Ashford stał z innymi oficerami brytyjskiej armii, recytując psalmy i modlitwy, pochylając głowę przed Panem. Wkrótce powstanie na nogi i wyjdzie przez otoczone workami z piaskiem wrota na ponury, mokry plac, który nas dzielił. Co powinnam mu powiedzieć?

Gwałtowna fala deszczu uderzyła w markizę nademną i przetoczyła się po bruku, chłoszcząc wieże katedry. W tej samej chwili na placu rozległy się niskie dźwięki dzwonu, obwieszczając koniec nabożeństwa.

Wstałam z sercem szaleńczo łomoczącym mi w piersi. Zza wrót zaczęły się wyłaniać pierwsze sylwetki spowite całunem ulewy i stłumionym światłem poranka i na jedną krótką chwilę się zawahałam. Wyobraziłam sobie nasze spotkanie i moje mięśnie zwiotczały, gdy ogarnęła mnie nowa fala zwątpienia.

Ale wtedy przez głowę przemknęła mi inna, straszniejsza myśl: A co, jeśli się z nim rozminęłam?

W panice wybiegłam spod markizy i szybkim krokiem przeszłam przez plac. Nie pomyślałam o tym. Nie przyszło mi do głowy, że mogłabym przeoczyć jego znajomą sylwetkę. Ale gdy pojawiali się kolejni ludzie, zdałam sobie sprawę, że brytyjscy oficerowie wyglądali tak samo: wszyscy ubrani w identyczne trencze w kolorze khaki, w spiczastych czapkach, wysokich płóciennych owijaczach i ciemnych skórzanych butach. Byli niczym postaci z obrazków w książce historycznej, bohaterowie wojennego filmu. Żaden z nich nie przypominał mężczyzny, którego znałam.

Ale Julian tam był. Musiał być. Tego dnia w tym miejscu, w tej katedrze uczestniczył w porannym nabożeństwie z innym oficerem, a potem wrócił na swoją kwaterę w pobliżu stacji kolejowej. To był fakt historyczny. Chwycałam się tej myśli: dodawała mi odwagi.

Omiotłam wzrokiem przesuujące się przede mną sylwetki i z determinacją ruszyłam w stronę mężczyzny w stroju w kolorze khaki.

- Przepraszam - wychrypiałam i odkaslnęłam.

- Przepraszam, czy może mi pan powiedzieć, czy kapitan Julian Ashford był dziś rano na mszy?

Wydawał się zdumiony - albo z powodu samego pytania albo też nowoczesnego amerykańskiego akcentu, z jakim je zadałam.

- Proszę - dodałam. - To naprawdę ważne. Mam dla niego wiadomość. Pilną.

- Tak, był tutaj - potwierdził w końcu mężczyzna i odwrócił się, żeby spojrzeć na drzwi. - Siedział z przodu. Zaraz powinien wyjść.

Obejrzał się na mnie i otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamiast tego pospiesznie odszedł.

Chłodny deszcz spływał po mnie, a ja rytmicznie zaciskałam pięści schowane w fałdach płaszcza i czekałam. Wyszło kilku francuskich oficerów, potem grupka pielęgniarek, jakiś samotny brytyjski oficer, ale nie Julian.

A potem go zobaczyłam.

Wyglądał dokładnie tak, jakim go znałam zaledwie tydzień temu, mimo to nieco obco. Jego świetlista twarz, szerokie silne ramiona, lekki uśmiech wykrzywający kąciki pełnych ust, spojrzenie w górę na płaczące chmury, dłoń sięgająca do czapki, by zsunąć ją bardziej na czoło

- wszystkie te szczegóły były mi bliskie. Ale teraz miał na sobie ten mundur, bezbarwny i w niczym nieprzypominający nowoczesnych ubrań, w jakich go widywałam. Wydawało mi się, że mój mózg się rozszczepi, niezdolny do połączenia tych dwóch obrazów w całość.

Zdałam sobie sprawę, że odchodzi wraz z dwoma innymi oficerami.

- Julian! - zawołałam więc, ale słabo i ochryple. Ledwie sama byłam w stanie siebie usłyszeć. - Kapitanie Ashford! - krzyknęłam tym razem głośniej. - Kapitanie Ashford!

Odwrócił się, ze zmarszczonymi brwiami wyszukując mnie wzrokiem w tłumie. Jego towarzysze również przyglądali się twarzom wokół, ale to on znalazł mnie pierwszy. Przekrzywił głowę i patrzył, jak się zbliżam, nie poruszając się ani o cal i mierząc mnie wzrokiem. Jego skóra lśniła od deszczu w zamglonej poświacie rzucanej przez pobliską lampę łukową.

Nie poznał mnie.

Powtarzałam sobie, że tego właśnie powinnam się spodziewać, ale widok jego zdumionej twarzy wstrząsnął mną. Nie było na niej ani śladu rozpoznania. Byłam dla niego obcym człowiekiem.

- Kapitanie Ashford - powiedziałam, próbując zignorować swój smutek i jego urok, jego magnetyzm i druzgocącą miłość, jaką do niego czułam. - Ma pan chwilę?

Otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, zapewne zażądać więcej informacji, ale w ostatniej chwili jego podejrzliwość ustąpiła miejsca trosce.

- Proszę pani, dobrze się pani czuje?

- Tak, nic mi nie jest - odparłam, lecz dokładnie w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że cała krew odpłynęła mi z twarzy, w uszach zaczęło mi dzwonić, a kolana ugięły się pod mną. Nie zemdlej, myślałam ze zgrozą, nie zemdlej. Ale już leciałam naprzód.

Prosto w jego zdumione ramiona.

Rozdział 1

Nowy Jork, grudzień 2007

Tego ranka, gdy po raz pierwszy spotkałam Juliana Ashforda, obudziłam się zdyszana, tchnięta straszliwą intensywnością snu, który nie do końca pamiętałam. Nie miałam wtedy jeszcze żadnych powodów, by wierzyć w cokolwiek prócz tego, co konkretne i linearne, niepokój ten zrzuciłam więc na karb stresu. Często miewałam koszmary przed ważnymi spotkaniami biznesowymi, jeśli w ogóle udawało mi się zapaść w drzemkę. Nie były szczególnie kreatywne: rano byłam spóźniona i biegałam po mieszkaniu, poruszając się w zwolnionym tempie, jakby moje ręce i nogi były z drutu. Albo też usiłowałam zagrać główną rolę w sztuce, do której w ogóle się nie przygotowywałam. Oczywiście nago.

Ale ten sen był inny. Przesycony nie tyle niepokojem, ile jakąś formą paniki tak bolesnej, że niemal przyjemnej.

Rozmawiałam z kimś, wiem, z mężczyzną. Na którym bardzo mi zależało. I któremu zależało na mnie. Próbowałam mu wyjaśnić coś ważnego, coś o kluczowym znaczeniu, ale nie mógł mnie zrozumieć.

Zacisnęłam oczy, próbując przywołać szczegóły. Szybkie bicie mojego serca uderzało rytmicznie w bębniaki uszu. Kim był? Nie ojcem, przyjacielem ani kolegą. Raczej nie potrafiłabym go zidentyfikować. Zresztą jego wspomnienie już blakło, pozostawiając mnie jak rozbitka na bezludnej wyspie.

Otworzyłam oczy i przez chwilę wpatrywałam się w sufit. Potem odrzuciłam kołdrę, wzięłam prysznic, ubrałam się i pobiegłam do pracy, ale złe przeczucie pozostało, jak imadło zaciskając się wokół mojego mózgu nawet wtedy, gdy wydostałam się z zatłoczonej stacji metra na skrzyżowaniu Broadway i Wall Street i jechałam windą w górę oświetlonego słońcem fallusa, siedziby Sterling Bates, gdzie na dwudziestym piątym piętrze czekała na mnie Alicia Boxer.

Alicia wcześniej wstawała. To była jej jedyna zaleta.

- Kurwa! Co jest grane, Kate? - spytała tytułem przywitania. - Skąd się, kurwa, wzięły takie dochody? Dziewiętnaście procent w piątym roku?

Siedziała na drugim końcu najlepszej sali konferencyjnej banku. Dzięki boazerii, bambusowym roletom i spokojnemu niskonapięciowemu światłu tworzyła elegancki kontrast wobec stylu współczesnych

amerykańskich boksów na piętrze Działu Rynków Kapitałowych poniżej, gdzie obecnie pracowałam. Katalogi na dzisiejsze spotkanie leżały przed nią ułożone w stos na mahoniowym stole. Duży, świątecznie czerwony kubek ze Starbucksa stał niebezpiecznie blisko niego, przesycając pomieszczenie zapachem waniliowej latte.

Opadłam na puste krzesło po jej prawej stronie i spróbowałam zebrać myśli.

- Wydawało mi się, że omawiałaś z Charliem wysokość dochodów w piątek wieczorem? Zanim wyjechałaś na weekend? - podnosiłam intonację pod koniec każdego zdania, żeby brzmiało jak pytanie. Z Alicią nie idzie się na konfrontację, jeśli nie chce się wylądować w funduszu emerytalnym w International Falls w Minnesocie.

Podniosła oczy i mimo wszystko spiorunowała mnie wzrokiem. Miała okrągłą, niemal dziecinną twarz, tak kompletnie niepasującą do jej osobowości, jakby Bóg chciał sobie z niej zażartować. Na swój sposób była nawet ładna, zwłaszcza ten uderzający błękit oczu o ciężkich powiekach. Ale jej obecna fryzura - krótka i postrzępiona, prawdopodobnie mająca wywołać chłopiący efekt - sprawiała, że jej rumiane policzki wyglądały jak u Dzwoneczka przechodzącego poważną reakcję alergiczną. Nie żeby moja opinia była cokolwiek warta. Według Charliego sypiała z Paulem Bannerem, dyrektorem Działu Rynków Kapitałowych i moim obecnym szefem.

- Hm. Zapomniałaś dziś zrobić sobie makijaż, Kate?
- spytała.

W każdy inny poranek tego rodzaju uwaga - tak typowa dla Alicii, doprowadzającej swą małostkowością podwładnych do bezsilnej wściekłości - wywołałaby we mnie furię. Ale dziś ledwie wzruszyłam ramionami.

- Pisałaś w mailu, że mam się pospieszyć, a Charlie i ja siedzieliśmy wczoraj do późna, by skończyć prezentację.

Spróbowała jeszcze raz:

- Masz może, no nie wiem, jakiś puder w torebce? Mogę ci pożyczyć tusz do rzęs. To najwyższy poziom - poklepała stos prezentacji. - Southfield Associates to fundusz wart dwadzieścia miliardów dolarów. Najwyższa półka.

- Mam pomadkę do ust.

- Dobrze. I tak zapewne nieprędko znajdziesz się w jednym pokoju z Julianem Laurence'em...

- Tak, no cóż... Wracając do tych dochodów. Sama miałam w ich sprawie kilka pytań, ale Charlie powiedział...

- Charlie gówno wie. Powinnaś mieć tego świadomość. Przyrost zysków w piątym roku nie powinien być mniejszy niż dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery procent. ChemoDerma to firma rozwojowa, Kate. Wiesz, ile serum do twarzy sprzedali w ubiegłym roku?

Wiedziałam aż do ostatniej sztuki, ale pytanie w oczywisty sposób było retoryczne.

- Dużo - powiedziałam. - Ale patent wygasa...

- Pieprzyć patent. Chcę, żebyś przerobiła arkusz tak, by przyrost dochodów wynosił dwadzieścia pięć procent w czwartym i piątym roku. Wydrukuj to w kilkunastu kopiach i wymień tę stronę we wszystkich folderach.

- Wstała z krzesła.

- Ale to nie tylko ta strona. Kilka wykresów również odnosi się do tych prognoz...

- Wymień je wszystkie.

Zerknęłam na zegar wiszący na ścianie.

- Eee... Czy Southfield nie ma tu być przed jedenastą? Banner chce się jeszcze spotkać o dziesiątej czterdzieści pięć.

Przesunęła językiem po górnej wardze.

- No, dalej, Kate. Gdzie się podział ten duch, że wszystko da się zrobić? Przecież to dlatego cię zatrudniliśmy. Po prostu znajdź jakiegoś stażystę.

Wzięła swoje latte i wyszła z sali.

- Dzięki, że się zjawiłeś - warknęłam do Charliego, gdy wtoczył się do sali konferencyjnej dwie godziny później.

Siedziałam nad laptopem, przerzucając kilka ostatnich slajdów prezentacji i mając nadzieję, że nie przeoczyłam żadnych treści odnoszących się do starych prognoz dochodów.

- Przykro mi, ale mój BlackBerry wpadł pod łóżko. Wszystkie poprawiłaś? - Wskazał głową na plazmowy ekran na ścianie podłączony do mojego komputera.

- Ledwie się wyrobiłam.

Wróciłam do slajdu tytułowego i wyprostowałam się. Plecy i szyję miałam sztywne od napięcia. Podniosłam rękę, żeby pomasaować sobie kark.

- Jesteś świetna! - Postawił na stole dwa kubki. - Zawrzyjmy pokój. Miętowa mocca, supergorąca. Zgadza się? - Spojrzał na kubek.

- Dzięki - powiedziałam, unosząc go i delektując się miętowo-czekoladową wonią. Napięcie odrobinę zelżało.

- No to gdzie jest Banner?

- Nie ma go tu jeszcze?

- Oczywiście, że nie.

Drzwi się otworzyły i chwiejnym krokiem wszedł stażysta przygnieciony stosem prezentacji. Doskoczyłam do niego i wzięłam jedną. Przerzuciłam strony, na których wprowadzałam zmiany. Wszystko było tak jak trzeba.

- Dzięki, stary - powiedziałam.

- Żaden problem. Wspomnij tylko o mnie Bannerowi.

- Ta, jasne.

Rzuciłam prezentacje na stół, zbywając go, ale nie wyszedł od razu. Zawahał się i zatrzymał między stołem a drzwiami, z zażenowaniem kręcąc głową.

- Zaczekaj! - zawołałam za nim. - Przepraszam. Możesz powtórzyć, jak się nazywasz?

- Doyle. David Doyle.

- Będę cię wychwalać pod niebiosa, obiecuję - poprawiłam się, przywołując na twarz uśmiech.

- No, no! To było super - powiedział ze śmiechem Charlie, gdy David Doyle zniknął za drzwiami. - Normalnie go zabiłaś!

- Eee tam. No więc, gdzie poszedł Banner? - powtórzyłam pytanie. - Jest za dziesięć jedenasta.

- Och, pewnie jest zajęty powitankiem z Alicią. Nie ma mowy, żeby zrezygnował z pokazania swojej gęby pieprzonemu Julianowi Laurence'owi.

- Tak, no cóż. Powinien bardziej się martwić prezentacją.

Charlie opadł na krzesło i zaczął się na nim obracać.

- Kate, nikt z naszej firmy nawet nie widział Laurence'a. Ten gość nigdy nie odbiera telefonów biznesowych ani nie czyta analiz z Wall Street.

- To pewnie zwykły dupek. Znasz przecież tych koleśki od funduszy hedgingowych. - Wstałam i podeszłam do monitora na ścianie, żeby wyregulować obraz.

- Kate, Laurence nie jest jakimś tam gościem od funduszy hedgingowych. Jest tym gościem. Rozwinął Southfield od zera do dwudziestu w jakieś siedem lat. To jakiś pierdolony mityczny samiec alfa. Naprawdę.

Słuchałam rytmicznego skrzypienia fotela, na którym Charlie kręcił się w tę i z powrotem, i uśmiechnęłam się do monitora. Charlie był przystojnym facetem, choć

tak naprawdę tego już nie zauważałam, gdyż w ciągu ostatnich niemal trzech lat mojego życia widywałam go właściwie codziennie, często przez całą dobę, czasem zalanego w trupa, a raz z przerażającą w swych objawach gripą żołądkową. Był przystojny w ten nijaki sposób: regularne eleganckie rysy, gęste, proste brązowe włosy, które nosił ulizane do tyłu jak jakiś mały klon Gordona Gekko.

- No, dobrze. Ale co z tego? - Odwróciłam się dokładnie w tej chwili, by przyłapać Charliego, jak gapi się na mój tyłek w wąskiej spódnicy. - Czyli nie po prostu jakiś dupek, tylko ten dupek.

- Daj spokój, Kate. - Wyciągnął z kieszeni piłeczkę i zaczął ścisnąć ją lewą dłonią. - Facet jest żywą legendą. Z pierdoloną perfekcją wyczuł w czasie hossy na giełdzie po jedenastym września i dokonał pewnych inwestycji w akcje. Ryzykowne gównno, ale się opłaciło. Pozbyli się wszystkiego, kiedy były na topie. Na samym topie, stara. Gość ma nerwy ze stali. A teraz jest miliarderem. - Charlie pokręcił głową. Jego oczy świeciły z podziwu. - Nie ma nawet trzydziestu pięciu lat i zgarnął wszystko. Cały pierdolony sklep.

- Imponujące.

- Och, daj spokój. Spójrz tylko na siebie. Cała jesteś zestresowana. Choć raz pokaż, że masz jaja. - Przełożył piłeczkę do prawej ręki i potoczył ją po dłoni, uśmiechając się chytrze. - Jesteś bystrą dziewczynką.

- Dzięki.

Znów wróciłam do pierwszego z przejranych slajdów i zmarszczyłam brwi. Dwadzieścia pięć procent. Pójdziemy na rzeź.

- Nie, poważnie. Poza tym masz sporą przewagę nad resztą z nas.

- Niby jaką?

- Twój wygląd, Kate. - Podrzucił piłeczkę i chwycił ją szybkim, wprawnym ruchem. - To ciebie pierwszą zauważają goście, kiedy wchodzi na salę. Powinnaś to wykorzystać.

- Charlie, na litość boską! - powiedziałam widocznie zbyt ostro, bo wyczułam, jak Charlie sztywnieje i zaciska palce na piłeczce.

- Och, stara! - jego głos zrobił się cieńszy z przerażenia. - Nie chcesz chyba... To znaczy... zgłosić mnie czy coś takiego?

- Nie, nie. Jezu, Charlie! Wszystko w porządku. To tylko zabawa.

Jego dłoń się rozluźniła. Piłeczka znów powędrowała w powietrze.

- Naprawdę nie uważasz, że dobrze wyglądasz? - naciskał dalej z wyraźną ulgą, że nikt go nie będzie ciągał po sądach za molestowanie seksualne.

Jeden pełen męczarni dzień na kursie dla analityków trzy lata temu był poświęcony uwrażliwieniu nas na kwestie płci w pracy, jakbyśmy nie przerabiali już

tego tyle razy w college'u. Ale większość moich kolegów i koleżanek niezbyt się tym przejmowała. Każdy, kto się obruszał na prostactwo panujące w bankowości inwestycyjnej, nie miał dość jaj, żeby komukolwiek zniszczyć karierę.

- Niech ci będzie: dobrze wyglądam - powiedziałam ostrożnie, zerkając na swoje odbicie w niebieskiej poświacie monitora.

- No, daj spokój! Doceń się trochę. Masz w sobie to coś z seksownej bibliotekarki. Bez dwóch zdań. - Charlie rozparł się w fotelu i położył lśniące czarne buty na błyszczącym mahoniu. - To znaczy, bez obrazy.

- Z seksownej bibliotekarki?

Wzruszył ramionami.

- Niektórzy faceci uwielbiają to gównno.

- Masz go pełno w głowie.

- Pełno czego? - Pochylił się do przodu z szerokim uśmiechem. - No dalej. Pełno czego, Kate?

Pierwsza rzecz, której uczysz się na Wall Street: po prostu graj dalej.

- Pełno łajna, Charlie.

- Kate! Czy ty właśnie użyłaś brzydkiego słowa?

- „Łajno” się nie liczy.

- Pewnie, że się liczy. To tak jak „gównno” dla mięczaków.

- To było głębokie, Charlie. I jakżeż bardzo harwardzkie.

- Żartowałem, Kate. Wszyscy uwielbiamy, jak nam tutaj podnosisz pieprzony poziom.

- Do usług.

- To wymuskane gównno z Wyoming...

- Z Wisconsin. - Uniosłam kubek do ust i pociągnęłam głęboki łyk.

- Mniejsza z tym. Po prostu pamiętaj, co ci mówiłem, kiedy Laurence... O, kurwa! - Charlie poderwał stopy z krawędzi stołu, niemal wywracając się z krzesłem. - Już tu są.

Natychmiast się skoncentrowałam, parząc sobie gardło kawą. Moja dłoń powędrowała ukradkiem do głowy, żeby ściągnąć gumkę z włosów, zostawiając na nich tylko wąską szylkretową opaskę. Nie do końca wytworna profesjonalistka, ale przynajmniej - dzięki, Charlie - nie skromniutka bibliotekarka. Pamiętałam o tej pomadce do ust? Polizałam wargi. Lekko się kleiły. W porządku.

Alicia weszła pierwsza. Kąciki ust drgały jej z niehamowanej radości, a rozpięty żakiet ukazywał agresywny, mocno opalony dekolt. Jej głos aż ociekał udawanym żalem.

- Ach, Kate! Tu jesteś. Niestety, muszę cię prosić, żebyś wyszła.

Zawrót głowy, jakby cała szeroka, wyściełana dywanem podłoga miała się zapaść pod moimi stopami.

- Wyszła? - spytałam, ścisząc głos. - Jak to „wyszła”?

- Strasznie mi przykro. Zjawiła się dodatkowa osoba z ChemoDermy.

- A Charlie?

- Zostaje. Wiesz, jest po prostu trochę bardziej profesjonalny - z lubością wycodziła ostatnie słowo, ledwie się siląc na to, by stłumić uśmiech.

Wiele razy oddawałam się mściwym fantazjom na temat Alicii. W tej ulubionej robiła jakiś przekręt i rozwałała cały bank w spektakularnej implozji kariery jak jakiś Nick Leeson w supermocnym staniku push-up. Tylko że Alicia nie pracowała na giełdowym parkiecie i moją radość z jej upadku przyćmiłby fakt, że większość mojego planu emerytalnego 401k ulokowana była w akcjach Sterling Bates. Ach, no i jeszcze straciłabym posadę. Mimo to o trzeciej nad ranem miło było pokontemplować publiczną hańbę Alicii w zaciszu mojego boksu. Chociaż zazwyczaj wstydziłam się tej przyjemności w świetle dnia.

Ale nie dzisiaj.

Wpatrywałam się w nią, mgliście uświadamiając sobie obecność postaci w ciemnych garniturach wlewających się przez drzwi i wypełniających salę przyjaznymi ściszonymi śmiechami.

- Dobra - powiedziałam i odwróciłam się do Charliego. - Wszystko tu masz, gotowe. Uważaj na nowe prognozy dochodów.

- Stara! - jęknął cicho.

- Nie przejmuj się. Alicia będzie mówić. Będę w moim boksie, jeśli będziesz mnie potrzebował.

Wzięłam torbę od mojego laptopa i ruszyłam do drzwi, mijając Bannera z pomarszczoną i mocno opaloną twarzą i wyrozumiałym uśmiechem, dyrektora wykonawczego ChemoDermy, który z lekkim zdziwieniem zmarszczył brwi, i jakichś dwóch czy trzech mężczyzn, zapewne z Southfield. Ostatni odwrócił się w moją stronę, gdy przechodziłam, i mignęły mi tylko pełne niepokoju oczy i bystra, wyjątkowa uroda. Nawet się nie zatrzymałam. Usłyszałam jeszcze, jak Banner nas przedstawia:

- A oto nasi pracownicy analitycy, Charlie Newcombe i Kate Wilson, którzy przygotowali dla was prezentację. Eee, Katie...?

Drzwi zamknęły się za moimi plecami, ucinając jego głos.

Poszłam prosto do mojego boks, tak jak obiecałam Charliemu, i położyłam obok siebie na biurku telefon. Nie miałam nic do roboty. Mój laptop został w sali konferencyjnej dwa piętra wyżej, gdzie służył do prezentacji.

Powinam być wdzięczna. Jeszcze nie dorosłam do takich spotkań jak to. Uczestnicząc w nich, zawsze miałam wrażenie, że wiszę na skraju jakiejś katastrofy: wielkie na kilka cali błędy ortograficzne wyświetlające

się na ekranie, źle opisane grafiki, wykresy kołowe, w których liczby w oczywisty sposób nie dają w sumie stu procent, prognozy dochodów wysrane z palca - śliczne i schludne, ale takie cholernie lipne. Idealny cel dla bystrych gości z funduszków hedgingowych.

Ale to było niewiele lepsze, ta wyprowadzająca z równowagi beczynność, wrażenie, że przekraczam jakiś termin czy nie wypełniam bardzo ważnego obowiązku.

Niespokojnie sięgnęłam ręką i dotknęłam krawędzi oprawionej w ramki fotografii stojącej na moim biurku. Nic szczególnie odkrywczego, tylko Michelle i Samantha na tle zamku Neuschwanstein w którymś momencie naszej podróży z biletami Eurail zaraz po college'u. Ramię Samantha obejmuje Michelle, przyciągając ją i wytrącając z równowagi; Michelle wysuwa palce nad głową Samantha w obowiązkowych króliczych uszach. Prawdopodobnie miały kaca. Byłam pewna, że poprzedni wieczór spędziłyśmy w jednym z monachijskich ogródków piwnych. Albo w trzech. Wydawało się, że to było wieki temu. Zmrużyłam oczy i próbowałam wyobrazić sobie roześmianą Kate, która robiła to zdjęcie, i porównać ją z tym wciśniętym w kostium stworzeniem, jakie zamieszkiwałam teraz. Kate z Manhattanu, nieprzenikniona bankierka inwestycyjna.

W końcu wstałam, żeby skorzystać z toalety. Nie dlatego że czułam taką potrzebę, ale ponieważ to było coś,

co można było zrobić, choć nie zajmowało dużo czasu. Zwlekałam jak najdłużej nad umywalką z czarnego marmuru. Pieczołowicie myłam ręce, a potem przepędziłam ostatnią najmniejszą kropelkę wody pod huraganowym podmuchem suszarki do rąk. Z powrotem założyłam gumkę. Z lustra spoglądała na mnie moja twarz, zmartwiona i ciężka, nierozpoznawalna.

Wzięłam milczącego BlackBerry z blatu i wróciłam przez labirynt identycznych szarych boksów do mojego, gdzie zatrzymałam się jak wryta.

Wysoki, szczupły mężczyzna stał tam w absolutnym bezruchu z jedną ręką na oparciu mojego krzesła. Jego kręcone włosy lśniły ciemnym złotem w bezlitosnym biurowym oświetleniu. Miał imponujące szerokie plecy i pochylał się lekko nad moim biurkiem.

- Przepraszam - wyrzuciłam z siebie. - Mogę panu w czymś pomóc?

Wyprostował się i odwrócił w moją stronę.

- Kate - wyszeptał.

Wzdrygnęłam się, wstrząśnięta. Ten mężczyzna był piękny, niewysłowienie piękny. Jego twarz cechowała nieprawdopodobna symetria klasycznego posagu. I była niemal egzotyczna z tymi szerokimi, wyrazistymi oczami, które chciwie chłoneły mój widok. Z prawej kłapy jego marynarki zwisała żółta plakietka gościa Sterling Bates. Gdyby nie to, pomyślałabym, że mam halucynacje.

- To znaczy... pani Wilson - powiedział z wytwornym

akcentem afektowanym głosem, jakby żywcem wziętym z piątkowego nocnego maratonu na kanale z klasykami kina. Gielgud albo może Barrymore.

Wyciągnął do mnie rękę.

- Julian Laurence.

- Och - powiedziałałam, ściskając mu dłoń. - Jest pan Brytyjczykiem.

Że też ze wszystkich głupich rzeczy, jakie mogłam powiedzieć, wybrałam akurat to!

Uśmiechnął się.

- Winny zarzucanych mu czynów.

- Nie powinien pan być na spotkaniu?

- Przepraszam, że pani przeszkadzam. Chciałem tylko przekazać moje przeprosiny za to... za sposób, w jaki została pani... - urwał, ale jego spojrzenie, jeśli to w ogóle możliwe, stało się jeszcze intensywniejsze: dziwne, wibrujące, jakby próbował przeniknąć do dna moich oczodołów.

- Och, nie trzeba. To znaczy... to nie pańska wina. Przyzwyczaiałam się do przestawiania mnie z kąta w kąt. To część tej pracy.

Czy to moja wyobraźnia, czy też niespokojny szum na piętrze Działu Rynków Kapitałowych zmienił się w nagłą ciszę? Wyczuwałam głowy wysuwające się ponad ściankami boksów, jak piesków perriowych.

- W każdym razie - powiedział, nie odrywając ode mnie wzroku - przepraszam, że prawie się z panią rozminąłem.

- Aż tak tam jest nudno? Chyba powinniśmy byli przemyścić kilka zdjęć jakichś gwiazd, żeby was zabawić. - Niemal skręciłam się, słysząc własną złośliwość. Chciałam, żeby zabrzmiało to jak żart.

On też to poczuł: jego oczy rozszerzyły się i pojawiła się między nimi maleńka zmarszczka.

- Obraziłem panią? Proszę o wybaczenie. Chciałem tylko... Widzi pani, trochę mnie pani zaskoczyła... - Pokręcił głową, jakby próbował zebrać myśli. - Robię tylko zamieszanie, prawda? Naprawdę, bardzo przepraszam.

- Nie ma za co - przełknęłam ślinę, bo najwyraźniej napłynęła mi do ust. Na Boga!

Chciał coś powiedzieć, ale się zawahał. Jego prawa dłoń, zwisająca wzdłuż ciała, zaciskała się i otwierała na samym skraju mojego pola widzenia. Próbowałam olśnić go jakimś niezapomnianym dowcipem i elokwencją, ale mój mózg zastygł w głupocie, niezdolny przetworzyć informacji, że legendarny Julian Laurence stoi oto przede mną w swej pełnej blasku osobie, jękając się i prosząc o wybaczenie jak jakiś nieśmiały dzieciak w szkole, który wreszcie zebrał się na odwagę, żeby wyznać mi, że od dawna jest we mnie zadurzony.

- Chodzi mi tylko o to... - powiedział i na jego ramieniu pojawiła się jakaś duża dłoń.

Oboje się wzdrygnęliśmy.

- Ach, tutaj jesteś - odezwał się szorstki głos, zapewne należący do właściciela ręki.

Oderwałam oczy od szlachetnej linii kości policzkowych Juliana Laurence'a i zobaczyłam bladego, ubranego na ciemno mężczyznę, który stanowił niemal kolorystyczny negatyw Juliana i obserwował mnie chłodno, założywszy ręce na piersi.

Julian parsknął z rozdrażnieniem.

- Mój dyrektor handlowy Geoff Warwick. Geoff, to jest Kate Wilson - oznajmił opanowanym głosem, kładąc leciutki nacisk na moje nazwisko.

Wyciągnęłam wprawnie rękę, ale Geoff Warwick tylko kiwnął głową.

- Pani Wilson - powiedział.

Julian odwrócił się w moją stronę. Wyglądał na zaciekawionego i może nieco rozbawionego, z jedną uniesioną brwią, ale gdy jego oczy spotkały się z moimi, uniósł kącik ust w uśmiechu. W konspiracyjnym uśmiechu, jakby do mnie mrugnął.

- Może lepiej wracajmy na spotkanie? - spytał Geoff.

- Tak, oczywiście - powiedział Julian z uśmiechem tak promiennym, że zdawał się niemal opalizować, rozjaśniając nijakie biurowe powietrze prądem czystej, niefrasośliwej energii. - Kate... Pani Wilson... Było mi niezwykle miło.

Znów ujął moją dłoń, bardziej ją ściskając, niż potrząsając, a następnie odwrócił się i ruszył przejściem między boksami z naturalną swobodą sportowca, zabierając z sobą całe to światło. Geoff Warwick potruchtał za nim jak piesek.

Ośłupiała patrzyłam za nimi, ledwie zauważając, że głowy odwracają się znów w moją stronę, a potem jedna po drugiej skrywają za ścianami boksów. W głowie usłyszałam głos Charliego: „Stara! Ale to było, kurwa, dziwne”.

Amiens

Nie sędę, żebym długo była nieprzytomna. Uświadomiłam sobie głosy, ręce... Ktoś dotykał mojego policzka, czoła, rozpinał mi kołnierzyk, zdejmował kapelusz. Najwyraźniej leżałam na czyichś kolanach, a jedno żelazne ramię podtrzymywało mi plecy, podczas gdy zimny deszcz wciąż beznadziejnie kapał mi na policzek. A potem Julian głosem tak znajomym, że poczułam piekące łzy pod powiekami, powiedział:

- Możemy się tym zająć później, Warwick. Widać przecież, że jest chora.

Warwick. Geoff Warwick. Nie rozpoznałam go z tym akcentem.

- Jej powieki się poruszają.

- Tak, widzę. Nic pani nie jest? Słyszysz mnie pani?

Kiwnęłam głową.

- Tak - wychrypiałam. - Przepraszam.

Z wysiłkiem otworzyłam oczy, tak bardzo pragnąc zobaczyć jego twarz. Oto i ona, trochę zamazana i ściągnięta troską.

- Warwick - powiedział, zerkając w górę. - Myślisz, że mógłbyś rozproszyć trochę ten tłum? I zobacz, czy wśród gapiów nie ma lekarza.

- Raczej wątpię - stwierdził Geoff Warwick, ale odszedł kawałek i zaczął wydawać jakieś polecenia.

Odwrociłam głowę w jego stronę i zobaczyłam, że co najmniej kilkanaście osób stoi w pobliżu i przygląda się scenie z milczącym respektem. Spróbowałam się podnieść, ale nowa fala zawrotów głowy i mdłości zmusiła mnie do zamknięcia oczu.

- Przepraszam - wyszeptałam ponownie.

- Proszę pani? Mogę pani pomóc? Boli panią coś?
- Jego słowa były krótkie i urywane. Słysząc w nich było niepokój.

- Nie. To tylko zmęczenie. Długa podróż. - Spróbowałam się uśmiechnąć, ale moje usta wydawały się do tego niezdolne.

- Mogę pomóc pani dotrzeć do jej kwatery. Albo w jakiś inny sposób. Warwick! - zawołał ostro. - Znalazłeś lekarza?

- Ktoś poszedł go sprowadzić - odparł Warwick, wracając. - Jak ona się czuje?

- Jest przytomna. Mówi. Wydaje się trochę zdezorientowana.

- Nie! Nic mi nie jest, naprawdę. - Znow spróbowałam usiąść, tym razem z większym powodzeniem.

- Ashford, ona jest Amerykanką! - zawołał ktoś za moimi plecami. Zapewne kolejny towarzysz Juliana, ale nie widziałam jego twarzy.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę - powiedział Julian, patrząc na mnie w zamyśleniu.

- Skąd ją znasz? - dopytywał Warwick.

- Nie znam jej.

- Ona znała twoje nazwisko.

- Na Boga, Warwick, nie widziałem jej nigdy w życiu - upierał się Julian. - Proszę pani, gdzie się pani zatrzymała? Nie da pani rady wrócić bez pomocy.

- Jeszcze nigdzie - odparłam. - Dopiero co przyjechałam do miasta.

Chwila milczenia.

- Trzeba ją zabrać z tego deszczu - stwierdził ktoś.

- Tak, oczywiście - odparł Julian. - Jak myślisz, Chat jest już otwarty?

- Jeszcze nie. - Głos Warwicka zabrzmiał niemal triumfalnie.

Ta jego zaczepność najwyraźniej istniała od dawna.

- Proszę pani? Może pani iść?

- Ja... tak, oczywiście.

Zsunęłam się z jego kolan i sprawdziłam nogi: trochę słabe, ale powinnam dać radę. Ramię Juliana nadal mnie podtrzymywało.

- Warwick, ty i Hamilton poczekacie tu na lekarza
- rzucił Julian przez ramię. - Powiedzcie mu, że znajdzie nas przy rue des Augustins.

Arthur Hamilton. Brat Florence. Spróbowałam na niego spojrzeć, ale jego twarz była ukryta pod zsuniętym nisko na czoło daszkiem oficerskiej czapki, z którego ściekała woda.

- Jezu, Ashford! Nie bierzesz jej chyba na swoją kwartę?!

- Przepraszam panią - powiedział Julian cicho, a potem odwrócił się do Warwicka, najwyraźniej sądząc, że jestem zbyt zamroczona, żeby go dosłyszeć:

- A gdzie indziej, do diabła, mogę ją zabrać? Leje deszcz, kawiarenki są jeszcze zamknięte. Przecież to jasne, że nie jest dziwką.

Warwick znacząco prychnął.

- Na Boga, spójrz na nią! Nigdy nie widziałeś prostytutki z taką twarzą.

- Jesteś szalony, Ashford. Nic o niej nie wiemy. Może być cholernym szpiegiem.

- Brednie. Gdzie się podziały twoje ludzkie uczucia?
- Zwrócił się znów do mnie: - Jest pani pewna, że może pani iść?

- Tak - odparłam, robiąc krok.

Teraz, gdy ustąpił już bezpośredni wstrząs po spotkaniu z nim, siły zaczynały mi powracać, ale nadal miałam nudności.

- Pomogę pani, proszę ze mną, to niedaleko. Gospodyni ma salon, dość przytulny. Nada się. Gdy dojdzie pani do siebie, będzie mogła ruszyć dalej.

- Ja... - niemal mu odmówiłam, ale potem przypomniałam sobie, że właśnie po to tu jestem: żeby zdobyć jego sympatię i zaufanie. - Tak mi przykro, że sprawiam panu kłopot - powiedziałam zamiast tego, ale moje słowa zabrzmiały obco.

- A więc chodźmy - zachęcił mnie, podtrzymując ramieniem. - Choć raz bądź miły, Warwick - dodał - i zobacz, co z tym lekarzem. Hamilton, pomożesz mu, prawda?

Przeprowadził mnie przez plac, a potem boczną uliczkę. Oprócz krótkiego ostrzeżenia na temat śliskiego bruku i obluzowanych krawężników nie powiedział ani słowa. Szłam przy nim chwiejnie, jak we śnie. A może to był sen? Zdecydowanie tak wyglądało to ponure, znęka-
ne przez wojnę francuskie miasto. Lodowate strumienie deszczu spływały po moim płaszczu, a Julian otaczał moje plecy prawą ręką.

- To tuż za rogiem - oznajmił, tak bardzo zbliżając do mnie twarz, że poczułam słaby zapach piżma i mydła do golenia.

Musiałam wbić paznokcie w dłoń, żeby nie zareagować, nie oprzeć się bardziej o niego, nie otoczyć go w pasie ramieniem.

Przede mną pojawiły się drzwi. Julian je otworzył i wprowadził mnie do ciasnego przedpokoju.

- *Madame!* - zawołał. - *Madame, s'il vous plaît!*
Proszę ze mną - zaraz dodał, ciągnąc mnie do drzwi po lewej stronie.

Nazwał to pomieszczenie przytulnym salonem. Zbyt dostojne słowa jak na nagie deski podłogowe, skape meble i nędzny piecyk węglowy, które sprawiały niegościnnie, wręcz ponure wrażenie. W pokoju paliła się tylko jedna elektryczna lampa, ledwo rozjaśniając spowijający go mrok. Na zewnątrz burza wściekle uderzała w dwa okna o ciemnych zasłonach.

- Niech mi pani da płaszcz. Jest dość przemoczony - powiedział Julian, podprowadzając mnie do niskiej sofy z bordowym obiciem, noszącym ślady całych dekad porannych wizyt.

Posłusznie rozpięłam guziki i poczułam jego dłonie na moich ramionach. Złożył płaszcz i przewiesił go przez oparcie sofy.

- Proszę już usiąść. Musi pani. Pójdę tylko znaleźć gospodynię i poproszę, żeby przyniosła tacę. - Zniknął za drzwiami.

Opadłam na miękką poduszkę i spróbowałam zebrać myśli. Właśnie mijał tydzień mojego pobytu w tym stuleciu, tydzień pełen dezorientacji, wyobcowania i ciężkiego wysiłku fizycznego, gdy próbowałam dotrzeć ze środkowej Anglii do rozdartej wojną Francji. Musiałam nauczyć się wszystkiego - od funtów, szylingów i pensów po właściwą technikę zabezpieczania kapelusza

przed spadnięciem z głowy pojedynczą długą szpilką. W dodatku stale towarzyszył mi ten przytłaczający i nie-
możliwie głęboki smutek. Wreszcie mój mózg zaczął się
przyzwyczajać do tego wszystkiego... I do trudno wy-
tłumaczalnego doznania, że to wszystko było takie...
zwyczajne. Dziwne bez nowoczesnych maszyn, ubrań
i wygód, mimo to znajome. Chleb smakował jak chleb.
Padający deszcz był mokry jak zawsze. A Julian wciąż
był Julianem. Tylko młodym.

Dobry Boże! Różnice fizyczne były dość subtelne:
jaśniejsze o ton włosy, świeższa cera, twarz być może
trochę okrągłejsza, mniej wyrazista. Bardziej zauwa-
żalne dotyczyły sposobu bycia i wyrażania się. Nadal
otaczała go ta aura pewności siebie, której nie sposób
było pomylić z niczym - zapewne był taki od dziecka,
a doświadczenie w byciu kapitanem brytyjskiej kompanii
piechoty tylko ją wzmocniło. Ale tutaj łączyła się z zapa-
łem, prostodusznością i mniejszą swobodą. Przypomnia-
łam sobie, że dopiero co obchodził dwudzieste pierwsze
urodziny. Byłam dla niego starszą kobietą.

Lecz to był niebezpieczny kierunek myślenia. Jego
złociste ciało uniosło się nade mną w lekkim półmroku
z wytrącającą z równowagi gwałtownością, tak doskona-
le autentyczne, że moja głowa pochyliła się przed tą wi-
zją i miałam wrażenie, że jakiś ciężar wyciska mi powie-
trze z piersi. Okręciłam pierścionek na palcu, zmuszając
mózg, by się od tego odciął, by zajął się praktycznymi

szczegółami. Żadnych nowoczesnych wyrażień, napomniałam się. Zsuń stopy. Postawa. Zaraz zwymiotuję.

Rzuciłam się w poszukiwaniu jakiegoś zbiornika i wypatrzyłam wyszczerbioną niebiesko-białą wazę stojącą na parapecie. Podeszłam do niej chwiejnym krokiem i chwyciłam ją w ostatniej chwili.

- Mój Boże! - W głosie Juliana dobiegającym od drzwi słysząc było przerażenie.

Oparłam się o okno. Gardło paliło mnie od złości i poniżenia.

Rozdział 2

Nie lubiłam Paula Bannera z wielu powodów, ale głównie dlatego, że przez cały czas się do mnie dowalał.

Nie robił jednak tego w bezczelny sposób - to bym mogła dość łatwo ukrócić. Nie. Jego styl był raczej wazelinarski, bardziej podstępny, więc trudno było dokładnie wskazać palcem moment, w którym przekraczał granicę. Miał na przykład zwyczaj pojawiać się przy moim biurku i zabierać mnie na lunch pod pretekstem udzielenia mi jakichś rad dotyczących mojej kariery, ale szybko zyskiwał on mdlący posmak randki z lubieżnym bogatym wujkiem. Spędzałam cały ten czas na nędnym oczekiwaniu, kiedy jego ręka pojawi się na moim kolanie, podczas gdy on prawdopodobnie zbierał się na odwagę, żeby faktycznie to zrobić.

- Katie - powiedział teraz, materializując się na skraju mojego boksu i ogarniając powłóczystym spojrzeniem przód mojej koszuli. - Zróbmy briefing.

Było tuż po drugiej i miałam wrażenie, że zaraz padnę. Przez cały weekend przespałam może jakieś cztery godziny, a Charlie właśnie poczęstował mnie potężnym, tłustym reuben sandwichem - moim ulubionym, z delikatesów tuż za rogiem - żeby zrewanżować się po tym incydencie z Alicią dziś rano, który teraz tkwił w żołądku jak wielka ciepła planetarna masa, dociskając moje powieki siłą przyciągania grawitacyjnego. Ledwie byłam w stanie jasno myśleć.

- Briefing? - powtórzyłam.

- Cóż, no wiesz, to była dość dziwna sytuacja tam, na spotkaniu.

Zrobiłam niewinną minę.

- Jak to? A tak w ogóle to jak wszystko poszło?

- Dobrze. Świetnie. Chyba im się spodobałem - powiedział skromnie. - Chodźmy na jakąś kawę. Wyglądasz, jakby ci się mogła przydać.

Z tym trudno się było spierać. Westchnęłam i sięgnęłam po torebkę.

- Charlie! - zawołałam, myśląc o tym, że ktoś powinien wiedzieć, gdzie jestem. Tak na wszelki wypadek.

- Idziemy na szybką kawę na dole.

Spojrzał na mnie zza swojego monitora i wszystko zrozumiał. Uniósł jedną brew.

- Jasne, stara - rzucił. - Przynieś mi to, co zwykle.

Jedną z zalet pracy w Sterling Bates, przynajmniej jeśli o mnie chodzi, była pobliska kawiarnia. Według

biurowych kawowych nudziarzy - no wiecie, tych, co to cały czas gędzą o tym, czy lepsza jest arabica, czy kawa kenijska i tak dalej - Starbucks był skończonym głównem, ale mnie jak najbardziej odpowiadał. Można tu było przyjść, gdy miało się już kompletnie dość siedzenia w boksie. W Sterling Bates wykorzystywaliśmy tę kawiarnię jako miejsce nieformalnych spotkań. Każdy dziennikarz finansowy, który chciał łatwo znaleźć jakąś bombę, albo nawet każdy beczynny taksówkarz szukający klienta, który da mu suty napiwek, musiał tylko posiedzieć tutaj z gazetą i latte i mieć oczy i uszy otwarte.

- Więc co sobie pomyślałaś? - zaczął Banner, upijając łyk cappuccino.

Dwa lata i całe wieki temu nauczyłam się we Włoszech, że nikt nie pije cappuccino po jedenastej rano. Ta wiedza dała mi przyjemne poczucie robienia tego, co właściwe. Wygodniej rozsiałam się na krzesło i założyłam nogę na nogę.

- Nie wiem. Nie było mnie tam. Jak przyjęli te prognozy dochodów?

- Mieli kilka pytań. - Zabębnił palcami w blat stołu i zerknął przez okno na wąskie, rojące się od ludzi chodniki.

Siedziba Sterling Bates położona była zaledwie jedną przecznicę od nowojorskiej giełdy, co znaczyło, że należeliśmy do tych stosunkowo nielicznych ludzi pracujących na Wall Street, którzy faktycznie pracowali. Na mojej rodzinie robiło to wrażenie.

Upiłam łyk mokki i czekałam, aż Banner zacznie mówić dalej.

- Katie - powiedział w końcu. - Jakie masz plany na przyszły rok? Szkoła biznesu?

- Tak myślę. Właśnie wysłałam ostatnie podanie w piątek.

- Powiedz jeszcze raz: gdzie robiłaś licencjat?

Zawahałam się.

- Uniwersytet Wisconsin.

- Ach, racja! Teraz sobie przypominam. Zwykle stamtąd nie rekrutujemy, prawda?

- Nie - odparłam. - Zazwyczaj nie.

- Cóż, cieszę się, że zrobiliśmy wyjątek. Byłaś dla nas wyjątkowo produktywnym pracownikiem. Nie chcieliśmy cię stracić.

Roześmiałam się uprzejmie.

- Nawet po tym, co się stało dziś rano?

- Zwłaszcza po tym. Nie myśl, że nie widziałem, jak Alicia cię tam przycisnęła. Jestem tu już na tyle długo, żeby wiedzieć o tym i owym.

- Hm. - Prawdopodobnie nie był to jeszcze właściwy moment na moje *j'accuse*.

Jego oczy przyssały się do moich, próbując nawiązać kontakt. Znów uniosłam kubek z kawą, próbując się nim zasłonić.

- To właśnie w tobie lubię - oznajmił. - Nie marnujesz instynktu zabójcy na biurową politykę.

W przeciwieństwie do większości dupków, którzy się tu przewijają. Włącznie ze mną - dodał ze śmiechem. - W każdym razie wyszłaś stamtąd z twarzą, Katie, naprawdę z twarzą. Laurence był pod wrażeniem.

Kawa utkwiła mi w gardle.

- Naprawdę pod wrażeniem. Podczas lunchu zadawał mi mnóstwo pytań o ciebie.

- Doprawdy? - Kaszlnięcie, chrząknięcie. - Jakiego rodzaju?

- No, zwykłych pytań. Mam dla ciebie propozycję, Katie. Chciałbym, żebyś tym pokierowała. Przeanalizuj jeszcze raz dane i prześlij im coś za dzień lub dwa.

- Co takiego? - wykrztusiłam przez kropelki kawy. Odstawiłam kubek i otarłam łzawiące oczy, nie do końca pewna, czy dobrze go zrozumiałam.

Pochylił się do mnie nad stołem, aż znalazł się tak blisko, że zobaczyłam zmarszczki stresu na jego czole.

- Chcemy, żeby Southfield w to weszło, Katie. Potrzebujemy ich - dodał, wciskając prawy palec wskazujący w drewnianą okleinę. - Jeśli Southfield się zgodzi, inni zrobią to samo. Pierdolone lemingi. Przecież to wiesz.

Cofnęłam się z krzesłem jak najdyskretniej.

- Naprawdę mi to pochlebia. Chodzi tylko o to... Naprawdę chcesz, żebym to ja tym pokierowała? Nie jestem właściwie samodzielny pracownikiem. Nie było mnie nawet na spotkaniu.

- Jeśli martwisz się Alicią, mogę ci obiecać, że nie będzie robić problemów.

- Nie, nie - odparłam szybko. - Akurat z tym sobie poradzę.

Milczał dłuższą chwilę, przyglądając się badawczo mojej minie, a potem jego twarz się rozluźniła, układając się w pełen samozadowolenia uśmiech.

- Wyluzuj, Katie. Laurence cię lubi, a dla ciebie to byłby naprawdę ważny projekt. I w dodatku niezbyt skomplikowany. Poza tym będę cię popierać w stu procentach.

- Wow! - powiedziałam.

Zaczynałam się czuć jak jeden z tych biednych sukinyńców z *Ojca chrzestnego*, któremu właśnie złożono propozycję nie do odrzucenia. Delikatnie obrysowałam palcem krawędź plastikowego wieczka na kubku z kawą, zastanawiając się, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- W takim razie dobrze. - Banner rozparł się na krześle. - Możesz się uważać za człowieka na pierwszej linii frontu. Dam znać Laurence'owi, żeby wiedział, czego ma się spodziewać. - Nagle wstał, wziął swój kubek i mrugnął do mnie. - A teraz postaraj się wyjść wcześniej do domu i wyśpij się trochę. To dobre na urodę.

- Słuchaj, stara - powiedział Charlie około trzynastej następnego dnia. - O co tu, kurwa, chodzi? Banner mu ciebie podsuwa czy jak?

Okręciłam się na krześle, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Co takiego? No proszę cię! Nie żeby Banner nie spróbował, gdyby mógł - przyznałam - ale nie nadaję się na przynętę dla gości od funduszy hedgingowych.

- Mniejsza z tym. I tak węszyć w tym spisek.

Charlie położył nogi na biurku i teraz bawił się czerwonym pisakiem na kolanie. W świetle jarzeniówek wydawał się zmęczony i blady, jakby przez cały czas wisiał głową w dół w rzeźniczej chłodni.

- A tak w ogóle to Alicia jest na pieprzonej ścieżce wojennej. Lepiej na siebie uważaj.

- Tylko tego mi brakowało - odpowiedziałam, pocierając oczy.

Siedzieliśmy w sąsiednich boksach, opracowując rozsądniejszy model dochodów dla ChemoDermu. W każdym razie tak utrzymywaliśmy, bo w tej chwili na moim laptopie wyświetlała się długa lista wyników wyszukiwania w Google dla zapytania „Julian Laurence Southfield”. Przeczytałam już większość artykułów na jego temat i niewiele zostało rzeczy, których bym nie wiedziała. Julian Laurence założył fundusz w 2001 roku, łącząc swoje nienaganne wyczucie sytuacji na rynkach ze zdolnościami kilku genialnych maklerów. Zyski się nawarstwiły, pojawili się też nowi inwestorzy i obecnie Southfield Associates było jednym z największych funduszy hedgingowych na świecie.

Ale jak na tak dynamiczną firmę, robiło wokół siebie wyjątkowo mało szumu. Tu i ówdzie pojawiał się

wprawdzie jakiś cytat przypisywany Julianowi, lecz była to zazwyczaj nudna refleksja na temat sytuacji na rynku, która w żaden sposób nie zdradzała jego osobowości.

I to było właśnie najdziwniejsze. Julian Laurence był niesamowicie przystojnym mężczyzną, młodym dyrektorem naczelnym gwałtownie rozkwitającego funduszu hedgingowego, absolutnym ideałem pod każdym względem. Gdzie więc były te wywiady? Gdzie zdjęcie na okładce „Vanity Fair”, zadęte komentarze w magazynie „New York”? Nawet w „Page Six” pojawiła się o nim tylko jedna wzmianka, gdy w ubiegłym roku uczestniczył w jakiejś akcji charytatywnej w Muzeum Sztuki Nowoczesnej: „Julian Laurence, nieuchwytny założyciel megafunduszu hedgingowego Southfield Associates, pojawił się tylko na chwilę, przyprawiając o szybsze bicie serca bywalców salonów”. I tyle. Nawet jednego zdjęcia tej niezwyklej twarzy.

Przesunęłam kursorem po jego nazwisku. Po co utrzymywać taki niski status? Powinien być widoczny, bawić się, chodzić na randki z supermodelkami i wykupywać najlepsze nieruchomości przy nabrzeżu w Hamptons. Miał świat u swoich stóp. Nie mógł po prostu spędzać wieczorów w domu.

- A więc mamy konsultować coś z tego gówna z ChemoDerma? - spytał Charlie. - Bo to dość dziwne, majstrować przy pierwszej ofercie publicznej bez... O, cholera! - błyskawicznie spuścił stopy na podłogę.

Spojrzałam tam, gdzie on, i zobaczyłam **Alicję** marszerującą w naszą stronę w obcisłym czarnym spodnim. W boksach wciąż siedziało kilkunastu analityków, pracujących nad różnymi projektami, ale wiedziałam, że nie ma szans, by polowała na któregoś z nich. Niewiele czasu potrzebowała, by mnie znaleźć.

- Kate, chciałabym... - przerwała i przebiegła oczyma po mojej figurze. - To takie rzeczy teraz nosisz?

Moja dłoń powędrowała do sznura sztucznych pereł na szyi, spoczywającego w szerokim wycięciu ciemno-grafitowej bawełnianej sukienki.

- Nie mam dzisiaj żadnych spotkań.

Spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

- Mniejsza z tym, Kate. Muszę z tobą porozmawiać. Jest jakaś wolna sala konferencyjna?

- Powinna być - odparłam. - Nie dzieje się tu teraz zbyt wiele.

Poszła za mną do pustej sali i zamknęła drzwi, dzwoniąc bransoletkami o klamkę. Kwiatowy zapach jej perfum otoczył nas gęstą chmurą.

- Co ci się, do jasnej kurwy nędzy, wydaje?! Co ty wyprawiasz?! - syknęła.

- Wow! - zareagowałam. - Nie wiem, o co ci chodzi.

- Kradniesz mi mój pieprzony interes! O to mi chodzi! Wygryzasz mnie. Nastawiasz przeciwko mnie Banera. I to po tym wszystkim, co zrobiłam, żebyś dobrze wypadła...

Poczułam gorąco na policzkach.

- Przepraszam, ale na jakiej planecie żyjesz? Nie miałam z tym wszystkim nic wspólnego. Banner wezwał mnie na spotkanie i powiedział, że to ja mam się zająć wprowadzeniem zmian. To nie był mój pomysł. Nie miałam nawet wyboru.

- Myślisz, że jestem idiotką, Kate? - Jej głos, coraz bardziej przenikliwy, zawisł na krawędzi pisku.

Uniosłam brew, a ona zaczerwieniła się i wytrzeszczyła oczy, niebieskie i kuliste pod ciężkimi powiekami. Kiedy się jednak ponownie odezwała, jej głos opadł niemal do szeptu:

- Ty pierdolona suko! Ty pierdolona suko! Nie masz pojęcia, zielonego pojęcia, nawet sobie, kurwa, nie wyobrażasz, co ci zrobię. Choćbym musiała rozpieprzyć cały ten pierdolony bank... - Odwróciła się na pięcie i wyszła.

Stałam jeszcze przez chwilę w sali konferencyjnej, patrząc znieruchomiała, jak zamykają się za nią drzwi, aż w końcu usłyszałam ostateczne kliknięcie zamka.

- Przesłać to komunikatorem? Żartujesz sobie?
- Banner nie patrzył na mnie, kiedy to mówił. Jego kciuki tańczyły na klawiaturze BlackBerry, wysyłając jakieś e-maile.

Skrzyżowałam ręce na piersiach.

- Przecież zawsze wysyłałyśmy takie rzeczy tą drogą. Chcesz, żebym tym razem przygotowała maila?

Oderwał wzrok od telefonu i spojrzał na mnie.

- Nie - rzucił tak, jakby mówił coś oczywistego.
- Chcę, żebyś doręczyła to osobiście.

Siedziałam naprzeciwko niego przy jego biurku i czułam się jak dzieciak na dywaniku u dyrektora. Banner jako szef Działu Rynków Kapitałowych miał jeden z najbardziej luksusowych gabinetów w całym budynku, pełen ciemnobrazowych mebli i lśniących obić, zaprojektowanych tak, by wzbudzały w klientach potulność i podziw. Biurko na rzeźbionych lwich nogach zdawało się ryczeć: „WAŻNY ANTYK” albo przynajmniej: „Przekonująca imitacja”, a piękny fotel z wysokim oparciem, na którym siedziałam, mógłby połknąć mnie całą bez jednego beknięcia.

- Och - powiedziałam. - A co z Charliem?

- Z Charliem? A co miałyby być z Charliem? - Zaczął się śmiać. - Naprawdę niczego nie łapiesz, co? Słuchaj - powiedział, wciąż chichocząc. - Tu masz adres mailowy Laurence'a. Daj mu znać, że zajrzesz do jego biura i to podrzucisz. Powiedz, że wyjeżdżasz na święta i właśnie jesteś w drodze na lotnisko, i że pomyślałaś, iż doręczysz mu to osobiście.

- Ale wyjeżdżam dopiero jutro rano - zaprotestowałam słabym głosem.

- Katie, Katie... - Znów zajął się telefonem. - No, dalej, zrób, jak mówię.

Z pewnym wysiłkiem wyprostowałam się w fotelu.

- Posłuchaj - zaczęłam z zamiarem wygłoszenia jakiegoś szlachetnego protestu w stylu „nie czuję się po prostu za dobrze, pakując się w ten sposób na witrynie”, ale zaraz zdałam sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, spieranie się z Bannerem o coś takiego nie miało najmniejszego sensu. A po drugie - Boże, dopomóż - chciałam znów zobaczyć Juliana Laurence'a. - Nie chcesz najpierw sprawdzić tego folderu? - zapytałam więc zamiast tego, machając ręką w stronę wydruku na jego biurku.

Nawet nie spojrział.

- Nie, ufam ci. Słuchaj, muszę już się zbierać. Zapisłaś sobie jego e-mail?

- Tak. Jest bezpieczny w moim BlackBerry. - Uniosłam telefon, żeby mu pokazać, ale nawet się nie odwrócił.

- No to załatwione. Wesołych, kurwa, świąt. - Ode-rwał wzrok od aparatu i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Udało mi się podnieść z fotela.

- Tobie też.

Złapałam prezentację z jego biurka i wróciłam do boks, gdzie moja torba na laptopa, najeżona przegródkami z zamkami błyskawicznymi, zwisała zmęczona ze ścianki działowej. Stałam tak przez chwilę, zagryzając dolną wargę, a potem rzuciłam dokumenty na biurko

i zaczęłam przekopywać się przez torbę, szukając portfela.

Minęło trochę czasu, nim znalazłam ten świstek papieru. Zawieruszył się między moją legitymacją z Uniwersytetu Wisconsin z ostatniego roku studiów a jakąś strasznie starą kartą stałego klienta zakładu fryzjerskiego, mieszczącego się tuż obok mojego mieszkania w Madison. Wyjęłam go powoli i przez długą chwilę intensywnie się w niego wpatrywałam: serce narysowane ciemnoniebieskim atramentem, otoczone okręgiem i przekreślone przez środek jak ostrzegawczy znak drogowy.

Narysowałam je pod wpływem moich obaw i kilku margarit, wypitych podczas pożegnalnego lunchu z Michelle i Samantha, w trakcie lotu do Nowego Jorku dwa i pół roku temu. To właśnie patrząc z góry na mozaikę farm Pensylwanii, obiecałam sobie - w melodramatycznym geście, kiedyś tak dla mnie typowym - że dopóki nie ukończę trzyletniego programu dla analityków w Sterling Bates, dopóty będę unikać jakiegokolwiek uczuciowego zaangażowania. Zadbam o to, by moje życie było porządne i poukładane. I będę skupiała się na pracy. Nawet jednej randki. Nawet niezobowiązującego flirtu. Dotrzymam tego przyrzeczenia ze skrupulatnością graniczącą z obsesją.

No i co teraz? Bo nie byłam głupia. Wiedziałam, że za całą tą piękną dekoracją celów biznesowych w planie Bannera krył się wpisany flirt. I jeszcze sporo więcej.

Szybko, zanim przeanalizowałam własne zamiary, wepchnęłam świstek z powrotem do portfela i sięgnęłam po telefon, żeby napisać krótką wiadomość: „Witaj, Julia, jadę teraz w twoją stronę. Czy mogę ci po drodze zostawić prezentację dla ChemoDermi? Pozdrawiam, Kate Wilson”. Moje palce zawisły niepewnie. Czy słowa powitania nie powinny być bardziej oficjalne? Ale „Drogi Panie Laurence” brzmiało strasznie sztywno, a „Drogi Julianie” sugerowało jakąś sztuczną poufałość. Wstrzymałam oddech, wcisnęłam „wyślij” i rzuciłam telefon na biurko, jakby był tykającą bombą.

Rozejrzałam się po boksie. Pewnie powinnam zabrać stąd kilka rzeczy. Do biura wrócę przecież dopiero w poniedziałek. Sięgnęłam po torbę i zaczęłam chować do środka głównie materiały o ChemoDermi. Bądź co bądź, będą przecież inne spotkania. We wtorek lecieliśmy do Bostonu... Mój telefon zabrzczczał. Odczekałam trzy pełne sekundy, zanim wzięłam go do ręki.

Wyszedłem już z pracy. Nie jesteś może przypadkiem w Upper East? Julian.

Moje palce zatańczyły nad klawiaturą.

Owszem, jestem, przy Siedemdziesiątej Dziewiątej.

Odpowiedź nadeszła równie szybko.

Jestem przy 52 E 74. Mogłabyś ją podrzucić?

Oczywiście. Który numer?

Tylko budynek.

Cały budynek. Jego prywatny prostokąt na Manhattanie. Czemu nie? Moje palce zaczęły drżeć. To nie było dobre. To było strasznie, strasznie głupie. Nie powinnam tego robić.

OK. Będę za pół godziny.

Amiens

Ramię Juliana mocno i solidnie obejmowało mnie w pasie. Spróbowałam je strącić, ale w moim brzuchu znów nagromadziła się żółć i jedyne, na co było mnie stać, to utrzymywanie się z dala od podłogi. Poczułam perlisty pot na skroniach.

- Przepraszam - westchnęłam, odsuwając się.
 - Jest pani chora. Musi pani usiąść.
 - Nie, nic mi nie jest. Naprawdę. Jestem tylko trochę głodna
 - Gospodyni zaraz powinna przynieść tacę. Ja...
- przerwał, jakby poczuł się niezręcznie.

Stałam bezmyślnie ze wzrokiem wbitym w podłogę, trzymając w objęciach starą niebieską wazę pełną moich wymiocin - czy czegoś tam innego, bo przecież nie jadłam w ciągu ostatnich osiemnastu godzin.

- Co pan sobie teraz musi o mnie myśleć... - powiedziałam, chowając wazę za spódnicą.

Odkaszlnął.

- Myślę, że powinna pani usiąść. Proszę mi to oddać - dodał, odbierając mi naczynie. - Wyniosę to do komórki przy kuchni.

- Och, proszę, nie... - powiedziałam, ale już zniknął za drzwiami.

Chwiejnym krokiem wróciłam na sofę i opadłam na nią, chowając twarz w dłoniach. Wszystko zdawało się przeradzać w katastrofę. Gorzej, marnowałam czas, moje najcenniejsze zasoby. Myśl, Kate. Myśl.

Julian wrócił z komórki. Wyprostowałam się i spróbowałam uśmiechnąć, przezwyciężyć zażenowanie. Okazało się to łatwiejsze, niż myślałam. Poza tym teraz, kiedy już zwymiotowałam, poczułam się znacznie lepiej.

- Wkrótce pojawi się lekarz - powiedział.

- Naprawdę, to nie jest konieczne. Ja... - urwałam, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Zaraz przyjdzie gospodyni - powtórzył i założył ręce za plecy, stając sztywno na środku pokoju z czapką na głowie.

Poczułam ulgę na widok tej nerwowości, na samą myśl o tym, że wywarłam na niego jakiś wpływ, choćby niewielki. Skromnie ułożyłam ręce na kolanach.

- Bardzo dziękuję za pańską dobroć, kapitanie Ashford - powiedziałam melodyjnym głosem, przekrzywiając głowę.

Jego wzrok spoczął na krótką chwilę na mojej odsłoniętej szyi.

- Jest pan cudowny.

Zawahał się.

- Przepraszam panią, ale obawiam się, że ma pani nade mną przewagę. Czy myśmy się już spotkali?

Kąciki moich ust uniosły się w półuśmiechu.

- Spotkali? Właściwie nie.

- Mimo to zna pani moje nazwisko.

- Tak, to prawda.

Stał tak wyczekująco i zdałam sobie sprawę, że powinnam się przedstawić. Ale co miałam mu powiedzieć?

Skrzypnęły zawiasy i ktoś ciężkim krokiem wszedł do pokoju. Spojrzałam w stronę drzwi i ujrzałam przysadzistą kobietę w długiej spłowiałej sukni i fartuchu, trzymającą przed sobą podniszczoną tacę. Nie wyglądała na zadowoloną.

- *Une fille!* - złążała Juliana. Z moim skromnym francuskim ze szkoły średniej ledwie mogłam zrozumieć niektóre słowa. - Sprowadził pan... dziewczynę!

Wydawało się, że zabrakło jej słów. Z łoskotem odstawiła tacę na zniszczony stół ustawiony w kącie i spiorunowała mnie spojrzeniem.

- *Ca suffit, madame* - zaprotestował. - Jest chora, lekarz przybędzie za kilka minut. Dziękuję za herbatę.

Wyszła, mrużąc coś pod nosem i wycierając ręce o fartuch, jakby chciała pozbyć się choroby, którą pewnie z sobą przywlokłam.

- Teraz narobiłam panu problemów z gospodynią - powiedziałam. - Strasznie mi przykro.

- Nic się nie stało. Napije się pani herbaty?

- Z ogromną chęcią. Dziękuję.

Nalał mi filiżankę.

- Mleka?

- Nie, dziękuję.

- Jest pani pewna? Obawiam się, że nie ma cukru.

- Wyjął liście wprawnym ruchem i podał mi filiżankę.

- Racjonowanie i tak dalej.

- Nic nie szkodzi.

Porcelana przyłgnęła do moich zimnych palców błogim gorącym. Szybko uniosłam filiżankę do ust.

- A może chleba?

- Tak, bardzo proszę.

Odciał kromkę z bagietki i podał mi ją. Próbowałam się pohamować, jeść spokojnie, ale mdłości ustąpiły miejsca wilczemu głodowi i nie byłam w stanie go ukryć.

- I jak? - zapytał, siadając na krześle obok sofy. - Lepiej?

- Przepraszam. Zapewne chciałby pan wiedzieć, kim jestem. Pewnie myśli pan, że mogę być szpiegiem albo jeszcze gorzej - zaśmiałam się gorzko. - Gorzej! Nie wiem, co mogłoby być gorsze. Ale nie jestem szpiegiem, kapitanie Ashford. - Filiżanka drżała mi w dłoniach. - Jestem...

Rozległo się pukanie.

- Proszę! - powiedział Julian, nie odrywając wzroku od moich oczu, ja zaś spojrzałam w stronę drzwi.

- Witam, poruczniku Warwick - powiedziałam.
- Sprowadził pan lekarza?

Zatrzymał się gwałtownie, zdumiony.

- Skąd, u diabła, ona zna moje nazwisko? Kim ona jest?

- Jeszcze do tego nie doszliśmy - odparł Julian i zwrócił się do innego mężczyzny, który stanął tuż za Warwickiem i szczupłą postacią Arthura Hamiltona.

- *Vous etes le medecin?*

- *Oui. C'est la filie, la?*

- *Oui.*

Julian zaczął wyjaśniać moje objawy, a lekarz podszedł do mnie, mrużąc oczy w klinicznej trosce.

- Monsieur, to nic takiego - powiedziałam moim łamanym francuskim. - Jestem po prostu zmęczona i głodna.

- Miała pani torsje? - spytał, a przynajmniej wydawało mi się, że o to mu chodziło. Zaraz jednak wykonał krótki ruch ręką w każdej szerokości geograficznej oznaczający wymioty.

- Tak, trochę - odparłam. - To się zdarza, kiedy jestem głodna.

Posłał mi bystre, mądre spojrzenie. Spuściłam oczy, próbując wyglądać skromnie.

- Osłucham pani serce i płuca - oświadczył i ze swojej czarnej skórzanej torby - prawdziwej lekarskiej!
- wyjął stetoskop. Siedziałam w moim zagłębieniu

na podniszczonym aksamicie, próbując oddychać naturalnym rytmem. Słuchał długo i uważnie, przesuając zimny metal po moim tułowi. Obejrzał mi oczy i gardło, aż wreszcie wyprostował się, by przebić Juliana przyszywającym spojrzeniem.

- Jest na tyle zdrowa, na ile można oczekiwać - oświadczył.

- Oczekiwać? - pytał Julian z lekkim zdumieniem.

Lekarz otworzył usta.

- To z powodu głodu, prawda, monsieur? - spytałam. Odwrócił się do mnie, unosząc obie brwi.

- Tak, głodu. Ile czasu upłynęło od pani ostatniego posiłku?

- Dzień. Byłam w podróży. - Nie mogłam sobie przypomnieć francuskiego słowa oznaczającego „podróż”, więc wykonałam odpowiedni ruch palcami i lekarz kiwnął głową.

- Musi jeść - powiedział, zwracając się znów do Juliana. - I odpoczywać.

- Jasna sprawa - rzucił Geoff Warwick po angielsku, a potem spojrzał na mnie. - Gdzie są pani przyjaciele?

- Cóż - odparłam. - Obawiam się, że nie mam tutaj żadnych. Ale czuję się już całkiem dobrze. To osłabienie wywołały tylko trudy podróży i bardzo obu panom dziękuję za ich troskę. Ale zanim wyjdę, chciałabym, jeśli mogę, porozmawiać przez chwilę w cztery oczy z kaptanem Ashfordem.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

- Tak, oczywiście - odezwał się Julian. - Ale musi pani jeść... - Po czym zwrócił się do Warwicka: - Czemu nie miałbym jej zabrać do Chat na jakieś małe śniadanie? Powinni już mieć otwarte.

- Mówisz poważnie, Ashford? Ona może być kimkolwiek...

- Przepraszam bardzo - wstałam z taką godnością, na jaką mnie było stać: długa szyja, proste plecy, ramiona cofnięte. - Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby się panu narzucać. Chcę tylko zamienić kilka słów z kapitanem Ashfordem i już wychodzę.

- Warwick, jesteś dupkiem - oświadczył Julian, zrywając się w chwili, gdy tylko mój tyłek opuścił poduszkę na sofie. - Jest absolutnie dobrze wychowaną dziewczyną, co wyraźnie widać. Wojna wszystkich nas wpędziła w kłopoty i uważam, że akurat ty powinienes okazać jej trochę więcej ludzkich uczuć. A teraz idę upewnić się, że zje przyzwoite śniadanie i znajdzie przyzwoitą kwaterę.

- Doprawdy, Warwick - odezwał się Hamilton, który do tej pory stał nieśmiało z boku, przysłuchując się rozmowie. Jego twarz wyrażała ostrożność, ale również sympatię. Po jego płaszczu ciągle spływały krople deszczu. - Nie widzę powodów do żadnych podejrzeń. Ashford próbuje tylko zrobić to, co słuszne, dla tej biednej dziewczyny. - Jego akcent był sztywny, nosowy.

- A więc dobrze - spasował Warwick, zwracając się

do Juliana. - Nie zapomnij tylko, że jesteśmy umówieni z McGregorem i Collinsem o dziesiątej.

- Tak długo to nie potrwa, zapewniam cię. - Julian odwrócił się do lekarza, który wciąż tu był i wyglądał, jakby na coś czekał. Zadał mu jakieś pytanie przyciszonym głosem.

- Proszę - powiedziałam pospiesznie, sięgając po płaszcz. - Nie jestem pozbawiona środków...

Ale Julian wcisnął już coś medykowi do ręki, wziął w dłoń mój płaszcz i podprowadził mnie do drzwi. Minęliśmy Hamiltona, który z szacunkiem się cofnął, i Warwicka, który przyszpilił mnie złośliwym spojrzeniem. Odpłaciłam mu jednak pięknym za nadobne. Przez trzy lata pracowałam na Wall Street - potrafiłam posłać spojrzenie przywódcy stada.

Było jasne, że Geoffrey Warwick mnie nie polubił. Ale przecież nigdy nie pałał do mnie sympatią.

Rozdział 3

Dom Juliana nie był zupełnie taki, jakiego się spodziewałam. W bezwzględnym świecie manhattańskich nieruchomości człowiek kupował najpiękniejszą i najlepszą, na jaką było go stać, co ściśle odpowiadało hierarchii bogactwa. Legendarny inwestor z Wall Street powinien więc mieszkać na samym szczycie: być może w przestronnej, perłowobiałej rezydencji tuż przy Piątej Alei, z salą balową w centrum posiadłości. I z wejściem dla służby na dole. A może powinien posiadać jedno- albo dwupoziomowy apartament na szczycie jakiegoś wieżowca przy Park Avenue?

Ale dom Juliana nie przypominał żadnej z tych nieruchomości. Stał w połowie drogi między Madison i Park, na spokojnej uliczce obsadzonej drzewami, schowany w cieniu i anonimowy. Wyglądał dokładnie tak jak sąsiednie budynki: szeroki na dwadzieścia kilka stóp, o prostych, eleganckich neoklasycystycznych liniach.

Fasada na wpół z wapienia, na wpół z cegły, wejście o parę stopni powyżej poziomu ulicy. Na nadprożu widniał wyrzeźbiony numer 52.

Uniosłam rękę, żeby nacisnąć dzwonek, i zatrzymałam się. Wydawało mi się, że słyszę dźwięki pianina dobiegające zza ścian. Jakiś melodyjny i jakby lekko melancholijny utwór... Chopin? Przymknęłam oczy. Kiedy byłam mała, mój ojciec często puszczał Chopina na starym gramofonie, z którym za nic nie chciał się rozstać. Nie słyszałam tej muzyki od lat. Nie mogłam sobie nawet przypomnieć nazwy utworu, ale nuty wydawały się znajome jak moja dziecięca sypialnia.

Chodnikiem zbliżała się jakaś ciemna postać, szurając nogami po jego płytach. Otrząsnęłam się z zadumy i wcisnęłam guzik. Muzyka gwałtownie zamilkła.

Usłyszałam kroki, coraz głośniejsze. I gdy drzwi się otworzyły, poczułam ciepły powiew powietrza na policzkach. Chyba spodziewałam się widoku kamerdynera, ale to był Julian, niewątpliwie. I wyglądał oszałamiająco w ciemnoniebieskim golfie i jasnobrazowych sztruksach.

- Cześć - powiedziałam.
- Witaj - odparł. - Wejdz do środka.
- Och, nie ma potrzeby. Chciałam ci tylko to dać.

Wyjęłam kopie poprawionego folderu, bindowanego godzinę temu przez Davida Doyle'a.

- Dzięki - rzucił, biorąc je do ręki. - Doceniam to, że zadałaś sobie trud, żeby mi to przywieźć. - Zawahał się.

- Eee, no cóż.... Lepiej już pójdę - powiedziałam.
- Daj mi znać, gdybyś miał jakieś pytania. Będę sprawdzać maile. - Zaczęłam się odwracać.

- Poczekaj - poprosił. - Może mogłabyś wejść na chwilę? Przejrzę to od razu. - Wyzwolił swój uśmiech, co mi schlebilo. - Nie chciałbym zakłócać ci świąt jakimiś uciążliwymi mailami.

- Och, nie mam nic przeciwko temu. Taka praca.
- Spróbowałam odwzajemnić uśmiech. - Ale dobrze, mam kilka minut, jeśli chcesz, żebym poczekała.

- Jeśli to nie jest dla ciebie za duży kłopot.

- Oczywiście, że nie.

Cofnął się, wpuszczając mnie do przedpokoju.

- Och - wyszeptałam pod nosem.

Spodziewałam się zobaczyć zwyczajne, proste kawalerskie wnętrze z wyburzonymi ścianami działowymi, w rażącej oczy surowiej bieli. Ale to było coś zupełnie innego.

Przede mną rozciągał się widok na schody na końcu holu wyłożonego podnieszczoną szachownicą z marmuru. Na prawo szeroki łuk prowadził do przestronnego salonu z wysokim stropem, gdzie na kominku z białego marmuru zapraszająco płonął ogień, a po obu stronach stały dwie puszyste sofy. Ściany oświetlone porozrzucanymi lampami miały ciepły kolor starego złota, a liczne wykończenia - kremowej bieli. Wszędzie leżały książki: głównie na półkach, ale również w chaotycznych stosach na podłodze i meblach. Było przytulnie. Jak w domu.

Julian pospiesznie ruszył naprzód i zaczął zdejmować książki z jednej z sof.

- Przepraszam - powiedział, kładąc je na podłodze.
- Nie wiem, w jaki sposób tak się gromadzą. Muszą chyba być trochę królikami. Proszę, usiądź. Napijesz się czegoś? Daj, wezmę twój płaszcz.

Zdałam sobie sprawę, że był zdenerwowany, i świadomość tego uderzyła mnie jak maczuga, niemal paraliżując. Julian Laurence zdenerwowany? Przy mnie? Poczulałam jego dłonie na moich ramionach, gdy zdejmował mi płaszcz. Odłożył go na sofę.

- Nie, nie trzeba - powiedziałam. - Nie chciałam tak po prostu do ciebie wpadać. To była sugestia Bannera. Mam nadzieję, że nie zrobiłam ci problemu.

- Ani trochę. Usiądź. Jesteś pewna, że niczego nie chcesz?

- Nie, naprawdę. Mogę zostać tylko na chwilę.

Uśmiechnął się lekko i podniósł prezentację ze stolika.

- W takim razie weźmy się za to, dobrze? - zaproponował, siadając na sofie naprzeciw. Nosił stare miękkie pantofle.

W salonie zapanowała cisza, gdy pochylił się nad folderem i zaczął przerzucać strony. Zerknęłam w dół, na stos książek pod moimi nogami, i zmrużyłam oczy, próbując odczytać tytuły.

- Och, widzę, co zrobiłaś - powiedział po dłuższej chwili. - Interesujące. Rozbiłaś to na dwa scenariusze...

- Tak - przyznałam. - Założenia są w przypisach.

- Ale spójrz tylko tutaj. Jeśli obroty będą rosnać tak jak w najlepszym scenariuszu... Poczekał chwilę, przyniosę mojego laptopa. - Wstał i cicho przeszedł na tyły pokoju, gdzie odsunął drzwi, odsłaniając coś, co wyglądało jak biblioteka z kolejnymi regałami przy wszystkich ścianach.

Wyciągnęłam szyję, patrząc za nim. Podeszedł do biurka przy oknie, odłączył MacBooka od zasilania i wrócił z nim do salonu.

- Nie masz nic przeciwko temu? - spytał.

- Nie, oczywiście, że nie - odparłam.

- Próbowałem stworzyć właściwy model, chociaż zazwyczaj już tego nie robię. Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się to już takie przydatne, chyba że dla ćwiczenia, ale... pozwól tylko... - zawiesił głos i zmarszczył brwi, wpisując jakieś dane do swojego modelu.

Był tak bardzo skoncentrowany, że wreszcie poczułam, iż mogę bezpiecznie przyjrzeć się jego kanciastemu podbródkowi, eleganckiej linii nosa, pełnym łukom warg lśniącym w poświacie ekranu komputera. Policzki miał lekko zaróżowione, a niżej rumieniec ustępował, przechodząc w maleńkie punkciki zarostu. Miałam ochotę wyciągnąć rękę i ich dotknąć.

- Spójrz tu na chwilę - przywołał mnie ręką.

Wstałam powoli, niemal jak w transie, i podeszłam do drugiej sofy. Nie podniósł wzroku.

- Spójrz - wskazał na ekran. - Nie sądzisz, że to

rozsądniejsze? Proszę, usiądź. Potrzymaj na chwilę folder. Teraz, jeśli spojrzymy na rok czwarty...

Spoczęłam na poduszce obok niego, próbując zachować dystans, ale to nie miało sensu. Czułam lekkie ciepło bijące od jego ciała, czystą woń jego skóry. Słyszałam szmer jego oddechu, gdy wciągał powietrze naszej intymnej bliskości. Wciąż trzymał skierowaną w moją stronę prezentację. Wzięłam ją więc od niego, starannie zaginając poprzednie strony.

- Jedna chwila - powiedział. - Przepraszam.

I sięgnął nad moimi kolanami do szafki z lampą, stojącej tuż przy sofie. Wysunął górną szufladę i wyjął z niej długopis.

- No więc - podjął, biorąc ode mnie dokumenty i notując coś na marginesie - myślę, że powinniśmy przesunąć to założenie...

- Jesteś leworęczny - mruknęłam.

Wydawało mi się, że tylko to pomyślałam, ale musiałam powiedzieć to na głos.

- Nie, prawo... - odparł rozkojarzony, a potem przymknął oczy. - To znaczy tak, leworęczny.

Roześmiałam się.

- No to już nie wiem. Oburęczny?

- Nie, uszkodzenie nerwu jakiś czas temu. Nauczyłam się pisać lewą ręką.

- Och, przykro mi - powiedziałam, a zaraz dodałam:
- Ale czy to nie ty grałeś na pianinie, kiedy przyszedłam?

Wydawał się zaskoczony, a potem zakłopotany.

- No, proszę, a ja myślałem, że te ściany są dźwiękoszczelne. Przepraszam.

- Nie, nie! To było piękne.

- To było straszne. Ale odpowiadając na twoje pytanie, nie ma to aż takiego wpływu na moją sprawność, a przynajmniej już nie. Tylko chwytanie powoduje ból.

- Podniósł prawą dłoń, żeby mi pokazać.

- Rany! Jak to się stało?

Zamarł. Rumieniec na jego policzkach stał się intensywniejszy.

- Wypadek samochodowy.

- O, nie! - wyszeptałam.

Niemal usłyszałam przerażający zgrzyt szkła i metalu. Ledwie udało mi się powstrzymać, by nie sięgnąć po jego dłoń.

- Och, nie było aż tak strasznie - powiedział swobodnie, poruszając palcami. - W każdym razie nadal jestem w jednym kawałku.

- Powinieneś być ostrożniejszy - mruknęłam.

- Zakładasz z góry, że to była moja wina?

- A nie była? Już cię widzę jadącego nowiuteńkim porsche sto mil na godzinę po autostradzie i świętującego swój pierwszy wielki zysk.

- Hm. - Na jego twarzy pojawiło się zamyślenie.

- A co ty zrobiłaś ze swoim pierwszym zyskiem?

Roześmiałam się.

- Jestem tylko analitykiem, pamiętasz? Mój udział w puli nagród wynosi mniej więcej tyle, ile wartość drinka. Ale ostatnim razem kupiłam sobie chyba nowe buty, a resztę zostawiłam na fundusz mieszkaniowy.

- Fundusz mieszkaniowy? - Wydawał się rozbawiony.

- Moja współlokatorka chyba chce zrezygnować - powiedziałam - a ja chciałabym już sobie kupić coś własnego. W tym tempie jednak pewnie będzie to szafka w holu na Washington Heights. Właśnie dlatego chcę iść do szkoły biznesu.

- Do szkoły biznesu? Chyba żartujesz!

- Nie, mówię poważnie. Dlaczego miałabym żartować?

- Bo jesteś na to za dobra. No, daj spokój, chyba nie chcesz być bankierem inwestycyjnym przez całe życie, prawda?

- A czemu nie?

- To niewłaściwe pytanie. Nie „czemu nie”, tylko raczej „czemu”. Po co marnować sobie życie w towarzystwie takich ludzi jak ten kretyn Banner?

Wyglądał na autentycznie przejętego. Spuściłam wzrok i przesunęłam palcami po krawędzi prezentacji.

- Posłuchaj. Jestem z Wisconsin. To zwykłe drobno-mieszczkańskie środowisko. Wyjechałam, żeby stać się kimś, i Wall Street wydawało mi się oczywistym miejscem, żeby zacząć. To tu się wszystko działo.

- Z Wisconsin - powiedział. - Nigdy bym się nie domyślił.

- Cóż, nie wszyscy mówimy tak, jakbyśmy właśnie zeszli z planu „Fargo”.

- Nie o to mi chodziło. Ja... - zamilkł. - Tak czy inaczej, nigdy nie chodziłem do szkoły biznesu i jakoś mi to nie zaszkodziło.

- Tak, ale ty jesteś... - machnęłam ręką, wskazując na niego.

Gdzieś za nami zadzwonił telefon. Pewnie w bibliotece.

- Jaki jestem? - nalegał.

- Nie chcesz odebrać?

- To może poczekać. Odpowiesz mi na pytanie?

- Nie mogę odpowiedzieć, kiedy w uszach dzwoni mi telefon. Odbierzesz, proszę?

Westchnął i wstał. Gdy jego kroki ucichły za oparciem sofy, zaczerpnęłam głęboko powietrza. Raczej już długo tego nie wytrzymam. Wszystkie moje szlachetne zasady gdzieś wyparowały dokładnie wtedy, gdy najbardziej ich potrzebowałam, gdy ładowałam się dokładnie w taką sytuację, jakiej chciałam uniknąć. Julian Lawrence - piękny, błyskotliwy lwi Julian - mógł mnie zjeść na śniadanie. Mógł połknąć w całości moje serce i gdzieś z nim zniknąć na zawsze. Nie sądziłam, bym miała na tyle siły woli, aby go powstrzymać.

Sygnał telefonu zamilkł i za moimi plecami rozległ się jego cichy, melodyjny szept. Wstałam z sofy i podeszłam do jednego z regałów stojących przy kominku. Ogień był

niewielki, ale zwarty i niesamowicie gorący Syczał i dyskretnie trząsał na kupce popiołu. Przesunęłam palcami po grzbietach książek. Bogata kolekcja, pomyślałam i uśmiechnęłam się. Pełen wachlarz od Deana Koontza przez Winstona Churchilla aż po Wergiliusza w oryginale. Nie ma to jak edukacja w brytyjskiej szkole z internatem.

Tak naprawdę to nie było tu pokoju bez nich. Za to żadnych obrazów, bibelotów, rozgardiaszu. Nic tak naprawdę osobistego. Jeśli nie uważa się doboru książek za sprawę najbardziej intymną.

- Widzę, że sobie wieszysz - usłyszałam głos Juliana tak blisko, że aż podskoczyłam.

- Rany! Właśnie zabrałeś mi rok życia. - Wskazałam głową na półki. - Naprawdę czytasz po łacinie?

- Niezbyt przydatna umiejętność w dzisiejszych czasach, prawda?

- Nie wszystko musi być przydatne. Zakładam, że nauczyłeś się tego w szkole.

- Tak. Staromodna edukacja.

Czyżbym usłyszała nutkę napięcia w jego głosie? Odwróciłam się i przyjrzałam mu się dokładniej. Jego twarz się zmieniła. Była teraz jakby przyćmiona, jakby poszedł i wyłączył wszystkie niepotrzebne światła.

- Coś się stało? - spytałam. - To znaczy ten telefon...

- Nie, nie. Zupełnie nic. - Skrzyżował ręce na pierśsiach i uśmiechnął się w nieco wymuszony sposób. - Muszę tylko jutro lecieć do Bostonu, to wszystko.

- W Wigilię?

- Pechowo, wiem.

- Czy ty... - przełknęłam ślinę - ...nigdzie się nie wybierasz na święta?

Wzruszył ramionami.

- Geoff co roku zaprasza mnie na świąteczną kolację.

I oczywiście na mszę.

- A twoja rodzina? Nie masz...

- ...krewnych? - dokończył za mnie. - Nie przejmuj się. Już to przebolełam, jak to się mówi. Widzisz coś, co lubisz? - Pokazał głową ku górze, a ja podążyłam za jego spojrzeniem.

- O, rany - powiedziałam. - Patrick O'Brian. To pierwsze wydania?

- Dogadzam sobie. - W jego głosie słychać było zakłopotanie.

- Uwielbiam O'Briana. Ogólnie powieści historyczne. Przyjaciele zawsze czepiali się mnie o to w college'u. Wszyscy czytali babską literaturę. „Wyznania zakupoholiczki”, tego typu rzeczy. Michelle uważa, że urodziłam się w złym stuleciu. - Zaśmiałam się sztywno.

Milczał. Gdy się odwróciłam, wyglądał dziwnie, jakby był zatroskany. Jego maleńkie zmarszczki wokół oczu pogłębiły się, a usta zacisnęły w nieustępliwą linię. Zastanawiałam się, co powiedzieć, ale odezwał się pierwszy:

- Naprawdę? - spytał z dziwnym napięciem w głosie.

- Co „naprawdę”?

- Myślisz, że urodziłaś się w niewłaściwym stuleciu?
Roześmiałam się.

- No cóż, chyba nie dosłownie. Ale faktycznie czasami chciałabym... - urwałam.

- Czego byś chciała?

- Cóż, nic nie jest już walką na śmierć i życie, prawda? Era honoru i poświęceń przeminęła.

Znów spojrzałam na powieści O'Briana ustawione na półce. Jack Aubrey jest pełen ludzkich słabości, podobnie zresztą jak Maturin, ale mają swoje zasady i oddaliby za nie życie. Albo za siebie nawzajem.

- Teraz chodzi tylko o pieniądze, status i sławę. Fakt, ludziom zawsze na tym zależało, ale kiedyś uważano to za naganne, prawda? - Wzruszyłam ramionami. - Tak jakby nikt nie chciał zadać sobie trudu, żeby dorosnąć. Chcemy przez całe życie być dziećmi. Zbierać zabawki i się bawić.

- No i jakie jest na to lekarstwo?

- Nie ma lekarstwa. Jesteśmy tym, kim jesteśmy, prawda? Życie idzie naprzód. Nie da się do tego wrócić.

- Tak - powiedział. - Pewnie tak. No i proszę, mimo to idziesz do szkoły biznesu.

- No i proszę, a ty prowadzisz fundusz hedgingowy. Uśmiechnął się na te słowa.

- A co byś proponowała, bym mógł odzyskać moją duszę?

- Nie wiem. Na pewno nie jedną z tych fundacji filantropijnych dla mięczaków. Coś bardziej interesującego. Coś, w czym byłoby więcej mięsa. Może znajdź załogę na własny okręt kaperski i ścigaj tych wszystkich somalijskich piratów?

Zaczął się śmiać. Głęboko, swobodnie.

- Jesteś nieoceniona. A gdzie miałbym znaleźć załogę na tyle lekkomyślną, żeby popłynęła ze mną?

- Ja bym to zrobiła w jednej chwili - powiedziałam bez namysłu.

Króciuteńka przerwa, a potem:

- Naprawdę byś to zrobiła?

Jesteś genialna, Kate. Odchrząknęłam i spojrzałam z powrotem na regał.

- Cóż, tyle że muszę zarabiać na życie i w ogóle.

- Ach! No to może lepiej wróćmy do pracy?

Zerknęłam na zegarek. Obie połowy mojego mózgu stoczyły krótką walkę. Jedna desperacko pragnęła zostać tutaj całą noc, cały tydzień, a nawet całe życie; druga pragnęła natychmiast uciekać, ogarnięta śmiertelnym przerażeniem.

- Przepraszam - powiedziałam - ale już i tak zostałam za długo. Jutro rano mam wczesny lot z LaGuardia i, szczerze mówiąc, niewiele spałam przez ostatnich kilka dni.

Nie mogłam się zmusić, by spojrzeć mu w oczy, ale czułam, że wnikliwie mi się przygląda.

- Ale ze mnie głupiec - rzucił w końcu. - Oczywiście, jesteś przemęczona.

- Trochę.

- To pewnie moja wina. Bo domagałem się tych wszystkich poprawek. - Przeczesał dłonią złote włosy.
- Przepraszam cię. Idź do domu i się wyśpij. Przejrzę to przez święta i porozmawiamy, kiedy wrócisz do miasta.

- Dzięki.

- Przyniosę ci płaszcz - powiedział, podchodząc do sofy i zdejmując go z oparcia. Podał mi go. - Proszę.

Pozwoliłam, by pomógł mi się ubrać - nowe doświadczenie - a potem chwyciłam torbę od mojego laptopa i sztywno ruszyłam w stronę holu.

- Posłuchaj - usłyszałam jego głos.

Natychmiast się odwróciłam i niemal zatopiłam nos w jego swetrze.

- Przepraszam - mruknęłam.

- Przepraszam - powiedział w tej samej chwili.

Uśmiechnęliśmy się niezręcznie, odsuwając się od siebie.

- Posłuchaj, ja... Czy nie miałabyś nic przeciwko temu... - Przymknął oczy, a potem znów je otworzył z lekkim grymasem ust. - Chyba próbuję cię zapytać, czy mógłbym się jeszcze z tobą zobaczyć po świętach.

- Eee... jasne. - Wsunęłam włosy za ucho i wpatrywałam się w ścianę nad jego ramieniem. - Masz mój e-mail, prawda?

- Tak. Ja... - urwał. - Mogłabyś na mnie spojrzeć?

- O co chodzi? - spytałam, z trudem podnosząc wzrok, by popatrzeć mu w oczy.

- Boże! - wydało mi się, że słyszę jego szept, a potem już wyraźniej: - Po prostu chcę, żeby było jasne, że to nie ma nic wspólnego z ChemoDerma ani tymi bzdurami.

- Posłuchaj. Przestań obrażać mojego klienta, jeśli chcesz mnie jeszcze zobaczyć. - Nieźle, Wilson. Jak się na to zdobyłaś?

Znów się uśmiechnął, tym razem wyraźniej.

- ChemoDerma to wspinała firma. Wprost nie mogę przestać o niej myśleć. Dziś w nocy włożę sobie tę uroczą małą prezentację pod poduszkę.

- Tak już lepiej.

Wyciągnął zagięty palec w przestrzeń pomiędzy nami. Na chwilę zawisł w powietrzu, a potem lekko musnął linię mojego podbródka.

- Bezpiecznego lotu jutro - powiedział.

- Tobie też.

A potem jakimś cudem znalazłam w sobie dość siły, żeby się odwrócić i wyjść.

Rozdział 4

(przez e-mail)

Julian: Kate, jestem na LaGuardia, właśnie wchodzę na pokład. Prezentacja schowana w moim płaszczu, ciepło i bezpiecznie. Będę czytać w czasie lotu. Julian.

Ja: Co? Nie lecisz prywatnym odrzutowcem? Co z ciebie za miliarder? Kate.

Julian: Najwyraźniej przynoszę im ujmę. Geoff dał mi w zeszłym roku na święta udział w Netjets, ale wciąż zapominam, by z tego skorzystać.

Ja: Jak można zapomnieć skorzystać z własnego odrzutowca?

Julian: Udziałowcy przede wszystkim. Gdzie teraz jesteś?

Ja: W taksówce, utknęłam na Triborough. Odlot za godzinę. Zaczynam się denerwować.

Julian: Jeśli nie zdążysz na samolot, zadzwonię dla ciebie do Netjets.

Ja: W domu otwieraliby szeroko oczy ze zdziwienia. Oto Kate wraca na święta gulfstreamem. Ile jednostek emisji dwutlenku węgla musiałabym za to wykupić?

Julian: Trzymaj się tej myśli. Muszę teraz wyłączyć telefon.

Ja (później): Gdzie siedzisz?

Julian: 8C.

Ja: Hm. Facet przy przejściu.

Julian: A ty?

Ja: Przy oknie. 12A. W porządku, zbliżamy się do lotniska. Na razie.

Julian: Zdążyłaś na swój lot?

Ja: Ledwo, ledwo. Poczekaj, wywołują go.

Julian: Zaczynamy schodzić do lądowania. Boston jest brązowy i nieświęteczny.

Ja (później): Już siedzę wygodnie. A więc nocujesz w Bostonie?

Julian: Nie. Wracam do NJ po spotkaniu.

Ja: I co będziesz robił?

Julian: Kieliszek wina, dobra książka. Zgłębianie tajemnic tej twojej cudownej firmy. A ty?

Ja: Rodzina krzątania. Kolacja, ajerkoniak, kolędy. Spędzasz sam Wigilię? Nie miałeś być na kolacji z Geoffem?

Julian: Dopiero jutro. Nie martw się, nic mi nie jest. Całkiem do tego przywykłem. Ale możesz się odezwać, jeśli chcesz.

Ja: Wyślę ci tyle świątecznej radości, że zakręci ci się w głowie. Jaki jest Geoff?

Julian: Dobry gość, dość nudna żona, dwoje rozwrzeszczanych dzieci.

Ja: Jak to nudna?

Julian: Normalnie. Mieszka w Greenwich. Robi mnóstwo zakupów. W styczniu Aspen, w sierpniu Nantucket. Bliźniaki mają trzy nianie.

Ja: O rany! Ups, kołujemy. Złe spojrzenia od stewardesy. Na razie.

Julian: Ciężkie lądowanie. W drodze do taksówki.

Ja: To gdzie jest to twoje spotkanie?

Julian: Harvard.

Ja: Kapitał żelazny? Ile ci to zajmie?

Julian: Nie wiem. Dam ci znać, kiedy wyjdę. Nie chcę stracić ani chwili tej twojej świątecznej radości.

Ja: Wciąż masz tę prezentację?

Julian: Tuż przy sercu.

Ja: Przestań. Wystarczyło, gdy powiedziałeś tylko cześć.

Julian: A więc jest nadzieja. Jestem prawie na miejscu. Myślę o tobie.

Ja (później): Bezpiecznie wylądowałam. Jestem w samochodzie z mamą i tatą. Leży tu z metr śniegu. Też o tobie myślę.

Julian (znacznie później): Właśnie wyszedłem ze spotkania. Cieszę się, że bezpiecznie dojechałaś.

Ja: Wow. Długo było. Którym lotem wracasz?

Julian: 20.00.

Ja: Może zobaczysz sanie wielkiego gościa;-) Według strony NORAD jest teraz nad Atlantykiem.

Julian: Będę miał oczy otwarte. Wesołych świąt, Kate.

Ja: Wesołych świąt. Szkoda, że nie widzisz tego świątecznego nastroju. Mama zawsze trochę przesadza. Podwórko przed domem to prawdziwa żenada.

Ja (później): Odzywam się, tak jak obiecałam. Tutaj mnóstwo uciechy. Tata chyba przesadził z brandy w ajerkoniaku. Jego kuzyn Pete próbuje zaciągnąć mamę pod jemiołę. A jak u ciebie?

Julian: Jestem wykończony. Idę do łóżka.

Ja: No to dobranoc. Na pewno wszystko w porządku?

Julian: W najlepszym. Dobranoc. Trzymaj się z dala od kuzyna Pete'a.

Ja (następnego dnia): Julian, chciałam ci po prostu życzyć wesołych świąt. Kate.

Julian: Ja tobie też. Wychodzę do Geoffa.

Ja: Baw się dobrze.

Julian (niedziela po południu): Droga Kate, mam nadzieję, że miło spędziłaś święta i że nie czekało na ciebie pod choinką zbyt wiele strasznych prezentów z włóczki. Przez ostatnich kilka dni myślałem o tym i uważam, że będzie o wiele rozsądniej wstrzymać się z jakimkolwiek osobistym kontaktem aż do publicznej oferty sprzedaży ChemoDermy. To nie ma absolutnie nic wspólnego z tobą, przysięgam na mój honor. Nie chcę tylko dopuścić, żeby na moim progu zaczęły się zbierać sterty jakichś cholernych pism z Komisji Papierów Wartościowych. Mam nadzieję, że to zrozumiesz. I naturalnie nie powinnaś się przez ten czas uważać za w jakikolwiek sposób związaną. Pragnąłbym jednak dodać, że gdybyś z jakiegokolwiek powodu mnie potrzebowała, wystarczy, że zadzwonisz. O każdej porze. Będę się zawsze modlił za twoje bezpieczeństwo i szczęście. Oddany tobie, Julian.

Ja (później): Julianie, właściwie myślałam podobnie. Dzięki, że mnie uprzedzasz. Świetnie to wyraziłeś. Uważaj na siebie. Kate.

Rozdział 5

maj 2008

Postanowiłam pójść wcześniej do domu i trochę pobiegać w Central Parku. Oczywiście tutaj wcześniejsze wyjście oznaczało mniej więcej ósmą, ale długie godziny pracy zupełnie mi nie przeszkadzały w Sterling Bates. Nadmiar obowiązków mi służył.

- Hej, Kate! Masz chwilę na kawę? - Ten głos, jasny i radosny jak pieprzony promyk słońca, należał do Alicii, która pochyliła się nad ścianą mojego boksu, uśmiechając się do mnie tymi swoimi małymi ustami w wielkiej okrągłej twarzy. Zapuszczała właśnie włosy, które zwiślały teraz apatycznie w swoim stadium przejściowym, pasującym jej jeszcze mniej niż chłopięca fryzura.

- Tak właściwie to chciałam dziś wieczorem pobiegać - powiedziałam, starając się, by mój głos brzmiał równie radośnie jak jej.

W Sterling Bates przez całą zimę wrzało od plotek i każdy obserwował mnie z zapartym tchem, oczekując mojego nieuniknionego załamania. Według Charliego ludzie byli przekonani, że na polecenie Bannera spędziłam jedną noc z Julianem Laurence'em, a następnego dnia rano zostałam wyrzucona na ulicę jak dziwka, a on nigdy potem się już do mnie nie odezwał. W ciągu kolejnych miesięcy w tej historii pojawiły się różne ozdobniki: podobno na początku lutego dokonałam aborcji, a opłatę wpisałam do mojego arkusza kosztów. Ale podstawowy motyw się nie zmienił, a moją jedyną bronią przeciw tym plotkom był nieustępliwy dobry humor. Zwłaszcza w obecności Alicii. To była najtrudniejsza rzecz w moim dotychczasowym życiu.

- Napij się najpierw kawy - nalegała. - Rozkręcisz się.
Odsłoniłam zęby w uśmiechu.

- Pewnie. Czemu nie.

Tydzień po świętach dostałam e-mail od Alicii, w którym przeproszała za swoje zachowanie i pytała, czy mogłybyśmy zacząć od nowa. Co najdziwniejsze, wiele wskazywało na to, że naprawdę tego chciała. Wzięła mnie pod swoje skrzydła, kupowała mi kawę, wlokła na lunch, a nawet wyciągnęła na spotkanie z jej wiedźmowatymi przyjaciółkami. Wychodziłam z nią, bo dzięki temu mój mózg nie mógł ciągle powracać do tego, czym stale się zajmował, co stało się jego nawykiem. Niemal zaczęłam ją lubić.

Wizyta w Starbucksie oznaczała zrobienie jakichś dziesięciu kroków na zewnątrz od obrotowych drzwi Sterling Bates do witryny tuż obok. W to konkretne popołudnie łatwo było je wykonać. Powietrze wciąż jeszcze było ciepłe, bo słońce dopiero co zaczęło znikać za wieżami na zachodzie. Z wdzięcznością wciągnęłam je do płuc. W moich mięśniach pulsowała potrzeba biegu. Wiosenna gorączka.

- No więc Banner rozmawiał z tobą o tej gali w Muzeum Sztuki Współczesnej jutro wieczorem? - spytała Alicia, upijając łyk latte.

- Ostatnio Banner za dużo ze mną nie rozmawia.

- O tak. - Wykrzywiła usta. - Cóż, zagadnęłam go o to dziś po południu i zgodziliśmy się, że powinnaś pójść.

Wsunęłam do ust słomkę i pociągnęłam trochę mojego frappuccino, nim odpowiedziałam:

- Hm. A dokładniej co to takiego?

- Tylko zbiórka pieniędzy na rzecz jakiejś wielkiej organizacji charytatywnej. Dział Rynków Kapitałowych zawsze wykupuje stolik, a Banner ma prawdziwy ubaw, wskazując osobę, która powinna tam pójść.

Przez chwilę milczałam. Jeśli mnie pamięć nie myliła, ubiegłoroczna gala była jedyną okazją do pojawienia się Juliana Laurence'a na plotkarskich kolumnach.

- Nie jestem pewna, czy mam się w co ubrać - powiedziałam, ostrożnie cedząc słowa.

- Doskonale. Pójdziemy na zakupy. Jutro możesz się urwać po lunchu. W tej chwili i tak nie ma dużo roboty.

- Cóż...

- Och, no, dalej! To będzie świetny ubaw. Dobrze ci zrobi. To dlatego przekonałam Bannera, żeby cię wpisał na listę.

- Nie, nie. - Wysiliłam się na kolejny fałszywy uśmiech. - Nie stroiłam się od oficjalnej imprezy Sigma Nu na pierwszym roku.

Wzdrygnęła się.

- Faj! Zdecydowanie idziemy na zakupy!

- Kto jeszcze będzie? - spytałam jakby od niechcienia.

- Cóż, Banner oczywiście, ja, dwóch wiceprezesów, ty, no i kilku klientów.

- Powinnaś zaprosić Charliego. Ciężko pracował. Zasługuje na takie wyjście.

Przekrzywiła głowę i uniosła latte do ust.

- Tak - powiedziała z namysłem. - Masz rację. Możesz go mieć w odwodzie.

- Po co mi jakiś odwód?

- No, daj spokój, Kate. Na takich imprezach aż roi się od bogatych facetów. - Mrugnęła do mnie. - Będziesz miała świetną okazję, żeby dać się przelecieć.

Piękna pogoda skusiła dziś wieczorem wszystkich biegaczy, tych regularnych i tych niedzielnych, ale

większość zaczęła wcześniej i teraz znikali jeden po drugim, gdy niebo przybrało fioletowy kolor, a horyzont otulił zmrok. Alicia miała rację; kawa mnie nakręciła. Bez wysiłku wbiegłam na wzgórze i wybrałam swobodne tempo, czerpiąc przyjemność z rytmu stóp uderzających o chodnik oraz poczucia wdzięczności, jakie ogarnęło mnie mniej więcej po pół mili, głębokie i medytacyjne.

Oczywiście medytacja stanowiła dla mnie w ostatnich miesiącach niebezpieczeństwo, bo nieuchronnie prowadziła do myśli o Julianie i kosztowało mnie sporo wysiłku, żeby zmusić mózg, by zajął się czymś innym, na przykład kombinowaniem, jak zapłacę za szkołę biznesu następnej jesieni albo na jak długo starczą mi oszczędności przy różnym tempie spalania gotówki. Miłe, ładne łamigłówki do rozwiązywania.

Wytrwałam dłużej niż zwykle. Pobiegłam na północ, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, i zajrzałam w najdalsze zakątki parku, by w końcu równym tempem zacząć wspinać się w kierunku Dziewięćdziesiątej Szóstej, nim moje myśli zaczęły wymykać się spod kontroli i błądzić. Desperacko próbowałam je powstrzymać, ale to nie miało sensu. Przedemną zaczęła majaczyć twarz Juliana. Niemożliwie przystojna, z błyszczącymi oczami i wyrazistym uśmiechem. Myślałam o naszej wymianie e-maili w Wigilię, tak czułej i zabawnej, która raptem zakończyła się takim chłodem. To ostatnie „Droga Kate” z jakąś dziwną formułką na końcu, jakby

przekopiował ją z jednego z tych staromodnych poradników pisania listów... Zupełnie jakby mogło mi przyjść do głowy, żeby do niego zadzwonić i poprosić o pomoc: „Cześć, Julian. Tu Kate. Możesz napisać mi referencje na mój letni staż? Wielkie dzięki!”.

W pewnym sensie byłoby mi łatwiej, gdyby jednak do czegoś doszło, gdyby między nami wydarzyło się cokolwiek oprócz kilku słów, intensywnych spojrzeń, poczucia rodzącego się porozumienia. Wtedy mogłabym przynajmniej być na niego zła. Mogłabym z pełnym przekonaniem pławić się w swojej goryczy, zaszufladkować go jako sukinsyna bez serca, wbić kilka rzutek w jego zdjęcie i pójść dalej. To, że nie miałam kogo obwiniać, było nieskończenie trudniejsze. Zachował się bez zarzutu, naprawdę. Po tym eleganckim pożegnaniu nie próbował się znów ze mną skontaktować, nawet gdy interes z ChemoDerma rozpadł się w lutym na kawałki. To było upokarzające, oczywiście, ale lepsze niż męczarnia przeciągana sporadycznymi nieosobistymi kontaktami. Wszelka komunikacja między obiema firmami przechodziła przez Geoffa Warwicka i Bannera.

Kilka dni temu słyszałam plotkę, że Southfield zwija swoje ostatnie pozycje, wypłaca gotówkę, a nawet się likwiduje. Tego typu pogłoski biegały ostatnio po Wall Street jak przerażone króliki - słabe drżenie rynku zbliżającego się do punktu zwrotnego, jeśli w ogóle słuchoło się takich szeptów. Rynek nieruchomości, papiery

wartościowe zabezpieczone hipoteką, odpisy aktualizujące, wskaźniki kapitałowe banku - to nie były sprawy, o których naprawdę chciało się myśleć, ale majaczyły gdzieś w tle i trudno je było całkiem zignorować.

Wspięłam się na wzgórze i zaczęłam zbiegać przez ukryty w cieniu lasek. W okolicach Metropolitan Museum ruchliwy tłum biegaczy przerzedził się i niemal znikł. Towarzyszyło mi tylko wrażenie ruchu za sobą - czyjeś stopy uderzające o asfalt tak jak moje, ciężki równomierny oddech od wysiłku pokonania wzniesienia. Obok mnie przemknął rower, potem drugi. Przez drzewa po mojej lewej stronie coraz wyraźniej widziałam poprzeczną ścieżkę. Pośród gałęzi mignęła mi sylwetka jakiegoś mężczyzny, biegnącego z całych sił w stronę połączenia z West Drive. Był wysoki i szczupły, i aż biła od niego wojowniczość. Na Manhattanie było ich zatrzęsienie: agresywne zwierzęta wyładowujące na parkowych ścieżkach swoją frustrację w improwizowanych starciach z rywalami, które mogły się ciągnąć przez pięćdziesiąt jardów, ale też pięć mil. Zwolniłam, nie mając w tej chwili ochoty na żadne nowe wyzwania, lecz zaraz zmieniłam zdanie i przyspieszyłam. Byłam w dobrej formie, mogłam dać radę. Zresztą takie wyzwanie się mogło mi nawet wyjść na dobre: przycisnąć trochę za mocno, przełamać barierę.

Dotarł do zbiegu ścieżek tuż przede mną, ale zamiast zbiec na lewo, ostro skręcił w prawo. Jego ciężka ręka

walnęła mnie w ramię, przewracając na chodnik. Nawet nie zwolnił, żeby zobaczyć, czy nic mi się nie stało.

- Uważaj, palancie! - wrzasnęłam za nim bez namysłu.

Czułam już ból narastający w kończynach. Zdecydowanie będę potrzebowała plastrów. Cholera! I wtedy aż zatrzęśłam się z wściekłości.

- Mówiłam: uważaj, palancie! - wrzasnęłam jeszcze raz, czując adrenalinę we krwi.

W następnej sekundzie się odwrócił.

- Co jest, kurwa, suko?! - wrzasnął. - Co jest, kurwa?!

- Przewróciłeś mnie!

- Wpierdoliłeś mi się w drogę!

- Dupek - mruknęłam, zbierając się z chodnika.

Natarł na mnie.

Zorientowałam się na chwilę przed ciosem. Zamknęłam oczy i zwinęłam się w kłębek, żeby oszczędzić miękkie podbrzusze. To będzie bolało. Nie obejdzie się bez karetki. Głupia, głupia Kate. Przepraszam, mamó.

Ale cios minął mnie. Zatoczyłam się do tyłu, zdumiona, że wciąż jeszcze stoję, i otworzyłam oczy.

Na chodniku przede mną tarzało się dwóch mężczyzn. Ten biegacz, który cały czas był za mną. A może jakiś przejeżdżający rowerzysta. Jakiś cholerny bohater.

W końcu znieruchomieli. Teraz jeden siadł na drugim okrakiem, zasypując go ciosami jak maszyna, szybko i fachowo. Coś ciemnego przysło mi na nogę.

- O mój Boże! - wydusiłam z siebie. - Przestań!
Niech mi ktoś pomoże!

Nikt się nie zjawił. Obok przemknął jakiś rowerzysta. Może nie widział nas pośród cieni, a może pomyślał, że jesteśmy jakąś grupką pijanych nastolatków. Albo zwyczajnie go to nie obchodziło.

- Przestań! - wrzasnęłam jeszcze raz, głośniej, rozpaczliwie. - Przestań! Zabijesz go!

Mężczyzna, który był na górze, nagle odskoczył, ocierając prawą rękę o szorty. Ten na dole leżał bez ruchu.

- O cholera - wyszeptałam.

Zwycięzca odwrócił się do mnie.

- Nic ci nie jest? - zapytał z przejęciem, wyciągając w moją stronę ramiona.

W zapadającym zmroku nie byłam w stanie dostrzec jego twarzy, ale poznałam głos.

- O mój Boże - powiedziałam. - Julian?

- Jezu! Kate! - Jego dłonie przesuwwały się po moich rękach i nogach, szukając zranień. - Boli cię coś?

- Wszystko mnie boli - mruknęłam, a wtedy mój nos walnął w jego obojczyk, a jego ramiona oplotły mnie mocno niczym stal.

Nic nie mówiliśmy, po prostu oddychaliśmy tuż obok siebie, aż nagle delikatnie odsunął mnie od siebie.

- Ty drżysz. Jesteś w szoku.

- Nic mi nie jest.

- Nie... Potrzebujesz koca... Cholera! - Przeczesał dłońią włosy.

- Nie martw się, wszystko w porządku. Co... co ty tu robisz?

- Biegałem - rzucił ponuro.

Mężczyzna na ziemi jęknął.

- Chodźmy już - powiedział Julian.

- Mamy go tak zostawić?

- Nic mu nie jest. Dupek. - Słowo to zabrzmiało wyjątkowo ostro z jego eleganckim brytyjskim akcentem.

- A co jeśli, no nie wiem... umrze?

- Nie umrze, Kate, zapewniam cię.

Spojrzał mi w oczy i ciężko wciągnął powietrze.

- No dobrze, zadzwonię na 911 i zostawię wiadomość.

- Musimy poczekać. Nie możemy tak po prostu odejść. To jakby... miejsce... przestępstwa... czy coś w tym stylu.

Położył dłonie zaciśnięte w pięści na biodrach. Wyczuwałam tylko, że zmarszczył brwi, bo nie byłam tego w stanie dojrzeć w półmroku. Popatrzył na mężczyznę leżącego na chodniku, a potem się odwrócił i obrzucił mnie długim milczącym spojrzeniem.

- Niech będzie. Ale zrobi się bałagan. Będziesz musiała złożyć oświadczenie, być może stawić się w sądzie. Pewnie mnie pozwie, jak tylko się dowie, kim jestem.

- Przykro mi.

- Nie martw się. To nie twoja wina. Stać mnie na prawnika, na Boga. - Wyciągnął telefon z kieszeni szortów i zaczął wciskać klawisze. - Tak czy inaczej, przypuszczam, że to, co robimy, jest słuszne - mruknął. - Tyle że on na to nie zasługuje.

Czułam teraz, jak moje mięśnie zaczynają drżeć, łamiąc moje postanowienie, żeby zachować spokój. Objęłam się ramionami. Julian rozmawiał przez telefon szybko i spokojnie, patrząc na leżącego mężczyznę, ale wychwycił mój ruch kątem oka i szybko na mnie spojrział. Wyciągnął lewą rękę i przyciągnął mnie do siebie.

- Wygląda na to, że nic jej nie jest - mówił - ale zaczyna chyba mieć objawy szoku. Próbuję ją ogrzać. Tak. Dobrze. Dwie minuty. Bardzo dziękuję.

Wsunął telefon z powrotem do kieszeni szortów i objął mnie drugim ramieniem.

- Za chwilę tu będą. Spróbuj oddychać spokojnie.

- Naprawdę, nic mi nie jest - upierałam się, tłumiąc szloch.

Nigdy nie miałam napadów hysterii i nie zamierzałam dostać go teraz, gdy Julian Laurence trzymał mnie w ramionach. Jego gruby szary T-shirt, lekko wilgotny od potu, dotykał miękko mojej twarzy. Od jego piersi biło cudowne ciepło.

- To jak to się stało, że akurat teraz tutaj biegałeś?
- zapytałam.

- Cholerne szczęście, jak przypuszczam - odparł.

Zastanawiałam się nad tym przez kilka sekund, a potem coś mi przyszło do głowy.

- A gdzie się nauczyłeś tak bić?

- Hm. Na uniwersytecie.

- W angielskich college'ach uczą boksu?

- Słodka wiedza. Lepiej ci? - Jego ramiona zaczęły się rozluźniać.

- Tak, trochę. A co, jeśli dojdzie do siebie?

- Nie martw się - powiedział ponuro, więc zamilkłam. Zaczynałam już słyszeć syrenę.

- To chyba nie jest właściwy moment na... - zaczęłam.

- Szsz! - uspokoił mnie, przesuwając dłońmi po moich plecach. Wycie syreny przybierało na sile. - Porozmawiamy później.

Funkcjonariusze szybko ocenili sytuację: moje zardrapania i siniaki, jęczącą postać na chodniku, nasze proste wyjaśnienia, kostki palców Juliana - i nie robili nam wielkich problemów. Spisali tylko nasze oświadczenia, nazwiska i adresy (nowojorska policja jest dość bystra; potrafi odróżnić tych dobrych od tych złych), mimo to gdy wróciłam do siebie, było już późno. Jeden z policjantów podwiózł nas radiowozem na East Side. Miałam wysiąść pierwsza.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytał Julian, gdy położyłam dłoń na klamce drzwi.

- Nic, czego by nie mógł wyleczyć neosporin - zapewniłam. - Mmm... Tak w ogóle to dzięki. Nigdy wcześniej nikt mnie nie ratował.

- Mógłbym żyć bez tego.

- Oczywiście. - Zawahałam się. Kiepski dowcip.

- Przepraszam za kłopot. To znaczy, naprawdę przepraszam.

Jego głos złagodniał.

- Nie o to mi chodziło - wyjaśnił. - Uważaj na siebie.

Tylko tyle? Uważaj na siebie?

- Ty też - odparłam i wysiadłam z radiowozu.

Popędził Siedemdziesiątą Dziewiątą i skręcił w prawo, na Lexington, by pokonać jedenaście przecznic dzielących go od domu Juliana.

Telefon. Dzwoni telefon. Po omacku przeszukałam stolik przy łóżku i znalazłam mojego BlackBerry. Wcisnęłam zielony guzik.

- Halo?

Dzwoniło dalej. To musiał być stacjonarny.

Wytoczyłam się z łóżka i mrużąc oczy, zerknęłam na zegar. Szósta trzydzieści. Kto to, u diabła, mógł być? I gdzie był ten cholerny telefon? Gdzieś w dużym pokoju zapewne. Prawie nigdy go nie używałyśmy.

W końcu go znalazłam.

- Halo? - mruknęłam.

- Czy to Katherine Wilson?

- Przy telefonie.

- Mówi Amy Martinez z „New York Post”. Jak rozumiem, wczoraj wieczorem brała pani udział w incydencie w Central Parku razem z Julianem Laurence'em z Southfield Associates?

Słuchawka wysliznęła mi się z palców i walnęła o podłogę.

Moje palce tańczyły: *Julian, właśnie dzwonili z „Post”. Co mam im powiedzieć? Zadzwoń do mnie. Nie znam twojego numeru. Kate. PS Tak strasznie mi przykro.*

Minutę później zadzwonił telefon.

- Kate?

- Julian. Tak mi przykro.

- Dostyc już tych bzdur. Nie ma za co ci być przykro.

- Miałeś rację, powinniśmy byli go tam zostawić.

Jaka jestem głupia. Nie pomyślałam, co to wszystko dla ciebie oznacza.

Usłyszałam jego westchnienie.

- Kate, to nieistotne. Poradzę sobie z odrobiną prasy.

- Ale przecież nienawidzisz rozgłosu.

Milczenie.

- Czemu tak myślisz?

- Nigdy nie piszą o tobie w gazetach. Nigdy nie udzielasz wywiadów. A teraz wydzwania do mnie „Page Six” i wyciąga Bóg wie jakie wnioski.

- Uspokój się, kochanie. Co im powiedziałaś?

- Eee... Powiedziałam „bez komentarza” - wymamrotałam. - Ale pewnie źle. To znaczy, nigdy przedtem nie rozmawiałam z reporterami...

- Jak się nazywała?

- Amy coś tam. Menendez?

- Martinez. Zadzwoń do niej i wszystko wyprostuj. Wracaj do łóżka.

- Do łóżka? Muszę iść do pracy. O, cholera. Praca. Co ja mam im powiedzieć?

- Powiedz im prawdę, jeśli będą pytać.

- Czyli co?

Wtedy się roześmiał.

- Czyli że biegaliśmy w parku i jakiś drań spróbował cię zaatakować.

- Aha, jasne! I to im wszystkim zamknie usta...

- Słuchaj, powiedz im, co chcesz, cokolwiek wyda ci się właściwe. Nie mam nic przeciwko temu. Ja zaś zajmę się panią Martinez. Rozmawialiśmy już wcześniej.

Moje ramiona opadły.

- W porządku. Z radością.

- I nie przepraszaaj - ostrzegł dokładnie w chwili, gdy otworzyłam usta, żeby to zrobić.

- Właśnie - powiedziałam. - Dobrze. Dzięki.
 - Dobrze. Jak się czujesz? - spytał.
 - Obolała. A ty?
 - Zdrow jak ryba. A teraz weź aspirynę i idź do pracy. Ja się tym zajmę.
 - W porządku. - Zamilkłam na chwilę. - Dzięki, Julianie. Naprawdę dzięki.
 - Do widzenia, Kate. Zadzwoń do ciebie później.
- Rozłączyłam się i spojrzałam na telefon. Aspirynę?
Kto, u diabła, bierze jeszcze aspirynę?

Rozdział ó

Jeszcze przed lunchem wszystko się rozeszło.

Charlie przyparł mnie do muru w jednej z nieużywanych sal konferencyjnych w najdalszych zakamarkach piętra Działu Rynków Kapitałowych. Nie włączyłam światła. Miałam nadzieję, że nikt mnie tam nie zauważy.

- Stara, co jest, kurwa? - spytał z niedowierzaniem ściszym głosem. - Jesteś wszędzie w Internecie.

- O, Boże! Naprawdę?

- Julian Laurence naprawdę pobił dla ciebie jakiegoś koleśia?

- To wszystko to jedno wielkie nieporozumienie - powiedziałam słabo.

- Ładne mi, kurwa, nieporozumienie. Stara, to jest na Gawkerze.

- Na Gawkerze? Chyba sobie żartujesz...

- Mówię poważnie, jak pierdolony atak serca. Z linkami do Smoking Gun.

- A to co takiego?

Przysunął do siebie mój laptop i zaczął wpisywać adres URL.

- To ta strona z publicznymi dokumentami. Pozwy o rozwód i raporty policyjne, takie tam gówno. No i proszę! Ups!

Odwrócił laptopa tak, żebym mogła widzieć.

- O rany!

Byłam pod wrażeniem. Na ekranie pojawił się raport policyjny z wczorajszego wieczoru, ze wszystkimi cholernymi szczegółami.

- A więc to tak było? A dlaczego biegałaś z Julianem Laurence'em?

- Nie biegałam z nim. Po prostu tak się złożyło, że tam był, kiedy ten facet mnie przewrócił.

Charlie uniósł brwi. Nie był idiotą.

- Po prostu tak się złożyło?!

- Tak. Trudno w to uwierzyć, prawda?

Pokręcił głową.

- Pieprzenie, Kate. Co za pieprzenie? A ja myślałem, że jesteśmy kumplami.

- Charlie, przysięgam na Boga, nie umówiłam się wczoraj na bieganie z Julianem Laurence'em. Byłam w totalnym szoku, kiedy nagle się pojawił i zaczął się bić z tym palantem.

- W szoku, w szoku - powtórzył jak ten gość z *Casablanki*.

- Poważnie, Charlie. Nie okłamałabym cię. Alicję i Bannera może, ale nie ciebie.

Usiadł na krześle obok mnie i przez chwilę się na nim obracał.

- No, dobra. W porządku. I myślisz, że to naprawdę był zbieg okoliczności? A może cię śledził?

- Nie wiem - wymamrotałam, odwracając się do komputera i podpierając jedną ręką podbródek.

- Kurwa, to by był dopiero zbieg okoliczności - zauważył.

- Taa... - mruknęłam.

- Nic ci nie jest? Nie jesteś... no, nie wiem... ranna czy coś takiego?

- Och, teraz się martwisz, jak się czuję! Kiedy już obgadałeś wszystkie plotki.

Posłał mi promienny uśmiech.

- Hej, mam swoje priorytety! Ale poważnie. Nic ci nie jest?

- Zupełnie nic. Tylko parę zadrapań. - Pokazałam na moją prawą rękę. - Wystarczy na to plaster.

- To super. Jadłś już lunch?

- Charlie, nie ma szans, żebyśmy wyściubiła nos z tej sali.

Pomyślał o tym przez chwilę.

- Mogę ci coś przynieść.

- Czemu jesteś taki cholernie miły?

- Kurewsko miły - poprawił mnie. - Bo jesteś teraz

sławna, a nasz mający obsesję na punkcie celebrytów imperatyw kulturalny sprawia, że... no, wiesz... postanowiłem ci się podlizywać. Masz ochotę na reuben sandwich?

- Za tłusty. Może coś z tego baru z zupami na rogu?

Wstał.

- Załatwione.

- I dietetyczna cola?

- Nie przeginaj. Nie jesteś aż tak sławna. Ożeż kurwa! Spadam stąd.

Wyskoczył z sali konferencyjnej, jakbym go ugryzła. Już na korytarzu otarł się o Alicję Boxer i wymruczał tylko: „Cześć, stara”. Zmarszczyła brwi, patrząc za jego znikającą postacią, a potem odwróciła się do mnie z szerokim uśmiechem.

- Rany, Kate! Ty... ty czarny koniu! Teraz już wiem, dlaczego tak się rzuciłaś na to zaproszenie na galę.

- Usiadła na krześle, które dopiero co zwolnił Charlie.

- No to co się stało?

- Och, to jest totalnie rozdmuchane - odparłam.

- Wysłałam pobiegać i jakiś facet próbował odgrywać przy mnie macho, a Julian tak jakby go pobił.

W zamyśleniu przekrzywiła głowę.

- To znaczy, że jesteście tak jakby razem?

- Nie, jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Wow! - uśmiechnęła się. - Fajny przyjaciel.

- To przyzwoity facet - powiedziałam.

- Hmm. - Wydeła usta. - To co, dalej jesteśmy umówione na kupowanie sukni? Mogę, no, wiesz, przemycić cię tylnym wejściem, jeśli chcesz.

Już otworzyłam usta, żeby odmówić, ale wtedy w mojej głowie pojawił się obraz: ja w jakiejś zabójczej czarnej sukni przechodząca przez drzwi na oczach podziwiającego mnie tłumu. W którym był też Julian Laurence.

Wstałam.

- Chodźmy.

Byłyśmy już głęboko w Barneys, gdy przypomniałam sobie o Charliem i zupie.

- Och, sam ją zje - rzuciła krótko Alicia. - Co powiesz o tej?

Uniosła długą czerwoną suknię z dekoltem w szpic aż do pępka.

- Mmm... Myślałam raczej o czymś empirowy - zaprotestowałam. - To lepiej do mnie pasuje.

Zmarszczyła brwi i przyjrzała mi się.

- Żeby coś takiego dobrze leżało, trzeba mieć pewien typ figury, Kate - stwierdziła.

Cokolwiek to znaczy, pomyślałam ze złością.

- Cóż, ale i tak mi się podoba.

- No, dobra - powiedziała. - A ta?

- Przymierzę ją.

Właśnie zobaczyłam coś kilka stajaków dalej i zaczęłam ostrożnie lawirować wśród bujących się wieszaków. Zadzwoił mój telefon.

Serce podskoczyło mi na ten dźwięk, ale gdy wyjęłam BlackBerry z kieszeni, zobaczyłam, że numer na wyświetlaczu nie należy do Juliana. Westchnęłam i wsunęłam do ucha słuchawkę.

- Cześć, mamó - powiedziałam. - Co się dzieje?

- Kochanie, nic ci nie jest?

- Och, mamó, ty chyba nie płaczesz, prawda?

- Mary Alice zadzwoniła do mnie z wiadomością. Co się stało? Zostałaś... napadnięta? - wyszeptała dokładnie tak, jakby chodziło o gwałt.

- To nie było nic takiego. Jakiś facet wpadł na mnie, kiedy biegałam w parku, a przyjaciel się wtrącił, żeby mi pomóc.

- No a kim jest ten przyjaciel? Mary Alice mówi, że to jakiś... miliarder. - Znów ten szept. Na litość boską!

- Mamó, on prowadzi fundusz hedgingowy, to wszystko. Jest tak jakby klientem.

- Tak jakby klientem czy jest klientem? - Moja mama zawsze była najbystrzejsza, kiedy mi to najmniej odpowiadało.

- Trudno to wyjaśnić. Sprawy z Wall Street.

- Och, kochanie! Bardzo cię skrzywdził?

- Prawie wcale? Tylko parę zadrapań.

- Ale musiałaś być w szoku!

- Mamo, policja się wszystkim zajęta...

- Policja!

Ups!

- Robisz z tego za dużą sprawę - rzuciłam do słuchawki, dotykając palcami sukienki.

Była długa, kremowa, ze skromnym prostym dekoltem i błyszczącymi paciorkami naszytymi na zwiewną spódnicę. Ten rodzaj, który układa się sam z siebie, i ani ja, ani ona nie będziemy musiały się za bardzo starać.

- Kochanie - powiedziała mama po chwili oszołomienia. - Lecę do ciebie dziś wieczorem.

- Nie! O, mój Boże, mamo, nie rób tego! Nic mi nie jest, absolutnie nic!

Alicja podeszła bliżej i przyglądała się krytycznie sukience, którą wybrałam. Zdjęła ją ze stojaka i podsunęła mi z grymasem dezaprobaty na twarzy.

- Kochanie, zostałeś napadnięta!

- Powtarzam ci po raz ostatni. Nie zostałam napadnięta. To była tylko... tylko sprzeczka. Proszę, nie przyjeżdżaj. Oszczędzaj pieniądze. Pomyśl o tej emeryturze na Florydzie.

Alicja zachichotała i odwiesiła suknię. Rozpaczliwie pokazałam jej ręką, żeby ją oddała.

- Nie chcę emerytury na Florydzie!

- Posłuchaj, muszę kończyć. Jestem w tej chwili w samym środku Barneysa. Po prostu nie przylatuj, dobrze? Kompletnie nic mi nie jest. Fizycznie i psychicznie.

- Kocham cię, córeczko.
- Też cię kocham. Na razie. - Rozłączyłam się i wsunęłam telefon do torebki. - Nie odkładaj jej. Chcę ją przymierzyć.
- Naprawdę? Tu jest całe mnóstwo lepszych.
- Podoba mi się.
- W porządku - westchnęła, oddając mi sukienkę.
- Jadę do domu, żeby się przygotować. Zobaczymy się na miejscu. Koktajl zaczyna się o wpół do ósmej. Pamiętaj, masz się spóźnić.
- Spóźnić?
- Tylko frajerzy zjawiają się punktualnie.

Cóż, możecie mnie nazwać frajerką.

Wzięłam długą kąpiel z pianą, ogoliłam nogi, zrobiłam sobie peeling i maseczkę nawilżającą, a nawet pedicure i nakleiłam praktycznie niewidoczne nowe plastry. A to wszystko z ciągłym odbieraniem rozmów od różnych przyjaciół, znajomych i odległych krewnych, tak że aż w końcu wyłączyłam telefon. I mimo wszystko moja taksówka podjechała pod Muzeum Sztuki Współczesnej o siódmej dwadzieścia dziewięć. Zrzuciłam winę na ruch uliczny. Park Avenue była dzisiaj szybka jak autostrada, co zdarza się tylko wtedy, kiedy ci się nie spieszy.

Gdy weszłam do środka, było tam już jakichś osiem osób, sami mężczyźni i wszyscy po czterdziestce. Skierowałam się prosto do baru.

- Poproszę szampana - powiedziałam. - Bez dodatków.

Barman mrugnął do mnie.

- Już się robi.

Błyskawicznie wyciągnął kieliszek do szampana i nalał.

- No więc co taka wspaniała dziewczyna jak ty robi tu tak wcześnie? - spytał.

Wzięłam lampkę.

- Ukrywam się przed prasą - odparłam, pociągając duży łyk.

Roześmiał się i dołał mi.

Przeszłam na cichą aukcję i rozejrzałam się po rzędach pozycji i podkładek do pisania, zwykłych przedmiotów służących temu, co niezwykle, wizualnych przejawów przepychu świata, w którym obracałam się przez te trzy lata. Lunch i ćwiczenia w odbijaniu kijem bejsbolowym z Derekiem Jeterem z sugerowaną ceną wywoławczą dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Lunch i odcinek na wizji z Brianem Williamsem, cena wywoławcza: trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Widziałam mnóstwo wejściówek do spa i weekendów w Aspen; tydzień na pokładzie prywatnego luksusowego jachtu z kapitanem, załogą i prywatnym szefem kuchni; oszałamiającą kolację z diamentów od Harry'ego Winstona; skrzynkę Bordeaux rocznik 1982 z Sherry-Lehmann z ceną, która sprawiła, że oczy wyszły mi z orbit i spadły na podłogę.

Uśmiechnęłam się w duchu na widok Marquis JetCard - wstępnej wersji udziału NetJets - z ceną wywoławczą dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy dolarów.

Do sali zaczęli napływać ludzie ubrani ze skrupulatnym przepychem. Elegancka blondynka, około czterdziestki, z płataniną wielkich pereł na szyi, pochyliła się nad partią golfa z Tigerem Woodsem i nabazgrała ofertę.

- Wow! - rzucił ktoś tuż przy moim łokciu. - Nigdy bym nie powiedział, że mamy recesję.

Odwróciłam się. Zobaczyłam mężczyznę z wąską twarzą oraz podbródkiem i linią włosów cofniętymi w tandemie. Włożył za duży smoking i stał o dobrych sześć cali za blisko mnie.

- Cóż, to jeszcze nic oficjalnego - zauważyłam, cofając się o krok.

Uśmiechnął się i wskazał na moje rękę.

- Mogę ci przynieść kolejnego drinka?

Spojrzałam na mój kieliszek, który był prawie pusty.

- Nie, dzięki - odparłam. - Myślę, że na razie mam dość.

- Nie szkodzi - uśmiechnął się szeroko. - Widzisz coś interesującego?

- Nic, na co by mnie było stać. - Zerknęłam nad jego ramieniem z nadzieją, że zobaczę jakiegoś znajomego. Nawet Banner byłby w tej chwili mile widziany.

Wyciągnął rękę.

- Mark Oliver.

Ujęłam ją lekko, licząc na to, że był jednym z tych ludzi, którzy nienawidzą słabych uścisków ręki.

- Cześć, Mark. Kate Wilson.

Jego dłoń była wyraźnie wilgotna. Szybko cofnęłam rękę i zacisnęłam ją na podstawie mojego kieliszka.

- Brzmi znajomo.

- To pospolite nazwisko. Znałam dwie inne Kate Wilson na ostatnim roku studiów.

- Och. A gdzie kończyłaś college?

- W Wisconsin. - Może to go odstraszy?

- Borsuczycia! Przybij piątkę. - Wyciągnął rękę do góry.

- Uhu! - powiedziałam, przybijając. Gdzie, u wszystkich diabłów, był Charlie?

- No tak, ja studiowałam w Yale - ciągnął - Ale znam paru gości z Wisconsin. Choćby dentystę.

- Wiesz co - przerwałam mu - chyba widzę tam znajomego. Przepraszam.

- Na razie! - zawołał za mną. - Do zobaczenia!

Odeszłam powoli w nadziei, że ktoś znajomy się zmaterializuje, zanim dotrę na drugi koniec sali. Dwa razy zatrzymałam się przy kelnerach roznoszących przystawki, nad którymi zwlekałam jak najdłużej, zastanawiając się, czy wybrać kokosowe krewetki, czy tajskie sajgonki z chili, podczas gdy wokół gromadził się tłum.

- Kate. Co tam?

- Charlie! Tak się cieszę, że cię widzę. Musisz zostać

ze mną, póki nie zacznie się kolacja. Tam jest jak na jakimś dziwnym zlocie singli.

- Ciężka sprawa - skomentował. - Napijesz się czegoś?
- Szampana. Ale idę z tobą.

Charlie miał swoje wady, lecz manewrowanie wokół baru do nich nie należało. W niecałą minutę załatwił nam drinki i świetne miejsce, z którego był widok na bar, wejście i drzwi, zza których napływali kelnerzy ze świeżymi przekąskami.

- Przepraszam za tę zupę - powiedziałam, chwytając szpikulec z opiekany w pieprzu tuńczykiem. - Alicia tak jakby mnie porwała na kupowanie sukienki.

- Nie ma sprawy. Sam ją zjadłem. Ostra, z curry. Zajebista.

- Cóż, w każdym razie dzięki, że o mnie pomyślałeś.
- No. A on się odzywał?

- On? Och, chodzi ci o Juliana? Nie, nie zadzwonił. Wiesz, chyba też ma jakąś pracę. Zarządzanie pieniędzmi i tak dalej.

- Au! Bez tego sarkazmu, stara. - Wziął jakieś markowe piwo. - To jak? Jesteś załamana?

- Słuchaj, Charlie - odparłam. - Wydaje mi się, że jesteś w błędzie, podobnie jak wszyscy w tym cholernym mieście, jeśli myślisz, że coś mnie łączy z Julianem Laurence'em. Tak nie jest. Nie było, nie jest i nie będzie.

- Bo słyszałem, że ma tu dzisiaj przyjść - ciągnął Charlie spokojnie.

- Kto ci tak powiedział?

- Banner. Mówił, że żona dyrektora handlowego z Southfield jest w Komitecie organizacyjnym tej imprezy.

Żona Geoffa Warwicka. Pasowało.

- Banner łąjno wie.

- Gówno, Kate. Po raz ostatni ci powtarzam: gównie wie. Cóż, zgoda, ale nawet pieprzony zepsuty zegar dwa razy dziennie pokazuje prawdę. - Przechylił butelkę z piwem w moją stronę.

- Julian rzadko wychodzi. Byłabym zaskoczona, gdyby się dzisiaj tutaj zjawił. To nie dla niego.

- Jakoś mnóstwo wiesz o tym facecie, z którym podobno nic cię nie łączy. - Uniósł palce, jakby ujmował słowa w cudzysłów.

- Słuchaj - powiedziałam rozdrażniona. - Dlaczego wszyscy mają na tym punkcie taką obsesję? Doprowadzacie mnie do szału.

Pokręcił głową.

- Kate, ten gość jest miliarderem. Żywą legendą.

- Nie. To po prostu Julian.

- Och, daj spokój. Po prostu Julian. Gdyby nie był bogaty, nie leciałabyś na niego.

- Nie lecę na niego - powiedziałam niezbyt przekonująco. - A nawet gdybym leciała, to i tak nie chodziłoby o pieniądze. - Spróbowałam się uśmiechnąć. - Tak naprawdę to chodzi o jego wygląd.

- Kłamiesz. Okropnie kłamiesz.

- Mylisz się.

- Doprawdy? - Wzruszył ramionami. - Stara, nie ma się czego wstydić. Wy, dziewczyny, macie szczęście. Ja mam tylko jeden sposób, żeby się wzbogacić, i to ten trudny. Wy macie dwa. Możecie zrobić pieniądze albo wyjść za nie za męża. Więc zrób to. Będę twoim pieprzonym cheerleaderem. Daj czadu!

- Och, proszę! Kto ty jesteś? Jane Austen? Wyewoluuj.

- Kate - roześmiał się. - Życie to nie jest jakieś feministyczne seminarium w college'u. To prawdziwy świat, pieprzona ludzka natura. Z biologią nie wygrasz.

- Przysięgam na Boga, Charlie. Gdyby jutro stracił ostatniego pensa... - zamilkłam.

- Więc przyznajesz, że na niego lecis.

- Dobra, trochę go lubię - powiedziałam ściszym głosem. - Chociaż może nie ostatniego pensa. Przydałoby się, żeby miał dach nad głową. Ale kawalerka by starczyła, Charlie. To wszystko.

- Jasne - odparł Charlie. - To wszystko tylko gadanie. Nie da się tego udowodnić, chyba że wydarzy się jakaś pieprzona totalna katastrofa. A wtedy wszyscy mielibyśmy o wiele więcej powodów do zmartwień niż zajmowanie się tym, kto kogo przeleci. - Mocno przechylił butelkę i dopił resztę piwa. - Dobra, Kate. Chodź! Rozpracujmy ten tłum. Po to tu w końcu jesteśmy.

- Ale proszę, wyświadczyć mi przysługę. Nie wspominać nic o tym, co się stało wczoraj wieczorem.

Podsunał mi pięść, żebym przybiła.

- Słowo honoru, stara.

Gdy o wpół do dziewiątej ogłoszono kolację, wciąż nie było śladu Juliana. Sterling Bates zajmowało dwa czy trzy stoliki, sponsorowane przez różne działy, i rozpoznałam kilka twarzy, gdy usiedliśmy przy naszym. Dołączył do nas Banner, a potem Alicia, która osiągnęła już kilka punktów bazowych ponad limit.

- Wyglądasz fantastycznie - powiedział Banner, pochylając się nad moją suknią, żeby się upewnić.

- Dzięki. - Uszczknęłam odrobinę sałaty. - Alicia pomagała mi wybierać.

Spojrzał na nią.

- Alicia to pieprzony geniusz.

Przewróciła oczami i wróciła do pogaduszek z klientem siedzącym obok niej, tłustym mężczyzną po czterdziestce, z grubą obrączką na lewej ręce, którą wciąż nerwowo się bawił.

W połowie głównego dania w luce między tłumem ludzi zobaczyłam Geoffa Warwicka. Siedział jakieś dziesięć stolików dalej, znacznie bliżej podium, w towarzystwie kobiety o lśniących blond włosach i wyraźnie zadowolonej z siebie. Zapewne to jego nudna żona.

Miała na sobie wydekoltowaną suknię i spektakularny naszyjnik ze szmaragdów albo szafirów. Trudno było stwierdzić w nastrojowym oświetleniu. Miejsce obok niej było puste. Miejsce Juliana.

Patrzyłam tępo, jak kolejni organizatorzy wchodzili na podium, by zawiadomić gości o cichej aukcji (która kończyła się za piętnaście minut) i tańcach, jakie miały nastąpić po kolacji. Potem zaczęły się przemowy różnych ważniaków, kwestorów i darczyńców. Honory tego wieczoru pełniła agresywna i patrząca na wszystkich z góry kobieta w sukni wyszywanej kryształkami Swarovskiego.

- Przepraszam - powiedziałam i wstałam od stolika, biorąc z sobą torebkę. Nie byłam pewna, czy jeszcze wrócę.

Okolice baru tonęły już w oparach dymu z cygar, więc zaczęłam obchodzić go dookoła, aż zobaczyłam otwarte drzwi prowadzące na taras, gdzie zawiewał chłodny wietrzyk, niosący delikatny smród od pojemników na śmieci. Tylne elewacje sąsiednich budynków zaatakowały mnie swoją ohydą, ale nie przejmowałam się tym. Dla mnie ten wieczór i tak pozbawiony był czaru. Doprawdy, czego ja się spodziewałam? Że Julian otrzyma jakąś telepatyczną informację, iż będę na gali, i pojawi się, aby zwalić mnie z nóg? Co ze mnie za idiotka. Był dżentelmenem. Dlatego pomógł mi w parku. Ale to nie znaczyło, że cokolwiek do mnie czuł.

- Tu jesteś - usłyszałam za plecami, a serce podskoczyło mi do gardła, zanim zdałam sobie sprawę, że to nie jego głos.

Odwróciłam się.

- Cześć... Mike. Zgadza się?

- Mark. - Wyszczrzył zęby w promiennym uśmiechu, najwyraźniej zachęcony tym, że udało mi się zapamiętać dwie litery jego imienia. - Przybij piątkę - powiedział, znów unosząc rękę.

- Przepraszam, mam dość.

- Nic nie szkodzi. Przyniosłem szampana. - Zaofiarował mi go z nadzieją.

- Eee, dzięki. - Wzięłam kieliszek i ostrożnie postawiłam go na balustradzie. - Ostrzegam cię, tam na dole są śmietniki i nie wydaje mi się, żeby były ostatnio opróżniane.

Wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi. Bierze mnie przeziębienie. Nic nie czuję.

Uroczo.

- No więc - przerwał moje milczenie. - Co cię tutaj sprowadza taką całkiem samą?

- Dym z cygar.

- Tak, zrobiło się trochę gęsto, co? Jakies dupki z działu derywatów ze Sterling Bates.

- Z analiz - bąknęłam pod nosem.

- To co, chciałybyś zatańczyć? Chyba zaczynają grać.

- Hm, dzięki za propozycję, Mark, ale chyba już pój-
dę do domu. Rano muszę się pojawić w pracy.

- Och, a gdzie pracujesz?

- W Sterling Bates.

- Bez jaj! Strzeliłem niezłą gafę, co? - przerwał
na chwilę, wyłamując sobie palce. - Chcesz wracać
ze mną jedną taksówką?

- Przyszłam z przyjacielem... - wyjaśniłam.

- Gdzie on jest? Powiem mu, że zmywasz się wcześ-
niej.

- Naprawdę nie trzeba. Sama go poszukam. - Zgarnę-
łam torebkę z balustrady, gdzie leżała tuż obok nietknię-
tego kieliszka z szampanem. - Baw się dobrze, Mark.

- Czekaj! - Chwyił mnie za ramię.

- Mark! - wycedziłam przez zęby. - Muszę iść do to-
alety.

- Czekaj chwilę - powtórzył i teraz poczułam jego
przesycony szkocką oddech.

Wyszarpnęłam ramię.

- Poważnie, Mark. Naprawdę muszę już iść.

Znów mnie chwycił.

- Nie, czekaj! Musisz mnie posłuchać.

- Wcale nie muszę.

- O co wam chodzi, dziwki? Ssiecie tylko wielkie
fiuty, co? A co z moim?

- Mark - powiedziałam wściekła - za sekundę zaczną
krzyczeć. Głośno. Więc lepiej mnie puść. Natychmiast.

Rzucił się naprzód. Z całej siły uderzyłam go kolaniem w krocze.

- Suka! - stęknął, zwijając się wpół.

Machnął ręką i trafił mnie w brzuch. To po prostu nie był mój tydzień. Złapałam kieliszek z szampanem i rozbiłam mu go na głowie.

- Masz - powiedziałam. - A teraz pierdol się, Mark.

Wyminęłam go i pobiegłam w stronę drzwi, wpadając wprost na idealnie ubranego Juliana Laurence'a.

- O mój Boże, Kate! Co się dzieje?

- Och, teraz się pojawiaasz! Mogłeś mi się przydać pięć minut temu.

Spojrzał nad moim ramieniem na pojękującą postać Marka Olivera, rozpryskującego krople szampana po tarasie. Roześmiał się.

- No nie wiem. Wygląda na to, że świetnie sobie poradziłaś. Co za nieszczęśnik!

Kąciki moich ust niechętnie uniosły się w uśmiechu.

- No cóż - powiedziałam. - Jak widzisz, nie jestem kompletnie bezbronna.

- Wiem. - Ujął moją dłoń i splótł swoje palce z moimi. - No to chodź, kochanie. Znikajmy stąd.

Amiens

Wilgotne, zadymione wnętrze Chat d'Or roiło się od stałych klientów. Głównie brytyjskich oficerów, których schludne mundury w barwach khaki wskazywały na to, że są ze sztabu. Niektórzy z nich siedzieli z kobietami, sprawiając wrażenie pewnych siebie i dyskretnych.

- Na pewno dobrze się pani czuje? - spytał Julian, podsuwając mi podniszczone krzesło ze szczebelkowym oparciem.

Chat nie było zbyt eleganckim lokalem, ale mimo panującego tu zaduchu, zbieraniny mebli i prostego gipsowego sklepienia z ciemnymi dźwigarami wciąż cieszyło się pewną renomą. Na naszym stoliku zgodnie z zasadami leżał biały poprzecierany płócienny obrus, a starzy kelnerzy ubrani byli na czarno. Uśmiechnęłam się.

- Tak. Obiecuję. To był tylko szok.
- Szok?
- Bo w końcu pana zobaczyłam.

W drodze do kawiarenki przyszło mi do głowy coś ważnego. Pokonałam całą tę drogę do Amiens w 1916 roku ogarnięta paniką i pochłonięta tylko jedną myślą: by odnaleźć Juliana i go ostrzec. Ale był to objaw braku wyobraźni. Bo czego oczekiwałam? Że po prostu wyrzucę z siebie prawdę, a on mi uwierzy? Że pomyśli po prostu: „Cóż, wysmienicie! To naprawdę świetnie, że pojawiła się Kasandra. Zatrzymam się w Amiens na jedną noc dłużej i będę dziękować moim szczęśliwym gwiazdom”? Dotarcie tutaj było łatwiejszą częścią zadania. Teraz, uświadomiłam to sobie, czekało mnie znacznie większe wyzwanie. Musiałam zdobyć jego zaufanie, w jakiś sposób przekonać go, że nie jestem szalona i że nie jestem szpiegiem; że moje informacje ocala mu życie. I powinnam to zrobić w ciągu kolejnych czterdziestu ośmiu godzin. W jakiej pozycji mnie to stawiało?

Cóż, po pierwsze - olśniło mnie, gdy ślizgałam się po bruku, zмирzając w stronę Chat d'Or - Julian Ashford mnie kochał. Nie w tej konkretnej chwili. Ale to uczucie w nim było, uśpione. Tkwiła w nim ukryta skłonność, by mnie kochać, wielbić i - co być może było najważniejsze - pożądać mnie w stopniu, który zaciemniał męskie rozumowanie. A ja byłam gotowa rozbudzić to pożądanie. Tylko trochę, tylko na tyle, by mnie posłuchał. Bądź sobą, pomyślałam, patrząc na jego usta, czoło i pełne życia oczy. Bądź Kate, którą kocha.

- Obawiam się, że nie do końca rozumiem - odparł,

odwzajemniając moje spojrzenie z równą intensywnością. - Nie zdradzi mi pani chociaż imienia?

- Jestem Kate.

- Kate - powtórzył z powątpiewaniem. - Kate...

- Na razie tylko Kate, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Zjawił się kelner z parującymi talerzami pełnymi jajek na miękko, tostów i jakiegoś mięsa, którego nie byłam w stanie rozpoznać. Bił od nich boski zapach, ciepły, maślany i smakowity, nie przypominający niczego, co czułam, odkąd opuściłam Nowy Jork.

- Myślałam, że trwa wojna - zdziwiłam się.

Z udawaną skromnością wzruszył ramionami.

- Chat jakoś zawsze daje sobie radę z brakami w zaopatrzeniu.

- Wygląda wspaniale.

Chwyciłam sztucce, zapominając o wszystkim w przypływie apetytu. Julian nieruchomo obserwował mnie, jak jem. Otaczał nas szmer rozmów, narastający i cichnący w ponadczasowym ludzkim rytmie. Ktoś przy stoliku obok roześmiał się ostro. Julian wreszcie uniósł swój widelec.

- A pani podróż? - spytał, dziobiąc w talerzu. - Ile tak właściwie trwała?

Przełknęłam kęs jedwabistego jajka, nim mu odpowiedziałam. To dało mi czas, by zastanowić się nad odpowiedzią.

- Dłużej, niż jest pan w stanie sobie wyobrazić - odparłam.

- Aż z Ameryki, jak przypuszczam?

- Aż z Ameryki.

- I przyjechała pani spotkać się ze mną? Właśnie ze mną?

- Tak - odparłam z naciskiem. - Właśnie z panem.

- Hm. - W zamyśleniu przekroił parówkę, jakby się zastanawiał, jak to dalej rozegrać. - Może lepiej niech zacznie pani od początku. Skąd właściwie mnie pani zna?

- Wszyscy pana znają, kapitanie Ashford.

- W Ameryce?

- Tak. My też od czasu do czasu czytamy gazety w zaciszu naszych drewnianych chałupek. Ci z nas, którzy potrafią czytać, oczywiście. - Uniosłam do ust widelec z jedzeniem i wysunęłam go z ociąganiem, jak mogłaby to zrobić Lauren Bacall, posyłając mu przy tym spojrzenie spod wąskiego ronda mojego kapelusza. Przydatne rzeczy te kapelusze.

Wydawał się zaniepokojony, a potem na jego twarz wypełzł uśmiech.

- A reszta? - spytał.

- Doskonałe pytanie. - W zamyśleniu przekrzywiłam głowę. - Tyle jest do zrobienia na granicach cywilizacji... Obedrzeć ze skóry parę grizzly, handlować tytoniem z tubylcami. Czyżby nie czytał pan Coopera?

- Mój Boże. - Oparł widelec o talerz i rozpromienił się. - Kim pani jest?

- Najwyraźniej nie jestem świetnie wychowaną angielską dziewczyną.

- Dzięki Bogu nie. Ale jest też w pani coś takiego, czego nie potrafię dokładnie nazwać. - Lekkie kolory na jego policzkach przeszły w intensywny rumieniec.

Poczułam, że w odpowiedzi moja skóra też staje się ciepła.

- Czemu „dzięki Bogu”? - usłyszałam własne pytanie.

- Przepraszam?

- Co ma pan przeciwko świetnie wychowanym angielskim dziewczynom?

- Nie sędzę, żeby chodziło o same dziewczyny. To ten cały cyrk, ten... - zmrużył oczy. - Świetnie to pani wyszło.

- Uczyłam się od mistrza.

- I nic mi pani nie powie? - spytał błagalnie. - Nawet nazwiska?

- Och, tego z pewnością nie mogę panu zdradzić. - Z uśmiechem przekrzywiłam głowę, niemal świetnie się bawiąc. Flirtowaliśmy. Dobry Boże! - Mogę panu przynajmniej obiecać, że nie jestem szpiegiem.

Zbył to.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Ani trochę - mówiłam dalej. - Nie wiedziałabym

nawet, od czego zacząć. Jestem zupełnie nieprzekonującym kłamcą nawet po trzech latach spędzonych na Wall Street.

- Na Wall Street? - spojrzał na mnie z niedowierzaniem. - To znaczy akcje i tak dalej?

Roześmiałam się szczerze.

- Akcje i tak dalej! Że też akurat pan to mówi!

- Odłożyłam widelec i oparłam podbródek na rękach, by na niego spojrzeć. - Być może teraz się panu wydaje, Julianie, że to wszystko jest wulgarnie i pazerne, ale obiecuję panu, że zmieni pan zdanie... - Urwałam. Spuściłam wzrok na wdzięczną białą krzywiznę filiżanki z kawą, stojącej na spodeczku tuż przy moim talerzu. - To znaczy zmieniłby pan zdanie, gdyby miał pan szansę - dokończyłam.

Uśmiechnął się uprzejmie.

- Przypuszczam, że pewnie tak - odparł, wracając do śniadania. - Ale zakładałam, że odnajdując mnie, miała pani jakiś cel.

Zebrałam się w sobie.

- Tak, miałam. Tyle że nie sądzę, by mi pan uwierzył, gdybym go wyjawiała. Siedzę tak tutaj i próbuję wymyślić sposób, by to panu wyjaśnić. Ale to wszystko jest po prostu zbyt... - Chciałam powiedzieć „pokręcone”, ale ugryzłam się w język. Czy to słowo było już wtedy w powszechnym użyciu? Któż może wiedzieć? - Dość... niezwykle - dokończyłam.

- Proszę mnie sprawdzić. Nie jestem aż takim powierzchnowym głupcem.

- Powierzchnowym głupcem? Uważa pan, że tak o panu myślę?

- Wszystkie te brednie o pustogłowych dziewczynach z towarzystwa...

Pochylał się teraz do przodu. Jego znajoma przystojna twarz przybrała skupiony, niemal zaniepokojony wyraz, gdy próbował mnie przekonać o swojej wartości. Mój Julian, tylko że jeszcze o tym nie wiedział. Mój ukochany Julian, ale teraz żołnierz, który większość czasu spędzał pośród błota, krwi i nagłych katastrof. Czy dzięki temu łatwiej uwierzy w moją historię? Chyba gdzieś czytałam, że w czasie wojny w szeregach armii szerzyła się wiara w zjawiska ponadnaturalne.

Dostrzegłam błysk w jego oczach, których zieleń podkreślał teraz kolor khaki munduru, i poczułam się tak, jakbym miała spaść z ogromnej wysokości.

- Niech mi pan powie - odezwałam się łagodnie, pragnąc, by dalej pochylał się ku mnie - czy wierzy pan w... jakby to nazwać... dar jasnowidzenia? W to, że można zobaczyć przyszłość?

- Stek bzdur moim zdaniem - powiedział, prostując plecy.

Teraz ja pochyliłam się w jego stronę.

- To znaczy, że naprawdę nie wierzy pan w to czy nie chce wierzyć?

Sięgnął po swoją filiżankę i wypił łyk kawy.

- Chyba raczej to drugie.

- W takim razie nie może mi pan po prostu zaufać? Zaufać, że być może wiem, co mówię? Że przebyłam całą tę drogę tylko po to, by spróbować pana ocalić?

- Ocalić? Mnie? Przed czym? - roześmiał się. - Może przed wojną? Obawiam się, że na to szanse są niewielkie.

- Cóż, nie. Jest coś jeszcze, coś... - nie potrafiłam dokończyć.

Poznałam po jego uśmiechu, lekkim tonie w jego głosie, że czar prysł. Teraz myślał, że się z nim droczę, że go podpuszczam, że to wszystko było częścią gry.

- Hmm... Najeżone niebezpieczeństwami, tak?

Spojrzałam na swój pusty talerz. Wciąż pachniał jajkami i mięsem. Nagle poczułam, jak skręca mi się żołądek.

- Będzie pan to utrudniał, prawda?

Spojrzał na mnie skonsternowany, jakby jego przeciwnik w grze w tenisa z niewyjaśnionych przyczyn nagle się wycofał po jakimś szczególnie dobrym woleju. Potem na jego twarzy pojawiła się troska.

- Jest pani zmęczona, prawda? - powiedział z troską.

- Skończyła pani śniadanie. Czy nie myślała pani o tym, żeby trochę wypocząć?

- Nie mogę. Nie znalazłam jeszcze miejsca, gdzie bym się mogła zatrzymać.

- Pomogę pani.

- Nie musi pan tego robić.

- Panno... Kate, nie mam nic przeciwko temu. Może moja gospodyni będzie mogła panią gdzieś skierować.

Otworzyłam usta, żeby się sprzeciwić, powiedzieć, że świetnie potrafię radzić sobie sama, ale w ostatniej chwili uświadomiłam sobie, co mi proponował: sposobność, zgodną z obyczajami wymówkę, żeby pchnąć to dalej przy utrzymaniu eleganckiej fikcji, że chodzi jedynie o pozbawioną osobistego zainteresowania troskę o moje dobre samopoczucie. Ponieważ tak kiedyś postępowano. Powiedziałam więc:

- Tak pan sądzi? Ale na pewno nie ma nic dostępnego w tak krótkim terminie.

- Jestem pewien, że coś się da zaaranżować. Niech pani na siebie spojrzy. Jest pani wykończona. - Impulsywnie sięgnął ręką do mojej, ale opanował się i ją cofnął, kładąc na obrusie obok swojego talerza.

- Nie, naprawdę. Nic mi nie jest. To tylko to śniadanie. Zrobiłam się po nim senna.

Kiwnął na kelnera.

- Zabieram panią z powrotem. Mogłaby pani... wypocząć w moim pokoju, jeśli pani zechce, a ja się za czymś rozejrzę. W tym stanie nie powinna pani

pozostawać na nogach. Mój Boże! Zrobiła się pani blada jak płótno!

Jego niepokój był zrozumiały, gdy wzięło się pod uwagę, jak mało mnie znał. Pewnie rozpaczliwie bał się kolejnych omdleń i wymiotów.

- Nie chciałabym panu sprawiać kłopotów.

- Proszę pójść ze mną - powiedział, rzucając kilka monet na stół. - To naprawdę żaden kłopot.

Rozdział 7

- Dokąd idziemy? - spytałam, gdy Julian prowadził mnie w dół po schodach.

- Gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać - odparł i podszedł do jednego z czarnych sedanów zaparkowanych przy chodniku przed budynkiem.

Szofer wyskoczył i otworzył tylne drzwi, a Julian odsunął się na bok, by przepuścić mnie pierwszą.

Opadłam na kanapę i właśnie miałam się przesunąć, by zrobić mu miejsce, gdy zdałam sobie sprawę, że drzwi się już zamknęły, a Julian obchodzi samochód od drugiej strony. Usiadł obok mnie i spojrzał na moje nagie ramiona.

- Zapomniałem spytać, czy miałaś płaszcz - powiedział przeprasząc.

- Nie miałam. Jest mi ciepło. A więc dokąd jedziemy?
- spytałam ponownie.

- A gdzie byś chciała?

- Cóż, jestem trochę odstawiona. Opcje są ograniczone.

Poczułam, że się waha. Jego niezdecydowanie przeszło ciemną przestrzeń między nami.

- W takim razie pozwól, że zawiozę cię do domu - powiedział cicho. - Pewnie jutro idziesz do pracy.

Pochylił się do przodu i cicho podał szoferowi mój adres. Ruszyliśmy.

- A więc co sprowadza cię tu dziś wieczorem? - spytałam, splatając dłonie na kolanach.

- Ty. Próbowałem się z tobą skontaktować od kilku godzin.

- Och! - przypomniałam sobie. - Zapomniałam włączyć telefon.

- Domyśliłem się tego. A potem dostałem e-mail od twojego kolegi, pana Newcombe'a.

- Charlie wysłał ci e-mail?

- Jakaś godzinę temu. Zasugerował, żebym włożyła smoking i raczył pokazać się u twego boku.

- O mój Boże! - powiedziałam, rumieniąc się. - Co... co ci napisał?

- Tylko że wyglądasz aż nazbyt zachwycająco, by być tam sama, i przyciągasz mnóstwo niepożądaną uwagę.

- Jestem pewna, że ujął to równie świetnie.

- I w równie wielu słowach - uśmiechnął się. - Ale widzę, że i tak był dość powściągliwy w ocenie.

Spojrzałam na swoje kolana, na tkaninę opadającą w długich białych fałdach na moje nogi.

- Wiesz, to nie fair. Nie odzywałeś się do mnie całymi miesiącami, aż tu nagle zjawiasz się ze swoimi komplementami i swoim... swoim smokingiem. - Powiedziałam oskarżycielskim tonem, jakby noszenie smokingu było jakąś zbrodnią. I pewnie powinno być za taką uznane, przynajmniej w wypadku takich mężczyzn jak Julian.

- A co innego miałem włożyć? - spytał.

- Nie o to mi chodziło - odparłam, podnosząc wzrok.

Jechaliśmy Madison. Światła ulicznych latarni rozbłyskiwały co chwila na jego twarzy, pograżając w cieniu szlachetne kości policzkowe i eksponując zielononiebieskie oczy. Próbowałam być obiektywna, po prostu docenić nienaganny krój czarnego smokingu stapiającego się z ramionami albo to, w jaki sposób krawędzie kołnierzyka jego koszuli lśniły bielą na tle szyi, i nie ślinić się przy tym z podziwu. Ale nic to nie dało. Ta oficjalność, surowość pasowały mu aż za dobrze i stanowiły idealne tło dla jego pełnej wyrazu twarzy. Sprawiały, że pragnęłam rzucić się na oślep na klapy jego smokingu.

- Och, Kate - powiedział. - Kiedy tak na mnie patrzysz... twoje oczy... - Opuścił powieki. - Tak bardzo się starałem przez ostatnie miesiące trzymać się od ciebie z daleka. Ignorować to, jak... jak mnie pociągasz. Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jakie to było trudne. Biegałem za tobą jak piesek... teraz się wydało... kiedy uprawiałaś jogging w parku.

- Och! - wyrzuciłam z siebie, gdy dotarło do mnie, co powiedział. - Ale dlaczego?

- Co dlaczego?

- Trzymać się z dala?

- Dość trudno to wyjaśnić - odparł.

- Cóż, spróbuj. To znaczy, dla mnie to też nie było łatwe. Zastanawiać się, co takiego zrobiłam, że tak nagle cię do siebie zraziłam. Nie masz pojęcia, jakie dzikie teorie przychodziły mi do głowy.

Roześmiał się, ale nie był to wesoły śmiech.

- Żadna nie mogła być bardziej nieprawdopodobna od prawdy. Ale zostawmy to na razie...

- Nie. Nie zostawiamy. Chcę wiedzieć. Myślę, że mam prawo wiedzieć.

- Kate - powiedział, a jego głos znów złagodniał. Wyciągnął rękę i dotknął grzbietu mojej dłoni. - Proszę. Powiem ci, obiecuję. Tylko nie teraz. Myślę... - przerwał. - Myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy się najpierw lepiej poznali.

Jego głos był tak czarujący, tak urzekający, że wszystkie obiekcje wyparowały mi z głowy.

- A l e dlaczego? - spytałam, próbując przywołać resztki zdrowego rozsądku. - Dlaczego teraz to jest w porządku, skoro wcześniej nie było?

- Nie jest w porządku. To niewłaściwe. Ale doszedłem do punktu, w którym już o to nie dbam. Nie potrafię znieść życia bez ciebie i byłem skończonym idiotą, myśląc, że mógłbym... - powstrzymał się. Jego dłoń, która

pieściła moje palce, ujęła teraz moją i impulsywnie pociągnęła ją w górę, by mógł musnąć ją ustami.

Poczułam łyzy zbierające się pod powiekami i cofnęłam rękę.

- Cóż, cieszę się - powiedziałam stanowczo - bo ja też za tobą tęskniłam.

- Och, Kate - westchnął, odwracając twarz. Zapatrzył się na coś za oknem.

- Dlaczego - rzuciłam w gęste powietrze między nami - próbowałeś mnie znaleźć?

- Ach... Chciałem ci po prostu powiedzieć, że rozmawiałem z panią Martinez z „Post” i to, co ukaże się jutro, będzie dość niewinne. Poprosiłem ją, żeby nie wymieniała twojego nazwiska, ale odparła, że i tak już jest znane, więc... - Wzruszył ramionami. - Przykro mi.

- Nie. Zrobiłeś, co mogłeś. To naprawdę nie jest takie ważne. Jakoś się rozejdzie. Trochę przykrości ze strony kolegów przez kilka dni, które jakoś zniosę. I dziękuję - dodałam. - Nie musiałeś tego robić.

- Przynajmniej tyle mogłem.

- Julianie, uratowałeś mnie przed poważnym pobięciem. Może i przed czymś gorszym. I zwróciłeś na siebie mnóstwo niepożądaney uwagi. A więc to ja powinnam próbować ci to jakoś zrekompensować.

- Boże, Kate! - wybuchnął. - Tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie! Chryste, co by było, gdybym się tam nie znalazł wczoraj w nocy?

Znów wbiłam wzrok w kolana i nic nie odpowiedziałam.

Na Siedemdziesiątej Dziewiątej skręciliśmy w prawo i dojechaliśmy alejami do mojego mieszkania.

- Cóż - powiedziałam. - Taka już jestem.

- Tak - przyznał.

Szofer wysiadł i otworzył mi drzwi.

- Eee... chciałbyś wejść? To znaczy nie wejść. Po prostu zająć - dodałam szybko. - Żeby porozmawiać.

Jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Tak, chciałbym - odparł, wysiadając z samochodu.

Odwrócił się jeszcze do szofera i cicho powiedział mu kilka słów. Mężczyzna kiwnął głową i wsiadł z powrotem do auta.

- Co mu powiedziałeś? - chciałam wiedzieć. - Bo nie zostajesz na noc. Przecież wiesz. Aż taka łatwa nie jestem.

- Oczywiście, że nie. - Wydawał się wstrząśnięty.

- Ma tylko zaparkować kawałek dalej.

- No to dobrze. A teraz muszę cię ostrzec - powiedziałam, gdy otwierał mi drzwi do holu. - Moja współlokatorka jest trochę... cóż, sam zobaczysz, co mam na myśli. Jeśli w ogóle jest w domu. A pewnie jej nie ma. Cześć, Joey!

Joey stał przy telefonie. Gdy nas zobaczył, uniósł brwi tak wysoko, że prawie dosięgły mu linii włosów.

- Dobranoc, Kate - powiedział znacząco, gdy mijaliśmy recepcję.

Wcisnęłam guzik, by przywołać windę. Drzwi natychmiast się otworzyły i weszliśmy do środka.

- Które piętro? - spytał Julian.

- Siódme.

- No więc - zauważył, gdy drzwi się zamknęły. - Joey wyglądał na zdziwionego.

- Nieczęsto sprowadzam do domu mężczyzn.

- Naprawdę?

- Tak właściwie to wcale - przyznałam. - Po college'u tak jakby skończyłam z randkami.

- Och. A dlaczego?

- Zbyt wielu... Jakiego to słowa użyłeś? Drani?

Winda się otworzyła i poprowadziłam go korytarzem do mojego mieszkania.

- Zobaczmy, czy jest Brooke - powiedziałał ponuro, wsuwając klucz do zamka. - Przepraszam. To nie do końca to, do czego jesteś przyzwyczajony.

- Nic nie szkodzi - odparł.

- Nawet nie zajrzałeś do środka.

- Cóż, no to wejdźmy - ponaglił mnie. - Jestem tuż za tobą.

Przeszłam przez próg, wstrzymując oddech z nadzieją, że Brooke jak zwykle poszła pobiegać.

- Brooke?! - zawołałam.

Bez odpowiedzi. Dzięki Bogu.

- Jeszcze jej nie ma - poinformowałam Juliana, zapalając lampę przy wejściu. - Ta specjalna atrakcja będzie

musiała jeszcze trochę poczekać. No więc, to by było na tyle. Typowe manhattańskie mieszkanie. Duży pokój, wnęka kuchenna, dwie sypialnie dalej w korytarzu. Brooke tu rządzi. To jej mieszkanie. A tak właściwie to jej rodziców. Kupili je dla niej w prezencie, gdy skończyła studia. Płacę jej czynsz.

Uśmiechnął się wyrozumiale z powodu potoku moich słów i przeszedł do dużego pokoju, wypełniając przestrzeń swoim dostojenstwem.

- A jak udało ci się trafić na taką przyjemną aranżację?

- Craigslist. Usiądź. Napijesz się czegoś? Wody? Kawy? Mam taką francuską maszynkę. Całkiem nieźle smakuje.

- W takim razie kawa. Ale pozwól, że ci pomogę - powiedział, idąc za mną do maleńkiej wnęki kuchennej.

- Och, nie trzeba - zaprotestowałam.

W zlewie wciąż było pełno naczyń po śniadaniu, które zostawiła Brooke. Jajecznica, sądząc po wyglądzie patelni. Nawet ich nie zalała wodą i resztki stwardniały jak emalia.

- Przepraszam za ten bałagan - powiedziałam, odkręcając kran i napełniając zlew. - Wychodzę sporo wcześniej niż moja współlokatorka i nigdy nie wiem, co zastanę, kiedy wrócę.

- Kochanie - powiedział. - Nie musisz za wszystko przeproszać.

- Robię tak? Przepraszam? - Poczulałam cudowne łaskotanie w uszach. Znów „kochanie”.

- Tak. No to gdzie jest ten twój ekspres do kawy?

- O, tu - wskazałam, sięgając po niego.

- Nie, ja się tym zajmę. Powiedz mi tylko, co mam robić.

On robił kawę, a ja zmywałam naczynia. Śmiało się i wchodziliśmy sobie w drogę - ja w mojej sukni, a on w smokingu, jak w jakiejś dziwacznej domowej komedii - i w jakiś sposób sztywność pomiędzy nami zamieniła się w poufałość.

- No to mów - powiedziałam, gdy wreszcie usiedliśmy na sofie z filiżankami kawy w ręce. Zsunęłam buty i schowałam stopy pod suknię.

- O czym? - spytał, ostrożnie upijając łyk. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i przyjemności.

- Widzisz? Jest całkiem niezły - powiedziałam z dumą. - Prezent od brata na nowe mieszkanie.

- Opowiedz mi o swoim bracie.

- O Kyle'u? Cóż, dalej mieszka w Wisconsin. Wciąż jeszcze studiuje. Jest na ostatnim roku. To świetny facet. Uwielbia bejsbol. Ale studiuje księgowość.

- Można tutaj studiować księgowość? - roześmiał się.

- Jasne, że można. Tu, w Ameryce nie traktujemy sztuk wyzwolonych tak rygorystycznie.

- Jesteście z sobą blisko? Ty i twój brat?

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę.

- Właściwie to średnio. To znaczy, nie wywnętrzam się przed nim, ale wiem, że w razie potrzeby mogę na niego liczyć. Piszemy do siebie mnóstwo maili. Wciąż ma nadzieję, że wpadnę na jakiegoś ważniaka z Yankees i zdobędę dla niego autograf.

Uśmiechnął się, bawiąc się filiżanką.

- A twoi rodzice?

- To co zwykle - wzruszyłam ramionami. - Nie wiem, co powiedzieć, naprawdę. Po prostu rodzice. Tata pracuje w ubezpieczeniach, a mama była kiedyś nauczycielką. Wciąż bierze zastępstwa, kiedy zaczyna się sezon grypy i przeziębień i w szkole brakuje personelu. - Upiłam łyk kawy. - Lubi czytać i pracować w ogródku. W sumie to typowe.

- Masz szczęście.

- A twoi rodzice? Jacy byli?

- Moi rodzice. - Spojrzał na mnie z ukosa i uniósł filiżankę do ust. - Nie jestem pewien, czy potrafię to właściwie wyjaśnić.

- Tajni agenci, co? Jesteś ukrywanym nieślubnym dzieckiem Bonda i MoneyPENNY?

Zakrztusił się kawą.

- O, do diabła! To aż takie oczywiste?

- Pobrałam ci próbkę DNA. Słuchaj - powiedziałam, gwałtownie odstawiając moją filiżankę. - Masz coś przeciwno, żeby się przebrała?

- Mam - odparł z powagą. - Podoba mi się ta suknia. Ale się nie krępuj. Pewnie to większa przyjemność dla mnie cię w niej oglądać, niż dla ciebie ją nosić.

- Coś w tym stylu. Zaraz wracam.

- Będę czekać - zapewnił.

Ruszyłam krótkim korytarzem do mojej sypialni. Chciałam się przebrać, to była prawda. Suknia nie do końca była wygodna. Ale bardziej palącym imperatywem było to, że po całym tym szampanie i podnieceniu mój pęcherz niemal eksplodował. Skręciłam się jak precel, odsunęłam zamek błyskawiczny sukni, włożyłam stanik i moje domowe ubranie: bezrękawnik, spodnie do jogi i rozpinany sweter. Potem poszłam do łazienki i wzdrygnęłam się na widok swojego odbicia w lustrze. Wyglądałam jak opętana. Moja skóra płonęła rumieńcem, a moje nijakie szare oczy wydawały się niemal srebrne. Wysunęłam spinki z włosów, rozpuściłam je i potrząsnęłam głową, a potem znalazłam gumkę, żeby spiąć falujące kosmyki, by nie spadały mi na twarz. Gdy wróciłam, stał i oglądał zdjęcia stojące na parapecie.

- To ja i moje najlepsze przyjaciółki - wyjaśniłam.

- Michelle i Samantha. W wakacje po college'u wybrałyśmy się do Europy. To chyba było w Paryżu.

- Tak, w Paryżu - powiedział łagodnie. Odwrócił się i spojrzał na mnie. - Czuję się teraz dość absurdalnie - poskarżył się.

- Możesz sobie poluzować muszkę - zaproponowałam.

- Nie wychowano mnie tak, żebym sobie poluzowywał muszkę - zauważył, ale mimo to ją zdjął i rozpiął górny guzik koszuli, rozsuwając szpiczaste trójkąciki kołnierza. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni smokingu i wyjął kopertę. - To dla ciebie.

- Co to?

- Dotarłem na miejsce tuż przed zamknięciem cichej aukcji - wyjaśnił. - Czułem, że jestem ci winny coś więcej niż zwykłe przeprosiny po tym, jak się zachowałem w ostatnie święta.

- Nic mi nie jesteś winien. - Podejrzliwie przyglądałam się kopercie. - I lepiej, żeby to nie było to coś z Brianem Williamsem, bo nie mam ochoty na udział w programie na żywo.

Roześmiał się.

- To nie to. Otwórz.

Wzięłam od niego kopertę i wsunęłam palec pod skrzydełko.

- O nie! - powiedziałam, czując, jak cała krew odpływa mi z twarzy. - Nie, nie ma mowy! Nie dasz mi, powtarzam, nie dasz cholernego udziału w samolocie!

- Już to zrobiłem.

- Julianie, cena była... Nie chcę o tym nawet wspominać! To znaczy, była o wiele, wiele za wysoka.

- To była darowizna na cel charytatywny - odparł.

- Nie o to chodzi. Nie możesz mi po prostu dawać takich rzeczy.

- Dlaczego nie?

- Bo nie jestem tego typu dziewczyną! - wyrzuciłam z siebie, wpychając mu kopertę z powrotem do rąk.

Wzdrygnął się, przerażony.

- Nie o to mi chodziło! Nie spodziewam się...

- Wiem, że nie chciałeś... że to nie jest... ale widzisz... - usiłowałam mu wyjaśnić, ignorując gorąco, jakie znów poczułam na twarzy. - Czuję się jak słoń w składzie porcelany.

- Słoń?

- Och, proszę. Chodzi o to, kim jesteś, Julianie. O twoje... eee... twoje... - spojrzałam na swoje palce, nerwowo je skubiąc. Twoje pieniądze. To słowo na „p”. Po prostu je powiedz. Ale zamiast tego tylko westchnęłam. - Może usiądźmy. Równie dobrze możemy to mieć już za sobą.

- Co mieć za sobą?

- To. - Opadłam na sofę, zbierając się w sobie. - Zasada numer jeden. Nie wolno ci kupować mi drogich prezentów.

- Zdefiniuj „drogie”. - Usiadł obok mnie i założył rękę.

- Cóż - zaczęłam wyjaśniać - to trochę jak z pornografią. Kiedy ją widzisz, wiesz, co to. A ten prezent był zdecydowanie za drogi. O wiele, wiele za drogi.

- Obserwowałam jego twarz, która przybrała zadumany wyraz. - Słuchaj, lubię kwiaty. Uwielbiam ciemną czekoladę. Może nawet dzień w spa. Ale nic takiego, na co samej nie byłoby mnie stać. Nic, czego bym nie mogła odwzajemnić.

- Ale to przydatne - zaprotestował, podnosząc kopertę.

- Julian, bądź poważny. To znaczy, nie martwisz się...

- O co? - naciskał.

- ...że mogę być po prostu naciągaczką?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego?

- Kochanie - powiedział. - Wierz mi, potrafię poznać różnicę. Od urodzenia noszę taką cholerną plakietkę na szyi.

- Cóż. - Podciągnęłam kolana pod brodę. - To jest częścią ciebie. Nie rozumiesz? Muszę udowodnić samej sobie, że to prawda, że nie dbam o twoje miliony. Albo miliardy. Mniejsza z tym. Nie, nie mów nic! - Uniosłam dłoń. - Nie chcę nawet wiedzieć. Słuchaj, jak mam ci to wytłumaczyć? Nigdy nie chciałam być kopciuszką, który szuka bogatego faceta, żeby obsypał go diamentami. Zawsze chciałam sama do czegoś dojść i przeraża mnie, że... że od chwili, kiedy cię poznałam, poczułam tę... tę więź między nami. Więc może jednak chodzi o pieniądze. Może naprawdę jestem taką dziewczyną. Charlie powiedział dzisiaj coś...

- Charlie? - rzucił z rozdrażnieniem.

- Nie, ale to mi dało do myślenia. Bo to przecież oczywiste, że nie możemy oddzielić ciebie, Juliana, od tego, kim jesteś. Odniosłeś wielki sukces, a ja jestem kobietą i może po prostu jestem zaprogramowana, żeby na to reagować. Miliony lat ewolucji.

Uniósł jedną ze swoich długich prostych brwi.

- I to wszystko? Nie ma we mnie niczego, za co można by mnie polubić?

- Nie! Nie o to chodzi. Jesteś... - przerwałam, czując, że znów się mocniej rumienię. - Cóż, nie zamierzam ci tego wszystkiego wymieniać. Ale tak, to znaczy nie brakuje ci atrakcyjnych cech. To oczywiste... Jesteś na przykład dżentelmenem. Bardzo to lubię.

- Dziękuję. - Wydawał się rozbawiony.

- Albo może chodzi o twój wygląd, co czyni ze mnie jeszcze bardziej powierzchowną osobę.

- Kate - westchnął i dotknął moich palców. - Za bardzo to wszystko komplikujesz.

- Cóż, mam do tego skłonność.

- Pozwól więc, że ci to logicznie wytłumaczę. Codziennie masz kontakt z wieloma zamożnymi ludźmi. To wynika z natury twojej pracy. Jeden czy dwóch na pewno zebrało się na odwagę, żeby cię gdzieś zaprosić. Mam rację?

- Jeden czy dwóch - przyznałam.

- I przyjąłeś któreś z tych zaproszeń?

- Nie .

- Na przykład Paul Banner. Na pewno nie jest biedny.

- F u j !

- Widzisz? Proszę więc, pozwól, bym mógł sobie schlebiać, myśląc, że ten twój śliczny rumieniec - musnął palcem mój policzek - wynika z tego, że naprawdę coś do mnie czujesz. A ja zrobię co w mojej mocy, żeby sobie na to zasłużyć. - Zamilkł na chwilę. - Masz w tej chwili trochę cyniczną minę, wiesz? Nie ufasz mi?

- No cóż, nie. Szczerze mówiąc, naprawdę nie wiem, co się tutaj dzieje. Dlaczego tak nagle znikłeś i czemu wróciłeś? I dlaczego w ogóle to wszystko zacząłeś? Powinieneś imprezować z aktorkami i modelkami, a nie pić kawę z jakąś głupią analityczką.

- Dobry Boże! Naprawdę tak źle o mnie myślisz? I o sobie?

- Nie. Znam swoją wartość. Ale ona nie wzbudza natychmiastowego pociągu, prawda? Zwłaszcza u mężczyzny, który może przebierać w dziewczynach.

Uniósł filiżankę do ust, żeby ukryć uśmiech.

- Czyli mogę sobie przebierać?

- Och, proszę, Julian! Jesteś jak kocimiętka.

Kostyczny śmiech.

- Nie, jeśli ktoś trzyma się z dala od kotów.

- Cóż, może jestem jedną z nich. Skąd miałbyś to wiedzieć?

Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

- Może odrobiłem pracę domową? Może wiem o tobie wszystko?

Poderwałam głowę.

- Co takiego? Zrobiłeś to?

Wyraz rozbawienia znikł z jego twarzy. Przyglądał mi się długo i poważnie, a w kącikach jego oczu pojawiły się leciutkie linie zmarszczek: kawałek po kawałku wyciągał szwy, które trzymały mnie w całości.

- Tak - odparł, odstawiając filiżankę. - Przyznaję, że czasem się zdarzało mi celowo zjawić w miejscach, gdzie miałem nadzieję cię zobaczyć.

- Tak jak wczoraj wieczorem?

- Idealny wieczór na jogging. Pomyślałem, że możesz czuć podobnie. Nie zamierzałem cię śledzić, ale zaczęło się robić ciemno... - odwrócił wzrok. - Martwiłem się o ciebie.

Przyglądałam mu się przez chwilę, tej stronie jego twarzy, która była widoczna w świetle lampy: jej czystemu pięknu, jakby została stworzona swobodnymi pociągnięciami ręki jakiegoś mistrza. Lekki rumieniec wciąż zabarwiał mu skórę na policzkach dokładnie tak, jak zapamiętałam.

- Po prostu nie potrafię cię rozgryźć - powiedziałam wreszcie.

Znów na mnie spojrzał. Jego oczy ożyły.

- Nie potrafisz?

- To dlatego to było takie trudne, kiedy się ode mnie

odciąłeś. Bo tak dobrze o tobie myślałam. Kiedy weszłam do twojego domu, wszystko wydawało mi się takie znajome, jakbym cię znała, wiedziała o tobie wszystko. Może nie w szczegółach, ale to, co najważniejsze. Byłeś inny, interesujący i... i... taki jak trzeba. Wszystko wydawało się takie jak trzeba. - Oparłam czoło na kolanach, żeby nie musieć patrzeć na jego twarz. - I wtedy po prostu odszedłeś. Odrzuciłeś to.

- Kate - wyszeptał. - Bóg wie, że mam wiele wad, ale nigdy nie zamierzałem się tobą bawić. Jedną z moich największych... trosk w ostatnich miesiącach była obawa, że mogłem cię zranić. Co ty musisz o mnie myśleć!

Nie odpowiedziałam.

- Kate, spójrz na mnie.

- Nie mogę - odparłam przytłumionym głosem z kolanami przy ustach. - Nie potrafię jasno myśleć, kiedy tak na mnie patrzysz. Od trzech lat nie byłam nawet na randce, Julianie. Mam zerową odporność.

- Cóż, w moim wypadku trwało to znacznie dłużej. Więc jeśli ja mogę być dzielny, to ty też możesz.

Poczułam jego dłoń na podbródku. Jego twarz była bliżej, niż się spodziewałam, rozpalona tak jak moja.

- Chciałbym móc ci obiecać, że nie zranię cię więcej - powiedział. - Ale są pewne... okoliczności... których nie mogę ci wytłumaczyć w tej chwili. Jediną rzeczą więc, jaką mogę ci obiecać, jest to, że moje uczucia do ciebie są naprawdę bardzo rzeczywiste. I noszę je

w sobie dłużej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. Im mogę być i będę wierny, z całą pewnością. Rozumiesz mnie?

Kiwnęłam głową, zafascynowana.

- Och, spójrz tylko na siebie, kochanie - zniżył głos do szeptu. - Patrzysz na mnie tymi wielkimi srebrzystymi oczami, jakbyś czytała w moim sercu. Nie powinienem tu być z tobą, to wyjątkowo lekkomyślne z mojej strony, ale, do diabła, nie jestem już w stanie nic na to poradzić. - Przerwał i spuścił wzrok. - I nie mogę sobie tego wybaczyć - mruknął jakby do siebie. Potem znów podniósł wzrok i żarliwie powiedział: - Ale przynajmniej mogę cię zapewnić o tym, Kate, że nie istnieje dla mnie nikt inny. Nie będzie żadnej innej.

Nie sposób było wątpić w jego słowa czy choćby odewrwać od niego wzrok. Siedziałam w milczeniu, odwzajemniając jego spojrzenie, speszona i zafascynowana.

- Ale przecież ledwie mnie znasz - zauważyłam wreszcie.

- Znam cię.

Machnęłam ręką.

- Nie jestem żadnym materiałem na trofeum. Naprawdę powinieneś poczekać z tymi wszystkimi niezwykłymi obietnicami, aż sprawdzisz towar.

- Sądzę, że mam ogólne pojęcie.

Kąciki jego ust uniosły się w porozumiewawczym uśmiechu, niezupełnie zgodnie z dżentelmeńską etykietą.

- Ta twoja cholerna, ponętna suknia.

Roześmiałam się, zaskakując samą siebie.

- Szkoda, że nie widziałeś, jaką wybrała Alicia. I ty mówisz o plakietce na szyi.

- A to taka piękna szyja. - Jego prawa dłoń uniosła się, zadrżała i opadła z powrotem na kolana.

- W porządku. Nie mam nic przeciwko.

Odważnie wyciągnęłam rękę, ujęłam jego dłoń i i zamknęłam ją w moich. Była szeroka i silna, trochę szorstka, o długich eleganckich palcach i zadbanych paznokciach. Na grzbiecie miała złote włoski przypominające puch. Musnęłam je opuszką palca.

- Musisz kiedyś zagrać coś dla mnie.

- Zagram - obiecał.

- Gdzie byłeś ranny?

Odkaszlnęłam i uniosłam rękaw jego smokingu, odsłaniając nadgarstek. Nosił proste złote spinki.

- Mogę? - spytałam, dotykając jednej z nich.

Skinął głową. Ostrożnie wyjęłam ją i położyłam na stoliku. - Nie chcę sprawić ci bólu - powiedziałam, znów spoglądając mu w twarz.

- Nie sprawisz - zapewnił. - Już dawno się zagoiło.

Podciągnęłam rękaw prawie do łokcia. Po jego przedramieniu biegła długa nieregularna blizna z wyraźnym zagłębieniem pośrodku.

- O mój Boże! - westchnęłam. - Co ci się stało?

- Szkło - odparł. - Z przedniej szyby.

- Ale jest taka... poszarpana!

Przesunęłam palcem po grubej bliźnie otoczonej białymi punkcikami po szwach i moje oczy napełniły się łzami.

- Nie płacz - powiedział czule, dotykając drugą ręką mojego karku. Niemal dotykał mnie czołem. - To się stało tak dawno temu...

Spojrzałam na niego.

- Proszę, nie rób tego więcej.

- To bardzo mało prawdopodobne.

- Nie potrafię nawet znieść myśli o tym. Po prostu... ten ból...

- Cóż - przyznał - krwawiło jak diabli.

Jego lewa dłoń wciąż spoczywała na moim karku, bawiąc się kosmykami włosów. Uniosłam drugą do mojego policzka. Musnął go policzek, a potem podbródek. Zakreślił palcem łuk wokół mojego ucha, a potem przejechał nim w dół po szyi. Jego oczy śledziły tę drogę, przyglądając się każdemu szczegółowi mojej skóry.

- Od tak strasznie dawna pragnąłem to zrobić.

Czułam, że rozpadam się na kawałki. Byłam kompletnie wstrząśnięta. Miał mnie w garści. Opuściłam stopy z powrotem na podłogę i uniosłam dłoń do jego twarzy. Zmarszczył brwi, jakby to był dla niego jakiś wysiłek. Przesunęłam palcami po tych zmarszczkach, wygładzając je.

- To nie fair - powiedziałam. - Jesteś taki piękny.

- Cóż - odparł ze smutkiem. - Wszystko należy do ciebie.

Odwrócił głowę, by ucałować moją dłoń, a potem ujął moją twarz i musnął kciukiem usta, lekko je rozchylając, jakby pytał o pozwolenie. Zaciśnięłam wargi i odsunęłam się.

- Co się stało? - spytał.

- Kawowy oddech - powiedziałam.

Opuścił głowę i zaśmiał się rozpaczliwie.

- Kate, przecież ja też piłem kawę.

- Tak, ale na ciebie to nie będzie miało żadnego wpływu, prawda? - odparłam gorzko. - Jesteś Julianem Laurence'em i nie podlegasz tym samym prawom co normalni ludzie. Jestem pewna, że twój oddech będzie słodki i pachnący niezależnie od tego, ile kawy wypijesz, a mój będzie smakował jak kubek ze Starbucksa. Zatręchły kubek.

- Chodź tutaj - powiedział i pociągnął mnie w ramiona, trzęsąc się ze śmiechu. - To właśnie w tobie uwielbiam, Kate. Jesteś jedyna w swoim rodzaju. Od pierwszej chwili... - Objął mnie mocniej. - Chcę cię dokładnie taką. Nigdy nie chciałbym cię stracić.

Oparł się plecami o sofę, pociągając mnie za sobą, aż wygodnie spoczęłam na jego szerokiej klatce piersiowej, a atłas jego smokingu chłodził mój policzek.

- O, Boże - wyszeptałam, czując jego palce przesuwające się po moich plecach.

Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu. Słyszałam miarowe bicie jego serca tuż przy moim uchu - silny, powolny puls atlety. Rozległ się dzwonek. Podskoczyłam wystraszona.

- Co to? - spytał Julian.

- Nie mam pojęcia - odparłam, zerkając na zegar. Wpół do dwunastej. - To znaczy, Joey dzwoni z dołu, ale Brooke powinna mieć własny klucz. Albo może po prostu próbuje nas ostrzec...

Podeszłam do domofonu i wcisnęłam guzik.

- Halo?

- Kate, tu Joey. Masz gościa. - W jego głosie brzmiało dziwne napięcie.

- Kto to?

- Już ją posłałem na górę. Chciałem cię po prostu uprzedzić. - Usłyszałam jego śmiech, a potem się rozłączył.

Ja? Przyłożyłam dłoń do czoła i oparłam się o ścianę. Julian wstał.

- Co się dzieje? Twoja współlokatorka?

- Gorzej - jęknęłam. - Moja matka.

Rozdział 8

- Cześć, mamó - powiedziałam, otwierając drzwi.
- Nie miałam pojęcia, że przyjeżdżasz.

- Kochanie, zamartwiałam się na śmierć! Nie odbierałaś telefonu.

- Ach, tak. Chyba wciąż jest wyłączony.

Pocałowałam ją w policzek i uściśnięłam.

- Eee, mamó...

Było za późno. Zdążyła mnie już wyminąć i zajrzeć do dużego pokoju, gdzie stanęła jak wryta.

Julian postąpił krok naprzód. „Nie martw się”, zapewnił mnie kilka sekund temu. „Matki mnie uwielbiają”.

- Dobry wieczór, pani Wilson - powiedział tym swoim lirycznym głosem. - To dla mnie wielka przyjemność.

Po prostu się na niego gapiła: na jego twarz, sylwetkę, na to, jak wypełniał sobą atmosferę pokoju, na jego smoking i czarną muszkę zwisającą z poczuciem winy po jednej stronie rozpiętego kołnierzyka. Odchrząknęłam.

- Eee... mammo - zaczęłam. - To jest mój przyjaciel Julian. Julian Laurence.

- Och! - powiedziała ochryple.

Julian uśmiechnął się promiennie i wyciągnął rękę.

- Przyleciała pani dziś wieczorem, jak sędzę - stwierdził.

Położyła dłoń na jego dłoni i pozwoliła mu ją uścisnąć.

- Tak - odparła. - Tak strasznie martwiłam się o Kate. Mówiłam jej, kiedy wyprowadzała się do Nowego Jorku...

- Mammo, przecież tłumaczyłam ci... Nic mi nie jest. Nic takiego się nie stało.

- Widzę - powiedziała powoli, nie spuszczając oczu z Juliana - że wiele panu zawdzięczam, młody człowieku.

Skrzywiłam się. Młody człowieku. Na litość boską! Wzruszył ramionami.

- To nic takiego, zapewniam panią - odparł. - Kate świetnie potrafi radzić sobie sama. - A potem przyszła pora na gwóźdź programu, na ten jego piękny, szeroki, ciepły uśmiech, zabójcę kobiet.

Mama faktycznie uległa. Widziałam, jak jej twarz łagodnieje i mięknie niczym masło zostawione na słońcu. Popatrzyłam na Juliana. Przewróciłam oczami.

- No, chodź, mammo. Zostało jeszcze trochę kawy. Gdzie masz bagaż?

- Och - odparła. - Ten miły młody człowiek z dołu ma mi go przywieźć na górę.

- Chodzi ci o Joeya?

- Tak ma na imię?

- Musi pani usiąść, pani Wilson - powiedział Julian, wskazując na sofę. - Na pewno jest pani wyczerpana. O której pani przyleciała?

- O wpół do jedenastej - odrzekła.

- Przyniosę pani kawy. - Posłał mi pełne dezaprobaty spojrzenie.

Założyłam ręce na piersiach.

- Kubki są w szafce, na prawo od zlewu! - zawołałam za nim, gdy zniknął za rogiem kuchennej wnęki.

Mama spojrzała na mnie szerokimi ze zdziwienia oczami.

- Wow! - powiedziała bezgłośnie.

- Tak, wiem - mruknęłam.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Joey. Podeszłam do drzwi i otworzyłam.

- N o , proszę, Kate - uśmiechnął się znacząco.

- Wszystko w porządku?

- Świetnie, Joey. Po prostu świetnie. Dzięki.

Odebrałam od niego walizkę. Mama wreszcie wkroczyła w epokę nowoczesną i kupiła sobie czarną walizkę z kółkami zamiast starej usztywnianej samsonite z roku chyba 1962. Tak jak wszyscy obwiązała ją pośrodku tęczowym paskiem, żeby móc ją łatwo odróżnić na taśmo-ciagu. Zataszczyłam ją do dużego pokoju, gdzie Julian właśnie wręczał mamie kubek z kawą.

- Była trochę letnia - wyjaśnił - więc podgrzałem ją w mikrofalówce. Nie za gorąca?

- Och, jest świetna. Po prostu... świetna. - Patrzyła na przemian to na mnie, to na niego. - No więc... dzieci - podjęła. - Pewnie dobrze się bawiliście?

Posłałam jej wściekłe spojrzenie, nim odpowiedziałam.

- Doskonale. Byliśmy na imprezie charytatywnej w centrum. Julian podwiózł mnie do domu.

- I naprawdę powinienem już iść - oświadczył, zerkając na zegarek. - Przypuszczam, że przydałoby się wam trochę snu.

Mama wciągnęła powietrze w płuca.

- Nie chciałabym pana płoszyć, Julianie, jeśli zamierzał pan zostać na noc. Zawsze śpię tutaj, na tej starej dobrej sofie. - Poklepała ją, by podkreślić swoje słowa. - Jest naprawdę bardzo wygodna.

Niech mnie ktoś zabije.

- Jest pani nazbyt uprzejma, pani Wilson - odparł Julian z ledwie słyszalnym wahaniem w głosie. - Ale naprawdę muszę już iść. Jutro powinienem pojawić się wcześniej w pracy. To była prawdziwa przyjemność móc panią poznać. - Uśmiechnął się do mnie. - Wychowała pani niezwykłą córkę.

- Naprawdę, nie musi pan iść - nalegała.

- Mamo! - powiedziałam. - Ale Julian chce. Ja też chcę, żeby poszedł. To nie jest to, co myślisz.

- Och! - Znów patrzyła to na mnie, to na niego.
- A więc dobrze. Miło było pana poznać, panie Laurence.
Cieszę się, że moja dziewczynka ma kogoś, kto na nią uważa.

Otworzył usta, bez wątpienia zamierzając wygłosić jakąś dowcipną odpowiedź, ale nie dopuściłam do tego, stwierdzając energicznie:

- Odprowadzę cię do windy, Julianie.

- Tak jest! - odparł potulnie i mrugnął do mojej matki.

Odpowiedziała mu tym samym.

Wzięłam go pod ramię i zaciągnęłam do drzwi.

- I bez podglądania - rzuciłam przez ramię do matki, wyprowadzając go na korytarz.

Winda była tuż za rogiem. Wcisnęłam guzik i odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Znów założyłam ręce na piersiach. Uśmiechnął się i przyciągnął mnie do siebie.

- Naprawdę chcesz, żebym poszedł? - wymruczał mi do ucha.

- Akurat w tym momencie tak - odparłam, odsuwając od siebie kłęby mgły, które zdawały się spowijać mój mózg za każdym razem, kiedy mnie dotykał.

Cichy, stłumiony śmiech.

- Kiedy mogę cię znów zobaczyć?

- Zadzwoń do mojej asystentki. Pilnuje moich terminów.

- Kate - znów się roześmiał. - W takim razie cię zaskoczę.

Rozległ się dźwięk nadjeżdżającej windy i oplotłam go ramionami w pasie.

- Nie mogę się doczekać.

Zadzwonił dzwonek. Odsunęłam się i spojrzałam na niego. Obserwował mnie w skupieniu. Pochylił się i musnął ustami moje usta.

- Ja też - powiedział i wszedł do windy, gdy drzwi zaczynały się już zamykać.

- No dobra, mamó! - weszłam, zatraskując za sobą drzwi. - To był chyba najbardziej żenujący moment w całym moim życiu. Mniejsza z tym, że zsikałam się w majtki w pierwszej klasie. Mniejsza z tym, że schrzaniłam solo na koncercie chóru jazzowego. Na litość boską! Dlaczego to powiedziałaś?

- Co powiedziałam? - Zdążyła już wstać z sofy i była teraz zajęta sprzątaniem w kuchni, jak zwykle promieniując przy tym aurą moralnej wyższości.

- Och, wiesz co. „Nie chciałam pana płoszyć, Julia, nie, jeśli zamierzał pan zostać na noc” - powtórzyłam falsetem. - A my nie mieliśmy jeszcze nawet porządnej randki. Nawet się nie...

Podniosła wzrok.

- Nawet się nie co, kochanie?

- Nie całowaliśmy - burknęłam.

- Nie pocałował cię przed chwilą na dobranoc?

Spiorunowałam ją wzrokiem.

- Chyba ci mówiłam, żebyś nie podglądała.

- Och, kochanie - roześmiała się. - Nie musiałam podglądać, żeby to wiedzieć!

- Cóż - odparłam - to nie był prawdziwy pocałunek, więc zetrzyj sobie z twarzy ten uśmiezek. Na litość boską, jesteś moją matką! Nie powinnaś aprobować seksu! I to pod tym samym dachem! O, fuj! Śpię w sąsiednim pokoju!

- Cóż, w moim domu bym na to nie pozwoliła. Jeśli przyjedziesz z nim do mnie w odwiedziny, dostanie własny pokój. Ale to twój dom, kochanie. Możesz robić, co chcesz.

- A tobie by to nie przeszkadzało?

- Pewnie położyłabym sobie poduszkę na głowę - przyznała, po raz ostatni przecierając blat gąbką i wycierając ją nad zlewem. - Ale wiesz co? Jest niesamowicie przystojny!

- Tak, mamo. Wiem.

- I wygląda na to, że go zauroczyłaś.

- Cóż, chyba. Mam taką nadzieję.

Opadłam na sofę i spojrzałam na nią. Wyszła z wnęki kuchennej i teraz przesuwała swoją walizkę ze środka pokoju pod ścianę.

- To niesamowity facet, mamó.
- Tak wygląda, kochanie. - Zastanowiła się nad czymś. - To ten mężczyzna z parku?
- Eee... tak.
- O, rany - powiedziała, siadając obok mnie. - Jak go poznałaś?
- W pracy.
- W dzisiejszych czasach chyba tak to działa. - Poprawiła zegarek, by leżał dobrze na ręce. - Czy on naprawdę jest... całkiem bogaty? - Gapiłam się na białą kopertę leżącą na stoliku. - I jak się z tym czujesz?
- Co znaczy: „Jak się z tym czuję”? - warknęłam.
- W ostatnich latach poznałam wielu bogatych facetów. To takie ważne?
- Nic nie powiedziała. Moja matka jest cierpliwą kobietą. Poddałam się.
- W porządku, przepraszam. Wiem, o co ci chodziło. Tak, zgadza się, to trochę dziwne. Ale nie jest taki jak większość z nich. Nie szpanuje. Pieniądze są dla niego po prostu faktem, a nie... no, nie wiem... jakąś ważną częścią jego ego. To raczej nietypowe.
- Ma jeden z tych funduszy hedgingowych, tak?
- Prawie jakby wiedziała, co to jest.
- Tak. I to duży. Ale sześć lat temu zupełnie się nie liczył. Do wszystkiego doszedł sam.
- Pochodzi z bogatej rodziny?

- Nie jestem pewna - odpadam. - Niewiele mi o tym powiedział. Ale tak, tak myślę. Skąd wiedziałaś?

- Och, kochanie. To po prostu widać. - Nagle się zaśmiała.

- O co chodzi?

- Nie powinnam ci tego mówić. Zabijesz mnie.

- No co?

- Cóż, trochę przypominał mi mojego tatkę.

- Twojego tatkę?! Och, mamó! Jak mogłaś to powiedzieć? Tatkę?

Roześmiała się.

- Wiedziałaś, że będziesz miała ochotę mnie zabić. Ale to prawda. Wiesz, ma podobne maniery. Jest bardzo oficjalny, staromodny, jak sądzę. Dobrze wychowany. Otwiera ci drzwi?

- Tak - odparłam.

- No widzisz. Zatrzymaj go.

Zupełnie, jakby to było łatwe.

- No dobrze, mamó - poklepałam ją po kolanie. - Przygotujmy ci łóżko. A tak w ogóle, jak długo zostajesz?

- Mam lot powrotny w niedzielę rano. Wychodzi znacznie taniej niż w sobotę wieczorem.

Rozłożyłyśmy sofę i posłałyśmy ją, a potem po kolei poszłyśmy do łazienki.

- Zostawię Brooke karteczkę na drzwiach, żeby cię nie obudziła - powiedziałam.

- Ta twoja współlokatorka - pokręciła głową.
- Wiem, wiem. Dobranoc. - Pocałowałam ją w policzek.

- Dobranoc, kochanie!

Napisałam karteczkę, przykleiłam ją na drzwiach i poszłam spać. Przez długi czas nie mogłam zasnąć i leżąc, słuchałam, jak niespokojnie bije mi serce. Wmawiałam sobie, że to tylko kawa.

Frank, portier z porannej zmiany, spotkał mnie następnego dnia o wpół do siódmej tuż przy windzie.

- Masz gościa - oświadczył, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu i unosząc brwi. - Właśnie miałem dzwonić.

Serce podskoczyło mi do gardła. Zerknęłam nad ladą recepcji do holu. Stał tam Julian niesamowicie promienny i z białą papierową torebką w ręce. Podskoczyłam.

- Dzień dobry - powiedziałam.

- Dzień dobry.

Pocałował mnie lekko w usta i zdjął mi laptopa z ramienia.

- Pomyślałem, że podwiozę cię dzisiaj do pracy.

- Ale przecież to ci nie po drodze - zauważyłam.

- Gdyby było po drodze, nie byłoby to taką przyjemnością.

Wyprowadził mnie na zewnątrz, gdzie przy krawężniku stała lśniąca ciemnozielona maszyna. Otworzył mi

drzwi od strony pasażera. Schyliłam głowę i usadowiłam się na obitym skórą siedzeniu. Poczułam się jak w kokonie, otoczona wyświetlaczami, światełkami i uśpioną energią. Drzwi po drugiej stronie się otworzyły. Julian wszedł i uruchomił silnik.

- Niezły samochód - stwierdziłam, chwytając się siedzenia, gdy wyrwaliśmy do przodu.

- Niedawny nabytek. Trochę się obawiałem, że może ci się nie spodobać.

- Bije na głowę jazdę metrem. Co jest w tej torebce?

- Bajgle. To nie łamie zasad, prawda?

- Zależy od tego, gdzie je kupiłeś.

Zajrzałam do torebki. W środku było co najmniej pół tuzina lśniących, pulchnych bajgli, wciąż jeszcze ciepłych. Niebiański drożdżowy aromat uniósł się do mych nozdrzy.

- Nie byłem pewien, jaki smak lubisz - wyjaśnił
- więc wziąłem wszystkie.

Wybrałam jagodowy i wgrzyłam się w niego.

- Cudowne. A ty którego chcesz?

- Najchętniej jagodowego.

- Za późno. Cynamon i rodzyunki? - Podałam mu.

Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu, zajądając bajgle. Był cichym kierowcą, ograniczającym do minimum manewry i zmiany pasa ruchu i przewidującym zachowanie innych. Po kilku minutach gładko przyspieszyliśmy, wjeżdżając na FDR, i przekrzywiłam głowę, by nacieszyć się jego widokiem.

- No i jak spałeś? - spytałam.
- Okropnie. Tęskniłem za tobą. A ty?
- Tak naprawdę to całkiem nieźle. Miałam bardzo miłe sny.

Zerknął na mnie i się uśmiechnął.

- O czym?

- Przykro mi, to zostanie między mną i moją podświadomością. - Zamilkłam na chwilę. - Skąd wiedziałeś, że dziś wcześniej wychodzę do pracy?

- Och, nie wiedziałem. - Zerknął w lusterko i zjechał na lewy pas. - Chciałem poprosić Joeya, żeby po ciebie zadzwonił.

- Franka - poprawiłam go. - Joey pracuje wieczorem. A co, gdybym była w łóżku?

- Wyciągnąłbym cię z niego oczywiście. Sam zwykle jestem w pracy przed siódmą.

Spojrzałam na zegar na desce rozdzielczej.

- W takim razie spóźnisz się przeze mnie.

- Geoff może choć raz utrzymać pozycje.

- Kiedy myślę o wszystkich tych transakcjach, które przegapisz...

Roześmiał się.

- Nie przejmuj się tym. Rynek beze mnie przetrwa. Natomiast ja prawdopodobnie nie przetrwam bez ciebie.

Nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź. Zerknął na mnie.

- Wszystko w porządku?

- Tak - odparłam. - Nie mogę po prostu uwierzyć, że to się dzieje.

- T o ?

- Ty. Ja. To. Nigdy się tak nie czułam. Jakbym cię świetnie znała, a równocześnie wcale. A ty jeszcze mówisz takie śmieszne rzeczy, chociaż nawet się nie...

- Nawet nie co?

- Przecież wiesz. - Poczułam, jak na policzki nieubłagane wpełzają mi rumieńce. - Nawet się nie całowaliśmy.

Roześmiał się.

- No i co? Czyja to wina? Kawowy oddech, na litość boską! Mała kokietka. Ja w każdym razie całowałem cię wczoraj wieczorem. I dziś rano.

- Nie o to mi chodzi.

Milczał przez chwilę, a potem samochód gwałtownie skręcił, przecinając trzy pasy ruchu, i zjechał na pobocze, gdzie gwałtownie się zatrzymał.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnęłam, chwytając się kurczowo siedzenia.

Furgonetki i samochody dostawcze migały obok nas ze wściekle wyjąłymi klaksonami.

- Całuję cię - odparł i ujął moją twarz w te swoje wielkie dłonie o długich palcach, i pochylił usta nad moimi.

O Boże, wreszcie, delikatne muśnięcie, ciepłe, upojne i cudowne, cynamon, rodzyнки i coś jeszcze, coś nieopisanie

smakowitego, o Boże, chciałam więcej, ale wszystko kontrolował, najdoskonalsza samokontrola, zupełnie nie jak pierwszy pocałunek, nic niezręcznego, wszystko idealnie świadome, czubek jego aksamitnego języka muskający mój język, o Boże, doznanie wijące się we mnie jak płynący prąd. Jego dłonie czule przytrzymywały moją głowę, opuszki palców gładziły delikatne włoski na moich skroniach. Poczułam coś dziwnego za oczami i w piersiach, jakbym była lżejsza niż powietrze, przywiązana do samej siebie jedynie dotykiem dłoni i ust Juliana. Wsunęłam palce pod jego marynarkę, wpijając się w realność jego ciała przez cienkie warstwy koszuli i podkoszulka.

- Kate - wydał z siebie pomruk, z ustami przy moich ustach, gwałtownie przesuając ciało, a ja otoczyłam go drugim ramieniem, niemal unosząc się z siedzenia w desperackiej potrzebie, by się z nim połączyć.

Zatrzymał się, oddychając ciężko w skórę na moim obojczyku i obejmując dłońmi moje policzki. Czułam w nozdrzach ciepły zapach jego włosów.

- Wow! - powiedziałam. Słyszałam bicie swojego serca, szybkie i gwałtowne. - Dużo ćwiczysz?

Uniósł głowę i spojrzał na mnie. Jego twarz była zaledwie o kilka cali od mojej.

- Wcale.

- W takim razie masz naprawdę niezły instykt - stwierdziłam, przesuając kciukiem po jego dolnej wardze.

Przymknął oczy i pocałował go. Wycie klaksonu ciężarówki z naczepą wdarło się gwałtownie w zelektryzowane powietrze między nami.

- O mój Boże! - wrzasnęłam. - Zginiemy!

Odsunął się ze śmiechem i ostatni raz pieścotliwie dotknął mojego policzka.

- Prosiłaś o pocałunek.

- Ale nie natychmiast, w tej chwili!

Odwrociłam się i zobaczyłam falę pojazdów zbliżających się w naszą stronę.

- No, nie wiem. - Jego dłoń powędrowała do dźwigni zmiany biegów. - Ja przynajmniej uważam, że było warto.

Szybko zerknął we wsteczne lusterko, zwolnił sprzęgło i pomknęliśmy poboczem, wtapiając się z powrotem w ruch, tak jakby w ogóle nic się nie stało, jakby ta obiecująca teoria o nas nie zmieniła się właśnie w konkretny fakt, jakbyśmy nie byli innymi ludźmi niż ci, którzy pół godziny wcześniej wsiedli do samochodu.

Zjechaliśmy przy moście Brooklyńskim i lawirowaliśmy wąskimi, na wpół zakorkowanymi kanionami aż do Wall Street. Zatrzymaliśmy się przed budynkiem Sterling Bates z dramatycznym wyciem silnika.

- A jaki to jest właściwie samochód? - spytałam.

- Maserati - odparł, uśmiechając się szeroko.

- A ja dopiero co powiedziałam mamie, że nie jesteś szpanerem.

Mrugnął.

- Facet ma prawo raz na jakiś czas trochę się zabawić.

Wyszedł z samochodu i otworzył mi drzwi, gdy wciąż jeszcze zbierałam swoje rzeczy. Spróbowałam podźwignąć się w górę i zorientowałam się, że jego ręka jest pod moim łokciem.

- Dzięki - rzuciłam nieśmiało, poprawiając ubranie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Po prostu stał i mi się przyglądał. Jego szeroki uśmiech przybladł i teraz wydawał się bardziej tęskny niż szczęśliwy. Uświadomiłam sobie, że gapię się na jego usta, i odkaszlnęłam.

- Wiesz - powiedziałam, bawiąc się paskiem od torby z laptopem - nie byliśmy też jeszcze na prawdziwej randce.

- Chcesz, żebym odebrał cię o ósmej?

- Przykro mi - odparłam. - Mama wyjeżdża dopiero w niedzielę rano.

- No to niech do nas dołączy.

Parsknęłam.

- Naprawdę, Julianie, nie wydaje mi się, nawet Dante nie mógłby wymyślić czegoś gorszego niż to. Spróbuj jeszcze raz.

- Niedziela po południu?

- Mmm, przepraszam... Mam lekcje baletu. - Pochyliłam głowę i dodałam zakłopotana: - Nie mogę opuścić kolejnej, bo mnie wyrzuca.

- Balet? Nie miałem pojęcia. O której się kończy?

- W p ó ł do siódmej.

- Przyjadę po ciebie.

Jego uśmiech znów stał się szeroki. Wyciągnął rękę, by odsunąć kosmyk włosów, który wymsknął mi się z gumki.

- Miłego dnia, kochanie.

Odebrałam od niego torbę z laptopem.

- Tobie też - powiedziałam i ruszyłam szybkim krokiem w stronę wejścia do Sterling Bates, zanim zdołał mnie skusić do jakiegoś żenującego gestu.

Za plecami usłyszałam odległy, rasowy pomruk silnika jego maserati, który zagnał mnie do budynku.

Pocałunek Juliana płonął niczym neon na moich ustach, gdy przechodziłam przez kontrolę bezpieczeństwa i jechałam windą na moje piętro. Świat finansjery jest doskonale wykształconym mechanizmem do błyskawicznego przekazywania informacji i nic na Wall Street nie podróżuje szybciej niż sprośne plotki. Do tej pory wszyscy z firmy, jeśli nie całe to cholerne miasto, musieli już wiedzieć, że wczoraj wieczorem wyszłam z imprezy charytatywnej w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w towarzystwie Juliana Laurence'a. Zajęta chaosem podobnych, kłębiących mi się w głowie refleksji dotarłam do względnie bezpiecznego boksu i otworzyłam laptopa,

nim zdałam sobie sprawę, że po drodze nie wstąpiłam nawet na poranną kawę. Na szczęście okazało się, że kolejka w Starbucksie nie osiągnęła jeszcze swego porannego zenitu. Niecałe sześć minut później byłam więc już z powrotem przy moim biurku, z nerwami wciąż napiętymi jak postronki, i niemal usiadłam na kolanach Alicii Boxer.

- Alicia! - krzyknęłam.

Zerwała się z mojego krzesła.

- Och, Kate! Przepraszam. Szukałam tylko jednego pliku.

Mój głos stał się lodowaty.

- Trzymam wszystko na serwerze.

- Wiem. - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Ale nie mogłam go znaleźć, więc pomyślałam, że sprawdzę na twoim twardym dysku.

Spojrzałam na ekran laptopa.

- O jaki plik ci chodzi?

- Notatka z ofertą na te obligacje zamienne, nad którą pracujemy.

- Jest na serwerze. Pod „Klienci”.

- Och, „Klienci” - powtórzyła, jakby to było jakieś objawienie.

Wyglądała mizernie, miała pod oczami worki wielkości i koloru śliwek i ulizane włosy za uszami. Ale biorąc pod uwagę, jaka była nawalona poprzedniego wieczoru, i tak byłam zdumiona, że dotarła do biura tak wcześnie.

- Myślałam, że będziesz ją miała w swoim osobistym folderze dopóty, dopóki nie będzie gotowa.

- Skończyłam ją wczoraj, zanim wyszłam.

- Rany! Wydajna jesteś! A tak w ogóle, jak ci poszło wczoraj wieczorem? Słyszałam, że wyszłaś z Julianem Laurence'em. Nawet go tam nie widziałam.

- Tak jakby wpadliśmy na siebie na zewnątrz.

- Bardzo sprytnie! Podoba mi się. A nawiasem mówiąc, fajna wzmianka w „Page Six”. Rozdziewiczyl cię, co? Teraz naprawdę jesteś kimś w tym mieście.

- Uchowaj Boże! - powiedziałam. - Mogę? Mam mnóstwo pracy. Chciałabym się stąd wyrwać przed ósmą wieczorem.

- Hm. Czuję gorącą randkę. Zamknę ci jeszcze to okno. - Wyciągnęła rękę i kliknęła. Pojawił się pusty pulpit. - W porządku. Cały twój. Mówiłaś, że w folderze „Klienci”?

- Tak.

- Dobra. No to na razie.

Usiadłam na moim krześle, lekkim obrzydzeniem reagując na bijące od niego ciepło Alicii. O co w tym, u diabła, chodziło? Czemu węszyła na moim laptopie? Szukała jakiejś pożywki dla plotek?

- Charlie - powiedziałam dwie godziny później, gdy już się przywłókł i opadł na krzesło w sąsiednim boksie. - Czy na komputerze jest jakiś log, który by pokazywał, co było ostatnio otwierane?

- Tak, na pewno - odparł, upijając łyk kawy i z bólem przymykając oczy. - Ale będziesz musiała zapytać kogoś z informatyków. Nie masz przypadkiem advilu? Mój się, kurwa, przeterminował. Cokolwiek to oznacza.

- Chyba mam.

Sięgnęłam po torebkę i zaczęłam w niej szperać. Zwykle miałam przy sobie małe opakowanie na awaryjne sytuacje.

- Dzięki.

Popił trzy kapsułki kolejnym łykiem kawy.

- Tylko nie przedawkuj - powiedziałam. - A jak przedawkujesz, to mnie nie pozwij.

- Jasne, stara. To jak, widziałaś „Posta”?

- Jeszcze nie.

- No, daj spokój. Zaloguj się.

Unikałam tego przez cały rano, próbując przekonać siebie, że jeśli o tym nie przeczytałam, to to nie istnieje.

- No dobra - mruknęłam, klikając na „Post” w mojej liście zakładek.

Otworzyłam „Page Six”.

BOHATER OD FUNDUSZU HEDGINGOWEGO.
Tytani nowojorskiej finansjery rzadko słyną z rycerskości, ale ważniak z Southfield Associates, Julian Lawrence, dzielnie wyłamał się z tych schematów w środowy wieczór i niczym błędny rycerz uratował z opresji pewną szczęśliwą damę. Według raportów policyjnych

opublikowanych na stronie The Smoking Gun postawny finansista, znajdujący się na szczycie listy najbardziej pożądanych kawalerów, pospieszył na pomoc dwudziestopięcioletniej analityczce Kate Wilson, kiedy podczas uprawiania joggingu została zaatakowana w Central Parku, niedaleko od miejsca niestawnej napaści z 1989 roku, która trafiła na nagłówki gazet na całym świecie. Laurence, urodzony w Wielkiej Brytanii, zapanował nad nieznanym napastnikiem i przypilnował go aż do chwili, gdy pojawiła się policja i go aresztowała. Następnego ranka był już w pracy, gdzie dalej zarządzał swoim funduszem wartym dwadzieścia miliardów dolarów.

Odetchnęłam z ulgą.

- Oooh! Wcale nie jest tak źle.

- Bez jaj. Teraz jesteś znaną laską. Gratulacje.

Podaliśmy mu białą papierową torebkę nad ścianą boksu.

- Masz, zjedz sobie bajgla. Są dobre na kaca.

- Dzięki, stara. Mmm, cebulowy. Jesteś zajebista.

- Zamilkł i ostrożnie zaczął skubać bułkę. - Słyszałaś już najnowszą plotkę?

- Którą?

- Dziś wczesnie rano było posiedzenie komisji nadzorującej. Maklerzy mówią, że ktoś ma naprawdę dużo akcji, których musimy się pozbyć.

- Jak dużo?

- Nie wiem, ale na tyle dużo, żeby zwołać spotkanie w piątek rano. - Znów przymknął oczy, a potem spojrzął w sufit. - Mam nadzieję, że to nie wybuchnie, zanim stąd znikniemy. Potrzebuję ostatniej wypłaty na pieprzone czesne w szkole biznesu.

- Co to za transakcje? - spytałam.

- Kto to może wiedzieć. Pewnie jakieś popierdolone derywaty. - Przerwał i zaczął bębnić palcami o oparcie krzesła. - Słyszałem też - ciągnął powoli - że szczają krwią z powodu skali transakcji z Southfield.

- Z Southfield? - Zmarszczyłam brwi. - Gdzie to słyszałeś?

- Od kilku maklerów wczoraj wieczorem. Twój Laurence ma coś na ten temat do powiedzenia?

- Dlaczego wszyscy myślą, że Julian zdradza mi swoje tajemnice handlowe?

- Już dobrze, stara. Uspokój się. Rozumiem. Żadnego gadania o interesach w łóżku.

- Nie ma żadnego łóżka, Charlie. Nie wszyscy są tacy powaleni jak ty.

- Wow! *Touchśl* - powiedział z uznaniem.

Wydęłam usta i wpatrzyłam się w ekran laptopa.

- A wzrosła czy spadła? To znaczy ta skala transakcji...

- Wzrosła, stara. Sporo wzrosła. - Zachichotał.

- Pieprzony zbieg okoliczności, co?

- Idź do diabła, Charlie.
- Ho, ho! Już tam, kurwa, jestem, Kate.

Dałam mu chwilę spokoju, zanim znów się odezwałam.

- Słuchaj, mam do ciebie pytanie.
- Znowu? Cholera, Kate! Nie możesz sobie dziś poradzić sama? Mam pieprzonego, gigantycznego kaca.
- Chcę tylko wiedzieć, czemu wysłałeś Julianowi tego maila wczoraj wieczorem.

Jego wyszczerzona gęba przechyliła się na bok, by mógł na mnie spojrzeć.

- Bo miałem, kurwa, dość tej twojej miny zagubionego szczeniaczka. Oto dlaczego. Mówiłem ci, stara, choć raz pokaż, że masz pieprzone jaja.

Amiens

Ktoś był ze mną w pokoju i uparcie szeleścił, próbując zachowywać się cicho. Otworzyłam oczy.

- Julian? Kapitan Ashford?

- Tak mi przykro. Nie chciałem przeszkadzać.

Wyłonił się z jakiegoś kąta z zaniepokojoną miną.

- Dokładałem tylko trochę węgla. Zrobiło się strasznie chłodno. Jak się pani czuje?

Usiadłam na łóżku, pozwalając, by koc zsunął mi się na kolana. Wcześniej zostawiłam zapaloną lampę, ponieważ nie chciałam zapadać w zbyt głęboki sen, a jej przyćmiona poświata sprawiała, że wszystko wydawało się stare i zmęczone: niski sufit, który Julian niemal muskał głową, rdzawobrazowa plama wilgoci w kącie przy oknie, leniwie pełznąca po pożółkłej tapecie, niewielki żeliwny kominek z czarnymi od sadzy drzwiczkami... Pokój był nieduży. Julian stał uprzejmie przy kominku, jak

najdalej od łóżka, starając się nie podpalić, ale dzieliło nas najwyżej osiem pełnych intymności stóp.

- Znacznie lepiej, dziękuję. Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotów.

- Niech pani nie żartuje - przerwał skrepowany.

Wydawał się taki przystojny i kompetentny w tym znoszonym mundurze z wielkimi kieszeniami i mosiężnymi guzikami oraz w szerokim pasie z koalicijką. Mocno zaciśnięty węzeł na szyi dzielił kołnierz jego koszuli na identyczne połowy. A do tego ta chłopięca replika twarzy, którą ubóstwiałam. Uśmiechnęłam się i podciągnęłam kolana pod brodę.

- Czuje się pan niezręcznie, prawda? Niech zgadnę, co pan myśli. - Dostosowałam ton głosu do jego miękkiego, urywanego akcentu. - Do diabła, Ashford. Jak się, do cholery, wpakowałeś w ten bajzel? Obca kobieta w twoim łóżku o trzeciej po południu! Jak, u diabła, zamierzasz ją stamtąd wyciągnąć i jej się pozbyć, nie będąc przy tym nieuprzejmym?

Na jego twarz tak jak zawsze powoli wypełził promienny uśmiech.

- Tak naprawdę - powiedział - to nie jest pani nawet blisko.

- N i e ?

- Po pierwsze, nigdy nie używałbym takiego języka w pani obecności.

Wykrzywiłam usta.

- Och, bardzo przepraszam.

- A po drugie, jest już prawie piąta.

Zerknęłam w stronę okna.

- Tak mi przykro.

- Musi pani natychmiast skończyć z tym całym przepaszaniem.

- Wiem, to zły nawyk - zaśmiałam się słabo i odwróciłam w jego stronę. - Ale postawiłam pana w trudnej sytuacji, prawda? Miał pan czas popytać o pokój dla mnie? Proszę się nie przejmować, jeśli nie - dodałam.

- Potrafię sobie sama coś znaleźć. Teraz, kiedy trochę wypoczęłam, czuję się o wiele lepiej.

- Dziś wieczorem gospodyni będzie miała wolny pokój - oświadczył. - Jakiś gość wraca na front. Oczywiście może pani zostać tutaj. Przeniosę moje rzeczy na górę.

- Dzięki. Dziękuję. Pewnie i tak myśli pan już o mnie jak najgorzej, bo byłam tu bez przyzwoitki.

Roześmiał się.

- Nie potrzebuje pani przyzwoitki. Świetnie radzi pani sobie sama.

- Ale dziewczynom, jakie pan zna, coś takiego by się nie przytrafiło, prawda? - Wskazałam na pokój, na jego rzeczy w znaczący sposób złożone w kącie.

- Nie, ale pani nie jest jak inne dziewczyny, prawda?

- Najwyraźniej. W porównaniu z nimi pewnie klnę jak przekupka - uśmiechnęłam się ze skruchą. - Nie boi się pan tego, jaka jestem? Że może jestem jakąś tanią uwodzicielką?

Przekrzywił głowę, nadal się uśmiechając.

- A jest nią pani?

- Oczywiście, że nie. Jestem szanowaną wdową.

- Niemal udławiłam się tym słowem. - Ale skąd miałyby pan to wiedzieć?

- Kate - odparł. - To jest wypisane na twojej twarzy. W sposobie, w jaki trzymasz głowę.

Powietrze między nami zdawało się gęstnieć. Patrzyłam bezradnie na niego, na jego silną postać na tle ognia, ręce splecione za plecami, światło lampy rzucające tak głębokie cienie na jego twarz, że niemal mógłby mieć trzydzieści lat. Niemal wydawał się człowiekiem, którego znałam.

- Jest pan taki ufny - wyszeptałam.

Pokręcił głową.

- Tak naprawdę to wcale nie jestem taki bezkrytyczny.

- W takim razie czemu pan mi ufa?

Wyglądało na to, że potraktował to pytanie poważnie.

- Chyba dlatego - powiedział jakby do siebie - że mam niemal wrażenie, jakbym już panią znał. Jakbyśmy się wcześniej spotkali. Nigdy... Ale to absurd oczywiście. Przepraszam.

- To pewnie przez to, w jaki sposób do pana mówię. Zaczęłam jak jakaś bezczelna idiotka, zakładając różne rzeczy...

- A spotkaliśmy się wcześniej?

- Nie pamiętałby pan tego? Nigdy nie zapomina pan twarzy i nie bywa pan pijany.

Jego oczy się rozszerzyły. Objął się rękoma i zrobił - z tym swoim lwim wdziękiem - kilka kroków w stronę okna.

- Skąd może to pani wiedzieć? - zapytał.

- Po prostu wiem.

- To pani jasnowidzenie? - spytał łagodnie, nie patrząc na mnie.

- Wspominał pan chyba, że to stek bzdur.

- Zawsze tak myślałem. - Wbił palce w drewniany parapet.

- Julianie, zaufaj mi. Nie bój się tego.

- Nie boję się.

Odwrócił się i spojrzał mi w twarz szeroko otwartymi i zaciekawionymi oczami. Jego tęczęwki były jakby podświetlone uczuciem, świecącym rozpoznaniem. Dokładnie w taki sposób ja czułam się w jego obecności wiele miesięcy temu.

- I ufam pani - dodał.

- Naprawdę? To znaczy, naprawdę mi pan ufa? Wiem, że to głupie pytanie, przecież dopiero co mnie pan poznał, i to w wyjątkowo dziwacznych okolicznościach. - Oparłam podbródek na kolanach i przyglądałam mu się uważnie.
- Na moją obronę mogę powiedzieć jedynie, że może mi pan zaufać. Nigdy bym pana nie skrzywdziła, przenigdy!

- Kim pani jest? - wyszeptał.

W pokoiku zapanowała cisza. Jedyne elektryczna lampa zasyczała, zamigotała i zgasła, pograżając nas

w półmroku. Potem znów zamigotała, dokładnie w chwili, gdy sięgnęłam po świecę stojącą na stoliku przy łóżku.

- Przepraszam - powiedziałam. - Wciąż gaśnie. Proszę usiąść.

Zawahał się.

- Nie musi pan siadać obok mnie - zapewniłam.
- Wystarczy na krześle.

Podszedł i ostrożnie usiadł na łóżku kilka stóp ode mnie. Poczuałam w nozdrzach jego zapach - ostry i męski: woń mydła, wilgotnej wełny i dymu.

- Julianie, jest coś, o czym wiem i o czym muszę ci powiedzieć.

- Cóż to takiego? - spytał powściągliwie.

- Coś, co się dopiero wydarzy. Nie pytaj, skąd to wiem. To z tego powodu tutaj przybyłam, żeby ci ostrzec.

- Jak to możliwe...

- Nie wolno ci pytać, pamiętasz?

- Jak mógłbym nie pytać?

Sięgnęłam po jego niestawiającą oporu dłoń i ujęłam ją-

- Cóż, tu właśnie potrzebne ci będzie zaufanie. - Potarłam jego kciuk, zdumiona jego szorstkością i odciskami. To był kciuk robotnika. - Spójrz tylko na siebie. Widzę w twoich oczach powątpiewanie. I chyba nie mogę ci mieć tego za złe. Pewnie nie jestem najbardziej wiarygodną osobą, jaką w życiu spotkałeś.

- Nie wątpię w ciebie, Kate. W każdym razie nie w twoje intencje.

Uśmiechnęłam się.

- Chociaż tyle. Ale oznacza to, że w takim razie wątpisz w moje informacje. A może... a może myślisz, że mogę mieć rację, tylko nie chcesz tego usłyszeć?

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewien.

Jego dłoń zaczęła się oplatać wokół mojej.

- W takim razie powiem ci, dobrze? A wtedy o reszcie sam zdecydujesz. - Powoli zakreśliłam palcem krąg na grzbiecie jego dłoni. - Pozwolisz mi? Proszę.

Kiwnął głową.

- Dziękuję. A więc będzie tak: udasz się na nocny patrol, gdy tylko wrócisz na front. Czy to brzmi rozsądnie?

Kąciki jego ust uniosły się z wyrzutem.

- Nie trzeba być jasnowiedzem, żeby się tego domyślić. Na pewno wiesz, że byłem na dziesiątkach patroli.

- Wiem. Ty i ten twój heroizm. Ale ten patrol będzie inny, Julianie. Tym razem nie wrócisz bezpiecznie do okopów. Podczas niego coś ci się stanie, coś, co doprowadzi do twojej śmierci.

Zanim lampa znów zgasła, pozostawiając nas nagle w półmroku, zobaczyłam, jak jego twarz sztywnieje na ułamek sekundy.

- A więc proszę cię, Julianie, proszę, proszę - powiedziałam, usiłując zachować spokój, ale nie do końca mi się to udało. - Nie idź na ten patrol.

- Skąd to wiesz? - spytał spokojnie.
- Mówiłam, żebyś mnie o to nie pytał.
- Jak... - Zagryzł wargę.

Ścisnęłam mocniej jego rękę.

- Nie możesz mi po prostu zaufać? Obiecać mi, że znajdziesz kogoś innego, żeby poprowadził ten patrol?

Jego twarz spoważniała.

- Tego nie mogę zrobić.
- Nawet się nad tym nie zastanowisz?

- Oczywiście, że nie. Mam pozwolić, żeby za mnie zginął ktoś inny? - Pokręcił głową. - Tak czy inaczej, za każdym razem, kiedy wystawiam głowę, narażam się na ryzyko, że zginę. Jest wojna.

- Ale ja to wiem - powiedziałam błagalnie. - To jest realne, Julianie.

- Nie chodzi o to, czy mówisz prawdę - stwierdził łagodnie. - Choć w to nie wątpię. Ale na pewno rozumiesz, że nie opuszcza się towarzyszy. Człowiek nie uchyla się od swoich obowiązków z lęku przed śmiercią.

- Lęku przed śmiercią? Julianie, to jest absolutnie pewne!

- Tym bardziej powinienem iść, jeśli ta kula jest pisana mi.

- Przede wszystkim chodzi o pocisk artyleryjski, a nie kulę.

- A co z człowiekiem, który umrze zamiast mnie? Co mam napisać w liście do jego matki?

- A co z listem do twojej matki? - wybuchłam w desperacji, uświadamiając sobie, jak bardzo się przeliczyłam. - Proszę, uwierz mi. Zginiesz. To pewne, Julianie. Nie możesz mi tego zrobić. - Zsunęłam się z łóżka i padłam przed nim na kolana. - Proszę! Proszę, wysłuchaj mnie. Co mam jeszcze powiedzieć? Co mam zrobić?

Chwycił moje ręce i wstał, podnosząc mnie.

- Nie rób tego, Kate. Nie. Mój aniele, co ty mówisz? Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Jeśli mnie znasz, tak jak mówisz, to wiesz, że nie mogę zrezygnować z tego patrolu, zrzucić tego brzemienia na kogoś innego. Nie proś mnie o to.

Patrzyłam na szorstką wełnę jego munduru, na ponurą brązową plamę po prawej stronie, tuż pod jego pasem, okrągłą i złowróżbną. Wstałam i uwolniłam ręce.

- Nie - powiedziałam smutno. - Oczywiście, że nie. Nie wiem, co sobie myślałam. Że po prostu ci powiem, bez całej reszty... Ale to nie zadziała.

- Bez całej reszty?

Nie sposób było odgadnąć wyrazu jego twarzy, teraz ukrytej w cieniu.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Wiem, że dziś wieczorem wychodzisz z Geoffem, Arthurem i swoimi pułkownikami. Mógłbyś wyświadczyć mi jedną przysługę?

- O cokolwiek poprosisz - odparł łagodnie.

- Mógłbyś zajrzeć do mojego pokoju, kiedy wrócisz? To nic... nic nieprzyzwoitego... chyba tak to się mówi.

Po prostu, żeby porozmawiać. Mam ci do powiedzenia coś jeszcze. Ale trudno to wyjaśnić. Być może nawet mi nie uwierzysz.

Przyglądał mi się tak intensywnie, że zaczęłam się rumienić. Zacisnęłam dłonie w pięści, wbijając sobie paznokcie w skórę. Nie obejmę go, nie wyciągnę ręki, nie przytulę. To nie był mój Julian.

- Proszę - powiedziałam, gdy wciąż milczał. - Gdybyś wiedział, z jak daleka przybyłam, jak ciężką walkę stoczyłam, żeby cię odnaleźć.

- Ale dlaczego? - nalegał. - Jestem dla ciebie obcym człowiekiem.

- Czy miałbyś mi za złe, gdybym obiecała, że powiem ci później? Bo samo w sobie trudno to wyjaśnić.

Staliśmy tak blisko siebie, że ledwie mogłam oddychać z obawy, że jego zapach doprowadzi mnie do szaleństwa. Jego prawa dłoń uniosła się, jakby coś chwytając, a potem znów opadła.

- Kate - powiedział. - Wyślę wiadomość Warwickowi i Hamiltonowi, jakoś się usprawiedliwię. Deszcz ustał. Możemy pójść na kolację. Czy tak będzie dobrze?

- Nabiorą podejrzeń. Moja reputacja będzie zrujnowana.

- Powiem im, że źle się czuję. Że jestem wykończony. Że zostanę w pokoju.

- Nie mam nic odpowiedniego, w co mogłabym się ubrać - powiedziałam.

- To nie ma znaczenia. Wyglądasz ślicznie.
- Może mi się znów zrobić niedobrze.
- Znajdę ci jakąś miskę. Proszę, Kate! - Znów uniósł dłoń, tym razem pewniej, i musnął mój łokieć.

Nowe bryłki węgla wreszcie zajęły się ogniem i syczały z nową siłą, by ogrzać powietrze wokół nas.

- Nie sposób ci się oprzeć - odparłam. - Wiedziałeś o tym?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, szerokim i promiennym.

- A więc dobrze, kapitanie Ashford - westchnęłam.
- Pójdziemy na randkę.

Rozdział 9

Julian stał i czekał na mnie w snopie dziennego światła na tyłach szkółki baletowej. Założył ręce na piersi i w osobliwy sposób się uśmiechał.

- Podobno nie wpuszczają tutaj publiczności - poskarżyłam się, by zamaskować drżenie mojego serca na jego widok.

Przez ostatnie dwa dni nieustannie o nim myślałam i wciąż nie byłam do końca przygotowana na rzeczywistość. Stał oto tutaj, wysoki, barczysty i pełen życia, promieniujący swą urodą. Patrzył na mnie z blaskiem w tych cudownych oczach.

- Udało mi się przekonać recepcjonistkę, żeby zrobiła wyjątek - odparł, podchodząc do mnie, by pocałować mnie w usta.

Inne tancerki przechodziły obok nas, oglądając się z zaciekawieniem.

- Założę się - westchnęłam. - No więc ile widziałeś?

- Tylko ostatnie dziesięć minut. - Kąciki jego ust uniosły się w ten ciepły sposób. - Wystarczająco dużo, żebyś na nowo mnie oczarowała.

- Och, proszę cię. W sumie to potrafię najmniej ze wszystkich tych kobiet na sali. Wszystkie robią to od trzeciego roku życia. Ja zaczęłam się tym zajmować ponownie w ubiegłym roku. Właściwie to zapomniałam wszystko.

Leciutko pokręcił głową, nadal się uśmiechając.

- Patrzyłem na ciebie jak zahipnotyzowany.

Moje oczy powędrowały w dół i utkwiłam spojrzeniem w białym kołnierzyku jego koszuli, widocznym nad wcięciem swetra. Ostatni guzik był rozpięty.

- Chyba lepiej się już przebiorę - powiedziałam. - Możesz tym razem poczekać przy wejściu, tak jak wszyscy?

- Spróbuję.

- I bez zagadywania recepcjonistki, dobrze?

- Nikogo nie zagadywałem - zaprotekował.

Zastanawiałam się nad tym w przebieralni, wciągając spodnie do jogi i bluzę z kapturem.

- Wydaje mi się, że znalazłam twoją najgorszą wadę - stwierdziłam kilka minut później, gdy ruszyliśmy w stronę wind.

- Którą?

- Jesteś taki pewny siebie. Dokładnie wiesz, jak oddziałujesz na kobiety, i nie masz żadnych skrupułów, żeby to wykorzystywać.

- Tak właśnie myślisz?

- Och, jestem o tym przekonana. Daj spokój. Wykorystałaś to na mnie. Wiedziałaś, że na pewno podziąła.

- Nie z tego powodu, co myślisz. Ale tak czy inaczej, to raczej nie jest najgorsza wada z możliwych. - Zerknął niecierpliwie na zegarek. - Chodźmy po prostu schodami. To tylko trzy piętra.

Znaleźliśmy drzwi na klatkę schodową i zeszlismy na parter.

- No to z jakiego powodu? - spytałam rozdrażniona, bo sam to przyznał. - Skąd wiedziałaś, że na pewno podziąła?

Otworzył drzwi i przepuścił mnie przodem.

- Trudno to wyjaśnić. Pozwól, że ujmę to tak: gdy zobaczyłem cię w tej sali konferencyjnej, doznałem wrażenia, jakbym cię już znał. I wydawało mi się, że ty też to poczułaś.

- Naprawdę?

Zmarszczyłam brwi, próbując sobie przypomnieć szczegóły naszego spotkania. Byłam wtedy tak oszołomiona, rozproszona pociągiem do niego, że trudno mi było dokładnie określić moje emocje.

- Cóż, może się myliłem. - Wzruszył ramionami, wchodząc za mną w obrotowe drzwi i dalej, na tętniący życiem, nierówny chodnik przy Osiemdziesiątej Szóstej. - Wydawało mi się to takie naturalne, że czujesz to samo przyciąganie co ja. Miałem wrażenie, jakby coś wskoczyło na swoje miejsce.

- Och, a więc tak to działa dla facetów takich jak ty? Po prostu czujesz ten pociąg, a dziewczyna robi, co chcesz?

- Świadomie nie chcesz mnie zrozumieć. A tak w ogóle to dokąd chciałybyś pójść?

Staliśmy na rogu Osiemdziesiątej Szóstej i Lexington, zwróceni na wschód, w stronę parku.

- No cóż, chyba powinnam iść do domu i się przebrać, prawda?

Skręciliśmy w lewo i ruszyliśmy Lexington. Po wczorajszym deszczowym interludium wróciła ładna pogoda i teraz chodniki roiły się od ludzi, wózków i oślepiających snopów światła padających spomiędzy przypominających bawełnę chmur.

- Wydajesz się przekonana - powiedział, podejmując wątek naszej rozmowy - że jestem jakimś... jakimś playboyem. Tak to się chyba nazywa.

- Ja tego nie powiedziałam.

- Oskarżałaś mnie, że zadaję się z modelkami i aktorkami...

- Nigdy cię nie oskarżałam! Po prostu myślałam, że są... no, wiesz... w twoim stylu. Jesteś przecież atrakcyjnym mężczyzną i odniosłeś wielki sukces.

- Tym, czego nigdy nie zrozumieć we współczesnym świecie, jest ta fascynacja... jak to się mówi... celebrytami. Oczywiście każda epoka ma swoje fiksacje, ale to trochę tak, jakby próżność nagle zmieniła się z grzechu w cnotę.

- Ale przecież wszyscy jesteśmy próżni - zauważyłam. - To znaczy, wszyscy to kupujemy, prawda?

Szliśmy w milczeniu przez jakiś czas z oczyma utkwionymi gdzieś w chodniku kilka stóp przed sobą.

- Kate - powiedział wreszcie. - To pewnie banał, a pod pewnymi względami wątpliwy komplement mówić o duchowym pięknie. Nie chcę w żaden sposób umniejszać twojej urody, która, szczerze mówiąc, zapiera mi dech w piersiach, ale nie potrafię sobie wyobrazić, bym mógł czuć coś takiego tylko z powodu ładnej buzi. To ta cała reszta, ta twoja... natura.

Próbowałam coś powiedzieć, ale gardło miałam ściśnięte jak w imadle. Oboje przystanęliśmy i pociągnął mnie do niewielkiej wnęki przy małym sklepiku z owocami.

- Zawsze masz dla mnie jakąś niespodziankę, Kate. Jakiś nowy aspekt, którego nigdy nawet w tobie nie podejrzewałam. Tak jak ten twój taniec.

- Och, daj spokój! Naprawdę nie jestem aż tak dobra. Wzruszył ramionami.

- Mówisz o technicznych umiejętnościach - odparł - których w ogóle nie jestem w stanie ocenić. Widziałem tylko, jak się poruszasz, z jakim naturalnym wdziękiem. Jakbyś płynęła w powietrzu. Posiadasz jakąś wrodzoną godność, kochanie, i przejawia się ona w sposób, który mnie fascynuje.

Aż do tego momentu próbowałam trzymać pod kontrolą to zauroczenie Julianem Laurence'em. Znałam

własne słabości i wrażliwe punkty; wszelkie romantyczne złudzenia straciłam już dawno temu. Zmiażdżyło je, z brutalną skutecznością, piekielne koło życia w college'u. Pierwszego poznałam, tak jak to zwykle bywa z dziewczynami, które późno dojrzewają, w bibliotece. Było to tuż po feriach z okazji Święta Dziękczynienia. Był uroczym, pewnym siebie studentem ostatniego roku, przystojnym, o sennych oczach. Takim, o jakim marzyłam. Flirtowaliśmy jakiś tydzień czy dwa, nim zaprosił mnie do kina z grupką przyjaciół - oczywiście wyłącznie własnych - a potem na mecz Packersów w jego domu poza kampusem. Później zdałam sobie sprawę, że były to dość zaangażowane zaloty jak na obowiązujące standardy.

Siedziałam na kanapie w dużym pokoju, otoczona jego współlokatorami, jedząc czerstwe chipsy z sosem salsa i popijając z butelki budweisera light. Podczas przerwy w meczu wstał i wyszedł do przedpokoju i jakąś minutę później dobiegł mnie jego głos: „Hej, Kate, chodź do mnie do pokoju, chcę ci coś pokazać”. Dźwignęłam się z zapadającej się sofy i poczułam, jak jego koledzy odwracają wzrok. Przeszłam wąskim korytarzem pełnym kawalerskich zapachów starego piwa i starego prania, przytłumionych wonią jakiegoś odświeżacza powietrza. Pomyślałam: A więc tak to wygląda. Może to nie to, o czym marzyłaś, ale tak to się robi w prawdziwym świecie. Nie bądź świętoszką, nie bądź tchórzem. Podążaj za programem.

Gdy już zdjęliśmy ubrania, wyrzuciłam z siebie - naprawdę zakłopotana - że jestem dziewicą, a on powiedział: „Och, w porządku. Nie musimy iść na całość”. I technicznie rzecz biorąc, nie poszliśmy. Ale godzinę później, gdy wracałam na rowerze do dormitorium, tej zimnej, rozgwieżdżonej nocy, moje dłonie wciąż drżały i paliły, a ciało wydawało się dziwnie twarde pod naciśnięciem siodełka roweru, i wiedziałam, że straciłam już niewinność.

Umówił się ze mną jeszcze kilka razy - wówczas jeszcze nie znałam określenia „seks bez zobowiązań” - a potem nadeszły ferie świąteczne i zupełnie o mnie zapomniał. Gdzieś na wiosnę znowu zadzwonił, bo jakiś przyjaciel powiedział mu, że przechwalałam się w całym dormitorium, że z nim spałam. Wyjąkałam, że to nieprawda, i ugięły się przede mną nogi, gdy przypomniałam sobie ten melancholijny piątkowy wieczór, gdy zwieryłam się zaufanej przyjaciółce. Odłożyłam słuchawkę i rozpłakałam się. Nie dlatego że niesprawiedliwie mnie zwymyślał albo wciąż mi na nim zależało, ale dlatego że kiedyś w tak intymny sposób dotykał mojego ciała, lecz zupełnie nic o mnie nie wiedział: nigdy nie zrozumiał, że dla mnie uprawianie seksu nie było czymś, czym człowiek się chwali.

A teraz stałam oto z Julianem Laurence'em w cieniu zaniedbanej sklepowej witryny, otoczona przez skrzynie z owocami i spłaszczone kartonowe pudła, i znowu byłam

bezbronna. Spuściłam oczy, wbijając wzrok w kruszący się, upstrzony gumami do żucia chodnik. Poczułam, jak jego dłoń wsuwa się w moją, zdecydowanie i pewnie, odwracając mnie i ciągnąc naprzód.

- Powiedz mi coś - odezwał się. - Dlaczego balet?
Odchrząknęłam.

- O rany! Nie wiem. Chyba szukałam czegoś jeszcze oprócz biegania. No wiesz, wszechstronny trening. Moje przyjaciółki ćwiczyły jogę, pilates, tego typu rzeczy. Też się miałam zapisać. Ale pewnego ranka w metrze zobaczyłam plakat American Ballet Theatre... Tancerka po prostu wisząca w powietrzu, tak niewiarygodnie silna i równocześnie pełna wdzięku... I pomyślałam, że to jest to. Że taka właśnie chcę być.

- To do ciebie pasuje.

- Cóż, jako dziecko tańczyłam. Mniej więcej do trzy-nastego roku życia, a potem zaczęło mi to zawadzać w życiu. No wiesz, problemy nastolatki. To mój dom.

Czekał przy recepcji, rozmawiając z Joeyem, a ja wbiegłam na górę i przebrałam się odpowiednio na randkę: włożyłam jedwabny bezrękawnik, rozpinany sweter, obcisłe czarne spodnie i buty na niskim obcasie. Rozpuściłam włosy, które podczas lekcji tańca miałam porządnie związane. Opadały mi na ramiona z obcą mi swobodą, gdy wychodziłam z windy. Julian odwrócił się od Joeya i wyglądał tak, jakby ten widok nim wstrząsnął, choć ton jego głosu pozostał swobodny.

- Wyglądasz ślicznie. Gotowa?

- Gotowa. Dokąd idziemy?

- Mam samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Pomyślałem, że pojedziemy.

Cofnął się uprzejmie, przepuszczając mnie przez obrotowe drzwi.

- Bawcie się dobrze! - zawołał za nami Joey.

Przeszliśmy krótki odcinek przez Park Avenue, gdy zachodzące słońce zaczęło już wypłukiwać błękit z nieba. Chodniki pogrążone były teraz w cieniu, a łagodne wiosenne powietrze zaczęło się robić chłodniejsze. Poczulałam, jak ręka Juliana oplata moją, i pomyślałam, że powinnam coś powiedzieć.

- Piękny wieczór - zaczęłam, lecz moje słowa zagłuszył pisk opon taksówki, która przemknęła obok nas, przekraczając ciągłą linię, i gwałtownie zahamowała przy chodniku. Z samochodu wyskoczył jakiś mężczyzna i ruszył w naszą stronę.

- Rany! - zawołałam, ale Julian zdecydowanie pociągnął mnie za rękę, ruszając dalej chodnikiem.

Z tyłu dobiegł nas głos:

- Ashford! Ashford, na Boga!

- Chodź - mruknął Julian, znów ciągnąc mnie za rękę.

- Ashford!

Usłyszałam za plecami kroki biegnącego człowieka.

- Ashford! Stój!

- Chodzi mu o ciebie? - syknęłam i wtedy prawy obcas uwiązał mi między płytami i poleciałam do przodu.

Julian chwycił mnie w ostatniej chwili. Mężczyzna zrównał się z nami.

- Ashford! Nigdy nie myślałam...

- Przepraszam, człowieku - powiedział Julian, doskonałym amerykańskim akcentem - ale chyba nie jestem tym, o kogo ci chodzi.

Opadła mi szczeka. Mężczyzna był po trzydziestce, o okrągłej twarzy i ciemnych włosach. Mówił jak Brytyjczyk, choć trudno było to z całą pewnością stwierdzić. Zadyszał się, goniąc nas po chodniku.

- Przepraszam, stary. - Jego oczy wędrowały pomiędzy nami, a potem znów spoczęły na Julianie. - Wyglądasz po prostu jak... jak pewien facet, którego kiedyś znałem. Jeszcze w Anglii. Gotów byłbym przysiąc...

- Przykro mi, bracie - powtórzył Julian. - To nie ja.

- Jesteś pewien, człowieku? - spytał. Jeszcze raz badawczo na niego spojrzął. - Nazywam się Paulson. Andrew Paulson. - Brzmiało to tak, jakby go błagał.

Julian wzruszył ramionami i pokręcił głową, jakby mu było żal.

- Nic mi to nie mówi. Pewnie jestem podobny, ale przykro mi...

- W takim razie przepraszam. Miłego... miłego wieczoru.

Mężczyzna odszedł tak przybity, że miałam ochotę za nim pobiec, ale Julian, który przez cały ten czas nie

puścił mojej ręki, odwrócił się i praktycznie powlókł mnie za sobą.

- Poczekaj chwilę - powiedziałam. - To było naprawdę pokręcone. Zamierzasz mi wyjaśnić, o co tu chodziło?

- Najwyraźniej wydawało mu się, że jestem jego dawno zaginionym przyjacielem.

- Ale dlaczego mówiłeś z innym akcentem?

- Bo był Brytyjczykiem. Pomyślałem, że jeśli będę brzmieć jak Amerykanin, szybciej da sobie spokój.

- O c h !

Zbliżyliśmy się do krawężnika. Instynktownie rozejrzałam się, by sprawdzić, czy nic nie jedzie. A potem przebiegliśmy na drugą stronę na czerwonym świetle.

- Mimo wszystko to było dziwne - stwierdziłam, gdy dalej szybkim krokiem szliśmy chodnikiem. - To znaczy, on też był Brytyjczykiem. Tak jak ty.

- W Nowym Jorku jest nas pełno - odparł.

Potem już nic nie mówiliśmy. Parkingowy przyprowadził samochód i Julian z roztargnieniem wpuścił mnie do środka, niemal jakby zapomniał, kim jestem i dlaczego mu towarzyszę. Gdy tylko ruszyliśmy, sięgnął ręką do centralnej konsoli i wyjął iPoda. Zręcznie podłączył go do portu na desce rozdzielczej i klikał w menu, aż znalazł jakąś muzykę. Brzmiała jak Mozart.

- No więc...? - zaczęłam, odchrząkując. - Dokąd jedziemy?

Potał czoło.

- Popsułem ci wieczór, prawda?

- Nie do końca. Jest dopiero ósma. Wciąż masz jeszcze mnóstwo czasu, żeby mi go zepsuć.

Zabębnił palcem w kierownicę i skręcił w prawo, w stronę Park Avenue.

- Może powinienem zabrać cię po prostu do domu.

W jego głosie brzmiał smutek, nie złość. To mi dało nadzieję.

- Wow! Czekaj! Stop! Co się stało, Julianie? Powtarza się sytuacja ze... ze świąt! I przysięgam, że tym razem ci na to nie pozwolę. Co się dzieje?

- Jezu, Kate! - wybuchł, uderzając ręką w kierownicę. - Nic o mnie nie wiesz. Nie powinienem był... Jestem najbardziej egoistycznym sukinsynem na świecie!

- Przestań! Co to w ogóle znaczy? Julian, możesz mnie chwilę posłuchać? Zjedź na pobocze.

- Nie. Zabieram cię do domu.

- Nie ma mowy. Nigdzie nie pójdę.

- Nie chcę, żebyś została.

- Owszem, chcesz. Potrzebujesz mnie. Julian - powiedziała łagodniej. - Przysiękłeś. Tamtej nocy przysiękłeś, że ci na mnie zależy. Udowodnij to. Nie zawieź mnie.

To do niego trafiło. Jechał w milczeniu Park Avenue w stronę centrum. Ja też się nie odzywałam. Nie chciałam zbyt wcześnie zakłócać tego rozejmu i wolałam dać mu chwilę, żeby się nad tym wszystkim zastanowił

i przekonał sam siebie, żeby zmienić zdanie. W panującej między nami ciszy zwinnie wędrowały klarnety Mozarta. Przez przyciemnione szyby maserati zobaczyłam parę po czterdziestce popychającą sportowy wózek dla bliźniąt. Spierała się o coś, gestykulowała.

Odwróciłam się do Juliana.

- Zapomnij o tej randce. Jedziemy z powrotem do ciebie. Musimy porozmawiać.

Julian odstawił samochód na parking, po czym wziął mnie za rękę i zaprowadził do swoich drzwi. We wszystkich oknach było ciemno z wyjątkiem jakiejś poświaty z odległego kąta na pierwszym piętrze. Wpuścił mnie przodem, zamknął za nami drzwi i wstukał kod na panelu alarmu.

Odwróciłam się do niego.

- Jestem głodna - obwieściłam.

Niespodziewanie się roześmiał.

- Nic dziwnego. No więc dobrze, kuchnia jest na dole.

- Umiesz zrobić omelet? - spytałam, idąc po schodach.

- Nie za bardzo.

Kuchnia była na tyłach, nowoczesna i dobrze wyposażona, z marmurowymi blatami, które lśniły w świetle kilkunastu lamp, i jakieś osiem razy większa od mojej.

- Używasz tego w ogóle? - spytałam, patrząc na sprzęty firmy Wolf lśniące nierdzewną stalą.

- Oczywiście, że tak - odparł urażony. - Owsianka i tak dalej. Mam gospodynię, która przychodzi kilka razy w tygodniu, kiedy jestem w pracy. Przygotowuje mi różne rzeczy.

- Rany, to musi być miłe.

Otworzyłam lodówkę S u b - Z e r o i zajrzałam do środka. Stało tam, jedna na drugiej, kilka potraw do odgrzania oraz mleko, sok pomarańczowy i ketchup.

- O jak dobrze - powiedziałam. - Zostawiła nam kilka jajek.

Poszperałam trochę i znalazłam jakiś wymyślny ser i pomidora. Zamknęłam drzwi obcasem i zaczęłam zaglądać do szafek w poszukiwaniu patelni i jakiejś miski.

- Powinieneś powiedzieć swojej gospodyni, żeby nie wkładała pomidorów do lodówki - zauważyłam. - To im odbiera cały smak.

- Posłuchaj, Kate - zaczął. - Przepraszam za...

- Nie. Nie teraz. Nie da się rozsądnie rozmawiać z pustym żołądkiem. Znajdź mi jakieś masło, dobrze? Tak, tak, proszę pana, zrobię panu najlepszy cholerny omlet, jaki jadł pan w życiu.

- Dobrze, proszę pani - powiedział potulnie.

Przyniósł mi masło, a ja ubiłam jajka na pianę i dodałam odrobinę wody.

- Lubisz to, prawda? - zauważył, obserwując, jak wylewam zawartość miski na patelnię.

- Niewiele gotuję, ale potrafię zrobić świetny omlet.

Ojciec mnie nauczył. W sobotę rano mama dłużej spała, a my robiliśmy jej śniadanie. - Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się. - Dobre czasy. Gdzie trzymasz talerze?

Przyniósł talerze i sztućce, a gdy omlety były już gotowe, nałożyłam je.

- Proszę - powiedziałam. - Jak zjesz, to się popłaczesz.

Usiedliśmy przy blacie i zaczęliśmy jeść w miłej atmosferze jak jakieś stare małżeństwo. Widelce pobrękiwały o porcelanę.

- No i? - zagadnęłam po kilku kęsach. - Mój jest lepszy?

- O wiele lepszy. To naprawdę świetny omlet.

- Cóż, jeśli ładnie poprosisz, może jeszcze kiedyś taki zrobię.

Sięgnęłam po szklanekę z wodą. Chwycił mnie za ramię.

- To po tamtej nocy? - spytał.

Odwróciłam łokieć. Został już tylko jeden plaster, na najgorszym zadrapaniu.

- Goi się. - Wzruszyłam ramionami.

Przesunął palcem po plastrze.

- Przykro mi. Stało ci się coś jeszcze?

- Kilka siniaków. Może ci nawet je pokażę dziś w nocy, jeśli będziesz miał szczęście.

Roześmiał się ochryple.

- Szcześnie? Jak na razie to przydałaby mi się raczej cholerna boska interwencja.

Skończyliśmy jeść i włożyliśmy naczynia do zmywarki.

- A teraz - powiedziała, odwracając się do niego - wróćmy na górę i porozmawiajmy.

Stał tak blisko, że czułam ciepło jego ciała, a nawet łaskotanie jego oddechu na nosie. Przyglądał mi się z jakimiś intensywnymi emocjami w oczach. Sięgnął rękoma i musnął moje uszy, nie do końca obejmując moją twarz. Kciuki pieściły skrajne punkty kości policzkowych.

- Jesteś cudowną kobietą - wydusił.

- To tylko omlet - odparłam równie drżącym głosem.

Nim zdążyłam się połapać, pochylił się i mnie podniósł, zaniósł na górę do biblioteki, posadził na sofie i ukląkł przede mną na dywaniku.

- Posłuchaj - powiedziała. - Nie wiem, co się tam stało, i nie dbam o to. Nie dbam też o to, czy kiedykolwiek pójdziemy na tak zwaną randkę. To nie ma znaczenia. Natomiast ma znaczenie, żebyś się już nigdy tak ode mnie nie odcinał. Nigdy. Dopóki będziemy razem. Jeśli ze mną skończyłeś, po prostu powiedz. Nie będę ci się naprzykrzać. Ale nie bądź wobec mnie taki chłodny.

- Jestem Brytyjczykiem.

Podźwignęłam się.

- Cóż, teraz jesteście w Ameryce. A skoro już jesteście na moim podwórku, graj według moich zasad. Och,

Julianie - dodałam łagodniej, unosząc dłoń, by pogłaskać go po policzku. - Wiesz, że nie musisz niczego wyjaśniać. Przeżyłeś trzydzieści trzy lata, zanim mnie poznałeś, i jestem pewna, że jest wiele spraw, o których nie masz ochoty mówić. Akceptuję to. Ale nie zrywaj ze mną z tego powodu. Zerwij ze mną, jeśli ci nie zależy.

- Kate. Sama nie wiesz, co mówisz. Nie zależy mi na tobie? Czy ty mnie w ogóle słuchałaś?

- Przecież wiadomo, że mężczyźni zmieniają zdanie. Uniósł obie ręce i przeczesał nimi włosy.

- Gdybyś tylko wiedziała, Kate. Gdybym tylko potrafił sprawić, byś zrozumiała. Mój Boże! - Wciągnął powietrze.

- Spróbuj, na litość boską! To ważne.

Położył mi dłoń na ramieniu.

- K a t e , posłuchaj. Tu chodzi o moją przeszłość. W porządku, zdarzyło się coś, nie będę zaprzeczał. Ale to coś poważniejszego, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. To nie jest po prostu bagaż doświadczeń, czy jak to się teraz mówi. Chodzi o istotę mego życia.

- O której nie możesz mi powiedzieć.

- Nie z tego powodu, co myślisz. Nie dlatego że nie chcę, abyś w pełni zdała sobie sprawę z tego, kim jestem. Tak naprawdę pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego.

- A więc dlaczego?

Zakołysał się na piętach i spojrzął w sufit.

- Bo to zbyt ryzykowne. Zwłaszcza dla ciebie.

- Ryzykowne? Rany, Julian, teraz mnie naprawdę zaciekawiłeś. Zabiłeś kogoś czy coś takiego?

Wzdrygnął się.

- Wow! - stęknęłam.

- Nie, nie! - powiedział szybko. - Nikogo nie zamordowałem! - Poruszony znów przeczesał ręką włosy.
- Słuchaj, obiecałaś, że nie będziesz mnie w tej sprawie naciskać. Proszę, mogłabyś po prostu dać mi trochę czasu? Żebym wszystko ogarnąć? To jest tak cholernie złożone, że już sam nawet nie wiem, co jest słuszne. A może w ogóle nic w tym nie jest słuszne.

Wydawał się taki zaniepokojony, tak bardzo zagubiony. Poczułam falę uczuć do niego, tak szaloną, że zaparło mi dech w piersiach.

- Dlaczego? - wyszeptałam.

- Co dlaczego?

- Dlaczego ja? Możesz mieć każdą. Prawie mnie nie znasz.

Wtedy się uśmiechnął - lekko i smutno, ale czule, wręcz intymnie. Przesunął kciukiem po mojej brwi, po policzku, podbródku, muskając usta.

- Kate. Wiem, że jesteś o wiele lepsza, niż sama jesteś tego świadoma. I chcę, żebyś już nigdy nie zadawała mi tego pytania. Żebyś już nigdy się nie zastanawiała, co do ciebie czuję. - Na chwilę przerwał, zamyślony. - Czy to pomoże, jeśli powiem to na głos?

Zdałam sobie sprawę, że kiwam głową.

- Z całą pewnością powinnaś to usłyszeć, skoro tak wspaniałomyślnie znosisz wszystkie moje dziwne zachowania. - Z dezaprobatą pokręcił głową i mówił dalej ściszym głosem: - Kochanie, kocham cię. Oczywiście, że cię kocham. Kocham w tobie każdy najmniejszy szczegół. Ubóstwiam cię z tysiąca powodów i nigdy nie przestanę. Ciii! - powiedział, znów kładąc palec na moich ustach. - Nie musisz nic mówić. Jestem cierpliwym człowiekiem. Daj sobie czas. Pamiętaj, że to tam jest, że przynajmniej w tej jednej sprawie nie musisz mieć wątpliwości co do mnie.

Pochylił głowę, by złożyć jedwabisty pocałunek w zagłębieniu mej szyi, i jego usta pozostały tam przez czas, który wydawał się wiecznością, a potem zaczęły wędrować po moim ramieniu, rozpuszczając we mnie wszystkie opory. Odchyliłam głowę, czując łaskotanie jego włosów na policzku.

- Jesteś... wyjątkowo zaskakującym człowiekiem - wydusiłam z siebie.

- Jak to?

- Po prostu... po prostu zakochałeś się we mnie? Ot tak?

Usiłowałam trzymać się moich myśli, bo wiedziałam, że są ważne, ale zaczęłam tracić koncentrację. Poczułam jego śmiech na swoim policzku.

- Spójrz tylko na siebie, kochanie. Jesteś materiałem na miłość od pierwszego wejrzenia.

- Wykorzystujesz przeciwko mnie moje słowa.

- Uważasz, że to niemożliwe?

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć. Że już teraz możesz czuć coś takiego. I że to przyznajesz.

- Cóż, jak mówią, do odważnych świat należy - powiedział, lekko gryząc mnie w ucho.

Uniosłam rękę i dotknęłam jego karku.

- Zamierzam się... o tym przekonać.

- Oczywiście. Jak pięknie pachnie twoja skóra, kochanie. Jak to się dobrze składa, że kobieta, którą człowiek kocha, okazuje się tak cudownie... - przerwał, żeby pocałować mnie poniżej ucha.

- Cudownie co?

- Cudownie smakowita.

Nie byłam w stanie tego dłużej znieść. Objęłam go rękoma za szyję i wyciągnęłam twarz w jego stronę, błagając o pocałunek. Usłyszałam jego gardłowy śmiech i wtedy wreszcie jego usta spotkały się z moimi, głodne i lekkomyślne, i zdałam sobie sprawę, że jest równie zdesperowany jak ja. Uklęknął przede mną, całując mnie jak szalony. Jego ciepłe palce dotykały mojej twarzy, a jego zapach i smak zalewały każdy por mojej skóry, aż przestałam być zdolna do jakichkolwiek racjonalnych myśli. Moje palce osunęły się w dół niemal same z siebie i zaczęły rozpinąć guziki jego koszuli, pragnąc odkryć cudowną skórę pod spodem.

I wtedy się odsunął. Uniósł rękę, uwieził moje palce i splótł ze swoimi. Jego pierś unosiła się ciężko, wyczuwałam to pod dłonią.

- Kate - powiedział. - Poczekaj. Nie sędzę...

Spuściłam wzrok.

- Przepraszam - usłyszałam swój głos. - Po prostu...
nie wiem.

- Nie spieszmy się za bardzo, dobrze?

- Nie spieszmy? I ty mi mówisz o spieszeniu się?

- Kate, nie złość się.

- Nie złościć się? Julian, mam teraz w sobie tyle
szalonych uczuć, że na złość po prostu nie ma miejsca.
Chcesz, żebym została, czy nie?

- O mój Boże, Kate! Niczego bardziej nie pragnę - po-
wiedział łamiącym się głosem. - O niczym innym nie jestem
w stanie myśleć. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie, proszę.

Gapiłam się na niego.

- W porządku. Mniejsza z tym.

- Coś nie tak?

- Cóż, faceci z reguły nie wciskają hamulców - stwier-
dziłam. - Zwłaszcza po manewrze z „kocham cię”.

Jego twarz spoważniała.

- Co dokładnie masz na myśli?

- Och, Julianie, proszę! Nie rozmawiajmy teraz
o seksie. Nie mam na to sił po tym wszystkim.

- O seksie?

Machnęłam ręką, unikając jego spojrzenia.

- Przerabianie tych wszystkich naszych historii...
Przywoływanie wszystkich duchów... Możemy zrobić
po prostu ogólne podsumowanie i przejść dalej?

Milczał przez chwilę napięty jak struna, z intensywnymi rumieńcami na policzkach.

- Chodź tutaj - powiedział w końcu, siadając obok mnie na sofie i przyciągając do siebie na kolana. - Jeśli to zrobimy - ciągnął, a łagodność w jego głosie przeczyła sprężystemu, wibrującemu napięciu jego ciała - kiedy to zrobimy, to nie będzie miało nic wspólnego z tym, co było wcześniej. Nic. Ponieważ - szczerze mówiąc - nie potrafię znieść myśli o tym, że był z tobą ktoś inny i nie kochał cię tak, jak ja cię kocham. Więc zostawmy to. - Ucałował mnie w skroń. - Bóg wie, że nie chcę, żebyś dzisiaj wychodziła, Kate. Chcę, żebyś zasypiała obok mnie każdej nocy mojego życia. Mimo wszystko odprowadzę cię teraz do domu, bo myślę, że nie powinniśmy jeszcze przekraczać tego Rubikonu. Nie sądzisz?

- Ja... Nie wiem. Jeszcze nie? Co to w ogóle znaczy? Czy ty... - przełknęłam ślinę. - Czy chcesz, żebym ja też to powiedziała?

- Nie, kochanie. - Jego dłoń przesunęła się po moim ramieniu. - Nie przejmuj się tym.

- W takim razie nie rozumiem. Po prostu... czy ja... Nie chcesz mnie?

- Och, na Boga, Kate! - jęknął. - Czy cię nie chcę?! Na rany Chrystusa!

- Słuchaj, kompletnie mieszasz mi w głowie. Jeśli od początku byłeś we mnie zakochany, to dlaczego odszedłeś? I jeśli naprawdę mnie kochasz, to dlaczego po

prostu nie zaciągniesz mnie na górę i mi tego nie okażesz?

- Odszedłem - powiedział sztywno - bo myślałem, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Nie zdawałem sobie sprawy... Wtedy myślałem, że krzywdzę tylko siebie. Ale nie opuszczę cię już, Kate, przysięgam. A co do tego zaciągnięcia na górę... Bóg wie... - Pokręcił głową.
- To dla mnie zbyt ważne, Kate. Nie będę popędzał cię do czegoś, na co nie jesteś gotowa.

- Nie jestem gotowa? Oczywiście, że jestem gotowa! Możesz mi wierzyć, że nigdy w życiu nie byłam tak gotowa!

Zaśmiał się głucho.

- Nie, kochanie. Nie jesteś.

- I wydaje ci się, że wiesz, co jest dla mnie najlepsze?

- W tym wypadku tak.

Już otworzyłam usta, żeby zacytować de Beauvoir, podając rozdział i wiersz, ale coś mnie powstrzymało, jakiś niespodziewany błysk intuicji, a poza tym zdałam sobie sprawę, co dokładnie mi proponował. A więc zamiast tego odwróciłam się od niego, oparłam o jego silne ciało i spojrzałam w sufit.

- Wiesz - odezwałam się po chwili - jeszcze nikt nie próbował mnie powstrzymać przed uprawianiem seksu.

- Ach. Wszyscy ci dranie, tak?

Był taki pełen ciepła, taki łagodny. Napięcie całkowicie go opuściło. Czułam miarowe wznoszenie się

i opadanie jego klatki piersiowej i siłę obejmujących mnie ramion.

- Cóż, tak właściwie nie było ich zbyt wielu. Zmądrzałam, zanim zdążyli wyrządzić zbyt wiele szkód.

- Przerwałam, pozwalając, by niewypowiedziane szczegóły zawisły pomiędzy nami, ogromne i milczące, a potem podjęłam łagodnie: - Ale wiesz, nigdy nie zdawałam sobie sprawy jacy... jacy byli kiepscy. Aż do teraz.

Objął mnie mocniej. Poczułam, jak przyciska usta do moich włosów, dodając otuchy, ale w jego głosie slychać było przejęcie.

- Mógłbym ich zamordować.

- Nie, nie! Proszę - zareagowałam na wpół żartobliwie, przypominając sobie, z jaką skutecznością zneutralizował napastnika w parku. Usiadłam. - Obiecałeś, że kiedyś zagrasz mi na fortepianie.

- Mam to zrobić teraz?

- A czemu nie?

Okręciłam się w jego ramionach i dotknęłam palcem jego podbródka.

- Nie chcę jeszcze wychodzić, a seks wykluczyłeś.

- Kate. Nie przychodzi ci do głowy nic innego, co moglibyśmy robić?

- Proszę.

Przewrócił oczami.

- Już odkrywasz, jaką masz nade mną władzę, prawda? A więc dobrze. - Wstał, pociągając mnie za sobą.

- Idź na górę. Fortepian jest w pokoju wychodzącym na ulicę. Ja przyniosę trochę wina.

- Wina?

- Mam tremę.

Pogłaskała grzbietem dłoni mój policzek i uśmiechnęła się do mnie.

- No już, na górę! Zaraz przyjdę.

Wspięłam się po schodach, na półpiętrze skręcając w prawo. Chyba oczekiwałam, że to będzie jego sypialnia, ale w rzeczywistości pokój ten bardziej przypominał gabinet, a może nawet pokój do ćwiczeń muzycznych. Stała tu niska wygodna sofa z poręczami w angielskim stylu, a przestrzeń pod oknami wypełniał fortepian. Włączyłam światło i podeszłam do szerokiego okna z widokiem na ulicę poniżej. Która mogła być godzina? Niezbyt późno, może wpół do jedenastej, ale wydawało się, że to głęboka noc. Lampy rzucały krzykliwe pomarańczowo-żółte plamy światła na opustoszały chodnik, a przyspieszony puls ruchu ulicznego zwolnił do tego stopnia, że zobaczyłam tylko przypadkowo przejeżdżającą taksówkę i czarnego sedana. Poczułam przypływ wdzięczności, że jestem tu, w tym spokojnym domu, a obecność Juliana dodawała mi pewności.

- Widzę, że znalazłaś drogę - usłyszałam za plecami jego głos, zupełnie jakbym przywołała go myślami.

- Mhm - odparłam, nie odwracając się. - Bardzo mi się podoba ten pokój. Strasznie przytulny.

Zaskrzypiały deski na podłodze i chwilę później pojawił się przede mną kieliszek czerwonego wina. Poczulałam na skórze ciepło jego ciała.

- Dziękuję - powiedziałam, biorąc go do ręki. W końcu uniosłam go do ust. - Rany! Wyśmienite.

- Co chciałybyś usłyszeć?

- Nie wiem. Strasznie mi się podobał ten utwór Chopina, który grałeś, kiedy przyszedłam tu w święta.

Roześmiał się cicho, tuż przy moim uchu.

- Chyba masz mylne przekonanie o mnie, że jestem jakimś muzycznym wirtuozem.

- A nie jesteś? We wszystkim jesteś dobry.

- Moja gra jest znośna, ale daleko mi do wirtuozerii. Odwróciłam się i zobaczyłam jego twarz tuż obok mojej. Patrzył na mnie z rozbawieniem.

- Tylko mi tu nie wymiękaj, Laurence - ostrzegłam. Uśmiechnął się i upił łyk wina.

- No dobra, sama o to prosiłaś. Usiądź sobie - zaproponował, wskazując głową na sofę.

Podeszłam do niej posłusznie z kieliszkiem wina w ręce i opadłam na poduszkę, podwijając nogi. Julian postawił swój kieliszek na fortepianie, a następnie zsunął buty i ułożył na pedałach stopy w skarpetkach.

- A więc Chopin? - upewnił się, patrząc na mnie z uniesioną brwią.

- Tak, proszę. Może jakiś nokturn. Bardzo je lubię.

Kiwnął głową. Instrument stał trochę z boku, więc widziałam jedynie klawisze i jego profil, lśniący w przyćmionym świetle lampy stojącej w pobliżu.

- Ten pewnie znasz - stwierdził. - Nokturn Es-dur numer dwa.

Przymknął oczy, być może przypominając sobie muzykę, i w pogrążonym w półmroku pokoju na moment zapadła cisza tak gęsta, że wydawało mi się, iż słyszę pospieszne bum-bum, bum-bum mojego serca. Potem spojrział na swoje dłonie i popłynęły pierwsze dźwięki, zawisając leniwie w powietrzu, ciepłe i nieskazitelne, doskonale znajome.

Jak często słyszałam tę muzykę? Wydawała się bliska, jak stary przyjaciel, ktoś, kogo oboje znaleźmy przez całe życie, nie zdając sobie sprawy z tej więzi. Te dźwięki w ogóle nie wydawały się muzyką, poruszały pełną intymności przestrzeń pomiędzy nami bardziej jak pytanie. Tak jakby sięgał do mnie czule, by mnie o coś zapytać, wyrazić coś, czego wyrazić się nie da.

Z całej siły pragnęłam mu odpowiedzieć, krzyknąć „Tak! Tak!”, ale zamiast tego przyglądałam mu się tylko oczarowana. Obserwowałam, jak linie na jego twarzy pogłębiają się od koncentracji, gdy pogrążał się w nutach, delikatnych kaskadach i pełnych pasji falach, podążając oczyma za dłońmi na klawiszach.

Uwielbiał ten utwór. Tyle widziałam. W pewnych chwilach, które można by nazwać momentami

tłumionego zapału, jego powieki opadały, jakby przypięczętując intensywność emocji. Jest zmysłowy, przemknęło mi przez głowę. Bardzo zmysłowy. To, w jaki sposób mnie całował, jak mnie dotykał, jak jego palce tańczyły po klawiszach, wydobywając z nich muzykę, która żyła - to wszystko tego dowodziło. W moich uszach rozległo się echo jego głosu: „Jeśli to zrobimy. Kiedy to zrobimy”.

Zakończył utwór, pozwalając, by przebrzmiał po ostatnim niskim tonie odpływającym w eter. Minęła chwila absolutnej ciszy, a potem odwrócił się w moją stronę z lekko przepaszającym wyrazem twarzy i pytająco uniesioną brwią.

Odezwałam się z trudem:

- To było niesamowite. Bardzo ci dziękuję. Ja...
Wow! Nie wiem, co powiedzieć. Zagraj coś jeszcze.

Zrobił komicznego zeza.

- Najwyraźniej nie znasz się na muzyce i za ten dar niebios jestem niesamowicie wdzięczny - przerwał, a potem zaczął grać kolejny utwór.

- Co to? - spytałam, obserwując jego twarz.

- Beethoven - odparł. - „Appassionata”. Część pierwsza.

- H m .

Słuchałam przez chwilę, aż na moment wyłoniła się linia melodyczna.

- Ach tak. Słyszałam już ten utwór - mruknęłam.

- Mam nadzieję.

- Gdzie uczyłeś się grać?

- Niekończące się lekcje, gdy byłem dzieckiem.

Matka zwykle chciała, bym grał dla niej po powrocie ze szkoły. - Chwila milczenia. - I wciąż sporo ćwiczę. Nocą, gdy nie mogę spać. - Zamilkł na chwilę, skupiając się nad trudniejszym pasażem, a potem zapytał: - A ty skąd znasz Chopina?

Muzyka wiła się wokół nas. Nie byłem w stanie skupić się na jego słowach.

- Och, mój ojciec puszczał to z płyty. Mówił, że to dobre dla duszy.

Uśmiechnął się, zerkając na mnie, po czym znów utkwiał wzrok w klawiszach.

- Chyba lubię twojego ojca.

- Po prostu zwykły tata, naprawdę.

- Wcale nie. Wychował przecież ciebie, prawda? Myśle - podjął po chwili - że dorastałaś w przeświadczeniu, iż nie do końca pasujesz do swojego otoczenia. Że nie jesteś taka jak wszyscy, których znasz. Mam rację?

Poruszyłam się na sofie.

- Każdy w jakimś momencie tak myśli. To przecież część ludzkiej próżności myśleć, że w pewien sposób jesteśmy wyjątkowi, prawda?

- A teraz?

- Chyba czasami mam problemy w relacjach - odparłam. - Nie chodzi o to, że wydaje mi się, że jestem lepsza

niż inni. Z reguły jest wręcz odwrotnie. Nie jestem dość *cool* jak na Manhattan.

Pokręcił głową.

- Róża wśród chwastów.

- Wątpię.

Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się i dalej grał sonatę, koncentrując się wściekle na uderzeniach w klawisze w ostatniej minucie, a potem przymknął oczy, gdy melodia przebrzmiała w nicość.

- Och, teraz się tylko popisujesz - powiedziałam, a on spojrzał na mnie i mrugnął.

O nic nie pytając, upił łyk wina i zaczął jakiś kolejny utwór, jakby w ogóle mnie tam nie było. Musiałam w którymś momencie zasnąć, bo gdy otworzyłam oczy, ujrzałam Juliana kucającego przy mnie i wysuwającego z moich palców na wpół opróżniony kieliszek.

- Zasypiasz - powiedział łagodnie, wyciągając rękę i wsuwając mi kosmyk włosów za ucho. - Zawiozę cię do domu.

Szliśmy powoli obok siebie w stronę mojego mieszkania, w ogóle nie rozmawiając. Tak wiele zostało dziś powiedziane i nasze mózgi były zbyt zajęte przetwarzaniem tego wszystkiego, by móc myśleć o czymś nowym. Odezwałam się dopiero, gdy zamajaczyła przed nami ciemnozielona markiza nad wejściem.

- No więc jak? Powinnam na ciebie czekać jutro rano?

- Cóż, jutro rano lecę do Bostonu - odparł trochę cierpko.

- O nie! Tylko nie znowu Boston. W takim razie myślę, że to naprawdę „żegnaj”.

Zatrzymałam się w cieniu, tuż poza granicą poświęty płynącej z recepcji, i odwróciłam się w jego stronę. Pochylił się nade mną, ujmując moją twarz w dłonie, i pocałował mnie. Mocno.

- To nie jest „żegnaj” - powiedział z przekonaniem.

- Masz mi to za złe? Dziś wieczorem trochę mnie przestraszyłeś.

- Przepraszam - wyszeptał, przymykając oczy, i oparł czoło o moje. Jego słowa muskały moje usta. - Wybacz mi, kochanie. Wynagrodzę ci to.

- Byle nie kolejny prywatny odrzutowiec. Tym razem mogą być kwiaty.

- Nie. W tej chwili mam dla ciebie coś innego.

Sięgnął do kieszeni marynarki i podał mi małą, złożoną na pół kopertę.

- Co to? - spytałam, odwracając ją.

- Tylko nie wymiękaj, jak mówicie wy, Amerykanie - ostrzegł. - Nie chcę cię tym spłoszyć.

Spojrzałam na niego spod rzęs, a potem otworzyłam kopertę i wyjęłam z niej zestaw kluczy i karteczkę.

- To do domu - wyjaśnił.

- W o w !

- Tylko w nagłym wypadku - powiedział szybko. - Jeśli będę w pracy albo poza miastem, a ty będziesz czegoś potrzebować.

- O c h !

- Ten jest do zamka, dwa pozostałe są do zasuw. Kod do alarmu zapisałem ci na kartce. Oczywiście nie musisz mnie wcześniej pytać. Pożycz sobie jakąś książkę, jeśli chcesz.

- Och! - powtórzyłam.

Zaryzykowałam spojrzenie na jego twarz. Oczy lśniły mu, szeroko otwarte i wrażliwe.

- Dziękuję, Julianie. Jestem bardzo wzruszona. To znaczy, możesz mi ufać. Nie naruszę... no, wiesz, twojej prywatności. Obiecuję.

Roześmiał się cicho, uniósł rękę i pogłaskał mnie po policzku.

- Moje kochanie, nie rozumiesz? Chcę, żebyś właśnie to zrobiła.

Rozdział 10

Przez noc napłynęły chmury, zasłaniając niebo niczym koc i zmieniając balsamiczne powietrze poprzedniego dnia w parne ostrzeżenie o nadchodzącym lecie. Brnęłam w nim od stacji metra na Broadwayu do siedziby Sterling Bates przy Wall Street, przewijając na moim BlackBerry ostatni e-mail od Juliana. Został wysłany, gdy kołysałam się na szynach metra, wciśnięta w spoconą pachę jakiegoś napakowanego faceta w tanim garniturze i z wąsikiem w stylu Hitlera.

Niedługo ląduję. Boston w pełnym rozkwicie. Następnym razem zabieram cię z sobą.

Odpisałam: *Zapowiada się dość skandalicznie. Osobne pokoje, mam nadzieję.*

Przeclisnęłam się przez obrotowe drzwi i przesunęłam przepustkę po czytniku, żeby aktywować kołowrotową

bramkę przy recepcji. Ani drgnęła, niemal łamiąc mi żebra. Znów niecierpliwie przesunęłam kartą. Bramka nie ustępowała. Westchnęłam i zwróciłam się do ochroniarza:

- Przepraszam - powiedziałam. - Musiałam jakoś rozmagnetyzować przepustkę.

Wziął ode mnie kartę i spojrzął na nią.

- Chwileczkę - odparł, sięgając po telefon.

Czekałam więc, stukając stopą o podłogę. Julian miał powrotny lot dziś wieczorem i chcieliśmy - zależnie od tego, o której skończę pracę - pójść razem coś zjeść. Albo zamówić chińszczyznę. Tak czy inaczej, chciałam szybko uporać się z tym, co leżało na moim biurku.

- Tak. Katherine Wilson - powtórzył do słuchawki ochroniarz. Słuchał przez chwilę, kiwając głową, a potem się rozłączył. - Proszę tu poczekać - powiedział beznamyślnie. - Ktoś przyjdzie, żeby zaprowadzić panią na górę.

- Nie może mnie pan po prostu przepuścić? - poprosiłam.

Wzruszył ramionami.

- Robię, co mi kazali.

Westchnęłam i przerzuciłam laptop przez ramię. Upływały minuty, a ja stałam tak niezręcznie przy recepcji, co chwila zerkając na zegarek. Zabrzęczał mój BlackBerry.

Może połączone drzwiami?

Uśmiechnęłam się do wyświetlacza.

Naprawdę, wy faceci potraficie myśleć tylko o seksie. Wyślij.

- Kate?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam Paula Bannera.

- O rany - powiedziałam zakłopotana. - Tak mi przykro, że musiał pan tutaj zjechać. Mógł pan przysłać kogoś ze stażystów.

Odchrząknął.

- Chodź ze mną, Kate. - Nie Katie.

Poczułam ukłucie niepokoju, jak ostrzegawcze światełko zapalające się w mózgu.

Otworzył dla mnie bramkę, używając przepustki dla gości. Poszłam z nim do wind. Nic nie mówił, wcisnął tylko strzałkę do góry i czekał obok mnie. Drzwi się otworzyły i wsiedliśmy razem z trójką czy czwórką innych ludzi. Otoczyło nas to przytłaczające milczenie, jakie zwykle panuje w windach. Wyciągnął rękę i wybrał piętro osiemnaste. Siedziba Działu Rynków Kapitałowych była na dwudziestym trzecim. Stałam więc i czułam, jak dłonie robią mi się wilgotne, a serce wali jak dzikie w piersi. Pojawił się ucisk za oczami, więc mocno zamrugałam. Nie okazuj słabości.

Na Wall Street, kiedy człowieka zwalniają, nawet jeśli w wyniku zwykłej redukcji etatów, bez niczyjej winy, ktoś odprowadza go do pokoju w dziale personalnym, gdzie ktoś inny oschłym tonem obwieszcza warunki rozwiązania umowy o pracę. Trzeba wtedy podpisać dokument, w którym człowiek zrzeka się wszelkich roszczeń prawnych wobec firmy w zamian za odprawę, wynoszącą zazwyczaj tygodniową pensję za każdy rok, jaki się przepracowało w firmie, plus pięćdziesiąt procent premii z ubiegłego roku - wszystko wypłacane jednorazowo, w pełnej kwocie, w formie natychmiastowego przelewu na konto. Następnie zdaje się cały sprzęt elektroniczny będący własnością firmy i pracownik ochrony wyprowadza człowieka z budynku. Nie wolno zatrzymać się przy swoim biurku ani pożegnać się z kolegami. I wy mi mówicie o marszach wstydu!

Nie spodziewałam się więc, że Banner zostanie w pokoju. Dyrektorzy do spraw operacyjnych zwykle się ulatniają, pozostawiając to nieprzyjemne zadanie przedstawicielowi działu personalnego. Ale gdy dotarliśmy na miejsce, Banner wszedł do pokoju za mną i wskazał mi krzesło przy długim wąskim stole, przy którym siedziała wraz z kilkoma dyrektorami naczelnymi Alicia Boxer. U szczytu stołu dostrzegłam kobietę w jasno-
włosowym kostiumie. Odchrząknęła.

- Zakładam, że wie pani, dlaczego została dziś wezwana - powiedziała.

- Cóż - odparłam. - Domyślam się, że mnie zwalniamie. Mam rację?

Spojrzała na mnie surowo.

- Zostaje pani zwolniona dyscyplinarnie, pani Wilson. W ciągu weekendu firmie przedstawiono niepodważalne dowody, iż była pani zaangażowana w niestosowną i prawdopodobnie również nielegalną wymianę informacji z dobrze znaną stroną z branży finansowej.

Gapiłam się na nią.

- O czym pani mówi?

Jej wzrok padł na dokumenty leżące przed nią.

- Po zebraniu mającym na celu przedyskutowanie tej sytuacji członkowie komisji nadzorującej postanowili nie kierować sprawy do sądu. W zamian za to powinna pani natychmiast opuścić budynek i zwrócić wszystkie urządzenia elektroniczne oraz karty kredytowe dostarczone pani przez Sterling Bates oraz zrzec się wszelkich prawnych i finansowych roszczeń wobec firmy. - Spojrzała na mnie. - Ma pani jakieś pytania?

- Z milion. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Nigdy nie przekazywałam nikomu żadnych istotnych informacji. Nawet nie brałam tego pod uwagę. - Spojrzałam bezradnie na Bannera. - Wie pan o tym.

Poruszył się na krześle i wbił wzrok w stół przed sobą. Zerknęłam więc na **Alicie**, która skrzywiła się w przeproszającym uśmiechu. Pod ciężkimi powiekami jej oczy błyszczały triumfalnym błękitem.

- Och - powiedziałam. Wszystko nagle wskoczyło na swoje miejsce. - Mój laptop. W piątek rano, kiedy siedziałś przy moim laptopie. Co konkretnie zrobiłaś? W czym grzebałaś?

- Nie mogę ci podać żadnych szczegółów naszego dochodzenia - odparta sztywno. - To wszystko bardzo niefortunnie się składa, Kate. Wszyscy jesteśmy naprawdę bardzo, ale to bardzo rozczarowani.

Spojrzałam ponownie na kobietę z działu kadr.

- Gdzie są dowody? Nie mogę w ogóle nic powiedzieć? Nie mogę się bronić?

- Może pani złożyć skargę w tym dziale - odparta. - Jeśli jednak nalega pani na wykorzystanie opcji prawnych, mogę panią zapewnić, że podejmiemy odpowiednie kroki. - Tylko lekko podkreśliła słowo „odpowiednie”. Cichutkie warknięcie. - Jesteśmy raczej pewni faktów - dodała.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza. Wyjdę z tego z godnością.

- A więc dobrze. Oto mój laptop. - Rozpięłam torbę i uśmiechnęłam się do Alicii. - Bez wątpienia świetnie wiesz, co jest w środku. - Przesunęłam go po blacie. - A tu jest BlackBerry - powiedziałam, odkładając telefon ostrożnie tuż przy laptopie i siłą woli powstrzymując ręce przed drżeniem.

Zabrzęczał na stole. Nowy e-mail. Pewnie od Juliana.

- Nie posiadam żadnych firmowych kart kredytowych ani nic takiego.

- Dziękuję - powiedziała kobieta z działu kadr z ulgą w głosie. Podała mi jakiś dokument. - Jeśli podpisze to pani, będziemy mogli zamknąć sprawę.

Wzięłam od niej kartkę i szybko ją przejrzałam. Wszystko w jakimś prawnym żargonie. Nawet gdyby mój mózg był w dobrej formie - a w tej chwili nie był - pewnie i tak nie za wiele bym z tego zrozumiała.

- Wie pani - odparłam z wahaniem. - Sądzę, że najpierw powinien obejrzeć to mój prawnik.

- Przykro mi, ale obawiam się, że nie mogę wypuścić pani z tego pokoju, zanim pani tego nie podpisze.

Spojrzałam na nią, a potem na Bannera, Alicie i dwóch dyrektorów zarządzających. Banner wciąż siedział ze wzrokiem wbitym w stół. Domyślałam się, że wiedział, co tu się naprawdę dzieje. „Alicia sypia z Bannerem. Nie wiedziałaś o tym?” - w mojej głowie echem odbił się głos Charliego, strzępki z jakiejś plotki sprzed roku. Wszystko to żarty i zabawa oczywiście, póki dziewczyna nie zawlecze cię przed komisję do spraw molestowania seksualnego. Albo póki nie zagrozi, że to zrobi.

Nie miałam szansy. Odwróciłam się znów do kobiety z działu kadr i uśmiechnęłam się:

- Dobrze - powiedziałam. - Podpiszę.

Gapiłam się na nią, bazgrząc u dołu moje nazwisko i na pokaz nawet tego nie czytając. To był mój protest, mój sposób na to, by powiedzieć, że byli gówno warci. Że całe to spotkanie było totalną farsą.

- Dziękuję - rzuciła kobieta z działu kadr, po czym sięgnęła po słuchawkę telefonu i wybrała dwie cyfry.
- Tak, jesteśmy gotowi - oznajmiła.

Wstałam.

- Chcę tylko, żebyście wiedzieli - powiedziałam z absolutnym opanowaniem w głosie - że ta kobieta, która tutaj siedzi - wskazałam na Alicie - właśnie zrobiła z was wszystkich kompletnych idiotów. I ze mnie też, jak przypuszczam. I pewnie będziecie mieli szczęście, jeśli pewnego dnia nie rozpieprzy tej całej firmy - być może z powodu zwykłej niekompetencji. Ale tak się świetnie składa, że teraz to wasz problem, a nie mój.

Drzwi się otworzyły, a za nimi stał uzbrojony pracownik ochrony, który na mnie czekał. Wymaszerowałam z pokoju do wind, a potem w dół, w dół, w dół do recepcji, przez bramkę i drzwi obrotowe.

I to by było na tyle.

Nie zamierzałam się rozpłakać w miejscu publicznym. Tłumiony szloch sprawiał, że bolało mnie gardło i piekły powieki, ale jakoś udało mi się to wszystko zatrzymać w sobie. Chciałam zadzwonić do Juliana, wysłać do niego e-mail, ale mieli teraz mój laptop i BlackBerry. Pewnie w tej chwili przeglądali ich zawartość i czytali wszystkie te słodkie, czułe wiadomości, które właśnie mi wysłał.

Wciąż byłam w szoku. Co powiem rodzicom? Przyjaciołom? Moje życie właśnie zostało zrujnowane w zaledwie dziesięć minut. Zostałam zwolniona dyscyplinarnie. A to oznaczało, że szkoła biznesu unieważni moje przyjęcie. Nie miałam pracy, dochodów i moje nazwisko było spalone w branży, w której reputacja była wszystkim. Nie miałam nic. Jak miałam spojrzeć Julianowi w oczy? On by mi oczywiście uwierzył, wiedziałby, że nie zrobiłam nic złego. Pewnie nawet chciałby się mną zaopiekować. Utrzymywać mnie. Namawiałby mnie, bym wprowadziła się do niego, pozwoliła mu kupować mi różne rzeczy. Ale jak mogłabym się tak poniżyć? Jak mogłabym przyjmować od niego to, na co sama nie byłam w stanie zarobić? A gdy płomień jego zauroczenia zacznie blaknąć, bo nieuchronnie tak się stanie, gdzie się znajdę?

Pojechałam metrem na Siedemdziesiątą Siódmą i wysiadłam. Moje mieszkanie było zaledwie dwie przecznice stąd. Przeszłam ten odcinek powoli, niosąc niemal pustą torbę na laptopa i ledwie zauważając ludzi oraz budynki wokół. Frank wciąż miał dyżur w recepcji. Spojrzał na mnie zdumiony.

- Co się stało, dziecinko? - spytał. - Poszłaś na chorobowe?

- Nie. Właśnie mnie zwolnili. - Moje słowa zawisły w powietrzu, beznamienne i brutalne. Właśnie mnie zwolnili. Zwolnili.

Opadła mu szczęka. Jak automat minęłam recepcję i wcisnęłam guzik windy.

- Mówisz poważnie, dziecinko? Dlaczego? Na Wall Street robią redukcje?

- Coś w tym stylu - odparłam.

- Tak mi przykro. Dobrze się czujesz?

- Tak, dzięki Frank.

Drzwi windy się rozsunęły.

- Nie martw się, mała! - zawołał za mną, gdy wchodziłam do środka. - Tam zawsze przyjmują i zwalniają! Widziałem już wielu, co przychodzili i odchodzili...

Drzwi się zamknęły, tłumiąc jego głos. Poczułam, jak winda unosi się boleśnie powoli, turkocząc na każdym piętrze, aż wreszcie zatrzymała się na moim.

- Brooke! - zawołałam, wchodząc do środka.

Żadnej odpowiedzi. Spała albo jej nie było. Odstawiłam torbę na stół, zrzuciłam górę kostiumu i podeszłam do telefonu. Zwykle nieużywanego. Nigdy wcześniej go tak naprawdę nie potrzebowałam.

Siedziałam przy nim przez chwilę, myśląc. Numer do Juliana był na moim BlackBerry, ale i tak znałam go na pamięć. Podniosłam słuchawkę i przez długą chwilę patrzyłam na przyciski, zastanawiając się, co powiedzieć. Pewnie był teraz na jakimś spotkaniu. To dobrze. Z pocztą głosową będzie łatwiej.

Wstukałam numer. Miał ustawione standardowe powitanie, ale nie pocieszył mnie jego liryczny głos. Usłyszałam sygnał:

- Cześć, Julian - powiedziałam miękko. - To ja. Kate.

Mhmm... Nie wiem, jak to powiedzieć. Właśnie zostałam zwolniona. To długa historia. Jestem teraz z powrotem w mieszkaniu. Mają mojego BlackBerry i wszystko, więc nie przysyłaj mi więcej maili. Po prostu zadzwoń do mnie na ten numer, kiedy będziesz mógł. Dzięki. Mmm... mam nadzieję, że twoje spotkanie dobrze poszło. Na razie.
- Rozłączyłam się i oparłam głowę o stół.

Jakie są stadia smutku? Wyparcie, złość, akceptacja... Zapomniałam. Prawdopodobnie dalej tkwiłam w fazie wyparcia, ale czułam też trochę złości. Co za suka! Żałosna suka!

Wyprostowałam się. Jaki był numer do Charliego? Spróbowałam się skupić. Gdzieś w pokoju wciąż miałam folder informacyjny Sterling Bates z numerami telefonów i mailami wszystkich pracowników. Gdzie on mógł być?

Wstałam z krzesła i poszłam do mojego pokoju. Trzymałam większość papierów w segregatorach pod łóżkiem, wyciągnęłam więc je i zaczęłam przeglądać. Nie wiele tego było. Niemal wszystkie rachunki płaciłam online. Nawet moje wyciągi bankowe przychodziły teraz mailem. Dla Sterling Bates miałam osobny segregator. Otworzyłam go i zobaczyłam niebieski folder z lśniącego papieru z eleganckim logo firmy, i zaraz przypomniałam sobie pierwszy dzień szkolenia. Czułam się taka dorosła: pensja, premia, ubezpieczenie zdrowotne i plan emerytalny 401k.

Rozłożyłam folder i znalazłam listę kontaktów. Najpierw sprawdziłam moje numery telefonu do pracy i na komórkę. Wciąż były takie same, więc uznałam, że w wypadku Charliego też tak musi być. Wróciłam do dużego pokoju, podniosłam słuchawkę i wybrałam jego numer na komórkę.

- Halo - odebrał po pierwszym sygnale.

- Cześć, Charlie. Tu Kate.

- Kurwa, Kate! Co się, kurwa, stało?

- Charlie, możesz wyjść na zewnątrz? Nie chcę, żeby ktoś cię podsłuchał. Po prostu oddzwon, kiedy wyjdiesz, dobrze?

- Jasne, stara.

W telefonie kliknęło i odłożyłam słuchawkę. To był aparat bezprzewodowy. Wzięłam go więc i podeszłam do okna. Wyjrzałam na północ, na Harlem. Nie panikuj, powiedziałam sobie. Rozgryź to.

Telefon zadzwonił minutę później. Odebrałam, jeszcze zanim przebrzmiał pierwszy sygnał.

- Charlie?

- To ja, stara. No więc co jest, kurwa?

- Jest tak, Charlie. Nie wiem, co ci naopowiadali, ale moja przepustka dziś rano nie zadziałała, a Banner zjechał do mnie i odeskortował mnie na górę. Wziął mnie do działu kadr i zaprowadził do pokoju, gdzie oprócz niego byli jacyś dyrektorzy naczelni i Alicia, Charlie. Alicia. Powiedzieli, że mają jakieś dowody, że przekazywałam

informacje. Poufne informacje, jak się domyślam. Nie powiedzieli mi, co takiego, a gdy spytałam, czy mogę się jakoś bronić, zaczęli mi właściwie grozić. Więc tak to ze mną wygląda. Znasz mnie przecież. Nigdy w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła.

- I myślisz, że to Alicia? - spytał.

- Charlie, jestem tego pewna. Przyłapałam ją w piątek rano, jak grzebała w moim laptopie. Myślałam, że po prostu przegląda e-maile i szuka jakichś plotek, ale założę się, o co chcesz, że podrzucała mi jakieś pliki albo dowody czy coś w tym stylu.

- Stara - powiedział łagodnie.

- No... właśnie - westchnęłam.

- I co teraz zrobisz?

- Nie wiem. Szkoda, że nie mogę się w żaden sposób skonfrontować z Alicią.

- A co z Laurence'em?

- Z Julianem? A co z nim?

- Może ci pomóc, prawda? Może ich zmiażdżyć. Może, kurwa, wynająć najlepszego prawnika w tym mieście. Załatwi ci zajebistą ugodę i będziesz ustawiona na całe życie.

- Charlie, nie mogę go o to prosić! Ma płacić rachunki za mojego prawnika? No daj spokój!

- Dlaczego nie? Stać go na to.

- Nie o to chodzi. - Potarłam czoło, jakby miało to w jakiś sposób przywrócić normalne funkcjonowanie mojego mózgu. - Co o tym mówią w firmie?

- Stara, nie chcesz wiedzieć.
- Dobrze, już dobrze. Słuchaj, mógłbyś wyświadczyć mi przysługę?

- Jasne.

- Przede wszystkim spróbuj jakoś rozpuścić pogłoskę, jak to naprawdę ze mną było, dobrze? Daj ludziom do zrozumienia, że jest jeszcze druga strona tej historii, że może Alicia się na mnie zawzięła od czasu tego kontraktu z ChemoDerma, bla, bla, bla...

- Dobra, tyle że Alicia przez ostatnich kilka miesięcy była twoją najlepszą przyjaciółką - zauważył Charlie.

- Wiem, wiem. Jestem taką cholerną idiotką.

- Pieprzoną idiotką, Kate. Jezu! Ale nie martw się, jestem mistrzem plotek. Zadbam już o to, żeby twoja historia się rozeszła. Prawda doda nam siłę, stara.

- Dzięki, Charlie. I jeszcze jedno.

- Co takiego?

- Jeśli miałbyś szansę trochę powęszyć...

- Oj, czekaj, stara. To już jest popieprzone.

- Nie, żadnych podchodów. Żadnych włamań w biurze. Po prostu poszperaj trochę w plikach sieciowych, zobacz, czy coś znajdziesz. To wszystko po prostu po prostu śmierdzi.

Westchnął.

- Dobra, w porządku. Pobawię się trochę dla ciebie w niewidzialną rękę. Tylko nie spodziewaj się cudów, dobrze?

Rozległ się sygnał oczekującej rozmowy.

- Charlie, mam drugą rozmowę. Muszę kończyć. Możesz wysłać mi e-mail na moje konto na Yahoo. - Błyskawicznie podałam mu adres.

- Mam. To na razie, stara.

- Dzięki, Charlie. - Zaczepnęłam głęboko powietrza i przełączyłam się na drugą rozmowę. - Halo?

- Kate! O mój Boże! Co się stało?

- Julian. Dostałeś moją wiadomość?

- Przed chwilą. Jak się czujesz?

- W porządku. Po prostu, jakby to powiedzieć, wpadłam w zasadzkę Alicii. Przekonała komisję nadzorującą, że sprzedawałam poufne informacje. Nie znam szczegółów. Nic mi nie chcieli powiedzieć. Nie mam więc pojęcia, co niby przekazałam i komu. To wszystko jest po prostu... strasznie frustrujące... - Szloch w końcu mnie dopadł, sprawiając, że słowa uwięzły mi w gardle. - Przepraszam - powiedziałam. - Jestem po prostu strasznie zestresowana.

- Kochanie, trzymaj się. Już jestem w drodze. Pomogę ci dojść z tym do ładu, obiecuję. Na Boga, dam popalić tej małej wiedźmie!

- Nie, nie. Nie musisz tego robić. To mój problem.

Krótką chwilą milczenia.

- Kate, nie bądź śmieszna. To nasz problem. Ponieważ wszystko, co dotyczy ciebie, jest dla mnie niezwykle ważne.

- Przestań, dobrze? I tak już jest mi trudno. Naprawdę bym nie chciała, żeby to mi się całkiem wymknęło spod kontroli.

- Posłuchaj - powiedział. - Do mnie też dotarły tutaj dość dziwne wieści. Myślałem na poważnie o... Poczekaj chwilkę, dobrze? Zaraz jestem z powrotem.

Przełączył mnie na oczekiwanie i zapewne odebrał inną rozmowę. Wciąż stałam przy oknie, wpatrzona w szare, pokryte gęstymi chmurami niebo i niekończące się ponure wieże apartamentowców i osiedli przede mną. Postukałam palcami w szybę i przymknęłam oczy, zmuszając się, by nie stracić panowania nad sobą. Nie płakać. Nie łkać. Przełączył się z powrotem.

- Kate, kochanie? Jesteś tam?

- Jestem - odparłam przez ściśnięte gardło.

- Kate, kochana. Chcę cię o coś zapytać. Możesz mi zaufać?

- Oczywiście.

- Masz wciąż klucze, które ci wczoraj dałem?

- Naturalnie. Mam je w torebce.

- W takim razie chcę, żebyś poszła do mnie do domu, weszła do środka i wzięła zapasowy zestaw kluczyków do samochodu. Są w środkowej szufladzie biurka w bibliotece. Idź z nimi na parking i wyjaśnij im, że jesteś moją przyjaciółką. Zadzwońię do nich i poinformuję, że się zjawisz. Wyjeżdżałaś kiedyś na północ z miasta?

- Nie. - Byłam zbyt zszokowana, żeby powiedzieć coś jeszcze.

- Dobrze, w takim razie będziesz musiała zaprogramować system nawigacji. Pojedziesz do Lyme, do mojego domu letniskowego. To w Connecticut, jakieś pół godziny drogi od New Haven. Adres jest w GPS-ie. Przewijaj po prostu menu, aż znajdziesz. Kate, słuchasz mnie?

- Tak. Lyme. Adres jest w GPS-ie.

- Przyjadę z Bostonu i tam się spotkamy, dobrze? Możesz to dla mnie zrobić?

- T a k . - Odchrząknęłam i powtórzyłam głośniej:
- Tak. Widzimy się w Lyme.

- Dobra dziewczynka. Spakuj sobie trochę rzeczy. Możemy tam zostać nieco dłużej.

- Co?! - otrząsnęłam się. - Co masz na myśli?

- Wyjaśnię ci, kiedy przyjedziesz. Proszę, mogłabyś mi po prostu zaufać? Jesteś w stanie prowadzić?

- Jasne. Tak.

- Jesteś pewna? Samochód ma ręczną skrzynię biegów. Nie przeszkadza ci to?

- Nie. Prowadziłam tak w szkole średniej.

- Ruch nie powinien być za duży, jest przecież po niedziąłku rano. Jak dobrze pójdzie, będziesz na miejscu po dwóch godzinach.

- Dwóch godzinach. Dobrze.

- Masz mnóstwo paliwa. Możesz się zatrzymać po

drodze, jeśli będziesz głodna. Przy autostradzie jest z kilkanaście cholernych McDonaldów. Ale pośpiesz się, dobrze? Spakuj rzeczy i ruszaj. Idę wynająć sobie samochód.

- W porządku. Wyjadę jak najszybciej.

- Kochanie, poradzimy sobie z tym wszystkim, obiecuję. Do zobaczenia wkrótce.

Przełknęłam ślinę i łzy.

- Do zobaczenia. - Rozłączył się.

Stałam przez chwilę jak skamieniała, patrząc na północ. Ale kiedy doszłam do siebie, zaczęłam się tak spieszyć, jakby się paliło. Tęsknota, by znów zobaczyć Juliana, przyćmiła wszystko inne. Wrzuciłam kilka ubrań do niewielkiej walizki, wzięłam zapasową parę butów, mój zestaw podróżny. Poszłam do dużego pokoju i ruszyłam ślepo do drzwi. Kątem oka dostrzegłam listę kontaktów ze Sterling Bates, wciąż leżącą na stole. Zgarnęłam ją i wsunęłam do przedniej kieszeni walizki. Potem wzięłam ołówek i nabazgrałam notatkę dla Brooke:

Brooke, wyjeżdżam na kilka dni do Connecticut. Jeśli coś się pojawi, wyślij mi maila na moje konto w Yahoo. Dzięki. Kate.

Przerzuciłam przez ramię torbę od laptopa, w której wciąż był mój portfel i inne rzeczy, i ruszyłam do drzwi.

- Gdzie się wybierasz? - spytał Frank, gdy pośpiesznie mijałam recepcję.

- Wyjeżdżam na kilka dni! - odrzyknęłam przez ramię. - Muszę się trochę pozbierać.

- Dobry pomysł. Och, poczekaj! Właśnie przyszła do ciebie paczka. Miałem ci ją wysłać na górę.

Odwrociłam się. Trzymał w wyciągniętej ręce małą paczkę w kształcie książki w kartonowym opakowaniu. Pewnie moje zamówienie z Amazona sprzed kilku dni. Nie pamiętałam nawet, co to takiego. Jakaś książka biznesowa.

- Dzięki, Frank - powiedziałam, wsuwając ją do torby na laptopa. - Do zobaczenia wkrótce.

Godzinę później mknęłam już przez Connecticut zrywnym zielonym maserati, delektując się poczuciem mocy za każdym razem, gdy dotykałam pedału gazu, posłusznym warkotem silnika, tym, jak życie zostało zredukowane do eleganckiej prostoty, podczas gdy moje ciało kierowało tą maszyną. Żadnego telefonu czy komputera. Uświadomiłam sobie, że nikt nie może się ze mną skontaktować. To było dziwnie wyzwajające uczucie, które nie miało nic wspólnego z samotnością.

Według GPS-u miałam jechać autostradą aż do zjazdu 70 zaraz na drugim brzegu szerokiej, lśniącej rzeki Connecticut. Odbiłam w lewo na wiadukt, oddalając się od linii wybrzeża, i pojechałam drogą na północ, mijając chylące się stare kolonialne domy i rozpadające

się kamienne mury, dawne pola z połaciami nasadzanych lasów, wypełniającymi porzucone tereny rolnicze. W końcu skręciłam w lewo, z powrotem w stronę rzeki, zjechałam w dół krętymi drózkami, aż dotarłam do przerwy w kamiennym murze z wymalowanym na biało numerem 12 na drewnianej tabliczce po prawej stronie.

- Dotarłeś do celu - poinformował mnie beznamietnie głos z GPS-u.

Mijając przerwę w murze, zobaczyłam podjazd otoczony przez dęby i brzozy. Chmury już jakiś czas temu zaczęły się rozstępować i teraz, gdy maserati mknęło wysypaną żwirem alejką, poczułam dotyk promieni słońca na szybie, rozgrzewający wnętrze samochodu. Opuściłam szybę. W twarz uderzył mnie podmuch świeżego powietrza.

Skręciłam ponownie i nagle pojawił się przede mną biały jednopiętrowy domek ze ścianami obitymi drewnem. Na podjeździe stał zaparkowany szary ford focus, a na schodkach przed wejściem, obok kamiennej wazy porośniętej bladymi niecierpkami siedział Julian. Zerwał się na nogi i szybko ruszył w moją stronę, wysoki i skąpany w słońcu. Nie sposób było mu się oprzeć.

Zatrzymałam się i wyskoczyłam, nie fatygując się nawet, by zatrzaskać drzwi samochodu, a potem wy dostałam się w moich butach na obcasach na twarde głęboki żwir, obeszłam auto i rzuciłam mu się w ramiona.

Rozdział 11

Nie płacz - upomniałam się surowo. I nie płakałam. Milczałam, tłumiąc szloch, i pozwoliłam, by Julian przyciągnął mnie do siebie i przytulił do piersi, do miękkiej, grubej bawełny jego koszuli i miarowych uderzeń serca. Pociągnął mnie i usiedliśmy na ziemi. Jego ręce zataczały kojące kręgi na moich plecach. Mruczał mi do ucha:

- Już dobrze, już dobrze - wydawało mi się, że słyszę.
- Już wszystko dobrze, kochanie. Jestem tutaj.

Siedzieliśmy tak razem na żwirze strasznie długo, choć w rzeczywistości mogło upłynąć zaledwie kilka minut. Ciągłe mruczał w wiejską ciszę to swoje: „Już dobrze, kochanie, już dobrze”, a odpowiadał mu tylko przytłumiony szczebiot ptaków.

Stopniowo zaczęłam sobie uświadamiać inne rzeczy. Poczułam słońce sączące się przez cienki jedwab mojej bluzki, której nawet nie zmieniłam, wyjeżdżając z Nowego Jorku. Spojrzałam w dół na czarną wąską spódnicę,

na moje pantofelki z cielej skóry na wysokich obcasach i zaczęłam się śmiać. Uścisk jego ramion zelżał.

- O co chodzi?

- Niezupełnie jestem ubrana na wieś - odparłam.

- Fakt, nie jesteś. Ale i tak wyglądasz zachwycająco.

Okręciłam się, żeby na niego spojrzeć. Był ubrany swobodnie, w luźną, spraną niebieską koszulę i dżinsy. Był boso. Nigdy nie widziałam go tak zrelaksowanego.

- Nie wiedziałam, że masz tutaj dom - powiedziałam niemal oskarżycielskim tonem.

Wzruszył ramionami.

- Jakoś nigdy do tego nie doszliśmy.

- A l e t o n i e z u p e ł n i e p r a w d z i w a w i e j s k a p o s i a d a ł o ś ć , p r a w d a ? T o z n a c z y , d l a c z e g o n i e j a k a ś r e z y d e n c j a w H a m p t o n s ?

- Kate - powiedział z wyrzutem. - Powinnaś znać już mnie nieco lepiej. - Przerwał i mi się przyjrzał. - Jesteś zawiedziona?

Uśmiechnęłam się.

- Powinieneś już znać mnie lepiej.

Wstał i pociągnął mnie za sobą.

- No więc, skoro już doszłaś do siebie - zaproponował - to może zdejmiesz te śmieszne buty i wejdiesz do środka? Jadłaś coś?

- N i e .

Sięgnęłam w dół, by zsunąć najpierw prawy, a potem lewy but.

- Och! No cóż, coś wymyślimy. Ale chodź już.

Pociągnął mnie ścieżką z kamiennych płyt do frontowych drzwi.

Dom był stary, prawdziwy kolonialny, z centralnym kominem, cudownie podniszczoną boazerią i szafkami w narożnikach. Ktoś, prawdopodobnie sam Julian, zmodernizował kuchnię i łazienki, ale pierwotne kominki wciąż były na swoim miejscu, a szerokie deski podłogowe z kasztanowca skrzybiały przyjaźnie pod stopami.

- Zleciłem komuś, żeby to umeblował - wyjaśnił, pokazując ręką na duży pokój - bo sam nie miałem na to czasu. Jakaś miejscowa kobieta. Nie chciałem jakiegoś przeładowanego ozdobami miejsca na pokaz, takiego jak ma Geoff.

- Jest wspaniały - odparłam. - Dokładnie taki, jaki powinien być.

- Cieszę się. Chcę, żebyś czuła się tutaj jak w domu.

- Zerknął na zegarek. - Ale nie mam w domu nic do jedzenia, więc chyba przejadę się do A&P we wsi.

- Pojadę z tobą.

- Nie, powinnaś wypocząć.

- Ale wszystko kupisz nie tak jak trzeba! - zaprotestowałam.

- Kate, radzę tu sobie sam już od jakiegoś czasu.

Pokręciłam głową.

- Julian, nie ma szans, żebym pozwoliła ci coś mi ugotować. A skoro to ja gotuję, to ja powinnam wybrać produkty.

- Zrób mi listę.

- Mówisz poważnie? Chcesz jechać na zakupy?

Myśl o Julianie Laurensie wążającym kantalupę i sprawdzającym terminy ważności wydawała mi się zupełnie absurdalna.

- Czego potrzebujesz?

Poszłam do kuchni i zrobiłam małą inwentaryzację. W lodówce nie było zbyt wiele, tylko podstawowe dodatki. Ale spiżarnia prezentowała się już trochę lepiej. Znajdował się tu szeroki asortyment konserw, płatków zbożowych oraz kilka słoików suszonych ziół i przypraw.

- Mielonka w puszcze? - spytałam z wyrzutem, unosząc ją. - Masz miliardy dolarów i trzymasz w spiżarni mielonkę?

Wyrwał mi ją.

- To świetny produkt - odparł defensywnym tonem.

- Można z niej zrobić mnóstwo dań.

- Nie na mojej warcie.

W zamyśleniu postukałam palcem w listwę przy drzwiach.

- Masz grilla?

Spojrzał na mnie ze skonsternowaną miną.

- A niech to! No dobrze, będziemy się trzymać podstaw. Jajka, mleko, ser, pomidory, może jakieś gotowe sałatki, owoce, stek albo coś na kolację...

Westchnął.

- Poczekaj chwilę. Przyniosę kartkę i długopis.

Wyjechał wypożyczonym samochodem, a ja patrzyłam za nim dopóty, dopóki ostatni błysk metalicznego lakieru nie zniknął wśród liści. Zapomniałam go zapytać, dlaczego w ogóle tu jesteśmy. Dlaczego Lyme? Przecież nie wygnano mnie z Manhattanu; co najwyżej z jednego jego zakątka, w którym mieściła się siedziba Sterling Bates. Miałam niemal wrażenie, jakbyśmy się ukrywali, chowali tutaj głęboko w lasach Connecticut, otoczeni nieprzeniknioną barierą drzew, ptaków i ciągnących się w nieskończoność kamiennych murów.

Wyciągnęłam z maserati moją walizkę i torbę na laptopa i zaniiosłam je do domu. Nie byłam pewna, gdzie mogę je postawić. Temat tego, gdzie kto miał spać, na razie nie został poruszony. Poczułam boskie podenerwowanie, wiążące się w brzuchu na samą myśl o tym, i nagle przed oczami stanął mi obraz: białe prześcieradła, ciepła naga skóra i intymność. No cóż, dlaczego nie? To pewnie dlatego mnie tutaj sprowadził. Sanktuarium, miłosne gniazdko.

Gdzieś od strony kuchni zadzwonił telefon, sprawiając, że podskoczyłam. Zawahałam się na chwilę. To był dom Juliana. Pewnie nie powinnam odbierać. Ale co, jeśli to Julian chce mnie zapytać, czy wolę mleko odtłuszczone, czy dwuprocentowe? Wiedział, że nie mam już komórki.

Ruszyłam szybko w stronę sygnału i znalazłam aparat na małym biurku przy ścianie. Moja ręka na chwilę nad nim zawisała, a potem odebrałam.

- Halo? - powiedziałam i dodałam szybko: - Rezydencja pana Laurence'a.

Cisza. Jakiś słaby odgłos, jakby ktoś oddychał.

- Halo? - spróbowałam jeszcze raz. - Julian, czy to ty?

* r t

Chwila ciszy, a potem jakiś męski głos zapytał z wahaniem:

- Czy mogę rozmawiać z panem Laurence'em?

- Mmm... Nie. Wyszedł na chwilę. Przekazać mu, że pan dzwonił?

- Nie, dziękuję - odparł i się rozłączył.

Pół godziny później usłyszałam skrzypienie żwiru od strony podjazdu i wyszłam przed dom. Julian wyładowywał zakupy z samochodu. Pochyliłam się i złapałam kilka toreb.

- Daj spokój - zaprotestował. - To moje zadanie.

- Przyda mi się trochę ruchu. Już dawno nie biegałam.

- Nie o to chodzi - odparł, ale już ruszyłam ścieżką.

Zanieśliśmy zakupy do środka i zaczęliśmy je rozpakowywać.

- Ach, właśnie. Ktoś dzwonił, kiedy cię nie było - przypomniałam sobie.

Zamarł i odwrócił się w moją stronę.

- Odebrałaś?

- Tak. Myślałam, że może to ty. - Poczułam na sobie ciężar jego spojrzenia i sięgnęłam do torby po sok

pomarańczowy. - Mmm... Dobrze zrobiłam? To znaczy, nie chciałam wtrącać się w twoje sprawy...

Wypuścił powietrze z płuc i uświadomiłam sobie, że wstrzymywał oddech.

- Nie. Oczywiście, że nie. To znaczy, odbieranie telefonów to żadne wtrącanie się w moje życie.

- Nie masz jakichś szalonych byłych dziewczyn ani nic w tym stylu? - spytałam, tylko odrobinę się z nim drocząc.

Prychnął.

- N i e .

Włożył winogrona do szuflady na owoce w lodówce.

- Przedstawił się?

- Nie - odparłam. - Pytałam, ale nie chciał zostawiać żadnej wiadomości.

- Amerykanin czy Brytyjczyk?

- Amerykanin.

- Podałaś mu swoje nazwisko?

- Nie, a czemu pytasz?

Odchrząknął.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, byłoby lepiej, gdybyś nie podawała takich informacji.

- Jakie okoliczności?

- Kate - powiedział. - Ludzie mogą zadawać różne pytania, jeśli rozejdzie się wieść o tym dzisiejszym... o tym incydencie. Nasze nazwiska już zostały powiązane. Jeśli ktoś doda dwa do dwóch i odkryje, że zatrzymałaś się w moim domu...

- Martwisz się o swoją reputację? - spytałam chłodno.

- Nie. Ale martwię się o twoją. I o twoje bezpieczeństwo.

- Moje bezpieczeństwo? - Odłożyłam bochenek chleba, który trzymałam w ręce. - Co masz na myśli?

- Nieważne. Po prostu powinniśmy zachować rozwagę.

- To dlatego tutaj jestem? Martwisz się o moje bezpieczeństwo?

Spróbował się uśmiechnąć.

- Tak. I o inne rzeczy też.

- Jakie inne rzeczy? - Zaburczało mi w żołądku.

- Głodna?

- Nie zmieniaj tematu.

- Zjedz kanapkę - zaproponował, sięgając do ostatniej torby i rzucając mi gotowego sandwicha z szynką i serem, prosto z delikatesów. - Później o tym porozmawiamy.

Julian spędził popołudnie przy swoim laptopie i BlackBerry. Dziwne, ale w ogóle o tym zapomniałam. Prywatne wcielenie Juliana wydawało mi się niemal nie do pogodzenia z publicznym. „Ten koleś to pierdolony mityczny samiec alfa”, powiedział Charlie kilka miesięcy temu w sali konferencyjnej Sterling Bates. W żargonie

Wall Street oznaczało to rzadką i boską zdolność do podbijania rynku rok po roku. Alfa. Julian był tym przesiąknięty do szpiku kości.

Próbowałam nie podsłuchiwać - zawzięcie przeglądając książki w salonie i brzdąkając na małym fortepianie w kącie - mimo to i tak dotarł do mnie władczy ton jego głosu - dowód ewidentnej pasji, z jaką podchodził do swojej pracy. Nie miał nawet trzydziestu pięciu lat. Gdzie zdobył tę pewność siebie i doświadczenie, tę łatwość, z jaką wydawał polecenia?

W końcu wyszłam do ogrodu na tyłach domu, z którego nieoczekiwanie rozciągał się wspaniały widok na rzekę, lśniąca w popołudniowym świetle. Wspięłam się na jeden z bardzo starych kamiennych murków przecinających łąkę i obserwowałam, jak słońce opada na tle wzgórz po drugiej stronie rzeki.

- Szklaneczkę sherry? - usłyszałam głos Juliana.

- Sherry?

- Bardzo dobre przed obiadem. Spróbuj. - Podał mi małą zdobioną szklanekę.

- To musi być brytyjski zwyczaj.

Upiłam maleńki łycalek, pozwalając, by intensywna słodycz rozlała się cudownie po moim języku. Upiłam kolejny.

- Przyniosłem ci sweter. Robi się chłodno.

Położył mi go na ramionach. Był lekki i ciepły.

- Dzięki - odparłam.

Pachniał nim, jego mydłem. Julian wspiął się na murk i usiadł obok mnie.

- Już odkryłaś moje ulubione miejsce.

- Pięknie tu. Od jak dawna masz ten dom?

Wzruszył ramionami.

- Od kilku lat.

- Często tu przyjeżdżasz?

- Nie tak często, jak bym chciał. Lubię ten spokój.

- Nie czujesz się tu trochę samotny? - Upiłam łyk sherry, by ukryć niepokój, z jakim czekałam na jego odpowiedź.

Zaśmiał się cicho i pochylił, by pocałować mnie w ramię.

- Kochanie... Tak, czasem aż do bólu. Kilka razy przyjechali tu Geoff z Carla, ale chyba było tu dla niej trochę za rustykalnie. Jeden z chłopców złapał w lesie kleszcza. O, tam. - Pokazał głową w stronę brzoźowego zagajnika. - Niemal zadzwoniła pod 911.

Roześmiałam się.

- To dlatego nazywają to chorobą z Lyme, tak?

- Będę musiał bardzo dokładnie cię sprawdzać, czy nie złapałaś tego małego paskudztwa - powiedział z powagą. - Co wieczór.

- Skoro musisz. A ja chyba powinnam zrobić to samo dla ciebie.

Jego cichy śmiech znów zaszeleścił w powietrzu. Położył dłoń na mojej, spoczywającej na murku.

- No to opowiedz mi, co się dzisiaj stało - poprosił.
- Jeśli potrafisz już o tym mówić spokojnie.

Pogłaskałam palcami maleńkie, lśniące jak diamenty wypukłości na szklance z sherry; zwolnienie już wydawało mi się odległym wspomnieniem.

- Wiesz, to było trochę jak scena z filmu. Unieważnili moją przepustkę, więc Banner odeskortaował mnie na górę jak... jak jakiś komandos czy coś w tym stylu, a tam siedziała Alicia i wyglądała na wyjątkowo zadowoloną z siebie. Sprawą zajęła się jakaś kobieta z działu kadr. Powiedziała, że mają dowody, jakobym, cytuję, „była zaangażowana w nielegalną wymianę informacji” z, jak oni to wyrazili, dobrze znaną stroną z branży finansowej. Zakładam, że Alicia to sfabrykowała. Miała motyw i okazję. - Upiłam kolejny łyk i spojrzałam w dół na przyciemnioną szklanę.

- Nie możemy tego sprawdzić?

- No cóż, dość szybko zamknęli sprawę. Spytałam, czy mogę się w jakiś sposób bronić, a oni powiedzieli, że jeśli spróbuję, podejmą odpowiednie kroki prawne. Odpowiednie, tak się wyraziła. I wiedziała, co mówi.

Zeskoczył z murku i odwrócił się, by spojrzeć mi w oczy.

- Innymi słowy, sterroryzowali cię.

- Można tak powiedzieć.

- Kate. - Dotknął dłonią mojego podbródka. - Oni jeszcze nie widzieli odpowiednich kroków prawnych.

Teraz pójdziemy razem do domu i zadzwonię do mojego adwokata. I zanim z nimi skończę, runą na kolana, błagając cię o wybaczenie. A jeśli chodzi o tę twoją zdradliwą jędzę...

- Przestań. Przestań. - Odstawiłam kieliszek na murek, chwyciłam go za ramię i również spojrzałam mu w oczy. - Właśnie tego nie zrobisz. Nie wyrzucisz milionów dolarów na honoraria dla adwokatów, żeby odzyskać dla mnie pracę, której nigdy tak właściwie nie lubiłam. Nie narazisz siebie i swojej firmy na uwagę opinii publicznej, którą z całą pewnością to przykuje. Na razie po prostu zostawimy sprawę tak, jak jest.

- Akurat... - zaczął, ale położyłam mu palec na ustach.

- Proszę - wyszeptałam. - Posłuchaj, nie ma jeszcze potrzeby, żeby wytaczać prawnicze działa. To ich tylko nastraszy i zniszczą wszelkie dowody. Poprosiłam Charliego, żeby trochę dla mnie powęszył. Żeby zobaczył, o co chodzi. Kto jest niby tą znaną stroną i jakich informacji rzekomo im dostarczyłam. Jeśli się dowiem, co dokładnie robiła Alicia, może mi się uda ją przyszpilić?

- Nie tobie - zaprotestował. - Nam.

- Nie. Nie ma mowy! W tej sprawie stoisz z boku, Laurence. Nie chcę, żebyś znów się dla mnie zmieniał w jakiegoś terminatora.

- Znów?

- Tak jak w parku. Rzuciłeś się jak dziki na tego

faceta. Nie jestem pewna, czy byś go nie zabił, gdybym nie zareagowała. To mi naprawdę napędziło stracha.

- Kate - powiedział. - Nigdy bym cię nie skrzywdził.

- Wiem.

Zapadał już zmierzch, pogrążając jego twarz, surową i piękną, w niebieskich cieniach. Położyłam dłoń na jego policzku i poczułam pod palcami delikatne drapanie jednodniowego zarostu.

- Wiesz, tak sobie myślałam...

- Hmm... O czym?

- Nie jesteśmy tutaj dlatego, że mnie zwolnili, prawda?

Zawahał się.

- Nie. Właściwie to nie. Choć myślę, że to ci służy, że się wyrwałam.

- Podoba mi się tutaj. Ale nie zmieniaj tematu. Przez telefon mówiłeś coś o jakichś wieściach. Dziwnych wieściach. Czy wszystko w porządku?

- Znowu usiadł na kamiennym murku i przyciągnął mnie do siebie.

- Nie ma się czym aż tak martwić. Tak naprawdę to nadmiar ostrożności. - Przerwał, by dotknąć palcem kosmyk moich włosów. - Jak by to powiedzieć... To kwestia mojego, a co za tym idzie również twojego bezpieczeństwa.

- Co? Co chcesz przez to powiedzieć? - spytałam.

- Ktoś chce ci coś zrobić?

- Nie. Właściwie to nie. Posłuchaj, tak jak mówiłem, trochę trudno to wytłumaczyć.

- Jestem bystrą dziewczynką.

- Tak, jesteś - powiedział ponuro, jakby nie było to nic dobrego. - W porządku, powiem ci. Na początku stycznia postanowiłem zacząć całkowitą likwidację funduszu.

- Och! Chyba słyszałam tę plotkę.

- No cóż, chciałem powiedzieć ci wcześniej, ale nie mogłem stawiać cię w takiej sytuacji, bo pracowałeś w banku inwestycyjnym. Tak czy inaczej niedawno powiadomiliśmy listownie naszych inwestorów, że planujemy wypłatę ich wkładów i zysków na koniec lata, i niektórzy nie zareagowali na to za dobrze. I to cała historia.

- Cała historia? Żartujesz sobie? Kto taki? Czym ci grozi?

Pokręcił głową.

- Nie zamierzam ci powiedzieć. Po prostu przez jakiś czas nie będziemy się rzucać w oczy.

- Ale dlaczego my? To znaczy, bardzo się cieszę, że jestem tu z tobą, ale dlaczego ten niezadowolony inwestor miałby polować na mnie?

Poczułam jego pocałunek na włosach. Jego głos brzmiał nieskończenie czule:

- Ponieważ jesteś dla mnie ważna. Pisano o nas. I nigdy nic nie wiadomo... Nie chciałem ryzykować.

- Dość nikłe ryzyko.
- Jedyne dopuszczalne ryzyko w twoim wypadku
- odparł - to całkowity jego brak. Zamierzam więc cię tutaj zatrzymać **poły**, póki sprawa trochę nie przycichnie.
- Poczekaj chwilę. Na jak długo?
- Nie wiem. Może na miesiąc albo dwa.
- Zerwałam się na nogi.
- Na miesiąc czy dwa? Oszalałeś? Nie mogę tak po prostu zniknąć! To znaczy, wzięłam tylko jeden zestaw ubrań na zmianę.
- Nieco dalej przy autostradzie jest centrum handlowe.
- Nie zamierzam sobie kupować nowej szafy.
- Zaczął otwierać usta, by coś powiedzieć.
- I ty też nie będziesz! - warknęłam.
- Kate, uspokój się...
- Wiesz, mogłeś mi powiedzieć. Będę musiała wrócić do miasta...
- Nie - odparł ostro. - Przywiozę ci wszystko, czego potrzebujesz. Daj mi tylko swój klucz.
- Co? Więc ty możesz stąd wyjeżdżać, a ja nie?! Co tu się, do diabła, dzieje?! Porwałeś mnie czy co? - Przeszłam na drugą stronę murku i stanowczym krokiem ruszyłam w stronę domu.
- Kate, to nie tak... Cholera jasna, Kate! Tak strasznie to utrudniasz, gdy chcę się tobą zaopiekować...
- Odwróciłam się na pięcie i zderzyłam się z jego pierśią. Nie miałam pojęcia, że był tak blisko za mną.

- To dlatego, że nie potrzebuję żadnej opieki. Nie potrzebuję żadnego ratowania mnie. Nie jestem jakąś twoją utrzymanką. Tak naprawdę to nawet nie wiem, kim dla ciebie jestem!

- Jesteś kobietą, którą kocham.

Przymknęłam oczy.

- Julian, nie możesz tego mówić na serio. Bardzo miło mi to słyszeć. Poza tym to wszystko jest bardzo romantyczne i sprawia, że mam ochotę przez całą noc upojnie się z tobą kochać. Ale znasz mnie od jakichś dwóch tygodni, jeśli nie liczyć tych pięciu miesięcy, kiedy zniknąłeś z mego życia.

Opadła mu szczeka. Wreszcie zaniemówił.

- Nie mówmy więc na razie o miłości, dobrze? Już mam do ciebie słabość. Nie musisz kompletnie i do reszty łamać mi serca.

Potem odwróciłam się i pomaszerowałam do domu.

Nie potrafiłam tak naprawdę długo się na niego wściekać. Byliśmy przecież tutaj sami, w romantycznym starym domu, i jeśli nie chciałam ukraść jego wartego setki tysięcy dolarów samochodu, miałam niewiele możliwości, by z godnością opuścić scenę. A poza tym, cóż, to był przecież Julian. Żywienie do niego urazy nie miało sensu, skoro każdy jego dotyk wyzwalał w moim wygłodniałym ciele pierwotną falę oksytocyny.

Poszłam więc do kuchni i zaczęłam szykować kolację. Julian przyszedł chwilę później i stanął niezdecydowany w drzwiach, gdy tłukłam garami jak jakąś obłąkana gospodyni domowa.

- Mogę pomóc? - spytał.

- To zależy. Umiesz zagotować wodę?

- Bardzo śmieszne - odparł i poszedł napełnić garnek.

Zrobiłam kurczaka z makaronem i sałatką i zjedliśmy go w kuchni, w milczeniu, popijając winem. Najwyraźniej Julian zastanawiał się nad różnymi rzeczami, bo na jego czole pojawiły się zmarszczki, jakby próbował rozwiązać jakieś skomplikowane równanie drugiego stopnia. W końcu wino zaczęło działać i rozpoczęliśmy niewinną rozmowę. Głównie o niczym. Atmosfera zaczęła się rozluźniać.

- No więc, tajemniczy mężczyzno - zaczęłam, dziobiąc liść sałaty. - Myślisz, że mógłbyś mi jednak coś o sobie powiedzieć? Może jakieś historie z dzieciństwa? Możesz pozmienić nazwiska i daty, żeby chronić niewinnych.

Uśmiechnął się.

- Naprawdę, to było dość zwyczajne dzieciństwo, przynajmniej w moim środowisku. Mieszkaliśmy głównie w Londynie. Mój ojciec udzielał się trochę w polityce. Podczas wakacji parlamentarnych wyjeżdżaliśmy do naszego domku na wsi, no wiesz, Southfield.

- Jak miło!

- Tak, jestem niesamowicie oryginalny. W każdym razie można chyba powiedzieć, że rodzice wychowali mnie w dość staromodny sposób. - Rzucił mi rozbawione spojrzenie. - Muszę przyznać, że byłem łobuzem. Doprowadzałem do rozpaczy moją biedną nianię.

- Naprawdę? Co to znaczy „łobuzem”?

- Och, te same bzdury co zwykle: żaby w kuchennych szafkach, nieudane eksperymenty naukowe, psoty płatanie niczego niepodejrzewającym gościom. Całkiem możliwe, że kiedyś przeze mnie ojciec stracił szansę na stanowisko w rządzie. Oczywiście to czyste spekulacje. Miałem wtedy tylko osiem lat.

Roześmiałam się.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co takiego...

- A ja ci nie zamierzam tego mówić. W każdym razie, kiedy miałem dziesięć lat, poszedłem do szkoły z internatem, a potem na studia. - Upił łyk wina. - A później wstąpiłem do wojska.

Niemal udławiłam się rukolą.

- Do wojska? Poważnie? Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Wtedy mi się wydawało, że właśnie to należy zrobić. Przygoda, podniety... Nauczyłem się mnóstwo o przywództwie. I o podejmowaniu decyzji. Nie możesz się rozwódzić nad tym, jakie masz możliwości, gdy jesteś w środku... szkolenia.

- Wow! - Powoli przeżułam i przełknęłam. - Byłeś w Iraku?

- Nie, nie w Iraku. Wtedy nie byłem już w wojsku.

- A więc to dlatego zmieniłeś się w takiego terminatora w parku. Musiały się odezwać twoje wojownicze instynkty. Hmm... Teraz wszystko zaczyna pasować. Czemu nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

- Nie pytałaś.

- Nie wiedziałam, że powinnam zapytać. Masz jakieś mocne historie? Przygwożdżony pod wrogim ostrzałem czy coś w tym stylu?

Uśmiechnął się krzywo.

- Kilka mam. Spróbuję sobie jakieś dla ciebie przypomnieć. Tak czy inaczej odszedłem z armii, przeprowadziłem się do Nowego Jorku i założyłem Southfield.

- To oczywiście ta krótka wersja.

- Szczegóły są raczej nudne.

- Dlaczego Wall Street?

- Przyjaciel przyjaciele.

- I odniosłeś niesamowity sukces, po prostu, ot tak!

- Mam niezły instynkt. I miałem szczęście.

Zdumiona pokręciłam głową.

- Najwyraźniej jesteś jednym z tych naprawdę chorych ludzi, którym wszystko wychodzi. Ale mam szczęście.

- Bzdura. Z całą pewnością nie wszystko mi wychodzi. Po prostu zajmuję się tylko tym, w czym jestem dobry.

- Czyli wszystkim.

Poirytowany przewrócił oczami.

- Muszę ci wyliczać wszystkie moje wady? Jak pewnie zauważyłaś, nie umiem gotować. Nie potrafię zaśpiewać ani jednej cholernejszej nutki. Jeszcze nigdy nie wysłałem na czas świątecznych kartek. Prawdopodobnie przynajmniej raz zapomnę o twoich urodzinach, chyba że będziesz tak miła i mi o nich przypomnisz. Wczesną wiosną mam katar sienny. Czuję się bardzo nieswojo w pobliżu węży...

Wyszczrzyłam zęby.

- Boisz się węży? Tak jak Indiana Jones?

- Nie powiedziałem, że się boję. Mówiłem, że czuję się nieswojo, Kate. - Zamilkł i skrzyżował ręce. - Nie przepadam też za żądłącymi owadami.

- Czyli sama będę musiała zabijać pająki?

- Nie, pająki mogą być. Chodzi mi raczej o osy i tym podobne. Zawdzięczam to pewnemu niefortunnemu wypadkowi w dzieciństwie. Byłem zbyt dociekliwy i nie wyszło mi to na dobre.

- Cóż - odparłam, próbując się nie roześmiać. - Chyba mogę z tym żyć.

Razem pozmywaliśmy naczynia, śmiejąc się, gdy próbowaliśmy rozgryźć, jak działa młynek do rozdrabniania odpadków. Gdy w kuchni już był porządek, Julian odwiesił swój ręcznik i odwrócił się do mnie.

- Przepraszam, Kate. Nie chciałem być wobec ciebie

taki despotyczny. Kolejną moją wadą, i to dość poważną, jest skłonność do porządkowania rzeczy wokół siebie. Mam dość aroganckie przekonanie co do własnych zdolności. - Zmarszczył brwi, a potem dodał łagodnie: - Nie będę cię zmuszał, żebyś została, jeśli tego nie chcesz.

Wyciągnęłam rękę i splótłam palce z jego palcami.

- Julian, nie bądź śmieszny. Oczywiście, że chcę. Przecież to życie jak w bajce. I właśnie dlatego nie mogę zakopać się tutaj tego lata. Dopiero co straciłam pracę. Tak naprawdę to zawałam całą karierę. I jeśli wkrótce nie spróbuję tego wszystkiego jakoś ogarnąć, to obawiam się, że po prostu mnie połkniesz. Zostanę całkowicie wessana w twój świat.

- Nigdy bym tego nie zrobił.

- Nie mógłbyś nic na to poradzić. Muszę mieć jakieś swoje życie. Nie mogę po prostu tutaj zostać i być od ciebie zależna. Zmieniłabym się w jedną z tych małych, zadowolonych z siebie żon ze Stepford, tak jak żona Geoffa.

- Nieprawda - odparł. - W ogóle jej nie przypominasz.

- Ale może bym się taka stała. To przypominałoby trochę wygraną na loterii, a mówią, że ludzie, którzy wygrywają na loterii, należą do najniezwyklejszych na ziemi.

Roześmiał się ponuro.

- Możesz mi wierzyć, nie jestem wygraną na loterii.

Na moje usta wypełził uśmiech. Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam go po policzku.

- Uwierz mi, jesteś.

Uniósł swoją dłoń i przykrył moją. Drugim ramieniem owinał mnie w pasie, przyciągając do siebie.

- No i co teraz? - wyszeptałam z twarzą przy jego piersi.

Jego klatka uniosła się i opadła pod moim policzkiem w głębokim westchnieniu.

- Szczerze mówiąc, muszę na jutro skończyć pracę. Z samego rana powinienem być w mieście. Tylko na jeden dzień. Skonsultuję się z Geoffem co do kilku spraw, pozapinam parę rzeczy na ostatni guzik.

- Zostawisz mnie tutaj? Sama? - Odsunęłam się i spojrzałam na niego zdumiona.

- Tylko na dzień - odparł. - Wyjadę o świcie, a wrócę przed kolacją. Możesz korzystać z rangę rovera. Stoi w garażu. Pewnie lepiej się nadaje na wiejskie drogi niż ten wynajęty złom. Nie będziesz musiała siedzieć w domu.

- Hmm - mruknęłam ponuro.

- Mogę zajrzeć do twojego mieszkania i przywieźć ci trochę rzeczy.

- I nie mogę jechać z tobą?

- A nie będziesz tutaj szczęśliwsza? - Jego ton był przekonujący, niemal przymilny. - Masz za sobą trudne chwile. Mogłabyś się tu zrelaksować. Po drugiej stronie rzeki jest chyba jakieś spa. Możesz tam pojechać, trochę się porozpieszczać.

- Mam inny wybór?

Schylił się i mnie pocałował.

- Oczywiście, że masz.

W jego głosie jednak słyszałam, że tak naprawdę to nie.

- Ulokowałeś mnie w gościnnym pokoju? - spytałam.

Julian wyprostował się, zdezorientowany. Zobaczyłam jego zasną twarz w przyćmionym świetle stojącej blisko nocnej lampki.

- Kate? - wymruczał sennie.

- W gościnnym pokoju?

- Która godzina?

- Druga w nocy.

- Chryste, Kate! - Opadł z powrotem na poduszki.

- A co miałem zrobić? Wziąć cię tutaj do mnie?

- Cóż, tak.

- Spałaś - ziewnął. - Niezupełnie miałem jak cię spytać. Wydawało mi się, że zachowuję się jak dżentelmen.

- Następnym razem zrób mi przysługę - odparłam, opierając ręce na biodrach - i nie bądź dżentelmenem.

Wiesz, jaka byłam przestraszona chwilę temu?

- Zostawiłem ci karteczkę.

- Cóż, trochę potrwało, zanim ją znalazłam. Choć muszę przyznać, że była bardzo miła - dodałam ze skruką.

- Posłuchaj - powiedział nadąsany. - W takim razie chodź do łóżka. Tylko bardzo cię proszę, przestań już mówić.

- A więc jesteś rannym ptaszkiem?

- Kate - powiedział gdzieś z głębi poduszki. - Trzymałem cię przez dwie godziny na tej cholерnej sofie w bibliotece. Aż ścierpły mi ręce. Próbowałem cię obudzić i wszystkim, co mnie spotkało za moją fatygę, był strumień wyrażeń, które zdecydowanie nie przystoją damie. Aż więc w końcu się poddałem, szlachetnie ułożyłem cię w wolnej sypialni i poszedłem do łóżka. Myślałem, że jestem miły.

- Moja spódnica jest cała pognieciona. Będę ją musiała oddać do pralni chemicznej.

Unióś rękę z pościeli i wskazał na jakieś drzwi w kącie.

- Kosz jest w łazience.

Zamilkłam.

- Mogę pożyczyć T-shirt?

Bardzo dziwne, ale gdy się pakowałam, zapomniałam o pidżamie.

Poruszył palcem wskazującym.

- Górna szuflada po prawej.

Podeszłam do komody i wyciągnęłam miękki biały podkoszulek, a potem z całą godnością, na jaką było mnie stać, pomaszero wałam do łazienki, gdzie się przebrałam i po chwili zastanowienia szybko umyłam zęby. Zaczerpnęłam głęboko powietrza i wymknęłam się

z łazienki. W stłumionym świetle nocnej lampki wielki pokój wydawał się skromny: prosty oryginalny kominek na jednej ścianie, po obu stronach niskie, zastawione książkami regały i kilka prostych ciemnych mebli, pełniących niezbędne funkcje. Łóżko miało natomiast królewskie rozmiary. Cztery rzeźbione kolumny i czysta biała pościel. Kuszące nie do zniesienia.

- Chodź do łóżka, Kate - mruknął Julian.

Ostrożnie oparłam kolano na materacu. Uniósł kołdrę i poklepał ręką w prześcieradło. Jeśli nie mogę zaufać jemu, to nie mogę zaufać już nikomu, postanowiłam. Wpełzłam do łóżka i poczułam, jak jego ramiona zamykają się wokół mnie.

- Tu jesteś - powiedział z twarzą przy moim policzku.

Przez jakiś czas leżałam, słuchając, jak jego oddech się uspokaja i znów staje się miarowy, czując ciężar jego ręki obejmującej mnie w pasie i zastanawiając się, czy moje serce rzeczywiście rozpadnie się na kawałki.

Rozdział 12

Obudziła mnie powódź promieni majowego słońca, wlewająca się przez okna. Przez chwilę wydawało mi się, że znów jestem w swojej sypialni w Wisconsin, gdzie okno wychodziło na wschód. Później dostrzegłam biel prześcieradeł i poduszek, ciemne antyczne meble i puste miejsce obok mnie. Usiadłam.

- Julian?! - zawołałam.

Żadnej odpowiedzi. I wtedy zaczęłam szukać karteczki. Julian na pewno zostawił mi wiadomość, zanim wyjechał do Nowego Jorku. Wczoraj napisał po prostu: „Słodkich snów, ukochana”. Znalazłam ją na wypchanej puchowej poduszce w gościnnym pokoju. Ale z całą pewnością noc spędzona w jego ramionach, choć cnotliwie, była jeszcze lepsza.

Przeszukałam całe łóżko, coraz bardziej rozgorączkowana, ale nic nie znalazłam. Potem przyszło mi do głowy, by spojrzeć na nocny stolik. Leżała tam zgięta karteczka

w kolorze ecru. Chwyciłam ją i wskoczyłam pod kołdrę. Na kolana wypadły mi kluczyki do samochodu. Range rover.

Kochanie, twoje okropne chrapanie obudziło mnie dziś wcześniej rano, więc skorzystałem z okazji, żeby odpowiednio wcześniej wyruszyć na Manhattan. Wszystko tutaj jest twoje. Wrócę, jak tylko będę mógł. XX.

Zapłacili mi za to.

Wskoczyłam z łóżka, naładowana energią, i podrep-tałam do łazienki. Była prosta, biała i nowa, skąpana w porannym świetle, z wielką głęboką wanną przy ścianie i osobną kabiną prysznicową. Julian wniósł na górę moją walizkę i torbę od laptopa. Obie były zamknięte. Wyjęłam zestaw podróżny, umyłam zęby i wzięłam długi, gorący prysznic.

Nie myślałam jasno, gdy się wczoraj pakowałam. Zmarszczyłam brwi na widok zawartości mojej walizki: trzy bezrękawniki, jeden sweter, moje ulubione spodnie do jogi, dwie pary majtek i cztery pary skarpetek. Będę musiała zrobić zakupy albo poprosić Juliana, żeby przy-wiózł mi coś z mieszkania.

Zdecydowanie zakupy.

Ubrałam się i zeszłam do kuchni, gdzie przygotowa-łam sobie miseczkę płatków śniadaniowych. Na mar-murowym blacie znalazłam kolejną karteczkę z hasłem

do jego komputera i kodem alarmu do domu. „Już za tobą tęsknię”, dodał na końcu.

Wzięłam płatki do biblioteki i włączyłam komputer. Przeżuwałam je zamyślona, kiedy się uruchamiał. Będę musiała powiadomić rodziców o tym, co się stało, zanim zadzwonią do mnie do pracy i wpadną w panikę. Jak zacząć?

Kochani mamo i tato, właśnie zostałam zwolniona ze Sterling Bates za przekazywanie poufnych informacji. Wyprowadziłam się do Connecticut, żeby żyć w grzechu z Julianem Laurence'em. Miłego dnia! Wasza Kate.

Byliby zachwyceni.

W końcu udało mi się skomponować coś, co przypominało prawdę, i przeszłam do prostszych czynności: zbadania, gdzie można zrobić zakupy w promieniu dwudziestu mil od Lyme. Ale zanim wyjechałam, sięgnęłam po telefon Juliana i zadzwoniłam do niego na komórkę. Odebrał natychmiast.

- Dzień dobry, kochanie. Dobrze spałaś?

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że zapłacisz, i to drogo, za tę uwagę o chrapaniu.

- To były wyjątkowo eleganckie, ciche pochrapywania. Naprawdę, bardzo urocze.

- Dobra. To ci nie pomoże.

Roześmiał się.

- I powiem ci, co zamierzam zrobić - ciągnęłam.
- Dziś w nocy zamierzam cię uwieść.

- Naprawdę?

- Nie masz szans, Laurence. Najmniejszych.

- Tak myślisz?

- Bo jeśli o mnie chodzi, to prędzej wbiję sobie pal w serce, niż spędzę kolejną noc w twoim łóżku, nie kochając się z tobą. Zdaję sobie sprawę, iż uważasz, że potrafisz mi się oprzeć...

- Tylko dlatego że mam za sobą całe lata wojskowej dyscypliny, kochanie, i nauczyłem się znosić niewyobrażalne fizyczne męki...

- ...ale nie będziesz w stanie się oprzeć temu, co przygotuję na dziś wieczór...

- ...co nie znaczy, że nie pragnę cię w najbardziej niesamowity sposób...

- ...bo zamierzam pieścić językiem każdy centymetr twojego ciała, każdy cudowny centymetr, aż będziesz błagał o litość...

Przerwałam w celu wzmocnienia efektu, ale nie miał mi nic do powiedzenia. W końcu odezwał się stłumionym głosem:

- Mów dalej.

- Nie - odparłam. - Po namyśle zamierzam pozostawić resztę twojej wyobraźni. Więc spiesz się do domu.

I po tych słowach się rozłączyłam.

Dla dziewczyny ze zrujnowaną karierą i niemal paraliżującym przypadkiem frustracji seksualnej naprawdę nie było nic lepszego niż terapia zakupami. Choć gdy ustawiałam samochód na miejscu parkingowym w pobliżu ekskluzywnego centrum handlowego, przemknęła mi przez głowę myśl, że ktoś, kto właśnie stracił pracę, naprawdę nie powinien wydawać tylu pieniędzy. Ale odsunęłam ją od siebie. Przez ostatnie trzy lata zarabiałam przyzwoicie i oszczędzałam wszystkie premie. Dlaczego nie miałabym naruszyć trochę moich oszczędności, by przeżyć małe, zasłużone katharsis? A więc, przekonana o słuszności swej decyzji, kupiłam sobie szorty, bezrękawniki, letnie sukienki na ramiączkach, sandały, ciuchy do biegania, bikini i całą kolekcję koronkowej bielizny, żeby Julianowi oczy wyszły na wierzch. Dopiero gdy wstukałam kod alarmowy do jego domu i spojrzałam na wszystkie moje łupy, mój nastrój opadł.

Zostawiłam torby w przedpokoju i poszłam do biblioteki, żeby posiedzieć przed komputerem. Jej okna wychodziły na północ, zapewne po to, by chronić książki przed słońcem, a wewnątrz panował chłód, mrok i spokój. Wielki kominek z poukładanym stosem drewna obiecywał przytulne zimowe wieczory. Ten pokój był bardzo typowy dla Juliana. Niemal czułam w nim jego obecność.

Kliknęłam myszką, by wybudzić komputer z uśpienia. Nie nadeszła jeszcze odpowiedź od moich rodziców - sprawdzali e-maile najwyżej raz dziennie - ale była

od Brooke. Akurat od niej ze wszystkich możliwych ludzi.

portier mowil, ze dzis szukal cie jakis facet, nie podal nazwiska badz ostrozna kochana bo to moze oznaczac klopoty juz ja takie rzeczy wiem xoxo b

Poczułam na karku zimny dreszcz. Czy Alicji nie wystarczy moje zwolnienie i zawlecze teraz sprawę do Komisji Papierów Wartościowych i Giełd? O mój Boże! A jeśli mnie aresztują? Moje palce poruszyły się nad klawiaturą, już gotowe pisać gorączkowego maila do Juliana, ale się opanowałam. Poczcie elektroniczną można śledzić. A co, jeśli obserwują również Juliana, bo wiedzą o naszym związku?

Opadłam na oparcie krzesła i spojrzałam w sufit. Może Charlie coś dla mnie ma? Gdzie mam jego numer? W mojej torbie od laptopa!

Poszłam na górę do sypialni Juliana i znalazłam torbę przy komodzie. Rozpięłam suwak. W środku była lista kontaktowa Sterling Bates oraz książka z Amazona, która przyszła przed moim wyjazdem. Tyle że - jak teraz zauważyłam - wcale nie była z Amazona. Ten sam rodzaj opakowania, ale bez odpowiedniego logo. Na naklejce zwrotnej widniała nazwa księgarni Pearl Fisher z Newport na Rhode Island. Może książka nie była wystawiona na sprzedaż przez Amazona, tylko przez jakąś mniejszą

księgarnię? Czasami klikałam na „Zamów”, nie wczytując się zbyt dokładnie. Wzruszyłam ramionami i otworzyłam pudełko.

To musiała być jakaś pomyłka. W ogóle nie poznawałam tej książki. Była używana, wyglądała trochę staroświecko, ale była w dobrym stanie. Książka historyczna. Odwróciłam ją i przeczytałam tytuł: / *wtedy światła zgasty. Julian Ashford i stracone pokolenie 1895- 1918* autorstwa Richarda G. Hollandera. Z fotografii w sepii poniżej spoglądał na mnie surowo barczysty mężczyzna w mundurze oficera armii brytyjskiej. Miał twarz Juliana Laurence'a.

Jego stryjeczny dziadek, pomyślałam w pierwszej chwili. Albo jakiś kuzyn. Rodzinne podobieństwo było czasami bardzo silne. Zapewne sam mi ją przysłał, bo był zbyt skromny, by powiedzieć mi prosto w oczy o swoim słynnym krewnym, ale chciał, bym poznała jego rodzinną historię.

Zimnymi jak lód palcami otworzyłam książkę, próbując zignorować dziwne dzwonięcie w uszach, i przeczytałam tekst na skrzydełku:

Ze wszystkich tragicznych ofiar, jakie przyniosła I wojna światowa, żadna nie wstrząsnęła brytyjskim narodem głębiej niż śmierć kapitana Juliana Laurence'a Spencera Ashforda, odznaczonego Wojskowym Krzyżem Zasługi, jedyne go syna ministra rządu,

członka Partii Liberalnej oraz bliskiego przyjaciela Asquitha, wicehrabiego Chesterton, do której doszło podczas nocnego patrolu na froncie zachodnim w marcu 1916 roku. Kapitan Ashford reprezentował sobą wszystko to, co było wówczas drogie Brytyjczykom: wspaniałą urodę, górę nagród akademickich z Eton i Cambridge i głośne osiągnięcia w dziedzinie sportu - a jego akty heroizmu na polu bitwy stały się legendą, jeszcze zanim ostatecznie potwierdzono jego śmierć w specjalnym meldunku (jego ciała nigdy nie odnaleziono). Wkrótce potem jego pograżona w żałobie narzeczona, przyszła pisarka i aktywistka na rzecz pokoju, Florence Hamilton, opublikowała na łamach „Timesa” jego poemat Zanim mnie pokochasz, który został powierzony pamięci przyszłych pokoleń brytyjskich uczniów.

Ale kim był Julian Ashford i dlaczego śmierć jego i jemu podobnych miałyby mieć dzisiaj tak wielkie znaczenie? W swoim przełomowym dziele, czerpiącym z bezprecedensowego zbioru pism Ashforda i Hamilton, doktor Hollander bada życie i związki tego człowieka, jego najgłębsze myśli, udział w wojnie oraz ciąg wydarzeń, które doprowadziły do jego śmierci na polu bitwy. Wszystko to w celu zrozumienia znaczenia jego utraty. Czy Wielka Brytania i reszta świata byłyby dziś inne, gdyby Ashford przeżył? Czy polegli żołnierze poeci, śmietanka spośród brytyjskich mężczyzn, mogliby zmienić tragiczny przebieg historii XX wieku?

Doktor Richard G. Hollander, emerytowany profesor historii z Uniwersytetu Hawarda, opublikował wiele książek i artykułów poświęconych tematyce I wojny światowej oraz jej daleko idących skutków...

Zamknęłam książkę i ostrożnie odłożyłam ją na łóżko.

„Mieszkaliśmy głównie w Londynie. Mój ojciec udzielał się trochę w polityce...” „A później wstąpiłem do wojska. Wtedy mi się wydawało, że właśnie to należy zrobić. Przygoda, podniety...” „Nie, nie w Iraku. Wtedy nie byłem już w wojsku...” Blizna. Mężczyzna na chodniku, wołający gorączkowo „Ashford, na Boga!”. Jego ciała nigdy nie odnaleziono...

Moje mięśnie zaczęły drżeć. Wstałam i przeszłam się po pokoju, próbując spokojnie myśleć. Z pewnością istniało jakieś logiczne wyjaśnienie. Kapitan Julian Ashford zginął na froncie zachodnim w 1916 roku; tyle już wiedziałam. To był jeden z tych pomniejszych historycznych faktów, których człowiek uczył się w szkole średniej i o których szybko zapominał. Czy *Zanim mnie pokochasz* nie było jednym z poematów na moim egzaminie na olimpiadzie z literatury? „Porównaj i opisz różnice z *Dulce et decorum est*”. A więc oczywiście nie mogłam spędzić ostatniej nocy w ramionach jego autora. To było po prostu absurdalne.

Być może prawnuka kogoś z jego rodziny. Ale nie jego.

Lecz przecież dziś rano uprawialiśmy seks przez telefon... Na litość boską!

Moje spojrzenie wędrujące chaotycznie po pokoju, jakby próbowało znaleźć coś, by się oderwać, padło na karteczkę z notatnika leżącą przy łóżku, gdzie rzuciłam ją dziś rano. Widziałam z odległości kilku metrów eleganckie czarne pismo Juliana. Miał dość niezwykły charakter. Niektórzy mogliby go nazwać staromodnym.

Podeszłam bardzo powoli i pochyliłam się, by ją podnieść. Następnie usiadłam na łóżku, wzięłam do ręki książkę Hollandera i przerzucałam strony, aż doszłam do wkładki ze zdjęciami. Próbowałam nie patrzeć na twarze. Tak naprawdę to wcale nie chciałam wiedzieć, jak wyglądała ta Florence Hamilton. Z pewnością była piękna. Musiało tu być co najmniej ze dwadzieścia błyszczących białych stron pokrytych przedrukami portretów, fotografii, wycinków z gazet... Najróżniejsze fizyczne pozostałości po życiu sławnego człowieka.

A potem na ostatniej stronie znalazłam to, na co liczyłam: kopię listu. Szybko spojrzałam na nagłówek. „Notatka wysłana do lady Chesterton przez Ashforda 25 marca 1916, zanim wyruszył na patrol. Ostatnia znana korespondencja Ashforda”.

Moje palce drżały. Miałam trudności z utrzymaniem karteczki tuż obok strony, ale mi się udało. Wnikliwie patrzyłam to na jedno, to na drugie strzeliste pismo.

W pierwszej chwili poczułam ulgę. Wyglądały podobnie, ale nie były identyczne. Starsze wydawało się mniej wyrafinowane, bardziej niezręczne, jakby wyszło spod ręki dwunastolatka. Ale im dłużej im się przyglądałam, tym większy ogarniał mnie niepokój. Oba charaktery posiadały wspólne cechy: ten sam styl, podobne pociągnięcia pióra, taka sama siła nacisku na papier. I oba były tak samo pochyłe. Jakby obaj piszący byli leworęczni. Poza tym „f”, „y” i duże „i” wyglądały identycznie. Tak jakby człowiek, który napisał notatkę dla mnie, był dorosłą wersją tego z książki. Albo kimś, kto już od dwudziestu lat pisze lewą ręką, a nie dopiero uczy się tego, na przykład po poważnym zranieniu prawej ręki.

Upuściłam książkę i notatkę i pobiegłam do łazienki, gdzie strasznie zwymiotowałam do muszli klozetowej.

Rozdział 13

Gdy wrócił z Nowego Jorku, siedziałam na kamiennym murku w tym samym miejscu co wczorajszego wieczoru.

Dzisiaj było chłodniej, włożyłam więc parę nowych dżinsów i kaszmirowy sweter Juliana, którym wczoraj okrył mi ramiona. Siedziałam, wdychając jego zapach, patrząc na blask zachodzącego słońca i żałując, że nie mogę cofnąć zegara o dwadzieścia cztery godziny.

Usłyszałam maserati zajeżdżające przed dom, ostatnie obroty jego atletycznego silnika, zanim zamilkł. A potem trzaśnięcie drzwiczek auta i kroki Juliana chrzęszczące na żwirowej ścieżce. Wieczór był pogodny i dźwięki z łatwością niosły się w cichym wiejskim powietrzu.

Musiał przez kilka minut chodzić po domu i mnie szukać. Wreszcie usłyszałam, jak drzwi balkonowe się otwierają, i przymknęłam oczy, czując w ciszy rosnące napięcie, gdy się do mnie zbliżał.

- Tu jesteś.

Stanął za mną i oplótł mnie rękoma. Poczułam, jak jego podbródek lekko opiera się o moją głowę.

- Przepraszam, że wróciłem tak późno. W Fairfield County natrafiłem na potworny korek.

- Mmm... - Chciałam coś powiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle.

- Strasznie za tobą tęskniłem - powiedział, przyciskając usta do mojej skroni w sposób, który tak kochałam. - Pójdziemy do domu i zjemy kolację?

Wciąż nie byłam w stanie mówić, nie mogłam się też poruszyć. Tylko go czułam, wszystkie związane z nim doznania. Jego ramiona, jego oddech, usta, jego ciepło, dźwięk głosu, zapach jego skóry.

- Och, kochanie - odezwał się. - Jesteś na mnie zła? Tylko żartowałem z tym chrapaniem, wiesz? Przewróciłabyś tylko tymi swoimi pięknymi oczami, gdybym ci powiedział, co naprawdę robiłem. Jak długo tam leżałem, wsłuchany w dźwięk twojego oddechu, pragnąc zdobyć się na odwagę, żeby cię obudzić.

Wtedy odwróciłam głowę, zaledwie o kilka centymetrów, żeby mnie usłyszał.

- Szkoda, że tego nie zrobiłeś - powiedziałam ochryple.

Jęknął, mocniej obejmując mnie ramionami.

- Kochanie, nie mogłem... Nie możemy...

- Powiedz mi... - przerwałam mu, przewyciężając

ten dziwny ucisk w gardle. - Opowiedz mi o Florence Hamilton.

Zamarł. W pobliskich drzewach zaśpiewał jakiś ptak, dźwięcznie i na całe gardło.

- Ach - rzucił beznamiętnie, jakby w tym jednym drobnym dźwięku zawierało się wszystko.

Pozwoliłam ciszy trwać. Nie chciałam go popędzać.

- Gdzie słyszałaś to nazwisko? - spytał w końcu niemal od niechcienia.

- Tuż przed moim wyjazdem przyszła przesyłka - odparłam, zdejmując książkę z kolan i wsuwając ją w jego rękę.

- Ach - powtórzył.

- Pomyślałam, że to musi być jakiś dziwny zbieg okoliczności, że to pewnie któryś z twoich przodków. Ale później zobaczyłam twoją notatkę i charakter pisma wyglądający... wyglądający oczywiście nie dokładnie tak samo, lecz... - Usłyszałam, że mój głos się łamie.

- Moja bystra dziewczynka - powiedział i otoczył mnie ramionami, ciepło i czule.

Czułam słaby piżmowy zapach skóry, którym prześiąknął podczas długiej jazdy samochodem. Jego palce musnęły okładkę książki.

- Ile przeczytałaś?

- Tylko skrzydełka okładki. Więcej nie mogłam znieść.

Delikatnie odłożył książkę na kamienny murek, a potem wspiął się na niego, przeszedł na drugą stronę i uklęknął przede mną na trawie.

- Powiedz mi jedno - wyszeptał, ujmując moje drżące dłonie. - Czy to ma jakieś znaczenie?

Poczułam, że do oczu napływają mi łzy.

- Znaczenie? Oczywiście, że ma znaczenie! Chodzi o to, kim jesteś, Julianie! Jesteś... Uczyłam się o tobie w szkole średniej, pisałam esej o tym wierszu. Nie potrafię tego nawet ogarnąć! Połkniesz mnie całą? O, mój Boże! Przedtem byłeś po prostu zwykłym gigantem, miliarderem z własnym funduszem hedgingowym, zupełnie nic takiego. Ale teraz jesteś Julianem Ashfordem! To znaczy, jak Julian Ashford może w ogóle tu być? Zakochać się we mnie? To po prostu niemożliwe!

- To nie jest niemożliwe. - Patrzył na mnie z powagą, a jego oczy płonęły. - To najbardziej podstawowa prawda o moim życiu.

- Nie. Przestań. Byłeś zaręczony, Julianie. Jak mogłabym się w ogóle porównywać z Florence Hamilton? Czytałam o niej. Ona jest ikoną. Dopiero co kilka tygodni temu „Times” opublikował artykuł...

- Możemy o niej porozmawiać, jeśli chcesz - powiedział odrobinę chłodno. - Ale powinnaś wiedzieć, że nigdy nie była moją narzeczoną. Chyba że we własnej wyobraźni.

- Mniejsza z tym - stwierdziłam z rozpaczą w głosie. Spróbowałam wstać, ale mocno trzymał mnie za rękę.

- I to już wszystko, czym się martwisz? Moje uczucia do ciebie?

- Oczywiście, że nie. To nic w porównaniu z... z całą resztą. Jak i dlaczego? Przez co przeszedłeś? Ten nowy Julian, którego nawet nie znam.

- Ale przecież mnie znasz. Ja się nie zmieniłem.
- Intensywnie masowałam kciukami kostki moich dłoni.
- Spójrz na mnie, kochanie. To przecież ja. Dokładnie ten sam człowiek.

- To się nie dzieje. To się nie dzieje naprawdę.

Spojrzałam w dół na nasze splecione ręce. Na jego ręce. Ręce, które rzucały granaty, pociągały za spust enfielda, napisały w notesie oficera piechoty wiersz, który wszedł do kanonu. Ręce Juliana Ashforda.

- Dobrze się czujesz? - spytał po chwili.

- Już mi lepiej. O trzeciej po południu wymiotowałam.

- Przykro mi, Kate. - Pochylił głowę i pocałował moje zimne palce. - Nie masz pojęcia, jak mi to nie dawało spokoju, jak mnie to dręczyło. Zastanawiałem się, czy powinienem ci powiedzieć. Jak powinienem ci powiedzieć. Myślałem o tym, jaki ze mnie dupek, że w ogóle się za tobą uganiam.

- Nie musiałeś się specjalnie wysilać, co? - Znowu spojrzałam mu w oczy. - Więc nie przepraszaj. To nie twoja wina.

- Próbowałem się trzymać od ciebie z daleka. Powinienem był trzymać się z daleka.

- Nie było mi dobrze bez ciebie.
- A teraz jest lepiej?
- Przyzwyczaję się do tego. Daj mi czas. - Głos załamał mi się na ostatnim słowie.
- Cały czas tego świata.
- Przyzwyczaję się do tego. Muszę się do tego przyzwyczaić - powtórzyłam, zaciskając oczy. - Nie mam już wyboru.
- Owszem, masz. Zrozumiałbym.
- Och, proszę! To wcale nie pomaga.

Wysunęłam dłonie z jego rąk i potarłam palcami skronie, jakby mając nadzieję, że dzięki temu mój mózg się rozszerzy, by to wszystko ogarnąć.

- Naprawdę, Kate - powiedział. - Nie musisz zostawać, jeśli to dla ciebie zbyt wiele.

Znów otworzyłam oczy. Jego twarz zadrżała przede mną za zasłoną neuronionych łez, jego szerokie czoło z pełnymi powagi zmarszczkami i zielononiebieskie oczy, w których odbijało się światło płynące od strony domu.

- Ależ muszę. To całe sedno, prawda? Już dawno minęłam punkt, w którym byłabym w stanie od ciebie odejść. Czymkolwiek i kimkolwiek jesteś.

Teraz to on zamknął oczy, a potem wstał i odwrócił się, by oprzeć się o murek tuż przy mnie. Stał na porośniętej trawą ziemi, a mięśnie jego ud rysowały się z uśpioną siłą pod delikatną ciemną wełną jego spodni od garnituru. Czułam ciepło bijące od jego ramienia, choć właściwie mnie nie dotykał.

- Pewnie masz kilka pytań.

- Chyba z milion. Ale nawet nie wiem, od czego zacząć. Nawet nie wiem, jak w to uwierzyć. Nawet teraz, kiedy czuję cię obok siebie, kiedy jesteś prawdziwy, ciepły, z krwi i kości i... i rzeczywisty, wciąż myślę o tym, że to nie może być prawda. Po prostu nie może. Bo dopiero wczoraj w nocy, dopiero co dziś rano leżeliśmy razem...

- Nie potrafiłam tego powiedzieć. Wspomnienie było zbyt cenne.

- Możemy iść do domu? Porozmawiać o tym wszystkim przy butelce wina?

To zabrzmiało tak prozaicznie, ale co innego można było zrobić? Kiwnęłam głową, a on pomógł mi wstać i wziął mnie za rękę. W milczeniu ruszyliśmy w stronę domu, a wszystko pomiędzy nami zmieniało się i przewartościowywało, przyprawiając mnie o zawrót głowy. Z jakiegoś powodu byłam przekonana, że się do tego nie przyzna. Z jakiegoś powodu, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu myślałam, że ze śmiechem poda mi jakieś banalne wyjaśnienie i że oboje będziemy świadomi tego, że to nieprawda. Miałam chyba po prostu nadzieję, że to wszystko zniknie i znów będziemy mogli być Kate i Julianem.

Zaprowadził mnie do biblioteki i poprosił, żebym usiadła na sofie. Wrócił chwilę później z karafką czerwonego wina i dwoma kieliszkami.

- Lafite, rocznik osiemdziesiąty drugi - wyjaśnił,

nalewając mi do kieliszka. - Trzymałem je na specjalną okazję.

- Taką, jak powiedzenie twojej dziewczynie, że jesteś bohaterem wojennym z 1916 roku?

Wyszczrzył zęby.

- Ach, wraca ci poczucie humoru - odparł, odstawiając butelkę. Usiadł obok mnie. - To dobry znak. Choć tak naprawdę to przelałem je do karafki dziś rano, zanim wyjechałem. - Powąchał trunek.

- Planowałeś mi to dziś powiedzieć?

- Nie - uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Po prostu mnie poniosło, kiedy cię zobaczyłem na mojej poduszce o świcie.

Uniósł kieliszek, a ja stuknęłam się z nim.

- Nie mam pojęcia, za co pijemy - zauważyłam.

- Chyba za prawdę. Wiesz, dla mnie to spora ulga. Zwłaszcza że wygląda na to, że całkiem nieźle to wszystko znosisz.

- Tylko dlatego, że wciąż jestem w szoku. Pewnie później dostanę ataku hysterii. - Upiłam spory łyk wina.

- O, mój Boże - szepnęłam, patrząc na kieliszek.

Gęsty owocowy aromat uniósł się cudownie, ogarniając mój mózg.

- Rzeczywiście jest wyśmienite - przyznał, kręcąc kieliszkiem i upijając kolejny łyk. - No to poproszę o pierwsze pytanie.

- Chyba „jak?”... To znaczy, myślę, że na tym

poprzestaną. Jak? Jak to możliwe, że siedzisz tu koło mnie? Jakieś dziwne prawa fizyki? Źródło wiecznej młodości? A może... - schyliłam głowę, zbyt zakłopotana, by wypowiedzieć to słowo - ...magia?

- Tak naprawdę to tej części jeszcze nie rozgryzłem. Usłyszałem nad głową świst pocisku artyleryjskiego i pomyślałem, że nadeszła kolej na mnie, a następną rzeczą, jaką pamiętam, było przebudzenie w jakimś francuskim szpitalu. Nowoczesnym francuskim szpitalu niedaleko Amiens.

- Więc... - Znow upiłam łyk wina, tym razem głębszy. - Więc przeniosłeś się w czasie.

Mój mózg jakby się wycofał. Usłyszałam te słowa z oddali i zdumiałam się, jak rzeczowo zabrzmiały. Zupełnie jakbyśmy rozmawiali o meczu Yankees. A więc zwycięski *home run*. A więc podróż w czasie.

Wydawał się zaskoczony, jakby nigdy nie brał pod uwagę innej możliwości.

- Tak. Przypuszczam, że tak by to można nazwać. Najwyraźniej ktoś znalazł mnie na polu, z uszu sączyła mi się krew, więc wezwał karetkę.

- K t o ?

- Nie wiem. Gość zniknął. Ale następnego dnia do szpitala dotarł list pisany na maszynie i adresowany do mnie z instrukcjami, żebym nie wspominał nikomu o mojej przeszłości. W kopercie były też kluczyki do szafki na stacji kolejowej w Amiens. Gdy tydzień później ją

otworzyłem, znalazłem w niej plecak z ubraniami, pieniędzmi, dokumentami: mniej więcej wszystkim, czego potrzebowałem, żeby rozpocząć nowe życie.

- Jakby to było w jakiś sposób zaplanowane. Pokręcone... - przerwałam i roześmiałam się sarkastycznie. - Ale nawet to słowo dostatecznie tego nie oddaje. Pokręcone.

Obracał w palcach swój kieliszek.

- Przez jakiś czas byłem w szoku. Czego zresztą należało się spodziewać. To najbardziej dezorientujące doświadczenie, jakie można sobie wyobrazić. Z początku myślałem, że śnię albo nie żyję. Dopiero później bardzo się cieszyłem, że jednak nie zmarłem. A potem zacząłem myśleć o różnych rzeczach, innych rzeczach. O wszystkim, co zostawiłem za sobą. I o tym, co może na mnie czekać w przyszłości.

- I przeprowadziłeś się do Nowego Jorku.

- Tak. Przez jakiś czas obijałem się na Wall Street, a potem założyłem Southfield.

- Całkiem nieźle się dostosowałeś. - Pokręciłam głową i zamilkłam.

- O co chodzi?

- Nie mogę uwierzyć, że prowadzę tę rozmowę. To jakieś szaleństwo. Czy ja śnię? Naprawdę jesteś Julianem Ashfordem? Tym Julianem Ashfordem?

- Obawiam się, że tak.

- „Na wpół odkopane ciało...” Jak to szło? „Szczęki rozwarte w niemym krzyku”. Ty to napisałeś?

- Ach, a więc znasz ten wiersz?

- Och, Julian! Proszę. - Przekrzywiłam głowę i przyjrzałam się mu. - I przez cały ten czas żyłeś? Prowadziłeś fundusz hedgingowy w Nowym Jorku?

- Musiałem coś robić.

Zachichotałam raz, potem drugi. Przez chwilę dziwnie mi się przyglądał, a potem kąciki jego ust również zaczęły się unosić. Pochyliłam się, wciąż się śmiejąc, i schowałam głowę w ramionach.

- Przepraszam - powiedziałam. - Na swój sposób to brzmi jak jakiś pokręcony kawał. Prowadzisz fundusz hedgingowy! To znaczy, jak myślisz, co robi Rupert Brooke? Surfuje w Baha?

Pokręcił głową i zaśmiał się cicho.

- Brooke był dupkiem.

- Znałeś go? - Znów oparłam się wygodnie, patrząc na niego, z jednym kolaniem na sofie.

- Przez krótki czas byliśmy razem na Cambridge.
- Dotknął mojej dłoni, muskając kostki.

- Oczywiście, że byliście - westchnęłam. - Wszystkich znałeś, prawda? Przyjaźniłeś się pewnie z takimi ludźmi jak Churchill.

- Cóż, oczywiście był starszy. Ale się znaliśmy.

- Jaki był?

- Mniej więcej taki, jak sobie wyobrażasz. Nieustępliwy. Nieznoszący sprzeciwu. Świetny towarzysz przy nudnej kolacji.

Zaczął masować opuszki moich palców, sprawiając, że przez moje ręce przebiegały przyjemne dreszcze, docierające aż do szczytu głowy.

- To było raczej satysfakcjonujące, wiesz? - ciągnął, a po twarzy przemknął mu krzywy uśmiech. - Dowiedzieć się, że później ocalił wolny świat i tak dalej.

Tak jak ty mogłeś to zrobić, pomyślałam. Wydawał się w tej chwili bardzo swobodny, jakby ulga, którą poczuł, że wszystko wreszcie się wydało, była naprawdę wielka. Oparł na sofie swoje szerokie ramiona. Kołnierzyk białej koszuli nadal był sztywny i schludny na tle bladziutej szyi, ale poluzował już niebieski krawat. Uniósł swą szlachetną szczękę, jakby wspomnienia, których szukał, unosiły się pod tynkowanym sufitem. Światło lampy otaczało jego głowę jak aureola, jakby przyciągane jego obecnością. Wtedy poczułam, że przede mną otwiera się cały świat. Że te jego szokujące nowiny bynajmniej nie były przerażające, lecz były czymś dobrym, jak olśnienie. Że z tego powodu, iż siedzę tutaj z tym olśniewającym mężczyzną, promiennym i potężnym jak młody książę, powierzono mi - bez szczególnej zasługi z mojej strony - jakiś drogocenny dar i że odkrycie pełnego jego znaczenia zajmie mi wiele lat.

- Opowiedz mi o wszystkim - poprosiłam, pochylając się w jego stronę. - Chcę wiedzieć wszystko. - Spojrzałam na jego dłoń, pieścąc moją rękę, i wsunęłam palce pod rękaw koszuli. - Powiedz mi, co ci się naprawdę stało w ramię.

- Szrapnel.

- Cóż, oczywiście. Szrapnel - powtórzyłam, starając się, by to zabrzmiało tak, jakbym wiedziała, o czym mówi. Odstawiłam kieliszek z winem, odpięłam mu spinki i podwinęłam rękaw tak, jak zrobiłam to już kiedyś, nie tak wiele dni temu. - Jest taka poszarpana - powiedziałam, leciuteńko przesuając po bliźnie opuszką palca.

- Powierzchowna rana, naprawdę. Miałem szczęście. Byłem w okopach zaledwie przez tydzień. To było dość upokarzające, że tak szybko odesłali mnie z linii frontu.

- Upokarzające? Przecież mogłeś zginąć. Albo... albo stracić całą rękę.

- Szrapnele to paskudztwo - przyznał, spoglądając na bliznę. - Całkiem dobrze mnie pozszywali. Chcieli mnie zatrzymać w szpitalu, ale nienawidzę tak długiej bezczynności.

- Więc wymogłeś na nich, żeby cię odesłali. Z uszkodzeniami nerwów i tak dalej.

- To nie było aż tak poważne, naprawdę. Tylko tak strasznie wygląda.

Przez chwilę patrzyłam na jego twarz, próbując wy-mazać z wyobraźni ten przerażający obraz: Julian ranny, krwawiący, z rozerwanym ramieniem. Jego zaciśnięte zęby, stłumiony krzyk...

- Dzięki Bogu - powiedziałam. - Dzięki Bogu, że... że to się stało. Sprowadziło cię bezpiecznie tutaj, zanim przytrafiło ci się coś gorszego.

Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Tak myślisz?

- Mój Boże! Oczywiście. Siedzisz tutaj ze mną, zamiast leżeć gdzieś w grobie we Francji. Nigdy bym cię nie poznała.

- Być może tak byłoby lepiej.

- Nie. - Pokręciłam głową i ścisnęłam jego rękę tak mocno, że moje paznokcie pozostawiły małe półksiężycy na jego skórze. - Nawet nie zaczynaj. Nie pozwolę ci popaść w jakiś stan poczucia winy, że przeżyłeś.

- Poczucia winy, że przeżyłem?

- No, wiesz, wyrzuty sumienia, bo ty żyjesz, a wszyscy inni...

Wysunął rękę z mojej dłoni i oparł się na sofie.

- Kate - powiedział. - Nie rozmawiamy tu o jakimś abstrakcyjnym stanie psychiatrycznym. Opuściłem wszystkich, którzy mnie potrzebowali.

- Nie z własnego wyboru, Julianie!

Zapatrzył się w pusty kominek.

- Nie miałem nawet serca, żeby odnaleźć moich starych towarzyszy. Dowiedzieć się, kto zginął, a kto spędził resztę życia z nerwicą frontową.

Zginął. Nerwica frontowa. Poczułam, jak się wycofuje. Odwróciłam się i oparłam o jego pierś. Uniosłam jego ciężkie ramię i ułożyłam tak, by mnie obejmował. Mocno spłótłam jego palce z moimi. Chłonięłam wszystko: jego ciepło, witalność, sam fakt, sam cud, że w ogóle żył.

- Miałeś nerwicę frontową? - spytałam w końcu.

Jego bark drgnął przy moim uchu.

- Właściwie to nie. Tylko takie dziwne koszmary. Bałem się pewnych dźwięków, a to raczej drobna niedogodność.

- Jak to było? Jaki ty byłeś?

Cichy śmiech.

- Ubłocony. Brudny. I ten smród! Mój Boże, ten smród trupów! Wciąż go pamiętam, miliony gnijących ciał. Przeniknął ziemię wokół nas. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Nie da się tego opisać. I długie okresy nudy, bezmyślnych obowiązków administracyjnych, niekończącego się czekania. A później wszystko w panice albo wyprawa na jakiś patrol i balansowanie na krawędzi życia i śmierci. Przejmujące. Przerażające. Uszlachetniająca. Niszcząca duszę.

Przymknęłam oczy, czując, że napływają do nich łzy.

- No tak, to wszystko wyjaśnia - zauważyłam, cierpliwie głaszcząc jego palce. - Było ci ciężko? Strzelać do ludzi?

- Jeśli pytasz, czy rzeczywiście kogoś zabiłem...

- Chyba tak. Ale nie musisz odpowiadać.

- Tak - odparł po prostu.

- Dręczy cię to?

Nie odpowiedział od razu.

- Niezupełnie. Właściwie to nie. Być może abstrakcyjnie albo podświadomie, ale nie, jeśli chodzi

0 racjonalne poczucie moralności. Bądź co bądź, przecież próbowali nas zabić. - Przerwał na chwilę. - A tobie to przeszkadza?

- Nie. Gdybym widziała, że ktoś chce cię skrzywdzić, sama złapałabym za pistolet i własnoręcznie go zabiła.

- To moja rola, kochanie. To ja mam ciebie bronić.

- W tym stuleciu to działa w obie strony - powiedziałam. - Ale pewnie wyszłoby ci to o wiele lepiej niż mi. Całkiem nieźle już tego dowiodłeś. To znaczy w parku. - Zaśmiałam się na to wspomnienie. - Biedaczek. Nie miał pojęcia, z kim zadarł. - Znów się roześmiałam i z niedowierzaniem pokręciłam głową. - Z kapitanem piechoty z pierwszej wojny światowej! Po prostu nigdy nie wiesz, na kogo wpadniesz w tym cholernym mieście.

Jego usta dotknęły czubka mojego ucha w leciutkim pocałunku.

- Mówiłem ci przecież, że mam skomplikowaną przeszłość.

- Tak, ale jakoś dziwnym trafem nigdy nie pomyślałam o podróżach w czasie - rzuciłam lekkim tonem, lecz gdy słowa te padły, zdawały się nabierać wagi i powoli krążyć wokół nas.

- A więc to zaakceptowałaś? - spytał po chwili bardzo cicho.

- Czy zaakceptowałam? Julian, ja... To znaczy, muszę to zaakceptować, prawda? Jesteś tu. Zgadza się? I nie jesteś jakąś halucynacją. Nie możesz kłamać. To by

po prostu byto zbyt ogromne, skomplikowane i niepotrzebne kłamstwo. I może mi się to wszystko śni, ale nie czuję się tak, jakby to był sen. - Przerwałam na chwilę. - I wiesz co? W jakiś dziwny sposób to po prostu pasuje. Byłeś tak wyraźnie inny. Nie mogłam cię rozgryźć. Jakbym próbowała oglądać film 3D bez specjalnych okularów: obrazy się zamazują, nic do końca nie pasuje. A teraz włożyłam je i widzę cię bardzo wyraźnie, tysiąc razy przejrzysiej i żywiej niż wcześniej. Teraz to, co widzę, ma sens.

- I nie boisz się tego?

Wypuściłam powietrze z płuc. Wyszedł z tego po trochu śmiech, po trochu westchnienie.

- Czy się nie boję? Julian, to mnie przeraża. Kiedy tak tu siedzę, przymykam oczy i myślę: urodził się sto lat temu, przeleciał przez jakiś tunel czasoprzestrzenny czy coś w tym stylu... - to się po prostu wydaje takie... takie nierzeczywiste. Nie tylko dlatego, że tu jesteś, ale że jesteś tym, kim jesteś - postacią historyczną. Zupełnie nie wiem, jak do tego podejść. Gdybyś mnie teraz puścił, zaczęłabym się trząść.

Przyciągnął mnie i oparł swoją głowę o moją.

- Kate, kochanie, to tylko ja. Nie ma potrzeby...

- A potem otwieram oczy - przerwałam mu - i znów jesteś rzeczywisty, i cię znam. Jesteś najbardziej mi znajomym człowiekiem na świecie. - Odwróciłam twarz w jego stronę, aż nasze policzki niemal się zetknęły.

- I myślę o tym, jak mnie przytulałeś ubiegłej nocy i jak się wtedy czułam. Jak się teraz czuję.

- Powiedz mi.

- Kochana. Bezpieczna. A cały lęk odejdzie, aż to wszystko... aż ty zaczniesz się wydawać niemal... normalny. - Pokręciłam głową, nie do końca wierząc w to, że rzeczywiście w to wierzę. Utkwiłam wzrok w winie w kieliszku, ciemnoczerwonym i nieruchomym. Mój palec krążył po szyjce szkła. - A więc dobrze. Kupuję to. Jesteś Julianem Ashfordem. A jeśli pomyśleć o tym obiektywnie, to jest naprawdę całkiem fajne.

- Fajne? - Zaczął się śmiać, wprawiając w drgania moje ciało. - To najlepsze, co ci przyszło do głowy? Fajne?

- Przepraszam - powiedziałam, również się śmiejąc. - To było żałosne. Jest tak: jesteś Julianem Ashfordem i to jest niezwykle. Niewiarygodne. To najcudowniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła, i jestem za to tak bardzo wdzięczna. Jesteś Julianem Ashfordem, żyjesz i... dzięki Bogu... dzięki Bogu siedzisz tu obok mnie i... - przerwałam, a mój głos rozpułynał się w nicość.

- I?

- Jesteś mój.

Ostatnie słowo, wypowiedziane przeze mnie z wahaniem, zawisło między nami.

- Kate - wyszeptał, przyciągając mnie do siebie i opuszczając głowę. - Jestem twój. Uwierz chociaż w to.

Ciepło jego policzka promieniowało na moją twarz, łącząc nas. I nagle w to uwierzyłam. Zrozumiałam wszystko. To, co do tej pory było enigmą, stało się jasne, zmieniło się w ostrą, przenikającą do szpiku kości pewność, że istnieję po to, by dać wykorzenionej duszy Juliana Ashforda dom w tym współczesnym świecie. Że jego szczęście spoczywa w mojej dłoni jak jakiś boski, tajemniczy dar. Że był mój. I że ja należałam do niego.

Uniosłam rękę i dotknęłam jego policzka.

- A tak w ogóle to co myślisz? - spytałam.

- O czym?

- O nowoczesnym życiu. Seksie, narkotykach i rock and rollu. O technologii. - Zamilkłam na chwilę. - O kobietach, które robią karierę.

- No cóż, kochanie. Nie wymyśliliście tego wszystkiego. Kiedy byłem chłopcem, można było odnieść wrażenie, że co tydzień ogłasza się wynalezienie jakiejś nowej maszyny czy nowe odkrycia. Wszelkiego rodzaju gwałtowne zmiany, społeczne i technologiczne. To były fascynujące czasy. Czytałem czasopisma, książki... H.G. Wellsa, tego typu rzeczy. I muzyka! - Roześmiał się cicho.

- Moi rodzice byli zbulwersowani. Ragtime. Wszystkie te nowe tańce.

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć.

- O nie. Nie mów, że tańczyłeś turkey trot!

Spojrzał w sufit.

- Tańczyłeś?! Zaraz pęknę ze śmiechu! - Rozparłam

się na sofie, śmiejąc się na całe gardło. - Turkey trot!
Pokażesz mi?

- Wykluczone! - Ale kącki jego ust się uniosły.

W końcu przestałam się śmiać i przyglądałam mu się przez chwilę z rozbawieniem.

- Ale nie byłeś łobuzem, prawda? W porównaniu z tym, co się dzieje dzisiaj.

- Nie, chyba nie.

- Zwłaszcza jeśli chodzi o dziewczyny? Te, które cię otaczały. - Sięgnęłam po kieliszek i podniosłam go do ust. - Dzisiaj już nie ma rumieniących się dziewic.

- To prawda. Niewiele ich.

- Przeszkadza ci to?

Przez chwilę zastanawiał się nad doborem słów.

- Kate, nie mogę cię winić za to, że należysz do innego świata. Poza tym mój świat nie był doskonały. Nie wydaje mi się, żeby ludzie kiedykolwiek wpadli na to, jak to wszystko dobrze poukładać. - Uniósł rękę i potarł skroń. - Jestem zazdrosny - przyznał - ale spróbuję mieć do tego nowoczesne podejście.

- A ty? Czy... miałeś kogoś?

Wiedział, co mam na myśli.

- Tak. Jedną - powiedział. - Podczas wojny.

- A potem? Co z tymi wszystkimi chętnymi kobietami, które się na ciebie rzucały?

- Od tamtego czasu nie miałem nikogo.

- A jak długo to właściwie było?

Milczał przez chwilę.

- Dwanaście lat - przyznał niechętnie.

- Naprawdę? - Odsunęłam się, żeby na niego spojrzeć.

- Czemu cię to tak dziwi? Wiesz, że nie lubię wychodzić z domu.

- Ale masz swoje potrzeby, prawda? To znaczy, jesteś mężczyzną.

- Radzę sobie z tym.

- Och! - wymsknęło mi się. - W każdym razie przy mnie nie uda ci się pozostać prawiczkiem.

Rysy jego twarzy się rozluźniły.

- Nie, nie uda mi się.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

- Większość mężczyzn dobrze by się bawiła na twoim miejscu. Wykorzystaliby to. Mieliby niezły ubaw.

- Nie mogłem tego zrobić.

- Dlaczego nie?

Spojrzał na mnie w zamyśleniu i zmarszczył brwi.

- Bo nie mogłem pójść z kobietą do łóżka, nie mówiąc jej prawdy. To by nie było fair. A na to nigdy nie znalazłem właściwej kobiety.

- Co to znaczy „właściwej kobiety”?

Uśmiechnął się.

- Domagasz się komplementów, tak?

- Nie. Naprawdę chcę wiedzieć. Bo w sumie wcale nie powiedziałeś mi prawdy. Sama się dowiedziałam.

- Przerwałam, żeby upić wina i zasłonić kieliszkiem pojawiające się rumieńce. - Ale w porządku. Byłeś wyrozumiały. Poza tym łóżko dla gości było nawet całkiem wygodne.

- Kochanie, wszystko zrozumiałaś na opak.

- Muszę ci się wydawać dość zdziowata - powiedziałam szybko. - Rzucam się na ciebie. To... to dziś przez telefon.

- Nie miałem nic przeciwko temu.

- Po prostu chcę, żebyś wiedział, że dla mnie to też było wiele lat. Od college'u. Bo okazuje się, że miałeś rację. Seks to jest wielka sprawa. Dla mnie była zbyt wielka, żebym potrafiła sobie z tym poradzić. Więc zawsze kończyło się katastrofą i żałuję...

- Czego żałujesz?

- Że wtedy cię nie znałam, jak sądzę. Byłbyś znacznie miłszy.

- Miłszy?

- Kiedy by się skończyło. Kiedy miałbyś mnie już dość.

Przyglądał mi się przez chwilę. Wziął ode mnie kieliszek i odstawił go na stolik razem ze swoim. Położył dłoń na moich biodrach i pochylił się nad moim uchem.

- Powiedz, co muszę zrobić - spytał - żeby przekonać cię o mojej szczerości.

Poczułam, że uśmiecham się szeroko.

- Cóż, moglibyśmy zacząć od oszałamiającego całonocnego seksu.

Jego śmiech połaskotał moją szyję.

- Kate, Kate! Zamordujesz mnie.

- Ale dlaczego nie? Nie wierzysz mi? Czy chodzi ci o moralność? Żadnego seksu przed ślubem? - Te słowa wyrwały mi się, zanim zdołałam się powstrzymać.

Patrzył na mnie przez długi czas błyszczącymi, łagodnymi oczami, aż każdy milimetr mojej zarumienionej skóry poczuł delikatne świerzbiecie.

- Kiedy cię zobaczyłem w tej sali konferencyjnej - powiedział wreszcie - byłem w stanie pomyśleć tylko: „To ona! Wreszcie ją znalazłem”. Chciałem odpowiednio zabiegać o twoje względy. Ożenić się z tobą. W uniesieniu, bo wreszcie cię znalazłem, zapomniałem na chwilę, że jestem wybrykiem natury. Prośba o to, byś została była moja, oznaczała zmuszenie cię do tego, żebyś dzieliła to wszystko ze mną. A kto może wiedzieć, co mnie czeka? Nie mogłem cię o to prosić.

- A więc mnie odepchnąłeś.

Poczułam bicie mojego serca, rwącego się z całych sił do jakiegoś nieznanego celu, i uniosłam ręce do łuków jego kości policzkowych, do tej jego pięknej twarzy, na której teraz malowała się głęboka tęsknota i namiętność, nad jakimi ledwie panował. Dotykałam go tak przez chwilę, pozwalając, by moje powieki opadły, abym lepiej odbierała wrażenia dotyku jego skóry, ciepłej i bliskiej pod moją dłońią.

- Dlaczego zmieniłeś zdanie?

Odpowiedział bez wahania, twardym, beznamiętnym głosem:

- Zobaczyłem, jak ten mężczyzna napada na ciebie w parku. Nigdy nie czułem czegoś takiego. Nawet w najgorszych chwilach na wojnie.

Moje dłonie zsunęły się do jego podbródka, szyi. Rozwiązałam krawat. Przymknął oczy.

- Jestem największym egoistą na świecie, pragnąc, żebyś została.

- Nie, nie jesteś.

Delikatnie rozpięłam najwyższy guzik jego koszuli, a potem kolejny.

- Jesteś samotny.

Dotknęłam ustami dołeczka w jego szyi i poczułam, jak drży. Taki potężny, silny mężczyzna, mimo to potrafiłam sprawić, by drżał.

- Potrzebujesz tego. Potrzebujesz mnie.

- Nie mam już sił, by robić to, co słuszne. Nawet nie wiem już, co jest słuszne.

- To jest słuszne.

Smakowałam jego skórę.

- To nie może być słuszne.

- W moim stuleciu jest. W stuleciu, w którym żyjesz teraz.

- Nie przemyślałaś tego.

- Nie mam niczego do przemyślenia.

Dalej delikatnie go kąsałam, usiłując znaleźć właściwe słowa, by go przekonać.

- To nic takiego, nad czym można by się zastanawiać. To znaczy, kto czyta cały prospekt, linijka po linijce, przed zakupem akcji? - Poczułam, że drży pod moimi ustami. - Jesteś tym, kim jesteś. Dla mnie liczy się istota ciebie. Ten człowiek w tobie, człowiek, którego ubóstwiam. Reszta to tylko szczegóły.

- Szczegóły? Że urodziłem się ponad sto lat temu? Że zawsze będę ukrywać różne sprawy, będę mieć tajemnice nawet przed naszymi najbliższymi przyjaciółmi? A co będzie, jeśli to znów się stanie, bez ostrzeżenia? Pomyśl o tym, Kate, do jakiego stopnia skomplikuje ci to życie.

Odsunęłam się, przyglądając się badawczo jego twarzy.

- Zawsze zamierzałam sobie skomplikować życie, Julianie.

- Nie przypominaj mi - powiedział gorzko. - Powiniennem być ci wyznać to wcześniej. Powiniennem być trzymać się od ciebie z daleka.

- To niemożliwe, bo już było za późno, gdy spotkałiśmy się po raz pierwszy.

- A za dziesięć albo dwadzieścia lat? Kiedy już będziesz zmęczona ukrywaniem moich sekretów?

Odsunęłam to od siebie.

- Zawsze będę postrzegać twoją przeszłość jako dar, Julianie, bo to właśnie ona sprowadziła cię do mnie. I uczyniła z ciebie tego, kim jesteś.

- Ktoś może się dowiedzieć.

- Poradzimy sobie.

- Kate, to straszny ciężar...

- Cóż, nie zamierzam ci pozwolić, byś dźwigał go sam! Jestem teraz przy tobie, Julianie. Zrobiłeś to. Związałeś mnie z sobą, a to, czego dziś się dowiedziałam, ani trochę tego nie zmienia. Więc pogódź się z tym, dobrze? Weź mnie na górę. Potrzebuję - z jakiegoś powodu z oczu znów zaczęły płynąć mi łzy - potrzebuję, żeby stało się to rzeczywistością. Potrzebuję... nie potrafię tego wyjaśnić... kręci mi się w głowie od tego wszystkiego, już ledwie mogę wytrzymać i chcę, żebyś wziął mnie w ramiona i po prostu... proszę... po prostu nas połącz...

Złapałam jego rękę, splótłam palce z jego palcami, usiłowałam mu to wszystko przekazać.

- Kate. Och, kochanie! Nie rób tego. Nie potrafię się oprzeć, nie potrafię...

- W takim razie się nie opieraj. Nie opieraj się temu. Nie prosiłabym, nie błagała, gdyby chodziło tylko o seks. Wiesz to. Wiesz, o co cię proszę.

Zamknął oczy.

- Wiem, kochanie. Też tego pragnę, pragnę tego tak strasznie, że nie potrafisz sobie nawet wyobrazić...

Trzymając go za rękę, próbowałam pociągnąć go za sobą.

- Nie. Czeka! - powstrzymał mnie, głośno wciągając powietrze. - Nawet gdyby to było w porządku, jest coś jeszcze.

- Coś jeszcze. - Oparłam się na sofie i z rozpaczą spjrzałam w sufit. - Jest coś jeszcze? Co takiego? Jakieś cholerne wampiry?

Stęknął rozbawiony.

- Nie, to trochę bardziej przyziemne.

- O, nie - jęknęłam. - Proszę, tylko nie moralne skrupuły. Jestem już kobietą o zrujnowanej reputacji, Julianie. Nie mam żadnej cnoty, którą trzeba chronić. I technicznie rzecz biorąc, ty też nie.

- Cóż, to też - odparł. - Ale ten argument już zaakceptowałem, przecież jestem człowiekiem z krwi i kości. Nie, to bardziej praktyczna sprawa.

Czekałam. Milczał, patrzył na swoje ręce i wyglądał na zakłopotanego.

- No i? - spytałam w końcu.

- Kate - odezwał się wreszcie. - Nie jestem żadnym specjalistą, ale wiem, że kiedy dwoje ludzi, kiedy mężczyzna i kobieta... - urwał i spróbował znowu: - Kate, brałaś pod uwagę możliwość...

Zaczęłam chichotać.

- Julianie - powiedziałałam z niedowierzaniem - ty, człowiek z epoki króla Edwarda, próbujesz mnie pytać o antykoncepcję?

Jego policzki okryły się rumieńcem.

- Julian! - roześmiałam się. - Biorę tabletki. Więc weź mnie już na górę, na litość boską!

- Kate, ja...

Wstałam i wyciągnęłam do niego rękę.

- Julianie Laurensie, to znaczy, Julianie Ashfordzie
- czy tam kimkolwiek jesteś - natychmiast chodź ze mną
na górę, bo będziesz musiał sobie poszukać innej dziewczyny!

- Dziewczyno. - Pokręcił głową, uważnie mi się przyglądając.

I wreszcie podjął decyzję: wstał, pochylił się i przeczucił mnie sobie przez ramię jednym, pozbawionym wysiłku ruchem.

- A więc dobrze. Na twoją odpowiedzialność!
- warknął i poniósł mnie przez ciemny korytarz i po schodach, przeskakując po dwa stopnie.

Amiens

- A więc - odezwał się Julian - zafundowałem ci wysmienitą kolację, dotrzymywałem ci miłego towarzystwa, a teraz sądzę, że zasłużyłem już sobie na zaszczyt twojego zaufania. Kim dokładnie jesteś, Kate z Ameryki? Mogę poznać chociaż twoje nazwisko?

- To z całą pewnością będzie musiało jeszcze poczekać. - Ostrożnie wyminęłam kałużę lśniąca srebrzyście w świetle księżyca, pozostałość po całodniowym deszczu.

- Nie uwierzysz mi. A nawet jeśli uwierzysz, starłoby ci to z twarzy ten uroczy uśmiech. Wyjdiesz obrażony albo pobiegiesz z krzykiem na najbliższy posterunek policji.

- Posłuchaj, Kate. Za dużo tych tajemnic jak na tak prostodusznego człowieka jak ja. Za chwilę zrobię się naprawdę wściekły. Mogłabyś mi po prostu powiedzieć? Ostrożnie - dodał, pomagając mi ominąć przepełniony rynsztok. - Roboty publiczne są w szokującym stanie, nieprawdaż? No cóż, *c'est la guerre*.

Poczułam pod dłonią szorstką wełnę jego płaszcza i przeskoczyłam nad przeszkodą. Potem jednak nie puściłam jego ramienia, a on go nie cofnął.

- Opowiedz mi o swoim mężu - poprosił.

- O moim mężu?

- Chyba wspominałaś wcześniej, że jesteś wdową.

- Tak. - Poczułam, jak boleśnie zaciska mi się gardło.

- Wiesz, wolałabym w tej chwili o tym nie mówić. Jeśli nie masz nic przeciwko temu. To wciąż bardzo świeże.

- Bardzo przepraszam. - W jego głosie zabrzmiała skrucha. - To było strasznie głupie z mojej strony. Wybacz mi. Życie w wojsku potrafi zrobić z ludzi prostaków.

- Wybaczam. To było naturalne pytanie. I opowiem ci o nim, ale później. - Przerwałam. - Bardzo go kochałam.

- Musiał być szczęściarzem.

Nasze buty stukały zgodnie o wilgotny bruk. Popatrzyłam w dół, na czubki moich solidnych butów pojawiające się i znikające obok jego, większych. Zza rogu przed nami w zimnym, wilgotnym powietrzu rozległ się czyjś zalękniony śmiech, przełamując nienaturalną wojenną ciszę. Inne życia, inne historie - wszystko obrócone w proch, nim się urodziłam. Nagle się zdecydowałam.

- A więc dobrze, Ashford. Sam o to prosiłeś. Po prostu to powiem. Wyjeżdżasz z Amiens w czwartek, zgadza się?

- Tak, już mówiłem.

- Wrócisz na front do Albert, a potem będziesz czekał na swoją kolej w okopach. Spotkasz się z majorem Haggardem i będziecie razem planować nocny sobotni zwiad, o godzinie drugiej w nocy, na niemiecką stronę, żeby zdobyć jeńców, których będziecie mogli przesłuchać, oraz dane wywiadowcze. Mogę ci teraz powiedzieć, że jeśli poprowadzisz ten zwiad tak, jak ustalicie, to nigdy nie wrócisz do swoich okopów.

- Tak, zdaję sobie sprawę, że posiadasz osobliwą zdolność przewidywania przyszłości, Kate - odparł ze zniecierpliwieniem - i będę z ciekawością wyglądał, czy stanie się tak, jak mówisz. Ale dlaczego? Skąd to wiesz? Albo wydaje ci się, że wiesz.

- Nie, poczekaj - przerwałam mu. - To nie wszystko. Muszę ci coś jeszcze powiedzieć, żebyś uwierzył w to, co usłyszysz. Julianie, wiem, jak i kiedy zakończy się ta wojna. Wiem, jak zacznie się kolejna. Wiem... że Florence Hamilton w 1921 roku poślubi mężczyznę o nazwisku Richard Crawford i urodzi mu troje dzieci, Robina, Arthura i Sophię, a Robin w latach pięćdziesiątych zostanie wybrany do parlamentu z okręgu Hatherleigh, a potem, kilka lat po elekcji, będzie zaangażowany w skandal związany z komunistycznym szpiegiem.

Zamarł na mokrych kamieniach jak wojskowy pomnik na placu w jakimś miasteczku.

- Dobry Boże - wyszeptał.

- W przyszłym roku - podjęłam - bolszewicy wywołają rewolucję w Rosji i zamienią kraj w komunistyczną dyktaturę, a w 1929 roku światowe giełdy się załamią. To będzie pierwsza katastrofa w dziesięcioleciu kryzysu finansowego. W 1969 roku ludzie wylądują na Księżycu i będą chodzić po jego powierzchni.

- Dobry Boże - powtórzył.

- Co jeszcze? O, to jest niezłe. W 1979 roku Brytyjczycy po raz pierwszy wybiorą kobietę na premiera. A twój książę Walii odziedziczy tron w... nie pamiętam dokładnie w którym roku, ale gdzieś w latach trzydziestych, i rok później abdykuje, żeby poślubić amerykańską rozwódkę. Przepraszam, trudno mi w tym wszystkim zachować chronologię. Chodzi o to, Julianie, że zaraz powiem ci coś niezwykłego. Coś... w co nigdy nie uwierzysz. Ale mogę to udowodnić. Mam z sobą dowód. Julianie, posłuchaj mnie. Urodziłam się w 1983 roku.

Odwrócił się i spojrzał na mnie osłupiały, jakbym była jakimś duchem.

- Urodziłam się w 1983 - podjęłam - i mogę ci powiedzieć wszystko, co tylko zechcesz, o tym, co wydarzyło się na świecie do 2008 roku, kiedy cofnęłam się w czasie i przybyłam tutaj, do ciebie. Zaledwie tydzień temu według mojej rachuby. Minął zaledwie tydzień od dnia, kiedy ostatni raz surfowałam w Internecie i piłam latte. Wspaniałą, gorącą, świeżo... świeżo zaparzoną... latte.

- Mój głos zaczął się łamać.

- Urodziłaś się w 1983 - powiedział, wciąż się na mnie gapiąc.

- Wiem, wiem. Czułam się tak samo, kiedy... kiedy to samo przytrafiło się mnie. Gdy ktoś mi o tym powiedział. - Chwycałam jego ręce i robiłam krok w jego stronę, by na twarzy poczuć jego słodki, ciepły, pachnący winem oddech, by związać go z sobą, zanim się rozpadnie. - Ale proszę, Julianie - wyszeptalam - spróbuj nie myśleć o tym, jak to możliwe. O tym, że to niemożliwe. Po prostu skocz, spróbuj zrozumieć...

- Ale to przecież cudowne! - wybuchł, ściskając moje dłonie. - Cholernie cudowne! O mój Boże! Jak ten gość z książki! A więc jesteś z przyszłości? To naprawdę możliwe?

Otworzyłam usta, a potem je zamknęłam. Poczułam, jak pojedyncza kropla deszczu spada na linię moich włosów z godnym zapamiętania przekonaniem.

- Wierzysz mi? Tak po prostu?

- To absolutnie sensowne. Jesteś tak zupełnie inna, tak niesamowicie oryginalna. Oczywiście! Powinienem był to zauważyć. Jasnowidzenie, akurat! - Roześmiał się. - Opowiedz mi wszystko. Opowiedz mi... opowiedz mi o Marsie. Byłaś na Marsie?

Przyglądałam mu się: ekstrawagancki, szalony uśmiech od ucha do ucha, rozszerzone oczy błyszczące w słabym świetle z pobliskiego okna.

- Jesteś szalony? Nie przeraża cię to?

- Cóż, to niezwykle. Oczywiście. Ale powinienem być wiedzieć, że znajdą sposób za sto lat... - Potrząsnął głową. - Mówiłaś komuś jeszcze? Gdzie jeszcze byłaś? A właściwie to w jakich czasach?! - Znow się roześmiał. - To po prostu niesamowicie, absolutnie cudowne!

Nic nie mogłam na to poradzić. Zaczęłam śmiać się razem z nim.

- Julianie Ashford - wydusiłam z siebie pomiędzy kolejnymi napadami śmiechu - nigdy nie przestajesz mnie zaskakiwać. Spodziewałam się jakiejś wielkiej dramatycznej sceny, że uciekniesz z wrzaskiem, a ja będę cię błagać i prosić... Że będę musiała ci wyjaśniać przez wiele godzin, próbować to udowodnić...

Zorientowałam się, że mówię z ustami tuż przy jego piersi. W swojej żywołowości złapał mnie i zaczął bez opamiętania wirować ze mną w ramionach.

- Opowiedz mi wszystko, wszystko! Mam tyle pytań, nawet nie wiem, od czego zacząć. Masz tu gdzieś z sobą swoją maszynę? Mogę ją zobaczyć?

- Muszę powiedzieć - zauważyłam, próbując wyswobodzić się z jego uścisku, zanim mnie udusi - że przyjmujesz to o wiele lepiej niż ja. Ja w takim momencie wymiotowałam.

Odsunął się ode mnie i mi się przyjrzał.

- Doprawdy, musisz mieć wyjątkowo słaby żołądek. Czy to powszechne u was w przyszości?

- Cóż - odparłam oschle. - Powiedzmy, że to ty masz

na mnie taki wpływ. Posłuchaj, możemy gdzieś pójść i porozmawiać? Chyba znów zaczyna padać.

- Słodka Kate. - Uśmiechnął się, uścisnął moje dłonie i obie ucałował. - Boska, cudowna Kate! Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

Pobiegliśmy z powrotem, trzymając się za ręce, do wysokiego, wąskiego budynku przy rue des Augustins. Gdy Julian męczył się z kluczem do drzwi, wydało mi się, że przy ulicznej latarni dostrzegłam jakąś postać w ciemnym płaszczu, ale potem drzwi się gwałtownie otworzyły, a Julian ponaglił mnie, żebym weszła do środka, i obraz znikł.

Rozdział 14

Jeszcze zanim uświadomiłam sobie, jak się nazywam, wiedziałam, że leżę w łóżku sama.

- Julian - powiedziałam bezgłośnie, ale nie odpowiedział.

Podźwignęłam się. Rolety były opuszczone, ale sądząc po intensywnym świetle sączącym się przez szpary, słońce wstało już dawno temu. Pozwolił mi dłużej pospać. Obróciłam głowę i spojrzałam na zegar stojący na nocnym stoliku. Byłam senna, jakby oszołomiona. Minęło kilka sekund, nim odszyfrowałam znaczenie cyfr i wskazówek. Dziesiąta czterdzieści pięć? To chyba późno, prawda? Gdzie jest Julian?

Julian. Opadłam z powrotem na poduszki i przymknęłam oczy. W mojej głowie zaczęła się kłębić cała ubiegła noc, kaskada doznań. Głębia tego wszystkiego. Jego dłonie i usta na moim ciele, wszędzie, zachwycony, pełne uwielbienia i niecierpliwe. Moje dłonie i usta

dotykające jego. Łagodna poświata jego skóry w świetle lampy. Szepty, śmiech, krzyki rozkoszy. Moje imię na jego ustach wypowiedane jak modlitwa. Niemożliwe do ogarnięcia doznanie połączenia się z nim, jakbym nagle stała się całością po całym życiu spędzonym w pustce.

Julian, mój kochanek, delikatny, gwałtowny, pełen żaru. Gdzie był teraz?

Zmusiłam się, by zsunąć nogi na podłogę. Miałam wrażenie, jakby moje mięśnie odchodziły od kości. Spojrzałam zdumiona na moją nagość. Czy to wszystko naprawdę się stało? Czy to małe kruche ciało naprawdę tego doświadczyło? Wstałam i chwiejnym krokiem ruszyłam do łazienki, gdzie wciąż stało kilka stopionych świec po wycieczce do wanny w okolicach północy. Julian musiał już posprzątać resztę dziś rano.

Gdy wróciłam, dostrzegłam karteczkę na sąsiedniej poduszce. Napisane na niej było po prostu: „Twój”. Piękny charakter pisma Juliana, a poniżej podkreślenie, by wyrazić emfazę. Jedno słowo wyrażające wszystko.

Rozejrzałam się za jakimś szlafrokiem, ale nic nie znalazłam. Moje ubrania wciąż leżały porozrzucane niechlujnie na podłodze, więc wyciągnęłam jedno z prześcieradeł skłębionych na łóżku i owinęłam się nim. Pomyślałam, że wiem, gdzie go znajdę. Zeszłam po schodach do biblioteki i przekonałam się, że miałam rację. Siedział za biurkiem z otwartym laptopem i słuchawką bluetooth

w uchu i mówił coś cichym, stanowczym tonem. Usłyszał szelest, gdy wchodziłam, i podniósł wzrok. Uśmiechnęłam się nieśmiało. Wyciągnął rękę i podeszłam do niego, przytrzymując ręką prześcieradło.

- Geoff, muszę kończyć - powiedział do słuchawki.

- Oddzwonię później.

- O wiele później - szepnęłam mu do drugiego ucha.

Odsunął krzesło, rzucił słuchawkę na biurko i przyciągnął mnie do siebie na kolana.

- Jesteś, moja kochana. Bałem się, że prześpisz cały dzień. - Wtulił się w moją szyję i pocałował ją. - Jak się czujesz?

- Mmm... Jakby mnie przepuścili przez wyżymaczkę

- odparłam. - Ale poza tym bosko.

- Wyżymaczkę? - roześmiał się cicho. - Czy nie używano tego, zanim się urodziłaś?

- Dziś rano wydajesz się dość zadowolony jak na człowieka, który prawie w ogóle nie spał.

- Ach, właśnie dlatego jestem taki zadowolony, kochanie. A poza tym trzymam w ramionach najpiękniejszą kobietę na świecie owiniętą w prześcieradło. - Pochylił głowę i czule pocałował moje nabrzmiałe usta. - Chociaż wydaje mi się, że obiecywano mi seks przez całą noc, a ty przed trzecią byłaś już całkiem wykończona. Czy to do końca fair?

- Dziś w nocy możemy spróbować jeszcze raz.

- A le przynajmniej wywiązałaś się z tej części

obietnicy, że wprowadzisz mnie w oszołomienie - ciągnął, przesuając się od moich ust do szyi. - Wciąż próbuję pozbiierać myśli.

- A więc nie załujesz?

Roześmiał się z ustami przy moim ciele i uniósł głowę.

- Musisz pytać? - Musnął kciukiem kącik moich ust.

- Namiętna Kate - wymruczała.

- Tęskniłam za tobą, gdy się obudziłam. - Przykryłam jego kciuk dłonią i pocałowałam. - Musiałeś wyjść?

Wzruszył ramionami, wskazując ogólnie na laptopa.

- Sporo się dzieje. Próbowaliśmy rozwinąć kilka pozycji.

- Geoff nie może się tym zająć?

- To mój fundusz. Nie mogę w tej chwili po prostu tego rzucić.

- Co zrobisz, kiedy już wszystko skończycie?

- Skoro już o tym wspominasz... - odparł. - Pomyślałem o tym, żeby wybrać się na przedłużony miesiąc miodowy.

- O c h !

Wtuliłam czoło w jego szyję. Zaczął zataczać dłonią małe spirale na moich nagich plecach.

- Gdzie chciałabyś jechać, ukochana? Wymień jakiegokolwiek miejsce na świecie. Bezwstydnym luksusem, ubóstwiający cię mąż. To propozycja nie do odrzucenia. Chyba że oczywiście macie ambicje, by pewnego dnia

stać się wicehrabiną. Ale obawiam się, że tytuł należy teraz do nieszczęsnych dziedziców mojego kuzyna Humphreya. - Drugą ręką uszczypnął mnie lekko w nos.

- Lady Chesterton.

- Julianie, czy ty mi się oświadczasz?

- Jestem człowiekiem honoru, Kate. Po tym, jak do cna cię zdeprawowałem ubiegłej nocy, od rżęs aż po twoje smakowite palce u nóg, pomyślałem, że mógłbym zrobić chociaż tyle. Lepiej późno niż wcale, jak mówicie wy, Amerykanie.

- I to by było na tyle? Żadnej tradycyjnej formy? Jestem trochę zawiedziona.

Wciąż zbyt intensywnie się rumieniłam, by spojrzeć mu w twarz. Zaczęłam rysować palcem maleńkie serduszka w zagłębieniu jego szyi, żeby odwrócić jego uwagę.

- Cóż, szczerze mówiąc, kochanie, nie kupiłem jeszcze pierścionka. I pomyślałem sobie, że będziesz się starała mnie zbyć. Na razie zasadzki wydawały się o wiele skuteczniejszą bronią w twoich rękach.

Skrzywiłam się.

- Wiesz, moi rodzice wymiękną.

- No, proszę! A ja byłem na tyle próżny, by uważać się za stosunkowo dobrą partię.

- Nie o to chodzi. Mama już jest w tobie zakochana.

- Zsunęłam dłoń i zaczęłam się bawić skrajem prześcieradła. - Po prostu myślę, że mieli nadzieję, że najpierw

zrobię jakąś karierę. - Westchnęłam. - Ale im pokazałam, co?

Jego kciuk przebiegł po moim ramieniu, a potem zawrócił.

- Mówiłaś im już? O twojej pracy? - spytał poważnie.

- Wysłałam im e-mail. - Zerknęłam na komputer stacjonarny stojący za jego laptopem i zmarszczyłam brwi. Chciałam zapomnieć o moich prawdziwych problemach na trochę dłużej. - Nie jestem pewna, czy już go przeczytali. - Znów spojrzałam na Juliana. - I nie myśl, że możesz mnie po prostu wyratować z tych ruin, książkę z bajki, i zabrać z sobą do wspaniałego zamku.

- A czemu nie? Po co się przejmować tą cholerną starą firmą? Albo w ogóle rynkiem? Znajdziemy sobie coś innego do roboty. Świat na nas czeka. Absolutna wolność.

- Jeszcze niedawno przysięgałeś zemstę.

- Och, dalej jej pragnę - powiedział ponuro. Wskazał głową na komputer. - Wczoraj poinstruowałem Geoffa, żeby zerwał wszelkie relacje ze Sterling Bates. Handlowe, bankowe, clearing. Dzwoniłem też do mojego adwokata i pokrótce wyjaśniłem mu sprawę. O pierwszej mamy z nim połączenie konferencyjne, ty i ja.

Wyprostowałam się.

- Co takiego? Chyba ci mówiłam, żebyś tego nie robił!

- Niczego nie zaczniesz bez twoich instrukcji. To tylko

po to, byś mogła zobaczyć, jakie masz możliwości. Przedstawisz mu sprawę. - Jego głos złagodniał. - Kochanie, wiem, że nie będziesz szczęśliwa dopóty, dopóki to się nie wyjaśni. A teraz, Kate, moim jedynym celem w życiu jest twoje szczęście.

- Prawnicy są drodzy - zauważyłam, próbując zignorować cudowne ciepło, jakie poczułam po jego ostatnich słowach.

- Kate, Kate. Masz wspaniałe zasady, kochanie, i bardzo je podziwiam, ale to jakiś absurd. Jak mogą się pojawiać między nami jakiegokolwiek kwestie finansowe po ostatniej nocy?

- Zwłaszcza po ostatniej nocy! To tak, jakbym brała od ciebie pieniądze w zamian za... za to. Jakby to mi dawało jakieś prawo do roszczeń wobec ciebie!

- Roszczeń wobec mnie? - wydawał się zdumiony. - Mój Boże, Kate! Oczywiście, że masz prawo do roszczeń. Wobec mnie całego. Wygląda na to, że masz jakieś... - pokręcił głową - ...obłąkańcze wyobrażenie miłości. Że istnieje na jakimś wyższym poziomie, wolna od bagna ludzkich zobowiązań.

- Bo istnieje - upierałam się. - W każdym razie powinna.

- Bzdury! To tylko słowa i każdy mężczyzna, który mówi ci, że cię kocha, a ma na myśli właśnie to, nie jest nikim więcej jak tylko podłym uwodzicielem. - Wymawiał te słowa z naciskiem. - Kochanie, popatrz na mnie.

Kiedy ja ci mówię, że cię kocham, to znaczy, że jestem twoim sługą. Te dwie ręce - uniósł je, a potem objął nimi moją twarz - pracują tylko dla ciebie. To znaczy, że masz prawo do roszczeń wobec mnie, i to na wieczność. I ma to jak najbardziej związek z nieocenioną przysługą, niezmiernym zaszczytem, jakiego doznałem ostatniej nocy z twojej strony, gdy przyjąłeś mnie do swojego serca i łóżka.

Na chwilę mnie zamurowało. Jego oczy rozświetlone smugą światła sączącego się przez okno sprawiły, że zawisłam w powietrzu, gotowa rozpaść się na kawałki.

- Wiesz, technicznie rzecz ujmując - wyszeptałam w końcu - to było twoje łóżko.

Pokręcił głową.

- Nasze. Zrozum to, Kate. Wszystko, co mam, należy do ciebie. Ach, nie płacz, kochanie.

- Spróbuję - powiedziałam, ale z oczu i tak potoczyły mi się łzy, a on otarł je kciukiem.

- Mam nadzieję, że to ze szczęścia.

Kiwnęłam głową.

- Ale to mnie przeraża. Skąd możesz być taki pewien?

- A ty nie jesteś?

- Tak. Tak! - Wyciągnęłam rękę i przesunęłam palcem po aksamitnej krzywiźnie jego dolnej wargi. - Tak bardzo, tak całkowicie pewna.

- To dlaczego nie chcesz mi na to pozwolić?

- Bo... nie wiem... bo nie wiedziałam, że mężczyźni myślą w ten sposób. Bo nie mogę sobie wyobrazić, że-
bym była ciebie godna.

- Hmm - mruknął w zamyśleniu. Wsunął mi kosmyk włosów za ucho. - Kate, proszę, spójrz na mnie. Nie bądź wobec mnie nieśmiała. Chcę zobaczyć twoje oczy.

Zmusiłam się, żeby spojrzeć w górę.

- Piękna - powiedział z łagodnym uśmiechem. - Jak taki staromodny gość jak ja miałby przekonać cyniczną współczesną dziewczynę, że może ona powierzyć mu swoją miłość?

- Julian - westchnęłam, zarzucając mu ręce na szyję. - Nie jestem w stanie nawet jasno myśleć, kiedy tak na mnie patrzysz. Kiedy tak do mnie mówisz...

- Cholerni, brudni szubrawcy - mruknął - którzy traktowali moją Kate jak...

- Szs! - położyła mu palec na ustach. - W porządku, spróbuję ci to wyjaśnić. A ponieważ nie przychodzi mi to tak łatwo jak tobie, bądź cierpliwy. - Zrobiłam niezręczną pauzę.

Pocałował mój palec i przytrzymał go.

- Nie spiesz się - w jego głosie brzmiało rozbawienie. Przyglądałam się górnemu guzikowi jego koszuli.

- No dobrze. Przede wszystkim ostatnia noc była najpiękniejsza w całym moim życiu. - Poczułam gorąco na twarzy, ale nie przerywałam, bo zasługiwał na wszelką elokwencję, na jaką w tej chwili było mnie stać. - I również

najprzyjemniejsza, a przez to rozumiem całkowitą ekstazę, jak być może zauważyłeś, więc możemy bezpiecznie stwierdzić, że wszystkie złe wspomnienia zostały całkowicie wymazane. A wreszcie - dodałam, unosząc w końcu powieki i patrząc na niego, ponieważ na to również zasługiwał - jeszcze nigdy, przenigdy z nikim nie czułam czegoś takiego. Nawet czegoś, co choć trochę by to przypominało. Tak bardzo... tak bardzo przewyższasz każdego mężczyznę, jakiego do tej pory spotkałam... Jesteś tak honorowy, błyskotliwy, czarujący i... i namiętny... Nie, proszę, posłuchaj... A przy tym tak dowcipny i seksowny, o mój Boże, najcudowniejszy kochanek. To w wannie... Gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś? Brakuje mi już słów, a jest w tobie jeszcze tyle cech, które ubóstwiam. Nie mogę... próbowałam ubiegłej nocy... mam nadzieję, że ci pokazałam jak bardzo. Gdy... gdy... - poczułam, że do oczu znów napływają mi łzy. - Przepraszam, jestem w tym beznadziejna. Ale i tak muszę to powiedzieć. - Mój głos przeszedł w ochrypły szept. Położyłam ręce na jego piersi, tuż poniżej obojczyków, i wyrzuciłam z siebie: - Gdy my... w tamtej chwili, Julianie, gdy po raz pierwszy się połączyliśmy, pasując do siebie tak doskonale... Cóż, to było... - powiedz to, zaufaj mu - ...to było dla mnie święte. Chciałabym, żebyś to wiedział. I mam nadzieję... że może... że dla ciebie znaczyło to tyle samo.

Przez jakiś czas przyglądał mi się błyszczącymi oczyma, a potem, nieznośnie powoli, przyciągnął do siebie

moją twarz i pocałował mnie, a każdy ruch jego ust był tak świadomy, że zajmował całkowicie odrębne miejsce w mojej świadomości.

Podźwignęłam się w szerokim fotelu i usiadłam na nim okrakiem. Objęłam go za kark i pocałowałam mocniej, rozgorączkowana. Prześcieradło zsunęło się ze mnie i nagle jego pożądanie wybuchło równie silną namiętnością jak moje. Potoczyliśmy się na podłogę, zapominając o całym świecie.

- Powiedz mi - poprosił jakiś czas później, przeczesując palcami moje włosy - o tych twoich pigułkach.

Odchrząknęłam.

- No cóż, mój drogi panie. Przyjmuje się je doustnie, raz dziennie, przez cztery tygodnie kobiecego cyklu...

- Kochanie, nie jestem kompletnym jaskiniowcem. Mam niejaki pojęcie o tym, jak to działa. Ale czy byłoby to zbyt niedelikatne, gdybym cię zapytał, dlaczego już je brałaś, skoro... - zamilkł.

- ...skoro nie uprawiałam seksu?

Okręciłam się w jego ramionach i podparłam dłońmi podbródek na jego szerokiej, nagiej piersi. Leżeliśmy razem na dywanie w bibliotece, na grubym, puszystym, orientalnym splocie, który bez wątpienia był cenny. Białe prześcieradło owinęło się wokół nas, tworząc skomplikowany węzeł. Julian patrzył w sufit, a jego policzki

pokrył szkarłatny rumieniec. Czy to z powodu naszych radosnych uciech? A może z typowego męskiego zakłopotania? Nie byłam do końca pewna.

- Cóż, nie wdając się w paskudne szczegóły, to jakby ułatwiało mi tę część życia. Zwłaszcza że w pracy dużo podróżuję. A właściwie podróżowałam...

- Rozumiem. - Zmrużył oczy. Najwyraźniej z jakiegoś powodu miesięczka nie była na samym szczycie jego tematów do rozmowy. - I to jest skuteczne? Niezawodne?

- Nie martw się. Ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent skuteczności, jeśli stosuje się je zgodnie ze wskazaniami.

- To znaczy?

- Codziennie rano, o tej samej porze, nie wolno opuścić dnia. O cholera! - zawołałam, podskakując. - Poczekać chwilę.

Nogi zaplątały mi się w prześcieradło i potknęłam się, wybiegając z biblioteki. Rzuciłam się w górę po schodach do mojego zestawu podróznego w łazience. Gdy wyszłam, był w sypialni.

- Wszystko w porządku? - spytał zaniepokojony.

- Tak. Tylko godzina spóźnienia w stosunku do wczoraj.

Przekrzywiłam głowę. Zdażył już włożyć spodnie, ale nie koszulę. Najwyraźniej spieszyło mu się, gdy szedł na górę.

- Mmm... wyluzuj. Jest dobrze. Nie zajdę w ciążę.

- Jesteś pewna?

- Strasznie jesteście nerwowi. - Założyłam ręce. - To znaczy, ja też w tej chwili nie chcę dziecka, ale to przecież nie koniec świata. Jeszcze przed chwilą ślubowałam mi wieczną miłość, zgadza się?

- Przepraszam. - Uśmiechnął się do mnie. Usiadł na łóżku, złapał mnie i przyciągnął między swoje nogi.

- Nie mam w tych sprawach żadnego doświadczenia. Po prostu rozumiem, że wy, nowoczesne kobiety, nie chcecie mieć od razu dzieci, i czułbym się okropnie, gdybym narobił ci kłopotów.

- Lubię dzieci. - Uśmiechnęłam się. - Chciałabym je kiedyś mieć.

- Może moje? - Uniósł brew.

- Julian, oczywiście, że twoje. Jesteś najpiękniejszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek istniał - powiedziałam bez zastanowienia. - Spójrz tylko na siebie.

Pełna podziwu przesunęłam palcami po linii jego naprężonych ramion. Przewrócił oczami.

- Najwyraźniej masz niewielkie doświadczenie, za co zresztą jestem bardzo wdzięczny. A teraz myślę, że lepiej będzie, jak pójdę teraz z powrotem na dół, zanim one - z czcią ucałował moje piersi - znów mnie skuszą.

- Och, w porządku.

Zmierziłam mu włosy, nie będąc w stanie wyznać, że sama też czuję się trochę obolała.

- Pewnie powinnam wziąć prysznic i się ubrać. Za chwilę zejdę do kuchni i zrobię nam jakiś lunch. I chyba pościelę łóżko - dodałam, tęsknie spoglądając na skłębioną pościel.

- Mogę ci pomóc - zaproponował ze skruszoną miną.

- Wiesz co, Julianie - rzuciłam przez ramię, idąc w stronę łazienki - to by pewnie przyniosło odwrotny efekt.

Wzięłam kanapkę do biblioteki, żeby przy jedzeniu sprawdzić maile na komputerze stacjonarnym. Julian był w tej chwili na zewnątrz i warczał coś do słuchawki. Pomyślałam, że skorzystam z okazji, póki mogę.

Skrzynka odbiorcza była dzisiaj pełna. Odezwali się rodzice, oburzeni i zatroskani z powodu mojego zwolnienia, ale dziwnym zbiegiem okoliczności nie mieli jakoś nic do powiedzenia na temat mojego pobytu u Juliana. Z Michelle i Samanthą było dokładnie na odwrót. Odpisałam do wszystkich na tyle niezobowiązująco, na ile się tylko dało. Bądź co bądź, co mogłam im powiedzieć? Zerknęłam przez okno na ogród i uśmiechnęłam się na widok Juliana, który przechadzał się w tę i z powrotem po trawie i od czasu do czasu odgryzał kęs kanapki. Wyglądał tak, jakby mówił sam do siebie.

I nagle, bez ostrzeżenia zobaczyłam to. Zobaczyłam go chodzącego po drewnianym chodniku w błotnistym okopie, ubranego w mundur koloru khaki, pas i owijacze, z czapką opuszczoną nisko na czoło. Nad jego

głową świstały niemieckie pociski. To było tak strasznie przeszywająco realne. Pomyślałam, że czuję w ustach smak jego śmierci. Bezwiednie wypuściłam powietrze i pozostała we mnie tylko próżnia.

A potem wszystko znów było normalne, a Julian stał w ciepłych promieniach majowego słońca na zielonej łące, otoczony pierwszymi dzikimi kwiatami lata. Bezpieczny. Tutaj. Teraz. Mój.

Roztrzęsiona obróciłam się znów do komputera. W skrzynce odbiorczej pojawiła się nowa wiadomość. Była od Charliego, z jego osobistego konta.

Hej, stara. Gdzie jesteś? Z pięćdziesiąt razy dzwoniłem do ciebie do mieszkania, wciąż odbiera ta twoja pokręcona współlokatorka. O co chodzi z tą biedną suką? W każdym razie tutaj wszyscy wariują, krążą dzikie plotki. Sprawdziłem pliki w sieci i nie znalazłem nic dziwnego, ale wczoraj wieczorem pogadałem trochę z facetami z giełdy i dowiedziałem się, że Alicia odwała jakieś świństwa z jakimś gościem z Compliance. Brzmi mi to podejrzenie, nie ma szans, żeby odnalazła prawdziwą miłość z facetem z działu obsługi klienta. I NIE TYLKO TO. Dowiedziałem się, kim jest ta twoja rzekoma strona. Southfield. Idź zapytaj twojego nowego chłopaka, o co chodzi. Spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej. To jakieś popieprzone gówno.

Przez chwilę wpatrywałam się w monitor, czytając wiadomość kilkakrotnie. Znów wyrzałam przez okno. Nie zauważyłam już Juliana, a chwilę później usłyszałam, jak otwiera i zamyka drzwi balkonowe w kuchni.

- Kate! - zawołał.

- Jestem w bibliotece! - odkrzyknęłam.

- Za jakieś piętnaście minut mamy rozmowę z moim prawnikiem. O co chodzi? - spytał, widząc moją minę.

- Eee, nic... To znaczy... Nie wiem. To trochę pokręcone.

Spojrzał na mnie lekko zdziwiony.

- Właśnie dostałam maila od Charliego. On... no nie wiem, może to nieprawda, goście z giełdy są tacy...

- O co chodzi, Kate?

- Cóż, podobno mówią, że ta strona, to znaczy strona, której rzekomo przekazywałam informacje, to był Southfield.

- Moja firma? Och, to jakieś bzdury - odparł z lekceważeniem. - Żadnemu z moich pracowników nie przyszłoby to nawet do głowy. Mieliby ze mną do czynienia, nawet gdyby nie chodziło o ciebie.

- To nie byłam ja.

- Wiesz, o co mi chodzi.

W kuchni zadzwonił telefon.

- Dziwne - zauważył Julian, przechodząc przez drzwi. - Myślałem, że zadzwoni do mnie na komórkę.

Poszłam za nim na korytarz i dalej do kuchni. Odebrał.

- Daniel? - spytał. - Myślałem, że...

Milczenie. Założyłam ręce i oparłam się o framugę drzwi, obserwując, jak na twarzy Juliana lekkie poirytowanie zmienia się w zaskoczenie, a potem w troskę.

- Rozumiem - powiedział. - Bez żadnego ostrzeżenia... Tak, z całą pewnością dziwne... Tak, chętnie. Mogę prosić o pana numer? Proszę chwilę poczekać. - Skinął ręką w moją stronę.

Rzuciłam się po notes i długopis i podałam mu je.

- Tak... tak... Bardzo dziękuję... Jeśli mogę spytać, skąd pan ma ten numer? Ach, rozumiem... Tak, doskonale. A więc do widzenia.

Stał przez chwilę, przyglądając się cyfrom nabazgranym w notatniku i postukując w niego długopisem.

- No i? - spytałam. - O co chodziło?

- Właściwie to nic takiego - odparł, nie podnosząc wzroku.

- Myślałam, że przestałeś już mieć przede mną tajemnice.

Wtedy na mnie spojrział.

- Co to ma znaczyć?

- Posłuchaj - odparłam. - Jeżeli to naprawdę nic takiego, to w porządku. Ufam ci. Ale jeśli jest jakiś problem, to mógłbyś mi chyba powiedzieć. Bo w tej chwili jestem już dość zaangażowana. Jeśli coś w twoim życiu jest nie tak, to chcę o tym wiedzieć. Może nawet pomóc. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Wybacz mi, kochanie. Oczywiście, że ci ufam. Tyle że - szczerze mówiąc - tak przywykłem do sekretów...

- Pokręcił głową. - Nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Czy to ma coś wspólnego z powodem, dla którego tutaj jesteśmy? Niezadowoleni inwestorzy? Te spotkania w Bostonie?

- Ach, tak. Masz dobrą pamięć.

- Julian, potrafię dodać dwa do dwóch. - Skrzywiłam się i zrobiłam właśnie to. - Te twoje spotkania były na Harvardzie, prawda? Ale nie chodziło o kapitał żelazny. To ten profesor, tak? Ten, który napisał twoją biografię. Hollander. Wie wszystko o tobie. Zgadza się? Teraz to wszystko zaczyna nabierać sensu. Jedziesz go odwiedzić i wracasz w panice...

Spiorunował mnie wzrokiem.

- Ja nie wpadam w panikę, Kate. Nigdy. Działam tylko stosownie do informacji, jakie posiadam.

- Czyli mam rację?

- Cholera, jesteś za bystra, ot co! - Z rozdrażnieniem przeczesał ręką włosy i rzucił ołówek na blat. - A więc dobrze. Było tak. Natknąłem się na książkę Hollandera gdzieś w dziewięćdziesiątym siódmym czy dziewięćdziesiątym ósmym w księgarni w Park Slope. Byłem wtedy raczej w dołku. Szczerze mówiąc, to byłem zrozpaczony. Nie miałem nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Znalazłem sobie spokojną pracę w dziale obsługi w Goldmanie, próbowałem nie rzucać się w oczy, z nikim się nie

spotykałem, byłem gotów skoczyć z mostu Brooklyńskiego.

Z gardła wydobył mi się jakiś urwany dźwięk. Pragnęłam do niego podejść, pocieszyć go, ale mówił tak rzeczowo, bez emocji, że nie byłam w stanie tego przeskoczyć. Przybrał minę twardego faceta.

- Więc pomyślałem, że skorzystam z okazji. Wysłałem mu maila, pisząc, że czytałem jego książkę, bardzo interesuję się tym tematem i czy moglibyśmy się spotkać. Odpowiedział niemal natychmiast. Wziąłem dzień wolnego i polecałem się z nim zobaczyć. - Julian odwrócił się i oparł o kuchenny blat, wbijając wzrok w podłogę. - Oczywiście natychmiast się zorientował, kim jestem. Był zdumiony, zachwycony. Przypuszczam, że każdy historyk tak by się czuł, widząc przedmiot swoich badań wchodzący pewnego ranka do jego gabinetu. Zaakceptował fakt mojego istnienia ze zdumiewająco zimną krwią. Mój świat zawsze wydawał mu się bardzo rzeczywisty, dopiero później uderzyło go, jakie to wszystko ma znaczenie.

- Tak, miałam kilku takich profesorów. - Spróbowałam się uśmiechnąć.

- No więc pomógł mi. Bardzo dużo rozmawialiśmy, zaprzyjaźniliśmy się. Prawie przeprowadziłem się do Bostonu ze względu na niego, ale coraz bardziej zaczynała mnie też interesować moja praca w Goldmanie. Równia pochyła, która koniec końców doprowadziła

do założenia Southfield. W każdym razie nie zdradził nikomu mojej tajemnicy, a ja w zamian pomogłem mu w pracy, dzieląc się wszystkim, co pamiętałem. W ostatnich kilku latach nasze stosunki odrobinę się ochłodziły. Nie był zbyt zadowolony z Southfield. Stary pokręcony marksista - powiedział, uśmiechając się pod nosem.

- I co się stało? - spytałam. - Spotkałeś się z nim w święta i potem się ode mnie odciąłeś. Spotkałeś się z nim dwa dni temu i uciekłeś tutaj. A teraz ten telefon. Więc domyślałam się, że problem nie tkwi raczej w jakimś niezadowolonym inwestorze, zgadza się? To miało być takie niewinne kłamstwo?

Wzdrygnął się.

- Nienawidzę tego, że muszę ci o tym powiedzieć.

- Przepraszam. Nie chciałam na ciebie naciskać. Wiem, że wy, dżentelmeni, macie swój kodeks. - Podeszłam do niego i dotknęłam jego łokcia. - Tak naprawdę to zaczynam to nawet lubić.

Wyciągnął ramię i objął mnie.

- Próbowałem cię po prostu chronić - powiedział łagodnie.

- Wiem. Nie jestem zła. - Objęłam go w pasie. Poczulałam bliskość jego ciała. - No więc powiedz mi, co się stało w święta.

Zaczął głaskać mnie po włosach.

- Ktoś zaczął go o mnie wypytywać, o historycznego Juliana Ashforda. Przeczytał biografię, szczególnie

zaciekawili go ostatnie dni Ashforda. Spytał, czy mógłby zobaczyć materiały źródłowe.

- Jakie materiały źródłowe?

- Och, listy. Mój służbowy notes, tego typu rzeczy. Hollander miał kopię tych wszystkich materiałów. Dostał je od współczesnych Ashfordów. Oczywiście mu odmówił. Nie miał pojęcia, kim on jest. To było tego dnia, kiedy przyjechałaś do mnie do domu. Hollander próbował go zbyć, ale wtedy ten gość zabrał się do tego inaczej. Powiedział, że słyszał o tym całym Laurensie z Southfield, widział jego zdjęcie w „Timesie” i czy Hollander nie sądzi, że uderzająco przypomina Ashforda.

- Chcesz powiedzieć, że on wie?

- Nie mam pojęcia. Dość mocno naciskał na Hollandera. Proponował mu pieniądze, a potem kilka razy groził. Zdobył... zdobył dziwną informację. W sumie to drobiazg dotyczący moich ostatnich dni we Francji. Nie mam pojęcia, skąd się tego dowiedział. Ale to wystarczyło, by Hollander natychmiast wykręcił mój numer, gdy tylko ten człowiek się rozłączył.

- Nie jestem pewna, czy za tobą nadażam.

- Kate, wielu ludzi skorzystało na mojej domniemanej śmierci. Obecny lord Chesterton, niech Bóg ma go w swojej opiece, różne postacie ze sceny politycznej, z bardziej skomplikowanych powodów. - Umilkł na chwilę. - Niektórzy twierdziliby ze zwykłej niewiedzy,

że gdybym przeżył wojnę, dzieci Flory Hamilton nigdy by się nie urodziły. Co jest bzdurą.

- Jej dzieci?

- Wysła za mąż wkrótce po wojnie. Miała troje dzieci. Jedno z nich zajęło się polityką. Na pewno znasz jego nazwisko. Typ awanturnika. Jego syn kontynuował rodzinną tradycję.

- I wszyscy ci ludzie byliby niezadowoleni, gdyby się dowiedzieli, że żyjesz?

- Nie brzmi to zbyt wiarygodnie, prawda? Raczej nikt nie byłby w stanie uwierzyć, że to prawdziwy Julian Ashford, rocznik 1895. Ale nie wiemy, jak sprawy by się potoczyły. Ludzie słyszą różne rzeczy, reagują irracjonalnie. Tego się właśnie obawiam. - Schował twarz w moich włosach. - Że ktoś mógłby ci zagrozić z mojego powodu.

- Ale dlaczego ktoś miałby coś takiego zrobić?

- Na przykład po to, by zagwarantować, że się nie ujawnię.

- Ale przecież nigdy byś tego nie zrobił.

- A skąd ten nasz tajemniczy gość może być tego taki pewien?

Zastanowiłam się nad tym.

- Myślisz, że to on przysłał mi tę książkę?

- Możliwe - odparł spokojnie Julian. - Na pewno chciałbym się tego dowiedzieć. Masz wciąż opakowanie?

- Tak. Przysłała z jakiejś księgarni na Rhode Island. Zapomniałam nazwy. Jest na górze, w mojej torbie.

- W takim razie zadzwońmy do nich. - Zamilkł, a potem odezwał się ściszym głosem: - Albo złóżmy im wizytę. Moglibyśmy tam popłynąć moją łodzią. W Newport jest piękny hotel. Właściciel jest naszym klientem.

- Mmm... - Moje palce bawiły się jego koszulą. - Ale jakie dostałeś dziś wieści? Przed chwilą.

- Spotkałem się z nim, z Hollanderem, dwa dni temu. Wiesz już o tym. Ktoś splądrował jego gabinet i zostawił na biurku egzemplarz „Posta” otwarty na tym artykule z „Page Six”.

- O mój Boże - powiedziałam.

Moje myśli krążyły jak szalone wokół tej informacji. Zerknęłam na drzwi balkonowe prowadzące do ogrodu, niemal spodziewając się, że zobaczę za nimi jakąś groźną twarz przyciśniętą do szyby.

- Tak. Rozumiesz teraz, dlaczego chciałem cię tu sprowadzić? To wcale nie taka przesada, jak ci się wydaje. Najwyraźniej tego człowieka trzeba traktować poważnie. Wie coś albo wydaje mu się, że wie.

- A co z ochroną? Jak ten facet się tam dostał? Nie było kamer?

Wzruszył ramionami.

- Oczywiście Hollander zostawił drzwi otwarte. Wyszedł, żeby wygłosić wykład. Twierdzi, że kamery nie zarejestrowały nic przydatnego, tylko zwykłe tłumy studentów. No i teraz dochodzimy do tej rozmowy telefonicznej

- wskazał głową na aparat. - Dzwonił kolega Hollandera. Najwyraźniej staruszek zaginął.

- Zaginął?!

- No cóż, nie do końca. Wysłał do tego kolegi e-mail, w którym napisał, że wyjechał niespodziewanie prowadzić badania, co w jego wypadku nie jest niczym niezwykłym. Zostawił jednak moje nazwisko i ten numer telefonu, a to już jest dziwne. A więc jak można się domyślać, ten kolega chciał się dowiedzieć, co się dzieje. I ja też powinienem się tego dowiedzieć, skoro już o tym mowa.

- Chyba nie jesteś... To znaczy, nie jesteśmy w niebezpieczeństwie? - Tylko tyle udało mi się wydusić z siebie.

Uniósł drugie ramię, przytulając mnie mocno do siebie.

- Oczywiście, że nie - zapewnił z przekonaniem.
- Nikt prócz Geoffa nie wie o tym domu. Podjąłem wszelkie środki, żeby zachować jego istnienie w tajemnicy. Akt własności jest na jakiś zupełnie nieznaną holding należący do nas. Na granicach posiadłości jest system alarmowy, w domu również. Jesteś tu absolutnie bezpieczna, kochanie, obiecuję. Nie pozwolę, by ktokolwiek cię tknął.

- Hollander ma ten numer. Kierunkowy...

- Numer jest zastrzeżony. Nawet gdyby ten człowiek zdobył go, nie będzie mu łatwo nas namierzyć. Słuchaj, Hollanderowi zdarzało się to już wcześniej. Zniknął bez

słowa. To zupełnie normalne. Nie martw się. Po rozmowie z moim prawnikiem spróbuję się do niego dodzwonić na komórkę. A skoro już mowa o prawniku - zmarszczył brwi i wypuścił mnie z objęć, by zerknąć na zegarek.

- Co się z nim dzieje?

Jakby w odpowiedzi zadzwoniła komórka.

- Głowa do góry, kochanie - powiedział Julian i odebrał. - Tu Laurence. Tak, Danielu? Tak, dzięki za telefon. Poczekaj chwilę. Idziemy do biblioteki. Przełączę cię na głośnik.

Julian pokazał mi, bym ruszyła przed nim. Szłam do biblioteki, czując jakieś dziwne odrętwienie. Miał system głośnomówiący ustawiony na trójnogim stoliku pod oknem. Poszperał w szufladzie biurka, wyjął kabel i podłączył swojego BlackBerry.

- Danielu? - odezwał się.

- Jestem - usłyszałam głos prawnika, a Julian podsunął mi krzesło. - Jak tam wiejskie powietrze, Laurence?

- Całkiem, całkiem. Słuchaj, Danielu, jest tu ze mną panna Wilson.

- Pani Wilson, witam. Daniel Newton. Jak rozumiem, te dupki ze Sterling Bates rzuciły panią wilkom na pożarcie.

- Mmm, proszę mi mówić Kate. Tak, można to tak ująć - odparłam.

W tyle głowy czułam jakiś zamęt, ciężki i niebezpieczny. Zerknęłam na Juliana, który obrócił krzesło

oparciem do przodu i usiadł na nim okrakiem obok mnie. Nie potrafiłam wyobrazić sobie nikogo, kto byłby w stanie złamać jego determinację, sprzeciwić się jego niszczycielskiej sile.

- Wyrażaj się, Danielu - ostrzegł Julian. - Jest lepiej wychowana niż kobiety, z którymi się zadajesz.

Z głośnika dał się słyszeć wybuch śmiechu.

- Ha, ha, ha! - ryknął Daniel. - Wygląda na to, że wreszcie spotkałeś swoją drugą połowę, Laurence. Ha, ha, ha! No dobrze, Kate. Opowiedz mi, co się stało. Aż mnie świerzbi, żeby dobrać się do tyłka tym... tym miłym dżentelmenom z twojej szacownej firmy. Byłej firmy.

Uśmiechnęłam się. Polubiłam tego Daniela Newtona. Wyobraziłam go sobie przy biurku na Manhattanie jako wielkiego niedźwiedzia ze sporym brzuchem, jedwabną chustką w butonierce i staromodną złotą szpilką mocującą krawat do szytej na miarę koszuli. Zamęt w mojej głowie zaczął ustępować.

- No cóż, powiem ci, jak to wyglądało z mojego punktu widzenia, Danielu - odparłam. - Ale nie wiem, jak oni to widzieli, bo nie byli w tej sprawie zbyt otwarci.

- Coraz lepiej - stwierdził.

Opowiedziałam mu, co mogłam, o pierwszych starciach z Alicią o umowę z ChemoDerma, o jej dziwnym zachowaniu w następnych miesiącach i wreszcie o incydencie z laptopem i plotkach o interesach z Southfield oraz moim zwolnieniu. Na dokładkę dorzuciłam jeszcze

to, czego dowiedział się Charlie. Daniel słuchał tak, jak potrafią słuchać tylko adwokaci: w skupieniu i nie przerywając mi, chyba że w celu wyjaśnienia czegoś.

- No cóż, Kate - oświadczył. - Jeśli to wszystko, to myślę, że mamy tu ku... dość niezłą sytuację. Radziłbym, byśmy zaczęli od złożenia skargi, żądania obejrzenia twoich akt w dziale personalnym, a konkretnie dowodów, jakie mają przeciw tobie. To po prostu zwykła zbrodnia, że nie pozwolili ci ich obejrzeć podczas spotkania, ale chyba liczyli na twój brak doświadczenia. Mówisz, że coś podpisałaś? Co to było?

- Tak, podpisywałam - odparłam. - Ale naprawdę nie wiem co. Jakieś zrzeczenie praw... Wiem, wiem, to było głupie. Możesz mnie skarcić. Ale byłam wtedy zbyt wściekła, by mi na tym zależało, a oni grozili mi i nie chcieli mnie wypuścić z pokoju bez tego podpisu. A ja po prostu chciałam się już stamtąd wydostać...

- Proszę, Danielu, zrozum - wtrącił Julian głosem tak zimnym i złowieszczym, że prawie podskoczyłam na krześle. - Chcę się dobrać tym sukinsynom do skóry. Chcę, byś ich oskarżył.

- Och, jestem równie wkurzony jak ty - odparł Daniel - ale to chyba zależy od Kate, prawda?

- Nie spieszmy się z tym, dobrze? - poprosiłam. - Kilku moich przyjaciół próbuje się trochę rozpytać w pracy. Chciałabym się najpierw przekonać, co z tego wyjdzie, zanim wytoczę przeciw nim prawne działania.

W głośniku na chwilę zaległa cisza.

- No cóż, Kate, mogę się trochę wstrzymać, jeśli chcesz, ale nie możemy zbyt długo czekać. Przeglądam właśnie moje notatki i chyba się domyślam, co się stało. Najwyraźniej ta cała Boxer używała konta mailowego Kate, żeby wysyłać informacje jednemu z twoich ludzi, Laurence...

- Czekaj chwilę, Daniel...

- ...bo wiedziała, że Kate jest już z tobą związana - ciągnął Daniel, nie zwracając na niego uwagi. - Zakładam, Kate, że nie pierwszy raz zostawiłaś swój laptop bez opieki?

- Nie - odparłam. - To znaczy, nie miałam żadnych powodów, by myśleć...

- Jesteś miłą dziewczyną, Kate - stwierdził szorstko - więc nigdy nawet nie przyszło ci do głowy, że jakiś sku... sukinyś mógł majstrować przy twojej poczcie. Pewnie stworzyła drugie konto, żebyś nie znalazła żadnych dowodów, gdybyś zajrzała do folderu wysyłanej poczty. Szkoda, że musiałaś im oddać laptop. Pewnie właśnie na to liczyła. A tak nawiasem mówiąc, to by wyjaśniało zwiększone obroty ze Sterling Bates.

- Do diabła z tym! - wybuchnął Julian. - Nie mogę uwierzyć, że jeden z moich maklerów zrobiłby coś takiego!

- Takie rzeczy cały czas się dzieją. Każdy facet ma jakiś słaby punkt, a ta kocica Boxer wie po prostu, jak je

znaleźć. A tak poza tym to w sumie dobra wiadomość. Oznacza, że Southfield posiada dowody na to, co się działo. Będziemy mogli namierzyć coś od naszej strony. A więc twoja praca domowa, Laurence, polega na tym, żeby się dowiedzieć, który z twoich ludzi miał kontakty z tą Boxer. Myśląc oczywiście, że to była Kate.

- Do diabła - warknął Julian, opierając się na krześle i patrząc na mnie.

- Kate - ciągnął Daniel. - Napiszę tę skargę, żeby była gotowa, kiedy zdecydujesz się uderzyć.

- Tak. Świetnie. Dziękuję ci, Danielu.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Nie martw się, mała. Dopadniemy tych du... tych miłych ludzi. Laurence? To wszystko?

- Wszystko, Danielu. Wielkie dzięki. - Julian pochylił się i rozłączył nas. Spojrzał na mnie.

- Nie przepraszaj - powiedziałam. - To nie ma nic wspólnego z tobą.

- Kate, to był jeden z moich maklerów. Mój Boże! - Zerwał się z krzesła i zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju. - Zaraz dzwonię do Geoffa...

Odchrząknęłam.

- Nie chciałam się wtrącać...

Odwrócił się.

- Mówiłem ci już, chcę wiedzieć, co myślisz.

- Cóż, nie znam Geoffa tak dobrze jak ty. Ale ufasz mu, więc jestem pewna, że to dobry człowiek. Mówię

oczywiście jako ktoś z zewnątrz. Lecz może powinienś podejrzewać każdego? Po prostu na wszelki wypadek.

Przyspilił mnie spojrzeniem.

- Chcesz powiedzieć, że Geoff może być tym kretem?

- Nie! Nic nie chcę przez to powiedzieć. Tak jak mówiłam, nie znam go. Ty go znasz. Ale może powinniśmy wyeliminować taką możliwość już na samym początku? Właściwie to zrobmy to od razu, żebyś mógł do niego zadzwonić i od czegoś zacząć.

Z początku Julian nic nie powiedział. Stał z założonymi rękoma, wyglądając przez okno na ogród. Stanowczo ściągnął brwi. Białe rozproszone światło padało przez szybę na jego twarz, oblewając ją złocistą poświatą. Wyglądał jak anioł.

- O co chodzi? - spytałam.

- Zastanawiam się nad tym, jak ci coś wyjaśnić.

- Stukał palcami w przedramię.

- Co wyjaśnić?

- Dlaczego to nie mógł być Geoff. Posłuchaj, Kate, pamiętasz tego mężczyznę z taksówki na Park Avenue? Tego, który mnie rozpoznał?

- Tak - odparłam. To był jeden z tych szczegółów, które zepchnęłam gdzieś do zakamarków w mojej głowie. Wiedziałam, że to było ważne, ale nie miałam przestrzeni, żeby w tej chwili się tym zajmować. - Próbujesz mi powiedzieć, że go znałeś? Że on jest, no nie wiem, jednym z was?

- Na to wygląda - odparł, obracając się z powrotem w moją stronę. - Właściwie to tak właśnie jest.

- Są inni? - Poczułam, że ogarnia mnie fala mdłości. - Ale mówiłeś przecież, że byłeś sam, że nie miałeś nikogo!

- Bo tak myślałem - odparł. - A potem, pewnego ranka 1998 roku jechałem metrem i zorientowałem się, że patrzę prosto na niejakiego Geoffreya Warwicka.

- Geoffa?

- We Francji był jednym z moich poruczników. Przyjaźniliśmy się w Cambridge. A według Brytyjskiego Archiwum Narodowego poległ pierwszego dnia bitwy nad Sommą.

Rozdział 15

Zerwałam się z krzesła.

- Chcesz powiedzieć, że Geoff też jest z twoich czasów? Geoff?

Spróbowałam sobie przypomnieć jego twarz, głos. Widziałam go tylko dwa razy.

- Ale on jest Amerykaninem, prawda? Mówił z amerykańskim akcentem.

Julian oparł się o jeden z regałów otaczających futrynę okna.

- Geoff przystosował się do przemian trochę szybciej niż ja - odparł. - Przyjął to jako wybawienie zesłane przez Boga i bardzo wczesnie zdecydował, że wykorzysta jak najlepiej. Widzisz, nie zostawił za sobą zbyt wiele wartościowych rzeczy. Jego rodzice nie żyli, z nikim nie łączyły go silne więzi. W dokumentach, jakie dostał, figurował jako Amerykanin, więc zaczął mówić z tym

akcentem. Przeprowadził się tutaj i rozpoczął pracę jako analityk inwestycyjny.

- Dlaczego Wall Street? - spytałam.

- Jego ojciec był maklerem w Londynie. Geoff miał przejąć interes.

- Och - westchnęłam, próbując to wszystko ogarnąć.

- Ale to przecież niesamowite. Jak się to wszystko stało? To prawie tak, jakbyście byli duchami. Albo ktoś wysłał was wehikułem czasu. I nigdy się nie dowiedzieliście, jak się to stało?

- Nie. Nigdy. Cóż, Geoff nigdy tak naprawdę się tym nie interesował. Lubi swoje życie tutaj. Wprowadził mnie do firmy, dla której pracował, a potem zachęcił do założenia Southfield, gdy odniosłem już pewne sukcesy w zarządzaniu portfelami. Mniej więcej w tym samym czasie poznał Carlę, ożenił się z nią...

- Ona wie?

Trudno mi było sobie wyobrazić nieskazitelną panią Warwick, która mogłaby być w posiadaniu takich informacji.

- Carla? - roześmiał się Julian. - Nie.

- Jak on to przed nią ukrywa? Na pewno przez te wszystkie lata musiała zauważyć jakieś nieścisłości. Brak rodziny, przyjaciół z dzieciństwa... Z wyjątkiem ciebie.

Wzruszył ramionami.

- Nie należy do zbyt dociekliwych kobiet.

- Wow! - zareagowałam. - Wow!

- Dobrze się czujesz?
- Może powinnam usiąść.

Ostrożnie opuściłam się na sofę. Julian przeszedł przez pokój i w chwili, gdy opadałam na poduszkę, obejmował mnie już ramieniem.

- Przepraszam. Wszystkie te wstrząsy, i to naraz.

- Nie. To znaczy, powinnam się już do tej pory przyzwyczaić. I nie przepraszaj. Mój Boże, jak się cieszę, że nie byłeś sam przez cały ten czas. To wszystko jest po prostu niesamowite. Spotkanie przyjaciół z czasów I wojny światowej w Nowym Jorku i nikt o tym nawet nie wie. - Pokręciłam głową. - Więc kim był ten mężczyzna z Park Avenue?

Roześmiał się oschle.

- Andrew Paulson. Biedaczysko, powinien był wiedzieć lepiej i nie wykazywać aż takiego braku dyskrecji. Kazałem już Geoffowi go namierzyć.

- I co zrobisz, kiedy go odnajdziesz?

- Pomogę mu oczywiście. Jeśli tego potrzebuje. Dam mu pracę w firmie lub coś w tym stylu. Albo po prostu powiem mu, że mu współczuję. - Mówił to obojętnie, ale ja wychwyciłam w jego głosie nutkę emocji.

- Kim był? - spytałam, splatając z nim palce.

- Och, to stare dzieje. Był jednym z moich sierżantów, gdy zaczynałem jako podporucznik. Nauczył mnie kilku rzeczy, jak się nie wychylać i tak dalej. - Urwał.
- A więc widzisz, ukochana - odezwał się wreszcie.

- Ufam Geoffreyowi Warwickowi bez żadnych zastrzeżeń.

Ścisnęłam jego dłoń, by dodać mu otuchy.

- W porządku. Wykreślamy Geoffa z listy podejrzanych. I co teraz?

- Ja - powiedział, lekko akcentując to słowo - zamierzam odbyć długą rozmowę z Geoffem, przejrzeć razem z nim zapisy transakcji i zawęzić listę. To nie powinno być zbyt trudne.

Westchnęłam z rezygnacją.

- Domyślam się, że to oznacza, że jutro znów będziesz w Nowym Jorku.

- Obawiam się, że tak.

- Jak długo to potrwa?

- Wrócę przed wieczorem, obiecuję. Nie zostawię cię samej na noc, nie teraz, kiedy to wszystko nie jest rozwiązane. A to mi przypomina o pewnej sprawie.

Wstał z sofy i podszedł do biurka. Na podłodze przy nim stała torba z laptopem. Podniósł ją i zaczął w niej czegoś szukać.

- Przywiozłem ci to - powiedział i rzucił mi pudełko.

- Żebyśmy mogli być w kontakcie, kiedy mnie nie ma.

Spojrzałam na opakowanie, a potem znowu na niego.

- BlackBerry! - zawołałam zachwycona.

- Jest twój.

- Nie będziesz chciał, żebym go zwróciła, jeśli nam się nie ułoży? - droczyłam się, otwierając opakowanie.

- To znaczy, że naprawdę go przyjmujesz?

- Umówmy się tak: zgadzam się, jeśli rachunki będą co miesiąc trafiały do mnie.

Ze smutkiem pokręcił głową.

- Widzę, że moja poranna przemowa nie wywarła na tobie wrażenia.

Wyciągnęłam BlackBerry z pudełka.

- Prawda jest taka, iż tak bardzo się cieszę, że go mam, że przyjąłabym go nawet od Alicii Boxer, gdyby chciała mi taki dać.

- O rany! Wielkie dzięki.

- Nie bez powodu nazywają go CrackBerry. - Przytu-
liłam go z czułością do policzka. - Uaktywniłeś go już?

- Owszem. I jeśli to całe podziękowanie, na jakie mogę liczyć...

Doskoczyłam do niego w dwóch długich susach i za-
rzuciłam mu ręce na szyję.

- Kochany domyślny Julian. Tak bardzo, bardzo ci
dziękuję.

Pocałowałam go namiętnie i zorientowałam się, że
podniósł mnie za pośladki, a moje nogi zwisają przy jego
biodrach. Odsunęłam się lekko i uśmiechnęłam.

- Tak lepiej?

- Przypomnij mi - mruknął - żebym ci częściej przy-
nosił prezenty.

- Przypomnij mi, żebym ci na to nie pozwalała.

Wiedziałam, że to sen, koszmar, ale i tak nie mogłam się od niego uwolnić i oprzytomnieć. Wyrwałam się z całych sił ku górze, ku powierzchni, aż moje płuca eksplodowały krzykiem, który nie chciał się wydostać z ust. Ktoś mnie wołał. Z niepokojem, z oddali. I wtedy wyłoniłam się, spocona, w ramionach Juliana i usłyszałam jego głos mruczący mi do ucha:

- Kochanie, obudź się. Już dobrze, Kate.

Na ślepo wtuliłam się w jego pierś.

- Jesteś tu - powiedziałam, z trudem łapiąc powietrze. - Wciąż tu jesteś.

- Oczywiście, że jestem. Szsz! Oczywiście, że tu jestem.

Przytulił mnie i stopniowo panika minęła. Skupiłam się na tym, by zakotwiczyć się w rzeczywistości: pościel, słaba poświata nocnej lampki, chłodne powietrze, które wciągałam nosem, skóra Juliana dotykająca mojej skóry.

- Lepiej? - spytał po jakiejś minucie.

- Tak - odparłam.

Zaśmiał się cicho.

- I oto miałaś swój pierwszy koszmar. To wszystko jest takie straszne?

Parsknęłam, przytulona do jego piersi.

- Przerażające! Ostry przypadek przeciążenia endorfiną. Mogę nie przeżyć nocy.

- Bzdury - powiedział. - Moje endorfiny radośnie śpiewają mi w uszach i tak nie jęcę.

- Och, no nie wiem. - Wsunęłam rękę pod jego ramię i mocno go połaskotałam. - Zdecydowanie słyszałam, jak pojękujesz.

- Słuchaj, przestań. Przestań, mówię! Kate! - Zwinął się wpół i spróbował uciec ode mnie, nie spadając przy tym z łóżka.

Zaczęłam się śmiać.

- O mój Boże! Masz łaskotki. Wracaj tu!

- Nie mam... Kate, gadasz bzdury... Natychmiast przestań!

Wreszcie udało mu się złapać mnie za nadgarstki. Przewrócił mnie na plecy i przycisnął ręce nad głową.

- Kokietka - wymruczał, całując mnie. - Zapłacisz mi za to!

- Masz... mnóstwo wspaniałych... sekretów... prawda? - chichotałam, gdy mnie całował.

- Mmm...

Jego ciało zaczęło się zmieniać, stąpić z moim. Usta powędrowały w dół, wilgotne i rozpalone, po mojej szyi, ku piersiom. Przeciągając słowa, powiedział:

- Ale nie aż tyle co ty, kochanie.

Co tak naprawdę sprawia, że mężczyzna jest dobrym kochankiem? „Zrobię wszystko co w mojej mocy, ale jestem w tym raczej nowicjuszem”, wyznał wczoraj w nocy, męcząc się z haftkami mojego stanika, mimo to zachowywał się, jakby posiadał tajemną mapę mojego ciała: odkrywał ukryte wrażliwe punkty, o których istnieniu

nie miałam nawet pojęcia. Nie godził się na osłonięcie pościelą, przymknięte oczy, jakąkolwiek obronę. Czułam się jak przed upadkiem do tyłu w niesamowicie głęboką otchłań, ufna, że on mnie złapie. Najcudowniejsza, granicząca z bólem wrażliwość, jaką dało się znieść tylko dzięki pewności, że on również to czuje.

Później leżeliśmy spokojnie, ledwie będąc w stanie się poruszyć. Ja na boku, z nogą wsuniętą między jego nogi, studiując nasze splecione palce na jego piersi. Drugą ręką głaskał mi włosy. Jego zaróżowiona skóra zdawała się stapiać z moją warstwą po warstwie.

- Jesteś całkowicie pewny - usłyszałam swój głos - że przez dwanaście lat nie miałeś żadnych kochanek?

- Niech no chwilę pomyślę. - Teatralna przerwa, a potem: - Tak. Jestem pewien.

- Hmm.

- Kate! - Uniósł lekko głowę. - Nie wierzysz mi?

- Mówię tylko, że wygląda na to, że wiesz, jak to się robi. Wiesz, jak mnie zadowolić.

- Cóż, przecież chcę cię zadowolić. Chcę cię utrzymać w stanie doskonałej, oszałamiającej rozkoszy. W hormonalnym stuporze. Wszystko, byle tylko cię skusić, byś została z samotnym, niedoświadczonym gościem, który już nie potrafi bez ciebie żyć. - Pocałował mnie w czubek nosa.

- Ty głuptasie.

Czule okręciłam jego lok wokół palca. Przesunął dłoń po krzywiznie mojej talii, coraz szerzej się uśmiechając.

- A poza tym wygląda mi na to, że ponieważ moja przyjemność była właściwie z góry przesądzona, głównym przedmiotem tego ćwiczenia powinna być twoja.

- Hmm... Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

- Słyszałem, że to dość nieuchwytny stworek. Fascynująca zdobycz.

- Poczekaj chwilę. Polujesz na moje orgazmy?

Wybuchł śmiechem, który brzmiał jak salwa z karabinu.

- Kate, ty piekielna, cudowna istoto! - Przetoczył się na plecy, pociągając mnie za sobą. - Tak, kochanie. Dokładnie to chciałybym robić, wciąż i wciąż, aż do końca życia.

- Cóż, muszę przyznać, że miałeś niezły start.

Nic na to nie odparł, tylko wsunął mi włosy za ucho, uśmiechając się przy tym lekko.

- A więc mogłabyś mi o tym opowiedzieć? - spytał w końcu. - O twoim śnie?

Oparłam ramiona na jego piersi i położyłam na nich podbródek.

- Co jakiś czas je miewam. Ale to głupie, bo to ty jesteś przecież bohaterem wojennym i to ja powinnam cię uspokajać po koszmarach.

- O co się niepokoisz?

- Nie wiem. Zwykle miewam je przed jakimś ważnym spotkaniem czy wystąpieniem. - Dotknęłam jego dolnej wargi. - Miałam taki sen tej nocy, zanim się spotkaliśmy.

- Denerwowałaś się?

- O mój Boże! Czy się denerwowałam? Masz w ogóle pojęcie, jaki budzisz respekt?

- Naprawdę? Właściwie to myślałem, że dość miły ze mnie gość.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem i zsunęłam się z niego, by przytulić się do jego boku.

- Wiesz, Julianie, w swojej branży masz reputację twardego sukinsyna. Bez obrazy.

- Och. - Usłyszałam konsternację w jego głosie.

- I wciąż masz przeze mnie koszmary?

- Nie wiem, może... To przecież moja podświadomość.

- A więc udało mi się przekonać twoją świadomość, ale podświadomość nadal uważa, że jestem zimnym draniem?

Roześmiałam się.

- Poczekaj chwilę. To ja za dużo analizuję w tym związku, dobra? - Zacisnęłam oczy, usiłując przypomnieć sobie szczegóły. - Przed naszym spotkaniem próbowałam w śnie komuś coś wyjaśnić. Komuś, kto jest mi drogi. Może tobie? I ta osoba, ten mężczyzna powoli się ode mnie oddalał, nie rozumiejąc, a mnie paraliżowała panika.

- Co dokładnie wyjaśnić?

- Nie wiem. Coś ważnego. Coś, co ma kluczowe znaczenie. Decyduje o życiu albo śmierci. - Otworzyłam oczy i zobaczyłam twarz Juliana, skupioną i napiętą w skrywających ją cieniach. Spróbowałam odepchnąć od siebie przerażenie, które zakradło się do moich myśli, kiedy mówiłam. - Ale to było tak, jakbyśmy mówili dwoma językami i im bardziej próbowałam, tym bardziej on się ode mnie oddalał. Dziwne, prawda?

Oparł podbródek o moją głowę i zaczął głaskać mi włosy.

- Kate - powiedział ochryple. - Kate.

- Nie - odparłam z ustami przy jego szyi. - To tylko mój głupi, neurotyczny mózg. To nie ma nic wspólnego z tobą. Ufam ci.

Przez długi czas milczał, ciągle głaszcząc moje włosy. Długie regularne ruchy, aż do samych koniuszków. Pozwalał, by kosmyki wyślizgiwały się mu spod palców i opadały mi na plecy i ramiona. Przymknęłam powieki, rozkoszując się tym łagodnym, łaskoczącym doznaniem. W końcu poczułam nad głową ruch powietrza, gdy zaczął mówić.

- Nie odpłynę, Kate. Nie zawiodę cię. - Powiedział to dobitnie, jakby próbował przekonać samego siebie.

- Wiem o tym - odparłam bardziej po to, by pocieszyć jego niż siebie, i przeciągnęłam się cudownie przytulona do jego silnego ciała. - Jesteś dla siebie taki

surowy. - Ziewnęłam. Znów zaczęła ogarniać mnie senność, choć niepokój wcale mnie nie opuszczał.

- Naprawdę?

- O wiele za surowy. - Położyłam mu rękę na piersi i zamknęłam oczy. - Wiesz, jeśli chodzi o mnie, to wcale nie musisz być doskonały. Wystarczy mi, że jesteś sobą. Że jesteś... - zaczęłam odpływać, myśli się zamazały - ...jesteś mój.

Wydał z siebie jakiś dźwięk - nie byłam do końca pewna, czy stłumiony śmiech, czy jęk.

- Twój na zawsze, kochanie. Teraz już śpij. I bez żadnych koszmarów. Jesteś bezpieczna. Jestem przy tobie - usłyszałam jego słowa tuż przy moim uchu.

To była ostatnia rzecz, jaką usłyszałam, zanim odpłynęłam z nadzieją, że sen rozluźni złowróźbny węzeł w moim brzuchu.

Nie było go jednak, gdy się obudziłam. Na jego miejscu na poduszce leżał mój nowy BlackBerry, a w skrzynce odbiorczej czekała na mnie wiadomość:

Ukochana, muszę być szaleńcem, odrywając się w ten sposób od twojego boku. Wyśpij się i baw się dobrze. Zostawiłem ci rovera. Kup sobie jakąś kuszącą sukienkę i spotkaj się ze mną w Lyme Inn o ósmej wieczorem. XX.

Rozdział 16

(drogą mailową)

Ja: Kiedy zużywałam całą gorącą wodę pod prysznicem, wymyśliłam bardzo długą listę pytań do ciebie.

Julian: Naprawdę śliczny obraz.

Ja: Następnym razem możesz się do mnie przyłączyć. Pierwsze pytanie: Za czym najbardziej tęsknisz? To znaczy oprócz rodziny i przyjaciół?

Julian: Za polowaniem na lisy.

Ja: Poważnie?

Julian: Tak.

Ja: Ty morderco! Biedne lisy.

Julian: Lisy to wiejskie szkodniki. Wy, współczesne mieszcuchy, macie wyjątkowo idiotyczne romantyczne wyobrażenie na temat dzikich zwierząt.

Ja: Byłeś w tym dobry?

Julian: Tak.

Ja: Nauczysz mnie jeździć konno?

Julian: Jeśli będziesz bardzo grzeczną dziewczynką.

Ja: Mogę być bardzo grzeczna. Drugie pytanie: no-
siłeś getry?

Julian: Zdarzało się.

Ja: A tak w ogóle to co to są te getry?

Julian: Zobacz sobie w Wikipedii.

Ja: LOL zapłaciłabym, żeby cię w nich zobaczyć.

Julian: W jakiej walucie?

Ja: W twojej ulubionej.

Julian: Naprawdę kusząca oferta, kochanie.

Ja: Myślałam, że wy, ludzie z epoki edwardiańskiej,
mieliście zahamowania seksualne.

Julian: To mit.

Ja: Mmm. Ostatnie pytanie, a potem możesz wracać
do pracy. Co cię tak właściwie łączyło z tą całą Hamil-
ton? W książce to wcale nie jest tak jasno powiedziane.

Julian: Przestań czytać te bzdury. Kiedy wrócę, opo-
wiem ci wszystko, co tylko chcesz wiedzieć.

Ja: Pospiesz się. Usycham z tęsknoty.

Julian: Spieszę się. Zaufaj mi.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam na ekran BlackBerry, a później spojrzałam na biografię autorstwa profesora Hollandera leżącą obok mnie na sofie w bibliotece, z zakładką zrobioną z kartki papieru wyrwanej z notatnika w kuchni. Twarz Juliana, tak znajoma, mimo to tak

obca, patrzyła na mnie z ponurą obojętnością żołnierza ze zdjęcia portretowego. Znów ogarnęło mnie wrażenie, jakie to dziwne: wymieniam maile z kapitanem Julianem Ashfordem, poetą z czasów wojny, który stał się ikoną, z autorem *Zanim mnie pokochasz*. O polowaniu na lisy i o getrach. Julianem Ashfordem, moim kochankiem.

Na szczęście w książce pozostawał dość odległy, jak jakaś postać historyczna: żadnych szokujących rewelacji, wskazówek o wadach czy nadużyciach albo niejasno zdefiniowanym kompleksie Edypa. Jedynie - jak można było odnieść wrażenie - nieugięte pragnienie, by wyróżniać się we wszystkim, co robił, jakby nie mógł znieść niczego prócz doskonałości. W Eton zdobył każdą możliwą nagrodę, akademicką i sportową, i prowadził obóz szkoleniowy dla oficerów. W 1913 roku poszedł na Cambridge, gdzie studiował matematykę i rzucił się w wir prac redakcyjnych, kółek dyskusyjnych. W kolejnym roku zaś, gdy wybuchła wojna, całą tę energię skupił na uzyskaniu patentu oficerskiego w Królewskich Fizylierach Walijskich. Kilka miesięcy później wyruszył na front.

Z czego to wynikało? Z nacisku rodziców czy wewnętrznego przymusu? Przypuszczałam, że i z jednego, i z drugiego. Jednak o niesamowitych naturalnych uzdolnieniach wychowany w taki sposób, by zajął miejsce w panteonie... Bez wątpienia przez całe życie musiał

czuć ciężar ogromnych oczekiwań, jakie w nim pokładano. I trzeba przyznać, że przyjął go na siebie. Dźwigał z godnością i pewną spokojną pokorą.

Wszystko to całkiem nieźle się czytało. Była to wnikliwa i chwilami nawet ujmująca lektura. Bardziej irytujące było regularne pojawianie się nazwiska Florence Hamilton. Flory, jak ze spontaniczną zażyłością nazywał ją Julian. Próbowałam przeskakiwać te strony, ale nie dało się opuścić ich wszystkich. Pewne słowa i ustępy przyciągały mój wzrok. Jak na stronie 302:

Choć pamiętnik Hamilton zagadkowo i wyjątkowo milczy na ten temat, oczywiste jest, iż ich związek podczas ostatniej przepustki osiągnął jakiś punkt przełomowy. W jej kolejnym liście do Ashforda, wysłanym 12 lutego, aż roi się od aluzji do tego wydarzenia, czymkolwiek ono było: „Nie byłam w stanie sobie nawet wyobrazić, iż może istnieć taka radość dzielona przez dwie żywe istoty” - pisze entuzjastycznie - „i mogę mieć jedynie nadzieję, że czułeś to samo co ja. Twe słowa jak zwykle były tak powściągliwe; jakże cię zmieniła ta straszna wojna!”. Niestety, jego odpowiedź nie przetrwała.

Potrafiłam jednak sobie wyobrazić, co w niej było. Sam to przyznał: „Tak. Jedną. Podczas wojny”. No jasne, punkt przełomowy.

Wtedy przerzuciłam strony aż do fotografii. To było zabawniejsze. Julian aniołek, łobuzerski blondynek na jakichś wakacjach w Szwajcarii z rodzicami, pełniący obowiązki sierżanta sztabowego w Eton i w cylindrze w Ascot, z samym cholernym Winstonem Churchillem. Na kolejnym zdjęciu z podpisem: „Czerwiec 1913: W Henley z Hamilton i jej bratem Arthurem po zwycięskim wyścigu ósemek nad osadą z Oksfordu”. Był niemożliwie chłopięcy i przystojny i rozmawiał, śmiejąc się, z jakąś niezwykle ładną, młodą kobietą w bieli. Była elegancka i filigranowa, ledwie sięgała mu do ramienia. Wyglądała jak idealna porcelanowa lalczka. Położyła dłoń na jego ramieniu; on z uwagą pochylał ku niej głowę. Po drugiej stronie Juliana stał jakiś mężczyzna, obserwując ich oboje z rozbawieniem na twarzy. Brat Florence. Wyglądało na to, że aprobował ich związek.

To właśnie wtedy zatrzasnęłam książkę i zaczęłam wysyłać maile do Juliana.

„Ukochana”. Gdy zamykałam oczy, wciąż widziałam to słowo na wyświetlaczu i wiedziałam, że nie żartował. W tej chwili całkowicie należał do mnie. Florence Hamilton umarła dawno temu. Dlaczego więc nie mogłam na nich patrzeć, gdy stali razem na tej starej fotografii w świecie w kolorze sepii, który dawno znikł? Bo należała do jego czasów? Do jego klasy? Bo była tematem jego słynnego wiersza? Kobieta, którą powinien był poślubić, gdyby jakimś cudem przetrwał wojnę?

Znów spoglądałam na książkę, a potem na zegarek. Południe. Mnóstwo czasu. Sięgnęłam po torebkę i klucze do rangę rovera i wyszłam z domu.

Droga samochodem do Newport zajęła mi niecałą godzinę. Jechałam przez porośnięte trzcina zielone wybrzeże Connecticut, a potem w górę, wzdłuż wybrzeża Rhode Island, tam, gdzie cieśnina Long Island otwierała się na szeroki Atlantyk. Dzień był piękny. Południowe słońce połyskiwało promiennie na rozedrganej wodzie, a nieskazitelnie błękitne niebo stanowiło wspaniałą kontrast dla białych żagli wypływających z przystani. Zorientowałam się, że pragnę, by Julian był tutaj ze mną, byśmy wyjechali na jakiś romantyczny weekend i zano-cowali w jednym ze starych hoteli w mieście.

Nastroj poprawiał mi się w miarę, jak podążając za instrukcjami GPS, lawirowałam wąskimi uliczkami, czując coś w rodzaju euforii wobec perspektywy zrobienia czegoś bardziej produktywnego niż zakupy czy siedzenie przez cały dzień w bibliotece Juliana. Fala radosnego podniecenia poniosła mnie główną ulicą handlową miasta. Z łatwością znalazłam miejsce do parkowania - był dopiero czwartek, a Newport było czymś w rodzaju miejsca na weekendowe wypadki - i przeszłam jakiegoś pół przecznicy do księgarni. „THE PEARL FISHER” - widniało na owalnym drewnianym szyldzie. Rzeźbione

litery były stylizowane na antyczne. Poniżej jeszcze zobaczyłam napis „KUPNO I SPRZEDAŻ KSIĄŻEK”. Tablica drżała niepewnie w słonej bryzie wiejącej od wody i skrzypiała jak stary okręt. Przystanąłam, by wyjąć z torebki książkę, i usłyszałam sygnał telefonu.

- Cześć - powiedziałam. - Za nic nie zgadniesz, gdzie jestem.

Chwila milczenia.

- No, powiedz.

- W Newport. Jak tu ładnie. Miałeś rację. Powinniśmy się tu wybrać na jakiś weekend.

- Jesteś w Newport? A to czemu, u diabła?

- No wiesz, ta księgarnia, która przysłała mi biografię. Pomyślałam, że na coś się przydam. Właśnie przed nią stoję. Kupić ci coś?

- Dobry Boże. Księgarnia? Chyba żartujesz. Sama?

- Tak, sama. O co ci chodzi? Jestem dużą dziewczynką.

- Co za cholerne lekkomyślne szaleństwo! Dlaczego nie zaczekałaś na mnie? Co będzie, jeśli ten gość jest tam stałym klientem? Będzie cię śledził.

- Och, proszę.

- Myślisz, że żartuję? Nie mogłaś mi chociaż najpierw powiedzieć?

- Co? Mam cię prosić o pozwolenie?

- Nie traktujesz tego poważnie, prawda? Próbuję cię chronić, Kate. Myślałem, że wyraziłem się dość jasno...

- Jesteś na mnie wściekły? - spytałam z oburzeniem.
- Sam mnie zachęcałeś, żebym wyszła z domu. Nie pamiętasz?

- Nie do cholernego Newport, Kate!

- Czyli zakupy i malowanie paznokci są w porządku, ale jak próbuję zrobić coś pożytecznego, to jest to złe i niebezpieczne? Nie wolno mi przekraczać granic stanu czy co? A może chodzi o to, że wzięłam twój samochód i...

- Nie chodzi o cholerny samochód. Dobry Boże, samochód jest twój. Bardziej się obawiam o twoje życie.

- Moje życie?! Odbiło ci? Nikt mi nie zrobi krzywdy w jakiejś księgarni w Newport na Rhode Island.

Zamilkł na dłuższą chwilę.

- Posłuchaj - powiedział w końcu, a jego głos był napięty jak struna. - W tej chwili mam tu dużo roboty. Szkoda, że mi nie powiedziałaś, to wszystko. Możesz dać mi znać, kiedy już skończysz?

- Wyślę ci maila - odparłam. - Nie chcę ci przeszkadzać.

- Teraz ty jesteś zła.

- Oczywiście, że jestem zła. Posuwasz się w tym za daleko.

- Nie sądzę. Więc daj mi znać, że wszystko w porządku, dobrze?

- Dobrze. - Zagryzłam wargę. - Do widzenia.

- Do widzenia, kochanie. Kocham...

Pewnie chciał powiedzieć „kocham cię”, ale się rozłączyłam, zbyt poirytowana, żeby tego w tej chwili słuchać. O co mu chodziło? Potrafiłam zrozumieć jego niechęć do mojej wizyty na Manhattanie. Ale tyle szumu z powodu krótkiego wypadu do Newport? Do księgarni? Czy on sądzi, że potrzebuję jakiejś cholernej przyzwoitki?

Energicznie pchnęłam drzwi księgarni i przybrałam neutralny wesoły wyraz twarzy. W środku było pusto, stały jedynie rzędy i stosy książek. Sprzedawca za wysoką drewnianą ladą czytał właśnie *Chłopca z latawcem*. Podniósł wzrok na dźwięk dzwonka przy wejściu. Młody facet, pomyślałam. Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Hiszpańska bródka. Czy to taka ironia, czy na poważnie?

- Dzień dobry - spróbowałam skupić się na bieżącym zadaniu. Bądź wesoła. Zachowuj się tak, żeby chciał ci pomóc. - Mmm... Kilka dni temu dostałam tę książkę w prezencie. To biografia. - Skwapliwie ją pokazałam. - Została wysłana z tej księgarni, ale nie dostałam żadnej karteczki ani nic w tym stylu i zastanawiałam się, czy mógłby mi pan powiedzieć, kto mi ją wysłał.

Zmarszczył brwi.

- Ktoś wysłał ją stąd? - spytał, jakby sama myśl o rzeczywistym kliencie, który faktycznie płaci, nie mieściła mu się w głowie.

- T a k było napisane na naklejce zwrotnej. Książkę wysłano do Katherine Wilson, Siedemdziesiąta

Dziewiąta w Nowym Jorku. Może ma pan to w komputerze?

- Mogę zobaczyć książkę?

Podaliśmy mu ją.

- Używana, prawda? - Przerzucił kilka stron. - Nie poznaję jej. Chyba mogę to sprawdzić.

Usiadł i odwrócił się do komputera. Wstukał kilka słów.

- Och, to było zamówienie telefoniczne - oznajmił, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Zamówienie telefoniczne. Może mi pan podać nazwisko?

- Nie ma nazwiska. Zapłacono kartą kredytową, ale nie przechowujemy tego typu danych. Względny bezpieczeństwa.

- Naprawdę nie ma pan żadnych informacji o nadawcy?

- Tak. Choć trochę to dziwne. - Zerknął na monitor. - Tylko numer telefonu. Musiała zapomnieć wprowadzić resztę. Gina bywa roztargniona. - Przewrócił oczami, żeby dać mi do zrozumienia, że jemu samemu nigdy się coś takiego nie zdarza.

- Mogę w takim razie poprosić o ten numer?

- Przykro mi. Nie wolno mi ujawniać danych osobowych. - Znów spojrzął na mnie i uśmiechnął się przepaszająco.

Zamilkłam na krótką chwilę.

- Naprawdę? Och, to takie rozczarowujące. Naprawdę chciałam mieć możliwość móc mu podziękować.

- Pochyliłam się nad ladą, pozwalając, by moje piersi oparły się o drewnianą powierzchnię, i uśmiechnęłam się do niego ujmująco. - Naprawdę nie mogę nawet zerknąć? Tylko żeby zobaczyć, czy poznaję numer?

- No cóż... - powiedział powoli, patrząc w rowek między moimi piersiami. - Chyba nic się takiego nie stanie. Proszę go tylko nie zapisywać.

- O mój Boże. Oczywiście, że nie. Chcę tylko sprawdzić, czy to ktoś, kogo znam.

Mocniej ścisnęłam torebkę pod ladą, myśląc o BlackBerry w środku, tak jakby Julian potrafił się z niego w jakiś sposób wyprojektować i być świadkiem tej sceny. Sprzedawca odwrócił monitor w moją stronę i pokazał ręką:

- O, tutaj.

9175553232 - zapisałam to sobie w pamięci.

- Bardzo dziękuję - powiedziałam.

Myśli pędziły mi już po głowie jak opętane. 917 to był prefiks telefonów komórkowych z Manhattanu.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę.

Wyprostowałam się i wyciągnęłam rękę.

- Mmm... Moja książka...

- Ach, tak. - Pchnął ją w moją stronę. - Przepraszam.

Chwyciłam książkę, ale jej nie puścił.

- Mogę coś jeszcze dla pani zrobić? - spytał, pocierając dłonią swoją bródkę.

- Och, nie, dziękuję. Już mi pan pomógł. - Zaczęłam się odwracać.

- Zostaje pani na jakiś czas w mieście? Może moglibyśmy napić się kawy albo coś takiego?

- Przykro mi - powiedziałam, chłodząc mój uśmiech - ale jestem tu z moim chłopakiem.

- Może następnym razem.

- Tak, może. Jeszcze raz dziękuję.

Szybko wyszłam ze sklepu, pozwalając, by drzwi zamknęły się za mną z dzikim dzwonieniem, i ruszyłam ulicą. Gdy znalazłam się za rogiem, wyjęłam telefon i wybrałam numer.

Natychmiast włączyła się poczta głosowa. Standardowe powitanie, neutralny, mechaniczny kobiecy głos:

- Wybrany przez Ciebie numer 9- 1-7-5-5-5-3-2-3-2 jest w tej chwili niedostępny. Po usłyszeniu sygnału zostaw wiadomość bądź czekaj po sygnale na wybór innych opcji.

Otworzyłam usta, żeby zostawić jakąś prowokacyjną informację, ale zamiast tego rozłączyłam się w ostatniej chwili. Może będzie lepiej, jeśli ten facet nie dowie się, że wpadłam na jego trop.

Gdy wróciłam do rangę rovera, siedziałam przez chwilę w gorącym, dusznym powietrzu, zagryzając wargę, a potem zaczęłam pisać wiadomość do Juliana.

Już stamtąd wyszłam. Tb telefon komórkowy z Manhattanu. Nazwiska nie mieli. Może poznasz numer? 917-555-32-32. Przepraszam, że byłam nieprzyjemna. Jestem trochę drażliwa na punkcie mojej niezależności. Nowoczesne kobiety tak mają. Będziesz się musiał do tego przyzwyczaić.

Moje palce zawisły nad klawiaturą.

/ wciąż możesz mnie przytulać, kiedy śnią mi się koszmary. Do zobaczenia wieczorem.

Wyszło trochę tandetnie, ale to akurat Julianowi nie będzie przeszkadzać.

Uruchomiłam silnik. Wysiadając, nie wyłączyłam radia i teraz mnie przestraszyło, gdy na cały głos rozbrzmiało jakimś barokowym koncertem na waltornie. W reakcji zaburczało mi w żołądku. Bądź co bądź zbliżała się już pora lunchu. Może przed opuszczeniem miasta powinnam się rozejrzeć za jakąś kawiarnią? Nie chciałam jednak wpaść na tego sprzedawcę, a miałam sporą skłonność do tego typu zbiegów okoliczności.

Zabrzczał mój BlackBerry. Julian musiał czekać na moją wiadomość. Ale to nie był Julian. Dostałam maila od Charliego. Wiadomość była zdumiewająco krótka:

Masz już numer telefonu? C.

Przesłałam mu natychmiast mój nowy numer i chwilę później zadzwonił.

- Stara, gdzie jesteś? - spytał.

- Mmm... W Connecticut - odparłam wymijająco.

- Ale gdzie w Connecticut? Z Laurence'em, tak?

- Mmm... tak - przyznałam. - Ale nie mów nikomu, dobra?

- Taaa... Tylko nie wiem, jak długo uda ci się utrzymać to w tajemnicy. Słyszałaś już?

- O czym?

- Southfield wniosło skargę na Sterling Bates do Komisji Papierów Wartościowych.

- Co takiego?! - Niemal upuściłam telefon na kierownicę.

- A tak! W sieci aż się od tego trzęsie. Słyszałem, że padły nazwiska.

- O mój Boże! Obiecał mi!

- Co obiecał?

- Że nie wytoczy prawniczych dział.

- Cóż, chyba na poważnie szuka zemsty, bo słyszałem, że jest źle.

- Możesz mi przesłać szczegóły?

- Spróbuję, stara.

- Muszę lecieć. Dzięki, przyjacielu.

Rzuciłam telefon na deskę rozdzielczą, ale w tej chwili znów zabrzączał.

Nie znam tego numeru. Postaram się w przyszłości zapanować nad despotycznymi skłonnościami. Zawsze jestem gotów cię przytulić, jeśli przyśni ci się koszmar.
XX

Wrzuciłam bieg, położyłam BlackBerry na siedzeniu dla pasażera i wyjechałam z miejsca parkingowego z piśkiem wspaniałych opon rangę rovera.

Julian zadzwonił do mnie o szóstej, w drodze.

- Mam ci dużo do opowiedzenia, kochanie - oświadczył ponuro - i nie mogłem swobodnie mówić przed wyjściem z pracy.

- Nie prowadzisz w tej chwili, prawda?

- Owszem, jestem przy jedenastym zjeździe. Okropny ruch.

- Najpierw zjedź na pobocze. Wiesz, jakie to niebezpieczne prowadzić i rozmawiać przez telefon. To gorsze niż jazda po pijanemu.

- Mam słuchawkę - zaprotestował. - Obie ręce na kierownicy.

- To wcale nie pomaga. Zadzwoni do mnie za chwilę.

- Rozłączyłam się.

Kilka minut później telefon znów zadzwonił.

- Jesteś strasznie apodyktyczna. Wiesz?

- Gdzie jesteś?

- Zjazd przed zjazdem numer trzynaście.
- Ile kosztuje galon paliwa?
- Trzy dolary i dziewięćdziesiąt sześć centów. Obra-
żasz mnie.

- Julian - powiedziała. - Czy ty w ogóle masz jakie-
kolwiek pojęcie, jak bym się czuła, gdyby coś ci się stało?
Zawahał się.

- W porządku. Jasno stawiasz sprawę. Nie będę już
rozmawiał przez komórkę podczas jazdy.

- Dzięki. A teraz wyjaśnij mi, co ty wyprawiasz.

- Zakładam, że już słyszałaś.

- Mogłeś mi przynajmniej powiedzieć.

- Nie chodzi o ciebie - odparł. - Geoff trochę poszpe-
rał przez noc i odkrył potężny problem. Ta cała twoja
Boxer mogła zniszczyć moją firmę. - Usłyszałam głuchy
dźwięk, jakby walnął pięścią w kierownicę. - Miałaś ra-
cję. Daniel miał rację. To był jeden z moich maklerów.

Jego wściekłość była tak namacalna, że moja wyraź-
nie osłabła.

- Cóż, przykro mi to słyszeć - odparłam opryskliwie.
- Ale nie mogłeś mi chociaż powiedzieć? Dowiedziałam
się od Charliego!

- Od południa rozmawiałem z Geoffem i Danielem
za zamkniętymi drzwiami... I niech ci nie będzie przy-
kro, na litość boską! Sam sobie na to zasłużyłem przez
moje aroganckie myślenie, że coś takiego nie może się
stać w mojej firmie.

- Charlie mówił, że podałeś nazwiska - odparłam.
- Moje, jak zakładam.

- Nie - odparł. - Ten makler przyznał, że wiedział, że to nie ty. Wymieniliśmy więc tylko Alicie.

- Ale moje nazwisko też wypłynię.

Chwila milczenia.

- Może...

- Nie mogę w to uwierzyć!

- Mogłabyś spróbować spojrzeć na to z mojego punktu widzenia. Musieliśmy działać. To skomplikowane, ale szkody, które ona wyrządziła...

- Dobra. W porządku. Rozumiem. Tylko następnym razem daj mi znać, dobrze? To wybitnie irytujące dowiadywać się o twoich wyczynach od osób trzecich.

- Przepraszam. Piekielnie trudno mi było wydostać się dziś z miasta. Jutro będę musiał tam wrócić.

- W takim razie może powinieneś po prostu zostać?

- Te słowa wyrwały mi się, zanim zdolałam się powstrzymać, i zawisły brutalnie w ciszy, jaka zapadła.

Nie odpowiedział od razu. Usłyszałam przy uchu szmer jego oddechu, raz, potem drugi. Gdy w końcu się odezwał, jego głos był tak cichy, że ledwie do mnie docierał.

- Mam nadzieję, że nie mówisz tego poważnie.

Przez chwilę pomyślałam o perspektywie spędzenia nocy samotnie w jego łóżku.

- Nie chodzi o to, że tego chcę - przyznałam. - Ale to dla ciebie oznacza mnóstwo jeżdżenia w tę i z powrotem.

- To nic w porównaniu z drugą możliwością.
 - Nie mogłabym po prostu pojechać z tobą do miasta?
 - Nie. Słuchaj, możemy tę rozmowę dokończyć później? Strasznie chcę cię już zobaczyć. A skoro nie pozwalasz mi prowadzić...
 - Przepraszam. W porządku. - Przerwałam. - Dalej chcesz się ze mną spotkać w tym zajeździe na kolację?
 - Byłbym zrozpaczony, gdybyś nie przysłała.
- Rozłączył się.

Rozdział 17

Dwie godziny później wjechałam na parking przy Lyme Inn i ku mojemu zaskoczeniu odkryłam, że jest pusty. Nie było zielonego maserati. Właściwie to w ogóle nie było żadnych samochodów.

Wysiadłam z rangę rovera, czując się bardzo nie na miejscu w czarnej szyfonowej sukni, którą wybrałam tego popołudnia w sklepie Saksa. Włosy opadały mi swobodnie na ramiona - kolejne dziwne doznanie, bo zwykle upinałam je z tyłu.

Weszłam do środka. Znalazłam się w dość ciemnym, rozjaśnionym jedynie przez świece wnętrzu. Przypominało trochę króliczy labirynt z korytarzami i pomieszczeniami odchodzącymi od głównego holu oraz leniwą wonią palonego drewna unoszącą się w powietrzu. Kierownik hotelu był w recepcji.

- Dzień dobry - powiedziałam cicho. - Mam się spotkać z panem Laurence'em. Czy już przyjechał?

- Dobry wieczór, pani Wilson. Jeszcze nie, ale czy zechciałaby pani pójść ze mną?

Ruszyłam za nim korytarzem, a potem w lewo, rozglądając się dookoła. Nie zauważyłam żadnych zajętych stolików. Kierownik hotelu poprowadził mnie w lewo, do niewielkiego, wyłożonego boazerią pokoju, gdzie płomień tańczyły na kominku. Stał tam jeden stół.

- Zechciałaby pani usiąść? - zaproponował.

Posłusznie opadłam na krzesło, które mi podsunął, zbyt zakłopotana, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Kieliszek szampana? - zapytał.

- Chętnie, proszę - odparłam, a on szybko wyszedł.

Wrócił, jeszcze zanim udało mi się zebrać myśli, z dwoma kieliszkami na tacy, w których delikatnie musowały bąbelki. Julian przyjechał jakieś dziesięć minut później i podszedł do mnie tak cicho, że zorientowałam się zaledwie na chwilę przed tym, jak jego ciepłe dłonie dotknęły moich ramion. Pochylił się, by pocałować mnie w szyję.

- Przypuszczam, że jesteś na mnie strasznie wściekła - powiedział.

Roześmiałam się cicho.

- Nie, nie strasznie. Już nie.

Położyłam rękę na jego dłoni i odwróciłam się, by na niego spojrzeć.

- Jesteś odstawiony! - stwierdziłam oskarżycielskim tonem, patrząc na jego smoking, czysty biały kołnierzyk i świeżo ogoloną twarz.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Poświęciłem chwilę, żeby doprowadzić się do porządku. Przepraszam za spóźnienie, kochanie. Miałem mnóstwo spraw do załatwienia. - Uniósł swoją dłoń i ogień ją ucałował. - Mój Boże, spójrz tylko na siebie! Wyglądasz zachwycająco! Ani trochę nie żartowałem, kochanie. Przez cały ten okropny dzień strasznie za tobą tęskniłem.

- Dobry początek, Ashford.

Westchnął i ramiona mu opadły.

- Porozmawiamy najpierw?

Już otworzyłam usta, żeby uprzejmie odmówić, ale zdałam sobie sprawę, że to byłby błąd.

- Chyba powinniśmy.

Sięgnął po krzesło i przysunął je do mojego.

- Kochanie - powiedziała, siadając. - Dziś rano, kiedy dzwoniłaś do mnie z Newport, zachowałem się jak dupek. Przepraszam.

- Julianie, nie jestem twoim pierwszym dzieckiem, tylko dorosłą kobietą.

Roześmiał się ze smutkiem.

- Przyzwyczaiłeś się, że wszystko jest po twojemu i że mówisz ludziom, co mają zrobić... Ze mną nie możesz tak postępować. Nie pozwolę ci przekroczyć granicy między opiekuńczością a kontrolą. I nie możesz podejmować decyzji, które mają wpływ na moje życie, takich jak złożenie tej skargi, wcześniej mi o tym nie mówiąc.

- Bądźmy szczerzy. Ta wizyta w księgarni nie była całkiem niewinna.

- Szczerze mówiąc, to nawet nie pomyślałam, że wiąże się z jakimś ryzykiem.

Pojawił się kelner z miseczkami pachnącej zupy. Gdy wyszedł, Julian wstał i poprawił swoje krzesło, po czym uniósł kieliszek z szampanem i stuknął się ze mną.

- Czyli już dobrze?

- Ostatnią rzeczą, jakiej bym pragnęła, byłoby marnowanie czasu na wściekanie się na ciebie. Przyznajmy po prostu, że pochodzimy z różnych światów, i spróbujmy to szanować, dobrze?

Uśmiechnąłem się.

- Chyba sobie z tym poradzę.

Skosztowałam zupy. Krabowa - mój język wysłał sygnał do mózgu, lecz informacja ta nieszkodliwie odbiła się rykoszetem. Zamieszałam ją łyżką, tak że pośrodku pojawił się maleńki wir.

- Nie jestem jak dziewczyny z twoich czasów...

- O mój Boże! Znowu mówimy o Florze Hamilton?

- Julianie, nie musisz tego umniejszać ze względu na mnie. - Odchrząknęłam, by przybrać obiektywny ton.
- Czytałam o twojej ostatniej przepustce i zdałam sobie sprawę...

Odłożył łyżkę i odezwał się zdecydowanym tonem:

- Wyjaśnijmy sobie tę drobną sprawę od razu, bo jak widać, strasznie cię dręczy.

- Nie musisz. Była twoją pierwszą miłością, rozumiem to. Po prostu trochę trudno się z nią równać, to wszystko. - Wir w zupie się pogłębił, wciągając kawałeczki kraba i szczypiorku.

- Kate, posłuchaj. Nigdy tak naprawdę nie kochałem Flory. Nasze matki były przyjaciółkami. Zналиśmy się przez całe dzieciństwo, ona, jej brat i ja. Byliśmy z sobą dość blisko. Oboje świetnie zdawaliśmy sobie sprawę, iż nasze rodziny liczą na to, że pewnego dnia się pobierzemy, i żartowaliśmy sobie z tego. Wydaje mi się jednak, że więcej czasu spędzałem z Arthurem niż z nią. Chodziliśmy razem do szkoły, był moim przyjacielem.

Podniosłam wzrok.

- Och, daj spokój. To było coś więcej. Widziałam to wasze zdjęcie z Henley. Położyła dłoń na twoim ramieniu, a ty pożerałeś ją wzrokiem.

- Mówiłaś chyba, że cię to nie obchodzi...

- Nie mówiłam, że mnie nie obchodzi. Mówiłam tylko, że nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień.

- Cóż, i tak ci powiem. Flora była bardzo ładna i uwodzicielska. Przyznaję, że w pewnym momencie mojego życia, kiedy byłem młody, nawet mi się podobała. Zadurzenie, chyba tak się teraz na to mówi. Korespondowaliśmy z sobą, kiedy byłem na studiach. Lubiła o sobie myśleć, że jest kimś szczególnym, że nie przypomina innych dziewczyn. Angażowała się to w jedną sprawę, to w drugą. Przez miesiąc była sufrażystką, a potem

socjalistką. W pewnym momencie miała wielkie plany, by dostać się do Cambridge, ale doszła do wniosku, że przygotowania z greki i łaciny to dla niej zbyt wiele.

- Z greki? Trzeba było znać grekę? Żeby pójść do college'u?

Niecierpliwie machnął ręką.

- Tak czy inaczej, w pierwszym roku wojny stała się żarliwą patriotką. Machała flagą, gdy wyjeżdżałem na front, została sanitariuszką i tak dalej, a potem zmieniła się w żarliwą pacyfistkę. Zaczęliśmy się kłócić w listach, a gdy przyjechałem do domu na ostatnią przepustkę, nalegała, żeby się ze mną spotkać, bym zatrzymał się u jej rodziny, w ich domu w Hampshire. - Upił szampana, następnie odstawił kieliszek tuż przy czubku swojego noża, okręcając odrobinę podstawkę. Bąbelki uniosły się długimi delikatnymi liniami, hipnotycznie falując. Obserwował je przez jakiś czas, nim podjął wątek. - Spędziliśmy całą noc na rozmowie i dyskusjach, aż byłem ledwie żywy z wyczerpania i irytacji. Powiedziałem coś w złości, nie pamiętam co, a ona rzuciła się na mnie, błagając o przebaczenie i tak dalej, no i zorientowałem się, że ją całuję. Oczywiście natychmiast nad tym zapanowałem, ale ona wciąż mówiła i mówiła o jej rzekomej miłości do mnie. Być może powinienem okazać więcej empatii i w jednoznaczny sposób ją odrzucić...
- Umilkł. Podniósł wzrok i nasze spojrzenia się spotkały.
- Wyjechałem nazajutrz zdecydowany, by nigdy więcej

już się z nią nie spotkać, i byłem zdumiony, gdy dwa dni później, już na kwaterze dostałem od niej list. Miała niezwykłą zdolność interpretowania wydarzeń w taki sposób, jaki jej najbardziej odpowiadał. Odpisałem jej w stanowczym tonie, informując ją jak na dżentelmena przystało, iż sprawy bynajmniej nie wyglądały tak, jak je zapamiętała. Przez jakiś czas nie odpisywała, a potem...

- To było mniej więcej wtedy, gdy udałeś się na ostatni patrol, prawda?

- Tak - odparł. - I później byłem zdumiony, widząc, co udało jej się sfabrykować z tego raczej słabego materiału. Jej wspomnienia z czasów wojny to była szokująca mistyfikacja. Mam nadzieję, że nie zamierzasz ich czytać. Oczywiście przyniosły jej sławę i nie wydaje mi się, by jakoś szczególnie mnie krzywdziły. Poza tym, no wiesz, straciła brata w niecały rok po mojej domniemanej śmierci. Podobno rozerwał go na strzępy niemiecki pocisk artyleryjski. To był dla niej straszliwy cios. Byli z sobą dość blisko. Byłbym skończonym gburem, gdybym żywił do niej urazę.

- Nigdy jej nie kochałeś?

- Kochanie, nim wyjechałem na front, Flora Hamilton reprezentowała już sobą wszystko, czego najbardziej nie lubiłem w moim świecie. A porównywać... porównywać przelotne uczucia, jakie wobec niej żywiłem, z tymi, które żywię do ciebie...

- Ale napisałeś dla niej wiersz.

- Ach, tak. Wiersz.

- Twoją wieczną sławę zawdzięczasz... sonetowi miłośnemu do innej kobiety - powiedziałam, chowając twarz za łyżką zupy.

- Ogólnie przyjmuje się, że miałem na myśli Anglię. Miłość do króla i ojczyzny jako wybawienie od zła wojny.

- „A jej piękno/ lśniące w deszczu jak srebrzysty blask płotek/ latem w zacienionym stawie; a może jak księżyc/ z jego blaskiem zza postrzępionych chmur...”

- zacytowałam, patrząc w talerz. - Wybacz, ale żaden mężczyzna nie jest aż takim patriotą.

- Nauczyłaś się go na pamięć?

- Mówiłam ci, w szkole średniej pisałam o nim esej.

- Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się trochę smutno. - Musiałam cię porównywać z Wilfredem Owenem.

- I jak wypadłem?

- Chyba postawiłam na Owena - przyznałam. - Uznałam, że *Zanim mnie pokochasz* to dość sentymentalny utwór, zwłaszcza w porównaniu z dość surowym stylem Owena. Ale pisałeś w pierwszym okresie wojny, przed bitwą nad Sommą, a on pod jej koniec. Widzisz, o to właśnie chodziło w tym eseju... - Urwałam na chwilę. - Ale twój wiersz bardziej mi się podobał. Wydawało mi się, że było w nim więcej nadziei, więcej wybawienia, zwłaszcza ten kawałek pod koniec o pokonaniu wieczności. Biedny Owen jest po prostu przygnębiający. Nie ma u niego żadnych kompromisów, niczego, co łagodziłoby cios. Żadnej nadziei.

- Cóż - odparł Julian w zamyśleniu. - Sama wojna była straszna i ponura. Albo widziało się w niej jakiś wyższy cel, albo nie.

- A ty go widziałeś?

Zastanowił się.

- Chyba tak. Po części dlatego, że wykonywałem mój obowiązek nie tylko wobec kraju, ale też wobec ludzi, którymi dowodziłem. A trochę też dlatego, że bądź co bądź byłem młody i głupi, tuż po studiach i wydawało mi się, że tak wspaniale prezentuję się w moim mundurze. Odpowiadało to dość barbarzyńskim skłonnościom mojego charakteru. Odejście od dość sztywnych zasad cywilizacji, od całej tej małostkowości i hipokryzji w miejsce, gdzie człowiek czasami nie mył się przez tydzień, nie spał całymi nocami, chodził na patrole, naprawiał zasieki... tego typu rzeczy.

- Nie bałeś się? Nie przerażało cię to?

- Cóż, tak. Oczywiście. Zwłaszcza ostrzał artyleryjski. To naprawdę szarpało nerwy. Cholerny bezustanny hałas. I ci wredni snajperzy, strzelający o każdej możliwej porze. Ale widzisz, byłem jednym z tych szczęśliwców, którzy w sumie byli w stanie to znieść.

- Nie wiem, czy to kupuję. Nie mieści mi się w głowie, że nie miało to na ciebie żadnego wpływu.

Przesunął palcem wzdłuż szyjki kieliszka.

- Słuchaj, nie twierdzę, że to nie miało na mnie wpływu. Ale nie rozpamiętuję tego. Nie wiem dlaczego. Może

dlatego że nigdy nie brałem udziału w jakiejś poważnej akcji, tylko w drobnych wypadach i patrolach. A może dlatego, że przez całe życie tropiłem jelenie i polowałem na ptactwo. Nie miałem żadnych złudzeń co do tego, co się dzieje, gdy człowiek strzela i trafia. A może to, co przyszło później, po prostu to przyćmiło. Naprawdę, Kate... Co mam ci powiedzieć? Że mam zranioną duszę, a ty mnie musisz uzdrowić? - rzucił to takim lekkim tonem, jakby się ze mną droczył, ale w jego głosie wychwyciłam słabą nutkę ostrzeżenia.

Pochyliłam się w jego stronę.

- A więc skoro nie musiałeś się od tego wszystkiego uwalniać, to po co pisałeś poezję?

- Kate, wtedy wszyscy pisali wiersze. Moje formalne wykształcenie, jak rozumiesz, w znacznej mierze polegało na zapamiętywaniu całej masy wierszy, eposów i tak dalej. Mógłbym ci tutaj wyrecytować każde cholerne słowo, jakie kiedykolwiek napisał Milton. Wergiliusza po łacinie. *Henryka V*, w całości. „Raz jeszcze w wyłom, kochani, raz jeszcze...” i tak dalej. A więc w sumie można powiedzieć, iż było to nieuniknione. Znalazłszy się w centrum wielkiej wojny o historycznym znaczeniu i musząc się jakoś uporać z długimi okresami niekończącej się nudy, czuliśmy potrzebę, by zapełniać nasze notatniki wszelkiego rodzaju naśladowczymi bzdurami. - Przerwał, żeby dopić szampana. Zrobił to szybko, w nietypowy dla siebie sposób. Potem zaczął obracać

w palcach pusty kieliszek. - Przypuszczam, że pisałem, by mój intelekt nie poddał się całkowicie otaczającej mnie nikczemności.

- Do dalekiej ukochanej.

- Tak. W sumie to prawda, lecz te słowa pasują znacznie lepiej do ciebie niż do niej. Gdy je sobie przypominam, myślę o tobie.

- Teraz może tak, ale nie wtedy. - Dokończyłam zupę i odłożyłam łyżkę. - Więc jeśli to nie była Florence, to kto?

- Ta jedna?

- Ta, z którą się przespałeś podczas wojny.

- Słuchaj - powiedział ostro. - Czy nie ustaliliśmy, że zostawimy to w spokoju? Ja nie będę ci zadawał żadnych uszczypliwych pytań o twoich kochanków, a ty nie będziesz mnie pytać o moje kobiety.

- Przepraszam.

- O, do diabła, kochanie. Nie o to mi chodziło. I to akurat dziś wieczorem. Chodź tutaj. Nie krępuj się, jesteśmy sami. - Wyciągnął długie ramiona i posadził mnie sobie na kolanach. - Powinni mnie za to zastrzelić. To było wulgarne z mojej strony, wulgarne i gburowate. Wybacz mi. Proszę. Gdybyś tylko wiedziała, jak cię ubóstwiam...

- Właśnie o to mi wcześniej chodziło - powiedziałam gorzko. - Gdzieś w głębi serca pragniesz takiej dziewczyny, jaką kiedyś znałeś. Arystokratki o nienagannych manierach, sposobie bycia i cnotliwości...

- Niepokojne płytkie dziewczyny. Nic prócz beużytecznego blichtru. Bez cienia autentycznej oryginalności, bez jednej uncji szczerzej cnoty, szlachetności, twojej szlachetności, Kate.

- Szlachetności! - Odwróciłam głowę, czując, jak jego kołnierzyk ociera mój policzek. - Jestem z Wisconsin, Julianie. Mój tata pracuje w ubezpieczeniach. Nie mam w sobie nawet kropli błękitnej krwi.

- Nie chodzi mi o twoje pochodzenie, kochanie - odparł. - Bóg wie, że to już nic dla mnie nie znaczy. Chodzi mi o twoją duszę. Twoje serce.

- Skąd to możesz wiedzieć?

Poczułam lekkie muśnięcie na szczycie głowy - pocałunek.

- Po prostu wiem.

- Powiedz mi jedną rzecz - odezwałam się po chwili, kiedy bliskość jego ciała już mnie trochę pocieszyła. - Jeśli nie narusza to naszej umowy. Dlaczego tylko jedna? Przecież mogłeś mieć każdą.

- Przeceniasz moje uwodzicielskie zdolności, Kate. Prychnęłam.

- Julian, twoje uwodzicielskie zdolności mogłyby oświetlić cały Manhattan, kiedy znów będzie awaria prądu. Uwierz mi, wiem to.

- Jesteś odrobinę stronnicza, kochanie.

- Cóż, to chyba trochę pokrętny argument. Bądź co bądź jestem stronnicza właśnie z powodu tych zdolności.

Ale unikasz odpowiedzi. To znaczy, nie musisz, jeśli nie chcesz.

- Odpowiem ci - odparł, splatając palce z moimi.

- Po pierwsze, w tamtych czasach ta sprawa wcale nie była taka prosta dla niedoświadczonego młodego mężczyzny, który dopiero co skończył studia. Nie było tak łatwo znaleźć chętne kobiety. Przynajmniej takie, które nie trudniłyby się tym zawodowo. Czytałaś coś o moim ojcu?

- O lordzie Chesterton? Niewiele. Wiem, że zajmował się polityką. Jedną z tych wiktoriańskich znakomości.

Julian się uśmiechnął.

- Tak. Głównie polityką. Ożenił się z matką z miłości, co w tamtych czasach nie było czymś niesłychanym, ale też nie było na porządku dziennym. Jeśli spojrzeć na inne rodziny, to naprawdę byliśmy dość szczęśliwi. I zamiast na czternaste urodziny zabrać mnie do burdelu, jak zrobili to ojcowie kilku moich przyjaciół, mój ojciec usiadł, odbył ze mną długą rozmowę i uzyskał ode mnie obietnicę, że nigdy nie uwiódę żadnej kobiety, jeśli nie będę zamierzał uczynić z niej swojej żony. Ponieważ pewnego dnia, gdy spotkał moją matkę, w samym środku opatrznosciowej, jak się okazało, ulewy, zdał sobie sprawę, że żałuje, iż sam tak nie zrobił.

- Och - przełknęłam. - To chyba najśłodsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

- I właśnie dlatego - ciągnął Julian, zupełnie jakby nie dosłyszał moich słów i jakby to wszystko było częścią jakiejś przemowy, którą sobie zaplanował - poprosiłem cię, Kate, byś spotkała się tu ze mną dziś wieczorem. - Wysunął się spode mnie i posadziwszy mnie na krześle, uklęknął przede mną.

Jego słowa odbijały się w moich uszach, jakby docierały do mnie z drugiego końca długiego tunelu. Nie zemdlej, upomniałam się surowo.

Ujął moją dłoń i mówił powoli, z namysłem, tym swoim aksamitnym, przekonującym głosem:

- Dlatego proszę cię, moja ukochana, byś wyświadczyła mi ten wielki zaszczyt, zgadzając się na moją prośbę o twą rękę, i byś przyjęła tego nieskończenie ci wdzięcznego mężczyznę za męża. Wyjdiesz za mnie, Kate?

Zacisnęłam powieki, bo widok tego pięknego mężczyzny, tego olśniewającego Juliana klęczącego u moich stóp i oświadczającego mi się w ten słodki, absurdalny sposób, w jaki żaden mężczyzna nie oświadczał się żadnej kobiecie co najmniej od stu lat, sprawił, że przyplływ adrenaliny kompletnie mnie oszołomił. Nie wiedziałam, co powinnam powiedzieć albo zrobić. Poczułam, że zsuwam się z krzesła i opadam na kolana obok niego.

- Och, Julian. Nie musisz tego robić. Wstań. Nie klękaj przede mną. To ja powinnam klęczeć.

- Powiedz tylko „tak”, Kate. Powiedz tylko „tak”, a wstanę. Powiedz to.

- Zgoda. Tak. Tak! Ale nie musisz tego robić. Nie musisz...

Uniósł mnie w ramionach, a jego pocałunek pachniał szampanem.

- Dziękuję - powiedział wreszcie, stawiając mnie z powrotem na podłodze. - Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym z ludzi.

Później tego wieczoru odwiózł mnie do domu range roverem. Wciąż byłam zdezorientowana i oszołomiona. Poprowadził mnie na górę, do sypialni pełnej róż i świec.

Rozglądałam się, szeroko otwierając usta.

- Kiedy zdążyłeś to zrobić?

Podszedł do mnie od tyłu i objął mnie.

- Właściciel tego zajazdu jest moim przyjacielem.

- Najwyraźniej doszedłeś do wniosku, że zdobędziesz mnie bez trudu.

- Liczyłem na to. Wcześniej nie stawiałaś zbyt dużego oporu wobec tego pomysłu.

- Cóż, bałam się, że w którymś momencie możesz zapytać, ale... - Obróciłam się w jego ramionach. - Naprawdę nie musisz tego robić, Julianie. Mówiłam ci już. I tak mam zrujnowaną reputację.

- Nic podobnego. A poza tym każdej chwili, jaką spędziłem w twoich ramionach w ciągu ostatnich dwóch nocy, pragnąłem zrobić to jak należy. Kate, musisz

zrozumieć, że nigdy, przenigdy bym cię tu nie sprowadził, nie zwabiłbym cię tutaj, gdybym nie miał uczciwych zamiarów - Uśmiechnął się. - Obiecałem to ojcu, pamiętasz? I jeśli tylko chcesz, jeśli chcesz ze mną być, nie mogę dłużej czekać. Chcę, by łączyła nas chociaż obietnica małżeństwa, gdy kochamy się z sobą.

- Rozumiem. Chcesz, żebym zrobiła z ciebie uczciwego mężczyznę.

- Jeśli tylko mnie chcesz - powtórzył z powagą.
- Wiem, kochanie. Możesz uważać, że na to za wcześnie. I zdaję sobie sprawę, że musisz przemyśleć mnóstwo spraw, to, kim jestem, i wszystko, co się z tym wiąże...

- To akurat najmniejsze z moich zmartwień.

Zmarszczył brwi.

- W takim razie o co się martwisz?

- Że palisz się do małżeństwa, mimo że mnie jeszcze dostatecznie nie poznałeś. Że to twoje szaleńcze zauroczenie...

- Szaleńcze zauroczenie. - Przyciągnął mnie do piersi i zaczął mówić cicho w moje włosy. - Kate, naprawdę. Przecież wiesz. Od samego początku wiedziałem, że po prostu do siebie pasujemy. Nie czujesz tego? To coś ważniejszego niż szaleńcze zauroczenie, Kate, niż... ta namiętność, to pragnienie, by zanieść cię do łóżka, sprawić, abyś znów krzyczała w ten cudowny, dziki sposób...

- Rany, Julian...

- Też to czujesz? Może nie ująłem tego zbyt dobrze,

ale chyba wiesz, o co mi chodzi. Że po prostu się rozumiemy i że z tego wynika, że należymy do siebie i do nikogo innego.

- Tak, czuję to.

- Dzięki Bogu. Nie chciałem myśleć, że przez cały ten czas miałem halucynacje. Proszę, mam coś dla ciebie.

- Wsunął rękę do kieszeni i wyjął pudełeczko.

- O nie! Kiedy miałeś czas, żeby kupić pierścionek?

- Przy Lyme Street, w centrum miasteczka, jest wspaniały jubiler. Równie dobry jak ci na Manhattanie.

- To miałam szczęście.

- Zadzwoiłem tam wcześniej, opisałem, czego szukam, i wybrali dla mnie kilka sztuk. - Otworzył pudełeczko. - Oczywiście, jeśli ci się nie podoba, jutro tam pojedziemy. Próbowałem znaleźć coś, co odpowiadałoby twoim gustom. Coś prostego i eleganckiego.

Ogarnęło mnie złowróżbne przeczucie, że za chwilę zobaczę jakieś dziesięciokaratowe monstrum, lecz była to tylko cienka obrączka z platyny z paseczkiem brylantów. Trzy środkowe kwadratowe kamienie były odrobinę większe niż pozostałe.

- Och! - szepnęłam bez zastanowienia. - Jest idealny!

- Dzięki Bogu. Nie masz pojęcia...

Wyjął pierścionek z pudełeczka, wsunął go na mój drżący palec i ujął moją dłoń.

- Wiedziałem, że nie chciałybyś zbyt krzykliwego, ale przynajmniej kamienie są bez żadnej skazy...

- Przestań. Nie dbam o to. Jest idealny. - Uniosłam dłoń, by pogłaskać go po policzku, a brylanty na moim palcu odbiły światło. - Mój kochany, mogłeś mi kupić cały sklep...

- Chciałem.

- ...a zamiast tego kupiłeś to, co ja bym wybrała. Jest idealny, uwielbiam go. I wyjdę za ciebie, Julianie. Oczywiście, że za ciebie wyjdę. Jest tylko jeden warunek - dodałam, gdy jego usta znalazły się już tuż przy moich.

Zatrzymał się i wydał jakiś dźwięk.

- Powiniennem się tego spodziewać - jęknął. - Wszystko szło aż za dobrze.

- Tylko jedno - odparłam. - Sześć miesięcy. Odczekamy sześć miesięcy, zanim wyznaczymy datę ślubu.

- Sześć miesięcy? Zanim wyznaczymy datę?

- Bo to wszystko dzieje się za szybko i sam o tym wiesz. Potrzebuję sześciu miesięcy, żeby uporządkować moje życie, sprawy zawodowe i wszystko, żebym nie zagubiła gdzieś siebie samej, zostając twoją żoną. To znaczy żoną Juliana Laurence'a, bo to coś innego, niż być twoją żoną, być Kate Ashford. - Nazwisko pojawiło się tak naturalnie i zabrzmiało tak pięknie, że poczułam się niemal tak, jakbym słyszała to już wcześniej.

Przez kilka sekund przyglądał mi się w skupieniu.

- Rozumiem, o co ci chodzi.

- I potrzebuję sześciu miesięcy, by mieć pewność, że naprawdę mnie chcesz. Jeśli do świąt nadal będziesz czuł

to, co teraz, zaczniemy robić plany. A jeśli nie - ciągnęłam - zapomnimy o tym pomysle. A ja będę to w stanie poznać, Julianie Ashfordzie, więc nie próbuj być wtedy szlachetny i udawać, że wciąż mnie kochasz.

- A tymczasem będziesz nosić pierścionek? Będziemy stosownie zaręczeni?

- Tak, jeśli tego chcesz.

- Jeśli tego chcę. - Objął mnie za szyję. - Moja piękna, ukochana Kate. Spójrz tylko na siebie, jesteś taka szlachetna i lojalna. I to twoje słodkie zaufanie. Nigdy go nie zawiodę, przysięgam. Będę cię chronić, walczyć o ciebie aż do ostatniego tchu.

- Julian, mamy 2008 rok. Powodzenia.

- Posłuchaj, kochanie. Jestem w środku przemówienia. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś słuchała dalej z zapartym tchem.

Oplotłam go ramionami w pasie.

- Przepraszam. Proszę, mów dalej. Uwielbiam twoje przemówienia. Jakbym znalazła się w samym środku powieści Trollope'a.

Pogłaskał mnie kciukami po policzkach.

- Ty kokietko. Kpisz sobie ze mnie. Ale wiesz, że mówię to wszystko poważnie. Jestem niepoprawnym, staromodnym gościem.

- Wiem o tym.

- Walczyłbym dla ciebie, Kate. Byłbym gotów dla ciebie zabijać. Umrzeć dla ciebie, gdybym musiał. Sześć

miesiący - pokręcił głową. - Tak jakby sześć miesięcy mogło mnie zmienić. - Zbliżył twarz do mojej, aż nasze czoła niemal się zetknęły, i przemówił do mnie najżarliwszym szeptem: - W sercu, kochanie, złożyłem ci już każde możliwe przyrzeczenie. Już jestem twoim mężem, nie wiedziałaś o tym?

- Jeśli dzięki temu czujesz się lepiej, deprawując mnie noc po nocy...

- Czuję się lepiej - odparł.

A potem nie było już żadnych słów, przynajmniej takich, które miałyby jakiś sens. Czułam tylko jego usta, dłonie, jego złociste ciało pochylające się nad moim w blasku świec, połączenie i ekstazę, a wreszcie ciepło głębokiego, pełnego zadowolenia snu.

Rano, gdy się obudziłam, zdążył już wyjechać na Manhattan, ale na nocnym stoliku obok stało duże wyszciekane jedwabiem pudełko. W środku leżała cała góra bajątko drogiej biżuterii: sznury brylantów, bransoletki, kolczyki, pierścionki lśniące wszystkimi kolorami. I wiadomość napisana eleganckim czarnym atramentem na karteczkę koloru ecru: „Zrób mi tę przyjemność”.

Amiens

Obrazy pojawiły się nagle w samym środku głębokiego, aksamitnego snu. Były takie same jak zwykle, tyle że teraz przybrały na intensywności. Wypełniły mnie skrajną paniką. Wrażeniem, że kończy się świat, że to Armagedon. Mężczyzna nie był w stanie mnie usłyszeć, nie potrafił mnie zrozumieć. Uśmiechał się do mnie, zdezorientowany, a gdy próbowałam mówić głośniej, z większym przejęciem, wycofał się wciąż z uśmiechem na ustach w czerń tak absolutną, że zdawała się go pochłaniać. „Zatrzymaj się!” - krzyczałam do niego. „Zatrzymaj się! Wróć! Nie zostawiaj mnie!”

Poczułam delikatne poklepywanie na ręce, ktoś wołał moje imię.

- Zatrzymaj się! Nie zostawiaj mnie! - krzyknęłam znowu.

- Kate! Kate!

Ktoś mocno chwycił moją dłoń. Głos wołał tuż przy uchu. Głos Juliana. Usiadłam, uderzając nosem w coś twardego.

- Julian! - zawołałam, wtulając się w jego pierś.
- Wróciłeś!

Ale wszystko było nie tak. Jego pierś drapała, była osłonięta wełną. Otaczające mnie ramiona wydawały się jakieś sztywne. Poczułam pod policzkiem twardy skórzany pasek.

- Kate - powiedział zakłopotany. - Wszystko w porządku?

O nie! To nie Julian. Julian, ale nie mój. Cofnęłam się upokorzona, całe światło zgasło w moim sercu.

- Och, przepraszam. Miałam... to był koszmar...
Która to godzina?

- Siódma rano.

- Och! Och, naprawdę przepraszam. Obudziłam cię. Pewnie obudziłam cały dom.

- Nie, byłem już na nogach. Mamy dziś poranne spotkanie. Przechodziłem właśnie obok twojego pokoju i usłyszałem... - Odchrząknął i położył na nocnym stoliku jakiś mały przedmiot. - Twój klucz. Wczoraj w nocy musiałem cię zamknąć od zewnątrz, a później nie zmieścił się pod drzwiami.

- Och! Chyba zasnęłam, prawda?

Na jego ustach na chwilę pojawił się uśmiech.

- To moja wina. Przettrzymałem cię na nogach do późna.

Klasyczne brytyjskie niedopowiedzenie. Rozmawialiśmy do drugiej w nocy o przyszłości, przeszłości, polityce, wojnie, literaturze, Mao, operze i 11 września, aż w końcu chyba odpłynęłam, bo moje ostatnie niewyraźne wspomnienie z tej nocy miało coś wspólnego z byciem układaną na łóżku i czymś, być może pocałunkiem, co musnęło mi czoło. Spojrzałam na klucz leżący na nocnym stoliku i zobaczyłam obok niego szereg spinek do włosów ułożonych obok siebie w idealnym porządku.

- To właśnie lubię w was, staromodnych typach - powiedziałam, wyciągając rękę, by zebrać skłębione włosy na plecach. - Idealni dżentelmeni.

- Tylko przez tych dżentelmenów najwyraźniej miałam koszmary.

Miał na sobie mundur, schludny i nieskazitelny, chociaż wyglądał już paskudnie po setkach zimowych godzin spędzonych w zimowych okopach. W ręce trzymał skromnie oficerską czapkę. Jeszcze się do tego nie przyzwyczaiłam: do widoku kapitana Ashforda, żołnierza, mieszkańca okopów.

- Czyli nic ci nie jest? - spytał teraz już poważnie, odkładając czapkę na łóżko i znów biorąc ją do ręki.

- Och, nie. - Podciągnęłam wełniany koc na ramiona, pozwalając, by włosy opadły mi w swobodnych falach. - Tylko mi trochę zimno.

Wskazał głową na małe palenisko z kutego żelaza.

- Ogień zgasi. I oczywiście nie ma nic na podpałkę. Kiedy będę wychodzić, przyślę ci na górę posługaczkę. Powinna już tu być.

- Dziękuję. Ja... Cóż, nie jestem zbyt dobra w rozpalaniu ognia.

- To pewnie dla ciebie wybitnie nieprzydatna umiejętność. Macie centralne ogrzewanie w każdym domu?

- Właśnie. Ile... ile potrważą te twoje spotkania?

- Obawiam się, że cały dzień - odparł.

Owinęłam ramiona kocem i wstałam z łóżka. Odwrócił się, zakłopotany, w stronę kominka.

- A potem? - spytałam, włączając lampę elektryczną. Zamigotała niezdecydowanie, a potem się zapaliła.

- A potem myślałem, że może... jeśli to nie sprawi kłopotu...

- Kłopotu?

Odwrócił się do mnie, zarumieniony w świetle lampy.

- Może mógłbym się z tobą jeszcze zobaczyć?

- Kapitanie Ashford - wyszeptałam. - Bardzo bym tego chciała.

- Mam jeszcze tak wiele pytań - powiedział pośpiesznie.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego dłoni.

- Z chęcią ci na nie odpowiem.

- To było takie miłe z twojej strony, że wczoraj w nocy siedziałas ze mną do późna...

- Ale nie przekonałam cię, prawda?

- Oczywiście, że nie - uśmiechnął się. - Lecz gdy już wyszedłem, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Widzisz, z pociskami artyleryjskimi to wszystko kwestia przypadku. Po prostu zmienię porę rozpoczęcia planowanego zwiadu na drugą piętnaście. To powinno tym razem zadowolić los.

- Ale wtedy może ci się stać coś innego.

- Zawsze mi się może stać coś innego. - Niepewnie ujął swoją dłoń: te znajome palce, teraz szorstkie i pełne odcisków, silne i kochane.

- Jak to znosisz? Jak sobie z tym radzisz? Jak wy wszyscy to znosiscie?

- Cóż, człowiekowi nie chodzi aż tak bardzo o siebie.

- Ale inni, Julianie? Ludzie, którym na tobie zależy? - Ścisnęłam jego palce. Poczułam, jak w odpowiedzi zamykają się mocniej na mojej dłoni. - Proszę, nie idź. Wiem, że słuchanie tego tylko cię rani, bo musisz wypełnić swój obowiązek. Rozumiem to, naprawdę. Ale nie potrafię się powstrzymać. Muszę spróbować. Nie mogę po prostu liczyć na to, że... że zmiana pory zapewni ci bezpieczeństwo. Nie mogę ryzykować, że będziesz tam tej nocy. To zbyt ważne.

- Dlaczego? - spytał zdumiony. - Czemu to dla ciebie takie ważne?

Dotknęłam kącika jego ust.

- Któż mógłby na ciebie patrzeć, Julianie, któż mógłby cię znać i nie rozumieć odpowiedzi na to pytanie?

Otworzył tylko usta i poczułam na skórze ciepło jego oddechu. Ścisnął mocniej moje palce. Wyczułam, że jego druga ręka uniosła się i opadła.

- Spóźnisz się na swoje spotkania - powiedziałam.
- Ale odzyskaj mnie, kiedy wrócisz. Wciąż mam jeszcze dla ciebie jedną strzałę w kołczanie.

Pochylił się i ucałował moją rękę.

- Jestem zdany na twoją łaskę - odparł, po czym włożył czapkę i wyszedł z pokoju.

Rozdział 18

- Powiedz mi coś - odezwałam się pewnego późnego popołudnia pod koniec sierpnia, gdy leżeliśmy spokojnie na trawie przed domem, spleceni w uścisku, wsłuchani w rozedrgane od śpiewu cykad wilgotne letnie powietrze.

- Mhm - mruknął, bawiąc się kosmykiem moich włosów. - Co byś chciała wiedzieć?

- Dlaczego zawsze budzę się sama?

Zawahał się na chwilę tak krótką, że być może tylko mi się wydawało.

- Ponieważ, mój ty mały leniuszku, lubisz sobie długo pospać, a ja muszę zarabiać na życie.

- Cóż - odparłam łagodnie, ujmując jego dłoń i splatając palce - to była bardzo kiepska odpowiedź. Kop głębiej, Ashford.

- Ale jesteście uparte, wy współczesne dziewczyny. Czy człowiek nie może mieć ani chwili spokoju?

- Nie w tym stuleciu.

Westchnął i ścisnął swoją dłoń.

- Stan gotowości.

- To ci zostało z wojska?

- Większość ofensyw, przynajmniej w początkowym stadium wojny - wyjaśnił beznamiętnie, jakby był profesorem historii - rozpoczynała się o świcie. Z różnych powodów. Dlatego każdego ranka musieliśmy być w stanie gotowości. Zakładaliśmy bagnety i tak dalej. To był raczej pełen napięcia moment, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- I robiliście tak co rano?

- Co rano, gdy słońce wstawało nad niemieckimi okopami - odparł. - Ciągłe czekanie, wpatrywanie się w mgłę przez peryskopy, absolutna cisza. Oczywiście nigdy się nic nie działo albo prawie nigdy. Ale coś takiego człowiekowi zostaje. Nawet po tych wszystkich latach.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie - wzruszył ramionami. - To niewielka cena.

- Cena? Za co?

- Za to, że mogę tu być. Za ciebie.

Okręciłam się w jego ramionach, tak że widziałam go teraz z profilu. Zapatrzył się w blade, zamglone niebo i w skupieniu ściągnął brwi.

- Posłuchaj sam siebie - odezwałam się. - Szufladkujesz.

- Co, znowu leżę na kozetce?

- Mhm. Ten twój pracowity mózg. Wszystko porządnie zamknięte w odpowiedniej szufladce. Szufladka dzieciństwa. - Dotknęłam palcem jego czoła. - Szufladka hedgingowego samca alfa. - Przesunęłam palec. - Szufladka Kate.

- To wyjątkowo wielka szuflada.

- Moja ulubiona. - Zakreśliłam koło wokół tego miejsca, pochyliłam głowę i pocałowałam go tam. - No i szufladka wojny oczywiście. - Znów przesunęłam palec. - Wiele miesięcy stresu i traumy, a wszystko pod czujnym nadzorem tej twojej niesamowitej samokontroli.

- I myślisz, że pewnego dnia to wszystko po prostu eksploduje? - spytał z rozbawieniem.

- Nie wiem. Chyba nie. Wygląda na to, że twój sposób radzenia sobie z tym się sprawdza. Pożytkujesz energię na inne rzeczy. Myślę, że udało ci się to dzięki Southfield. Obsesji na punkcie firmy.

- A teraz mam ciebie.

- Masz na moim punkcie obsesję?

- Chcesz przez to powiedzieć, że ty nie masz obsesji na moim punkcie? - spytał urażony.

Roześmiałam się.

- „Obsesja” brzmi niezdrowo. A to - pocałowałam go - jest bardzo zdrowe. Tyle że wydaje mi się, że właśnie bardzo zręcznie zmieniłeś temat.

- My, szufladkujące typy, jesteśmy z tego znani.

- Martwię się po prostu, że jestem w błędzie, że to ma

na ciebie większy wpływ, niż sędzę, a ty po prostu zachowujesz się jak Brytyjczyk. A więc może mógłbyś czasami dać znać szufladce Kate, co myśli szufladka wojny? - Przesunęłam palec z jednego miejsca w drugie. - A nawet, **0** zgrozo, co czuje szufladka wojny. To by mogło pomóc.

- Posłuchaj. W tym wypadku muszę zrobić wyjątek. Szufladka Kate jest całkowicie przepełniona uczuciami. Aż pęka w szwach. Jestem w tym dobry, prawda?

- Tak, jesteś. To wspaniała szufladka. Kochająca i czuła. Jestem dumna, że w niej siedzę.

- Włożyłem w nią - odparł łagodnie - wszystko, co we mnie najlepsze.

Pochyliłam się i oparłam czoło o jego pierś.

- A to bardzo dużo - skwitowałam.

Poczułam delikatne kąsanie jego ust, ukłucia bujnej trawy pode mną, ciepło słońca przenikające moje ciało. Poddałam się.

- Więc raczej nie mogę liczyć na przyjemność obudzenia się w twoich ramionach? - spytałam tęsknie, przesuwając palcem po jego górnej wardze.

- Gdybyś tylko wstawała wcześniej, ukochana. Ale zawsze śpisz jak zabita.

- To dlatego, że nie śpię przez pół nocy, zaspokajając twoje nienasycone potrzeby. A ty próbujesz nadrobić dwanaście lat celibatu w jedno krótkie lato. Naprawdę nie wiem, jak dajesz radę.

- W tej chwili sen wydaje się kompletną stratą czasu
- odparł, unosząc mnie, by mnie porządnie pocałować.

Nie mogłam mu się oprzeć. Nigdy tego nie potrafiłam. Spędziliśmy w jego domku całe lato, a wciąż wystarczyło, by spojrzeć na mnie w ten szczególny sposób, a wszystko we mnie topiło się jak wosk w płomieniach. On również o tym wiedział. I stał się mistrzem w wykorzystywaniu tego do odwrócenia mojej uwagi.

Nie przeszkadzało mi to za bardzo. Byłam nieprzytomnie, szaleńczo zakochana. Lato mijało w mgiełce zachwytu: na pływaniu i opalaniu się, żeglowaniu po cieśninie Long Island, grasowaniu po sklepach i zwiedzaniu pobliskich miasteczek. Rano, nim powietrze stawało się zbyt gorące, szliśmy czasami pobiegać albo powiosłować, a potem Julian na kilka godzin zniknął w bibliotece, by kontaktować się ze swoimi prawnikami i maklerami.

Ale oczywiście były też inne dni. Dni, gdy o świcie wyruszał na Manhattan. Wtedy stanowczo starałam się znaleźć sobie jakieś zajęcie. Pracowałam w ogródku, czytałam jedną książkę za drugą, wysyłałam radosne, dodające otuchy maile do moich zdumionych przyjaciółek i rodziny („W to lato robię sobie wolne! Jest niesamowicie! Wiejskie powietrze! Plaża!”) i publikowałam zdjęcia na mojej od dawna nieużywanej stronie na Facebooku, na których się uśmiechałam. Piekłam chleb domowej roboty, zarządzałam moim skromnym portfelem akcji, załatwiałam różne sprawunki. Każdego miesiąca, gdy

wysyłałam mojej współlokatorce czek za czynsz, byłam zdumiona prostotą i pełnią mojego życia; zdumiona tym, jak nie osiągając niczego godnego uwagi i nie zapuszczając się dalej niż do Newport, czułam się bardziej związana z otaczającym mnie światem niż kiedykolwiek podczas tych burzliwych lat na Wall Street.

Ale bez względu na to, co robiłam, zawsze tęskniłam za Julianem. Jakby ktoś bez ostrzeżenia zabrał mi z ciała jakiś kluczowy organ. Oczywiście pisaliśmy do siebie maile i zawsze dzwonił do mnie co najmniej raz czy dwa pomiędzy spotkaniami, lecz to nie mogło zapełnić tej luki. Próbowалаm nie liczyć minut do ósmej wieczorem ani nie kręcić się przy frontowych drzwiach, czekając na dźwięk jego samochodu na podjeździe. Ale i tak wiedziałam, kiedy wracał. Potrafiłam go wyczuć, wyczuć ten słoneczny blask przenikający do domu i tępy ból tęsknoty za nim zanikał. „Tu jesteś, kochanie”, mówił z uśmiechem, wyciągając do mnie ramiona, a ja zapadałam się w jego objęciach, a potem całował mnie do utraty tchu.

I te wieczory! Czasem wybieraliśmy się na kolację albo do kina, ale najczęściej zostawaliśmy w domu. Julian grał na fortepianie Chopina, Beethovena albo Mozarta, co uwielbiałam, lecz również ragtime, stare popularne piosenki ze sprośnymi słowami, które wydawały się tym zabawniejsze, że Julian w ogóle nie miał głosu. Ściągał na iPoda stare nagrania i uczył mnie, jak tańczyć walca,

polkę, turkey trot, bunny hop i grizzly bear, aż ze śmiechem padaliśmy z nóg na podłogę w dużym pokoju. Ale bywało też, że go zmuszałam, by uczył mnie podstaw szermierki, boksu, krykieta i rugby, a sama wyjaśniałam mu różne aspekty futbolu amerykańskiego, ze szczególnym uwzględnieniem historii i hagiografii Green Bay Packers. Albo śpiewałam dla niego, a on sadzał mnie na sofie i recytował ustępy z Szekspira, Homera albo Wordswortha czy też jakieś absurdalne rymowanki, które podłapał w pubach, a jego pełen wyrazu głos bez problemu przechodził od wysokiej sztuki do jarmarcznej, nie gubiąc się w tym ani trochę. Mogłam tego słuchać całymi nocami.

Z upływem czasu pożądaliśmy siebie z coraz większą namiętnością. Zdarzało się, że Julian brał mnie w posiadanie z pewną szczególną powściąganą dzikością, której nie potrafiłam do końca pojąć - gdy duży ruch na autostradzie międzystanowej sprawiał, że wracał dopiero po zachodzie słońca, lub gdy nie było mnie w zasięgu słuchu, kiedy wracał do domu, i musiał mnie szukać. Wtedy w jego głosie dawała się słyszeć odrobina paniki, a jego ramiona witały mnie z miażdżącą siłą. Całował mnie, aż drżąc, a ja wtapiałam się w niego, dając mu znać, że wszystko jest w porządku, że rozumiem. Brał mnie na ręce, niósł na górę i kochał się ze mną z największą delikatnością, jaką tylko można sobie wyobrazić, i im łagodniejszy był jego dotyk, tym bardziej wiedziałam, jak desperacko mnie pragnął.

„Idź na całość”, mówiłam mu w pierwszych dniach, zdumiona tym, jak się hamuje. „Nie zepsujesz mnie”. Ale gdy zaczęłam rozumieć, co się dzieje w jego głowie, zamiast tego szeptałam, że nic mi nie jest, że jestem bezpieczna i nigdzie się nie wybieram. Że zawsze będę przy nim.

Czasami budziłam się w najciemniejszych godzinach nocy i czułam, jak jego ramiona przyciągają mnie do siebie z miażdżącą siłą. Wtedy wystarczyło, że się odwróciłam i obudziłam go pocałunkiem, tak by cienie się rozpierzchły, a on zaczynał droczyć się ze mną i szeptał mi do ucha sprośności po łacinie, aż znów zasypiałam.

Mimo to każdego ranka budziłam się sama. W dni, gdy wyjeżdżał na Manhattan, było to zrozumiałe. Chciał załatwić sprawy i wrócić na wieczór. Ale w inne poranki też nigdy nie udawało mi się przytapać go, nim wymknie się z łóżka. Nie potrzebował tyle snu co ja.

- Proszę, obudź mnie jutro rano. Tylko raz - proszę.

- Nie mogę. Wyglądasz tak spokojnie. Wierz mi, myślałem o tym, ale po prostu nie potrafię się do tego zmusić.

- A gdyby w domu wybuchł pożar?

- Gdyby to był nagły wypadek, oczywiście.

- Cóż, uznaj, że to nagły wypadek.

Zaśmiał się.

- Ciesz się, że nigdy nie miałas przywileju, by poczuć mój wspaniały poranny oddech.

- Nieśmiertelny Julian Ashford nie ma problemu z porannym oddechem.

- *Au contraire*, pani Ashford. - Lubił od czasu do czasu tak mnie nazywać tylko po to, by zobaczyć moją wystraszoną minę. Albo „lady Chesterton”, kiedy naprawdę chciał mnie przerazić. - Masz na mój temat bardzo dziwne wyobrażenie.

- Proszę, Julian. Obiecuję, że ci to wynagrodzę.

Zastanowił się nad tym.

- A dokładnie to w jaki sposób?

Pochyliłam się i wymruczałam mu do ucha:

- Zrobię ci śniadanie.

- Śniadanie? - Rozpromienił się. To było lepsze, niż się spodziewał.

- O tak! Pyszne jajka. - Pocałowałam go w podbródek. - Z bekonem - dodałam, kładąc go w szynkę

- ...i z parówką - wyszeptaliśmy pod jego jabłko Adama.

- I tosty, gorące tosty, ociekające masłem!

Przymknął oczy.

- Ty syreno! Ale jutro nie mogę tego zrobić. Muszę jechać do miasta.

- Znowu? W tym tygodniu byłeś tam już dwa razy.

- Przykro mi, kochanie. - Położył się na boku i wsunął mi włosy za ucho. - Wiesz, jak nienawidzę cię zostawiać. Chodzi o te bzdury z Komisją Papierów Wartościowych, niech ich wszystkich dunder świśnie! Cały fundusz jest już spieniężony i gotowy do rozwiązania.

I żal mi tych biedaków, którzy do tej pory tego nie zrobili.

- Rozumiem to. Nie chcę być zaborczą. - Wzdrygnęłam się. - Tylko że zamknąłeś mnie tutaj jak w pułapce. Zaczynam się robić nerwowa.

- Wiem i przykro mi - powtórzył. - Za miesiąc powinniśmy już skończyć sprawę z tymi wstrętnymi biurokratami, a wtedy cię gdzieś zabiorę. Bóg wie, jak bardzo się niepokoję, kiedy zostajesz tutaj zupełnie sama...

- Tylko w ciągu dnia. Jestem całkowicie bezpieczna.
- Przyciągnęłam jego twarz do siebie, by go pocałować.
- To gdzie pojedziemy?

- Gdzie tylko zechcesz. Im dalej, tym lepiej. Możemy opłynąć świat, tarzać się w piasku na Tahiti. Kupię ci wyspę. Albo zamek w Hiszpanii.

- Brzmi, jakbyś mnie chciał umieścić w fortecy.

Skłonności Juliana, by mnie chronić, od czasu naszych zaręczyn znacznie się nasiliły. Po cichu wynajął prywatną firmę ochroniarską, by miała dom na oku, kiedy przebywał na Manhattanie, i z reguły zaczynał się zamartwiać, jeśli nie zgłaszałam się co kilka godzin, pisząc do niego, jak to określił, te pikantne maile. Zaczynało to być odrobinę przytłaczające.

- Albo pałac we Włoszech, *palazzo* - dodał szybko.
- Albo jezioro w Szwajcarii.

- Znów chcesz się popisywać swoimi pieniędzmi, co?

- Naszymi pieniędzmi - poprawił mnie. - Naszymi, pani Ashford.

- Jeszcze nie. Przynajmniej nie oficjalnie.

- Jeśli o mnie chodzi, to tak - upierał się. - I w chwili, kiedy tutaj sobie rozmawiamy, załatwiam kilka formalności. Dziś po południu Daniel ma przywieźć dokumenty do biura.

- Och, tylko znowu nie to!

- Chcę zadbać o ciebie, kochanie, na wypadek gdyby coś mi się stało. A ponieważ w świetle prawa nie jesteś jeszcze moją żoną...

- Nic ci się nie stanie - powiedziałam z przekonaniem. - Nawet nie sugeruj takich rzeczy.

- Kochanie, człowiek z moją pozycją...

- Mam nadzieję, że cała ta twoja obsesja na punkcie śmierci jest tylko następstwem wojny - przerwałam mu - i że nie wynika z czegoś, o czym mi nie mówisz.

- Nie chodzi tylko o śmierć. A co będzie, jeśli znów przytrafi mi się to coś? Zabierze mnie od ciebie?

Uniosłam dłoń i pogłaskałam go po policzku.

- Wtedy całe pieniądze tego świata mi nie pomogą.

- Nie mów tak.

- Cóż, mówię szczerze, Julianie. Nie ma się już czym martwić. W przeciwnym razie zaraz zadzwonię do Daniela i zadbam o to, żebyś odziedziczył moją bezcenną kolekcję pamiątek z podróży - łyżeczek z oficjalnymi godłami stanów - jeśli podczas następnej wycieczki na

Manhattan wpadnę pod koła jakiegoś kuriera na rowe-
rze. Bo to się zawsze może wydarzyć.

- Łyżeczek z godłami? - spytał, unosząc brew.

- Tak. Ci spośród nas, którzy nie wychowywali się
w angielskich posiadłościach ziemskich, co roku wyjeź-
dzali na normalne wakacje. No wiesz, spędzałam dwa
tygodnie z moim młodszym bratem i turystyczną lodów-
ką na śmierdzącym tylnym siedzeniu rodzinnego kombi
i oglądaliśmy najdłuższą wykałaczkę świata w jakiejś
zabitej dechami dziurze w Arizonie. A potem kupowa-
liśmy łyżeczkę w punkcie turystycznym. No co?

Tarzał się na trawie obok mnie, trzęsąc się ze śmiechu.

- Zakładam, że nie widziałeś filmu o wakacjach ro-
dziny Griswoldów.

- Nie - wydusił, łapiąc oddech.

- No cóż, ze mną tak było.

- Wiesz - odparł, dochodząc do siebie i przewracając
się na bok, by posłać mi słodki, kretyński uśmiech - to
kolejny powód, żeby cię porwać do jakiegoś prywatnego
uzdrowiska na Wyspach Cooka, gdzie personel będzie
tylko czekać na każde twoje skinienie.

- Jeśli tylko ty będziesz czekał na każde moje skinie-
nie - odparłam wspaniałomyślnie - to naprawdę niepo-
trzebny mi personel.

- Moja droga lady Chesterton - powiedział ze swym
najlepszym pyszałkowatym akcentem - cała przyjemność
po mojej stronie.

- A może - szepnęłam między pocałunkami - farma owiec w Australii?

- Albo farma lam w Peru?

Zsunął cienkie ramiączka mojej sukienki i zaczął kąsać moje ramię.

- Albo... albo... - zająknęłam się. - Wylęgarnia łososi w Norwegii?

- Mmm - zamruczał, zsuwając mi sukienkę do pasa.

- Albo plantacja kauczuku w Malezji?

- Albo chatka wędkarska nad przerębłą w... Minnesocie - powiedziałam, dysząc, gdy moja głowa opadła na trawę. - Ciepły... śpiwór... dobry do przytulania.

- Ach, podoba mi się twój tok myślenia.

Jego dłonie wsunęły się pod moje plecy, zręcznie rozpinając stanik.

- Ale czemu nie mielibyśmy pójść dalej. Co powiesz na stację meteorologiczną na Antarktydzie...?

Znów pochylił się nade mną. I wtedy gdzieś w trawie obok nas zadzwonił jego telefon.

- Zignoruj to - warknął z ustami przy moim ciele.

Roześmiałam się, niemal zrzucając go z siebie.

- Wiesz, że nie mogę.

- Ja mogę, a to mój cholerny telefon.

- Julian, proszę. Nie wytrzymam tego!

Usiadł.

- Będziemy musieli cię wyleczyć z tej dziwnej wrażliwości. Może wsadzę cię do pokoju, w którym będzie

petno telefonów? - Sięgnął niechętnie po BlackBerry i uniósł go do ucha. - Laurence - warknął, nie odrywając ode mnie oczu.

Wyciągnęłam wygodnie ręce nad głowę i również na niego patrzyłam. Jego płowe, złociste włosy lśniły w słońcu, a ja targałam je ręką, zdumiona chyba po raz tysięczny, że był mój, cały mój. Wciągnęłam głęboko powietrze, pozwalając, by uderzył mi do głowy zapach skąpanej w słońcu trawy. Poczulałam mrowienie w opuszkach palców i usiadłam, by wsunąć dłoń pod jego T-shirt. Odruchowo wyciągnął rękę, by pogłaskać mnie po głowie, ale wyczułam, że jego uwagę zaczyna pochłaniać coś innego. Rozmowa przybrała na intensywności, coś o cholernych sukinsynach, pilnych spotkaniach i niewypłacalności. Skrzywił twarz z poirytowania.

- Słuchaj, wiesz, jak wygląda sprawa. Będę tam jutro wcześniej rano. Czy to nie może... Chryste, Warwick, nie mogą tego zrobić... Ożeż kurwa!

Wzdrygnęłam się. Nigdy jeszcze nie słyszałam z jego ust takich słów. Wyczuł moje zaskoczenie i jego dłoń głaskała mnie pocieszająco po włosach.

- W takim razie dobrze - powiedział ze złością.
- Tak, natychmiast, do cholery.

Cisnął telefon w trawę, a na twarzy, która obróciła się w moją stronę, nie było ani odrobiny czułości.

- Kochanie, coś wyskoczyło.
- Domyśliłam się.

- Trochę kłopotów z jednym z banków - ciągnął - i cholerne ministerstwo finansów zwołało pilne spotkanie, by zająć się kwestią wypłacalności. Cholerni idioci.

- Wypłacalności? Ktoś upada? Kto?

- Kochanie, tajemnica zawodowa. Nie mogę cię stawiać w takiej sytuacji.

Nie było sensu sprzeczać się z poczuciem obowiązku Juliana.

- I musisz jechać dziś wieczorem? - spytałam cieniem głosem. Jeszcze nigdy nie spędziłam nocy bez niego, od kiedy przyjechałam tu w maju.

- Tak - odparł z grymasem niezadowolenia. - Waham się, czy nie wziąć cię z sobą...

- Tak! - zawołałam. - Proszę! Będę grzeczna, Julianie. Zostanę w twoim domu, nie wysunę nawet nosa za drzwi. Włączę alarm i tak dalej. Będę całkowicie bezpieczna.

- Kate, nie kuś mnie. Nasz adres w Nowym Jorku jest publicznie znany. Będzie o wiele lepiej, jeśli zostaniesz. Zadzwońię do firmy ochroniarskiej, żeby mieli na ciebie oko.

- Jak psy stróżujące. Jakbym była żoną jakiegoś bossa z mafii.

- Przepraszam, kochanie. To dla twojego dobra.

- Ale przecież nic mi nie grozi. Hollander wrócił cały i zdrowy ze swojej wyprawy naukowej. Ten tajemniczy mężczyzna już się więcej nie odzywał. Zdażył się już

pewnie zająć jakąś nową teorią spiskową. Trzymasz mnie w ukryciu bez żadnego powodu.

- To, że ten gość się nie odzywał, nie dowodzi, że zagrożenie znikło. Zapewniam cię.

- Och, daj spokój. Skąd możesz to wiedzieć?

Julian ujął mnie za podbródek, a jego brwi utworzyły sztywną linię nad oczami.

- Nie możesz mi w tej sprawie po prostu zaufać, Kate?

- Dlaczego? Nie mówisz mi o czymś? O jakichś problemach ze śledztwem komisji? Z procesami?

- Powiedziałem ci wszystko, co mogłem. - Musnął kciukiem moje usta. - Posłuchaj. To nie jest jakiś kaprys. Niczego bardziej nie pragnę, niż wziąć cię z sobą. Zwłaszcza - w jego głosie pojawiła się przekorna nutka - że to mogłoby cię przekonać do tego cholernego kawałeczka plastiku.

Odepchnęłam jego rękę.

- Wybacz, Ashford. Ale czy ja wyglądam na dziewczynę, która popisywałaby się kartą kredytową swojego bogatego faceta, spacerując po Madison Avenue?

- To twoja karta, kochanie.

- Ale na twoje konto. Zgodziłam się tylko w razie nagłego wypadku. Pamiętasz? Dlatego w ogóle trzymam ją w moim portfelu.

Skrzywiłam się na myśl o moim nazwisku KATHERINE E WILSON, wytłoczonym ozdobnymi literami na lśniąącym czarnym tle. Jęknął.

- Jesteś niemożliwa. Grasujesz w każdym zakątku mojej nędznej duszy, mieszkasz w każdej mojej myśli, ale wzdragasz się na widok karty kredytowej...

- Julian, nie chcę jechać do miasta, żeby robić zakupy - przerwałam mu oschle. - Chcę tylko zobaczyć kilkoro przyjaciół. Zastanowić się, co z sobą począć. Może spróbować pójść na lekcję baletu. Iść z tobą na kolację, a potem zaciągnąć cię na górę do twojej sypialni.

- Naszej sypialni.

- Nie. Do twojej sypialni. Jak może być nasza, skoro jej nawet jeszcze nie widziałam?

Znów wsunęłam ręce pod jego koszulkę.

- Nie masz ochoty jej ze mną ochrzcić?

W następnej chwili leżałam plecami na trawie, a nade mną pochylała się jego twarz.

- Och, ochrzcimy ją - obiecał. - Tylko nie dziś wieczorem.

- Julian, to nie fair... - zaczęłam, ale nie miałam szansy dokończyć.

Wyjechał godzinę później ciemnozielonym maserati z torbą podróżną na drugim siedzeniu.

- Ochrona będzie obserwować dom przez całą noc - oznajmił - i w dzień prowadzić regularne patrole. Wyślij mi maile. Nie, lepiej dzwoń. To mi da wymówkę, żeby się wyrwać. - Przez chwilę patrzył mi w oczy, po

czym przyciągnął mnie do siebie. - Masz pojęcie, kochanie, jak trudno mi od ciebie tak po prostu odjechać? Jakby wrywano mi serce.

- Wciąż nie rozumiem, dlaczego musi tak być - odparłam.

- Są pewne powody. To ostatnia rzecz, w jaką chcę się angażować, zwłaszcza teraz. Wiesz o tym, kochanie.

- Więc jedziesz uratować cały światowy system bankowy? - Spróbowałam się uśmiechnąć.

- Bynajmniej.

- Wiesz, co mnie naprawdę drażni? - Odsunęłam się. - Ty jedziesz w samo centrum wydarzeń, a ja tkwię tu, na farmie. A też przecież tam byłam, zaledwie kilka miesięcy temu. Czułam się ważna. Jakbym robiła coś, co ma znaczenie.

- Kate, jesteś ogromnie ważna dla mnie - odparł, przyciągając mnie do siebie. - Czy to nie ma znaczenia?

- No tak. Zajęcia w szkole biznesu zaczęły się dwa tygodnie temu, wygląda więc na to, że na razie pozostaniesz jedyną osobą, która może się pławić w chwale mojej ważności.

Znieruchomiał na chwilę.

- Jesteś nieszczęśliwa?

- O mój Boże, Julian! Oczywiście, że jestem szczęśliwa. To najcudowniejsze lato w moim życiu. Tyle że zawsze byłam niezależna. Nigdy nie pozwalałam sobie na to, by wybrać najłatwiejszą drogę do celu. A teraz,

nagle mam tu idealne życie i nawet nie musiałam kiwnąć palcem. Nie zasłużyłam na ciebie. - Wyciągnęłam ręce i splotłam je na jego karku. - Jakbyś spadł mi z nieba, moja brakująca połówka. Zakochany we mnie.

Jego dłonie przesunęły się ciężko po mojej talii.

- I to ci nie wystarcza?

- Nie wystarcza? To za wiele, Julianie. To zbyt łatwe, że nie zarabiam na własne utrzymanie. I że ci płacę w ten sposób. - Posłałam mu sarkastyczne spojrzenie. - Tylko leżąc na plecach.

Na te słowa wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie tylko na plecach.

- Ha, ha, ale śmieszne.

- Powiedz tylko słowo, a natychmiast zawiozę cię do ratusza i skończę te wszystkie brednie o zależności.

- Ale sytuacja się nie zmieni. Będzie się tylko nazywała inaczej, prawda?

Przytulił moją głowę do piersi.

- Kate, proszę.

- Przepraszam. - Oparłam czoło o jego koszulę, wchłaniając go. - To się chyba nazywa zderzenie kultur.

- Istnieje różnica między dawaniem a dzieleniem się, kochanie. Ja ci niczego nie daję. Jesteś częścią mnie. To wszystko jest po prostu twoje.

- Hmm. - Odchyliłam się do tyłu i uśmiechnęłam do niego. - Spójrz tylko na siebie. Masz ten sam wyraz twarzy, kiedy studiujesz jakieś wykresy giełdowe.

- Jesteś o wiele bardziej skomplikowana niż jakkolwiek wykresy giełdowe. Należy ci się wytchnienie, kochanie.

- Ale nie na zawsze.

- Posłuchaj - odezwał się, wciąż ze zmartwioną miną. - Jeśli chciałabyś tu zaprosić Michelle czy Samanthę, twojego brata albo ponownie rodziców...

Zagryzłam wargę. Oczywiście kochałam rodziców, ale nie doszłam jeszcze do siebie po ich niezręcznej pierwszej wizycie prawie dwa miesiące temu. Julian, ten honorowy kretyn, zadzwonił do mojego ojca, zanim oświadczył mi się w maju, prosząc o zgodę - zgodę, a nie błogosławieństwo - by mnie poślubić. Tata, który pewnie czuł się trochę jak biedny stary pan Bennet, nie ośmielił się mu odmówić. Ale razem z mamą dwa tygodnie później wsiedli w samolot, by osobiście sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

Julian był naturalnie absolutnie czarujący: idealny gospodarz, uważny i skłonny do konwersacji, i traktował ich z synowskim szacunkiem, mnie zaś jak zwykle z nieskrywaną swobodną czułością. Żeglowaliśmy, zwiedzaliśmy, zjedliśmy kolację w jednym ze słynnych miejscowych zajazdów, a ostatniego wieczoru tata i Julian obsługiwali nowiutkiego grilla z heinekenami w rękach, dyskutując o stekach i bejsbolu.

- I co myślisz, kochanie? - spytała mama, gdy zauważyła, jak się im przyglądam z kuchni przez balkonowe drzwi.

- Że to po prostu świetnie, że się tak dobrze dogadują.

- Och, twój ojciec całkowicie się już do niego przekonał. Naprawdę przypadł mu do gustu. Mówiłam mu zresztą - dodała z cichym westchnieniem. - Nie sądziłam, że są jeszcze tacy mężczyźni.

Miałam już na czubku języka: „Tak właściwie to już nie ma”, ale uświadomiłam sobie, że nie mogę jej o tym powiedzieć. Że nigdy nie będę mogła jej zdradzić tej podstawowej prawdy. Wtajemniczenie ich w sytuację należało do Juliana. I choć nigdy nie łączyły mnie naprawdę bliskie stosunki z matką, to to objawienie uderzyło mnie z nieoczekiwaną brutalnością.

- Na pewno byliby zachwyceni ponowną wizytą - odparłam niechętnie. - Albo Michelle czy Samantha. Ale nie o to mi chodzi. Chcę pojechać z tobą do miasta, a ty mi nie pozwalasz.

- Nie zakazuję ci. - Spojrzał na mnie zgorszony.
- Tylko cię proszę.

- I wywierasz na mnie straszny moralny nacisk.

- Kochanie, gdyby z mojego powodu i z powodu mojej trudnej przeszłości spadł ci choć włos z głowy, nigdy bym sobie tego nie wybaczył. To dlatego trzymałem się od ciebie z daleka dopóty, dopóki nie zabrakło mi na to siły woli. - W jego głosie słychać było udrękę. - To moja słabość naraziła cię na niebezpieczeństwo.

Ujęłam w dłoń jego twarz.

- Julianie, nie bądź śmieszny. Sama to wybrałam. Wybrałam ciebie. A więc cokolwiek mi się przytrafi, nie będzie twoją winą. - Uśmiechnęłam się i splotłam palce na jego karku. - Więc ruszaj. Ocal świat. Zrób to, co masz do zrobienia. Pomyśl tylko o tym, co ci powiedziałam, dobrze? Proszę. Bo nie możesz wiecznie trzymać mnie pod szklanym kloszem. Nie pozwolę ci na to.

Pocałował mnie czule, a potem namiętnie. Stałam na podjeździe, machając mu, póki nie zniknął za zakrętem.

Nadszedł czas, by zadzwonić do Charliego. Dość już tego czekania.

Rozdział 19

- Co to ma być? Jakaś ucieczka z więzienia? Będzie na ciebie wkurzony?

Przewróciłam oczami i upiłam łyk kawy tylko po to, żeby pokazać, jaka jestem zrelaksowana.

- Nie bądź głupi, Charlie. Nie trzyma mnie tam jak jakiegoś więźnia.

Siedzieliśmy w kawiarence na zewnątrz, przy skrzyżowaniu Broadway i Sto Szesnastej, niedaleko kampusu Uniwersytetu Columbia, gdzie Charlie przyzwyczajał się do studenckiego życia przed rozpoczęciem pierwszego semestru w szkole biznesu. Letnie powietrze przesyciła woń Manhattanu, obca i zarazem znajoma - spaliny, rozgrzane chodniki i kwaśni ludzie - tak bardzo różna od gęstego zapachu zieleni w Connecticut.

- No to po co te sekrety? Trochę mnie to przeraża, stara. Może się do mnie dostać, jeśli się dowie.

- Nigdy by tego nie zrobił. To w ogóle nie w jego stylu.

- Tak myślisz? Stara, czy ty masz w ogóle pojęcie, co się przez ostatnie trzy miesiące działo w Sterling Bates? Ten twój facet ma jaja z żelaza.

- To było co innego. Chodziło o Alicie.

- Stara, to wygląda tak, jakby próbował rozwalić cały ten pieprzony bank. To pokręcone. Musi naprawdę mieć fioła na twoim punkcie.

- Nie próbuje rozwalić żadnego banku, Charlie. To akurat w Sterling Bates robią sobie sami.

- Cóż, ktoś z Southfield bardzo im w tym pomaga. To gówno, o którym słyszałem... - pokręcił głową i dopił swoją kawę.

Zmarszczyłam brwi.

- Jakie?

- Ta wielka transakcja, o której ci mówiłem, zanim ci się oberwało w maju, została im podsunęta głównie przez Southfield. - Pochylił się w moją stronę. - A to było totalne gówno. Wciąż jeszcze zalega i nie mogą się tego pozbyć. Wszystko, kurwa, lewarowane i tak dalej. Ciemno to widzę.

- Poczekaj chwilę. O jakich papierach wartościowych mówimy?

- Nie wiem. Jakieś papiery dłużne CDO. Domyślam się, że hipoteki.

- A więc może to była ta umowa Alicii... - odparłam

powoli. - Skłoniła jednego z naszych maklerów, żeby kupił ich papiery, a w zamian za to Southfield zgodziło się mnie wystawić...

- Laurence cię wystawił?

- Nie, jeden z jego maklerów - parsknęłam. - No to jedna tajemnica rozwiązana.

- Laurence ci nie powiedział?

- Nie pytałam. Założyłam po prostu, że szantażowała tego faceta. Tak zwykle działa. Rany, nic dziwnego, że mnie zwolnili. Musieli myśleć, że próbuję rozwalić firmę.

- Cóż, słyszałem, że mają teraz spotkanie w siedzibie.

- K t o ?

- Wszystkie wielkie kutasy. Ministerstwo finansów, Bank Federalny, dyrektorzy naczelni. Próbują ratować ten pierdolony tonący okręt.

Szczęka mi opadła.

- I to jest to wielkie spotkanie? Ratowanie Sterling Bates?

- A dlaczego nie?

Poruszyłam się na krześle, czując, jak jest twarde. To dlatego Julian miał taką paranoję na punkcie mojego bezpieczeństwa...

- Więc Laurence pewnie też tam jest. I nawet ci nie powiedział?

Rzuciłam się bronić Juliana.

- Nie mógł, ty kretynie. To nie jest publiczne.

- Cóż, no wiesz, ja o tym słyszałem - odparł Charlie.
- Więc ktoś niezbyt dobrze dochowuje tajemnicy.

- W każdym razie to nie Julian. On nigdy by mnie nie postawił w takiej sytuacji.

Charlie oparł się na swoim krześle i spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał. - Chyba nie wracasz do gry?

- Oczywiście, że wracam. Nie jestem emerytką, Charlie. Mam swoje ambicje.

- Rany! Wow! - Przekrzywił głowę. - Teraz jesteś ustawiona, nie? Możesz dostać każdą robotę, jaką zechcesz.

- Och, proszę! Będę musiała zgłosić się ponownie do szkoły biznesu...

Roześmiał się głośno.

- O czym ty, kurwa, mówisz?! Nie potrzebujesz już jakiejś szkoły biznesu, stara. Jesteś laską Laurence'a. Robota jest, kurwa, twoja!

- Nie zamierzam prosić Juliana, żeby pociągał dla mnie za jakieś sznurki!

- Nie będziesz musiała. Każdy wie, kim jesteś. Każdy chce mieć u niego plusa. - Charlie wzruszył ramionami.
- Teraz możesz robić, co ci się, kurwa, żywnie podoba. Jeśli ci na to pozwoli.

Nagle lekki wietrzyk, jakby podkreślając jego słowa, rozwiął kosmyki moich włosów na skroniach

i pomyślałam z niedowierzaniem: on ma rację. Prze-
spaliśmy całe lato w Connecticut, żyjąc prosto i pławiąc
się w blasku miłości Juliana, i nie pomyślałam nawet
o tym, jak coś tak osobistego może wpłynąć na mo-
ją karierę. Nie przyszło mi nawet do głowy, że każdy
na Wall Street będzie błagał na kolanach, by tylko za-
trudnić narzeczoną Juliana Laurence'a. Mogłam robić,
co chciałam, co w rzeczywistości oznaczało, że nic już
nie mogłam. Bo nic już nie będzie moją zasługą. Nie
jako Kate Wilson. Mój mózg się zatrzymał, próbując
przetworzyć te informacje.

- Wiesz - powiedziałałam drętwo, spoglądając na le-
żący na stoliku BlackBerry. - Powinnam dać mu jakiś
sygnał.

- Sygnał? Stara, to jednak jest ucieczka z więzienia.

- To nie tak. Po prostu próbuje mnie chronić.

- To jakaś pieprzona paranoja.

- Cóż, postaw się na jego miejscu. Ma pieniądze.
Ktoś mógłby mnie na przykład porwać. I tak jestem
szczęściarą, że nie muszę chodzić z ochroniarzem.

- A skąd wiesz, że go nie wynajął?

- Bądź poważny. Powiedziałyby mi o tym. Spytałby
mnie najpierw o zdanie.

Charlie się roześmiał i usiadł wygodniej na krześle,
wyciągając nogi.

- No cóż, teraz to na pewno zrobi, jeśli się dowie,
gdzie jesteś.

Posłałam mu rozdrażnione spojrzenie i wzięłam do ręki telefon.

*Puszczam ci sygnał, jak prosileś. Tęsknię za tobą.
Kiedy wracasz do domu?*

Już miałam nacisnąć „wyślij”, gdy poczułam nagłe ukłucie ciekawości i mój palec znieruchomiał.

Słyszałam od Charliego, że to twoje spotkanie dotyczy SB. Prawda, fałsz, bez komentarza?

Natychmiast przyszła odpowiedź:

Bez komentarza. Podejrzewam, że ja tęsknię bardziej.

Głos Charliego przedarł się przez mgiełkę mojego szczęścia:

- Spójrz tylko na ten twój zadurzony uśmiech. Nieźle cię wzięło, stara. Co napisał?

- Nie twój interes, stary.

Telefon znów zabrzączał. Spojrzałam na wyświetlacz.

Co jeszcze mówi Chanie?

Błyskawicznie odpisałam, chichocząc:

Że chyba nieźle mnie wzięło, bo mam wielki głupawy uśmiech na twarzy.

Wyślij. Czekaj. O cholera.

Zadzwoił telefon.

- Gdzie ty dokładnie jesteś, Kate? - spytał rzeński głos z brytyjskim akcentem.

Jakieś trzy metry od nas rozległ się dźwięk klaksonu taksówki. Odchrząknęłam.

- Mmm... na rogu Broadway i Sto Szesnastej. Mam tu coś do załatwienia i zaczęło mi trochę odbijać, kiedy siedziałam sama. Pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę.

- No to zrobiłaś. - Wciąż brzmiał o wiele za łagodnie.

- Julian, wszystko jest w porządku. Jest ze mną Charlie. Siedzimy w kawiarni, widzą nas setki ludzi. Całkowicie, absolutnie bezpiecznie. O wiele bezpieczniej niż w Lyme, gdzie nikt by nawet nie usłyszał mojego krzyku.

Milczenie.

- Julian, proszę, powiedz coś. Nie złość się na mnie.

- Nie złość się. Myślę.

- Słuchaj, nie chciałam, żebyś się martwił. Nie chodzi o to, że... - Zerknęłam na Charliego i dałam sobie spokój.

Wyglądało na to, że Julian czytał mi w myślach.

- Hmm... Charlie wciąż tam jest?

- T a k .

- Daj mi go.

Podaliśmy telefon Charliemu.

- Chce z tobą rozmawiać.

Charlie zrobił się blady jak ściana.

- Kurwa, stara - syknął. - Co mam powiedzieć?

- No daj spokój, Charlie. - Uśmiechnęłam się. - Choć raz pokaż, że masz jaja.

Spiorunował mnie wzrokiem i wziął telefon.

- Tak, proszę pana? - spytał. Słuchał uważnie przez kilka sekund. - Eee... Nie, jeszcze nie... Nie, nie mam żadnych planów... Tak, mógłbym... Nie ma problemu... Ani na chwilę, obiecuję... Co godzinę... O ósmej, tak... W porządku. Do widzenia.

Oddał mi telefon. Przysunęłam go do ucha, ale Julian już się rozłączył.

- No i? - spytałam.

Charlie założył ręce i uśmiechnął się szeroko.

- Myślę, że Pan Gruba Ryba właśnie wynajął ci na dziś ochroniarza.

- A o co chodziło z tą ósmą? - spytałam Charliego pół godziny później, gdy jechaliśmy metrem na Siedemdziesiątą Dziewiątą, by złapać autobus na drugą stronę miasta, do mojego mieszkania.

- Nie jestem pewien. Powiedział mi tylko tyle, ile musiałem wiedzieć - wyznał Charlie.

- I nie sądzisz, że ja też powinnam wiedzieć?

- Stara, teraz odpowiadam tylko przed Laurence'em.

A jak to w ogóle z wami jest? Jesteście zaręczeni czy jak? - Wskazał głową na moją lewą rękę, która trzymała słupek.

- Tak jakby - odparłam, zmieniając ręce.

- Rany, niezbyt imponująca błyskotka jak na miliarda. Powinnaś domagać się od niego czegoś lepszego.

- To nie w moim stylu.

Pokiwał mądrze głową.

- Pewnie dlatego tak cię uwielbia.

Pociąg wjechał na stację przy Siedemdziesiątej Dziewiątej i wysiedliśmy. Mój telefon zabrzczczał, kiedy tylko komórka złapała zasięg.

Chcesz tu zostać dziś na noc?

Cóż, to było coś.

- Poczekaj chwilę, Charlie - powiedziałam i usiadłam na ławce, żeby odpisać.

Oczywiście. A niby gdzie?

- No, chodźże, stara - odezwał się Charlie. - Autobus ma gdzieś to, kto jest twoim facetem.

Ruszyłam za nim po schodach na przystanek linii 79 przy Broadwayu, a tam przyszedł kolejny e-mail.

Masz z sobą klucz?

Autobus zatrzymał się z sykiem, weszliśmy do środka i usiedliśmy.

Ja: Tak. Mówiłam, że chcę ci zrobić niespodziankę.

Julian: W takim razie rozgość się. Charlie ma z tobą zostać, póki nie wrócę. Gdzie jesteście?

Ja: W autobusie 79, przejeżdżamy przez park.

Julian: Proszę, poinformuj Charliego, żebyście już nie wsiadali do żadnych cholernych autobusów. Natychmiast zadzwonić do Allegrы i załatwicie samochód.

Ja: Tak jest, kapitanie.

Julian: Bądź wreszcie poważna. Zrób też rezerwację na kolację o ósmej w Per Se. Spróbuję tam dotrzeć. Jeśli mi się nie uda, weź Charliego.

Ja: Wrócisz do domu na noc?

Julian: Nie jestem pewien. Wchodzę z powrotem na spotkanie. Uważaj na siebie, ukochana. Proszę. Moje życie spoczywa w twoich rękach. XX.

- Miłość jest do dupy, co? - spytał Charlie.
- Wcale nie. - Wsunęłam telefon do torebki. - Jest cudowna. Sam kiedyś spróbuj.

Wyszczrzył zęby.

- Muszę przyznać, że w twoim wypadku się sprawdza.

Spójrz tylko na siebie, stara. Cała promienna i takie tam...
Wygląda na to, że dobrze cię bzyka.

- Dzięki, Charlie. Wystarczy.

Prychnął.

- Mam rację, co? O rany! Ten koleś jest pierdolonym ogierem.

Frank był przy telefonie, gdy tanecznym krokiem przeszłam przez hol mojego apartamentowca. Akurat odkładał słuchawkę.

- Proszę chwilę poczekać - powiedział do rozmówcy.

- Kate! Wieki cię nie widziałem.

- Cześć, Frank. Przyszłam tylko zabrać parę rzeczy.
Jest Brooke?

- Nie widziałem, żeby wychodziła. Masz jeszcze swój klucz?

- O tak. Oczywiście. No to na razie.

Wyglądał, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale wrzucił tylko lekko ramionami.

- Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować - powiedział, znów przykładając słuchawkę do ucha.

W dużym pokoju nie było śladu po Brooke, ale drzwi od jej pokoju były zamknięte. Pewnie odsypiała. Rozejrzałam się, myśląc o tym, jak po raz ostatni tu stałam, i o wszystkim, co wydarzyło się od tej pory.

- Rany - mruknęłam do siebie, wrzucając klucze do koszyka.

- Mogę sobie włączyć twój telewizor? - spytał Charlie.

- Rozgość się. Pójdę po moje rzeczy - odparłam i przeszłam do sypialni.

Wyjeżdżałam stąd w pośpiechu. Kilka szuflad wciąż było trochę przekrzywionych, jakby ktoś spieszył się, kiedy je zamykał. Pudełka z segregatorami, w których były moje papiery, wciąż stały na łóżku. Jak mogłam być tak niechlujna? Zmarszczyłam brwi i podeszłam do nich. Dziwne. Wyglądało, jakby ktoś w nich grzebał.

Spróbowałam sobie dokładnie przypomnieć, co robiłam tamtego popołudnia. Upłynęło w takim chaosie aktywności i emocji, a wszystko przyćmiewało to, co nastąpiło później... Mimo wszystko byłam pewna, że nie przeglądałam moich dokumentów o kredytach studenckich, kopii świadectw albo starych listów. Ale najwyraźniej ktoś to robił.

Szybko upchnęłam papiery z powrotem do pudełek i podeszłam do komody, żeby poprawić szuflady. Zatrzymałam się. Do lusterka powyżej przyklejona była taśmą jakaś ledwo czytelna wiadomość : „Dzwonił lek. w spr. opuszcz. wiz.”.

Wizyta u lekarza? Jakim cudem ją przegapiłam? No tak. Mój terminarz był przecież w starym BlackBerry. No cóż, trzeba się będzie umówić jeszcze raz. Już najwyższa pora, żeby wypisał mi nową receptę na tabletki... O. Jasna. Cholera.

Moje palce zrobiły się zimne. Usiadłam, próbując zapanować nad chaosem w głowie. Ile czasu minęło? Ile, do cholery?

Walizkę zostawiłam w przedpokoju. Mój zestaw podróży był w środku. Oszołomiona wróciłam do dużego pokoju, gdzie Charlie stał przed telewizorem i oglądał CNBC.

- Stara - odezwał się, nie odrywając wzroku od ekranu. - Ekipy telewizyjne są już przy wejściu. Chwilę temu pokazywali twojego faceta, jak wchodzi do środka.

- Och, naprawdę?

Złapałam walizkę, zaniosiłam ją z powrotem do sypialni i rozpięłam zamek błyskawiczny. Mój zestaw podróży leżał na samym dnie, pod jakąś koronkową bielizną, którą spakowałam na wszelki wypadek. Otworzyłam go powoli i zaczęłam starannie i metodycznie przerzucać jego zawartość. Tak, było tu. Moje okrągłe różowe etui na tabletki. Zawsze kupowałam zestawy dwudziestojednodniowe, bo uważałam, że to irytujące przez pozostałych siedem dni brać placebo. Tyle że w ten sposób łatwo było zapomnieć o tym, by zacząć kolejne opakowanie. Po prostu się o tym... zapominało. Wychodziło z nawyku. Zwłaszcza gdy ktoś był zakochany do nieprzytomności i jego mózg nie funkcjonował jak należy.

W porządku. Zachować spokój. Kiedy ostatni raz miałam miesiączkę? Nie tak dawno, prawda? W drugim tygodniu sierpnia. Pamiętałam to dokładnie, bo

skończyła się w takim świetnym momencie, na dzień, zanim wypłynęliśmy jachtem do Newport na od dawna obiecany wspólny weekend. Mogłam sobie pozwolić na to cudowne uczucie, gdy Julian wsuwał klucz do drzwi pokoju hotelowego, jakbyśmy byli potajemnymi kochankami. A przecież nosiłam już na palcu jego pierścionek i nim nadszedł sierpień, byliśmy już z sobą tak związani, że ceremonia ślubna wydawała się zbędną formalnością. Julian zarezerwował dla nas najbardziej luksusową suitę, a na nocnym stoliku chłodził się szampan, czekały trufle czekoladowe i dojrzałe truskawki. Chwycił mnie w ramiona i zaczął całować, gdy tylko zamknęły się drzwi. Tego popołudnia obserwowałam go zafascynowana, jak spał na brzuchu, a na jego twarzy malował się całkowity spokój. Nagie plecy, przekreślone białym prześcieradłem tuż powyżej krzywizny pośladków unosiły się i padały w powolnym, cierpliwym rytmie oddechu. Na prawym przedramieniu widziałam nieregularną linię jego blizny. Dziękuję ci, modliłam się w zachwycie. Tak bardzo ci dziękuję. Dobrze się nim zajmę, obiecuję.

W końcu wstałam, bo miejsce, w którym się znaleźliśmy, przypomniało mi o nierozwiązanej kwestii tożsamości nadawcy książki. A ja nadal miałam zdobyty numer w moim BlackBerry. Gdy Julian spokojnie drzemał na łóżku, wymknęłam się do dużego pokoju i spróbowałam jeszcze raz. Rozległ się jeden sygnał, a potem ktoś odebrał.

- Warwick - powiedział opryskliwie.

Rozłączyłam się. Później tego wieczoru spytałam Juliana spokojnie, dlaczego mi nie powiedział, że to Geoff Warwick przysłał mi książkę. Z początku milczał, ale w końcu pocałował mnie w skroń i powiedział:

- Bo jest moim najbliższym przyjacielem i chcę, żebyście się dogadali.

- Powinieneś bardziej we mnie wierzyć.

Parsknął cicho.

- Szczerze mówiąc, kiedy już wiedziałem, że to nikt niebezpieczny, to przestało mieć znaczenie. W sumie zapomniałem o całej sprawie. - Dotknął ustami mojego nagiego ramienia. - Jesteś zła?

- Tak jakby. Ale teraz to chyba już stare dzieje, prawda? - Okręciłam się w jego ramionach i spojrzałam mu w twarz.

Pocałował mnie w nos. Zasnęliśmy, a następnego ranka pożeglowaliśmy z powrotem do Lyme. Gdzie nie zaczęłam nowego opakowania tabletek.

Siedziałam teraz na łóżku, gapiąc się na puste etui w ręce. Nie ma powodów do paniki. Zobaczmy, jak wygląda statystyka. Czy nie było przypadkiem tak, że szansa w danym miesiącu to jeden do dziesięciu nawet bez środków antykoncepcyjnych? A może to było jeden do trzech? O cholera. Położyłam rękę na brzuchu. Na pewno nie. O mój Boże! Julian by mnie zabił. Albo nie, nie zabiłby mnie. Pewnie bardzo by się ucieszył

z wymówki, by co żywo zawlec mnie przed ołtarz. Ale nie wybaczyłabym samej sobie, że wciągnęłam go w taką pułapkę.

Jak, u diabła, mogłam zapomnieć? Po prostu zapomnieć? Ot, tak? Przez cały cholerny miesiąc? Ja, taka zorganizowana i metodyczna? Tak mi się pomieszało w głowie? Nawet raz nie przeszła mi przez głowę myśl: „Cholera, Kate, brałyśmy ostatnio nasze tabletki?”. Ani razu. Niemal jakbym chciała zająć w ciążę. Jakby zawładnęła mną jakaś bezwstydną, podświadoma potrzeba. Nie, to niemożliwe.

Moje palce zaczęły drżeć. Jaki dziś dzień? 29 sierpnia. Ile dni upłynęło? Spróbowałam policzyć i poddałam się. Wystarczyła mi świadomość, że jeśli to się stało, to już się nie odstanie. Trzeba po prostu czekać. Zapomnieć o tym na jakiś tydzień, aż będę mogła wiedzieć na pewno. Miałam za dużo innych spraw, o które musiałam się martwić.

Wstałam i zaczęłam wrzucać do torby różne rzeczy: buty, których mi brakowało, ulubioną chustkę na głowę na dni, gdy moje włosy nie wyglądały najlepiej, kilka koszul, dzinsy... Potem zapięłam suwak, schowałam pudła z segregatorami z powrotem pod łóżko i wróciłam do dużego pokoju.

- Stara, to jakiś odjazd - powiedział Charlie, wciąż gapiąc się w telewizor. - Tam jest Bartiromo i próbuje prowadzić wywiady z ludźmi. Wciąż pokazują to ujęcie, jak Laurence wchodzi do budynku. Patrz, znowu!

Mrużąc oczy, spojrzałam na ekran i zobaczyłam Juliana. Jego włosy lśniły w świetle reflektorów. Miał na sobie granatowy garnitur i czerwony krawat od Hermesa. Pewnym krokiem wchodził przez obrotowe drzwi i szybko machnął ręką w stronę tłumu reporterów, wykrzykujących do niego jakieś pytania. Niesamowicie fotogeniczny. Nic dziwnego, że wciąż to puszczała.

- Co mówią? - zmusiłam się, by spytać. By w ogóle o tym pomyśleć.

- Wielkie pytanie brzmi: pozwolą mu upaść czy nie.
- Charlie założył ręce za głowę.

- Upaść? - To do mnie dotarło. - Upaść? Naprawdę?

Nie przyszło mi do głowy, że Sterling Bates, to czcigodne i wspańiałe Sterling Bates, mogłoby się naprawdę rozwalić. To było nie do pomyślenia. Czyżby Alicia rzeczywiście tego dokonała? Czyżby jedna bezmyślna, małostkowa, mściwa suka załatwiła Sterling Bates?

- To właśnie mówią - odparł Charlie. - Przed chwilą pokazywali Gasparino, który wspominał o Southfield... No, wprawdzie nie wymienił go z nazwy, ale mówił o „pewnych funduszach hedgingowych”... i o plotkach, że to one załatwiły na amen Sterling Bates kiepskimi aktywami. Cała ta skarga do Komisji Papierów Wartościowych, którą złożyli w maju... Gadał też coś w stylu: „A oto i Julian Laurence, szef Southfield Associates, wchodzi

do budynku. Ciekawe, o co tu chodzi...". - Charlie pokręcił głową. - Nie daj mu się wywinać, stara. Wyciągnij z niego całą prawdę. Użyj tych swoich sztuczek. To jest historyczna sprawa.

Historyczna. Poczułam, jak chłód przepływa mi po kręgosłupie.

- Dobra - odkaszlnęłam. - Mam już wszystko, czego potrzebuję. Spadamy?

Charlie spojrzał na mnie.

- Co takiego? A tak, pewnie - odparł, sięgając po pilota i wyłączając telewizor. - Gdzie jedziemy?

- Chyba po prostu do domu Juliana, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Pewnie. Jestem tylko ochroniarzem. Mogę, no nie wiem, ponieść ci torbę?

Poszliśmy Lexington i dotarliśmy do Siedemdziesiątej Czwartej, gdzie znajdował się dom Juliana. Sięgnęłam do torby po klucz, ale nie mogłam go znaleźć.

- Poczekaj chwilę - powiedziałam, biorąc bagaż od Charliego i stawiając go na werandzie. - Na pewno gdzieś tu jest. Pewnie na samym dnie... - Zaczęłam szukać koperty, którą dał mi tyle miesięcy temu.

- Hej, stara - odezwał się Charlie cicho. - Nie chciałbym, no wiesz, podsycać paranoi, ale faktycznie jakiś facet kręci się tam na rogu. Przed chwilą się tutaj patrzył.

- Co takiego?! - zawołałam, prostując się.

- Widzisz? Na rogu Park Avenue.

Zerknęłam w tamtą stronę i zdążyłam jeszcze dojrzeć jakiegoś mężczyznę znikającego za rogiem apartamentowca przy kolejnej przecznicy.

- Jesteś pewien, Charlie? Właśnie sobie poszedł.

- Stara, stał tam i na nas patrzył. Przysięgam.

- Cóż, teraz go już nie ma.

- Chcesz, żebym poszedł sprawdzić?

- Strasznie poważnie traktujesz bycie moim ochroniarzem, co?

- Tak, no cóż. Nie chcę, żeby Pan Gruba Ryba mnie dorwał, jeśli ktoś cię porwie. On by mnie, kurwa, zabił.

- Cóż, ten podglądacz już sobie poszedł, więc nie przejmuj się tym. Znalazłam klucz. Mam kod do alarmu.

Weszliśmy do środka i otoczyła nas woń drewna i tynku wypełniająca stary dom, który przez całe lato stał pusty. Rozejrzałam się po przedpokoju. Był dokładnie taki, jak go zapamiętałam. W ubiegłe święta stałam właśnie tutaj, gdy Julian spytał, czy może się jeszcze ze mną zobaczyć, i musnął palcem mój podbródek. Dotknęłam dłonią tego miejsca.

- Miło tutaj - stwierdził Charlie. - Dobra robota, Wilson.

- No, dzięki.

Przeszłam do dużego pokoju, by wyjrzeć przez okno na róg ulicy. Stał tam, oparty o ścianę budynku, mężczyzna, na którego zwrócił uwagę Charlie, i rozmawiał z kimś żywo przez komórkę, gapiąc się na drzwi domu Juliana.

Rozdział 20

Ukrywałam się posłusznie z Charliem przez cały dzień z wyjątkiem jednego krótkiego wypadu po podstawowe produkty spożywcze. Oglądaliśmy CNBC i śledziliśmy Internet, próbując rozgryźć, co się dzieje. Ze spotkania nie wyciekły żadne nowe informacje, więc w telewizji pokazywano do znudzenia Juliana wchodzącego do budynku Sterling Bates i różnych ekspertów spekulujących, co może się dzieć wewnątrz.

Gdy zbliżała się pora kolacji, wysłałam Julianowi wiadomość:

*Wracasz do domu dziś wieczorem? Co się dzieje?
CNBC pokazuje cię przez cały dzień.*

Błyskawicznie odpisał: *Nie zdążę dziś na kolację.
Na pewno wrócę do domu, żeby się przespąć kilka go-
dzin. Nie czekaj na mnie.*

Spojrzałam na Charliego.

- Chyba jest zmęczony. I chyba też trochę marudzi.

- To twój problem - ziewnął - nie mój. Stara, mogę tak iść do Per Se?

Przyjrzałam się mu. Miał na sobie porządną koszulę z kołnierzykiem przypinanym na dwa guziki i spodnie khaki, ale nie miał krawata.

- Nie wiem, nigdy tam nie byłam. Może pójdziesz na górę i pożyczysz sobie jakiś krawat?

Zmarszczył brwi.

- Nie będzie zły?

- Jeśli będzie, to powiem, że to moja wina, dobra?

Wstałam i poszłam z nim, zabierając z sobą torbę podróżną. Wiedziałam, że sypialnia Juliana musiała być gdzieś na tyłach, bo byłam już wcześniej w pokoju z fortepianem położonym od frontu.

Przy końcu korytarza rzuciłam moją torbę i otworzyłam drzwi. Miałam rację. To był zdecydowanie jego pokój. Surowe ciemne meble, biała pościel. Postawiłam torbę w kącie i rozejrzałam się za szafą. Były tu tylko jedne drzwi oprócz wejściowych. Otworzyłam je i stwierdziłam, że prowadzą do krótkiego korytarza z szeregiem wyłożonych szaf po obu stronach i łazienką na końcu. Nie miałyby nic przeciwko temu, prawda? Nie zamierzałam przecież szperać w jego rzeczach. Chciałam tylko znaleźć krawat.

Oczywiście, że nie miałyby nic przeciwko temu. Wręcz chciałyby, żebym to zrobiła. Usłyszałam w głowie jego

lekko zniecierpliwiony głos: „Na litość boską, Kate, przecież to teraz twój dom”.

Otworzyłam jedną z szaf i ku mojemu zdziwieniu stwierdziłam, że jest całkowicie pusta. Zmarszczyłam brwi i zajrzałam do kolejnej: również pusta. I następna, tym razem z szufladami, też. Nic prócz wieszaków, szuflad i pustych przestrzeni pachnących farbą i świeżym drewnem, nigdy nieużywanych.

Odwrociłam się i otworzyłam jedne z drzwi po drugiej stronie korytarza. Ujrzałam schludny szereg czarnych garniturów. Dotknęłam jednego z nich. Przesunęłam dłońią po spadzistym ramieniu i poczułam pod palcami gładką, ciasno splecioną tkaninę. Doszedł mnie słaby zapach cedru. Na króciutką chwilę dotknęłam ustami granatowej wełny, po czym zamknęłam drzwi.

W następnym segmencie były szuflady, ale nie było w nich żadnych krawatów. Znalazłam je dopiero w trzecim, wraz z koszulami Juliana. Dzięki Bogu. Wzięłam pierwszy z brzegu, szybko zamknęłam drzwi i przez długą chwilę wpatrywałam się w przeciwległą ścianę, ścianę pustych szaf.

Czekały na kogoś, kto będzie ich używać.

Samochód przyjechał punktualnie o siódmej czterdzieści pięć - dyskretny czarny sedan, dokładnie taki jak ten, którym wracaliśmy do domu po imprezie

charytatywnej, i jak wszystkie te czarne samochody, którymi przez ostatnie trzy lata jeździłam do domu ze Sterling Bates około trzeciej nad ranem.

- Przyjaciele pana Laurence'a - wyjaśniłam kierownikowi lokalu, gdy dotarliśmy na miejsce.

- Tak, oczywiście, pani Wilson - odparł. - Proszę za mną.

Minęliśmy wszystkie stoliki i przeszliśmy do osobnego pomieszczenia. Tam, przy stole siedzieli moi rodzice, mój brat i Michelle.

Zatrzymałam się oszołomiona.

- O mój Boże! Co wy tutaj robicie?

W jednej chwili wszyscy byli przy mnie, śmiejąc się, ściskając mnie i tłumacząc.

- Ten twój słodki młody człowiek - szepnęła mi do ucha mama, otaczając mnie kochanym, dobrze znanym zapachem perfum Joy - sprowadził nas tutaj po południu swoim prywatnym samolotem!

- Co takiego? Jakim prywatnym samolotem? - Ten jego udział w NetJets... O nie! Nie zrobił tego! O nie!

- O mój Boże, Kate, było tak fajnie! - zawołała Michelle, która normalnie była raczej niewzruszona. Chwycała mnie za rękę. - Szampan i w ogóle. Ale super!

- A l e kiedy on... Kiedy to wszystko zaplanował? - spytałam zdumiona, gdy zaczęliśmy siadać przy stole.

- Zadzwonił do nas wszystkich dziś rano - wyjaśniła mama - i zapytał, czy moglibyśmy się dziś wybrać

do Nowego Jorku i trochę z tobą побыć, bo on będzie uwiązany na jakichś spotkaniach i nie chce, żebyś się nudziła. - Jej oczy błyszczały.

- Rany, Kate - wyszeptała mi Michelle do ucha. - Co ty zrobiłaś temu facetowi? Gdzie go znalazłaś?

- Samanthę też zaprosił?

- Tak, ale nie mogła przyjechać. Praca. Z tego, co wiem, Julian zaproponował, że pogada z jej szefem, lecz była zbyt zakłopotana.

Schowałam twarz w dłoniach.

- Przepraszam was na chwilę.

Wstałam i przez chwilę próbowałam dojść do siebie, nim wyjęłam z torebki BlackBerry, by zadzwonić do Juliana. Usłyszałam kilka sygnałów, a potem odebrał.

- Kochanie? Przepraszam, musiałem się wymknąć, nim mogłem odebrać.

- Julian, ty... ty... Nawet nie wiem, co powiedzieć. Tak strasznie przesadziłeś! O mój Boże!

- Szs... Wszyscy przyjechali?

- Nie musiałeś tego robić.

- Owszem, musiałem. Na górze jest mnóstwo wolnych sypialni i chcę, żeby wszystkie były wypełnione aż do czasu, kiedy będziemy mogli bezpiecznie wrócić do Connecticut.

Pociągnęłam nosem.

- To chyba najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek ktoś dla mnie zrobił.

- Kochanie, nawet jeszcze na dobre nie zacząłem.
- Usłyszałam jego cichy śmiech.

- No to jak przebiega to spotkanie?

- Nie uwierzyłybyś własnym uszom. Nie mogę ci powiedzieć więcej. Muszę lecieć. Baw się dobrze dziś wieczorem. Spróbuję cię nie obudzić, kiedy wrócę do domu.

- Jeśli mnie nie obudzisz - odparłam - nigdy ci tego nie wybaczę.

Roześmiał się i rozłączył.

- No dobra, mała - powiedziała Michelle, zamykając za nami drzwi dwa dni później. - Pora na zwierzenia.

- Jakie zwierzenia?

Potknęłam się, schodząc na chodnik, i od razu ruszyłam w stronę Park Avenue.

- No wiesz. Wreszcie mam cię tylko dla siebie. Rodzice nie podsłuchują. Teraz gadaj.

Chrząknęłam cicho zrezygnowana. Była jedenasta wieczorem, a moi rodzice poszli się już położyć w jednej z sypialni na górze. Brat spotykał się z jakimś przyjacielem z college'u gdzieś na mieście, a Julian przez cały dzień był na spotkaniach i jeszcze nie wrócił. Tak więc zamiast czekać na jego powrót, postanowiłyśmy z Michelle wyskoczyć na chwilę na kawę.

- Nie wiem, co powiedzieć. W ogóle nie mam pojęcia, od czego zacząć.

Przeszliśmy Park Avenue, kierując się do najbliższego Starbucksa na rogu Lexington i Siedemdziesiątej Ósmej.

- Bo wiesz, dla nas to trochę surrealistyczne. Och, Kate spotyka się z tym gościem od funduszu hedgingowego, piszą o niej na Gawkerze, wyprowadziła się z nim do Connecticut, zaręczyła się. Chodzi o to, że znasz go przecież najwyżej kilka miesięcy.

- Dokładnie od grudnia.

- No widzisz. Nie zrozum mnie źle. Wygląda na wspaniałego faceta. To, że nas tu sprowadził swoim samolotem, było po prostu niesamowite. Ale kochanie...
- urwała.

Michelle była strasznie praktyczną osobą, głosem rozsądku w naszej trójce. To ona negocjowała warunki najmu, gdy na ostatnim roku studiów wyprowadziłyśmy się z kampusu. Zawsze pamiętała, żeby zabrać mapę, gdy podczas wakacji za granicą chodziliśmy nocą po jakimś nowym europejskim mieście. I to ona pomagała mi się pozbierać i zmuszała, bym szła dalej, za każdym razem, gdy ktoś łamał mi serce w college'u.

- Wiem, jak to wygląda - odparłam, skręcając w lewo, w Lexington. - I to prawda, jestem w nim zakochana do szaleństwa. Serce zaczyna bić mi mocniej za każdym razem, kiedy wchodzi do pokoju.

- Jest dobry w łóżku, co? - Nie należała do ludzi, którzy owijają w bawełnę.

- O rany, Michelle!

- To super. Czyli jest po prostu fantastyczny. I ma ten romantyczny gest. Bogaty jak diabli. Ty jesteś zakochana do szaleństwa. - Pokręciła głową. - Kate, może, kurwa, zaczniesz wreszcie rozsądnie myśleć?

- Co takiego? Co ci nie gra?

- Daj spokój. Przecież cię znam. Nie masz w sobie na tyle przebiegłości, żeby utrzymać przy sobie takiego faceta.

- Julian nie jest taki jak inni mężczyźni, z którymi się umawiałam - odparłam ostro. - Nie masz nawet pojęcia, Michelle.

- Och, na litość boską! Spójrz tylko na niego. Przez całe życie będziesz w jego cieniu. Kobiety będą się na niego rzucać. A on jest tylko człowiekiem. Dodaj sobie dwa do dwóch.

- Myślisz, że nie będę w stanie go zatrzymać przy sobie? Myślisz, że nie będzie w stanie się oprzeć?

Zawahała się.

- Chcę tylko powiedzieć...

- Słuchaj, wyświadczyć mi przysługę i najpierw go trochę poznaj. Szkoda, że nie mogę ci powiedzieć... - zaczerpnęłam głęboko powietrza. - Po prostu mi zaufaj, dobrze? No i jesteśmy.

Weszliśmy do środka. W kawiarni mimo późnej godziny roiło się od ludzi. Na szczęście kolejka zdawała się topnieć.

- A co z jego pieniędzmi? - zapytała ściszym głosem.

- A co ma być? - odmruknęłam.

Mężczyzna za nami stał trochę zbyt blisko, jakby próbował podsłuchiwać naszą rozmowę. A może udzielała mi się paranoja Juliana? Nim Michelle zdążyła odpowiedzieć, podeszłyśmy do lady.

- Co chcesz? - spytałam.

- Nie wiem. Chyba waniliową latte. Dużą.

- Dla mnie to samo - powiedziałam do mężczyzny za ladą. A potem przez głowę przemknęła mi niepewna myśl. - Bezkofeinową - dodałam.

- Od kiedy to pijasz bezkofeinową? - spytała Michelle.

- Już późno. Nie mogłabym zasnąć przez całą noc.

- Wydawało mi się, że o to właśnie chodzi.

- Przy moim szczęściu znów nie wróci przed trzecią nad ranem.

Podaliśmy kasjerowi dziesięć dolarów i wrzuciłam resztę do pudełka na napiwki. Odwróciłam się do lady, w której odbierało się zamówienie, i niemal wpadłam na człowieka stojącego za mną. Na twarz wystąpiły mi rumieńce. Ile usłyszał?

Pociągnęłam za sobą Michelle, przyglądając mu się, gdy zamawiał kawę. Nie miałam wątpliwości, otaczała go jakaś dziwna aura, ale to nie było niczym niezwykłym w mieście takim jak Nowy Jork. Ubrany był w miarę normalnie jak na Upper East Side. Miał na sobie granatowe

polo, ciemne spodnie khaki i bejsbolówkę opuszczoną nisko na czoło. Ale było coś dziwnego w tym, jak stał, jak pochylał głowę. Ukradkowe ruchy jak u skrytego fana dziecięcej pornografii. Nie widziałam dobrze jego twarzy, lecz spod czapki wystawały ciemne kręcone włosy.

Przynieśli nam nasze latte. Wzięłyśmy je i znalazłyśmy wolny stolik, od którego właśnie odeszli ludzie. Wyciągnęłam BlackBerry i położyłam ostrożnie na blacie, a potem zerknęłam przez ramię na tego dziwnego typa. Właśnie odbierał przy ladzie zamówienie. Nawet nie patrzył w naszą stronę. Przestałam czuć ucisk w brzuchu i to mnie zaskoczyło: nawet nie zdawałam sobie sprawy, że byłam aż tak spięta.

- Przepraszam, że tak dołuję - powiedziała Michelle, patrząc na mnie spod zmarszczonych brwi tak jak zawsze, gdy w głowie miała pełno zastrzeżeń.

- No cóż, przestań się o mnie martwić, dobrze? Wiem, co robię.

- Kate, on ma to w genach. Rozumiesz? To samiec alfa. Przywódca stada. Faceci tacy jak on nie zostają z jedną kobietą, chyba że taka laska ma większe jaja niż on. To jedyny język, jaki tacy goście rozumieją. Kontrola.

- Na litość boską, żeby odnieść sukces, nie trzeba być egocentrykiem.

- Ale to silny facet, prawda? Lubi mieć wszystko po swojemu?

- „Silny” a „egoistyczny” to nie to samo.

Spojrzała na mnie znacząco.

- Te dwie rzeczy idą w parze, nie sądzisz?

Odstawiłam gwałtownie swoje latte.

- Nigdy we mnie nie wierzysz, co? Tylko dlatego, że nie kopię ludzi po tyłkach, tak jakby kopanie po tyłkach było jakąś zaletą. Jakby wszystko sprowadzało się do walki o władzę. Jakbyśmy nie byli dorośli.

- Słuchaj, nie chodzi mi o to...

- Czy ty masz w ogóle pojęcie, do ilu drzwi musiałam się dobijać, żeby wzięli mnie do Sterling Bates po stanowej uczelni? Wiesz w ogóle, przez co przeszłam? Więc przestań mi opowiadać, że nie potrafię walczyć o swoje.

- Rany! Nie tak szybko! Nie mówię, że jesteś nieśmiała, kochana. Proponuję ci tylko, no, nie wiem, żebyś zrobiła sobie przerwę od samców alfa. Znajdź sobie może jakiegoś miłego poetę. Spróbuj... No co, z czego się śmiejesz?

- Nie, nie, nic. Tylko... ta poezja.

- Mniejsza z tym. Zdaję sobie sprawę, że w twoich oczach on jest ideałem. Tylko ci mówię, to wszystko.

Zabrzącał mój BlackBerry.

- Nie jest idealny - odparłam, biorąc do ręki telefon.

Wreszcie skończyłem. Będę w twoich objęciach za dziesięć minut. XX.

Wsunęłam aparat do torebki.

- Nareszcie skończyli. Możemy dopić kawę w drodze powrotnej?

- Pewnie. - Wstała.

Wyszliśmy w ciepłą wrześnieową noc. Właśnie zmienili się światła i Lexington jechała kolumna taksówek, szukając klientów wracających do domów. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam tego dziwnego typu, który właśnie wychodził ze Starbucksa i skręcał za nami w Lexington.

- No to opowiedz mi więcej o jego wadach - ciągnęła Michelle. - No nie wiem, jest może nadęty? Dłubie w nosie? A może drapie się po jajach, kiedy ogląda telewizję?

Spróbowałam się roześmiać.

- Michelle, przestań! Przede wszystkim nie ogląda telewizji.

- Nie ogląda telewizji? Nawet HBO w niedzielę? Kurde, mówisz poważnie?

- Znajdujemy sobie inne rzeczy do roboty.

Przystanęłyśmy na rogu, czekając, by przejść przez ulicę. Skorzystałam z okazji, aby znów od niechcienia obejrzeć się za siebie, ale na chodniku było trochę ludzi i nie byłam w stanie go zauważyć.

- No dobrze, a co z resztą? - dopytywała się. - Bo dla ciebie to zupełnie inny świat. Nie będziesz miała żadnych obowiązków? Jakiejś działalności charytatywnej? Obiadków z jakimiś damulkami? Tweedowych kostiumów od Chanel? Wiesz, że to nie dla ciebie.

- Nigdy by mnie do tego nie zmusił.

- Ale teraz na poważnie. Co będzie, jeśli za niego wyjdiesz, urodzisz mu dziecko i pewnego dnia obudzisz się i stwierdzisz, że jesteś tylko żoną Juliana Laurence'a, tego miliardera? Co się stanie z Kate? Możesz szczerze powiedzieć, że tylko tyle chcesz od życia?

Otworzyłam usta, by coś jej odpowiedzieć, i stwierdziłam, że nie wiem co. To znaczy: co miałabym? Julian jest wspaniałym facetem, ale martwię się, że jego doświadczenia z wojny okopowej pozostawiły po sobie blizny, których nie chce mi pokazać? Oczywiście, że nie. O tym nic jej nie mogłam powiedzieć, podobnie jak matce. I zamarłam, gdy to sobie uświadomiłam. Zawsze mogłam mówić przyjaciółkom niemal o wszystkim - znacznie więcej, niż kiedykolwiek mówiłam matce. Ale teraz odbiłam się od tego muru. Tajemnica, która tak bardzo zbliżyła mnie z Julianem, oddaliła mnie równocześnie od wszystkich innych w moim życiu. Tak więc kiedy Michelle podała jak najbardziej słuszny argument, że żona Juliana Laurence'a może sprawić, że Kate Wilson popadnie w absolutne zapomnienie, nie mogłam na to nic odpowiedzieć. Po pierwsze, bardzo się bałam, że miała rację. A po drugie, bałam się również, że niewiele mogę z tym zrobić.

Zmarszczyłam brwi i się obejrzałam.

- O co chodzi? - spytała Michelle.

- Nic - odparłam. - Tylko jakiś facet. Wisiał nad nami

w kolejce w Starbucksie, a teraz chyba za nami idzie.
Nie oglądaj się!

Jej głowa zatrzymała się w pół obrotu.

- Myślisz, że nas śledzi?

- Nie, nie. Ale... Julian się martwi, że może być celem.

- Celem?! Mafii czy coś takiego? - spytała z zapałem.

- Nie - roześmiałam się. - No wiesz, z powodu pieniędzy. Myśli, że ktoś mógłby mnie porwać albo coś takiego.

- Jezu! Nawet mi to nie przyszło do głowy.

Przystanąłyśmy na rogu Park Avenue i obejrzała się od niechcienia za siebie, jakby przyglądała się jednemu z wielkich apartamentowców.

- Faktycznie, jest tam jakiś facet - powiedziała. - Nie wiem, czy nas śledzi, ale chyba się nam przygląda.

- Cholera.

Próbowałam zdecydować, co powinnyśmy zrobić. Wracać prosto do domu czy spróbować go zgubić? W okolicy było mnóstwo ludzi, a w pobliskich budynkach - portierzy. Właściwie to nie byłyśmy w żadnym niebezpieczeństwie. W końcu to była przecież Park Avenue.

- Dobra - powiedziałałam w końcu. - Wracajmy prosto do domu. Zachowujmy się normalnie.

Wsunęłam rękę do kieszeni i namacałam telefon. Przeszłyśmy przez Park Avenue i pokonałyśmy dwa skrzyżowania dzielące nas od ulicy Juliana. Nie

oglądałam się za siebie, ale go wyczuwałam, chyba że była to tylko moja znerwicowana wyobraźnia. Był jakieś dziesięć, piętnaście metrów za nami. Dostosowywał krok do naszego tempa. Lawirował między taksówkami, żeby nas nie zgubić.

Skręciliśmy w Siedemdziesiątą Czwartą. Dom Juliana był już blisko i zobaczyłam, że zatrzymuje się przed nim czarny sedan. Tylne drzwi otworzyły się, zanim auto stanęło, i pojawiła się znajoma postać Juliana.

- Dzięki Bogu - powiedziałam, przyspieszając kroku i ciągnąc za sobą Michelle.

- Witaj z powrotem! - zawołałam, gdy skierował się na schody.

Obejrzał się i nas zobaczył. W słabym żółtym świetle latarni na jego twarzy pojawił się szeroki, choć zmęczony uśmiech. Odstawił torbę z laptopem i otworzył ramiona, by złapać mnie w biegu.

- Witaj, ukochana! - wyszeptał ochryple prosto do mojego lewego ucha.

Potem jego uścisk zelżał. Podniósł wzrok.

- Ach - usłyszałam po chwili. - Ty musisz być tą sławną Michelle.

Cofnęłam się o krok, a on wyciągnął do niej rękę.

- Julian Laurence. Tak się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać.

Michelle stanęła na wysokości zadania. Jeśli o to chodzi, zawsze można było na nią liczyć. Przełożyła latte

do lewej ręki, mocno uściśnęła jego dłoń i bez najmniejszego cienia zakłopotania powiedziała:

- Cześć, Julian. Miło cię poznać. I wielkie dzięki, że nas tu wszystkich sprowadziłeś. Wspaniale jest widzieć Kate taką szczęśliwą.

Znów spojrzał na mnie.

- Mam nadzieję - odparł. - Tylko to się liczy.

- Bardzo się cieszę - powiedziałam.

Nie widziałam go od trzech dni z wyjątkiem jakiegoś na wpół nieświadomego doznania, że jego ciało na kilka godzin przytula się do mojego.

- No i jak poszło? Ocaliłeś świat?

Uśmiech na jego twarzy znikł.

- Nie do końca, ale przynajmniej doszliśmy do jakiegoś porozumienia. Opowiem ci o wszystkim rano.

- Znów zerknął na Michelle i mrugnął. - Mam nadzieję, że nie zadzwonisz natychmiast z tymi wieściami do swojego maklera, co?

- Nie mam maklera. Kate jest moim finansowym guru. Studiowałam antropologię. - Kiwnęła do mnie głową.

- No i jak? Ten gość dalej cię śledzi?

- Michelle, nie! - ostrzegłam, ale było już za późno.

- Śledzi? O co chodzi? - Ciało Juliana natychmiast się naprężyło niczym wąż.

- No tak. Jakiś dziwny typ szedł za nami od Starbucksa. - Michelle się odwróciła. - Patrz, wciąż tam jest. Chowa się za rogiem.

- Czekaj! Julian, ja...

Już biegł, ruszył jak sprinter z bloków startowych i pędził chodnikiem.

- O mój Boże - powiedziała Michelle. - Biegniemy za nim?

- Nie, czekamy tutaj - odparłam ostro, choć każdy nerw w moim ciele pragnął ruszyć za Julianem.

- Cholera, szybki jest! Nigdy nie widziałam, żeby facet tak się poruszał w garniturze. Jak jakiś pieprzony superman.

- Jest dość wysportowany.

Wpatrywałam się intensywnie w róg ulicy, za którym właśnie zniknął, przypominając sobie wszystkie godziny, jakie spędziliśmy na pływaniu i bieganiu, wiosłowaniu, żeglowaniu i wędrówkach.

- Nic mu nie będzie, prawda?

- Tak naprawdę to bardziej się martwię o tego drugiego.

Spojrzałam na torbę od laptopa stojącą przy schodach i podniosłam ją. Czekaliśmy jeszcze przez dłuższą chwilę. Nic: żadnych dźwięków, żaden z nich się nie pokazał.

- Dobra, jeśli nie wróci za pół minuty, to chyba powinniśmy pójść sprawdzić - oświadczyła Michelle.

Po chwili jednak Julian wynurzył się zza rogu. Szedł szybkim krokiem, poprawiając na sobie marynarkę. Był sam.

- Co się stało?! - zawołałam do niego.
- Uciekł mi. Zniknął.
- Naprawdę? - spytałam. - Uciekł przed tobą?

Julian wzruszył ramionami.

- Miał sporą przewagę, a potem skręcił za róg Sześćdziesiątej Szóstej i już go nie było. - Przeczesał ręką włosy. - Ale nie ma się czym martwić. Nie wydawał się groźny. Nie sądzę, by cię jeszcze niepokoił.

Zmarszczyłam brwi. To nie było ani trochę w stylu Juliana.

- No dobra - powiedziałam powoli. - Skoro tak twierdzisz.

- No chodź - wziął mnie za rękę. - Wejźmy do środka. Michelle? Wszystko w porządku?

Pokręciła głową.

- W sumie tak. Po prostu nie przywykłam do tylu dramatów. To wszystko.

Ja też, Michelle. Ja też.

Gdy weszliśmy do domu, Julian ruszył do biblioteki, żeby odłożyć torbę z laptopem, a ja do kuchni, by wyrzucić puste kubki po kawie. Kiedy wróciłam, Julian i Michelle stali przy regale w dużym pokoju, próbując znaleźć dla niej jakąś książkę, żeby poczytała sobie na górze.

- Łacina? - pytała właśnie. - Masz książki po łacinie? Roześmiał się.

- Kate powiedziała mniej więcej to samo, kiedy stała tu po raz pierwszy.

- No tak, na pewno. O rany! - dodała, dotykając kolejnego tomu. - Fanny Hill? Kate jest naprawdę szczęściarą. - Zdjęła książkę z regału. - Chyba wezmę tę, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Nie czytałam jej od college'u.

Znacząco uniosłam brew, patrząc na Juliana. Mrugnął do mnie.

- Słuchajcie - powiedziała Michelle. - Padam z nóg, a wy macie chyba mnóstwo rzeczy do omówienia, więc po prostu zaszyję się dyskretnie na górze. Dobranoc, kochanie. - Uścisnęła mnie i pocałowała w policzek. - Dobranoc, Julian. Miło cię było poznać.

- Lubię ją - oświadczył, gdy ucichły jej kroki na schodach.

- No cóż, myśli, że złamiesz mi serce.

Spojrzał na mnie zdeprymowany i zobaczyłam znużenie w jego oczach.

- Och, popatrz tylko na siebie. - Ujęłam jego twarz w dłonie. - Przepraszam. Jesteś wykończony.

- Trochę.

Objął mnie w pasie i odwrócił głowę, żeby pocałować mnie w rękę.

- To było kilka ciężkich dni i nie chodzi tylko o to fiasko w centrum.

- Co mogę dla ciebie zrobić? Jakieś jedzenie, kąpiel, łóżko?

- Właściwie to już jadłem, ale dwie pozostałe propozycje brzmią bardzo zachęcająco.

Uśmiechnęłam się.

- Jestem do twoich usług. Chodź.

Wyśliznęłam się z jego ramion, wzięłam go za rękę i pociągnęłam po schodach i korytarzem do sypialni.

- Zdejmij garnitur - poleciłam, oglądając się przez ramię. - Zrobię ci kąpiel.

- Jesteś aniołem.

Odkręciłam kurki przy wannie i wlałam do niej trochę olejku waniliowego. Zaczęła się unosić para, wilgotna i pachnąca. Odwróciłam się i zobaczyłam go, jak stał i męczył się ze spinkami od mankietów. Marynarkę i spodnie zdążył już zrzucić.

- Daj, ja to zrobię - powiedziałam.

Wyciągnął do mnie rękę, potem drugą, a ja wysunęłam spinki i odłożyłam je na blat. Jego dłonie wydawały się blade, jakby fluorescencyjne świetlówki w biurowcu wyszały z jego skóry opalenizną tego lata. Zaczęłam rozpinać mu koszulę, próbując zapanować nad drżącymi palcami. Przypomniałam sobie, że jest zmęczony, że jest tylko człowiekiem. Teraz moja kolej, żeby się poświęcić.

Rozpięłam ostatni guzik. Wyciągnęłam rękę i zsunęłam koszulę z jego ramion, a potem chwyciłam koniuszkami palców dół białego podkoszulka. Posłusznie uniósł ręce, by ułatwić mi zsuniecie go przez głowę.

- No dobra - powiedziałam. - Lepiej zrób resztę sam, bo inaczej nici z tej kąpieli.

- Kate - wyszeptał, biorąc mnie za rękę. - Wykap się ze mną.

Spojrzałam na wannę. To był jeden z tych staromodnych, modeli na nóżkach; idealny dla mężczyzny z epoki edwardiańskiej, ale już niezbyt wygodny dla nowoczesnej pary szukającej przygód.

- Starczy miejsca?

- Zrobimy tak, żeby starczyło - odparł, ciągnąc mnie niecierpliwie za koszulkę na ramiączkach. - Nie zniosę już ani chwili bez ciebie.

Usiadł w wannie i wyciągnął do mnie ręce. Moje plecy stopiły się z mięśniami jego brzucha: słodka ponowna osmoza. Poczułam muśnięcie jego oddechu na ucho. Przymknęłam oczy i oparłam głowę o jego pierś.

- To jakieś szaleństwo - westchnęłam. - To było tylko kilka dni. A co będzie, jeśli będziesz musiał lecieć do Hongkongu albo coś takiego?

- Wezmę cię z sobą. - Musnął nosem mój policzek.

Siedziałam w milczeniu, wsłuchana w jego oddech i chlupotanie pachnącej wanilią wody.

- A tak w ogóle to jeszcze raz dziękuję - odezwałam się w końcu. - Za sprowadzenie mojej rodziny, żeby mnie niańczyła. Zwaliłeś ich z nóg. I mnie też.

- Przeceniasz mnie. To Allegra wszystko załatwiała. Ja tylko ich zaprosiłem.

- Zrobiłeś o wiele więcej.

Przez chwilę milczał, a potem się odezwał:

- Cieszę się, że cię to uszczęśliwiło.

- Ty mnie uszczęśliwiasz. To wszystko, czego chcę w życiu.

- Wszystko?

Jego palce splotły się z moimi. Poczułam, że kciukiem dotyka mojego pierścionka.

- Chcę ciebie - powiedziałam. - Tylko ciebie.

- Masz mnie, Kate.

- Tak, nareszcie. - Przyciągnęłam jego lśniące ramiona. - Tęskniłam za tobą. Za twoim dotykiem. Rozpieszczałeś mnie przecież przez całe lato.

- Mhm. - Kolejna chwila cichego zjednoczenia.

- Wiesz, co dodawało mi sił w samym środku tych cholernych sesji, kiedy ci bankierzy bez sensu gadali o niczym?

- Nie mam pojęcia.

- Wyobrażałem sobie ciebie, ukochana, gdy przeżywaś najwyższą rozkosz. Gdy masz na policzkach szkarłatne rumieńce, a twoje oczy płoną, patrząc na mnie i błagając, bym wysłał cię jeszcze dalej, za skraj. I zastanawiam się, jak długo jeszcze wytrzymam, jak długo mogę cię utrzymać na krawędzi i sam nie rozpaść się przy tym na kawałki.

- Och, wspaniale! A wszystko to, kiedy ważą się losy Wall Street! - przymknęłam oczy.

- Albo kiedy bierzesz sprawy w swoje ręce - ciągnął. - Odrzucasz do tyłu głowę, a te twoje kruczoczarne włosy opadają ci na ramiona. Twoje blade piersi tańczą mi przed oczyma i jestem na wpół oszalały, widząc cię i czując.

- Julian. - Położyłam ręce na jego dłoniach.

- Ale to się okazało o wiele zbyt stymulujące - przyznał, muskając kciukami moje piersi. - A więc zacząłem myśleć o tobie wyciągniętej na mojej piersi, gdy twoja skóra lśni tuż obok mojej jak promienie księżyca. A ty patrzysz na mnie rozmarzonymi oczyma z tym urzekającym uśmiechem. Albo mówisz coś bezczelnego, że bym sobie za dużo nie wyobrażał. I zastanawiam się, czy na tak wiele szczęścia można sobie w ogóle zasłużyć. Czy nie kuszę jakichś bogów do potwornej zemsty, zasnając takiej błogości?

- Tylko ty - odparłam słabo. - Tylko ty możesz się martwić o coś takiego. Wszystko, o czym ja myślę w takich chwilach, to ile czasu będziesz potrzebował, żeby znów być gotów.

Sięgnął pod wodę i uszczypnął mnie w pośladek.

- Umieram z miłości do ciebie, ty mała kokietko, a ty myślisz tylko o następnym orgazmie?

- Cóż - zachichotałam, wijąc się, żeby uniknąć jego palców - Robisz to... tak dobrze... Julian! No dobra! Tak... czasami... zastanawiam się nad metafizyczną głębią... Julian! Mówię poważnie.

W ciszy słyszałam słabe skrzypienie desek podłogi nad nami i wodę płynącą w rurach. Domyśliłam się, że Michelle szykuje się do spania.

- Charlie mi mówił, że mieliście niemiłe chwile
- odezwał się wreszcie Julian.

Przesunęłam się lekko.

- Ach, tamto. Po prostu wczoraj jakiś facet się tutaj kręcił, gdy dotarliśmy do domu. Może to ten sam, co dziś wieczorem. Ta sama budowa ciała. I było coś jeszcze. Gdy przyjechałam do swojego mieszkania, wydawało mi się, że Brooke grzebała w moich rzeczach, i zaczęłam się zastanawiać...

- Grzebała w twoich rzeczach? Co masz na myśli?
- W jego głosie zabrzmiał ostry ton.

- No, w moich dokumentach. W szufladach. Nie że-
bym miała w nich jakieś supertajne rzeczy, ale po całej
tej aferze ze Sterling Bates...

- Kochanie - powiedział - zadzwoń jutro do Allegry
i podaj jej szczegóły. Od razu wyślemy tam samochód
do przeprowadzek.

- Faj!

- Chyba zapominasz, pani Ashford, że tu jest teraz
twój dom. Nasz dom.

- Wiem, ale muszę się do tego przyzwyczaić.

- Poza tym zawsze możemy znaleźć coś innego. Jeśli
nie czujesz się tutaj dobrze. Może jakieś mieszkanie, jeśli
wolisz. Wielkie albo małe, jak chcesz.

Uśmiechnęłam się, słysząc nutkę niepokoju w jego głosie.

- Kocham ten dom, Julianie. Jest idealny. To jest po prostu nasz dom. Tyle że to dla mnie ogromna zmiana, to wszystko.

Znów dotknął mojego pierścionka.

- Przeszkadza ci to?

- Cóż, może to dziwne, ale było łatwiej, gdy byłeś w Connecticut. To znaczy jako Julian Ashford. Wszystko zdaje się mieć więcej sensu, kiedy pochodzi od twojego prawdziwego ja. To natomiast raczej mnie onieśmiela - zatoczyłam ręką.

- T o ?

- Twoje życie na Manhattanie. Julian Laurence, szef Southfield. Pogromca biznesowych wrogów. Pokazywany wciąż i wciąż w CNBC.

Zaczął się śmiać.

- Kate, na litość boską, on i ja to ten sam człowiek.

- Nie, nieprawda - upierałam się. - Kiedy rozmawiasz przez telefon z którymś ze swoich maklerów, jesteś władczy i bezwzględny. To seksowne, nie przeczę, ale... Hej, przepraszam, mógłbyś na chwilę przestać się śmiać?

- Kochanie - powiedział, ujmując moją rękę i całując wewnętrzną stronę nadgarstka - a co byś chciała, żebym robił? Szeptał temu biedakowi do ucha jakieś słodkie brednie?

- Tego nie mówię. Chcę tylko powiedzieć, że w ogóle nie znam ciebie z tej strony. Nie pokazujesz mi jej...

- To dlatego, że cię kocham. A poza tym, gdybym choć spróbował tak się do ciebie odzywać, już byś mi dała nieźle popalić. - Przerwał i przykrył dłonią swoją drugą rękę, przyciągając obie do siebie. - Kochanie, kimkolwiek jestem - Laurence'em, Ashfordem czy kim tam jeszcze, u diabła - zawsze jesteś dla mnie absolutnie najważniejsza. Nie marnuj chwil na zamartwianie się tym.

Poruszyłam palcami u nóg, wychwytyjąc nacisk w jego ostatnich słowach.

- No to czym w takim razie powinnam się martwić?
Zawahał się.

- Słuchaj, Ashford, nauczyłam się już poznawać, kiedy coś cię dręczy. Wyduś to z siebie, proszę, żebyśmy mogli już przejść do powitalnego seksu.

- Nie ma nic lepszego niż szczerość, prawda?

- Przecież uwielbiasz moją szczerość. A teraz mów.
Przesunął się, prostując plecy oparte o tył wanny.

- Kate, podczas tych niekończących się spotkań sporo myślałem. Myślę, że nadeszła pora, by zmienić strategię.

- Strategię? - Przesunęłam palcami po stygnącej wodzie, obserwując, jak rozchodzą się po niej małe zmarszczki i odbijają się od krawędzi wanny. - Co masz na myśli?

- Miałaś rację, przyjeżdżając do miasta. Zachowywałam się jak tchórz, mając nadzieję, że wszystko rozwiąże się

samo. Widzisz, na wojnie bytem zajęty okopywaniem się, zamiast przenieść bitwę na teren wroga i ostatecznie zakończyć konflikt.

- Przepraszam, ale nie do końca nadażam za twoją wojskową metaforą. O czym konkretnie mówimy?

- Że już najwyższa pora wypłoszyć tego kogoś, kto nam zagraża.

- Zagraża nam? Ktoś nam naprawdę zagraża? To dlaczego się nie zmartwiłeś tym facetem dziś wieczorem?

- Bo nie sądzę, żeby to miało jakiś związek.

- Związek z czym? Z tym, że ktoś przeszukał moje rzeczy? Z tymi twoimi niejasnymi przeczuciami? To znaczy, co się tu właściwie dzieje? Czego mi nie mówisz?

Z początku nie odpowiadał.

- Posłuchaj, Kate - odezwał się w końcu. - Będziesz mi musiała uwierzyć trochę na ślepo. Niebezpieczeństwo jest realne. Chociaż sam dokładnie nie wiem, na czym polega. Ale niezależnie od wszystkiego myślę, że pora przestać się przed nim ukrywać.

Milczałam.

- Nad czym się zastanawiasz? - spytał.

- Nad tym, co miałeś na myśli, mówiąc, żeby go wypłoszyć.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Poczułam, jak unoszę się i opadam wraz z jego pierśią.

- Wyjście z ukrycia. Pojawianie się publicznie. Bala charytatywne, premiery, tego typu rzeczy. Allegra może

wszystko załatwić. Jest dość skuteczna. Narobimy trochę szumu.

- Co takiego? - Usiadłam i odwróciłam się, by na niego spojrzeć, rozchlapując przy tym wodę nad krawędzią wanny. - Żartujesz sobie?

- Liczę na to, że to może sprowokować tego gościa do działania. A my będziemy na nie przygotowani.

- Julian, nie chcę robić takich rzeczy. Jestem w tym beznadziejna. Przypomnij sobie, co się stało w muzeum. Rozbiłam kieliszek od szampana na głowie jakiegoś faceta. I nie byłam nawet pijana.

- Przez cały czas będę u twojego boku - zapewnił.
- Jest wrzesień i w kalendarzu towarzyskim aż roi się od tego typu bzdur. Może nawet ci się to spodoba.

- Nie, nie i jeszcze raz nie. Nie nadaję się do tego. Nie umiem biegać w sukniach od najlepszych projektantów i odgrywać ślicznotki uwieszanej u twego ramienia. Odbiło ci?!

Zmarszczył brwi.

- Wydawało mi się, że chciałaś spędzić trochę czasu w mieście.

- Ale nie mówiłam, że chcę się stać bywalczynią salonów. Myślałam raczej o mojej karierze.

- I co chcesz robić?

- Jeszcze nie wiem! Coś! - Gwałtownie wstałam i złapałam ręcznik. - Dlaczego nie pofarbujesz mi po prostu włosów na blond i nie zamkniesz mnie w Greenwich z żoną Geoffa?

- Co, u diabła? Kto tu wspominał o cholernym Greenwich?

Wyszłam z wanny i owinęłam się ręcznikiem.

- Ale tak by się właśnie stało, prawda? Dość szybko zaczęłabym siedzieć na przedmieściach, rodzić dzieci, grać w tenisa i jadać lunchy w klubie z żonami innych gości od funduszy hedgingowych. Plotki i... torebki. Dokładnie. Dokładnie właśnie tego przez cały czas się obawiałam!

- Och, na litość boską, Kate! - Jego głowa opadła z powrotem na krawędź wanny. Spojrzał ze złością w sufit. - Mówimy tu o kilku miesiącach. A ciebie przecież w ogóle nie interesują torebki!

- Owszem, interesują. Lubię torebki. Trochę. Na tym właśnie polega cały problem. Byłoby za łatwo... stać się taką dziewczyną. Płytką i zadowoloną z siebie.

- To jakiś absurd. Nigdy byś się taka nie stała. Nie jesteś taka. Jesteś zupełnie innym zwierzęciem. Dlatego właśnie cię kocham.

- To dlaczego chcesz próbować zmienić mnie w jedną z nich?

Wstał, pozwalając, by przez chwilę woda spływała z jego wspaniałego ciała, a potem ściągnął ręcznik z drążka i owinał się nim w pasie. Ciało atlety, gładkie mięśnie kurczące się bez wysiłku pod lśniącą skórą... Tak trudno się było skupić na kłótni z nim.

- Mówię ci po raz ostatni - wycodził przez zęby, wychodząc z wanny. - Nic takiego nie zamierzam zrobić.

Chodzi o to, by się dowiedzieć, kto chce zrujnować nam życie, i powstrzymać go, zanim mu się uda.

Zaczął wściekle wycierać włosy. Gapiłam się na niego.

- Naprawdę masz paranoję.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

- Tak, mam - odparł łamiącym się głosem. - Zamarwiam się o ciebie do szaleństwa. Nie masz nawet pojęcia! Twoje bezpieczeństwo jest pierwszą rzeczą, o jakiej myślę rano, i ostatnią myślą w mojej głowie, kiedy zasypiam.

- W takim razie przestań marnować czas. Nic mi nie jest. Powinieneś bardziej martwić się o siebie. Jesteś bardziej celem niż ja.

- Może to i prawda, ale to ty... - urwał.

- Co ja? O co chodzi?

- Cholera! - Odwrócił się ode mnie i walnął pięścią w blat. - Sam chciałbym wiedzieć więcej! Łamałem sobie głowę, próbowałem sobie przypomnieć...

- Co przypomnieć?

- Szczegóły, Kate. Wskazówki. Nie potrafię tego wyjaśnić. Wiem tylko, że ktoś nam źle życzy. Ktoś spróbuje nas skrzywdzić. Skrzywdzić ciebie. Może to ten gość, który napastuje Hollandera. A może to ma coś wspólnego z całym tym bałaganem z bankami. Nie wiem. Niech to szlag! - Zacisnął ręce na marmurowej krawędzi blatu. Było oczywiste, że jest zrozpaczony. Poczułam, że moja złość słabnie, ustępując miejsca współczuciu.

- Posłuchaj - powiedziałam kojąco, stając obok niego. - Przestań myśleć, że wszystko w życiu możesz kontrolować. Nie możesz. Może się zdarzyć, że jutro wpadnę pod autobus. Albo ty. Ale szanse na to są dość nikłe, więc po co psuć sobie ten czas, który mamy, zamartwiając się o wszystko, co może pójść nie tak.

- Kate - odparł, patrząc na nasze odbicia w lustrze. - Możesz tego ze mną spróbować? Proszę. Daję ci słowo, że to będzie na krótko. Nie musisz wstępować do wszystkich tych cholernych klubów, komitetów i tak dalej. Zajmę się darowiznami i ustaleniami, a ty tylko będziesz się dobrze bawić.

- Ślicznotka uwieszona u twojego ramienia.

- Cóż, nic nie poradzisz na to, że jesteś piękna - kuśił, odwracając się do mnie. - Wiem, że nie cierpisz tych rzeczy, ale będę przy tobie. Przecież lubisz ze mną wychodzić, prawda?

- Gdyby nie te wszystkie kobiety próbujące cię uwieść i mi odebrać, to tak.

Roześmiał się i przyciągnął mnie do siebie.

- Jedyne kobiety, którą dostrzegam - powiedział mi do ucha, wyczuwając moją bliską kapitulację. - Jedyne kobiety, która kiedykolwiek potrafiłaby mnie uwieść, to ty, moja piękna. Będziemy pozować do zdjęć. - Wysunął rękę, by zerwać ze mnie ręcznik - i pić szampana strumieniami...

- Nieźle się starasz, Ashford, ale nie ma mowy.

Mój ręcznik opadł na podłogę.

- ...i będziemy prowadzić błyskotliwe, płytkie konwersacje z grupką wybranych gości.

- A jeśli któraś z tych superchudych celebrytek będzie dla mnie wredna?

- Ty będziesz wredna dla niej - poradził, wynosząc mnie z łazienki.

- No cóż, miałam nadzieję, że przynajmniej doprowadzisz do ruiny jej męża albo coś w tym stylu.

- Och, to rozumie się samo przez się.

Rzucił mnie na łóżko i wspiął się na nie jak głodna złota pantera.

- Rrrrr! - zarzuciłam mu ręce na szyję. - No to mnie już pocałuj.

- Myślałem, że nigdy nie poprosisz - warknął.

- Tylko jedna sprawa - odezwał się Julian jakiś czas później, gdy zaczęła mnie już ogarniać senność.

- Co takiego? - spytałam ledwie przytomna.

- Obawiam się, moja kochana - pocałował mnie w czubek nosa - że będziesz musiała chodzić na zakupy.

Amiens

Tego popołudnia deszcz ustał przed piątą i spomiędzy chmur przebiły się na chwilę prawdziwe promienie słońca. Uśmiechnęłam się do nich, nieoczekiwanie czując się beztrosko, i mocniej przycisnęłam łokciem wiklinowy koszyk. Ruszyłam na zakupy, przeczesując skąpo wyposażone sklepy w Amiens, by zdobyć produkty na prosty piknik: chleb, ser, dość przyzwoicie wyglądający pasztet, wino dla niego oraz wodę Perrier - Perrier, niech ich Bóg błogosławi! - dla mnie. Tak, piknik. Julian uwielbiał pikniki.

Byłam tak rozkojarzona, że wyciągnięta ręka Geoffreya Warwicka pojawiła się jakby znikąd, chwytając moje ramię i gwałtownie mnie zatrzymując.

- A u ! - zawołałam, próbując się cofnąć. - Co pan wyrabia?!

- Równie dobrze mógłbym o to zapytać panią - odpowiedział cicho.

- Poruczniku Warwick! - Zacisnęłam palce na jego nadgarstku i odsunęłam jego rękę od siebie. - Jeśli próbuje mnie pan zastraszyć, ostrzegam pana. Nie jestem taka jak te trusie, do których pan przywykł. Potrafię przebiec milę w sześć minut i znam chwyt samoobrony, który położyłby pana plackiem na plecy w krótszym czasie, niż zdążyłabym krzyknąć: „Gwałcą!”. - To ostatnie było, technicznie rzecz biorąc, blefem. Poznałam wprawdzie ten chwyt na kursie dla studentek pierwszego roku, ale nigdy nie miałam okazji go wypróbować na prawdziwym napastniku mierzącym ponad sto osiemdziesiąt centymetrów.

- Naprawdę pani sądzi - powiedział wciąż przyciszonym głosem - naprawdę sobie pani wyobraża, że może tak wdzierać się w jego życie? Ty bezczelna, pozbawiona zasad kobieto! Masz w ogóle pojęcie, jakie powodujesz cierpienie?

- Jeśli chodzi panu o Arthura Hamiltona - odparłam - to sądzę, że mam. Oczywiście, że mam. I przykro mi z tego powodu, naprawdę przykro, bardziej, niż pan przypuszcza. Ale nie ma pan zielonego pojęcia, co tak naprawdę ich łączy, Juliana i Florence...

Wzdrygnął się i szybko wyprostował.

- Co pani wie o paninie Hamilton?

- Wiem wszystko. Julian nie...

Odruchowo uniósł prawą rękę, jakby zasłaniał się przed ciosem. Jego twarz w cieniu czapki stała się nagle bardzo blada.

- Nic, do cholery, mnie to nie obchodzi. To nie moja sprawa. Natomiast martwię się o moich przyjaciół, kiedy jeden z nich pędzi na oślep na swoją własną zgubę...

- Zgubę?!

- ...a drugi jest kompletnie złamany i za nic nie chce myśleć źle o człowieku, od którego wierności uzależnia swoją wiarę w całą ludzkość...

- Zgubić Juliana?! Myśli pan, że próbuję go doprowadzić do zguby? Jestem tu, by go ocalić, ty ośle, i to zwłaszcza przed panem. Doprowadzić go do zguby! Na litość boską! - Niemal wyplułam ostatnie słowa. Miałam ochotę go uderzyć. Moja ręka aż drżała i musiałam zacisnąć ją w pięść i schować za plecami.

Wzdrygnął się.

- Kim pani jest, do diabła?

- Nie zasługujesz na to, by to wiedzieć, Geoffreyu Warwicku!

- Domagam się, by mi to pani powiedziała.

- Jakim prawem?

Jego oczy zwięziły się w złości.

- Nikt - odparł zimno po chwili - nikt nie jest bardziej oddany kapitanowi Ashfordowi niż ja.

Pokręciłam głową i otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć. W tej właśnie chwili zza przesuwającej się chmury ukazało się słońce, oświetlając oczy Warwicka. Były brązowe, jasnobrązowe, z cętkami, niemal orzechowe i pełne szczerości. Co mówił mi o nim Julian? Nie

za wiele. Był synem maklera z centrum Londynu, towarzysko oddalony o całe światy od starego rodu, z którego pochodził Julian. Zaprzyjaźnili się w Eton, potem razem studiowali w Cambridge. Za tą prostą historią oczywiście musiało się wiele kryć: Julian odważnie wyciągnął do niego rękę ponad ogromną przepaścią klas społecznych i zapewne w wyniku tego Geoff czuł wobec niego niezwykłą lojalność. Dla chłopaka z londyńskiego City to był nowy świat, pełen beztroskich, nieźrównoważonych arystokratów, takich jak Hamiltonowie. I w tym miejscu pojawiłam się ja, jakby znikąd, i zakłóciłam tę równowagę. W oczywisty sposób nie z tej samej gliny co Florence Hamilton, w oczywisty sposób nie arystokratka i naturalnie w oczach Geoffreya niewarta Juliana. Pomyślałam o jego posiadłości w Greenwich, jego wzorowej żonce i niepohamowanych ambicjach. Geoff chciał się piąć w górę; na swój sposób przypominał łowcę posagów. Być może nawet jego instynkt, by chronić Juliana, krył całkiem sporą dozę nienawiści do samego siebie. Być może klucz do ocalenia Juliana leżał tu, przede mną.

- N i e c h pan posłucha - powiedziałam łagodniej.
- Porozmawiajmy przez chwilę. To znaczy, wydaje mi się, że obojgu leży nam na sercu dobro Juliana...

- Bardzo w to wątpię.

- Jest pan strasznie uparty, prawda? - Odstawiłam koszyk, który zaczynał mi ciążyć, i skrzyżowałam ręce na piersiach. - Proszę posłuchać, może pan w to wierzyć

lub nie, ale kocham Juliana Ashforda. Bóg wie, że nie dla jego pieniędzy czy pozycji, ale dla niego samego. Za wszystkie te cudowne cechy, które - czego jestem pewna - pan również docenia. Chwileczkę! - Uniosłam rękę. - Proszę mnie po prostu wysłuchać. Zdaje pan sobie sprawę, że wiem sporo o pańskiej przeszłości. Cóż, tak się składa, że wiem też co nieco o przyszłości. O rzeczach, które nam się przydarzą i które zaszkodzą Julianowi. Julianowi, którego oboje kochamy. I moim jedynym celem jest go przed tym uratować. A więc...

- Co za brednie! - wybuchnął, na chwilę zrywając nakrycie z głowy, by przeczesać włosy. - Co za cholerne, podłe bzdury! Jesteś jakąś cygańską wiedźmą, co?!

- Wie pan, jestem światlejszym człowiekiem niż pan - odparłam, próbując panować nad sobą - a więc to mnie nie obraża.

- Z tego, co rozumiem - ciągnął Geoff teraz już spokojniejszym głosem i znów z czapką na głowie - wydaje ci się, że ratujesz kapitana Ashforda przede mną. Akurat przede mną, człowiekiem, który broniłby go do ostatniego tchu! Powiniennem kopniakiem posłać cię do ryszotka, gdzie twoje miejsce...

- Nigdy by panu tego nie wybaczył.

Zamilkł i gapił się na mnie.

- Kobiety takie jak ty...

- Dobra, wystarczy. Więcej nie mam zamiaru tego znosić, nawet dla niego. A więc świetnie. Ustalmy, że

się nie lubimy. Na to nie widzę żadnej rady. Ale proszę, proszę, czy możemy odsunąć to na bok i w pierwszej kolejności zadbać o dobro Juliana?

- Dobro kapitana Ashforda oznacza natychmiastowe zniknięcie pani z jego życia.

- Nie! - odparłam, dźgając go palcem w pierś. - Dobro Juliana leży w pańskich rękach. Bo to pan go zdradzi. Pan.

Zrobił krok w tył z szeroko otwartymi ustami. Jego twarde skórzane buty pośliznęły się na wciąż wilgotnym bruku.

- Teraz pan mnie uważniej słucha, tak? Ta absurdalna nienawiść, jaką pan do mnie żywi, Geoffreyu Warwicku, ta pańska bigoteryjna zazdrość będzie oznaczać śmierć również pana. Więc lepiej niech się pan weźmie w garść, zanim doprowadzi nas wszystkich do zguby. - Podniosłam koszyk, zawiesiłam go sobie w zgięciu łokcia i jeszcze raz posłałam mu twarde spojrzenie. - Niech mu pan po prostu pozwoli być szczęśliwym, na litość boską! - dodałam jeszcze, a potem odwróciłam się i po-maszerowałam ulicą w stronę rue des Augustins.

Rozdział 2 1

Niebieska. Niebieska linia. Ostra, jaskrawa, jednoznaczna. „Tu jestem, mamusiu!”

Test wypadł z moich drżących palców. Patrzyłam na niego, gdy tak leżał na podłodze łazienki - trzęsienie ziemi zawarte w kawałku białego plastiku.

- Kochanie! - zawołał Julian z sypialni. - Jesteś już gotowa? Samochód czeka.

- Eee... Tak! - odkrzyknęłam. - Jeszcze tylko maluję usta. - Pochyliłam się, chwyciłam obciążający mnie dowód i wbrew logice potrząsnęłam nim, jakby to miało zmienić wynik. Sprawić, że będzie mniej... niebieski.

- Mogę ci pomóc? - spytał. Jego głos dobiegał teraz z bliższej odległości.

- Nie! Już kończę. Poczekaj.

Chwyciłam chusteczkę, owinęłam nią test i wetknęłam go głęboko do mojej szuflady. Zerknęłam na moją twarz w lustrze. Fryzjerka wyszła dziesięć minut temu,

pozostawiając mnie z włosami upiętymi na szczycie głowy w zuchwałą kaskadę. Sama zrobiłam sobie makijaż, tak jak zawsze: trochę mocniejszy, niż lubiłam, ale widziałam efekty moich pierwszych prób w sekcji „Sunday Pulse” w „Post” i szybko zdałam sobie sprawę, że zdjęcia dodają mi nie tylko pięć kilo wagi, ale też odbierają równie dużo makijażu. Wyglądałam jak studentka z college'u. W niezbyt pozytywnym sensie.

- Kochanie! - ponaglił mnie Julian ponownie, tym razem już tuż pod drzwiami.

Odwrociłam się i otworzyłam je z impetem.

- Przepraszam. Jak myślisz. Za dużo?

- Tak. Ale i tak wyglądasz olśniewająco. - Julian nie należał do mężczyzn, którzy przepadają za makijażem.

- Przepraszam - powtórzyłam. - Muszę wyglądać jak należy.

- Jak sądzisz? - Uniósł obie ręce. - Brylanty czy rubiny?

- Ty wybierz.

Ostrożnie przysunął do mojej szyi najpierw jedno, potem drugie.

- Rubiny - zdecydował.

- Nic bardziej nie krzyczy „Zauważ mnie!” niż połyskujące czerwone klejnoty warte fortunę. - Westchnęłam, odwracając się, by mógł mi je zapiąć na szyi.

- Gdy wrócimy dziś wieczorem do domu - odparł i poczułam jego chłodne, zręczne palce na karku - chcę, żebyś miała je na sobie. I nic więcej.

Julian spędził cały dzień na błaganiu mnie, bym włożyła cokolwiek spośród biżuterii, jaką przywiózł z sejfu w Connecticut. W końcu w pewien weekend sprowadził Michelle i Samanthę w charakterze posiłków. Zdrajczy- nie. W jednej chwili zdobył sobie ich względy tą swoją cholerną nieubłaganą charyzmą, prywatnymi odrzutow- cami i fundowaniem szalonych zakupów, których żadne inne szalone zakupy nie byłyby w stanie przebić. Prze- kształcił je w uczynne współpracownice, które w sklepie tak przemyślały rzeczy, żebym ich nie widziała, i w efekcie wróciliśmy do domu z tonami butów w moim rozmiarze, a one zmuszały mnie, bym przymierzała suknię za suk- nią. Oczy szkliły im się od nieustannego zachwyty, tak jakby ktoś bez przerwy stukał wielkim młoteczkiem w każdy ośrodek przyjemności w ich mózgach.

Odwróciłam się. Twarz Juliana była teraz tak blisko, że czułam zapach jego pasty do zębów.

- Mmm... Miętowa - powiedziałam bez namysłu i pochyliłam się, by go pocałować.

- Przestań - mruknął, splatając ręce na moim kar- ku. - Nie mamy czasu. - Jego usta leniwie zetknęły się z moimi. - Uwodzicielka - rzucił w końcu, odsuwając się. - Teraz starłem ci całą szminkę.

- To twoja wina. Wchodzisz tutaj z tą twoją twarzą... Jak moja suknia?

- Wygląda, jakby należało ją z ciebie zerwać.

- Czyli ci się podoba?

Okręciłam się. Szaroperłowe fałdy zawirowały wokół mnie, w sugestywny sposób podkreślając moją figurę. Musiałam przyznać, że ci projektanci wiedzieli, co robią.

- Gardzę nią. Każdy mężczyzna w budynku będzie myślał to samo co ja.

Spojrzał w dół i zmarszczył czoło.

- To się nazywa biustonosz typu push-up, Julianie - podsunęłam pomocnie.

- Do diabła - mruknął.

- No cóż, to był wyłącznie twój pomysł, pamiętasz? Ja tylko robię, co mi kazałeś.

- To mi wygląda bardziej na zemstę. A więc dobrze.

- Podał mi ramię. - Możemy, pani Ashford?

- Och, bardzo dziękuję, kapitanie.

Wsunęłam rękę pod jego ramię i chwyciłam wyszywaną klejnotami torebkę leżącą na komodzie.

- Jeśli mogę tak powiedzieć - dodałam, pozwalając wyprowadzić się z pokoju - ty też smakowicie wyglądasz.

- To tylko ten sam stary smoking - odparł.

- Ale tak ci w nim do twarzy...

Zeszliśmy po schodach, gdzie Erie, mój nowy zwalisty ochroniarz, czekał już na nas jak dwunożny doberman. Julian pozwolił, by moja ręka wysunęła się z jego ramienia, i teraz trzymał mnie tylko za palce.

- Chryste, Kate! - zawołał. - Jesteś zimna jak lód!

- Nerwy.

Owinał swą dłoń wokół mojej i kiwnął głową Ericowi, dając mu do zrozumienia, by ruszył pierwszy przez frontowe drzwi i do czarnego sedana zaparkowanego przy krawężniku.

To było tak, jakbym miała dwa mózgi. Jeden beztrudnie flirtował z Julianem, jak gdyby wszystko to było całkiem normalne, drugi zaś gorączkowo obliczał, od jak dawna jestem w ciąży. Odczekałam mniej więcej tydzień, mając wbrew rozsądkowi nadzieję, a potem zrobiłam sobie test. Ale nawet wówczas byłam zdumiona widokiem niebieskiej linii. To znaczy, nie mogłam przecież być w ciąży! Nie staraliśmy się o dziecko. To był tylko jeden głupi miesiąc. Inne pary starały się o potomka całe lata. A my? Bum! Ot tak? Trafiony, zatopiony? Nie ma mowy. To niemożliwe.

Nagle poczułam, że całe moje ciało zalewa się potem. A to co? Mdłości? Proszę, tylko nie to! Proszę, niech to będą tylko mdłości z nerwów, a nie z powodu ciąży.

- Dobrze się czujesz? - spytał nagle Julian, przyglądając się mojej twarzy.

- To tylko nerwy. - Mój śmiech zabrzmiał głucho.
- Chyba nie potrafię się do tego przyzwyczaić.

- Dziś wieczorem powinno być łatwiej, kochanie. Nawet ty nie mogłaś się przecież doczekać.

Samochód skręcił na rogu Piątej Alei w Sześćdziesiątą Szóstą, zmierzając w stronę Lincoln Center.

- Wiem. Powinnam być szczęśliwa. A ty przecież jesteś wielbicielem opery! To nawet w twoim guście.

- To nie jest prawdziwa opera w wieczór premiery - odparł pogardliwie. - Trochę „Traviaty”, trochę „Mannon”. Scena finałowa z „Capriccio”. Teraz zrobiła się z tego impreza.

- A nie o to chodzi? To znaczy nam?

- Tak - westchnął teatralnie. - Ale opłakuję sztukę.

- Możemy iść na inne.

- Oczywiście - zapewnił. - Kiedy to wszystko wróci do normy...

Wyjrzałam przez okno na migające za nim kamienne mury i odezwałam się cicho:

- Czy nie moglibyśmy znów się zaszyć? Teraz jesteś wybawcą Wall Street, a w tym mieście to właściwie oznacza cały znany wszechświat. I jeszcze ta twoja absurdalnie fotogeniczna twarz. - Wzięłam go za rękę. - I tak już wywołałeś niezłą burzę.

Zmarszczył brwi, czując się równie nieswojo w tej rzeczywistości jak ja. Po powrocie Juliana z negocjacji w sprawie Sterling Bates obudziłam się rano i odkryłam, że mój ukochany był bohaterem. Tam, na sali pełnej przedstawicieli banków wyszedł z cienia, by nie dopuścić do rozsypania się domku z kart. Teraz, gdy Southfield było właściwie rozwiązane, zainwestował niemal cały swój kapitał akcyjny w nową firmę, która miała przeprowadzać przetargi na trudne do upłynnienia papiery wartościowe wciągające Sterling Bates w bankructwo. Następnie przekonał innych - zastraszaniem,

pochlebstwami, czymkolwiek - by również zrobili to samo. W zamian domagał się rezygnacji kluczowych dyrektorów Sterling Bates ze stanowisk, wyprzedzały i reorganizacji różnych oddziałów, by zdobyć kapitał, oraz wprowadzenia nowych rygorystycznych protokołów zarządzania ryzykiem.

Oczywiście upłynęło kilka dni, nim wyciekły informacje o roli, jaką odegrał w całej tej aferze. Z początku szeptali o tym ci, którzy byli obecni na spotkaniach, a potem legenda zaczęła rosnąć, stając się tajemnicą poliszynela w znanym z plotkarstwa świecie finansjery. Nawet teraz nie ukazał się jeszcze żaden artykuł w „Wall Street Journal” czy wywiad w CNBC. Ale i tak wszyscy wiedzieli. „Dlaczego?” - pytałam go. Dlaczego w ten sposób przejął przywództwo, zwrócił na siebie uwagę? Mógł przecież przez to całkowicie spalić swoją przykrywkę. „Bo ktoś to musiał zrobić”, odpowiedział po prostu. Bo w świecie Juliana to właśnie robili mężczyźni - wychodzili z cienia. Wykonywali swoje obowiązki bez żadnych wymówek. Poświęcali się, gdy było to konieczne.

Spojrzałam teraz na niego, na jego zamyślony profil pogrążony w błękitnym cieniu wczesnego wieczoru i całe napięcie ustąpiło. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego policzka.

- Julian - powiedziałam. - Kochanie.

Jego oczy się rozszerzyły, bo rzadko używałam czułych słów.

- Zapomnij o tym, co wcześniej mówiłam. To dla mnie zaszczyt, że jestem ślicznotką uwieszoną u twojego ramienia.

Na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech, ciepły, bliski i tylko mój.

- Kochana - odparł. - To ja jestem zaszczycony.

Samochód minął Central Park West, wjeżdżając w Sześćdziesiątą Siódmą.

- A tak przy okazji - powiedział trochę wymuszonym tonem. - Spotkasz się dziś z Geoffem Warwickiem i jego żoną.

- Och, nie możemy po prostu ich unikać?

- Obawiam się, że nie. Mamy miejsca w tej samej łoży.

- Będziemy siedzieć w tej samej łoży?

- Dzielę ją z nim od lat. Wiem, że to niezręczne, kochanie, ale jestem pewien, że wszystkim nam uda się zachowywać w sposób cywilizowany. Chociażby ze względu na Carlę.

- Odkąd to tak zależy ci na uczuciach Carli? - odparłam.

Geoffem oczywiście gardziłam, ale Carla na swój sposób była jeszcze gorsza. Na pewno będzie mnie traktować z fałszywą entuzjastyczną zażyłością, której nienawidziłam najbardziej.

- Kochanie, bądź wspaniałomyślna. - Wsunął dłoń w moją.

- Po prostu nie jestem w tym za dobra. Wszystkie te towarzyskie uprzejmości...

- Potraktuj to jak grę - powiedział. - Mówiłem mu, żeby starał się być miły.

Uścisnęłam jego palce.

- Nie wiem, dlaczego nigdy mnie nie lubił. To znaczy, jestem chyba miłą osobą, prawda?

- Nie chodzi o ciebie - odparł. - Geoff jest dobrym człowiekiem. Po prostu próbuje mnie chronić. Zawsze tak było. W szkole uważał mnie za naiwnego gościa, który zawsze chciał się zaprzyjaźnić z nowymi. W sumie sam się mianował moim ochroniarzem.

Spojrzałam na niego uważnie.

- Posłuchaj - powiedziałam. - Postaram się być miła, obiecuję. W końcu odbiło mu się to rykoszetem, prawda?

- Jak to?

- Po prostu. - Pochyliłam się, by go pocałować. - Bez tej książki być może nigdy nie udałoby mi się ciebie skusić.

Zaśmiał się cicho, odwzajemniając mój pocałunek.

- Zapewne w końcu dalibyśmy radę. Ale oto jesteśmy. - Jego usta odsunęły się od moich. - Jesteś gotowa?

Zerknęłam przez szybę. Czerwony dywan, reporterzy... Co się stało z moim życiem?

- Dobra - powiedziałam, głęboko wciągając powietrze. - Mijmy to już za sobą.

- Będę tuż przy tobie.

Drzwi samochodu się otworzyły i moje oczy uderzyła mała eksplozja lamp błyskowych. Wyszłam z auta z taką gracją, na jaką było mnie stać, opierając się na dłoni szofera, by nie stracić równowagi. Po mojej lewej stronie pojawiła się imponująca postać Erica, a chwilę później po drugiej stronie zjawił się Julian. Poczułam, jak jego palce zaciskają się na moich, i uśmiechnęłam się błogo. Proste plecy. Ramiona do tyłu.

Szliśmy powoli, przyjmując odpowiednią pozę, gdy krzyczał na nas jakiś fotograf i usiłując przybrać wygląd uprzejmych i zrelaksowanych. Nikt, dzięki Bogu, nie prosił o nieplanowany wywiad. Coś takiego zdarzyło się w ubiegłym tygodniu na premierze jakiegoś filmu. Reporterka z „E!” z tonami makijażu, która pewnie nie odróżniała funduszy od fundacji, zwiedziona urodą Juliana wypytywała go tak, jakby myślała, że grał w tym filmie. Następnego dnia Michelle pokazała mi plik na YouTube:

Potężna para z Manhattanu, Julian Laurence i Kate Wilson, zjawiła się na premierze filmu Czyściec i pokazała hollywoodzkim celebrytom, co to znaczy splendor! Miliarder zarządzający funduszem hedgingowym, któremu wiele osób przypisuje wiodącą rolę w głośnej sprawie ratowania wielkiego banku Sterling Bates, zjawił się przed zachwyconym tłumem w towarzystwie swojej pięknej narzeczonej, analityczki inwestycyjnej, i wypowiedział się w następujący sposób na temat kontrowersyjnej tematyki

filmu: [tu następują elokwentne bzdury wygłoszone przez Juliana, który nie miał nawet pojęcia, o czym jest ten film].
/ uwaga do hollywoodzkich stylistów: te oszałamiające brylanty, które Kate miała na szyi, nie zostały wypożyczone u Harry'ego Winstona! Podobno Laurence dał narzeczonej ten wart dwa miliony dolarów naszyjnik jako prezent na zaręczyny. Kate to szczęściara!

A ja stałam po prostu u boku Juliana, wyglądając jak oszołomiona sarenka („O co ci chodzi? Jesteś absolutnie wspaniała!” - zawołała wierna Michelle), podczas gdy on posyłał w stronę kamer swój zabójczy uśmiech i pocałował mnie w rękę przy eksplozji fleszów zgromadzonych paparazzich. To zdjęcie trafiło później na którąś z ostatnich stron „Us Weekly”.

Przeszliśmy przez Lincoln Płaza do foyer opery, gdzie Julian ukradł przechodzącemu kelnerowi kieliszek szampana dla mnie. Właśnie miałam pociągnąć głęboki łyk, ale w ostatniej chwili się powstrzymałam.

- Dzięki - ostrożnie zamoczyłam usta.
- Byłaś wspaniała - powiedział tuż przy moim uchu.
- Chodź, znajdziemy nasze miejsca.

Nie siedzieliśmy w centralnej łoży - to był Manhattan i było tu mnóstwo ludzi o wiele bogatszych niż Julian - ale niedaleko od niej. Gdy jednak wślizgnęliśmy się do środka, odkryłam, że żałuję, że nie zwlekaliśmy dłużej, paradując przed tłumem. Geoff Warwick, siedzący

z założonymi rękoma w czerwonym aksamitnym fotelu, spojrzał na mnie ze zwykłą pogardą, kiedy się zjawiłam. Jego żony nie było. Towarzyszył mu natomiast jakiś młody mężczyzna, który studiował program.

Julian stanął jak wryty.

- Geoff - odezwał się po chwili milczenia, która ciągnęła się w nieskończoność. - Dobry wieczór. Arthur? Co cię tu sprowadza?

Obaj mężczyźni wstali. Zaczepnęłam głęboko powietrza.

- Geoff, tak się cieszę, że cię widzę. Gdzie Carla?

- Grypa żołądkowa. Dobry wieczór - dodał niechętnie, ściskając moją dłoń.

Drugi mężczyzna uśmiechnął się ciepło.

- Zastępuję ją tu dzisiaj - powiedział.

Błyskawicznie zerknęłam na Juliana. Nieznajomy mówił z angielskim akcentem, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym.

- Witaj, Julianie - ciągnął, ściskając jego rękę.

- Arthurze - odezwał się Julian ostrożnie. - Co u ciebie? Kochanie, to Arthur Haverton, nasz menedżer do spraw relacji z klientami. Arthurze, moja narzeczona Kate Wilson.

Arthur uśmiechnął się do mnie znacznie cieplej niż Geoff Warwick.

- Wspaniale móc panią poznać, panno Wilson - powiedział. - Mnóstwo o pani słyszałem.

Odwzajemniłam jego uśmiech. Był trochę wyższy ode mnie, ciemnowłosey, w sumie przystojny i jakby znajomy.

- Proszę mówić mi po imieniu - odparłam, ściskając jego dłoń. - Przepraszam, ale spotkaliśmy się już kiedyś? Mam wrażenie, że pana znam.

Cisza, jaka zapadła w łoży, była niemal namacalna. Spojrzałam pytająco na Juliana. Odchrząknął.

- Arthur - powiedział powoli - jest moim bliskim przyjacielem od dzieciństwa.

Zobaczyłam w oddali, że żyrandol poza łożą unosi się, a światła powoli gasną. Wszystko to działo się przejmująco powoli, jakby jakimś sposobem cały świat zwolnił bieg.

- Och! - powiedziałam. - Rozumiem.

Znów spojrzałam na pana Havertona i wiedziałam już dokładnie, gdzie wcześniej widziałam tę twarz: na fotografii w kolorze sepia, na której stał w słomkowym kapeluszu.

Haverton. Hamilton.

- Musi pan być bratem Florence - podjęłam. - Jestem zaszczycona, mogąc pana poznać, panie Haverton. Julian bardzo ciepło o panu mówił.

Poczułam, jak ciało Juliana obok mnie powoli się rozluźnia. Wsunął rękę za moje plecy, dodając mi otuchy.

- Proszę mi również mówić po imieniu - poprosił brat Flory Hamilton. - Bardzo liczę na to, że się zaprzyjaźnimy.

- Oczywiście - zapewniłam. - Oczywiście.

Do łóży weszło jeszcze kilka osób, śmiejąc się na całe gardło i potykając w poszukiwaniu swoich miejsc.

- Chyba już czas zająć fotele - oświadczył Julian.

Jego spojrzenie spoczęło ciężko na Geoffie Warwicku, który wzruszył ramionami i usiadł. Julian wziął mnie za rękę i poprowadził do naszych miejsc z przodu łóży. Usiedliśmy w niemal całkowitej ciemności, a ja cofnąłam rękę i położyłam ją na kolanach, na programie.

- Nie złość się - powiedział cicho. - Nie miałem pojęcia, że tu będzie. Warwick zaprosił go umyślnie. Grypa żołądkowa, akurat!

Staliśmy razem w odległym zakątku Belmont Room, w operowej sali przyjęć, gdzie grube ryby gromadziły się w czasie antraktu. Geoff triumfalnie zaciągnął Arthura „Havertona” Hamiltona do baru, pozostawiając Juliana sam na sam z moim gniewem.

- Powinieneś być mi o nim powiedzieć - syknęłam, zniżając głos. - Powinieneś być mi zaufać.

- Ufam ci, Kate. Oczywiście, że ci ufam. Nie chciałem sprawiać ci bólu, ot wszystko. Ja...

- Brat Florence. Mieszka tu, na Manhattanie. Jeden z was. Powiedz, planowałeś w ogóle nas sobie przedstawić? - mówiłam obojętnym tonem, zdecydowana, by nie zrobić publicznej sceny. - Miałeś w ogóle zamiar to

zrobić? Czy po prostu liczyłeś na to, że nigdy na siebie nie wpadniemy?

- Tak, planowałem to. Prędzej czy później. To był trudny temat.

- A więc pozwoliłeś, żeby Geoff mnie zaskoczył. Widziałeś, jaką miał minę? Triumfował.

- Przepraszam cię za to - powiedział, próbując uspokoić mnie spojrzeniem. - Kochanie, napij się szampana. Spróbuj się zrelaksować.

- Jestem całkowicie zrelaksowana. I będę dalej pić wodę, dzięki. - Przysunęłam szklanekę do ust i udałam, że piję.

Wokół nas unosił się i opadał zawrotny chór rozmów i drżący trzask śmiechu.

- Dziękuję - odezwał się po chwili. - Dziękuję, że tak wspaniale się zachowałam. Jesteś aniołem. Byłaś naprawdę bardzo wyrozumiała. O wiele bardziej, niż zasługiwał na to którykolwiek z nas.

- Wydaje mi się, że Arthur całkiem dobrze to przyjął.

- Cóż, miał szansę się na to przygotować. Kochanie, popełniłem błąd. Powinienem być ci powiedzieć dawno temu.

- Czy to znaczy, że czegoś jeszcze mi nie mówisz?

Właśnie otwierał usta, by odpowiedzieć, gdy Paul Banner poklepał go w plecy.

- Laurence! - ryknął, rozchlapując kilka kropel szkodliwej ze szklanki, którą trzymał w drugiej ręce. - Ty dupku! Wybawiciel Wall Street, co?!

- Panie Banner - Julian przesunął się, by stanąć u mojego boku - miło pana widzieć. Zna pan pannę Wilson, oczywiście? To moja narzeczona - powiedział z naciskiem.

- Katie!

Banner pochylił się, by pocałować mnie w policzek, i pewnie trafiłby w usta, gdybym w ostatniej chwili nie odwróciła głowy.

- Oczywiście, że znam Katie! Kurwa, ale z ciebie czarny koń! W ostatnie święta nie mieliśmy pojęcia, co kryjesz w rękawie! Hej, zawsze obiecywaliśmy, że stworzymy ci życiową okazję w Sterling Bates.

- Cóż, tyle że mnie zwolniliście.

- No tak. - Zrobił skruszoną minę. - Przepraszam cię za to. Alicia, ta pieprzona suka, przekonała nas, sam nie wiem jak. Ale widzę, że i tak spadłaś na cztery łapy! - Spoglądał to na mnie, to na Juliana.

- Uważam - wtrącił się Julian chłodno - że to mi przypadło w udziale całe szczęście.

Odwróciłam się do niego.

- Kochanie, chyba zobaczyłam kogoś znajomego. Może porozmawiacie tu sobie trochę, a potem do mnie dołączycie? Zobaczymy się za chwilę w łoży. - Uniosłam jego rękę i musnęłam ustami tylko po to, by widział to Banner, a potem odeszłam w stronę baru.

- O mój Boże, ale się zmieniła. Rzuca na kolana, co? - usłyszałam za plecami pijacki ryk Bannera.

Wypatrzyłam Geoffa i Arthura stojących przy barze jak konie przy żłobie i wślizgnęłam się między nich.

- Witajcie, panowie - powiedziałam. - Julian znów jest zajęty podtrzymywaniem znajomości. Powiedz mi, Arthurze, jak ci się podobał pierwszy akt?

- Och, zawsze uwielbiałem Leę Fleming - odparł z zapałem. - Widziałem ją kilka lat temu w nowej wersji „Figaro”. Miała nas wszystkich w garści. Jest niesamowita.

- A ty, Geoff? - Spojrzałam na Warwicka. - Jesteś fanem „Traviaty”?

Zanim odpowiedział, pociągnął długi łyk czegoś, co wyglądało na whisky.

- Wiesz, Kate, szczerze mówiąc - wycodził - przychodzi na te rzeczy tylko dla widowiska.

Rozdział 22

Dotarliśmy do domu dopiero przed pierwszą. Po galowym występie byk galowa kolacja, która ciągnęła się w nieskończoność z tymi wszystkimi przemówieniami i wzajemnymi gratulacjami, aż miałam ochotę wstać i zacząć krzyczeć. Jediną rzeczą, jaka trzymała mnie przy stole, była świadomość, że jeśli wyjdę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, Julian pójdzie za mną. A na to nie byłam jeszcze tak do końca gotowa. Zamiast tego gawędziłam więc z Arthurem Hamiltonem, głównie o Julianie.

- Och, zawsze coś szykował - mówił z uśmiechem Arthur. - Niesamowicie się przydawał podczas przyjęć w domu. Jego rodzice organizowali ich mnóstwo, a on zawsze potrafił wymyślić jakieś wyjątkowo skomplikowane figle. A moja siostra zawsze mu chętnie pomagała oczywiście.

- A jego rodzice? - spytałam. - Często o nich myślę. Musieli strasznie za nim tęsknić.

Zdjął okulary i przyglądał mi się w zamyśleniu, mruczając oczy, gdy je wycierał.

- Z tego, co wiem, to bardzo przeżyli jego wyjazd do Nowego Jorku - odparł ostrożnie. - Nigdy nie znałem wspanialszych ludzi.

- Bardzo mi przykro. Przypuszczam, że pan również tęskni za swoją rodziną.

- Bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić słowami. Moja siostra... Ale oczywiście słyszała pani o niej. Niezwykła kobieta. Jej duch, jej zapał i ta całkowita oryginalność... To wspaniałe morale, które tak bardzo podziwiałem. I oczywiście jej cnotliwość. W niczym nie przypominała tych wulgarnych kobiet, z jakimi człowiek się dzisiaj spotyka. Bardzo mi jej brakuje - dokończył z westchnieniem.

Czy umyślnie był tak okrutny? Wyraz jego twarzy był prostoduszny i sprawiał wrażenie pogrążonego we wspomnieniach.

- Tak przypuszczam - powiedziałam w końcu. - Tak wiele się mieniło. Wasze czasy były inne.

- Nie jest pani sobie w stanie wyobrazić jak bardzo. Wtedy pojęcie honoru coś znaczyło. Dane słowo coś znaczyło. Rzeczy były trwałe, człowiek żył w pewnego rodzaju słodkiej niezmienności. A teraz wszystko oczywiście rozpadło się na kawałki. I nie ma już powrotu. Powiedziałbym, że to bezpowrotnie utraciliśmy. - Zdecydowanym ruchem wychylił ostatnie krople szkockiej,

a mnie przyszło na myśl, że robił to często. - Ach, nareszcie tańce! Uczyni mi pani ten zaszczyt, Kate?

- Oczywiście.

Wstałam i zatańczyłam z nim, a potem przejął mnie Julian.

- Mógłbyś mnie już zabrać do domu? Proszę.

Kiwnął głową, szybko wysłał wiadomość szoferowi i kilka minut później Erie pakował nas na tylne siedzenie, by w milczeniu odwieźć do domu.

- Chodźmy na górę - powiedziałam, gdy stanęliśmy w przedpokoju.

Julian odwrócił się do ochroniarza.

- Ericu, to wszystko na dziś wieczór. Dziękuję.

Poprowadziłam go po schodach do naszej sypialni. Gdy weszliśmy do środka, zamknął za nami drzwi i przyjrzał mi się nieufnie.

- Dobra - odezwałam się. - Musimy porozmawiać. To znaczy, dalej naprawdę już nie może tak być.

- O co ci dokładnie chodzi?

- O tę twoją obsesyjną tajemniczość! Nie mówisz mi, że Arthur Hamilton żyje i ma się dobrze. Nie jestem dzieckiem, Julian. Potrafię sobie z tym poradzić. Poradziłam sobie z twoją historią, na litość boską!

- Kochanie - odparł z irytacją w głosie. - Nie możesz chyba zaprzeczyć, że za każdym razem, gdy pojawia się temat Flory, zmieniasz się w zazdrosną jędzę...

- Och, proszę! To gruba przesada!

- To jak chodzenie po cienkim lodzie...

- Nie, nieprawda! Dobra, czuję się z tym trochę niepewnie, ale jesteś z nią historycznie związany, na litość boską! Otwórz dowolną książkę o poezji wojennej i jesteś tam, marzący o niej.

- Niech diabli wezmą ten cholerny wiersz - syknął.

- Julian i Florence, wielki tragiczny romans pierwszej wojny światowej - nie ustępowałam. - Dziwi mnie, że jeszcze nie zrobili o tym filmu, do cholery! Masz w ogóle pojęcie, jakie to irytujące?

- Nie powinno cię to drażnić, znasz przecież prawdę.

- Cóż, przykro mi, ale drażni. Lecz nie wściekam się z zazdrości. - Zmrużyłam oczy. - Tak naprawdę to projektujesz, bo to pewnie ty wyciągnąłbyś śrutówkę na tego biednego sukinsyna, który odebrał mi dziewictwo. Bałam się nawet powiedzieć ci, jak się nazywał!

- Nie bądź śmieszna. - Rozwiązał muszkę jednym szarpnięciem. - Do diabła, załatwiłbym tę sprawę gołymi rękoma!

Ze złością rozłożyłam ręce.

- O rany! I to ja jestem zazdrosna? Tak czy inaczej, nie chodzi nawet o Arthura. On jest jedynie symptomem tego twojego... tego całego nastawienia, że nie można mi ufać, że nie potrafisz nawet zadbać o własne bezpieczeństwo.

- Bzdury. Podjąłem jedynie rozsądne środki ostrożności...

- Rozsądne?! Cholera, nie mogę już nawet wyjść zaczerpnąć świeżego powietrza bez ochroniarzy! Traktujesz mnie jak lalkę, Julianie. Ubierasz mnie, kupujesz mi różne akcesoria, trzymasz pod szklanym kloszem. A potem, kiedy jesteś w nastroju, zabierasz mnie, żeby się mną pobawić albo pochwalić przed swoimi bogatymi przyjaciółmi...

- Pobawić!

- To prawda. To takie poniżające. I o niczym nie mówisz mi ani słowa. Wiem, że ukrywasz przede mną różne rzeczy, rzeczy z twojej przeszłości.

- Nie traktuję cię jak lalki - powiedział z napięciem Wgłósie.

- Owszem. Traktujesz. Spójrz tylko na mnie! Na tę... na tę suknię i na ten głupi naszyjnik! - Jakie to zabawne, zauważyła jakaś część mojego mózgu. Kompletnie mi odbija - Jestem na pokaz, Julianie. Jakbym nie miała już własnego mózgu ani nawet duszy. Jestem jak jedna z tych twoich ślicznych debiutantek, z którymi flirtowałeś!

- Kate, co w ciebie wstąpiło? Gadasz kompletne bzdury!

Wielkimi krokami przeszedł przez pokój do przebieralni, gdzie zerwał z siebie smoking i odwiesił go, trzaskając lśniącymi drewnianymi wieszakami.

- Debiutantek - mruknął.

- Nie gadam żadnych bzdur! Mówię prawdę! Tak się właśnie czuję!

- To się mylisz! Lalka! Na litość boską, jakby to nie było dokładnie...

- Nie mów mi, że się mylę! Ty ze wszystkimi tymi twoimi kłamstwami i tajemnicami...

- Kłamstwami?! - Odwrócił się gwałtownie.

- Sam to przyznałeś! Okłamałeś mnie co do powodu, dla którego byliśmy w Lyme. O tej bliźnie na twojej ręce. I jest też coś takiego jak kłamstwo przez pominięcie. Bóg mi świadkiem, że jesteś w tym mistrzem! Ty i te twoje cholerne szufladki! I ten twój mózg jak sklep z butami! - Machnęłam ręką w stronę jego głowy. - Tylko czekam, co będzie następne. Może ukrywasz gdzieś samą Florencę w jakimś mieszkaniu za rogiem. Może to dlatego cię nie ma nigdy rano w moim łóżku! Z tego, co wiem, to może nawet jesteś wtedy u niej!

O, to było dobre - pochwalił mój mózg.

- Czyś ty kompletnie oszalała?! - wybuchł. - Zupełnie jak Flora w swoich cholernych najgorszych momentach. Zupełnie niedorzeczna, a Bóg mi świadkiem, że...

- Chyba zaczynam ją rozumieć! O mój Boże, sama perspektywa, że za ciebie wyjdzie, że będzie zamknięta jak ptak w pozłacanej klatce! Nic, na co by można czekać, prócz dobrego rżnięcia raz na jakiś czas!

Zapadło milczenie. Julian zamarł z jednym butem w ręce przy drzwiach do przebieralni. Jego twarz niczego nie wyrażała. Kosmyk włosów opadł mu na czoło jak sierp.

No cóż, Kate. Gadałaś już w życiu głupie rzeczy, ale za to należy ci się cholerna nagroda.

- Dobrego rżnięcia - powtórzył w końcu. - Tylko o to ci chodzi? O dobre rżnięcie?

Miałam ochotę odwrócić od niego wzrok, nie słyszeć oskarżenia w jego głosie, nie widzieć tego dziwnego światła płonącego w jego oczach. Ale nie mogłam okazać się aż takim tchórzem.

- Nie jestem arystokratką, Julianie - odpaliłam. - Nie jestem *ingénue*. Nie jestem nawet cholerną ikoną pacyfizmu. Jestem Amerykanką, jestem współczesna, jestem z krwi i kości, niezależna i... i chyba wulgarna. Takiego słowa użył Arthur. Ale przynajmniej masz w łóżku prawdziwą kobietę, Julian, a nie jakąś małą zimną sukę, która zdrze swoją suknię, kiedy będziesz gotów, i odepchnie cię, kiedy...

- Niech to diabli, Kate - warknął. - Jeśli chodzi ci tylko o dobre pieprzenie...

Cofnęłam się nieufnie, ale był dla mnie o wiele za szybki. W sekundę uniósł mnie, oplótł się moimi nogami i całując, nieubłaganie na mnie napał. Oboje walnęliśmy w ścianę, a on jedną ręką zdarł ze mnie wartą dziesięć tysięcy dolarów suknię, nie odsuwając nawet ust.

Spróbowałam obrócić głowę, ale trzymał mnie zbyt mocno, i nagle stwierdziłam, wstrząśnięta, że jestem bardziej podniecona niż kiedykolwiek w moim życiu.

Rzuciłam się na niego, odrywając guziki koszuli. Zdarłam mu ją z ramion, gryząc, jęcząc i błagając. Męczyłam się z jego paskiem, w końcu jakoś udało mi się go rozpiąć i wtedy znalazłam się w powietrzu, z głową odrzuconą do tyłu, z jego zębami na moich piersiach. Usłyszałam, jak warknął moje imię. Poczułam mięśnie jego ramion napinających się wokół mnie, złapałam kurczowo tę jego piękną lwią głowę i kompletnie się zatraciłam.

Potem nic nie powiedział. Słyszałam, jak dyszy za moimi plecami, ale widziałam tylko wypolerowane drewno komody, a na niej porozrzucaną biżuterię i różne przedmioty. Czułam jego gorącą, wilgotną skórę przyciśniętą do mojej i pulsujące fale po wyjątkowo wybuchowym orgazmie.

- O rany - mruknęłam, próbując dojść do siebie.

Przestałam widzieć jego ramiona i poczułam ból oddzielenia. Chwilę później wrócił. Okrył mi ramiona czymś jedwabistym, a potem usłyszałam, że drzwi sypialni otwierają się i zamykają. Wyprostowałam się i odwróciłam. Szlafrok zsunął mi się z pleców i opadł na podłogę. Złapałam go i wyszłam do łazienki.

Z lustra spojrzała na mnie moja twarz. Obca twarz. Zimno i obiektywnie dostrzegłam w niej piękno, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Zobaczyłam, jak te wielkie srebrne, wyraziste oczy świetnie pasują do elf ich

kości policzkowych. Jak biała i aksamitna jest moja skóra, a ciemne włosy wiją się wokół ramion, na wpół skrywając rubinową koliaż na delikatnych wzniesieniach obojczyków. Wyglądałam jak kurwa. Elegancka, droga kurwa.

Zaciągnęłam poły szlafroka i przewiązałam go paskiem, a potem zebrałam włosy gumką. Zaczęłam się szarpać z zapięciem naszyjnika, ale w końcu zostawiłam go na szyi.

Juliana znalazłam w pokoju z fortepianem, siedzącego w ciemności na ławeczce przy instrumencie. Łokcie oparł na klawisze, a twarz ukrył w dłoniach. Gdy weszłam, nawet na mnie nie spojrzął.

Znów zarzucił na siebie podkoszulek. Spodni od smokingu tak właściwie to przez cały ten czas nie zdjął. Widziałam w słabym świetle z przedpokoju, jak jego szerokie, ubrane w biel ramiona zwięzają się do szczupłej talii, by zniknąć w czerni jego spodni. Ciężkie milczenie panujące w pokoju wdzierało się w moje ciało. Wreszcie podeszłam i stanęłam za nim. Delikatnie położyłam dłonie na jego ramionach.

- Zagraasz dla mnie? - spytałam szeptem.

- Kate, ja...

- Proszę...

Ciężko westchnął.

- Co byś chciała usłyszeć?

Zawahałam się.

- Cis-moll. Ten nokturn.

Cicho uniósł klawię i jego palce spoczęły na klawiszach. Pochyliłam głowę, muskając ustami jego włosy, a wtedy zaczął grać - bolesna samotność, nieuchwytna radość, pragnienie i tęsknota. Moje palce zawisły na jego ramionach o chwilę za długo. Zmusiłam się, by je odebrać i spłotłam je za plecami. Kiedy skończył i opuścił ręce, usiadłam przy nim plecami do niego.

- Zawsze, kiedy to grasz - odezwałam się - myślę o tej pierwszej nocy. Mojej pierwszej nocy z tobą. Nie wiem dlaczego. Mieliśmy tyle pięknych nocy, ale tamta... Tak rozpaczliwie cię pragnęłam. Potrzebowałam pewności, szczerości, tak, żeby wszystko inne znikło, żebyśmy istnieli tylko my. A ty wiedziałeś. Bóg mi świadkiem, wiedziałeś. Ta twoja mina, to, jak mnie dotykałeś. To, co mówiłeś. Rozumiałeś, o co mi chodzi. I to było takie doskonałe, Julianie. Jakbym w tamtej chwili stała się nowym człowiekiem.

- Kate... - Usłyszałam w jego głosie ton rozpacz.

- Tak mi przykro, Julianie. Mówiłam okropne rzeczy i wcale tak nie myślałam. Ty...

- Nie - powiedział, patrząc w klawisze fortepianu.

- Nie przepraszaaj. To ja powinienem błagać cię o przebaczenie. Traktowałem cię jak... Wykorzystałem cię...

- Posłuchaj. - Uniosłam kolano i oparłam je obok

jego nogi. - Może to zauważyłeś, a może nie, ale mi się to podobało, Julianie. Pragnęłam cię, tak po prostu, wściekle i pięknie. To było... katharsis. To było niesamowite. Zrób to kiedyś jeszcze raz.

Nie odpowiedział. Próbowałam dostrzec wyraz jego twarzy, ale w pokoju było zbyt ciemno.

- A poza tym - ciągnęłam - to ja sprowokowałam cię do tego. Rzuciłam się na ciebie jak dziecko, zamiast rozsądnie wszystko wyjaśnić. Obaliłam własne argumenty, co jest naprawdę irytujące. Nie lubię przegrywać, kiedy się kłóczę. Ale tym razem przegrałam, dobra? Tak, byłam idiotką i byłam zazdrosna o Florence Hamilton. Tak, wiem, że mi wybaczyłeś moją przeszłość. Albo... nie wiem, może mi nie wybaczyłeś. Może to gdzieś tkwi w tym twoim brytyjskim mózgu, a ty to znacząco ignorujesz. Tak czy inaczej, *mea culpa*. Przereagowałam.

- Chciałbym, żebyś chociaż raz dla odmiany mi zaufała, Kate - powiedział i uświadomiłam sobie, że wciąż był zły. - Mam powody, by robić to, co robię. Nie działałam przypadkowo.

- Cóż, gdybyś zechciał mi na przykład powiedzieć, jakie to powody, to może wtedy byśmy się nie pokłócili. To ty nie chcesz zaufać mi.

- Tak się składa, że wiem, iż lepiej by było, gdybyś o pewnych rzeczach nie wiedziała. To bardzo ważne.

- Och, proszę - jęknęłam. - Albo masz paranoi-dalną obsesję, albo nadal tkwisz w tym absurdalnym

edwardiańskim sposobie myślenia i traktujesz kobiety jak dzieci, nie bierzesz ich poważnie...

Pełne irytacji warknięcie.

- Nauczyłaś się tego na studiach? Na jakimś cholerym seminarium z historii?

Spojrzałam na swoje palce.

- Dobra, w porządku. Ale tak czy inaczej to nie może dalej trwać.

W końcu się odwrócił, blady, pokonany, ze złotymi włosami rozsypanymi na czole.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zebrałam w sobie całą odwagę.

- Że jestem gotowa spakować walizkę i wracać do Lyme, dopóki to wszystko się nie rozejdzie.

Wzdrygnął się, jakby dotknął drut pod napięciem.

- Opuściłabyś mnie?

- Nie ciebie. Tego bym nigdy nie zrobiła. Opuściłabym to miejsce.

Wydawało się, że moje słowa odbiły się echem wśród ścian. Poczułam, jak chłonie mnie pustym spojrzeniem, próbując to pojąć.

- Kate, nie zrobiłabyś tego - powiedział w końcu.

- Nie możesz.

- Nie mogę zostać, Julianie. Nie mogę patrzeć, jak cierpisz i się zadręczasz. Traktujesz mnie jak dziecko, które samo sobie nie poradzi. Chcę Juliana, który mi ufa, który otwiera przede mną swoje serce. - Walczyłam

z rosnącą grudą w gardle. - Który śmieje się, kiedy się ze mną kocha. Który nic przede mną nie ukrywa.

Otworzył usta i znów je zamknął.

- Posłuchaj - powiedziałam. - O to mi właśnie chodzi. O ukrywanie. I wciąż sobie myślę, kiedy on mi wreszcie wszystko powie. Kiedy mi na tyle zaufa. Bo ja się tak bardzo obnażyłam, Julianie. Jestem tak otwarta i tak bezbronna wobec ciebie, że możesz mnie zniszczyć jednym oddechem.

- O Boże, Kate. - Sprężyście przerzucił prawą nogę nad ławeczką do fortepianu, siadając na niej okrakiem. Jego ramiona ścisnęły mnie ze straszliwą siłą. - Wolałbym już siebie zabić.

- Jestem ambitna, Julianie - powiedziałam z przekonaniem. - I zachłanna. Chcę być tą, która zna cię najlepiej. Chcę mieć to wszystko dla siebie. Chcę ciebie. Żądam ciebie. Pozwól mi to z tobą dzielić, czymkolwiek to jest. Pozwól mi sobie pomóc. Ufasz mi we wszystkich innych sprawach: klucze, hasła, konta w banku, kody do alarmu, karty kredytowe... A więc czemu nie to?

- Opowiedziałem ci o mojej przeszłości, Kate.

- Ale nie wszystko. Nie to, co nieprzyjemne, niewygodne. Nie to, co cię teraz dręczy.

- Masz moje serce. Każdy jego atom.

Odwrociłam głowę i pocałowałam to serce tuż nad jego mostkiem.

- Próbujesz mnie rozbroić, prawda? Wiesz, że nie potrafię się temu oprzeć.

- Próbuję tylko sprawić, byś zrozumiała, że jestem twoją własnością, Kate. - Sięgnął po moje ręce, uniósł je i pocałował najpierw jedną, a potem drugą. - Masz mnie tu, na dłoni. Nawet jeśli stracę głowę i... wezmę cię... jak jakieś zwierzę...

Chwyciłam go za nadgarstki i splotłam jego ręce na moim karku.

- Przestań, w tej chwili przestań! Jest dwudziesty pierwszy wiek, Julianie Ashfordzie, i wolno ci uprawiać dziki seks z kobietą, którą kochasz, i nie mieć potem wyrzutów sumienia.

- Byłem zły. Straciłem panowanie nad sobą. Mogłem ci zrobić krzywdę.

- Nigdy nie zrobiłbyś mi krzywdy. Gdybym powiedziała nie, zamiast wskoczyć na ciebie jak kotka w rui, na pewno byś przestał. Znam cię, Julianie, i wiem, że byś przestał.

- Naprawdę? - spytał gorzko.

Spojrzałam w sufit.

- Tak, naprawdę. Jesteś mistrzem samokontroli, Julianie. To cię trzyma w jednym kawałku. Ta dyscyplina. Zaspokajasz najpierw potrzeby innych, zanim zaspokoisz własne. Zawsze starasz się zrobić to, co słuszne, trzymasz się jakichś niemożliwych standardów. Zadręczasz się tym. Ale przecież wiesz, że przy mnie możesz

to sobie odpuścić, prawda? Nie musisz być szlachetny. Przy mnie możesz być samolubny. Chcę, żebyś taki był. To po to tu jestem, po to chodzę po tym świecie. Żebyś raz na jakiś czas miał od tego jakąś odskocznę, mój ty biedny, zmęczony mężczyzno, który od dnia swoich narodzin stawiasz czoło oczekiwaniom całego świata.

- Ale nie mogę być zwierzęciem, Kate...

- Ciii - musnęłam palcami jego usta i ujęłam jego twarz w dłonie. - Jest w tobie tyle pasji. Cała ta miłość, lojalność i ferwor. Twoje barbarzyńskie skłonności, jak je kiedyś nazwałeś. Wiem, myślisz, że to mnie przeraża, że powinno mnie przerażać, ale tak nie jest. To jest istotą ciebie i dlatego jest dla mnie cenne.

Przymknął oczy.

- Kate, złamiesz mnie, ty cholerna, niesamowita istota. Nie masz litości.

- Och, Julian. Naprawdę nie wiesz, prawda? Jaki jesteś fascynujący, jak niepojęcie seksowny, a zwłaszcza gdy się złościsz. - Pochyliłam się i wymruczałam mu do ucha: - Nie potrafię ci się oprzeć. Teraz znów cię pragnę. Wiedziałeś o tym? Nic na to nie poradzę. Jedno spojrzenie tych twoich oczu i cała się rozpuszczam... Śmiejesz się ze mnie?

Jego pierś się trzęsła.

- Lepiej, żebyś się ze mnie nie śmiał, Ashford.

- Kate - westchnął. - Kate, ty mnie zamordujesz. Nie wiem, czy się śmieję, czy płaczę. Dziś wieczorem wywróciłaś mnie na drugą stronę.

Zsunęłam ręce po jego plecach, zatrzymałam na pasie i na chwilę przytuliłam się do jego piersi, czując, jak moje ciało porusza się w miarowym rytmie jego oddechu. Lekko, niemal z wahaniem otoczył mnie ramionami, jakby się bał, że mnie zmiażdży.

- No to opowiedz mi o Arthurze Hamiltonie - powiedziałam. - Będę grzeczna. Rozsądna. Żadnych scen zazdrości.

- Nie masz pojęcia, jak strasznie cenna jesteś dla mnie, prawda? Jaki to dla mnie ból, gdy sprawiam ci choćby najdrobniejszą przykrość.

- Ale o to właśnie chodzi. Dlaczego istnienie Arthura Hamiltona miałyby mi sprawiać przykrość? - spytałam z premedytacją nieszczerze.

Patrzył na mnie niepewnie, aż wreszcie wysunęłam się z jego ramion i przesiadłam się na sofę. Musiałam się choć na chwilę oddalić od jego dotyku i zapachu, żeby być w stanie jasno myśleć.

- Julian, byłam zła, oczywiście. Nie spodobało mi się, że wpadłam tam w zasadzkę. Że musiałam tak bardzo się starać, by nie stracić panowania nad sobą. Przede wszystkim ze względu na biednego Arthura. I żeby odplącić Geoffowi. A jednocześnie zachowywać się jak najspokojniej.

- Byłaś niesamowita, kochanie. I masz całkowitą rację. Powinienem być ci o nim powiedzieć. Przepraszam cię.

- Nie jestem jak te kobiety, które kiedyś znałeś, Julianie. Przywykłam do tego, że jestem niezależna, że mam całkowitą kontrolę nad moim życiem. I nagle wszystko wymknęło mi się z rąk. To znaczy, jaką pracę teraz dostanę? Tylko u tych, którzy chcą, byś był im dłużny przysługę. I nie mogę już wrócić na Wall Street. Nie wiem, co zrobię.

Podszedł do mnie szybko, uklęknął przede mną i ujął moje ręce.

- Masz kontrolę nade mną, Kate. Wystarczy, że poprosisz, i ci ją dam. Dam ci wszystko, czego zapragniesz.

- Nad tobą. Tylko tego chcę. Żadnych rubinów, sukni od projektantów, żadnych ochroniarzy. Tylko ciebie, całego ciebie. Leżącego ze mną w trawie ze słońcem we włosach. O to tylko chcę prosić. - Splotłam palce z jego palcami.

- Kochana - powiedział łamiącym się głosem. Zsunęłam się z sofy i zagrzebałam w jego potężnym, kochającym ciele. - Wybacz mi. To i całą resztę.

Spojrzałam na jego twarz, na ostre cienie na jego policzkach w świetle pojedynczej lampy.

- Tak naprawdę - powiedziałam - to myślę, że to Geoff musi za to zapłacić.

- Och, zapłaci - zapewnił Julian ponuro.

Usiadłam wygodniej i ujęłam jego dłonie. Jakiś instynkt nakazał mi na nie spojrzeć.

- O mój Boże! Co się stało?

Zerknął w dół, na zdartą skórę na kostkach swojej prawej ręki.

- N i c .

- Przyłożyłeś komuś! - powiedziałam oskarżającym tonem, znów patrząc na jego twarz, która teraz wydawała się niedostępna. - Kiedy to się stało?

Milczenie. Zmrużyłam oczy.

- Dobra - powiedziałam. Wzięłam go za rękę i pociągnęłam z powrotem korytarzem do naszego pokoju.

- O, do diabła! - zawołał, gdy zobaczył niebieską apteczkę. - Nie jestem ranny, Kate!

Nie skomentowałam tego, tylko otworzyłam apteczkę i wyjęłam gaziki z alkoholem.

- Przeżyłem na cholernym froncie zachodnim bez tych śmieci - narzekał, krzywiąc się. - W najmniej sanitarnych warunkach, jakie tylko można sobie wyobrazić.

- To był Banner, prawda? - Cisnęłam gazik do kosza i zdjęłam nakrętkę z neosporinu.

- Zamieniliśmy kilka słów - powiedział Julian - a potem dałem mu do zrozumienia, jak bardzo jestem niezadowolony z jego obraźliwego sposobu zwracania się do ciebie.

- Broniłes mojego honoru, tak? - Jeden kącik moich ust się uniósł. Pochyliłam głowę nad jego ręką, żeby tego nie zauważył.

- Problem ze współczesnymi czasami - odparł - albo przynajmniej jeden z problemów polega na tym, że tacy

nieokrzesani idioci jak Banner mogą sobie bezkarnie obrażać cudze żony...

- Nie jestem twoją żoną. A poza tym był dość pijany.

- Ludzie, którzy nie potrafią pić, nie powinni tego robić. Jeśli o mnie chodzi, to jesteś moją żoną. Och, Kate, tylko nie plaster!

- Wolisz ze SpongeBobem czy Hello Kitty?

Spiorunował mnie wzrokiem.

- Żartowałam. Zrób mi dziś tę przyjemność, dobrze? Możesz zdjąć go rano, zanim ktokolwiek zobaczy. - Zaczęłam usuwać skrzydełka.

- Kate - westchnął. - Sporo się już napracowałem, dostosowując się do konwencji tego świata. Zmieniłem się, zmodernizowałem, zaadaptowałem. Ale z jedną rzeczą nigdy się nie zgodzę - by zrezygnować z prawa dania po pysku temu, kto ośmielił się ciebie obrazić. Nie dlatego że jesteś bezbronna, bo nie jesteś. Ale żaden mężczyzna nie ustoi spokojnie, gdy ktoś zniesławia jego boginię.

Po raz ostatni przyklepałam plaster na jego rękę i podniosłam wzrok, mając nadzieję, że nie zauważy iskerek w moich oczach.

- Cóż, chyba mogę z tym żyć. Spróbuj tylko nie zrobić sobie krzywdy, dobrze?

Słabe prychnięcie.

- Mężczyźni nie mają już pojęcia, jak porządnie walczyć. Nie ma w tym już nic ze sportu.

- To co zrobił Banner, kiedy go uderzyłeś?

Na jego wspaniałych ustach na krótką chwilę pojawił się krzywy uśmiezek.

- Przeprosił, że cię obraził. - Ujął w dłonie mój podbródek. - I jak? Już mi wybaczyłaś?

- Problem z tobą, Ashford, polega na tym - powiedziałam, biorąc jego rękę i splatając z nim palce - że tak cholernie trudno jest się na ciebie wściekać. A więc zanim całkowicie się rozpuszczę, możesz mi chociaż opowiedzieć całą tę historię? Co robi w twoim życiu Arthur Hamilton?

Wzruszył ramionami.

- Pewnego ranka, tuż po tym, jak założyliśmy firmę, pojawił się w naszej siedzibie. Wtedy byłem tylko ja, Geoff i asystentka do kontaktów z klientami i Geoff całkiem dosłownie spadł z krzesła. Arthur nie miał oczywiście żadnego doświadczenia z rynkami finansowymi, więc wymyśliliśmy mu jakąś pracę w marketingu, żeby dać biedakowi robotę.

- On tak po prostu, no wiesz, przyjechał?

- Mniej więcej. Wśród jego papierów były wskazówki, jak nas znaleźć.

- Ale przecież to jest kompletnie pokręcone. To znaczy, jak to się w ogóle dzieje?

- Wierz mi, oddałbym lewą rękę, żeby się dowiedzieć.

- Julian pociągnął mnie do siebie na fotel i przytulił do pierśsi. - W przypadku Arthura zastanawiam się, czy to nie było bardziej przekleństwo niż błogosławieństwo. Wiesz, nie

urodził się, żeby być żołnierzem. Szczerze mówiąc, był trochę... górnolotny. Jego listy zawsze najeżone były fałszywą wesołością. Ci na górze dość mądrze przydzielili go do sztabu, by siedział za linią frontu, w Amiens. Ale niestety nie trwało to długo. Został przeniesiony do jednostki frontowej kilka tygodni po moim zaginięciu. Powiedziałbym, że nie był zbyt szczęśliwy, dowodząc swymi ludźmi.

- Ale nie cieszy się teraz, że żyje?

Julian zaczął lekko głaskać mnie po włosach jakby nieobecny.

- Nie jestem pewien. Wiesz, to niełatwe zostawić za sobą wszystko, co się zna, nawet w samym środku takiej piekielnej wojny. To sprawia, że człowiek czuje się cholernie zdezorientowany. Musi znaleźć sobie jakiś cel w życiu. Często mam wrażenie, że Arthur tak naprawdę nie dołączył do tego świata. Po pierwsze, tęskni za Florą. Była dla niego niczym opoka, wstawiała się za nim i tak dalej. Właściwie nie wie, co z sobą począć. Próbuje go wyciągać w różne miejsca, trochę go rozweselić. Zwłaszcza Geoff go wspiera. Mają wspólny gabinet. Biedaczysko - pokręcił głową. - To tak, jakby zostawił za sobą własną duszę... Jakby zapomniał jej zabrać.

Cisza, która teraz zapadła, już nie była taka ciężka. Już nie czułam się jak lalka, ptak w klatce czy kurwa. Byłam po prostu sobą.

- Gdybym jutro za ciebie wyszła - spytałam w końcu - powiedziałałbyś mi?

- Nie .

- W takim razie kiedy?

- Kiedy nadejdzie czas, ukochana. Wszystkiego się dowiesz. Moim jedynym zadaniem jest chronić cię dopóty, dopóki ta chwila nie nadejdzie.

- To jakaś cholerna paranoja.

- Obawiam się, że tak. Możesz z tym żyć?

- Muszę. Nie mogę żyć bez ciebie.

- W takim razie - ściszył głos do szeptu - zostaniesz tu ze mną? Nie będziesz więcej wspominać o pakowaniu walizek?

Zagryłam wargę.

- To nie fair, Julianie. Mówisz, że jesteś mój, że zrobisz wszystko, o co poproszę, ale na koniec zostaję z niczym, prawda? I ty wygrywasz. Znowu.

- Kate, Kate. - Objął mnie mocniej. - Nie rób tego, kochana. Przysięgam na mój honor, to wszystko dla ciebie. Gdybyś tylko wiedziała. Gdybyś... - Umilkł, a potem ciągnął już spokojnie: - Kiedy to wszystko się skończy, poświęcę się każdemu twojemu kaprynowi, przysięgam. Nie będzie żadnego prawa prócz tego, jakie ty ustalisz.

- Nie tego od ciebie pragnę.

- Proszę, ukochana. - Jego głos zabrzmiał urzekająco w moim uchu. - Powiedz, że zostaniesz. Wiesz, że bez ciebie jestem bezużyteczny. Daj mi tylko jeszcze trochę czasu, to wszystko, o co proszę. Zaufaj mi. - Przesunął palcami wzdłuż mojej ręki, by w końcu ująć dłoń, a ja

przymknęłam oczy, walcząc z nim. - Proszę, Kate, moja jedyna. - Pocałował moje palce. - Powiedz to szybko, bo na widok ciebie w tym szlafroku zaczyna mi się kręcić w głowie i nie jestem pewien, jak długo jeszcze będę w stanie sensownie mówić.

Na wpół prychając, na wpół się śmiejąc, wypuściłam powietrze.

- Dobra. Wygrałeś. Masz tydzień.

- Tydzień?

- Daję ci jeszcze tydzień, żebyś się nad tym zastanowił. Jeśli nie usłyszysz odpowiedzi, wracam do Connecticut.

- Tydzień. - Zmarszczył brwi.

- Możesz do mnie przyjechać i mnie odwiedzić - powiedziałam. - Wpuściłabym cię.

- Wielkie dzięki, cholera.

- I wzięłabym Erica - dodałam, choć na te słowa tylko jeszcze bardziej zmarszczył czoło. - Proszę, Julianie. Po prostu mi obiecaj, że nie będzie już więcej tajemnic.

- Przepraszam - powiedział z ustami przy mojej szyi.

- Za dzisiejszy wieczór i za wszystko, co musiałaś przeze mnie znosić, ty cudowna, szlachetna istoto.

Opuściłam powieki.

- Tajemnice, Julianie.

Zatrzymał się z ustami tuż przy moich ustach.

- Ach, racja. Wciąż masz jeszcze tydzień. Jeśli to nie ma nic wspólnego z tym.

- Z czym?

Wykonałam gest pomiędzy jego piersią a moją.

- No wiesz, tym czymś, co nas łączy.

- Ach. - Uśmiechnął się tuż przy moich ustach.

- Chodzi ci o miłość, Kate.

- Mhmm.

Powietrze zadrgało od jego cichego śmiechu.

- Kochanie. W takim razie powiem to za nas oboje tak, żeby wystarczyło. Kocham cię, Kate. - Pocałował mnie w usta. - Kocham cię. - Pocałował mnie za uchem.

- Kocham cię. - Pochylił się i ucałował moje nagie ramię.

- Kocham cię. - Wziął mnie w ramiona i z czcią położył na łóżku. - Kocham cię, moja kokietko, chociaż jesteś diabelnie kłopotliwa.

Ujęłam w dłonie jego twarz.

- Ale to przecież dlatego mnie kochasz.

- Do szaleństwa.

Powoli zsunął ze mnie szlafrok i kochał się ze mną uważnie i czule. Przyćmione światło lampy padało na jego skórę, a pomiędzy nami były tylko lśniące czerwone rubiny.

- No więc jest jeszcze jeden powód - wyszeptałam, gdy leżeliśmy spleceni w ciemności.

- Jeszcze jeden powód czego, kochanie? - spytał sennie.

- Jeszcze jeden powód, dla którego dziś wieczorem byłam trochę podenerwowana.

- Naprawdę? Nie zauważyłem.

- Eee... - zaczęłam.

- Ach, coś za ciekawy dźwięk. Zastanawiam się, co też może oznaczać.

Głaskał mnie po ramieniu w górę i w dół, jakby uspokajał płochliwego konia.

- Oznacza... - Przełknęłam ślinę, zbierając się na odwagę.

- T a k ?

- Oznacza, że jestem w ciąży.

Amiens

Julian zapukał do moich drzwi punktualnie za pięć siódma.

- Proszę.

Odłożyłam gazetę i wstałam z łóżka.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział, a gdy wszedł, poczułam powiew męskiej energii. - Ci pułkownicy strasznie dużo mówią.

- Nie ma sprawy.

Poczułam ucisk w gardle. Zaszło mi w ustach. To była moja ostatnia szansa. Została mi już tylko jedna desperacka karta do rozegrania.

- Miałaś miły dzień? Zjadłaś coś?

Zerknął na płomienie tłące się słabo na palenisku z kutego żelaza i ruszył w stronę kubła z węglem.

- Tak. Poszłam do tego lokalu, gdzie zabrałeś mnie wczoraj na śniadanie. Do Chat d'Or. A potem zrobiłam małe zakupy.

Patrzyłam, jak prostuje się i odwraca do mnie. Zawirowałam przed nim.

- Miło było zmienić wreszcie suknię po podróży.

- Jest śliczna - zamilkł, splatając ręce za plecami.

- Przepraszam, że zostawiłem cię samą na cały dzień. Zdaję sobie sprawę, że musiałaś się nudzić. Czuć się trochę obco. To nie twoje czasy.

- Nudzić? Ani trochę. To jak spacer po książce historycznej. Katedra cała obłożona workami z piaskiem, wszyscy w mundurach, te szyldy i tak dalej. To niesamowite. Ja... - cały ten radosny ton nagle zabrzmiał fałszywie.

Wbiłam wzrok w niemalowane deski podłogowe pod moimi stopami, narożnik wytartego dywanika, strzępiącego się tuż obok moich stóp. Usłyszałam, że Julian przestępuje z nogi na nogę, bo podłoga zatrzeszczała. Odkasznął, przerywając milczenie.

- Może... Może chciałabyś zjeść kolację? Moglibyśmy przejść się do Chat albo... Chyba jest jeszcze jedna kawiarnia, niedaleko dworca...

Podniosłam wzrok. Świeca na stoliku przy łóżku rzucała rozedrgane cienie na jego twarz. Prąd wyłączyli godzinę temu, nagle i ostatecznie.

- Nie musimy wychodzić. Kupiłam wino, ser i chleb... Chyba że wolałbyś...

- Nie, nie! To brzmi świetnie. Prawie jak piknik.

- Tak, właśnie. - Splotłam dłonie przed sobą. Teraz, to musi być teraz. - Miałbyś... miałbyś coś przeciwko

temu, żebyśmy najpierw przez chwilę porozmawiali? Jest coś jeszcze, o czym chciałabym ci powiedzieć, a ponieważ siedziałam tu i próbowałam zebrać się na odwagę, równie dobrze mogę to zrobić teraz.

- Oczywiście.

W pokoju było tylko jedno krzesło, drewniane i w kiepskim stanie, a siedzenie z rafii niebezpiecznie się podziurawiło. Wskazałam je Julianowi, a potem przysiadłam na skraju łóżka.

- Nie jestem pewna, jak powinnam zacząć.

Pochylił się na swoim krześle do przodu, opierając łokcie na kolanach i splatając ręce. Uśmiechnął się.

- Kate, ja ci wierzę.

- Wiem. Wiem, że mi wierzysz. Ale to dotyczy zarówno ciebie, jak i mnie, i... może ci być trudno to zrozumieć... zaakceptować... - Słowa pomieszały mi się w głowie. Przymknęłam oczy i zmusiłam moje myśli, by podążały logicznym torem, tak jak powtarzałam sobie przez całe popołudnie. - Mówiłeś, że masz wrażenie, jakbyśmy się już wcześniej spotkali. To nie do końca prawda, ale również nie do końca nieprawda.

- Nie rozumiem. Kiedy się spotkaliśmy?

- Wcześniej pytałeś mnie, jak się nazywam. Odparłam, że nie mogę ci powiedzieć, bo byś mi nie uwierzył. Pewnie nadal nie uwierzysz.

- Czemu nie miałbym uwierzyć akurat w to po całej tej reszcie?

- Ponieważ nazywam się Kate Ashford i jestem twoją żoną.

Jego twarz, tak otwarta i pełna zapału, teraz jakby skamieniała, niczym pośmiertna maska.

- Julian, posłuchaj mnie. Nie zginiesz podczas tego patrolu jutro w nocy. Zostaniesz przeniesiony w czasie tak jak ja, pod koniec dwudziestego wieku. A tam, po jakimś czasie spotkasz mnie, w Nowym Jorku.

- Ciebie. - To słowo zawisło między nami.

- Mnie. - Teraz już nie mogłam powstrzymać łez, które napływały mi do oczu. - Z jakiegoś... niezgłębionego powodu zakochasz się we mnie, a ja w tobie. I nigdy ci tego nie mówiłam. Nigdy ci nie powiedziałam, że cię kocham, bo to mnie przerażało. Miałam takie przeczucie, że to przyniesie pecha, bo ty... twoja miłość, to wszystko było za dobre, żeby mogło być prawdziwe. I ponieważ nie potrafiłam tego wyrazić tak dobrze jak ty, znaleźć właściwych słów. Ale to było z mojej strony takie głupie, takie okrutne, bo ty pod tym względem zawsze byłeś tak hojny. - Przesunęłam palcami pod oczyma i jeszcze raz zebrałam moją nadwątloną odwagę. - Powiem ci więc teraz. Powiem ci wszystko. Kocham brzmienie twojego głosu i to, jak grasz dla mnie wieczorami na fortepianie. Kocham te małe śmieszne notatki, które do mnie pisziesz i zostawiasz mi rano na poduszce. Kocham twoją błyskotliwość i dobroć, to, jak potrafisz radzić sobie z tymi głupkami na Wall Street, a potem tego samego

dnia płakać przy dźwiękach opery. Uwielbiam te stare mokasyny, które nosisz po domu, kiedy jesteśmy tylko we dwoje. Kocham to, jak nocą trzymasz mnie w ramionach i nazywasz swoją małą kokietką, chociaż tak naprawdę to trochę seksistowskie, i tę twoją minę, kiedy ty... kiedy my... - zająknęłam się. Odwróciłam się do ściany, gdzie ze spłowiałej tapety patrzył na nas błogo tani obrazek Madonny. - Wiem, że w tej chwili jestem dla ciebie kimś obcym. Ale ty jesteś dla mnie wszystkim. Jesteś moim życiem. Samo to, że mogę być blisko ciebie, nawet tego ciebie, który mnie nie zna, to dla mnie świętość.

Z przerażeniem słuchałam jego milczenia. Ciszę pomiędzy nami przerwało szybkie, ciężkie tupanie. Ktoś przeszedł przez korytarz tuż pod drzwiami, a potem zaczął się wspinać po schodach.

- Dalej mi wierzysz? - spytałam, wreszcie się odwracając.

- Ja... nie wiem. Chyba muszę. Wreszcie uwierzyłem, prawda? - Pokręcił głową i spojrzał na swoje ręce. - Próbowałem zwalczyć wyjątkowo absurdalną¹ zazdrość wobec tego mężczyzny, tego twojego męża. Najszczęśliwszego gościa na całym świecie. A on to ja? - Podniósł wzrok. - Ja?

Spojrzał na mnie niemal błagalnie. Wstałam i przeszłam przez pokój do mojego płaszcza na wieszaku przy drzwiach. Wyjęłam BlackBerry z kieszeni, gdzie

trzymałam go bezpiecznie przez cały tydzień, brnąc przez Anglię, kanał La Manche do Francji, a potem kolejną do Amiens. Włączyłam go. Muzyka na powitanie zabrzmiała przy świetle świecy w absurdalnie anachroniczny sposób.

- Mogę ci coś pokazać? - Podałam mu go. - Masz, to mój telefon.

Gapił się na przedmiot w swojej dłoni.

- Telefon? - powiedział sztywno.

- Tak, mówiłam ci o nich wczoraj w nocy, pamiętasz? Możesz je nosić z sobą, robić nimi zdjęcia. - Sięgnęłam i pod jego zdumionym spojrzeniem przewinęłam menu. - Patrz! Tutaj żeglujemy w ubiegłe lato. To zdjęcie zrobił nam facet z mariny.

Stałam na pokładzie jachtu Juliana, rękoma oplatając go w pasie, a on obejmował mnie jedną ręką. Jego roześmiana twarz była na wpół zwrócona do mnie, jakby właśnie przed chwilą mnie pocałował. Rzadko przepuszczał okazję, żeby to zrobić. Miałam krótką plażową sukienkę bez ramiączek, moja skóra lśniła w słońcu, a uśmiech na mojej twarzy był tak szeroki i szczęśliwy, że niemal się rozpłakałam. Szczęśliwa Kate. Niczego nieświadoma Kate.

Telefon zadrżał mu w dłoniach.

- Przepraszam. - Spróbowałam mu go odebrać. - To było zbyt nagłe. Nie chciałam...

- Nie. - Trzymał go mocno. - Wyglądasz pięknie.

- Byłam szczęśliwa. Taka szczęśliwa... - mój głos zadrżał.

- Masz więcej?

- Mmm... tak. - Sięgnęłam i przewinęłam dla niego.

- Tu jesteś ty, leżysz na trawie przed domkiem. Chyba cię przyłapałam, jak przysnąłeś. O cholera! To na plaży. Tego nie musisz oglądać. Moje głupie bikini. Przepraszam, teraz wszystkie dziewczyny to noszą.

- Dobry Boże.

- Szkoda, że nie mogę ci pokazać twoich... twoich wiadomości. Zawsze byłeś taki dowcipny i czuły...

- Mówisz - odezwał się, podnosząc na mnie wzrok - w czasie przeszłym.

- Mówiłam ci, że jestem wdową.

- J a . . . ja nie żyję?

- Tak. - Usiadłam na łóżku. - To dlatego tu jestem. Żeby cię uratować. Byś nie poszedł na ten jutrzejszy patrol i nie został przeniesiony do mojego czasu. Bo umrzesz.

- Umrę? Ale myślałam... Ale jak?

- Byliśmy tuż po ślubie. Poszedłeś... mnie znaleźć, uratować mnie, a wtedy oni cię zabrali i... - Przełknęłam. - I cię zabili.

- Co? Kto? Dlaczego?

- To nie ma znaczenia. To zbyt skomplikowane, by to wyjaśnić. Ale teraz rozumiesz? Rozumiesz, dlaczego to takie ważne, żebyś nie szedł jutro na ten patrol? Żebyś w ogóle nie ryzykował?

Nie odpowiedział. W pokoju zaległa głęboka cisza. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, co myślał. Siedział tak, niczego nie rozumiejąc, z moim BlackBerry w palcach. Zostawiłam go w spokoju. Chyba wystarczyło mi, że w ogóle mogę z nim być: że istniał, żył, był kilka metrów ode mnie. Jego bijące serce, bystry mózg, długie szczupłe dłonie i nogi, wciąż całe pod warstwami ubrania. W końcu usłyszałam, jak odkaszlnął.

- To twoja obrączka?

Spojrzałam na moje ręce.

- T a k .

- Mogę ją zobaczyć?

Tego się nie spodziewałam. Zaczęłam się z nią męczyć, próbując ją zdjąć, ale moje napuchnięte palce uparcie trzymały się metalu.

- Przepraszam - odparłam. - Jeszcze nigdy nie próbowałam jej zdejmować.

Zerknęłam na świecznik na nocnym stoliku i wzięłam z niego odrobinę wosku. Potarłam nim palec i w końcu wąska obrączka niechętnie się zsunęła. Położyłam ją na jego dłoni. Przyglądał jej się uważnie, z kliniczną dokładnością.

- Nie mogę odczytać grawerunku.

- Jest jakiś grawerunek?

Wstał i podszedł do okna, obracając moją obrączkę w palcach, aż jej wewnętrzna strona ukazała się w przyćmionym świetle zza szyby. Jego policzki oblały się intensywnym rumieńcem. Obejrzał się na mnie.

- Skąd to masz? - spytał.

- Ty mi ją dałeś, kiedy braliśmy ślub. Sam wsunąłeś mi ją na palec.

Nic nie powiedział. Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, a potem podszedł do krzesła, usiadł i ujął moją lewą rękę.

- Pozwól mi - powiedział, po czym wsunął obrączkę z powrotem na mój palec, pocałował go i puścił moją dłoń.

- Teraz mi wierzysz?

- Tak - wyszeptał.

- Co tam jest napisane?

- Możesz zobaczyć sama, jeśli chcesz.

Spojrzałam na moją rękę.

- Nie, nie mogłabym.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem. Chyba dlatego, że chociaż tutaj siedzisz i jesteś tym samym człowiekiem, wciąż jestem w żałobie. Po Julianie Ashfordzie, który odszedł. Tym, który mnie zna, który mnie kocha. Tym, który... - zamilkłam.

- Który co?

Uciekłam do okna i spojrzałam na ciemniejszą ulicę na zewnątrz, na obce kształty i słaby błysk mokrego bruku poniżej, w którym odbijało się światło z pobliskich budynków. Tym, który teraz wziąłby mnie w ramiona, pomyślałam.

Nie usłyszałam jego kroków. Gdy jego ręka dotknęła mojego łokcia, wzdrygnęłam się i odwróciłam.

- Przepraszam - powiedział poważnie, patrząc na mnie. - Nie chciałem cię przestraszyć.

Był tak blisko, taki realny. Żywy. Po prostu żywy.

- Proszę - powiedziałam.

- Kate. Piękna odważna Kate. Pokonałaś całą tę drogę dla mnie?

- T a k .

Spojrzałam na swoje buty. Nie mogłam znieść widoku jego twarzy, Juliana i nie - Juliana. Bolesny dysonans.

- Żeby zrezygnować z jakiegokolwiek nadziei, że pewnego dnia znów się spotkamy?

- Musiałam. Nie mogłam pozwolić ci po prostu umrzeć. Miałbyś umrzeć i zostawić mnie na zawsze?

- Pokręciłam głową. - W ten sposób przynajmniej masz szansę. Przynajmniej wciąż żyjesz.

- Mój Boże - powiedział. - Jaką ty jesteś niezwykłą dziewczyną. I jakim byłem szczęściarzem. Albo będę, jak przypuszczam.

- Nie mów tak. Nie możesz tam iść. Zabiją cię.

- Ale co się stanie z tobą, jeśli nigdy nie przeniosę się do twojego czasu?

Znów wyjrzałam przez okno.

- Nie wiem. Nie... Tak naprawdę, to się nad tym nie zastanawiałam. Po prostu musiałam coś zrobić. Umarłeś. Nie mogłam zwyczajnie tego zaakceptować. Musiałam coś zrobić.

Zmarszczyłam brwi, próbując to przemyśleć. Wszystko wydawało się takie proste, takie oczywiste.

Utrzymać Juliana z dala od jego przeklętej przyszłości. Ale czy naprawdę tak było? Co mogłam zmienić, nie zmieniając przy tym wszystkiego? Moje życie, życie Juliana. Życie zupełnie obcych ludzi, którzy pewnie nie mieli z tym wszystkim nic wspólnego. Czy miałam do tego prawo?

Poczułam, że ujmuje moją lewą dłoń. Kciuk i palec wskazujący znalazły obrączkę i delikatnie ją pocierały.

- Wciąż byłabyś moją żoną?

- Tak, oczywiście - odpowiedziałam bez zastanowienia. - Zawsze.

Jego ręka zaczęła przesuwać się po moim ramieniu.

- A to, jak sądzę, czyni mnie twoim mężem.

Odwróciłam się.

- Co? Nie! Nie chciałam... nie prosiłam...

- Ale ja proszę. - Jego twarz przysunęła się do mojej. - Chyba dość niezręcznie i bez odrobiny elokwencji, na jaką zasługujesz.

Poczułam krew rozchodzącą się po moim ciele, gorącą i niepohamowaną.

- Julian, to po prostu... Nie po to tu jestem. Nie oczekuję, że będziesz... że się poświęcisz...

- Że się poświęcę? Kate, jak mógłbym na ciebie patrzeć, taką piękną i taką dzielną, tak niesamowicie zniewalającą, i nie chcieć być mężczyzną, którego poślubiłaś?

- Julian, poznałeś mnie dwa dni temu.

- Ale jestem tym samym mężczyzną, prawda? Tym, który pewnego dnia się w tobie zakocha.

- Tak. Ale to nie znaczy... to nie...

Jego dłoń musnęła mój policzek i wszystkie myśli wyparowały mi z głowy.

- Och, nie. Nie rób mi tego.

- Czego?

- Nie uwodź mnie. To nie fair. Nie mogę się nie zgodzić.

Roześmiał się cicho.

- To właśnie robię?

- Wystarczy, że jesteś w tym samym pokoju. Zawsze tak było.

- Naprawdę? - spytał zdumiony, jakby nie potrafił w to uwierzyć, jakby nie wierzył we własną moc.

Jego palce znów zaczęły mnie głaskać, jakby chciał mnie sprawdzić.

- Przestań. Proszę, przestań! To nie fair. Należę do niego.

- Ale czy ja i on to nie ten sam człowiek?

- Ale jeszcze się we mnie nie zakochałeś. Jeszcze się ze mną nie ożeniłeś.

- Według tej obrączki - powiedział, znów jej dotykając - zrobiłem to.

Zamarłam.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że jeśli mnie chcesz, Kate, jestem twój.

- Nie mów tak. Nie.

Ujął moje dłonie.

- Kate, tych ostatnich trzydzieści sześć godzin było dla mnie jak sen, jakiś niezwykły, świetlisty sen. Piękna kobieta podchodzi do mnie w deszczu, a potem, wyczerpana, pada w moje ramiona. Z każdą chwilą, jaką z nią spędzam, jestem coraz bardziej zaintrygowany, coraz bardziej nią zafascynowany. Jest niezwykle oryginalna, nie przypomina żadnej innej kobiety, jaką kiedykolwiek znałem. Tak szlachetna, wierna i szczerą. Promieniująca naturalnym wdziękiem. Najwyśmienitszy kontrast w porównaniu z... - subtelnie zamilkł. - A potem za sprawą jakiegoś niesamowitego cudu zdradza mi, że mnie kocha, że należy do mnie i poświęciła wszystko, żeby ocalić mi życie. I na palcu ma obrączkę, która mówi mi, jak mam ją kochać.

- Co dokładnie jest wygrawerowane na tej obrączce?

- Ach, zobaczysz - odparł, przyciągając mnie do siebie. Jego głos stał się powiewem na mojej skroni. - Czy możesz się dziwić, Kate, że wolę umrzeć, niż cię stracić? Niż cię zranić?

- To niemożliwe.

- Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej szczerze.

Pochylił głowę. Uniósł do ust moje dłonie i pocałował je. Najpierw jedną, potem drugą.

- Najdroższa Kate. Co się stanie z tobą jutro, gdy moja przepustka się skończy i wrócę na front?

- Ja... Nie jestem pewna. Chyba będę musiała spróbować wrócić do mojego czasu, jeśli to możliwe. W przeciwnym razie jakoś sobie tu poradzę.

- Zostań ze mną tutaj. Bądź moją żoną.

Powiedział to cicho, niemal szeptem. Z początku pomyślałam, że źle usłyszałam, że mój mózg poprzestawiał słowa, by dotarły do mnie takie, jakich pragnęłam. Moje usta zadrżały, próbując wypowiedzieć jakieś pytanie czy sprzeciw, jakąś rozsądną myśl. Wyciągnął rękę i przesuwał kciukiem po moim podbródku.

- Kate, proszę. Chcę, żebyś tu została. Żebyś pozwoliła, bym się tobą zajął. Poślubił cię albo raczej uhonorował ten związek, który już jest pomiędzy nami.

- Nie możesz tego mówić poważnie.

- Mówię to z całym przekonaniem.

- Ty mnie prawie w ogóle nie znasz!

- Ach, ale to nie ma znaczenia, prawda? Poznam cię, pokocham. I mam ten luksus, by mieć pewność, że tak na pewno będzie. - Pociągnął mnie w swoje ramiona, przytulając do piersi. - Zostań ze mną, Kate. Zostań tutaj. Bądź moją żoną. Po wojnie...

- Julian, wojna trwać będzie jeszcze lata. Tego lata będzie bitwa, kompletna klęska. Nawet jeśli dziś unikniesz tego, w którymś momencie zginiesz. Ocalę cię przed jedną śmiercią tylko po to, by spotkało cię coś gorszego.

- Zostań ze mną. Proszę, zostań. Znajdę jakiś sposób.

Wreszcie podniosłam wzrok.

- Tak czy inaczej stracę cię.

- Tutaj przynajmniej mamy szansę.

To była prawda. Wolałam zostać tutaj, mając nadzieję, że przeżyje, niż odnaleźć drogę do mojego stulecia i mieć przed sobą długą ponurą przyszłość bez żadnej nadziei. Czyż to nie był prawdziwy powód, dla którego w ogóle tutaj przybyłam? By znów skłonić do siebie Juliana? Bo nie mogłam znieść życia w świecie, w którym go nie było.

Patrzyłam na jego twarz, próbując to przemyśleć, sięgnąć poza świecą świadomość mojego haniebnego czynu, ale stał tak blisko, czułam jego zapach i dotyk i nie byłam w stanie się skupić na niczym innym.

Jego usta musnęły moje, jak pytanie. Wtedy się poddałam. Z nim zawsze tak było. Spalał mnie do rozżarzonych węgielków samym tylko spojrzeniem. Objęłam go za szyję i odpowiedziałam pocałunkiem, rozkoszując się dotykiem jego ust, jego zdumiewająco znajomym smakiem. Poczułam, jak idiotyczne łyzy spływają mi po policzkach. On też je poczuł i się cofnął.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie myślałam, że jeszcze kiedykolwiek to zrobię.

Jego oczy wędrowały po mnie w zdumieniu. Objął dłońmi moją twarz, ocierając mi łyzy kciukami. A potem pocałował mnie na poważnie, z prawdziwą, szczerą

pasją. Nie tak umiejętnie, jak to pamiętałam, ale z takim żarem, że zakręciło mi się w głowie.

- Poczekaj - powiedziałam. - Przestań. Przestań. Zanim...

- Przepraszam - wyszeptał. - Nie chcesz... Przestań, jeśli chcesz...

- O, Boże. Nie. Nie przestawaj.

Wyciągnęłam rękę i rozpięłam jego pas, guziki wełnianego munduru, koszulę, aż stał przede mną, drżąc, a jego blada morelowa skóra lśniła w słabym świetle świecy.

- W porządku? - wyszeptałam.

- W porządku, pani Ashford.

Powiedział to dokładnie tak jak kiedyś, czy też jak miał to robić w przyszłości. Dźwięk tych słów sprawił, że przez całe moje ciało przebiegł dreszcz. Odwrócił mnie i zaczął rozpinąć długi rząd guzików. Czułam na karku jego oddech i drżące palce na kręgosłupie, aż niemal ugięły się pode mną nogi. Sukienka poluzowała się i opadła na podłogę. Jedno po drugim zsunęłam ramiączka stanika, który nagle wyglądał tak dziwnie i nowocześnie, i sięgnęłam za plecy, by go rozpiąć. Wtedy obróciłam się, by na niego spojrzeć.

Jego mina była bezcenna: wypisz wymaluj chłopiec w sklepie ze słodyczami. Roześmiałam się.

- Mówisz to wszystko tylko po to, żeby zaciągnąć mnie do łóżka?

- Powiniennem ci coś powiedzieć - mruknął, patrząc w sufit. - A może już to wiesz. Widzisz, w tej chwili nie mam zielonego pojęcia, co powiniennem dalej zrobić.

- Nic nie szkodzi. - Wzięłam jego dłonie w moje.
- Wszystko ci pokażę.

Rozdział 23

Jego ręka zamarła na moim ramieniu.

- Julian?

- Co powiedziałaś? - Jego głos był astmatyczny, jakby się dusił.

- Eee... Jestem w ciąży.

- Jesteś...

- W ciąży, tak.

Gwałtownie usiadł na łóżku.

- Ale to niemożliwe!

- No cóż, wcale nie. Nawaliłam, Julianie. Nie wiem, co mi się stało. Zapomniałam zacząć nowy zestaw tabletek i...

- Na litość boską, Kate! - wybuchnął. - Co zrobiłaś?

- Zapomniałam. Przepraszam. To było zaraz po Newport. Zdałam sobie sprawę dopiero kilka tygodni temu. Wiem, że powinnam ci była powiedzieć, ale miałeś dość na głowie. Nie chciałam cię jeszcze dodatkowo martwić.

- Usiadłam i spojrzałam mu w oczy. - Modliłam się tylko...

Nie wiem, czego tak naprawdę się po nim spodziewałam. Lekkiego szoku, oczywiście. Niedowierzenia. A potem być może zrezygnowanej akceptacji. Tego, że razem to jakoś ogarniemy, coś wymyślimy. Myślałam chyba nawet, że może się ucieszy, że potajemnie na to liczył, bo dzięki temu przesunęłabym datę ślubu. Ale z pewnością nie byłam przygotowana na ten wyraz kompletnego przerażenia na jego twarzy.

- O mój Boże - powiedziałam.

Przeczesał włosy rękoma. Wyglądał dziko.

- Nie możesz być w ciąży! Jak to, u diabła, możliwe? Mówiłaś mi, Kate! Obiecałaś mi!

- Przepraszam! Nawaliłam.

- Nawaliłaś? To wszystko?

- Nie bądź dupkiem, Julian! Powiedziałam, że przepraszam! Nie wydaje ci się, że jestem trochę bardziej załamana niż ty? To znaczy, to moje ciało, moje życie wywraca się właśnie do góry nogami!

Zdawał się mnie nie słyszeć. Zerwał się z łóżka i podszedł do okna.

- Na litość boską, Kate. Myślałem, że jesteśmy bezpieczni.

- No cóż, skoro tak się cholernie o to martwiłeś, to mogłeś sobie kupić opakowanie cholernych kondomów, wiesz?! - Roztrzęsiona sięgnęłam po szlafrok leżący na podłodze przy łóżku i owinęłam się nim.

- Gdybym wiedział, że po prostu zapomnisz o czymś tak cholernie ważnym, to zrobiłbym to! Mój Boże! Nigdy bym cię nie tknął! - wybuchł z twarzą przy szybie.

- Jak śmiesz?! Jak ty w ogóle śmiesz?! - spróbowałam krzyknąć, ale moja krtań była tak sparaliżowana wściekłością, że wyszło to niewiele lepiej niż syk.

Odwrócił się gwałtownie.

- Myślisz, że tego chciałam? Jestem w ciąży, to twoje dziecko, a ty potrafisz myśleć tylko o własnej cholerniej wygodzie. Idź do diabła, Julianie Ashford!

W następnej chwili stał już przede mną. Jego ramiona z miażdżącą siłą przycisnęły mnie do piersi. Przez chwilę próbowałam z nim walczyć, ale to było jak popychanie kamiennego muru. A ściślej mówiąc, kamiennego muru podczas trzęsienia ziemi, bo gwałtownie drżał.

- Wybacz mi, Kate - powiedział ochryple. - Dobry Boże! Powinni mnie wychłostać! Wybacz mi! Już dobrze. To był tylko szok. Wybacz mi, kochanie, proszę.

- Julian, nie. - Jego skóra tłumiła mój głos. - Widziałam twoją twarz! Byłeś przerażony!

- Tylko... - Wciągnął powietrze. - Tylko sobą, Kate.

Znów go odepchnęłam, tym razem ustąpił i poszłam skulić się na fotelu w kącie. Cała wola walki ze mnie wyparowała. Już tyle się dziś w nocy z nim kłóciłam. Byłam wyczerpana i otepiała.

- Słuchaj - podjęłam, podciągając pod siebie stopy. - Nie chciałam cię tak strasznie przerazić. Zawsze

myślałam, że to ty będziesz nalegał, by szybko mieć dzieci, a ja będę chciała jeszcze poczekać, i że może... że może nawet się z tego ucieszysz.

- Kate. - To wypowiedziane szeptem słowo zawisło w powietrzu.

Usłyszałam jego zbliżające się kroki, na granicy pola widzenia zobaczyłam jego bladą skórę, gdy przede mną uklęknął.

- Ukochana. Nie wiem, jak mogłem mówić takie rzeczy, winić cię za coś, co w tak oczywisty sposób jest moją winą. - Wyciągnął rękę, ujął moje dłonie i pochylił nad nimi twarz. - Musisz mi wybaczyć, Kate, bo ja sam nie potrafię sobie wybaczyć.

- Proszę, przestań się trząść. Przerażasz mnie.

- Przepraszam. Przepraszam. - Spojrzał mi w twarz. - Jesteś pewna, kochanie? Całkiem pewna? Nie ma możliwości, że to pomyłka? Widziałaś się z lekarzem?

- Julian - odparłam łagodnie. - Do tego już nie trzeba lekarza.

Zsunęłam się z fotela, poszłam do łazienki i wyjęłam z szuflady test. Wciąż był niebieski. Wróciłam do sypialni. Siedział teraz na krawędzi łóżka, patrząc w zadumie na swoje ręce. Pochyliłam się nad nocnym stolikiem, by włączyć lampę, i podałam mu dowód.

- Widzisz tę niebieską linię? - wskazałam na test, który drżał w jego rękach, i westchnęłam. - To nasze dziecko.

- Nasze dziecko... - powtórzył, patrząc na niego przez długi czas bez mrugnięcia okiem.

Usiadłam obok i pozwoliłam, by milczenie zawisło ciężko nad nami, byśmy pojęli realność tego, co się stało, ochłonęli z szoku i zaakceptowali to.

- To pewnie dlatego tak mi wcześniej odbiło - powiedziałam. - Hormony. Tylko pomyśl. Jeszcze tylko siedem czy osiem takich miesięcy.

Wreszcie głęboko zaczerpnął powietrza i odwrócił się do mnie.

- Przepraszam cię, Kate. Zawiodłem cię, prawda? Tak mi strasznie przykro.

- Zawiodłeś mnie? Julian, to ja zapomniałam wziąć tych głupich tabletek. To była moja wina. - Zamilkłam na chwilę. - No cóż, poza tym masz pewnie jakąś nieprawdopodobną liczbę plemników w spermie. To by było dla ciebie typowe.

Spojrzał w sufit cały paşowy.

- Postąpiłem źle, naprawdę źle. Nie można cię winić, kochanie. Zostawiłem to wszystko na twoich barkach i wesoło się bawiłem. Nigdy się już nad tym nie zastanawiałem, nawet ci nie przypominałem. To było niewybaczalne.

Pochyliłam się nad nim, pragnąc ciepła jego ciała.

- No i co z tym zrobimy? Wymyślimy coś razem? Bo muszę ci od razu powiedzieć, że z niego nie zrezygnuję.

- Nie zrezygnujesz? - Jego ciało zeszywniało.

- Myślałam o tym przez ułamek sekundy, ale... No cóż, to twoje dziecko, Julianie. Nasze. I... jak mogłabym go nie kochać? My je stworzyliśmy. Ono to my.

- Kate, Kate! Nigdy bym cię nie prosił... nigdy bym nawet o tym nie pomyślał.

- Po prostu chcę je zatrzymać, tę małą cząstkę ciebie. Dobrze? Przeżyjesz to? Że tak szybko zostaniesz ojcem?

- Czy to przeżyję?

Znów mocno mnie do siebie przyciągnął, z jeszcze większą siłą niż wcześniej.

- To, czego nie mogę przeżyć - powiedział mi do ucha - to to, że uczyniłem cię matką mojego dziecka i nie nalegałem, żeby wcześniej uczynić cię moją żoną. Żyłem jak we śnie. Myślałem, że sama obietnica małżeństwa, to, że czuję ją w sercu, wystarczy. Jutro - powiedział z przekonaniem. - Jutro jedziemy do ratusza.

- Boże! - Podskoczyłam. - Julian, nie musisz tego robić! Nie musisz się ze mną żenić z obowiązku.

- Z obowiązku? - Wydawał się zdumiony. - Z jakiego obowiązku? Kochanie, od jak dawna cię proszę, żebyś za mnie wyszła? Od miesięcy!

- Tylko od kilku miesięcy.

- Od miesięcy - powtórzył, ujmując moją twarz w dłonie. - Chcę mieć z tobą dzieci, Kate, chcę mieć z tobą to dziecko. Myślałaś, że nie?

- Ale twoja twarz, kiedy ci powiedziałam...

Pochylił się nade mną i lekko mnie pocałował.

- Kochanie, to najcenniejsze, co mogłaś mi dać. Tyle że nie śmiałem jeszcze mieć nadziei na to, zanim się nie ożenię z tobą jak należy, i pochłaniały mnie inne zmartwienia.

- Ty i ten twój słodki język. Mówisz mi to, co chcę usłyszeć.

Uśmiechnął się blado.

- I tak się zastanawiałem jakiś czas temu - objąłem dłońmi moje piersi - że chyba mi się wydaje, że może to oświecenie...

Spojrzałam w dół.

- O mój Boże! Robią się większe!

- Tylko dla bardzo uważnego obserwatora - odparł, całując mnie najpierw w jedną, potem w drugą. - Masz już mdłości?

- No cóż, w samochodzie, gdy jechaliśmy dziś wieczorem do opery, wydawało mi się, że jest mi trochę niedobrze, ale myślę, że to były tylko nerwy.

- Wkrótce będziesz je miała.

Spojrzałam na niego z lekkim zdziwieniem.

- Skąd o tym wiesz?

- Zaufaj mi. A teraz chodź do łóżka, kochanie. Jest strasznie późno. Jesteś wyczerpana. - Pociągnął mnie do tyłu, na poduszki i przykrył nas ciepłą puchową kołdrą. - Nie martw się o nic, wszystkim się zajmę. Zaopiekuję się tobą, obiecuję.

Ziewnęłam.

- Posłuchaj sam siebie. Pewnie gdybyś mógł, urodziłbyś za mnie to dziecko. I co ja mam z tobą zrobić?

Otoczył mnie ramionami jeszcze ciaśniej niż zwykle i poczułam przelotne pragnienie, by zbuntować się przeciwko opiekuńczości tego gestu. A potem się roześmiałam.

- O co chodzi?

- Tak sobie tylko myślę. O tobie w szkole rodzenia.

- Chryste!

- No, nie chmurz się. To będzie dla ciebie dobre. Będziesz mi pomagał oddychać. Przetniesz pępowinę. Założę się o pięćdziesiąt dolców, że jesteś jednym z tych tatusiów, którzy mdleją na porodówce.

Myślałam, że zaczniesz się śmiać, ale tak się nie stało. Zamiast tego westchnął ciężko i powiedział cicho:

- Kate, to jest najmniejsze z moich zmartwień.

- Cholera - powiedziałam, waląc pięścią w poduszkę.

- Co muszę zrobić, Ashford?

Julian wyszedł z łazienki w białym podkoszulku i bokserkach, myjąc zęby.

- Czo? - powiedział przez szczoteczkę z pianą wokół ust.

- Mówię ci, że urodzę nasze dziecko, a ty i tak nie możesz być w łóżku, kiedy się budzę? No, powiedz, co muszę zrobić.

Roześmiał się i znów zniknął w łazience. Przez chwilę słyszałam syczenie kranu, a potem wrócił, wszedł do łóżka i przyciągnął mnie do siebie. Pachniał słodko pastą do zębów i kremem do golenia.

- Lepiej? - spytał.

- Lepiej - przyznałam. - Ale nie do końca o to mi chodziło. Która godzina?

- Dziewiąta. Czekałem, ile mogłem. Musimy jechać do centrum, do urzędu stanu cywilnego.

- Ale jest niedziela.

- Zadzwoiłem do kilku osób.

Położyłam głowę na jego ramieniu.

- No tak, oczywiście.

- Kate - odparł. - Jest dwudziestoczworogodzinny okres oczekiwania. Dziś dostaniemy papiery, a jutro urzędnik da nam ślub, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Jeśli chcesz czegoś bardziej widowiskowego, mogę zadzwonić do burmistrza, ale nalegam, żeby to się odbyło jutro. Jeżeli mnie chcesz.

- Och, proszę! Jeżeli cię chcę!

- Jesteś wyjątkowo ugodowo nastawiona.

- Julian - odparłam. - Jestem w ciąży. Jestem zdana na twoją łaskę. Moi rodzice by tego nie przeżyli.

Jęknął w moje włosy.

- O Boże, Kate. Twój rodzice. Nawet nie pomyślałem. Chryste! Naprawię to, kochanie. Nie spocznię, dopóki...
- głos uwiązł mu w gardle. Przez chwilę głąskał mnie jeszcze

po rękę, a potem dodał: - Chcę cię jeszcze raz przeprosić za to, jak się zachowałem wczoraj w nocy. Zrobić ci przykrość, nawet na krótko, w takiej chwili... - Pokręcił głową.
- Nie potrafię o tym nawet myśleć bez poczucia wstydu.

- Na litość boską, Julianie. Jesteś dla siebie taki surowy. W końcu ja też nie wypadłam najlepiej.

- Bzdury. Miałaś prawo mi odgryźć głowę. Zasłużyłem sobie na to. Tak czy inaczej - powiedział, pochylając się, by z radosnym przekonaniem pocałować mnie w skroń - teraz szok już minął i jestem w siódmym niebie. Nie możesz mnie już dłużej zwodzić. Wreszcie będziesz moją prawowitą żoną, a nim skończy się wiosna, moja najdroższa pani Ashford, będziemy mieli własną rodzinę. Jak myślisz, to mogą być bliźniaki?

- Ugryź się w język.

Nie odpowiedział, tylko bardzo delikatnie położył mi rękę na brzuchu.

- No, dalej - powiedziałam. - Pewnie jest teraz mniej więcej wielkości paznokcia.

Leżał przez chwilę, patrząc na swoją rękę.

• - Będziesz cudownym ojcem, wiesz? Najlepszym, jaki kiedykolwiek istniał. - Pogłaskałam go po płowych włosach, pozwalając wreszcie, by w mojej głowie pojawiły się obrazy. - Potrafię to sobie wyobrazić.

- Naprawdę?

Pochylił się i pocałował mnie we wgłębienie na brzuchu, a potem czule oparł się o mnie policzkiem.

- Wiesz - powiedziałam, głaszcząc włosy na jego skroni. - Ostateczny termin wciąż cię obowiązuje, bez względu na ślub. - Masz tydzień.

- Nie martw się - wyszeptał. - Do tej pory wszystko się wyjaśni.

Wszystko okazało się zdumiewająco łatwe. Wzięłam prysznic, ubrałam się, a potem pojechaliśmy do urzędu stanu cywilnego w centrum, bez Erica, by niepotrzebnie nie przyciągać uwagi i zapobiec nagłówkom w porannej plotkarskiej prasie. Nic tak nie krzyczy „Celebryta!” jak ochroniarz w ciemnym garniturze podążający za tobą krok w krok.

- Chcę zobaczyć, co masz w dokumentach - oświadczyłam, biorąc do ręki szarą teczkę, gdy skręcaliśmy na autostradę Franklina D. Roosevelta.

Uśmiechnął się.

- Proszę bardzo. Masz prawo wiedzieć, za kogo wychodzisz za męża.

- Julian Laurence. Przez cały ten czas nie posługiwałeś się drugim imieniem?

Wzruszył ramionami.

- Data urodzenia: trzydziesty marca 1975. Naprawdę masz trzydzieści trzy lata?

- Tak. To znaczy, no cóż, technicznie rzecz ujmując, mam chyba sto czternaście. Urodziłem się w 1895.

- Uśmiechnął się smutno. - Naprawdę romansuję z o wiele młodszą od siebie dziewczyną, prawda?

- Zboczeniec. Ale przepraszam, że przegapiłam twoje urodziny.

- To moja wina. Oganiałem się wtedy od ciebie jak jakiś głupiec. Lecz przynajmniej ja nie przegapiłem twoich.

- N i e przejmuj się. Nienawidzę moich urodzin. Chciałbyś je obchodzić w Halloween? Aż skóra cierpnie.

- Znowu spojrzałam na paszport leżący na moich kolanach. - Miejsce urodzenia: Londyn. To dobrze. Podobno najlepsze kłamstwa to te bliskie prawdy. - Zaczęłam się śmiać. - O mój Boże! To twoje zdjęcie paszportowe?

- Oddaj mi to - wyrwał mi je.

- No, teraz czuję się już lepiej. Skoro zdjęcie z kabiny potrafi schrzanić twoją twarz, to jest to przynajmniej jakieś usprawiedliwienie dla tego horroru. - Wzięłam do ręki własny paszport.

Zerknął na niego i się uśmiechnął.

- Widzisz? Z kimś takim się właśnie żenisz. Na pewno nie chcesz się wycofać?

Zaparkowaliśmy w garażu o jedną przecznicę od urzędu. Gdy przeszedł na drugą stronę samochodu, by otworzyć mi drzwi, podałam mu czapkę Yankees.

- Lepiej zachowaj incognito, złotowłosa - powiedziałam. - Chyba że chcesz znowu gadać z tą reporterką z „Page Six”.

- Dobry pomysł - uznał, wkładając ją na głowę.

- Poczekaj chwilę.

Wyciągnęłam rękę i uniosłam nieco daszek. Przyjrzałam mu się krytycznie.

- Wciąż jesteś absurdalnie przystojny, ale cóż, muszę już nieść ten krzyż.

Wziął mnie za rękę.

- Chodź, miejmy to już z głowy.

Przynajmniej raz musiałam docenić szczególne traktowanie VIP-ów. Przy bocznych drzwiach czekał już ktoś, kto przeprowadził nas przez pusty budynek do małego biura, gdzie urzędnik pomógł nam wypełnić formularze i sprawdził dokumenty.

- Dobry Boże - powiedział Julian, znów patrząc na mój paszport. - To naprawdę ty czy tylko jakiś twój obłąkany sobowtór?

- Wiem, wiem - westchnęłam. - Zaspałam i zapomniałam gumki do włosów.

- Zaspałaś? Mówisz poważnie?

- Wychodzę za mąż za komika - poinformowałam urzędnika.

Dwadzieścia minut później byliśmy już za drzwiami ze zgodą na ślub w ręce. Julian zerknął na zegarek.

- Jakiś lunch?

Poszliśmy do South Street Seaport i zjedliśmy hot dogi na ławeczce przy moło.

- Miło jest być tylko we dwoje - powiedziałam,

opierając się o barierkę. - Bez ochroniarza. Bez pomocnych przyjaciół i rodziny.

- Szczerze mówiąc, robię się wtedy nerwowy - odparł.

- Co? Dlaczego?

- Bo usiłuję cię chronić przed zagrożeniem, którego nawet nie rozumiem. To mnie wykańcza.

Odłożyłam hot doga.

- Wykańcza?

- Jesteś w ciąży i bierzemy ślub - odparł. - Wszystko się nawarstwia.

- Posłuchaj! Przepraszam, ale popędzanie cię było ostatnią rzeczą, jakiej chciałam.

- Nie o to mi chodziło.

- A o co? Zmieniłeś zdanie? - Poczułam w nozdrzach zapach hot doga, ciężki i przyprawiający o mdłości.

- Oczywiście, że nie. - Wypuścił powietrze z płuc.

- Przepraszam, kochanie. To szczęśliwa chwila, prawda? Stan Nowy Jork udzielił mi oficjalnej zgody na poślubienie kobiety, którą kocham i która nosi moje dziecko. W ciągu dwudziestu czterech godzin będzie ona należeć do mnie na zawsze. Dobrze się czujesz?

- Uff! To tylko ten hot dog. - Odsunęłam go od siebie na metr.

- O, do diabła! Masz, kochanie. Będziesz wymiotować. - Wziął swój kubek, wylał resztkę napoju do kratki

ściekowej na chodniku i podsunął mi go pod nos. - Weź to.

- Julian, nie będę wymiotować... O, Boże!

Gdy skończyłam, wrzucił kubek do kosza na śmieci, wrócił do mnie i odgarnął mi wilgotne włosy z czoła.

- Już dobrze, kochanie?

- Uff! Myślałam, że to będą poranne mdłości.

- Mogą się pojawić o każdej porze.

- To takie poniżające. - Umilkłam na chwilę. - Skąd tyle o tym wiesz?

- Wszyscy to wiedzą. - Wstał i wyciągnął do mnie rękę. - Przejdziemy się trochę? To ci pomoże.

Wzięłam jego dłoń i ruszyłam obok niego, dziwnie przybita. Był chłodny ranek, ciężkie chmury co chwila przemykały po niebie, zasłaniając słońce. W powietrzu wisiał zapach nadchodzącej jesieni, a szeroka promenada nad rzeką była niemal pusta, bez turystów i pracowników biur, którzy zwykle tłoczyli się na chodniku. Po mojej prawej stronie fale wdzierały się do portu. Na rzece było mnóstwo holowników i trawlerów, ruch jak zwykle. Jakiś prom Circle Line płynął w górę rzeki, a przy relingu na dziobie było aż gęsto od turystów, wychylających się, by pod odpowiednim kątem złapać na zdjęciu most Brooklyński.

- Pomówmy o jutrzejszym ślubie - odezwał się Julian. - Chcesz, żebyśmy byli sami, czy zaprosimy kilku przyjaciół?

- Och, sami. Tylko my, we dwoje.
- Będziemy potrzebować świadka - przypomniał mi.
- Erie? Nie, zapomnij. To powinien być ktoś, kogo znamy.

Patrzyłam przed siebie na masywne kamienne frontony unoszące się majestatycznie nad wodą i z jakiegoś powodu poczułam się pocieszona znajomym kształtem dwóch gotyckich łuków. Cześć, moście Brooklyński, właśnie planuję mój ślub.

- Nie sędzę, byś brała pod uwagę Geoffa.

Zmarszczyłam brwi.

- Wolałabym nie.
- Poprosiłbym Arthura - powiedział powoli Julian
- ale to by było raczej pozbawione taktu.

- Cóż, z drugiej strony pasuje niemal idealnie. W przeciwnym razie zostaje nam tylko Charlie.

Roześmiał się. Ścisnął moją dłoń, mocno i jakby pocieszająco.

- Mogło być gorzej. W sumie to go polubiłem.
- Zadzwoń do niego. Zajęcia chyba się już zaczęły, ale nie posiadałby się ze szczęścia, mogąc się urwać. Możemy wziąć ich obu. Arthura i Charliego. Twój świadek i mój.

Julian się pochylił i pocałował mnie we włosy.

- A potem? Pomyślałem, że moglibyśmy zorganizować jakąś kolację, żeby to uczcić. Zaprosilibyśmy twoją rodzinę. I Michelle, i Samanthę oczywiście. Myślałem

też o tym, czy nie poprosić Hollandera, by przyjechał z Bostonu.

- Och! Wow! Świetny pomysł. Bardzo bym chciała go poznać.

- A on ciebie. Może niech to będzie niespodzianka, dobrze? Nie powiemy im, że to kolacja z okazji ślubu. Ogłosimy to dopiero na miejscu. Od razu przekażę szczę-goły Allegrze, niech już zacznie przygotowania.

Przy ostatnich słowach odezwał się jego telefon. Wyjął go z kieszeni i zerknął na wyświetlacz.

- Chryste! - powiedział. - Nie wierzę.

Wsunął do ucha słuchawkę.

- Laurence - powiedział. - Tak, to prawda... Tak, zgadza się... Obawiam się, że nie wolno mi tego powiedzieć. Najwyraźniej jest ważna przez sześćdziesiąt dni... Tak. Proszę posłuchać, pani Martinez, zdaję sobie sprawę, że wykonuje pani swoją pracę, ale proszę panią o osobistą przysługę. Niech pani się powstrzyma... Mogłaby pani chociaż nie podawać nazwisk, a daję pani słowo, że skontaktujemy się z panią pierwszą i wydamy oświadczenie. Tak, przez dwadzieścia cztery godziny. Tak, naprawdę to doceniam. Dziękuję. - Wyjął słuchawkę z ucha, mrużąc coś pod nosem.

- Czyli nici z naszej przykrywki? - spytałam.

Wsunął telefon do kieszeni i skrzywił się z niezadowolaniem, patrząc w chodnik.

- Mają nas jak na tacy.

Rozdział 24

- Wcale nie jest tak źle - powiedziałam. - A poza tym jest poniedziałek. Niedzielną gazetę czyta znacznie więcej ludzi.

- Nie pocieszaj mnie - odparł Julian. - Każdy, kto ma z nami choćby najśłabszy kontakt, nie będzie miał żadnego problemu, żeby to rozszyfrować.

Ziewnęłam i oparłam się o poduszkę.

- To nie koniec świata. Poza tym wydawało mi się, że próbujemy zwrócić na nas uwagę.

- Nie w dniu mojego ślubu.

Znów spojrzałam na gazetę leżącą na moich kolanach.

KTÓRY potężny szef funduszu hedgingowego robi sobie przerwę od ratowania Wall Street, by zalegalizować swój związek z apetyczną narzeczoną? Zakochana para, którą w ostatnich tygodniach wielokrotnie

sfotografowano razem na mieście, była widziana wczoraj poza godzinami otwarcia w urzędzie stanu cywilnego w centrum Manhattanu, gdy odbierała pozwolenie...

- Nigdy mi nie mówiłeś, że jestem apetyczna - powiedziałam oskarżycielsko.

Uśmiechnął się szeroko i oparł kolano na łożku, pochylając się, by mnie pocałować.

- Jesteś absolutnie najapetyczniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Mmm... Ty też jesteś niczego sobie.

Przesunęłam koniuszkami palców po jego ramieniu. Ucisnął moją dłoń.

- Niestety, mam teraz milion rzeczy do zrobienia, żeby to wszystko zorganizować. Mogę dla ciebie zrobić coś jeszcze? Jak się czujesz?

- Wspaniale. Dzięki za śniadanie - dodałam, unosząc babeczkę i kawę, które przyniósł mi razem z gazetą.

- Och, poczekaj! - Spojrzałam na filiżankę i zmarszczyłam brwi. - Bezkofeinowa, tak?

Popatrzył na mnie przerażony.

- O, cholera! Nie pomyślałem o tym. Polecę po drugą.

- Nie, proszę. Nie jesteś moim chłopcem na posyłki. Napiję się po wizycie.

Spojrzałam na budzik. Było wpół do ósmej. Julian jak zwykle wstał wcześniej, tym razem by kupić gazetę i ocenić straty.

- Na którą mam być gotowa?

- Musimy być w centrum w południe. Po drodze podjadę po Arthura, jest w Sutton Place. A ty możesz sprowadzić Charliego.

Zsunęłam nogi z łóżka i uderzyła mnie przyprawiająca o zawrót głowy fala mdłości.

- O, mój Boże - jęknęłam i chwiejnym krokiem ruszyłam do łazienki.

Julian szedł tuż za mną. Odgarnął mi włosy z twarzy.

- Lepiej? - spytał, gdy już skończyłam.

- Będę żyć.

Podał mi wilgotny ręczniczek.

- Biedna Kate - powiedział ze skruchą. - Popatrz tylko, co ci zrobiłem.

- Będę żyć, przecież mówię. - Przetarłam sobie twarz i odwiesiłam ręczniczek na wieszak, a potem, patrząc na niego z ukosa, stwierdziłam: - A poza tym nie oddałabym ani jednej nocy spędzonej z tobą. Nawet gdybym wiedziała, w którą to się stało.

Uśmiechnął się blado.

- Jak będziesz już gotowa do wyjścia, Erie będzie na dole. Powinienem wrócić przed dziesiątą. Możesz być gotowa na wpół do dwunastej?

- Chyba dam radę. - Pogłaskałam go po policzku.

- Julian, naprawdę bierzemy dziś ślub?

Nieoczekiwany uśmiech na jego twarzy rozjaśnił całe pomieszczenie.

- Tak, pani Ashford. - Uniósł mnie i pocałował w usta. - Możesz na to liczyć.

Dziś rano Julian chciał pójść ze mną na wizytę do lekarza, ale udało mi się go przekonać, że lepiej będzie, jeśli zajmie się czymś innym.

- Nie będzie robiła USG ani nic w tym stylu - zapewniłam. - Tylko szybko rzuci na mnie okiem i powie mi, co mam robić, a czego nie.

Prawda była taka, że nie chciałam, byśmy rzucali się w oczy. Ludzie zauważiliby nas, jak wchodzimy razem do gabinetu ginekologa. Juliana rozpoznawało teraz mnóstwo osób, a nie mogłam ryzykować, by moi rodzice dowiedzieli się o ciąży, zanim sama im o tym nie powiem.

Miałam szczęście, że w ogóle udało mi się umówić na wizytę. Albo po prostu byłam zbyt naiwna, sądząc, że siła pieniądza i bycie celebrytą nie pomagają w załatwieniu takich spraw jak pilne wizyty lekarskie przed godzinami otwarcia gabinetu. Moja ginekolog faktycznie traktowała mnie z większym szacunkiem niż wcześniej. Przeprosiłam ją za opuszczoną wizytę, pożartowałam o konsekwencjach - „Już nigdy kolejnej nie opuszczę, obiecuję!” - a ona przeszła nad tym do porządku dziennego bez zwykłego dla niej niezadowolenia.

- A teraz - powiedziała - muszę cię zapytać. Jesteś z tego zadowolona? - Przyjrzała mi się znacząco.

Och! Chodzi jej o to, czy chcę zatrzymać to dziecko.

- No cóż - odparłam stanowczo. - Zdecydowanie była to niespodzianka, ale teraz, gdy już do tego przywykliśmy, tak. Jesteśmy szczęśliwi. - Poczułam, że zaczynam drżeć. Będziemy mieli dziecko. Kate i Julian - rodzice.

Wyszłam z gabinetu nieco oszołomiona, żałując, że jednak Juliana ze mną nie było. Erie czekał na zewnątrz. Zastanawiałam się, co myśli. Czy w ogóle myśli. Nie był zbyt rozmowny.

- Chyba chciałabym wstąpić gdzieś na kawę po drodze do domu - powiedziałam ochryplym głosem, a on jak zwykle beznamytnie kiwnął głową i odeskortował mnie do Starbucksa.

Zamówiłam bezkofeinową waniliową latte i jak zwykle zapytałam Erica, czy czegoś się napije. A on jak zwykle odmówił. Wzięłam mój napój i usiadłam bezmyślnie przy stoliku. Zaczęłam przeglądać materiały, które dała mi lekarka. Wygląda na to, że pierwsze USG będę miała po dziewięciu tygodniach. Poza tym badanie krwi, moczu, żadnego alkoholu, żadnej kofeiny, advilu, tuńczyka, wątróbek, miękkich serów, krwistych i średnio wysmażonych mięs, sushi... W ogóle nic nie wolno, cholera! Lista zakazanych dań i tych, od których przewracało mi się w żołądku, wyglądała tak, że pewnie przez kolejne siedem i pół miesiąca będę musiała się żywić spalonym na węgiel stekiem i krakersami.

- O mój Boże! Kate Wilson, cóż za zbieg okoliczności!

Podniosłam głowę i zobaczyłam krzywy uśmieszek na twarzy Alicii Boxer. To nie była już ta sama twarz co kiedyś. Po tym, jak potraktowało ją CNBC, postarzała się o dobrych pięć czy dziesięć lat. Jej złośliwy uśmieszek był teraz jakiś przygaszony, skóra zwiotczała, zmarszczki wokół oczu się pogłębiły, choć czoło wciąż pozostawało nienaturalnie gładkie po porządnej dawce botoksu. Pod pachą trzymała dzisiejsze wydanie „New York Post”.

- Alicia? - spytałam z niedowierzaniem.

- Mogę się dosiąść?

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Erie podszedł i uniósł brwi. Zupełnie jakby chciał zapytać: „Mam jej strzaskać kolana, pani W.?”.

- Wow! - powiedziała. - To twój ochroniarz?

- Tak. - Szybko upchnęłam ulotki do torebki. - No, siadaj...

Postawiła swoją kawę na stoliku i wybrała krzesło obok mnie.

- Jak mówiłam, wielki, pieprzony zbieg okoliczności.

- Poklepała swoją gazetę. - Chodzi o ciebie, tak? O ciebie i Juliana?

Otworzyłam już usta, żeby zaprzeczyć, i zdałam sobie sprawę, że to nie ma sensu.

- Może - odparłam, upijając łyk kawy.

- Muszę ci to przyznać: wygrałaś. To znaczy, zupełnie cię nie doceniałam. Teraz moje życie to jedna pierdolona

ruina, a ty wychodzisz za mąż za miliardera. - Wzruszyła ramionami. - Niezła robota.

- Alicia, nie chciałam, żeby to się stało. Nie zamierałam rujnować ci życia.

- Ja bym to zrobiła.

- Cóż, nie jestem tobą.

Roześmiała się.

- Nie. Nie jesteś. Więc chyba gdzieś tam na górze jest jakiś Bóg, który wymierza sprawiedliwość i tak dalej. Peggy Sue wygrała. - Upiła trochę kawy i przez chwilę przyglądała się gazecie. - No to kiedy ślub?

- Przykro mi, to ściśle tajne.

- To prawdziwa miłość.

- Najprawdziwsza.

- Wow! - Oparła się na krzesło i spojrzała na mnie, przekrzywiając głowę jak papuga. - Wiesz co? Tak się zastanawiam, co naprawdę czuję, i chyba nawet się cieśszę z twojego powodu. Dziwne.

- No cóż, nigdy tak naprawdę nie zrobiłam nic takiego, żeby sobie zasłużyć na twoją małą wendetę. Nie knułam z Bannerem, nie próbowałam ukraść ci klientów...

- Cóż, w sumie to o tym wiedziałam - odparła. - Ale byłam po prostu wkurzona. Może wciąż jestem. Tak czy inaczej muszę już spadać. Oglądają dziś moje mieszkanie, a moje rzeczy wciąż się tam walają.

- Poczekaj chwilę - powiedziałam. - Wiesz, nie

chciałabym, żeby to zabrzmiało... No, nie wiem, chyba chcę powiedzieć, że jeśli mogę ci w czymś pomóc...

- Może jako protokółantka na moim procesie?

- uśmiechnęła się szyderczo. - To już zakrawa na ironię, prawda?

- Posłuchaj, nie chciałam, żeby tak wyszło. Po prostu... Jeśli coś się pojawi, to może będę mogła ci pomóc.

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Nie dziwiłam się jej. Sama też nie mogłam uwierzyć we własne słowa. Ale to zwolnienie, zrobienie mnie wydawało się teraz takie odległe i nieistotne. Było mi jej żal. Żyła uwięziona w tym swoim wyrachowanym umyśle i ta odrobina dobroci, jaką w sobie miała, rozpaczliwie usiłowała przebić się przez mroki. A mnie tak niesamowicie się poszczęściło. Miałam miłość Juliana i nosiłam jego dziecko. To jasne, że musiałam znaleźć jakiś sposób, by zrobić na tym świecie coś dobrego, jakoś zrównoważyć kosmiczną szalę. Cóż, mówiąc w skrócie, dużo dobrego. Zbawienie duszy Alicii to byłby spory krok w tym kierunku.

- Dobra, mniejsza z tym. - Cynicznie przewróciła oczami. - Odezwę się.

I wtedy mi się przypomniało.

- Posłuchaj, Alicia. W całej tej sprawie dręczyła mnie jedna rzecz. Nie wiem dlaczego. Co dokładnie miałaś na tego maklera z Southfield, że zgodził się z tobą współpracować? Że zwrócił się przeciwko Julianowi.

- Och, na Warwicka? To on zwrócił się do mnie.

Zadzwoił do mnie tydzień po tym spotkaniu w sprawie ChemoDermy. Nie do wiary, prawda?

- Warwick? Geoff Warwick... Myślałam...

- Och, myślałaś, że to ten biedny makler, który dostał kopa zamiast niego? No coś ty. Za wszystkim stał Geoff Warwick, dziewczynko. To on wydawał polecenia. Na twoim miejscu pilnowałabym swoich pleców. Szczwany z niego lis, a poza tym naprawdę za tobą nie przepada. - Przystanąła i zachichotała, jakby właśnie przyszło jej do głowy coś zabawnego. - Wiesz, jak na miłą dziewczynkę z Wisconsin to całkiem nieźle potrafisz robić sobie wrogów. - Mrugnęła do mnie. - Ale mniejsza z tym. Na razie.

Przez chwilę siedziałam z otwartymi ustami. Geoff Warwick? To Geoff Warwick za tym stał? Wiedziałam, że za mną nie przepada, ale żeby chciał mnie zrujnować? Sam wyszukał Alicie i uknuł z nią, jak mnie zniszczyć, niemal doprowadzając przy tym do upadku Juliana i siebie samego. Musiał wiedzieć, że podejmuje takie ryzyko. Zakładając, że Alicia mówiła prawdę. Ale choć nie byłam najzręczniejszym strategiem na świecie, nie przychodził mi do głowy żaden powód, dla którego miałaby kłamać. Oprócz jakiegoś abstrakcyjnego macenia, a Alicia nie była kompletną psychopatką.

Spojrzałam tępo na zegarek. Dochodziła dziesiąta, a to znaczyło, że powinnam już ruszać do domu i się przygotować. Do mojego ślubu.

Przełknęłam ślinę, usiłując zapanować nad paniką. Wstałam, dla otuchy dopiłam latte i poczułam nawet wdzięczność wobec Erica za to, że tu był.

Minęliśmy szybko tych kilka przecznic, które dzieliły nas od domu Juliana. Moje myśli zataczały szalone kręgi, próbując dopasować kawałki układanki. Geoff zadzwonił do Alicii i zaplanował cały przekręt, choć spotkał mnie tylko przelotnie w okolicy świąt. Co wywołało taką natychmiastową, instynktowną antypatię? A potem w maju, gdy znów zaczęłam spotykać się z Julianem, przysłał mi książkę Hollandera. Dlaczego? Czemu tak bardzo mnie nienawidził? Dlaczego nie chciał, żebyśmy byli razem?

Byłam tak pochłonięta tymi analizami, że gdy dosłownie wpadłam na Geoffa Warwicka na schodach domu Juliana, w pierwszej chwili wydawało mi się, że to tylko moja wyobraźnia.

- Geoff! Przepraszam - zawołałam, cofając się o krok.
- To ja przepraszam - mruknął.

Był bardzo błady i wydawał się równie rozkojarzony jak ja.

- Rozmawiałeś z Julianem, jak zakładam?

Przełożyłam niemal pusty kubek po latte do drugiej ręki. Wyczułam, jak za moimi plecami Erie odsuwa się dyskretnie na kilka kroków.

- Tak. Chciałem złożyć gratulacje. - Ostatnie słowo ociekało ironią.

- Słuchaj - powiedziałam - nie możesz chociaż spróbować cieszyć się z naszego szczęścia? Kochamy się. Jesteś podobno jego przyjacielem.

- Mimo to - odparł cicho - dowiaduję się o jego ślubie od żony, która wyczytała o tym w jakiejś kolumnie plotkarskiej.

- Geoff, nie mówiliśmy jeszcze nawet moim rodzicom. To miała być niespodzianka. No wiesz, dobra zabawa.

- Są powody, dla których powinienem być zostać poinformowany.

- Och, przestań - odparłam. - Geoff, ja wiem. Wiem, że zaplanowałeś ten przekręt z Alicią. Wiem, że wysłałeś mi tę książkę. Prawdopodobnie również ty kazałeś mnie śledzić, przeszukać moje rzeczy. Dlaczego? Dlaczego tak bardzo mnie nie lubisz? Przecież zrobię wszystko, żeby Julian był szczęśliwy. Naprawdę nie dbam o jego pieniądze. Wolałabym, żeby były gdzieś na dnie oceanu.

Przez długą chwilę mi się przyglądał.

- Nie chodzi o to, kim jesteś - odparł powoli. - Chodzi o to, czym jesteś.

- A, tak - powiedziałam. - Zapomniałam, że jesteś opłacanym członkiem towarzystwa adoracji Florence Hamilton. Cóż, przykro mi, że nią nie jestem. Jestem tylko sobą, Kate Wilson z Wisconsin, kocham Juliana

i z jakiegoś szalonego powodu on też mnie kocha. I jesteśmy z sobą szczęśliwi. A więc przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, Geoff, ale będziesz się musiał z tym pogodzić.

Jego twarz równie dobrze mogła być wyciosana z granitu, bo nie zauważyłam, by moje słowa zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenie. Nawet wyjątkowo głośny klakson oburzonego taksówkarza nie wywołał u niego mrugnienia okiem. Po krótkiej, pełnej chłodu chwili odwrócił się i zszedł po stopniach, nawet nie zerkając na Erica.

- Poczekaj chwilę! - zawołałam za nim.

Zatrzymał się, przechylając głowę w moją stronę z jednym wyczyszczonym do połysku butem na chodniku.

- Naprawdę strasznie przepraszam za to wszystko. Na pewno była cudowną osobą. Żałuję... żałuję, że nie mogę jej podziękować - wyrzuciłam z siebie. - Za to, że mi go dała.

Na jego twarzy pojawił się jakiś zagadkowy wyraz.

- Flora to najmniejszy problem w tym wszystkim - powiedział, kręcąc głową, a potem odwrócił się i odszedł.

Cóż, warto było spróbować. Jak brzmiało to stare powiedzenie? „Trzymaj przyjaciół blisko siebie, wrogów zaś jeszcze bliżej”.

Rozdział 25

W drodze na ślub Julian sam prowadził maserati z Arthurem Hamiltonem w środku. Mnie czarnym sedanem, z Erikiem na przednim siedzeniu i Charliem z tyłu, wiózł Henry.

- I co? Jestem twoją pierdoloną drużką - stwierdził Charlie, sadowiac się obok mnie na siedzeniu.

Niesamowicie cieszył się z tego, jaki jest ważny w naszym życiu, i za nic nie byłam w stanie rozgryźć, czym sobie na to zasłużył.

- Bez przeklinania na moim ślubie, dobra?

- Kurwa, niby dlaczego? Żartowałem - dodał szybko, widząc moją minę. Zagryzł wargi, najwyraźniej próbując powiedzieć coś stosownego. - Ładnie wyglądasz - pochwalił mnie w końcu.

- Dzięki.

Spojrzałam na mój strój: obcisłą, sięgającą do kolan sukienkę w kolorze kości słoniowej z wdzięcznym

baletowym dekoltem. To będzie bardzo cywilna ceremonia.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Chyba zaciażyłaś, co? Stąd cały ten pośpiech.

- Jezu, Charlie - syknęłam, czując eksplodujące na moich policzkach rumieńce.

Jego uśmiech znikł.

- Stara, naprawdę? To był tylko dowcip. Wow!

- Spojrzał nieufnie na mój brzuch, jakby się spodziewał, że w każdej chwili może wyskoczyć z niego dziecko.

- Wychodzisz za mąż za pierdolonego ogiera.

- Charlie, bez przeklinania. Pamiętasz?

- Przepraszam, stara.

- I to tajemnica, OK? Bardzo poufna informacja.

- Zamknęta w sejfie, stara. Już wyrzucam klucz.

- Na chwilę zamilkł, a potem spytał: - Mogę być ojcem chrzestnym?

- Nie ma mowy.

Zamiast zawieźć nas do urzędu stanu cywilnego, w którym byliśmy wczoraj, Henry zatrzymał się przy brudnych białych ścianach ratusza, tuż przy bocznych drzwiach wychodzących na Broadway. Ledwie stanęliśmy, Erie otworzył drzwi i odprowadził nas do budynku. Ktoś już tam czekał, by pokierować nas dalej, jakiś pełen zapału mężczyzna w garniturze, który najwyraźniej nie był zwykłym urzędnikiem miejskim. Wjechaliśmy windą na górę, do luksusowej poczekalni.

- Pan Laurence już jest w środku - powiedział, pokazując głową na drzwi, po czym nacisnął klamkę.

Moim oczom ukazało się duże pomieszczenie o wysokim stropie, jakiś gabinet z antycznym biurkiem i dwoma krzesłami przed nim. Julian stał przy trój skrzydłowym oknie, rozmawiając z Arthurem Hamiltonem i jakimś mężczyzną, który wydawał mi się znajomy. Gdzie już widziałam ten profil?

Gdy weszliśmy, wszyscy trzej mężczyźni się odwrócili, ale całą moją uwagę pochłonał Julian. Był nienagannie ubrany w świetnie leżący, poważny, granatowy garnitur i białą koszulę. Jego włosy lśniły w słońcu, a uśmiech kłuł mnie w oczy swoim blaskiem. Podszedł i wyciągnął rękę. Gdy ją ujęłam, jego palce zamknęły się wokół moich.

- Ach, tu jest zarumieniona panna młoda - powiedział ten drugi i na dźwięk jego głosu doznałam nagłego olśnienia. - Zaczynamy?

Ceremonia była krótka i prosta, bez wzniosłych, retorycznych ozdobników. Tylko dobrze znane ślubowania odczytywane przez burmistrza Nowego Jorku i powtarzane przez nas oboje ze szczerością i przekonaniem: „Ja, Julian, biorę sobie ciebie, Kate... I ja, Kate, biorę sobie ciebie, Julianie... Tą obrączką cię zaślubiam...”. A potem: „Mocą prawa udzielonego mi przez stan Nowy Jork...”. I już było po wszystkim.

Pochylił głowę i pocałował mnie delikatnie w usta, a później unióśł moją dłoń i pocałował prostą platynową

obrączkę, którą miałam na palcu tuż obok pierścionka z brylantami. Nie pomyślałam nawet o obrączkach, ale gdy nadeszła moja kolej, jakaś pojawiła się w mojej dłoni. Spojrzałam na nią, a potem na stanowcze, eleganckie rysy mojego męża i uświadomiłam sobie, że to wcale nie była zbędna formalność.

- Jesteś mój - uśmiechnęłam się. - Mój mąż.

- Niech ci Bóg dopomoże - odszepnął, lekko mrugając.

Potem odwróciliśmy się do Charliego i Arthura i przyjęliśmy od nich gratulacje.

- Stara, to było super - powiedział Charlie i wyglądał, jakby faktycznie był pod wrażeniem. - Żadnych kwiatów ani innych pie... rzeczy. Tylko to, co najważniejsze. Naprawdę mocne, stara.

Odwróciłam się do Arthura Hamiltona.

- Dziękuję. Dziękuję, że pan tu przyszedł, że wziął pan w tym udział.

Jego oczy były wilgotne.

- To dla mnie zaszczyt - oświadczył.

Na zewnątrz nie czekał na nas fruwający w powietrzu ryż ani tłum zachwyconych krewnych. Był tylko zwykły, zatłoczony manhattański chodnik, a po drugiej stronie Henry, trzymający otwarte tylne drzwi czarnego cadillaca. Weszliśmy do środka i ostatnią rzeczą, jaką widziałam, gdy odjeżdżaliśmy, była moja dłoń spleciona z ciepłymi palcami Juliana i twarz Arthura Hamiltona,

z której znikła już cała fałszywa radość, pozostawiając jedynie wyraz głębokiego, absolutnego nieszczęścia.

Gdy zajechaliśmy z powrotem pod dom, Julian, który w samochodzie był dziwnie przygaszony i refleksyjny, uniósł mnie.

- Co?! - zawołałam dziko, starając się nie zgubić prawego buta.

- Przenoszę cię przez próg, kochanie. To taka tradycja. - Wniósł mnie po frontowych schodach, mijając Erica, i dalej, do przedpokoju. Spojrzał na mnie. - Nareszcie - wymruczał, całując mnie mocno, namiętnie i krótko.

Potem postawił mnie na starych marmurowych płytach.

- Nareszcie? - Roześmiałam się. - Znasz mnie od grudnia.

Wciąż trzymał mnie w ramionach, przyglądając mi się z powagą, jakbym była jakimś egzotycznym zwierzęciem, z którym nie do końca wiedział, co począć.

- No więc, mężu? - Objęłam go w pasie. - Co dalej w programie? Ile mamy czasu, zanim przyjadą nasi goście?

- Obawiam się, że niewiele.

- W takim razie chyba muszę iść na górę i się przebrać.

- I oczywiście powinnaś się spakować.

Zmarszczyłam brwi.

- Spakować?

Przysunął usta do mojego ucha.

- Po kolacji czeka na nas samolot. Zapomniałaś o naszym miesiącu miodowym. - Coś w jego głosie sprawiło, że to słowo zabrzmiało wyjątkowo rozpustnie.

- Miesiącu miodowym? Gdzie jedziemy?

- Niestety nie mogę ci tego powiedzieć. A teraz idź na górę.

Odsunęłam się lekko w jego objęciach.

- A ty nie idziesz?

- Już się spakowałem.

- Ale... - Dotknęłam klapy jego marynarki i posłałam mu spod rzęs uwodzicielskie spojrzenie - ...mogę potrzebować pomocy przy suwaku.

Uśmiechnął się i pochylił, by mnie pocałować. Poczulałam, że jego dłonie poruszają się na moich plecach i lekko rozsuwają zamek mojej sukni.

- Proszę - wyszeptał.

- Jesteś bezczelny.

- Cierpliwości, kochanie - odparł.

Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że odsunęłam się trochę i przyjrzałam mu się uważnie.

- O co chodzi? Co jest nie tak?

- Nic. Wszystko jest tak jak powinno. Tak jak miało być.

- Ale jesteś smutny - powiedziałam. - Och, Julian. Co jest nie tak?

Znów się uśmiechnął, ale wymuszenie.

- Kate - wyszeptał czule. - Moja piękna Kate. Katherine Ashford. Moja żona. Moja panna młoda. Matka mojego dziecka. Pozwól, że ci coś wyjaśnię. Nigdy w życiu nie czułem się tak szczęśliwy jak przed chwilą.

- Och! - Spuściłam wzrok na subtelny wzór na jego bladoniebieskim krawacie.

- Posłuchaj mnie, Kate - ciągnął, unosząc mój podbródek. - Proszę, spójrz na mnie. Nie ma słów, które mogłyby opisać moje szczęście. Mogę ci powiedzieć tylko tyle. Czymkolwiek jestem, gdziekolwiek jestem, jestem twoim mężem. Zawsze. I to jest prawda, która zawsze będzie nas łączyć. Rozumiesz?

- T a k .

Myślałam, że mnie pocałuje, ale tego nie zrobił. Musnął tylko lekko kciukiem moje usta.

- A teraz idź na górę i się spakuj - powiedział ochryple - zanim przyjadą nasi goście.

Kiwnęłam głową i cofnęłam się na schody. Gdy dotarłam na półpiętro, spojrzałam w dół i zobaczyłam, że patrzy za mną, a w jego twarzy nie ma ani cienia radości.

- Och! - wykrzyknęłam, przystając w przejściu do salonu pół godziny później. - Pan musi być doktorem Hollanderem!

Siwowłosa mężczyzna na sofie wstał, prostując się do ogromnych rozmiarów.

- A pani - odparł, wyciągając rękę - musi być Kate Ashford. Jest pani jeszcze piękniejsza, niż opisywał Julian.

Podeszłam do niego i uścisnęłam obie jego dłonie.

- A więc panu powiedział! A ja myślałam, że wszystkim zrobiliśmy niespodziankę. - Pocałowałam go w oba policzki. - Tak się cieszę, że mogę pana poznać, doktorze Hollander. Wiem, że to brzmi jak frazes, ale naprawdę czuję się tak, jakbym już pana znała. Proszę usiąść. Mogę panu coś zaproponować?

Wskazał na stolik, na którym w prostej niskiej szklance był jakiś bursztynowy płyn z lodem, prawdopodobnie szkocka.

- Julian już o to zadbał, dziękuję. Oczywiście musiał mi powiedzieć. Zwykle nie podróżuję, chyba że z bardzo ważnych powodów.

Opadłam na sofę obok niego.

- Mam do pana dziesiątki pytań, ale na razie pana oszczędzę.

Moja reakcja zaskoczyła nawet mnie. Gdy go ujrzałam, od razu wiedziałam, kim musi być, i ogarnął mnie najprawdziwszy zachwyty. Może to z powodu jego wyglądu: nie był przystojny, ale przyjacielski i otwarty, o ciemnych oczach, które często mrużył. Otaczała go nobliwa, pełna roztargnienia aura. Musiał mieć z sześćdziesiąt czy

siedemdziesiąt lat i co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. I był najlepszym ekspertem na świecie od mojego nowego męża. Uśmiechnęłam się do niego.

- Najpierw chciałabym panu podziękować, że był pan dla Juliana tak dobrym przyjacielem przez te wszystkie lata. Gdy myślę, jak ciężko musiało mu być na początku, gdy nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać, to po prostu... Cóż, to musiało być dla niego straszne. A potem zjawił się pan. Na szczęście.

Mrugnął.

- To bardzo miłe z pani strony. Widzi pani, przez wszystkie te lata miałem wrażenie, że jest dokładnie odwrotnie. Pomyśleć tylko, że obiekt moich badań pewnego dnia wszedł do mojego gabinetu. To niemożliwa fantazja historyka, która się ziściła.

- A gdzie on jest? - Rozejrzałam się po pokoju, marszcząc brwi. - Nie zostawił tak pana, prawda?

- O nie. Właśnie przed chwilą ktoś do niego zadzwonił.

Wskazał głową na drzwi prowadzące do biblioteki, które były na głucho zamknięte.

- Och, przepraszam pana za to. Mnie też cały czas tak traktuje. Wybawca Wall Street. - Przewróciłam oczami, żeby pokazać, jak małe to na mnie robi wrażenie.

Hollander się skrzywił. „Stary, pokręcony marksista” powiedział o nim Julian.

- Jeśli o mnie chodzi, to powinien być pozwolić, żeby to wszystko runęło.

- Uwaga - powiedziałam. - Rozmawia pan z analityczką inwestycyjną. A właściwie była analityczką. W każdym razie z totalną kapitalistyczną świnią. Już nie mogę się doczekać, aż zaprzyjaźnimy się na tyle blisko, żeby móc się o to trochę posprzeczać.

Roześmiał się.

- Ach, pani Ashford, zaczynam rozumieć Juliana. Tak rzadko można spotkać piękną kobietę, która byłaby również tak świetnym towarzyszem.

Pogroziłam mu palcem.

- O rany! To się panu udało. Muszę na siebie uważać. Ale proszę mi mówić „Kate”. Tylko Julian nazywa mnie pani Ashford.

Zachichotał i upił łyk whisky.

- Tak się zamartwialiśmy ubiegłego lata, kiedy pan zniknął. Mam nadzieję, że teraz wszystko jest w porządku?

- Och, w najlepszym, dziękuję - odparł tak radośnie, że miałam pewność, że kłamie. - W ostatniej chwili pojawił się pewien projekt naukowy. Na prośbę mojego szczególnego... przyjaciela.

- Och, naprawdę? Jaki to był projekt? Jakies badania w terenie?

- Można to tak ująć - powiedział.

W tej samej chwili rozległ się dźwięk dzwonka.

- Och! Proszę mi wybaczyć na chwilę. Cała moja rodzina ma przylecieć. Ach, właśnie! Proszę nie zapomnieć, że to ma być niespodzianka. I jeśli o nich chodzi, to myślą, że nazywam się Laurence.

- Nie powiedziała im pani? - spytał mnie zdumiony, gdy wstawałam z sofy.

- Akurat by mi uwierzyli! - rzuciłam przez ramię.

Pojechaliśmy do restauracji dwoma samochodami. Julian wziął doktora Hollandera do maserati, a Samantha i Michelle wcisnęły się jakoś na to, co uchodziło za tylne siedzenie. Henry zawiózł mnie i całą resztę escalade. Erie siedział z przodu.

Na miejscu pojawiliśmy się z kilkuminutowym opóźnieniem. Geoff i Carla czekali już w barze z Arthurem Hamiltonem. Żadne z nich nie wyglądało na szczęśliwe, choć Carla przynajmniej się siliła na szeroki uśmiech.

- Witaj, Kate! - zawołała ze znaczącym mrugnięciem, pochylając się nad moim policzkiem i całując powietrze.

Jakiś mężczyzna podszedł do nas od baru. Jego okrągła twarz była zaróżowiona z zachwyty, którego brakowało na twarzach innych.

- Pani Laurence! - Z zapalem wyciągnął rękę. - Nie ma pani pojęcia, jak się cieszę, że mogę panią poznać stosownie i oficjalnie. Andrew Paulson.

Zmiażdżył moją dłoń jak w imadle.

- Sierżant Paulson! Julian nic mi nie mówił, że pan przyjdzie. Cóż za cudowna niespodzianka!

Był tak rozpromieniony, że gdyby się nie przedstawił, nigdy bym go nie skojarzyła z tą przybitą postacią spotkaną w maju na Park Avenue.

- Za nic bym tego nie przepuścił, pani L. Za nic! Tak się cieszę, że ten chłopak się ustatkował.

- Chłopak? - spytała moja matka nad moim ramieniem.

- Pan Paulson jest moim starym przyjacielem, pani Wilson. Jeszcze z Anglii. Przeprowadził się tutaj kilka miesięcy temu - wyjaśnił Julian.

Zerknęłam na twarz Paulsona. Domyśliłam się, że w tej chwili był niewiele starszy od Juliana, choć początkowo musiało ich dzielić co najmniej kilkanaście lat.

- Ach, rozumiem - powiedziała matka tonem, który znałam z czasów, kiedy byłam jeszcze nastolatką. Oznaczał: „Nie kupuję tego, kochanie”.

Kierownik lokalu zaprowadził nas korytarzem do dużej, wynajętej tylko dla nas sali na górze. Pośrodku stał okrągły stół przykryty śnieżnobiałym obrusem, a przy każdym nakryciu stał kieliszek szampana, z którego wciąż unosiły się bąbelki, i leżała karteczka z nazwiskiem. Julian, jak na gospodarza przystało, prosił właśnie wszystkich, by usiedli. W ostatniej chwili odwrócił się do mnie ze słodkim, niemal tęsknym uśmiechem i ucisnął moją dłoń.

- Wszystko w porządku, kochanie?

Kiwnęłam głową.

- Doskonale.

- Jak się czujesz?

- W tej chwili w sumie normalnie. Jeśli nie podadzą tutaj hot dogów.

Uniósł moją dłoń i pocałował ją.

- Daj mi znać, jeśli będziesz musiała na chwilę wyjść.

Podprowadził mnie do mojego miejsca i wysunął krzesło, a potem usiadł obok i wziął do ręki kieliszek szampana. Wszyscy przy stole zamilkli i patrzyli na niego z wyczekiwaniem. Samantha uśmiechała się od ucha do ucha.

- Panie - zaczął, odpowiadając jej uśmiechem, a następnie zwracając się do innych - panowie, wszyscy nasi drodzy przyjaciele i rodzino. Jak bez wątplenia już się domyśliliście, co wnioskuje po waszych minach, Kate i ja zaprosiliśmy was dziś wieczorem na bardzo szczególną kolację.

- Słusznie, słusznie! - wybuchł mój ojciec.

Na litość boską!

- Dziś, wczesnym popołudniem - kontynuował Julian - Kate wyświadczyła mi ogromny zaszczyt i została moją żoną podczas skromnej cywilnej ceremonii w ratuszu.

Przy stole rozległy się radosne okrzyki i wiwaty. Tak przynajmniej zareagowała większość gości, bo Arthur

gapił się w swój talerz, a Geoff nie potrafił ukryć zawziętej wrogości.

Julian odczekał, aż entuzjazm trochę opadnie.

- Oczywiście bardzo nam przykro, że nie mogliśmy poprosić was wszystkich, byście wzięli w niej udział, ale po namyśle doszliśmy do wniosku, że zamiast znosić długie zaręczyny na oczach opinii publicznej, woleliśmy, by ceremonia odbyła się jak najszybciej i by po niej w ciągu kilku miesięcy wyprawić bardziej tradycyjne wesele, które, żywię szczerą nadzieję, przywróci mnie znów do łask matki i przyjaciół Kate.

- Słusznie, słusznie! - zawołała moja matka.

- Tak czy inaczej - podjął Julian, szybko do niej mrugając - chciałbym was prosić, byście przyłączyli się do toastu na cześć panny młodej, mojej ukochanej Kate! Za jej zdrowie i szczęście, któremu zamierzam poświęcić całe życie!

W tym momencie rumieniec objął już wszystkie miejsca na moim ciele i gdy Julian pocałował moją dłoń przed wszystkimi, pomyślałam, że zaraz rozpadnę się na kawałki. Ale twarze wokół mnie - za wyjątkiem Geoff'a i biednego Arthura - promieniały taką radością, że moja konsternacja zaczęła ustępować. Julian usiadł, wciąż trzymając moją dłoń, i przebiegł wzrokiem po tak intensywnie wpatrzonych we mnie oczach.

- Przepraszam - powiedziałam, wstając. - Teraz chyba moja kolej. - I sięgnęłam po kieliszek.

Zapadła gęsta i pełna oczekiwania cisza. Na ramieniu czułam ciepło Jułiana, pod palcami - chłód szklanki. Zebrałam się na odwagę.

- Chciałabym podziękować wszystkim za to, że zjawiliście się tu dzisiaj wieczorem. To, że tu jesteście, by dzielić moją radość, naszą radość, sprawia, że to wszystko jest dla mnie jeszcze cenniejsze. A więc za was wszystkich - powiedziałam, unosząc kieliszek, a potem odwracając się do Juliana i z całych sił próbując panować nad sobą: - I za ciebie, Julianie, za twoje zdrowie i szczęście, które, jak mam nadzieję, będę mogła z tobą dzielić przez resztę naszego wspólnego życia.

Opadłam na krzesło przy chórze wiwatów i „słusznie, słusznie”. Upiłam łyk szampana, który okazał się napojem imbirowym (pomyślał o wszystkim). A potem toasty zaczęły się na dobre i armia kelnerów zaczęła wnosić przystawki. To było jakieś danie ze szparagów. Powąchałam je ostrożnie, by sprawdzić moją reakcję, i nie poczułam nudności skręcających żołądek. Na razie całkiem nieźle.

Charlie, który już w domu wypił szklankę czy dwie szkockiej, zaczął wygłaszać rozwlekły toast w swoim zwykłym stylu. Miałam tylko nadzieję, że moi rodzice nie wsłuchiwali się w niego zbyt dokładnie. Bo moje myśli też już zaczynały odpływać do samolotu, który podobno już na nas czekał, do miesiąca miodowego, który zaplanował Julian. Pogrążona w takich rozważaniach, przypadkiem zerknęłam na Arthura Hamiltona.

Gapił się na mnie, prosto na mnie, a jego twarz nie wyrażała zadowolenia, smutku, tęsknoty czy udręki. Była zimna. Zimna jak głaz. Jakby patrzył na swojego przeciwnika tenisowego podczas meczu o mistrzostwo. Jakby przed chwilą się dowiedział, że zabiłam jego ukochanego kota. Jakbym dopiero co poślubiła narzeczonego jego ukochanej siostry.

Właśnie postawiono przede mną kolejną przystawkę - elegancko podaną jagnięcą łopatkę w kałużę miętowego masła. Spojrzałam na nią i poczułam, że treść w moim żołądku kołysze się pijacko w przód i w tył.

- Przepraszam - wyszeptałam do Juliana.

Spojrzał na mnie zatroskany.

- Jagnięcina - wyjaśniłam. - Za chwilę wracam.

Zaczął wstawać.

- Nie, nie. Nic mi nie jest. Zostań tu. Będą się martwić.

Zsunęłam się z krzesła i wymknęłam z sali w chwili, gdy Charlie opowiadał właśnie jakąś zapewne wyjątkowo krępującą anegdotę.

- Toaleta? - spytałam kelnera, który wchodził akurat po schodach.

- W piwnicy - powiedział z wyraźnym akcentem.

- Po prawej na końcu korytarza.

Zbiegłam po schodach na parter, a potem do piwnicy, skąd słyszałam pobrzękiwanie garnków i naczyń w kuchni. Korytarzem na prawo. Rozejrzałam się gorączkowo i zobaczyłam znaczek wskazujący na damską toaletę.

Zdążyłam w ostatniej chwili i zwróciłam całe szparagi i napój imbirowy. Miałam wrażenie, jakby ktoś wyrywał mi wyściółkę żołądka.

- Lepiej by było - mruknęłam, wreszcie prostując plecy i wciągając do płuc powietrze - żebyś miała naprawdę ładne dziecko. Bo to się szybko nudzi.

Otworzyłam drzwi kabiny i chwiejnym krokiem poszłam do stylowej umywalki. Obok niej leżał schludny stosik płóciennych ręczniczków. Wzięłam jeden z samej góry, zwilżyłam go zimną wodą z kranu i spojrzałam w lustro, by przetrzeć sobie czoło.

Tuż nad swoim prawym ramieniem zobaczyłam twarz Arthura Hamiltona.

Chciałam krzyknąć, ale nie byłam w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Błyskawicznie się odwróciłam.

- Chodź ze mną - powiedział.

- Dokąd? - wyszeptałam.

- Po prostu stąd.

Rzuciłam się do drzwi, lecz chwycił mnie za ramię i pchnął czymś w brzuch. Pistolet.

Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek widziała z bliska prawdziwy pistolet. Kilka razy przyglądałam się tylko, czując się przy tym nieswojo, broni wiszącej u pasa nowojorskich policjantów i zastanawiałam się, jak by to było taką trzymać, wystrzelić z niej. Zawsze wydawała mi się trochę straszna. Twarda, śmiercionośna.

To nie było coś, co naprawdę chciałam mieć w pobliżu siebie.

- Nie użyjesz go - wyszeptałam. - Nie zrobiłbyś tego. To by zabiło Juliana. A on jest przecież twoim przyjacielem.

Arthur nie odpowiedział, tylko szturchnął mnie mocno pistoletem. Przełknęłam ślinę, usiłując racjonalnie myśleć.

- Nie możesz mnie zabić - powiedziałam. - Nie zrobiłbyś tego.

- Otwórz drzwi - rozkazał. - Wyjdziemy od tyłu.

- Nie, nie otworzę.

Jego palec się poruszył i coś kliknęło. Był żołnierzem, mniejsza z tym, czy dobrym, czy nie. Wiedział, jak posługiwać się bronią. Pewnie nawet już kiedyś kogoś zabił. Wyciągnęłam rękę do klamki i powoli otworzyłam drzwi.

- Skręć w prawo - powiedział i zrobiłam to.

Miałam nadzieję, że idę na tyle wolno, iż Julian założy nieobecność nas dwojga i nabierze podejrzeń. A potem pobiegnie za mną, by mnie, cholera, ocalić. Bo ja w tej chwili odchodziłam od zmysłów ze strachu i byłam zbyt przerażona, by ratować się sama. Nic nie wiedziałam o Arthurze Hamiltonie. Czy chciał mnie zabrać na ulicę i tam mnie zastrzelić? Graj na czas, pomyślałam. Graj na czas.

- Gdzie mnie prowadzisz? - spytałam, próbując się odwrócić, ale szturchnął mnie bronią w nerki.

- Otwórz drzwi - nakazał.

To było wyjście dla pracowników. Schodami w górę, na parter.

- Ruszaj - rzucił.

I zaczęłam wchodzić po stopniach, czując, jak ogarnia mnie panika. Owiąło mnie wieczorne chłodne i wilgotne powietrze, a zapachy z kuchni sprawiły, że znów przewracało mi się w żołądku. Usłyszałam za plecami jakiś hałas i krzyknęłam:

- Tu jestem! Na schodach!

Broń wbiła się twardo w moje plecy, posyłając mnie na kolana.

- Nie rób tego więcej - syknął Arthur. - A teraz ruszaj! No już!

Kolejne szturchnięcie i pokonałam resztę schodów, by przy końcu balustrady wypaść na chodnik.

Na zakręcie zaszumiał silnik jakiegoś samochodu. To nie był Henry. Rozejrzałam się gorączkowo, szukając escalade, i zobaczyłam je kilka witryn sklepowych dalej. Erie i Henry czytali jakieś gazety. Wyciągnęłam rękę, żeby machnąć w ich stronę, ale Arthur chwycił mnie za ramię i wykręcił je do tyłu, popychając mnie do tylnych drzwi auta. Otworzył je, wepchnął mnie do środka, wskoczył za mną i samochód ruszył z piskiem opon.

Wcisnęłam guzik do otwierania szyb, ale to nic nie dało. Auto musiało mieć centralny zamek.

- Pomocy! - krzyknęłam do kierowcy. - On chce mnie porwać!

Mężczyzna nawet nie drgnął.

Odwrociłam głowę w stronę restauracji i w tym momencie dwie postaci wypadły na chodnik. Jedną z nich był Julian.

- Julian! - wrzasnęłam, zdając sobie sprawę, że nie może mnie słyszeć.

Rozglądał się gorączkowo po ulicy. W końcu zobaczył nasz samochód i rzucił się za nim biegiem. Jego nogi pracowały jak tłoki. Nieskazitelnie biała koszula rozpięta się, ukazując jego pierś. Zrozpaczona sięgnęłam do klamki, ale drzwi były zamknięte, a na moją rękę opadła pięść Arthura.

- Uspokój się - powiedział zimnym, twardym głosem. - Nic ci się nie stanie, jeśli nie zrobisz nic głupiego. Masz na to moje słowo.

- Twoje słowo? - Odwróciłam się do tylnej szyby i zobaczyłam, że Julian zrezygnował z gonienia nas i wracał teraz do escalade.

Skręciliśmy za róg, w Park Avenue, i za sprawą jakiegoś kosmicznego pecha światła zmieniły się właśnie na zielone - jak okiem sięgnąć, aż do Sto Dwudziestej Piątej i dalej.

Mknęliśmy równym tempem po Park Avenue, mijając kolejne skrzyżowania, nim światła znów zmieniły się na czerwone na Dziewięćdziesiątej Trzeciej. Próbowałam myśleć racjonalnie. Arthur był w oczywisty sposób chory, przybity, ale nie był mordercą. Postanowiłam go przekonać. Przemówić mu do rozsądku.

- Arthur - zaczęłam. - Rozumiem, naprawdę. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jakie to było dla ciebie trudne stracić siostrę. Była o wiele lepszą kobietą niż ja. Gdy widzę, co osiągnęła, kim była... - Pokręciłam kajdankami na moim prawym nadgarstku. - Oczywiście, że jesteś wytracony z równowagi. To naturalne.

- Kochał ją - powiedział Arthur. - Nie rozumiesz. Kochał ją. Byli dla siebie stworzeni. Powinnaś ich była widzieć razem. To by była para stulecia.

Każde słowo, jakie wypowiadał, wdzierało się do mojego mózgu, wywołując pełną skalę bólu.

- Oczywiście - potwierdziłam. - Oczywiście.

Spraw, żeby mówił. Rozkojarz go.

Samochód zamruczał niespokojnie, gotów znów się zerwać.

- Nie chcę być dla ciebie okrutny. Jesteś miłą dziewczyną. I ładną, na swój sposób. Ale Flora! Wszyscy ją ubóstwialiśmy. Julian, Geoffrey i ja.

- Wiem. Julian... - przełknęłam ślinę - ...mówi o niej tak ciepło, z takim żalem.

Spraw, żeby był zadowolony. Po prostu zrób to.

- Tak bardzo ją kochał - powiedział Arthur smutno.
- I ona go kochała, oczywiście. Jak mogłoby być inaczej, jest przecież pięknym mężczyzną. Jego charakter, jego szlachetna dusza. Jego nieskazitelna czystość. Niczym gwiazda, która świeci nad nami wszystkimi. Nie ma drugiego takiego człowieka na świecie. Nie ma już honoru,

przyzwoitości, wierności. Jak strasznie żałuję, że w ogóle tutaj przybyliśmy... Jak bardzo żałuję...

- Kochasz go - zauważyłam niemal niesłyszalnie, odwracając głowę, by przyjrzeć się wyrazowi jego twarzy.

- Kochasz go, prawda?

- Oczywiście, że tak. A któż go nie kocha?

- To znaczy, ty jesteś w nim zakochany. Prawda?

Gwałtownie odwrócił głowę w moją stronę. Złudna nieć porozumienia prysła.

- Zakochany w nim?! Zakochany?! Ty brudna kobieto o pospolitym, wulgarnym umyśle! Kochałem go, ale miłością szlachetną, dla ciebie tak obcą jak czasy, w których żyliśmy. I jego miłość do niej! Pomyśleć tylko, że zniesławi ją, zdradzi z powodu tej nikczemnej cielesnej pasji, jaką czuje do ciebie! Zdeprawowałaś go!

- Jesteś poważnie chory - powiedziałam.

Reflektory przejeżdżającej taksówki na chwilę oświetliły jego twarz i w mojej głowie coś zaskoczyło.

- Ty. To ty mnie śledziłeś. Tamtego wieczoru w Starbucksie. Nic dziwnego, że Julian cię...

Fala światła zmieniła się na żółtą i poczułam, jak samochód szykuje się do skoku, gotów ruszyć na zielonym. Za nami powietrze przeciął pisk opon. Oboje się odwróciliśmy i zobaczyliśmy lśniący ciemny samochód objeżdżający wysepkę na skrzyżowaniu z Dziewięćdziesiątą Drugą. Maserati Juliana.

Światło się zmieniło i kierowca Arthura wcisnął pedał gazu, wbijając nas oboje w siedzenia. Szarpnęłam za mój pas i zapięłam go. Nie rób tego, bezgłośnie błagałam Juliana. Nie ścigaj nas. Po prostu zadzwoń na policję. Nie ryzykuj życia. Proszę. Proszę.

Nasz samochód był szybki, ale maserati było stworzone do pędu. Zanim dojechaliśmy do następnego skrzyżowania, już jechało obok nas, wrywając do przodu i próbując nas zmusić, byśmy stanęli. Zobaczyłam, że w środku są dwie osoby. Kto z nim był? Pasażer obejrzał się na nas. W mroku nie byłam w stanie dostrzec jego twarzy. Pochyliłam się do przodu, przyciskając twarz do szyby. Moje okno zaczęło się opuszczać i poczułam na skórze chłodne powietrze. A potem coś zimnego i twardego wcisnęło się w moją prawą skroń, sprawiając, że zamarłam. Maserati natychmiast zwolniło, zostając za nami w niewielkiej, lecz stosownej odległości. Spróbowałam się obrócić i spojrzeć, choć na chwilę zobaczyć twarz Juliana, ale Arthur warknął:

- Nie ruszaj się. Po prostu siedź.

Nie trzęś się. Rozluźnij się. Nie panikuj. Pomyśl o czymś pięknym. Pomyśl, że Julian cię przytula, myśl o jego ramionach, twarzy, zapachu, jego pocałunkach. Wszystko będzie dobrze. Nie umrzesz. Nie mieliśmy jeszcze nawet naszej nocy poślubnej. Nie możesz umrzeć bez tego.

Skręciliśmy w prawo, w Dziewięćdziesiątą Szóstą. Zastanawiałam się, czy Julian wciąż za nami jedzie.

Musimy jechać na autostradę Franklina D. Roosevelta, pomyślałam. W tym kierunku nie było nic innego.

Ale nie jechaliśmy na autostradę. Zatrzymaliśmy się między Pierwszą a Drugą Aleją. Arthur wyciągnął mnie z samochodu i zawłókł na ganek jakiejś zwykłej kamienicy czynszowej. Wcisnął guzik na tablicy przy drzwiach. Ktoś musiał na niego czekać, bo natychmiast rozległo się brzęczenie i wpadł przez drzwi, wlokąc mnie za sobą dokładnie w chwili, gdy krzyk za naszymi plecami uświadomił mi, że Julian i jego towarzysz wyskoczyli już z maserati i biegli za nami do budynku. Złapali drzwi na ułamek sekundy, zanim się zamknęły, i usłyszałam, że podążają pustym obskurnym korytarzem.

Arthur włókł mnie po schodach. Powłóczyłam nogami, spowalniając go, i próbowałam się obejrzeć. Na pierwszym półpiętrze szarpnięciem postawił mnie na nogi, odwrócił do siebie i mocno wcisnął pistolet w moją skroń.

Geoff. To Geoff był z Julianem. Obaj zamarli wpatrzeni w nas.

Próbowałam zapanować nad twarzą. Nie chciałam, żeby Julian spanikował i zrobił coś głupiego. Jego oczy utkwione były we mnie, rozpalone emocjami. Nic mi nie jest, poruszyłam bezgłośnie ustami. Nic mi nie jest. Lekko poruszył głową - może to było kiwnięcie - i spojrzał na Arthura.

- Odłóż broń, Arthur - powiedział łagodnie. - Nic do niej nie masz. To nie jej wina, tylko moja.

- Nieee! - zaskrzeczałam.

- Cicho, Kate - rzucił. - Odłóż broń, Arthur. Puść ją. Wszyscy usiądziemy i porozmawiamy. To jasne, że jesteś zdenerwowany. Oczywiście. Po prostu ją puść.

- Pozornie od niechcienia postawił stopę na kolejnym schodku.

- Stój - warknął Arthur. - Zastrzele ją.

Julian zamarł.

- Masz rację - podjął Arthur. - To nie jej wina. Ona nie знаła mojej siostry. Ona jej nie zdradziła. Nie zdradziła każdej z zasad, które kiedyś były nam tak drogie.

- Nie, to prawda - odparł Julian. - A więc ją puść. Puść ją, a ja pójdę z tobą. Wyjaśnimy to wszystko.

- Nie! - wtrąciłam ostro. - Julian, nie! Nie idź z nim.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Julian i Arthur wpatrywali się w siebie jak psy, które za chwilę rzucają się do walki. Geoff stał cichy, obojętny. Przypadkowy obserwator. Zrób coś, pomyślałam. To twoi przyjaciele, na miłość boską.

- Puść ją - powtórzył Julian łagodnym, przekonującym tonem, któremu nigdy nie potrafiłam się oprzeć.

- Ja z tobą pójdę. Z własnej woli. Nie będę sprawiał kłopotów.

- Julian, nie - wyszeptałam. - Nie bądź idiotą.

Na klatce schodowej zapadła martwa cisza. Usłyszałam jakieś uderzenia na górze, potem kolejne. Od ścian odbił się słaby, niespokojny płacz jakiegoś dziecka. Niech

ktoś przyjdzie, pomyślałam udręczona. Niech ktoś to usłyszy, zobaczy, wezwie policję.

- Doskonale - powiedział Arthur nagle. - Dajesz mi słowo honoru?

- Słowo honoru. - Ramiona Juliana się rozluźniły.
- Puść ją, nie rób jej krzywdy, a pójdę z tobą, gdziekolwiek chcesz. Możemy to wszystko załatwić.

Arthur wykonał niecierpliwy ruch ręką.

- Poproszę twoją broń. Powoli.

- On nie ma broni - powiedziałam ze złością.

Julian zdawał się mnie nie słyszeć. Patrzył tylko przez kilka sekund na Arthura, ponuro i uważnie, ze zmrużonymi oczami, a potem, nie zmieniając wyrazu twarzy, rozpiął marynarkę i sięgnął pod nią. Gdy jego dłoń znów się pojawiła, trzymał w niej niewielki ciemny przedmiot, na którym załśniło matowo światło żarówki palącej się na korytarzu. Zaczął iść w naszą stronę po schodach.

- O mój Boże! Miałeś przy sobie broń? - spytałam.

Nie odpowiedział, nawet na mnie nie spojrział. Jego wzrok wciąż był utkwiony w twarzy Arthura.

- Powoli - powtórzył Arthur. - Dałeś słowo honoru, pamiętaj.

Julian zatrzymał się dwa stopnie niżej. Jego twarz była jak doskonała maska, ale widziałam miarowe opadanie i unoszenie się jego piersi, trochę szybsze niż zwykle, i przyspieszony puls na jego szyi. Położył broń na lewej

dłoni Arthura, a potem cofnął się o trzy stopnie, z opóźnieniem, czujnie zostawiając jedną stopę na wyższym schodku.

Arthur wsunął jego dłoń do lewej kieszeni i spojrzał na Geoffa.

- No i jak, Geoffrey? - spytał szorstko. - Pomożesz mi?

A wtedy Geoff, ten Judasz, ten brudny, zdradliwy kundel, wszedł po schodach, mijając Juliana, i wziął mnie za ramię.

- Chodź ze mną, wyprowadzę cię na zewnątrz.

- Ty sukinsynu - wysyczałam. - Jak możesz mu to zrobić?

Spojrzał na mnie zimno i nie odpowiedział, tylko pociągnął mnie w dół. Wierznęłam dziko, próbując uwolnić się z jego uchwytu, ale jego ręce tylko mocniej zacisnęły się na moich i praktycznie zaczął mnie nieść.

- Julian, nie! - zawołałam, gdy mijaliśmy go. - To jakiś absurd! On cię zabije! To świr!

Spojrzał na mnie. Dotknął ręką mojego policzka.

- Zaufaj mi, Kate. Idź do domu. Czekaj na mnie. Obiecuj, że będziesz czekać. Wrócę, przysięgam. Obiecuj, że będziesz czekać. Nigdzie nie wychodź.

- On cię zabije!

Geoff zaciągnął mnie już na sam dół schodów jak siłacz z jakiegoś głupiego filmu akcji.

- On jest szalony, Julianie!

Arthur powiedział coś do Juliana, a ten kiwnął głową i się odwrócił. Zaczął schodzić, a Arthur ruszył za nim z opuszczoną bronią.

- Gdzie go zabierasz?

- Tam, gdzie powinien być przez cały czas - mruknął Arthur.

Julian, mijając mnie, nawet na mnie nie spojrział. Geoff, szarpiąc mnie, ruszył za nimi. Wyszliśmy na chodnik. Obok przejeżdżały samochody, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. Bądź co bądź to był Nowy Jork. Cały czas działy się tu jakieś dziwne rzeczy. Ludzie po prostu udawali, że tego nie widzą.

Arthur z jakąś dziwną serdecznością otworzył tylne drzwi samochodu i nakazał Julianowi, żeby wsiadł. Mój mąż zrobił to i wtedy jakby sobie o mnie przypomniał. Obejrzał się przez ramię i spojrział na mnie uważnie. Arthur zrobił to samo i zaraz zatrzasnął drzwi.

Odwróciłam się do Geoffa.

- Ty dupku! Ty cholerny dupku! Ja go kocham!

- Nie tak bardzo, jak on kocha ciebie - mruknął ze złością. - Bilet do domu - dodał ostrym szepcetem, a potem mnie puścił tak nagle, że upadłam na kolana.

Ruszył chodnikiem do samochodu Arthura, otworzył przednie drzwi od strony pasażera i wskoczył do środka. Auto ruszyło i coś poleciało w moją stronę z okna, przy którym siedział Geoff.

Patrzyłam za nim w odrętwieniu, nie do końca wierząc w to, co się stało. Potem spojrzałam na chodnik, by sprawdzić, co mi rzucił. To były kluczyki do samochodu. Do maserati.

Rozdział 26

Przez chwilę się zastanawiałam, czy nie jechać za nimi. Sedan Arthura nie mógł się przecież równać z samochodem Juliana. Ale ich tylne światła zginęły mi już w ruchu ulicznym, a na Manhattanie aż roiło się od czarnych sedanów, wożących po mieście wpływowych ludzi. A poza tym, co wiedziałam o pościgach samochodowych? Zgubiłabym się gdzieś w południowym Bronksie w sportowym samochodzie wartym setki tysięcy dolarów i na co bym się wtedy przydała?

„Zaufaj mi”, powiedział Julian. „Idź do domu. Czekaj na mnie”.

Pochyliłam się, by podnieść kluczyki. Palce mi zdrętwiały. Całe moje ciało było na granicy szoku. Co się tak właściwie stało? Czy to był jakiś sen? Dopiero co wyszłam za mąż. To był najszczęśliwszy dzień mojego życia. Julian całował te usta, te palce. Mieliśmy wyjechać na nasz miodowy miesiąc. A teraz Juliana nie było.

Odjechał czarnym sedanem z człowiekiem, który najprawdopodobniej chciał go zabić.

Ogarnęły mnie mdłości. Ochronnym gestem położyłam rękę na brzuchu. Nasze dziecko. Dziecko Juliana. Przeszłam na stronę kierowcy, wsiadłam i uruchomiłam silnik. Siedzenie - o mój Boże! - wciąż było ciepłe. Ciepło Juliana.

Wcisnęłam sprzęgło, wrzuciłam bieg i wtopiłam się w ruch. Minęłam Pierwszą Aleję, wiodącą na przedmieścia, a potem skręciłam w York. Jechałam, nie myśląc, zatrzymując się automatycznie na czerwonym świetle. Mój mózg się po prostu wyłączył. Odcinał się od wszystkiego.

Gdy minęłam Siedemdziesiątą, moje ręce zaczęły się trząść. Zjechałam na pobocze. „Zaufaj mi. Zaufaj mi. Idź do domu. Czekaj na mnie”.

Julian, nie mogę. Nie mogę po prostu czekać. Jak długo? A co, jeśli nigdy nie wrócisz? Drzenie się nasiliło, obejmując teraz ramiona i tułów.

Dobra, myśl. Zachowaj spokój. Przestań panikować. Zastanów się. Każdy problem ma jakieś rozwiązanie. Kto mógłby wiedzieć, dokąd pojechali?

Odpowiedź pojawiła się szybko: Hollander. Najlepszy ekspert od Juliana Ashforda.

Zjechałam z pobocza i ruszyłam dalej, mijając kolejne aleje, aż do Park Avenue, prosto na ulicę, gdzie stał dom Juliana, prosto do jego garażu. Zostawiłam kluczyki w stacyjce, by parkingowy mógł odstawić samochód, i szybko ruszyłam do domu. Do naszego domu.

Erie stał na schodach z komórką przyklejoną do ucha. Gdy zobaczył mnie, natychmiast się rozłączył, podszedł i chwycił mnie za ramiona.

- Pani Laurence! Co się stało?

- Wszystko w porządku - powiedziałam pogodnie.

- Pan Haverton rozchorował się tam na dole. Pomagałam mu po prostu wrócić do mieszkania. Tak mi przykro, że wszyscy się martwiliście. Czy wszyscy są w środku?

Zmrużył oczy.

- Gdzie jest pan Laurence?

- Pan Laurence doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli zabierze go na izbę przyjęć. Są tam teraz.

Kłamstwa gładko płynęły z moich ust. Jedną rzecz wiedziałam na pewno: nie mogłam nikomu powiedzieć o tym, co się wydarzyło, z wyjątkiem Hollandera. Przy- najmniej na razie. Bo co by się stało, gdyby wszyscy poznali prawdę?

Erie wiedział, że kłamię. Widziałam to po jego minie. Pewnie uczyli ich takich rzeczy w szkole dla ochroniarzy. Kiwnął jednak tylko głową i otworzył mi drzwi.

- Wszyscy są w środku - powiedział. - Będę tu czekał.

- Dziękuję, Ericu. Dam ci znać, jeśli będziemy cię potrzebować.

- Proszę tak zrobić, pani L.

Salon był pełen naszych gości i gdy weszłam, wszyscy podnieśli głowy.

- Kochanie! - zawołała moja mama, podbiegając do mnie. - Co się stało? Julian i Geoff po prostu wstali i wybiegli, a potem...

- Och, wszystko w porządku! - zapewniłam. - Tak mi przykro, że się martwiliście. Arthur strasznie się pochorował w drodze do łazienki. Zaczął wymiotować krwią i w ogóle. Coś strasznego! Jak w odcinku „Doktora House'a”. A więc zamiast czekać na karetkę, po prostu wskoczyłam do samochodu, zawiozłam go do Lenox Hill i zadzwoniłam po Juliana. Oczywiście się wystraszył. - Roześmiałam się. - Tak czy inaczej, teraz wszyscy tam są i czekają, aż obejrzy go lekarz. Totalny dramat!

- O rety! - powiedział Paulson.

- Ojej - rzuciła mama, przyglądając się mi. - Spóźnicie się na samolot?

- Nie, mam. To prywatny odrzutowiec, poczekają. Nie możemy po prostu wyjechać na miesiąc miodowy, kiedy biedny Arthur... - Głos mi się załamał, chociaż wcale nie udawałam.

- Wow! - odezwał się Charlie. - Szkoda, że tego nie widziałem. Wymiotował krwią! Rany! Mam nadzieję, że nic mu nie jest.

- No tak. To się najwyraźniej zdarza częściej, niż myślisz. Ma chory żołądek. - Ziewnęłam.

- Chcesz, żebyśmy zostali z tobą, kochanie? - spytała mama.

- Zostali ze mną? A nie zatrzymujecie się tutaj?

- Nie, dziś wieczorem wracamy - odparł ojciec. - Jutro idę do pracy.

- Och, oczywiście. Przepraszam. Zupełnie zapomniałam, że jest poniedziałek.

Mój brat prychnął.

- No tak. Cóż, nie wszyscy mamy mężów miliarderów.

Dzielnie przewróciłam oczami, niezdolna sformułować żadnej odpowiedzi.

- W takim razie będziemy się zbierać, kochanie - powiedziała mama. - Jeszcze raz gratuluję. Jesteśmy tacy szczęśliwi. I jak tylko wrócisz po miesiącu miodowym, zamierzam ci zaplanować prawdziwe wesele. W domu, w Wisconsin. Już nie mogę się doczekać, żeby pochwalić się tym moim zięciem. - Pochyliła się i objęła mnie.

- Tak. - Stłumiłam łzy, przytulając ją. - Założę się, że on też nie może się doczekać, byś się nim pochwaliła.

Wszyscy mijali mnie, ściskając, żegnając się i gratulując, i jakimś sposobem udało mi się panować nad sobą.

- Wszystko w porządku, pani L.? - spytał Andrew Paulson, pochylając się, by pocałować mnie w policzek.

- Niezupełnie - odparłam cichym szeptem, uśmiechając się przy tym promiennie. - Ale na pewno wszystko się jakoś ułoży.

- Oczywiście. Rozumie się. Jeśli będzie pani czegoś potrzebować... - Uścisnął moją dłoń.

- Naturalnie. Wiem. Dziękuję.

Doktor Hollander podszedł do mnie ostatni, prawdopodobnie umyślnie. Przez cały czas bardzo uważnie mnie obserwował. Ujął mnie za rękę.

- Moja droga - zaczął.

- Proszę poczekać - syknęłam. - Niech pan jeszcze nie idzie.

Przeszłam do przedpokoju i pomachałam na pożegnanie Charliemu i Michelle, którzy śmiali się z czegoś, wychodząc.

- Do widzenia! - zawołałam. - Napiszę wam maila!

- Tak, tak! - zarechotał Charlie. - Zupełnie jakbyś miała, kurwa, czas na maile!

Drzwi zamknęły się za nimi.

Odwróciłam się do Hollandera.

- Musi mi pan pomóc - powiedziałam i w końcu wybuchłam płaczem.

Łkanie nie trwało długo. Zebrałam się w sobie, widząc panikę na twarzy Hollandera. Przypomniałam sobie, że Erie stoi tuż za drzwiami, i szybko otarłam łzy pięściami.

- Proszę ze mną do biblioteki - wydusiłam z siebie, biorąc profesora za rękę i ciągnąc go za sobą.

- O co chodzi? Co się stało?

- Mają go. Geoff i Arthur. Zabrali Juliana. Ja byłam tylko przynętą, żeby go wyciągnąć i zmusić, by z nimi

poszedł. Oni mieli broń, profesorze! Zabijają go! Musi mi pan pomóc!

Puścił moją dłoń i zatrzymał się w środku dywanika.

- Porwali go? Porwali Juliana?

- Tak! - powiedziała udreńczonym głosem. - Zabrali go czarnym sedanem w stronę autostrady! Dokąd go wiozą? Co się dzieje?

Hollander powoli opuścił swoje ogromne ciało na sofę. W jego niebieskich oczach malowało się zaskoczenie. Ukrył twarz w dłoniach.

- To moja wina - wyszeptał. - Nie mogłem tego tak po prostu zostawić. O, mój Boże! Co ja zrobiłem!

- O co panu chodzi? Gdzie go zabrali?

Spojrzał na mnie.

- Chodzi o pannę Hamilton? O to w tym wszystkim chodzi?

- Tak - odparłam, przemierzając pokój, by wyrzeć na mały ogród za domem. - Ale nie tylko. Arthur oszalał. Jakby tliło się to w nim przez wszystkie te lata, a ten ślub po prostu... I Geoff z nim poszedł... O, mój Boże! Może już go zabili! Wrzucili jego ciało do rzeki!

Podskoczyłam na myśl o twarzy Juliana, zimnej, nieruchomej i zakrwawionej, kołyszającej się w rzece. Martwej.

- Proszę się uspokoić! - powiedział Hollander ostro. - Nie zabili go, jestem tego pewien. Byli najlepszymi przyjaciółmi. Są przyjaciółmi. Nie ma mowy o żadnym zabijaniu.

- Skąd pan to wie? On oszalał, profesorze. Oszalał! Mówił o plugawej żądzy i... - Pokręciłam głową. - On kocha Juliana, profesorze. Może nawet jest w nim zakochany, nie wiem. Nie jestem nawet pewna, czy on sam o tym wie.

Hollander wstał i niecierpliwie machnął ręką.

- Nie, nie. Błędnie to pani interpretuje. Projektuje pani na niego swoje współczesne idee. Sentymentalna konwencja tamtych czasów zachęcała do serdecznej, nawet płomiennej przyjaźni. Oczywiście, że kocha Juliana. Ubóstwia go. Z pewnością nie zasugerowała mu pani...

- Obawiam się, że tak. Ale to i tak nie zrobiłoby żadnej różnicy. On po prostu nienawidzi nowoczesnego świata, ludzi, którzy w nim żyją. Wydaje mi się, że wcześniej żył jakby życiem Flory, pławiąc się w uczuciach Juliana do niej, i teraz czuje się tak, jakby to jego Julian odrzucił. - Pomyślałam o wyrazie twarzy Arthura na schodach, o lodowatej nienawiści w jego oczach. - Myślę, że pragnie jego śmierci.

Hollander spojrział na mnie lekceważąco.

- Albo własnej. Zakładam, że zdaje sobie pani sprawę, iż Arthur Hamilton wkrótce po zaginięciu Juliana poprosił o przeniesienie do jednostki frontowej. To było jakby samobójstwo.

- Ale co to oznacza? Spróbuje dokończyć to, co zaczął? Zmusić Juliana, żeby patrzył? I czemu Geoff miałby brać w tym udział?

Hollander przyłożył palce do skroni i zaczął je masować, przemierzając w tę i z powrotem pokój.

- Nie jestem pewien. Nie jestem pewien. Dokąd mogłby ich zabrać? Dokąd mogliby pojechać? - Przystanął i obrócił się do mnie. - Samolot. Na wasz miesiąc miodowy.

- O mój Boże! - podskoczyłam. - Ale nie wiem, dokąd miał lecieć. Nie wiem nawet, z którego lotniska. Nie, chwileczkę! - Zastanowiłam się. - Prawdopodobnie Teterboro, prawda? To stamtąd startują wszystkie prywatne samoloty. Albo Westchester. Mogę przecież zadzwonić do Netjets, prawda? Jestem jego żoną, powiedzą mi. - Podeszłam do biurka Juliana. - Na pewno to Allegra wszystko załatwiła, ale może Julian ma tu chociaż informacje o koncie. - Zaczęłam wysuwać szuflady, szukając czegoś, czegokolwiek.

- Proszę spróbować na komputerze.

- Dobry pomysł.

Sięgnęłam po laptopa Juliana i uruchomiłam go. Od razu poczułam się lepiej. Przynajmniej coś robiłam. Sporo wiedziałam o tym, jak coś robić, zająć się czymś, żeby nie wpaść w panikę. Tylko jedno drobne zadanie na raz. Skupić się.

MacBook Juliana odpalił w cztery sekundy, a potem poprosił mnie o hasło. Wiedziałam, gdzie Julian je trzyma. Pokazał mi to już dawno na wypadek, gdybym czegoś potrzebowała. Podeszłam do regału i znalazłam

podniszczony egzemplarz *Security Analysis* Grahama i Dodda. Odchyliłam tylne skrzydełko. Pod nim schowana była lista haseł, jedno na każdy miesiąc.

MacBook wydał odgłos zadowolenia i ukazał mi pulpit. Julian utrzymywał na nim porządek, nie było tu żadnych luźnych plików. Kliknęłam ikonę poczty i bez najmniejszych wyrzutów sumienia wpisałam w okno wyszukiwania „Netjets”.

Bingo! On lub Allegra dokonali rezerwacji wczoraj wieczorem. Widziałam przed sobą potwierdzenie, numer konta, kod lotu i wszystkie szczegóły. Start z lotniska Teterboro, planowany czas odlotu: dwudziesta druga. Zerknęłam na zegarek. Dziesiąta piętnaście. Gdzie mój telefon?

- Cholera! - powiedziałam, odwracając się do Hol-landera. - Czy ktoś przywiózł z restauracji moją torebkę?

- Pani torebkę? - Powiedział to tak, jakby nigdy w życiu nie słyszał tego słowa.

- Oczywiście. Spytam Erica.

Wstałam i ruszyłam przez salon, ale zanim dotarłam do drzwi, zobaczyłam, że moja czarna satynowa torebka wisi na słupku poręczy przy schodach. Przynajmniej jedna rzecz jest tam, gdzie powinna.

Wyciągnęłam BlackBerry, biegiem wróciłam do biblioteki i wybrałam numer Netjets.

- Dzień dobry - przybrałam spokojny, profesjonalny ton. Podałam numer konta. - Tu biuro pana Laurence'a.

Chciałabym tylko sprawdzić, czy jego samolot odleciał punktualnie.

- Proszę chwilę poczekać - odpowiedział przyjazny kobiecy głos z obsługi klienta - głos kogoś, kto doskonale wiedział, ile klienci jego firmy bulą za loty tymi samolotami.

Zaczęłam stukać palcami w biurko, czekając i obserwując Hollandera. On również na mnie patrzył, bez mrugnięcia, i marszczył czoło zaniepokojony. Spróbowałam się do niego uśmiechnąć. Czułam się trochę lepiej. Teraz przynajmniej coś robiłam. Szukałam mojego męża.

Znów usłyszałam głos w słuchawce:

- Dziękuję, że zechciała pani poczekać. Tak, mam potwierdzenie wylotu. Samolot opuścił Teterboro o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt osiem.

Z ulgą wypuściłam powietrze z płuc. Ale zaraz pojawił się niepokój. Nie do końca byłam pewna, czy to dobra wiadomość, czy zła. Lecz dowiedziałam się przynajmniej, że dokąś go zabrali, a nie po prostu od razu zabili.

- Dziękuję. Ach tak, jeszcze jedno. Pan Laurence wspominał, że bierze pod uwagę zmianę miejsca docelowego tuż przed wylotem. Może pani potwierdzić, czy samolot poleciał do... - spojrzałam na ekran laptopa - Marrakeszu?

Prawie zakrztusiłam się na tym słowie. Nigdy bym się nie domyśliła, że mieliśmy spędzić miesiąc w Maroko.

- Proszę chwilę poczekać.

W słuchawce rozległa się muzyka. Zagryzłam mocno wargę, próbując nie wyobrażać sobie lotu nad Atlantykiem w prywatnym samolocie z Julianem. Na szczęście kobiecy głos litościwie odezwał się, zanim coś we mnie pękło.

- Dziękuję, że zechciała pani poczekać. Nie, według ostatecznego planu lotu miejsce docelowe zostało zmienione na lotnisko w Manchesterze, w Anglii.

- Manchester. Anglia. Tak myślałam. Bardzo dziękuję.

Rozłączyłam się i spojrzałam na Hollandera.

- No i? Manchester?

- Southfield - powiedział, wbijając wzrok w podłogę.

- Wiozą go do Southfield.

- Chodzi panu o rodzinną posiadłość Juliana?

Znów spojrzał na mnie i bezsilnie wrzucił ramionami.

- Nie może chodzić o żadne inne miejsce.

- Ale dlaczego Southfield? Co to ma wspólnego z Florence Hamilton?

Przysiadł na krawędzi biurka i skrzyżował ręce na piersi.

- Gdyby przeczytała pani moją książkę - powiedział oschłym, profesorskim tonem - wiedziałyby pani, że w swej ostatniej woli prosiła o zaszczyt bycia pochowaną w posiadłości Southfield. Przyjaźniła się z tamtejszymi

dziedzicami, a oni przychyliłi się do jej życzenia. Nie odmawia się Florence Hamilton, nawet po śmierci.

- Co za tupet! Julian musiał być wściekły, kiedy się dowiedział.

- Tak. Dla mnie to była największa niespodzianka. Dowiedzieć się prawdy o romansie z Hamilton. Widzi pani, tak doskonale skonstruowała swą relację...

- No tak, dobra. Ale dlaczego Arthur i Geoff mieliby tam zabrać Juliana? Nie sądzi pan chyba... - Poczulałam w sercu nagły chłód. - Nie sądzi pan, że chcą go zabić i pochować obok niej...?

Oczy Hollandera się rozszerzyły. Odskokczył od biurka.

- Na pewno nie. Być może Arthurowi pomieszało się w głowie, ale Geoff jest absolutnie zdrowy.

- No tak, cóż... Nienawidzi mnie - stwierdziłam.

- Ale nie Juliana.

- Kochał Florence?

- Możliwe - przyznał. - Nigdy mi się nie udało tego ustalić. Przetrwiał pewien list, który zawiera wskazówki, że być może z sobą flirtowali. Ale moje ogólne wrażenie...

- Mniejsza z tym - machnęłam ręką. - Musimy tam lecieć. Musimy powstrzymać to, co dla niego zaplanowali. Bo cokolwiek to jest, nie może być dobre.

- Powstrzymać ich? Jak?

- No nie wiem... Zadzwoń na policję! Dostać się tam! No, wie pan, powstrzymać!

Hollander się odchylił i przyłożył ręce do czoła.

- Nie, nie! Żadnej policji. Proszę pomyśleć, co by się stało. Niech się pani zastanowi!

- Niech pan posłucha - odparłam ostro. - Wiem tylko, że mój mąż, mężczyzna, którego kocham, został zabrany na czyjś grób przez dwóch uzbrojonych facetów. I zamierzam spróbować ich powstrzymać, do diabła!

- Jak? Musielibyśmy zdążyć tam na czas. Nie ma aż tak wielu lotów do Manchesteru, a i tak jesteśmy już na wszystkie spóźnieni. Zanim tam dotrzemy, będzie już po wszystkim.

- Nie! - krzyknęłam, uderzając pięścią w biurko.
- Nie zaakceptuję tego! Nie mogę po prostu siedzieć i liczyć na to, że urządzi sobie tylko pogaduszki! Nie mogę uznać, że Julian sam wymyśli, jak się uratować. Jest ich dwóch na jednego, na litość boską!

Nie panikuj, nie panikuj. Myśl.

- Musielibyśmy polecieć prywatnym samolotem - stwierdził Hollander. - A i tak nie zdążymy. Wszystko się zawaliło. To wszystko moja wina.

- Niech pan przestanie. Proszę mi nie mówić, czego nie da się zrobić! Niech mi pan powie, jak to można zrobić.

„Zaufaj mi. Idź do domu. Czekaj na mnie”. Ale nie mogłam po prostu na niego czekać. Czekać, aż go zabiją? Czekać, aż moje życie się skończy? Przycisnęłam dłoń do brzucha. Poczułam nagły przypływ energii.

Prywatny samolot. Żaden problem. Byłam przecież teraz miliarderką, zgadza się? Czy mogłam skorzystać z konta Juliana w Netjets? Czy przyjęliby kolejną rezerwację, skoro Julian znajdował się w powietrzu? Jak to wszystko mieli zorganizowane? Czy zgodziliby się, żeby jego żona poleciała innym samolotem na to samo konto? Ale chwileczkę. Nie musiałam przecież tego robić. Prawda?

- Proszę poczekać - powiedziałam do Hollandera, wypadłam z biblioteki i wbiegłam po schodach do małego gabinetu na drugim piętrze.

Dwa tygodnie temu przywieziono tu rzeczy z mojego mieszkania i teraz leżały w schludnych białych pudłach do przeprowadzek opisane czarnym markerem. Ubrania. Buty. Pościel. Ręczniki. Zdjęcia. Dokumenty... Rozewałam pudło zawierające dokumenty. Gdzie ona mogła być? Wrzuciłam tamtą kopertę do jakiejś przypadkowej teczki. Nie wiedziałam, co innego mogłabym z nią zrobić. Bądź co bądź nigdy nie planowałam jej wykorzystać.

Znalazłam czerwoną teczkę z napisem „Różne”. Wyciągnęłam ją i otworzyłam. Natychmiast zobaczyłam kopertę: tę, którą Julian dał mi pierwszego wieczoru po imprezie charytatywnej w Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

W środku była Marquis JetCard.

Amiens

Później przez długi czas leżeliśmy w milczeniu. Pomyslałam, że może zasypiam, ale koniuszki jego palców wciąż pieściły moje ramię, przyjemnie drażniąc skórę. Niemal mi przeszkadzało, że ten wcześniejszy Julian ma te same gesty i jest tak samo czuły jak ten, którego znałam. Dwa odrębne obrazy w mojej głowie zaczęły się stapiać.

- Julian - powiedziałam w końcu. - Byłam idiotką, prawda?

Jego palce zatrzymały się tuż nad moim łokciem.

- Och, Kate, czy ja... Mój Boże, mam nadzieję...

- Nie, nie! Nie o to chodzi. To było piękne, cudowne.

- Odetchnęłam i roześmiałam się. - Julian, nigdy nie mogłabym tego żałować. Nie, chodzi o tę całą... misję. Przez cały ten czas próbowałam cię przekonać, żebyś nie szedł na patrol. Nie przenosił się w moje czasy. Ale to przecież dla ciebie najbezpieczniejsze miejsce, prawda?

- Lecz tam mnie zabiją. Sama tak powiedziałaś.

- Równie dobrze mogą cię zabić tutaj. I to znacznie szybciej. A więc to, co powinnam naprawdę zrobić, już na samym początku, gdybym porządnie się nad tym zastanowiła... gdybym nie była taką egoistką, pragnąc zatrzymać cię przy sobie... to pozwolić ci pójść. I wszystko ci powiedzieć. - Przetoczyłam się i położyłam ręce na jego piersi. - Opowiem ci, co zrobić, żeby cię nie zabili.

- Nie! Nie, Kate.

- Nie? Ale to łatwe, Julianie. Mogę ci dokładnie powiedzieć, jak działa to przenoszenie się w czasie, żebyś wiedział...

- Cicho, kochanie. Nie mogę zostawić moich towarzyszy. Mojej rodziny, domu. Ciebie.

Wbiłam palce w jego skórę.

- Proszę, po prostu posłuchaj! Mogę cię uratować!

- Kate, moja ty urocza gąsko, zaufaj mi trochę.

- Położył dłonie na moich, przyciskając je do siebie, i uśmiechnął się do mnie pewny swego. - Dobrze zrobiłaś, przybywając tu, żeby mnie ostrzec. Poprowadzę patrol inną trasą. Wyruszę o innej porze, uniknę tego twojego magicznego okna podróży w czasie. Nie zostawię cię tu samej.

Przyglądałam mu się uważnie.

- Jesteś taki pewien siebie, co? Nieomylny Julian. Tak przekonany, że robisz to, co słuszne. Że ze wszystkim sobie poradzisz.

- W tym przypadku poradzę sobie, Kate. Wiem o tym.
- Jego uśmiech stał się czuły. Uniósł dłoń, by musnąć mój policzek. - Zostawić cię tutaj samą, czekać całe lata, by znów cię zobaczyć? Nigdy bym tego nie zrobił.

- Julianie, jesteś jak... jak szczeniak, który dostał nową zabawkę. To poważna sprawa.

- Jestem absolutnie poważny. To ty się nie możesz zdecydować. Najpierw chcesz, żebym został, a teraz, żebym szedł.

- Próbuję po prostu ustalić, co jest najlepsze. Co jest w ogóle możliwe. - Zamilkłam, sfrustrowana. - Pozwól przynajmniej, żebym ci o tym opowiedziała na wypadek, gdybyś zmienił zdanie...

Dotknął palcem moich ust.

- Nie zmienię. Zaufaj mi, Kate.

- Julian, ty uparty ośle...

Pocałowałam go, wdychając jego zapach - w którym było też coś mi nieznanego, pewnie inne mydło - i jego pierś, teraz prawie nieowłosioną.

- To ufanie tobie wpakowało nas w ten bajzel.

Roześmiał się.

- Słodka Kate. Wiesz, że nie dasz rady mnie przekonać. Wiem, na czym polegają moje obowiązki i nie ugnę się przed twoimi błaganiami.

Zmarszczyłam brwi, gotowa zacząć się kłócić. I wtedy mdłości, które nigdy tak do końca nie znikwały, ogarnęły mnie jak ostrzegawcza fala.

Jak mogłam odesłać Juliana w przyszłość, z dala od jego dziecka, jedyne, co po nim zostanie? No i co stałoby się ze mną, z dzieckiem, które nosiłam, gdybym tego nie zrobiła? Czy *wtedy* by nie istniało? Różne koncepcje zaczęły krążyć mi po głowie, aż w końcu nie byłam w stanie ich od siebie odróżnić. Nic, co zrobię, nie naprawi tego wszystkiego. Za dużo ingerowałam. Działam w przerażeniu, jak tchórz, niezdolna żyć w świecie bez Juliana. I nie miałam nawet ochoty zastanowić się nad konsekwencjami swoich czynów.

- A co z przeniesieniem do sztabu? To o wiele bezpieczniejsze, prawda? I z twoimi koneksjami mógłbyś to załatwić.

- Do sztabu? Żartujesz sobie, Kate. Pozwolić, żeby inny oficer walczył za mnie?

Odwzajemniłam jego spojrzenie, a on wywrócił oczami.

- Och, Kate, naprawdę. - Przekręcił mnie na plecy i zawisł nade mną piękny jak archanioł w słabym świetle świecy. - Posłuchaj mnie, mój głuptasku - powiedział między pocałunkami. - Czy w tym naszym przyszłym życiu mówiłem ci kiedyś, że za dużo się martwisz?

- Julian, przestań. Naprawdę. Musisz mnie posłuchać... Musimy to rozgryźć, znaleźć najlepszą opcję...

- Przestań już mówić. Nie zmienię zdania. - Opuścił mój podbródek. Jego miękkie usta zwiedzały teraz moje ciało. - Moja kochana dziewczyno. Nie dość już

narobiłaś? Zaburzyłaś tajemnice wszechświata i co tam jeszcze... Odwieśmy na kołek nasze kapelusze do podróży w czasie, dobrze? Zgódź się na życie jako moja ukochana żona, jako pani Ashiord. Jak to niesamowicie pięknie brzmi, najdroższa... - pochylił się nad moimi piersiami - ...a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy... O Boże, kochanie, jesteś taka smakowita. Mógłbym delectować się tobą całą wieczność...

- Julian, bądź poważny!

- O co ci chodzi? Tak jak mówiłem, postaram się, żeby nic mnie w tym czasie nie trafiło. Wszystko się świetnie ułoży.

Zagłębiłam palce w jego włosach, ze zdumieniem stwierdzając, że były delikatniejsze i bardziej jedwabiste niż je pamiętałam. Przymknęłam oczy.

- Ty głuptasie. Dasz się zabić bez powodu i dobrze o tym wiesz. Próbujesz mnie tylko udobruchać, tak jak zawsze.

- Och, nie bądź taką pesymistką. - Wreszcie uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie szeroko. - Mogę po prostu zostać ranny. I otrzymać bilet do domu.

- No dobra. To zdobądź ten bilet. - Uśmiechnęłam się wbrew sobie. - Tylko żadnych ślicznych pielęgniarek.

- Nawet bym ich nie zauważył - zapewnił cnotliwie.

- Ha! Ale one cię zauważą.

- Mała zazdrośnica, co? - Pocałował mnie w czubek nosa.

- To niełatwe być żoną zabójczo przystojnego mężczyzny.

Odrzucił do tyłu głowę i się roześmiał.

- Co za słodkie bzdury! Jesteś cudowną żonką.

- Żonką? - jęknęłam. - Mój Boże, Julian, jesteś neandertalczykiem. Będę cię musiała wyszkolić.

Objął mnie.

- Nie wolno ci się martwić, Kate. To wszystko nie może być na nic. Litościwy Bóg by na to nie pozwolił.

- Mam nadzieję - odparłam, poddając się, bo naprawdę nie miałam wyboru. Krępowały mnie grube, moralne więzy, w które sama się zaplątałam. Jego ukochana twarz była zaledwie kilka centymetrów od mojej, złocista, pełna blasku i nieodpartego uroku, sprawiając, że wierzyłam w niego wbrew rozsądkowi. - Bo nie chcę, żeby to był ostatni raz, gdy leżymy tak razem.

- Nie będzie, kochanie - zapewnił mnie, leniwie przesuwając dłoń po mojej szyi i zataczając krąg wokół piersi. Cholerny, nad wiek rozwinięty geniusz. - Dziękuję ci. Nigdy... nigdy nawet nie śniłem, że coś takiego jest możliwe.

- Och, daj spokój. Widziałam twoje lektury. „Fanny Hill” na przykład. Co nieco jednak wiesz.

Na jego twarzy pojawił się ciemny rumieniec.

- Nie chodzi mi o techniczne szczegóły, kochanie. Chodzi mi o to. Tę bliskość, twój dotyk, całą tę radość.

- Wtulił twarz w moją szyję. - Też to czujesz?

- Julian - wyszeptałam. - Nie potrafię tego nawet opisać. Nigdy nie potrafiłam.

Pocałował mnie, długo i mocno, a potem uniósł głowę i popatrzył na mnie, gładząc palcami włosy na moich skroniach.

- Naprawdę odesłałabyś mnie w przyszłość, z dala od ciebie, żebym tylko nie trafił na pole bitwy? Wiedząc, że już nigdy mnie nie zobaczysz?

- Tak. Tak! Powiedziałabyś ci dokładnie...

- Nie - roześmiał się. - Moja ty wspaniała! Nigdzie się nie wybieram. Zatrzymam przy sobie ciebie i twoją miłość, moja najdroższa Kate, moja żono, moja żono! Jaki wspaniały, cudowny jest ten świat! Mam ochotę krzyczeć na szanćcach... Kochanie, co się dzieje?

- O rany! - mruknęłam.

- Co się dzieje?

Wyskoczyłam z łóżka i w ostatniej chwili zdążyłam dobiec do umywalki. W jednej chwili stał już za mną.

- Kate, mój Boże!

- Nic mi nie jest - zapewniłam, drżąc i płonąąc ze wstydu.

Poczułam na ramionach szorstki wełniany koc i ręce Juliana prowadzące mnie do łóżka.

- Usiądź. Przyniosę ci trochę wody.

Napełnił szklanekę z otwartej butelki Perrier, stojącej na nocnym stoliku.

- Proszę.

Upiłam łyk, żeby go zadowolić, ale poczułam, że żołądek mi się skręca.

- Może za chwilę.

- Kochanie, co ci jest? Chyba oszaleję!

- Wszystko dobrze, naprawdę. To nic, tylko się trochę pochorowałam. Te zarazki z dawnych czasów... - Odwróciłam się do niego. - Widzisz? Już lepiej.

Chwycił mnie za ramiona i spojrzał mi w twarz.

- Nie mówisz mi prawdy.

Chwytałam krawędź koca i pochyliłam głowę. Moje włosy opadły ciemnymi falami, ukrywając mnie przed jego przenikliwym spojrzeniem. Widziałam jego palce na moich łokciach wbijające się w wełnę.

- Nie - odparłam.

- Ale nie powiesz mi też, co ci jest.

- N i e .

Ujął mnie za ramiona i pociągnął z powrotem na miżerne poduszki u wezglowia łóżka. Koc zsunął się, odsłaniając moje ciało.

- Pozwolisz mi zgadnąć?

- N i e .

- To jakaś choroba?

Zamilkłam nieszczęśliwa.

- N i e .

- Zjadłaś coś niedobrego?

Znów milczenie.

- N i e .

- Och, Kate - powiedział.

Milczeliśmy przez długi czas, nasłuchując skrzypienia starego domu, dziwnego hałasu z innego pokoju. Węgle syczały na palenisku, ale i tak czułam chłód na nagich ramionach. Zsunął rękę i położył mi ją nad pępkiem.

- Powiedz mi jedno. Wiedziałem o tym?

Głos mi się załamał.

- T a k .

- Weźmiemy ślub podczas mojej następnej przepustki - zapewnił z przekonaniem. - Zdobędę ją jak najszybciej. I tak uważam cię już za moją żonę, ale chcę, by nie było żadnych wątpliwości. Nawet najmniejszych, gdyby jednak coś mi się stało.

Bezsilnie kiwnęłam głową. Jak mogłabym się z nim jeszcze spierać?

- Moi rodzice się tobą zaopiekują - ciągnął, zrecznie otulając nas kocami. - Nie możesz zostać tu, we Francji. To zbyt niebezpieczne.

- Twoi rodzice. Nawet ich nie znam. Pomyślą, że jestem... jakąś amerykańską latawicą, która cię wrobiła...

- Powiem im, kim jesteś, tak żeby nie było żadnych wątpliwości. I będą cię uwielbiać. Zwłaszcza mój ojciec. Jesteś dokładnie takim typem kobiety, jakie lubi. - Pocałował mnie w skroń.

Przesunęłam się, by spojrzeć mu w oczy, krucha i drobna w jego mocnych ramionach. Świeca za jego plecami zamigotała. Na jego twarzy zatańczyły niespokojne cienie.

- Jak możesz mi tak bezgranicznie ufać? - wyszeptalam. - Zjawiam się u ciebie na progu, twierdząc, że jestem twoją żoną, że jestem w ciąży, na litość boską, a ty nawet o nic mnie nie wypytyjesz.

- Wypytywałem cię. Bardzo dokładnie. - Znów mnie pocałował, by pokazać jak dokładnie.

- Ale dziecko, Julianie. Mogłabym przecież próbować cię upolować. Ciebie! Pewnie najlepszą partię w całej Anglii... - głos uwiązał mi w gardle. - Nie boisz się, że to wszystko to tylko jakiś podstęp?

- Kate - powiedział, przykładając głowę do mojego ramienia. - Gdybyś próbowała mnie wrobić w dziecko, które nie jest moje, to nie sądzisz, że wymyśliłabyś coś bardziej wiarygodnego niż podróże w czasie?

- Ale to przecież nie fair. Jeszcze jakąś godzinę temu byłeś rumieniącym się prawiczkim. Jesteś... - umilkłam. Moje słowa odbiły mi się echem w uszach. Prawiczkim. „Jedną, podczas wojny” - wyznał mi to dawno temu w bibliotece. - Julian? - spytałam z ustami przy jego ramieniu. - Jaka była inskrypcja na obrączce?

- Chcesz ją odczytać?

- Tak. Bardzo.

Nie mogłam się poruszyć. Ujął moją dłoń, zsunął obrączkę z palca i sięgnął za plecy po migoczącą świecę.

Pochyliłam się. Z początku małe eleganckie litery były trudne do odczytania. Musiałam zmrużyć oczy i przechylić pierścionek w stronę drgającego światła,

a i wtedy ledwie rozróżniałam słowa: „Po tej obrączce ją rozpoznasz”.

Poczułam, że chłód rozchodzi się po moich palcach, ogarniając całe ręce i piersi. Wiedział. Na litość boską, on wiedział.

To wszystko już się wydarzyło. Już tu byłam. Julian, mój Julian, mój współczesny Julian leżał już ze mną w tym łóżku. Znał mnie na długo przed tym grudniowym porankiem w Sterling Bates, gdzie tak uważnie mi się przyglądał i próbował znaleźć jakieś słowa. W mojej głowie zaczęły wirować strzępy wspomnień: rzeczy, które mówił, a które wówczas wydawały się dziwne. Jego pozornie bezpodstawna paranoja na punkcie mojego bezpieczeństwa. Ten dziwny smutek po naszym ślubie. Puste szafy czekające na kogoś. To, jak się we mnie zakochał, w jednej chwili.

- Kate - usłyszałam jego głos. - Dobrze się czujesz? Możesz to odczytać?

Spojrzałam na jego piękną młodą twarz tak teraz poważną, pełną troski i szczerą i poczułam, jakby ściany małego pokoju zaczęły zaciskać się wokół nas, otaczając nasze ciała wyblakłym *fleur-de-lis* w tej samotnej przyszłości na zewnątrz, tym strasznym stuleciu, które nas czekało.

- Tak - odparłam.

- Widzisz? Wszystko w porządku. Pragnąłem tego. - Odstawił świecę na nocny stolik, wziął obrączkę,

wsunął ją z powrotem na mój palec i pocałował. Jego usta paliły moją skórę. - Najwyraźniej chciałem być pewien, że cię rozpoznam, kiedy po mnie wrócisz. Czyli wszystko w porządku. Mam zostać w tych czasach razem z tobą. Mam się z tobą ożenić, kochanie. - Jego głos był cichy i pewny. Jeszcze raz pocałował mnie w rękę, potem w usta. W palenisku z sykiem przełamał się jakiś kawałek węgla.

- Oczywiście. Oczywiście, że tak.

Wsunęłam dłoń za jego plecy. To jasne, że widział to w ten sposób. Julianowi - i temu z przeszłości, i temu z przyszłości - nigdy nie przysłoby do głowy, że nie może zmienić swojego losu, że wszystko, co robił, wszystkie te ostrzeżenia i czujność były tylko elementem wzorca, który już został dla niego utkany.

Ale dla mnie w jednej chwili wszystko stało się jasne. Julian słyszał już kiedyś moje ostrzeżenia, przeżył już to wszystko i nie przyniosło to nic dobrego. Sama próba uniknięcia przeniesienia się w czasie sprawiała, że było to nieuniknione, i wszystko, co mogłabym mu powiedzieć, nawet teraz, byłoby już zawarte w tej z góry ustalonej sekwencji. To wszystko - nasze spotkanie, ślub, jego śmierć - i tak miało się wydarzyć i nie mogłam nic na to poradzić. Błędy, jakie popełniłam, były nieodwracalne, zawsze takie były.

Zawiodłam, jeszcze zanim nawet zaczęłam.

Rozdział 27

Wystartowaliśmy z Teterboro dwanaście minut po północy, doktor Hollander i ja.

Pracownicy Netjets nie robili mi problemów. Julian z typową dla niego pewnością siebie uaktywnił już konto na moje nazwisko w dniu, w którym kupił mi udział. JetCard stanowiła najniższy szczebel, więc musiałam dopłacić bająską sumę. Cóż, mnie wydawała się bająska, ale potem przypomniałam sobie, że pieniądze w tej chwili w ogóle się nie liczyły, i sięgnęłam po czarną kartę kredytową, którą Julian dał mi kilka miesięcy temu. Nie miałam nic przeciwko temu, by użyć jej w tym celu.

- Powinna się pani przespać - odezwał się Hollander, patrząc na mnie z miną, której nie potrafiłam odczytać. Zatraskana? Zrezygnowana?

- Nie mogę. Nie zasnę, póki nie będzie bezpieczny.

Nie odpowiedział. Oparłam głowę o mięciutką skórę siedzenia i spojrzałam w górę na długi szereg

przyciemnionych światłał. Korporacyjny luksus, elegancki sterylny spokój, poczułam, jak moje wcześniejsze życie powraca do mnie w znajomych beżach i błękitach.

- Jest źle, prawda? - spytałam. - Myśli pan, że chcą go zabić.

- Nie - odparł zbyt szybko.

- Cóż, powinniśmy to przynajmniej wziąć pod uwagę, prawda? - spytałam beznamiętnie, unosząc głowę.

Jeśli przez ostatnie lata, pracując w banku inwestycyjnym, czegokolwiek się nauczyłam, to tego, jak rozwiązywać skomplikowane problemy. Trzeba je rozbić na mniejsze kawałki, z którymi dasz sobie radę, każdy przeanalizować, a potem wszystko znów poskładać w jedną całość i uporać się z tym.

- Niech pan posłucha. Myślę, że są jakieś trzy możliwe scenariusze. Pierwszy: Arthur i Geoff chcą z nim tylko porozmawiać. Być może przekonać go, że to małżeństwo to zły pomysł. Pokazać mu grób Florence, coś w tym stylu. To jest ten lepszy scenariusz. Będzie się umiał z tego wykręcić. Wróci do domu następnym samolotem.

- Doskonale. W sumie mógłbym się z tym zgodzić. A kolejny?

- Kolejny jest taki, że nie planują go zabić, ale Arthurowi coś odbije. Wtedy wszystko będzie zależeć od Geoffa. Od tego, za kim się opowie. Ten scenariusz może się źle skończyć.

- A trzeci?

- Że chcą go zabić.

- Naprawdę nie sędzę, by to było prawdopodobne.

- Ale jest możliwe, a ewentualny rezultat byłby najgorszy. A więc na tym musimy się skupić. Co powinniśmy zrobić? Jak ich powstrzymamy?

- Nie możemy - odparł. - Nie mam zielonego pojęcia, jak z kimś walczyć.

- Możemy zabrać z sobą policję.

- Żeby zadawała pytania? - odparł zgryźliwie.

- No, tak! - wybuchłam. - Już wolę, żeby to wszystko wyszło na jaw, niż żeby zabili Juliana!

- To nie może wyjść na jaw! Nie może. Nie rozumie pani.

- Nie, nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. Jak oni wszyscy się tu znaleźli. Dlaczego? To jakiś absurd. To mnie przeraża. A teraz jeszcze Julian przez to zginie, jeśli nie znajdę sposobu, by to powstrzymać.

Bezsilnie wzruszył ramionami i oparł łokcie na stojącym pomiędzy nami stoliku.

- Chciałbym wymyślić jakiś sposób - powiedział słabym głosem, z wysiłkiem.

- A co, jeśli już jest martwy? Jeśli będzie martwy, zanim tam dotrzemy? Co, jeśli... O Boże! - Wyprostowałam się na moim siedzeniu, czując nagłe olśnienie. - Profesorze, to wszystko moja wina. Nie rozumie pan? Gdyby mnie nigdy nie spotkał, nigdy się ze mną nie ożenił...

Wszystko zawirowało wokół mnie. Do tej pory zajmowałam się tylko faktami, faktami i możliwymi rozwiązaniami, a nie chciałam zbyt głęboko analizować przyczyn. Tego, co by było gdyby. Powodów, dla których coś się działo. Być może dlatego, że wiedziałam, że to ja jestem przyczyną. Gdyby Julian nigdy mnie nie poznał, nie zostalibyśmy kochankami. Nigdy nie spłodzilibyśmy dziecka. Nigdy byśmy się nie pobrali. Biedny Arthur Hamilton nigdy by nie oszalał.

- To wszystko moja wina - powiedziałam. - I jeśli on zginie, to z mojego powodu. - Schowałam twarz w dłonie. - Muszę to powstrzymać. Nie mogę z tym żyć. Powinam po prostu umrzeć.

- Nie, nie - powiedział łagodnie. - Biedactwo. To nie twoja wina. Zakochałaś się. Dałaś mu szczęście. To nie żadna zbrodnia. Nic nie możesz poradzić na stan psychiczny Hamiltona.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego.

- Jestem w ciąży. Wiedział pan o tym? Będziemy mieli dziecko. To dlatego tak nagle się pobraliśmy.

Cała krew odpłynęła mu z twarzy.

- Nie miałem pojęcia! Mój Boże! - Intensywnie mrużąc, zastanawiał się nad tą myślą. W końcu odezwał się pełnym podziwu szeptem: - Dziecko Juliana Ashforda. Mój Boże! Nigdy nie myślałem...

- Cóż, to prawda. Od soboty wiemy to już na pewno.

Wyrzałam przez okno w jednolitą czernią nocnego nieba nad Atlantykiem przesuwaną się szybko obok nas i stapiającą z ciemną powierzchnią wody.

- Nalegał, żeby natychmiast się ze mną ożenić. Już czuła się winny, chociaż jeszcze tego nawet nie zrobił.

- No cóż, tak - powiedział Hollander, wyrwany z zamyslenia. - Zrobiłby to.

- Byłby takim wspaniałym ojcem, gdyby tylko miał szansę. Nie rozumie pan? - Zaśmiałam się słabo. - Julian Ashford, kibicujący tatuś. Trener małej ligi albo coś takiego. Byłby w tym taki dobry. Musimy to jakoś rozwiązać, profesorze. To dziecko musi znać swego ojca.

Czułam bolesny ucisk w głowie. Jak mogłabym żyć bez niego? Bez Juliana. To było niemożliwe, niewykonalne. Nie mogłam sobie tego nawet wyobrazić. Hollander przyglądał mi się uważnie.

- Powiedz mi coś, Kate. Jak daleko byłabyś gotowa się posunąć, gdyby Julian faktycznie był w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

- Oddałabym życie. Wiem, że to brzmi ckliwie i tak dalej, ale to prawda. Jeśli powie mi pan w tej chwili, żebym przystawiła sobie broń do głowy i strzeliła, a Julian będzie dzięki temu jakimś sposobem bezpieczny, to jestem pewna, że bym to zrobiła.

- Nawet jeśli zabiłabyś jego dziecko?

Zawahałam się.

- Ale przynajmniej miałyby szansę na inne dzieci, prawda?

- Lecz nie chciałyby, żebyś to zrobiła.

- I tak by tego nie chciał. Z dzieckiem czy bez. Ale 0 czym my tak właściwie mówimy? - spytałam, mrużąc oczy.

Siedział w milczeniu, zataczając palcem szerokie kręgi na lakierowanym blacie stolika.

- Jedną z wielkich tajemnic w całej tej sprawie - odezwał się - jest oczywiście to, w jaki sposób w ogóle ci ludzie trafili tu, do teraźniejszości.

- No tak, jasne. Bardzo chciałabym to wiedzieć. I dlaczego. To znaczy, tak naprawdę wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Obrócił dłonie wnętrzem ku górze i przyjrzał się im.

- Chyba potrafię na to odpowiedzieć.

Wyprostowałam się, wstrząśnięta i nie do końca pewna, czy dobrze usłyszałam.

- Naprawdę? Mówi pan poważnie? Czemu pan nic nie powiedział? Kiedy się pan dowiedział?

- Właściwie to wiem już od jakiegoś czasu.

- Naprawdę? - Pochyliłam się w jego stronę, ściskając palcami krawędź stolika. - Więc co to takiego? Jakies tunele czasoprzestrzenne? Kosmiczne anomalie?

- Nie. - Spojrzał na mnie. W jego oczach było coś takiego, jakby przepraszał. - Obawiam się, że to przeze mnie.

Światła w kabinie przygasły na chwilę, a potem znów zaświeciły jaśniej. Siedziałam zdumiona, wsłuchana w cichy, jęklivy szum silników.

- Przez pana? - powiedziałam w końcu.

- Tak. Przeze mnie.

- Ale jak to przez pana? Jak może pan to... robić? Dlaczego? - Zdezorientowana pokręciłam głową, czując się tak, jakbym przyglądała się tej scenie z oddali.

- Odpowiedź na pytanie „dlaczego?” jest dość prosta. Bo jestem historykiem. Bo badam wyjątkowo fascynujący przedmiot, tych niezwykłych ludzi uwikłanych w najtragiczniejszą z wojen. Jeśli zaś chodzi o to „jak?” - wzruszył ramionami - to nie potrafię tego powiedzieć z całą pewnością. To się po prostu... dzieje.

- Po prostu się dzieje. Dzieje się. To nie żart, prawda? To znaczy, jak człowiek może teleportować kogoś do innych czasów. Skąd miałyby w ogóle wiedzieć, że coś takiego potrafi? To jakieś szaleństwo! Szaleństwo!

Oparł się na siedzeniu. Patrzył gdzieś obok mnie, ponuro, w zamyśleniu. Jego pierś pod brązową tweedową marynarką unosiła się i opadała w przyspieszonym rytmie.

- To było w 1996 roku - odezwał się w końcu. - Dopiero co opublikowałem moją trzecią książkę i niemal ukończyłem biografię Ashforda. Zostało tylko kilka szczegółów do dopracowania. - Sięgnął do tacy z jedzeniem, wziął kanapkę z szynką i obrócił ją w palcach.

- Wynająłem kwaterę w Amiens, które było głównym ośrodkiem aktywności Brytyjczyków na froncie zachodnim. Z tej bazy wypadowej prowadziłem badania w terenie, często poruszając się pieszo. Czasem wynajmowałem samochód z kierowcą, by woził mnie po okolicy. Była pani kiedyś na jakimś polu bitwy?

- Nie. Ale widziałam kilka cmentarzy wojennych, gdy wybrałam się na studencką wycieczkę do Londynu. Po prostu niewielkie placyki z nagrobkami.

- Linia Calais - Paryż - odezwał się Hollander - w znacznej części biegnie wzdłuż dawnego frontu zachodniego. Gdy trwała wojna, można było przejść okopami ze Szwajcarii aż do kanału La Manche. Istnieją dość dokładne mapy. Kiedyś spędzałem całe godziny nad wykresami i diagramami, chodząc wzdłuż różnych linii natarcia i odwrotów, analizując faktyczny przebieg bitwy, różne wzgórza, stoki i doliny.

- Wow! - powiedziałam, gdy zamilkł. - I robił pan coś takiego dla oddziału Juliana?

- Fascynowało mnie kilka ostatnich dni jego życia. Tego wieczoru, zanim wyruszył na ten feralny patrol, wysłał dziwny list do matki. Najpierw pisze o Florence, w niewielu słowach, oczywiście: „Mam nadzieję wkrótce przedstawić ci synową, jakiej zawsze dla mnie pragnęłaś”. A potem: „Jestem teraz pewien, że ręka boska kieruje moim losem, i pokładam wiarę w Jego miłosierdziu”. Jakby wiedział, że tej nocy ma zginąć. A jak na pewno

pani rozumie, to dla niego zupełnie nietypowe. Zawsze był pełen zawadiackiej wiary, że przeżyje wojnę.

- Pytał go pan o to?

Samolot właśnie wpadł w turbulencje i moje zęby zadzwoniły o siebie.

- Tak, i zgodził się z moją oceną. Ale oczywiście to zdarzyło się później. W czasie, o którym mówimy, nie miałem pojęcia, że kiedykolwiek spotkam Juliana Ashforda z krwi i kości. Mój Boże, jakież to absurd! Poznałem go jednak dość dobrze. Jego listy, wiersze. Wydawało mi się, że wiedziałem, co myślał. Pewnego ranka wyruszyłem z Amiens, żeby prześledzić ruchy jego jednostki tamtej nocy i być może odkryć dokładne miejsce, w którym poległ.

- Znalazł je pan?

Moje usta były spękane. Zwilżyłam je językiem, patrząc w pobrużdżoną zmarszczkami twarz Hollandera.

- Wydaje mi się, że tak. Stałem tam bardzo długo, po-grażony w intensywnych rozmyśleniach, wyobrażając sobie jego twarz, próbując odgadnąć, jaka musiała być ta ostatnia chwila. A potem usłyszałem przedziwny dźwięk. Przecią-gły jęk. Dokładnie taki, jaki wydaje nadlatujący pocisk. A później przeraźliwy huk. Skuliłem się, przymykając oczy. Zasłoniłem głowę. Gdy znów je otworzyłem, u moich stóp leżał jakiś mężczyzna w mundurze koloru khaki.

- Julian. - Wypuściłam z płuc wstrzymywane po-wietrze. - A więc to był pan. Pan go tu... sprowadził.

Do terazniejszości. O mój Boże. Mój Boże. Ocalił go pan.

- Oczywiście byłem w szoku. Myślałem, że śnię. Wydawało mi się, że jest martwy. Ale choć był nieprzytomny, zobaczyłem, że oddycha, i oczywiście musiałem coś zrobić. Pobiegłem na najbliższą farmę, by zadzwonić po karetkę. Poprosiłem ich o ubrania. Powiedziałem im, że to jakiś obcy człowiek, jakiś cholerny głupiec, który bawił się w odgrywanie wydarzeń historycznych - tam bywa mnóstwo fanatyków - i chyba dostał jakiegoś ataku.

- Wiedział pan, że to Julian?

- Zdawałem sobie sprawę, że to musi być on. Wiedziałem przecież, jak wyglądał. I miał na szyi nieśmiertelnik. Zdjąłem go, zanim przyjechała karetka. Gdy go już zabrali, zdałem sobie sprawę z ogromnego znaczenia tego, co się właśnie stało. Wróciłem do Amiens i zacząłem się rozpytywać. Jest takie miejsce w Paryżu, gdzie można dostać świetne fałszywe dokumenty. Zamówiłem dla niego pełen zestaw.

- Jestem zdumiona, że miał pan na tyle przytomności umysłu.

- Byłem w szoku. Dopiero później to wszystko prze-myślałem. W kryzysowych sytuacjach człowiek po prostu działa.

- Wiem.

Wstałam i chwiejnym krokiem podeszłam do bufetu, by wybrać sobie coś do picia. Dietetyczna cola.

Potrzebowałam czegoś z bąbelkami, czegoś, co pomogłoby mi przedrzeć się przez mgłę, która spowijała moje myśli. Na razie chrzanić kofeinę.

- A potem przyjechał spotkać się ze mną w Bostonie, wiele lat później. Naturalnie nie miał pojęcia, że to ja go uratowałam. Aż do tamtego czasu starałam się trzymać od niego z daleka, choć dowiadywałam się, co robił. Gdybym to ja się z nim skontaktowała, musiałbym mu powiedzieć, że go tu sprowadziłam. A wtedy mógłby poprosić...

- O co?

- Żebym odesłał go z powrotem.

- Byłby pan w stanie to zrobić?

- Chyba tak. - Zagryzł wargę. - Wiem, że tak.

- Niech zgadnę. Zobaczył pan, jaki jest samotny, i sprowadził Geoffa, żeby dotrzymał mu towarzystwa. A potem Arthura Hamiltona.

- Z Hamiltonem było dość trudno. Nie znałem dla niego właściwych namiarów. Próbowałem przez całe lata. Sprowadziłem kilku innych - historyczne postacie, które podziwiałem, a które zaginęły, lecz ich ciał nigdy nie odnaleziono. Wiesz, było ich bardzo, bardzo wielu. I pomyślałem, no cóż, czemu nie miałbym ich ocalić, skoro mogę to zrobić. Bezpośrednie trafienie pociskiem artyleryjskim nie zostawia zbyt wielu dowodów.

- Ale jak? - wybuchłam. - Jak to działa? Po prostu pan siedzi i o tym myśli, a to się dzieje?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie, nie do końca tak. Wygląda na to, że muszą wystąpić pewne warunki. Muszę na przykład stać dokładnie w miejscu, w którym znajdował się taki człowiek w momencie kryzysowym. To na pewno.

- W momencie kryzysowym?

- W chwili, gdy zniknął z danych historycznych - odparł ze zniecierpliwieniem. - Poza tym muszę mieć przy sobie jego jakiś osobisty artefakt. W wypadku Juliana zupełnie przypadkiem miałem jego list do matki. Rodzina pożyczyła mi go w trakcie moich badań. W wypadku pozostałych świadomie szukałem takich przedmiotów, ponieważ zacząłem myśleć, iż to może być częścią klucza.

- I co jeszcze? To nie może być wszystko.

- Cóż, przypuszczam, iż może to być kwestią pewnego związku emocjonalnego. Taki człowiek musi mieć emocjonalny związek ze współczesnymi czasami.

- Ale jaki związek mógł mieć Julian z 1996 rokiem?

- Może taki, że byłeś już na świecie.

- Ale on nawet mnie nie znał!

- Lecz miał cię poznać. Jeśli czas rzeczywiście jest tak elastyczny, tak cykliczny, to pewnie nie miało znaczenia, czy już cię spotkał, czy nie.

Odchyliłam się na siedzeniu, próbując oswoić się z tym wszystkim.

- Rozmawiał pan z kimś o tym? Z jakimś profesorem fizyki? Bo to przecież niemożliwe, żeby pan sobie

spacerował i ot, tak sobie wrywał dziury w cholernym kontinuum czasoprzestrzennym. Zupełnie jakby pan miał jakieś moce wudu, moc albo coś w tym stylu.

Przez długi czas milczał.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie wiem, co to takiego. Dlaczego mam ten dar, jak go zdobyłem, czy jestem jedynym? Ale jest, jak jest.

Jest, jak jest. Tak proste i tak niemożliwie skomplikowane: kamień wrzucony do stawu bez brzegów, zmarszczki na wodzie rozchodzące się w nieskończoność. Nieskończone skutki, nieskończone możliwości.

- Niech mi pan powie jedną rzecz - odezwałam się.
- Gdybym chciała się cofnąć do 1916 roku i zapobiec temu, by Julian ruszył na ten patrol, czy wtedy zostałyby tam, gdzie był? To znaczy w tamtych czasach?

- Nie wiem. Interesujące pytanie.

- Co pan ma na myśli?

- No cóż. Czy może pani zmienić tę historię. Wiemy przecież, że przeniósł się do naszych czasów. A więc czy to możliwe, by pani przeniosła się do przeszłości i to zmieniła? To ogromne ryzyko dla pani i dla niego.

- Ale jeśli teraz zginie, to czy nie byłoby warto zaryzykować?

- Nie wiem. Nie wiem. Czymże jest etyka? Czy w ogóle jakaś istnieje? Nie wiem. To jak szelest skrzydeł kolibra...

- A zrobiłby pan to dla mnie? Jeśli wylądujemy

w Manchesterze i dowiemy się, że go zabili, zrobi pan to? Odeśle mnie pan w przeszłość?

Odgryzł kęs kanapki i przeżuwał go cierpliwie.

- Co by tam pani robiła?

- Odnalazłabym go. Spróbowałabym zmienić jego plany.

- Zdaje sobie pani sprawę - powiedział, przełykając - że Julian zniknął pod koniec marca 1916 roku i że trochę ponad trzy miesiące później jego kompania szła w pierwszej linii pierwszego dnia bitwy nad Sommą? Człowiek, który był kapitanem i zastępował Juliana, zginął.

- Ale miałyby szansę, prawda? Mogłabym mu powiedzieć, ostrzec go. Mogłabym nim pokierować tak, by przetrwał wojnę.

- Szansę? Jedyne niłą - powiedział. - I tylko wtedy, gdyby to zadziało. Gdyby rzeczywiście była pani w stanie zmienić historię. Możliwe przecież, że powstrzyma panią jakaś kosmiczna siła.

- Warto spróbować - stwierdziłam bez zastanowienia. - Nie rozumie pan? Nie mogę po prostu nic nie robić. Nie mogę pozwolić mu umrzeć. Raz go pan ocalił. Z pewnością mogę zrobić to samo. Właściwie to muszę. To przecież moja wina, że znalazł się w niebezpieczeństwie.

Hollander westchnął i zapatrzył się w okno. Kilka minut temu nad horyzontem pojawiła się bladoniebieska

poświata, gdy samolot mknął w stronę nadchodzącego świtu. Włożyłam na rękę zegarek i przesunęłam wskazówki o pięć godzin.

- W Wielkiej Brytanii jest już dziewiąta - powiedziałam. - Wkrótce wylądują. Jeśli już tego nie zrobili.

Odwrócił się do mnie.

- A więc dobrze. Jeśli to wszystko pójdzie nie tak, jeśli oni... - Przełknął i pokręcił głową. - Wtedy to zrobię. Ale musi być pani gotowa. Pojawi się pani w Southfield w 1916 roku. Będzie pani musiała znaleźć ubrania, żywność, schronienie. Przedrzeć się do Francji. Będzie pani potrzebowała pieniędzy.

Spojrzałam na moje nadgarstki.

- Nie ma problemu - odparłam, zdejmując potrójną złotą bransoletkę, jeden z kilku prezentów od Juliana, które regularnie nosiłam. - I mam też kolczyki. Razem muszą ważyć co najmniej kilka uncji. Mogę je wymienić na miejscową walutę, kiedy już tam będę. Złoto to zawsze złoto.

- A co z naszyjnikiem? - Hollander wskazał głową na moją szyję.

- Z naszyjnikiem? - Położyłam dłoń na dekolcie i spojrzałam w dół. - Och, skąd on się tu wziął? Julian musiał... Gdy poszłam na górę odświeżyć się przed kolacją...

Tak naprawdę poszłam wtedy na górę wymiotować. Gdy wróciłam, Julian stał w sypialni i wydawał się bardzo

przejęty. „Nic mi nie jest”, powiedziała mu. „Tylko to, co zwykle”. Otoczył mnie ramionami i trzymał tak przez długą chwilę, nie mówiąc ani słowa. „Mam nadzieję, że nie czujesz się winny” - wyszeptałam z ustami przy jego piersi. „Jestem najszcześniejszą kobietą na świecie, noszę twoje dziecko”. „Kate, czasem przechodzisz ludzkie pojęcie, wiesz o tym?” Okręcił mnie w ramionach i wsunął mi coś na szyję, zapinając zręcznymi palcami, zanim zdążyłam się sprzeciwić. „Prezent ślubny. Nie wolno ci odmówić”. Znowu mnie odwrócił i zaczął całować, nie tak powoli i hipnotyzująco jak zazwyczaj, ale tak, jakby zależało od tego jego życie.

Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że wciąż mam go na szyi. Dotknęłam go teraz, wielkie okrągłe perły wielkości landrynek, czarne naprzemiennie z białymi.

- Nie mogę ich sprzedać. To był prezent ślubny od niego.

- Na pani miejscu jednak wzięłbym je z sobą - stwierdził praktycznie. - Tak na wszelki wypadek. Proszę je schować do kieszeni.

Męczyłam się z zapięciem. Palce za bardzo mi się trzęsły i w końcu musiałam poprosić profesora o pomoc. Zniosłam naszyjnik do szafki, gdzie powiesiłam płaszcz przeciwdeszczowy na wypadek typowej angielskiej pogody, i wsunęłam perły do wewnętrznej kieszeni. Hollander odchrząknął.

- Jak już mówiłem, będzie pani musiała przedrzeć się do Francji. Sugeruję przeprawę z Folkestone. Podróż z Dover być może byłaby szybsza, ale również niebezpieczniejsza. Rozumie pani, U-Booty. Gdybyśmy byli w moim gabinecie, gdzie trzymam wszystkie notatki, mógłbym pani powiedzieć, których statków unikać.

Kiwnęłam głową i wróciłam na swoje miejsce.

- Mogę pani natomiast dokładnie powiedzieć, gdzie we Francji go pani znajdzie - ciągnął profesor. - Kilka dni przed tamtym patrolem spędził na trzydniowej przepustce w Amiens. Miał się tam spotkać z dowódcami dywizji i omówić nową taktykę. Arthur pomógł mu to wszystko zaplanować. Widzi pani, od miesiący starał się z nimi umówić, dążył do zmiany... - Pokręcił głową. - Ale to chyba nie ma znaczenia. Tak czy inaczej pierwszego dnia był na jutrzni w katedrze w Amiens. Ten fakt jest dokładnie potwierdzony i wiadomo, kiedy się to zdarzyło. Może pani czekać na niego przed katedrą. - Zmarszczył czoło.

- Jutrznia? Co to takiego?

Ocknął się z zamyślenia.

- Poranne nabożeństwo w liturgii katolickiej.

- Julian jest katolikiem?

- Nie wiedziała pani o tym?

- Nie. Nie wiedziałam. - Kolejna szufladka, która się nigdy nie otworzyła. Patrzyłam w moją dietetyczną colę, licząc bąbelki.

Hollander umilkł. Podniosłam głowę i przyjrzałam mu się uważnie. Wyblakłe niebieskie oczy patrzyły smutno z okrągłej, obwisłej twarzy. Wyglądał na znużonego, jakby dla jego ciała walka z grawitacją była już zbyt trudna do zniesienia. Dlaczego on? Jak to możliwe? Jakim cudem ten zwykły śmiertelnik posiadał tak niesamowitą moc?

- Profesorze - powiedziałam w końcu, pochylając się i biorąc jego dłoń spoczywającą na stole. - Mamy jakieś dwie godziny, zanim wylądujemy. Musi mi pan opowiedzieć wszystko, co pan wie. Na wszelki wypadek.

Southfield położone było sto kilometrów na południowy zachód od Manchesteru i z każdym metrem znikającym pod kołami naszego wypożyczonego samochodu coraz trudniej mi było zapanować nad paniką. Wiedziałam, że samolot Juliana musiał wylądować dwie godziny wcześniej. Geoff i Arthur mieli mnóstwo czasu, by zawlec go nad grób Florence Hamilton; mnóstwo czasu na wszelkie możliwe scenariusze, jeden bardziej przerażający od drugiego.

Zmusiłam swój mózg, by skupił się na innych rzeczach, bardziej praktycznych, jak pamiętanie, by trzymać się lewej strony drogi. Jak przejechać przez rondo i przeżyć? Jak przeliczać kilometry na godzinę na mile? Nie żeby to miało większe znaczenie. Wyciskałam

z niewielkiego fiata, co się dało, ale i tak nie poruszaliśmy się szybciej niż traktory na polach po obu stronach drogi.

- Pani mąż jest miliarderem - narzekał Hollander - i nie mogła pani wypożyczyć szybszego samochodu?

- To był jedyny, jaki mieli. Późno wylądowaliśmy, pamięta pan? Wszystkie dobre wzięli ludzie z porannych lotów, a poza tym - dodałam, przerzucając dźwignię zmiany biegów z powrotem na trójkę, by wykrzesać z wraka więcej mocy - to pan jest cholernym marksistą przytulającym się do drzewek. Ja tam jestem za maserati.

Próbowałam żartować, ale w rzeczywistości byłam przerażona. Z każdą straconą sekundą Julian był coraz bliższy spełnienia swego losu. I prawdopodobnie coraz dalszy ode mnie. Nie chciałam musieć przenosić się do 1916, żeby go ocalić. Chciałam zdążyć na czas, oswobodzić go teraz i zostać z nim tutaj.

W przeciwieństwie do wielu wielkich angielskich posiadłości ziemskich Southfield nie zostało przekazane Narodowemu Funduszowi po obciążeniu dziewięćdziesięcioprocentowym podatkiem w połowie wieku. Rodzina Ashfordów wciąż spędzała tam znaczną część roku, choć już nie w tym stylu co w czasach Juliana, z polowaniami na lisy, przyjęciami i jedenastoma ogrodnikami zatrudnionymi na pełen etat. Posiadłość nie była otwarta dla zwiedzających, a to oznaczało problemy, ponieważ nie będzie pomocnych znaków, które mogłyby wskazać nam drogę.

Ale miałam przynajmniej Hollandera, który był tam kilka razy, a rodzina przyjęła jego książkę z entuzjazmem.

- Cmentarz jest trochę na uboczu - poinformował mnie.

- Możemy tak zrobić? Po prostu wejść na teren posiadłości i udać się na cmentarz?

- Prawa przejścia są tu zażarcie bronione, a poza tym, kto się dowie? - Hollander wzruszył ramionami. - Dom stoi co najmniej dwa kilometry dalej i w tej chwili mieszka tam tylko wdowa. Jej syn lubi spędzać czas w Londynie na romansach z modelkami, jak mówią. - W jego głosie nie brzmiała jakaś szczególna dezaprobata.

- A kim jest ten syn? Kuzynem Juliana?

- Dalekim. Tu jest zjazd. - Wskazał na niewielką dróżkę po lewej stronie.

- Naprawdę? - Zmusiłam opornego fiata do skrętu.

- To nie jest główna droga dojazdowa, ale jedna z wielu prowadzących do posiadłości.

- Rany - mruknęłam, skupiając się na tym, by samochód nie ugrzązł w którejś z wielkich dziur przypominających kratery. - Domyślam się, że świetnie pan to wie.

- Moja droga - odparł. - Spędziłem większość życia na badaniach poświęconych twojemu mężowi i współczesnym mu ludziom.

Zdumiona pokręciłam głową. Wyglądało na to, że w okolicy spadły ostatnio ogromne ilości deszczu. Opony fiata ślizgały się na błocie, spowalniając nas.

- Wszystko to ziemie Ashfordów - powiedział z roz-targnieniem Holłander. - Mieszkańcy rezydencji uprawiają ziemię, zamiast oddawać ją w dzierżawę. Na końcu tego podjazdu zaczynają się parki.

Spojrzałam dalej przed siebie i zobaczyłam drzewa o wciąż bujnych i zielonych liściach przytulone do stoku wzgórza. Na przednią szybę spadło kilka kropli deszczu. Uruchomiłam wycieraczki.

- Lepiej, żeby nie było ulewy - stwierdziłam.

Tłukliśmy się tak szybko, jak tylko miałam odwagę na tym błocie naszym niezwykle pozbawionym mocy samochodem. Uświadomiłam sobie, że mogłam postawić na swoim w wypożyczalni samochodów. Nie byłam jednak jeszcze przyzwyczajona do bycia miliarderką. Zgodziłam się na to, co mi dali. A mogłam kupić cholernego rangę rovera, na litość boską. O czym ja wtedy myślałam? Gra toczyła się o życie Juliana.

- Skąd wiemy, że tędy jechali? - spytałam. - Nie powinno być śladów opon?

- Mogli skręcić w inną drogę. Nadjechać od drugiej strony posiadłości. - On również patrzył daleko przed siebie, szukając jakichś śladów ludzkiej obecności.

Jeszcze raz uruchomiłam wycieraczki. Kilka owiec pasących się na polu po prawej stronie poruszyło się niespokojnie. Czy będzie burza?

- Jak daleko jeszcze? Nie widzę nic prócz drzew.

- Nie wiem. Nie byłem tu od wielu lat - odburknął.
- Chyba jakieś kilkaset metrów. A potem trzeba iść niemal kilometr przez park.

- I nikt nas nie zobaczy?

- Nie wiem! Nie znam już miejscowych warunków. Może jakiś leśniczy? Któż to może wiedzieć.

Zamknęłam usta i dalej jechałam przed siebie, aż dotarliśmy do końca drogi. Zaparkowałam samochód przy płocie i wyskoczyłam z niego. Zerknęłam na zegarek. Dochodziła druga.

- Dokąd idziemy? Szybko - pogoniłam go, ślizgając się na cienkiej warstewce błota.

Krople deszczu zaczęły lekko uderzać o mój płaszcz, coraz bardziej przybierając na sile. Spojrzałam w górę na stalowoszare niebo upstrzone groźnymi chmurami i postawiłam kołnierz. Cholera, tylko tego mi było trzeba: angielska pogoda.

Dostrzegłam przełaz przy płocie i ruszyłam w jego stronę. Ścieżka była śliska. Usłyszałam za plecami postękiwanie Hollandera.

- No dalej - powiedziałam, wyciągając rękę, by pomóc mu przejść.

Jego wysokie, niezgrabne ciało zakołysało się na szczeblach, gdy powiał gwałtowny wiatr. Ledwo uniknęła katastrofy.

- Chyba nie uciekniemy przed deszczem - zauważyłam. - Musimy się pospieszyć.

Od przełazu prowadziła ścieżka i zaczęliśmy brnąć nią w górę stoku, w stronę drzew.

- Tuż po drugiej stronie jest brzeg jeziora - oznajmił Hollander, dysząc z wysiłku. - A w pobliżu jest cmentarz, między występem skalnym a wodą. Stąd go nie widać, bo zasłania go wzgórze.

- Dobrze się pan czuje? - spytałam, próbując nie wpadać w panikę.

Dostał zadyszki, wdrapując się na wzgórze w tempie czterech kilometrów na godzinę. Moje mięśnie aż tętniły energią i adrenaliną. Całe to bieganie z Julianem, cały ten trening. Chciałam rzucić się biegiem, pofrunąć.

- Dobrze, dobrze. Niech pani idzie dalej. Ja zostanę tutaj - odparł.

- Nie mogę pana zostawić...

- Nic mi nie będzie - wysapał. - Proszę go po prostu znaleźć! - Niecierpliwie machnął ręką, nakazując mi, bym ruszyła dalej.

- Dobrze. Pobiegnę przodem i zobaczę, co się dzieje. Jeśli coś zauważę, krzyknę.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Nagle odniosłam wrażenie, iż szansa, że tędy przyjechali, jest bardzo niska. Po prostu spekulowaliśmy, Hollander i ja, opierając się na faktach, że samolot Juliana wylądował w Manchesterze. I co mieliśmy, u diabła, zrobić, gdybyśmy ich zobaczyli? „Zaufaj mi”, powiedział Julian. „Idź do domu. Czekaj na mnie”. Teraz pewnie byłby na mnie wściekły. Jeśli wciąż żyje.

Ruszyłam truchtem, ślizgając się na skałach i błocie pokrywającym ścieżkę, mijałam rozkołysane drzewa, z których spadały na mnie krople deszczu. Mój płaszcz powiewał dziko na wzmagającym się wietrze i musiałam wsunąć rękę do kieszeni, by nie wypadły z niej perły. Dotarłam na szczyt wzgórza i zwolniłam, patrząc uważnie na teren rozciągający się poniżej. Stok opadał, tworząc półkę, po której prowadziła ścieżka w dół, nad porośniętą trawą brzeg jeziora.

Gdzie jest ten cmentarz? - myślałam zdezorientowana. Widziałam tylko jezioro otoczone drzewami i łąkami, szare i marszczące się pod niepewnym niebem. Zaczęłam zbiegać ścieżką, coraz bardziej zbliżając się do półki, i nagle ukazał się mi, jakieś czterysta metrów na prawo, skulony pod skalnym występem: kilka szeregów prostych marmurowych nagrobków otoczonych sięgającym do pasa białym płótem.

Nikogo tam nie było. Poczułam, jak uchodzi ze mnie powietrze. Ulżyło mi, gdy nie zobaczyłam martwego ciała Juliana leżącego przy jakimś grobie, ale równocześnie ogarnął mnie niepokój, że się pomyliliśmy, że jednak tu nie przyjechali. Co teraz powinniśmy zrobić?

Poszukałam mojego BlackBerry w kieszeni płaszcza. Wcześniej wysłałam Julianowi kilka maili, raz nawet dzwoniłam, ale nie było żadnej odpowiedzi. Jego telefon od razu przełączał się na pocztę głosową. Pewnie Julian zostawił go w restauracji albo odebrał mu go Arthur. Mimo wszystko wstukałam kolejną wiadomość:

Gdzie jesteś? Zaczynam być zrozpaczona.

Moje palce zawisły nad klawiszami, a potem dopisałam jeszcze:

Kocham cię.

Schowałam telefon do kieszeni i znów spojrzałam w stronę cmentarza. Między nagrobkami poruszały się ostrożnie jakieś trzy postaci. Wstrzymałam oddech. Nie widziałam ich twarzy, nie byłam nawet w stanie rozróżnić kolorów włosów w szarym, dusznym powietrzu. Ale wiedziałam, kim są. Usłyszałam ich podniesione głosy, które wiatr wiejący znad jeziora niósł dokładnie w moją stronę. Kłócili się.

Chciałam rzucić się biegiem, pofrunąć do nich, ale moje mięśnie zamarły z przerażenia. Co oni robili? Co mówili? Jeden z nich się cofał z podniesionymi rękoma. Czy jego włosy zalśniły złociście? Nie byłam pewna.

- Julian! - wychrypiałam, ale wiatr wiejący mi w twarz stłumił dźwięk moich słów.

Potem inny wyciągnął rękę, jakby celując. Trzymał w dłoni coś ciemnego. Julian - czy to był Julian? - ruszył powoli w jego stronę, wciąż trzymając ręce w górze, jakby go przekonując.

- Nie! - usłyszałam własny krzyk.

I choć do nich nie dotarł, człowiek trzymający broń zerknął w moją stronę. Na chwilę zamarł, a potem się odwrócił i pobiegł w stronę drzew.

- Czekaj! - wrzasnęłam, lecz dwaj pozostali już za nim biegli.

Zniknęli mi z oczu wśród gałęzi i liści.

Zsunęłam się z półki, nie fatygując się, by iść łatwiejszą drogą wzdłuż ścieżki. Spod moich tenisówek tryskały małe kamyki śliskie od deszczu. Zeskoczyłam po ostatnich kilku skałach, lądując ciężko na nogach, i rzuciłam się biegiem w stronę cmentarza.

Przodkowie Juliana dobrze wybrali to miejsce. Było na tyle wysoko, by rozciągał się stąd widok na jezioro, a półka skalna z tyłu i rosnące wokół drzewa zapewniały mu ochronę przed niszczycielskim działaniem pogody. Dotarłam na miejsce i rozejrzałam się wokół.

Nie było nikogo. Tylko zniszczony biały płot i położone w równych odstępach od siebie groby, między którymi wiodły wysypane żwirem i od dawna niegrabione ścieżki. Wszystkie groby wyglądały identycznie, ze słowami wrytymi u góry prostą antykwą: nazwiska, daty i jakieś łacińskie sentencje, które nic dla mnie nie znaczyły. Spojrzałam w stronę drzew, próbując się zorientować, w którą stronę pobiegli, i w tej chwili powietrzem wstrząsnął huk.

- Nie! - krzyknęłam, a potem usłyszałam kolejny.

Poczułam zimny dreszcz na plecach, jakby ktoś wlał mi za kołnierz lodowatą wodę. Zachowaj spokój,

pomyślałam. Wydawało mi się, że mój umysł odpływa, odrywa się od tego wszystkiego, próbuje zobaczyć sytuację w obiektywny sposób. Po prostu kolejny problem do rozwiązania.

- Kate?

Wzdrygnęłam się i rozejrzałam dookoła.

- Kto mówi?

- Tu, na górze. Znalazłaś coś?

To był oczywiście Hollander stojący na szczycie skalnej półki i z niepokojem patrzący na mnie.

- Nikogo tu nie ma - usłyszałam własny głos - ale chyba właśnie słyszałam strzały z lasu. Idę tam teraz to sprawdzić. - Dlaczego byłam taka spokojna?

- O, mój Boże! Zaczekaj! Zaraz będę na dole.

Skreślił w prawo, podążając ścieżką, a ja rozejrzałam się dookoła: porośnięty trawą brzeg jeziora z grupami brzoź, kasztanów i dębów, szeleszczących chaotycznie w gnany wicher deszczu, zapach chłodnej, wilgotnej ziemi.

Dokąd poszli? Coś poruszyło się wśród drzew. Od-ruchowo wciągnęłam powietrze i wyteżyłam wzrok. Czy to tylko burza?

Powoli podeszłam bliżej, świadoma każdego kroku. I znowu! Przebłysk stłumionego koloru, jedynie przez sekundę, tuż przy wielkim rozłożystym kasztanowcu.

- Kto tam jest?! - zawołałam.

Żadnej odpowiedzi.

- Tu Kate! - krzyknęłam. - Gdzie jest Julian?!

Od drzewa oderwała się jakaś postać, szczupły mężczyzna o brązowych włosach w tweedowej kurtce i drelichowych spodniach, z kołnierzem postawionym w celu ochrony przed deszczem. Arthur Hamilton.

- Kate?! - usłyszałam za plecami wołanie Hollan-dera.

- Arthur - podeszłam bliżej. - Arthur, to ja, Kate. Jak się czujesz? Możesz mi powiedzieć, gdzie jest Julian?

Wzruszył ramionami. Ręce miał wsunięte w kieszenie i poruszał nimi niespokojnie.

- Arthur, możesz mi powiedzieć. Nie będę zła. Mia-łeś trudny okres.

- Kiepskie przedstawienie - mruknął. - Bardzo kiepskie.

- Tak, na pewno - odparłam, ignorując okropne dzwonięcie w uszach i narastającą panikę. - Bardzo kiepskie. To gdzie jest Julian, co? A Geoff?

Teraz dzieliło mnie od niego zaledwie pięć metrów. Widziałam wyraz jego twarzy: oszołomiony, zdumiony, może trochę poirytowany. Miał niewielkie skaleczenie nad jednym okiem, które teraz zaczynało puchnąć, i ciemną plamę na kurtce, tuż pod podniesionym kołnierzem.

- No dalej, Arthur - powiedziałam łagodnie. - Możesz mi powiedzieć. Usiądźmy.

Pokręcił głową.

- Hangar dla łodzi. Wszyscy martwi - powiedział.
- Kiepskie przedstawienie.

- Nie - odparłam. - Nie są martwi. Nie zabiłeś ich, prawda?

- Geoff. Ja nie byłem w stanie. Nigdy tego nie potrafiłem. Geoff to zrobił.

- Co zrobił Geoff? - spytałam błagalnie. - Nie mógł zastrzelić Juliana. Nie zrobił tego. Powiedz mi, że tego nie zrobił.

- A więc: Dobranoc, mój książę... - powiedział Arthur, patrząc w ziemię. - Wreszcie. Niechaj ci do snu nucą chóry niebian... i wszystkie te... brednie*.

- O nie - załkałam. - O nie...

- Kochałem go - wyznał Arthur i spojrzął na mnie.
- Reszta jest milczeniem - dodał, wyciągając z kieszeni broń.

- O nie - powtórzyłam.

Uniósł ją do ust i wystrzelił.

Chwyciłam się za głowę, odwróciłam na pięcie i pobiegłam z powrotem w stronę cmentarza, do skalnej półki. Wpadłam na Hollandera.

- Zrobili to! Zabili go! Geoff go zastrzelił! Zastrzelił Juliana!

* **Parafraza z *Hamleta* Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego.**

- O Boże! - zawołał profesor, przytykając oczy.
- O Boże!

- Właśnie sam się zastrzelił! O tam, za mną! Jego mózg...

- K t o ?

- Arthur Hamilton! Niech pan to zrobi, profesorze. Teraz! Niech mnie pan wyśle w przeszłość! Proszę, nie zniosę tego.

- O Boże! - zawołał znowu.

Chwyliłam go za ramiona.

- Niech pan to zrobi! Teraz! Zanim złapię ten pistolet i sama się zastrzelę!

Otworzył oczy i spojrzał na mnie.

- Niech pan to zrobi! - wrzasnęłam.

Opadłam na kolana u jego stóp i pochyliłam głowę. Poczułam jego dłonie zaciskające się na moich ramionach i mocny poryw wiatru z siekącym deszczem.

- Niech pan to zrobi! - krzyknęłam jeszcze raz i poczułam, że powietrze znika z moich uszu, a potem toczyłam się, toczyłam bez końca przez mroźną pustkę.

Obudziłam się w padającym miarowo marcowym deszczu, który spływał mi po twarzy.

Rozdział 28

Amiens

Nie zasnęłam tamtej nocy. Jak mogłabym zmarnować choć jedną minutę mojej ostatniej nocy z Julianem? Nie mogłabym zasnąć, nawet gdybym chciała. Wibrował we mnie każdy nerw, jakby przez moje ciało płynął nieustannie jakiś magnetyczny prąd.

Nie powiedziałam mu. Co by to mogło zmienić? Nie zamierzał zmienić swoich planów, nie wypełnić oficcerskiego obowiązku, wyrzec się wszystkich swoich zasad. Lepiej, by dalej myślał, że może zwieść los, nagiąć boską wolę. Że zmieniając porę swego patrolu albo jakiś inny drobny szczegół, mógł znaleźć się poza zasięgiem Hollandera. Że mógł zostać w swoim stuleciu, wrócić do mnie, poślubić mnie i być ojcem dla naszego dziecka. To był piękny sen. Czemu nie miałabym mu pozwolić trzymać się go aż do samego końca?

Ledwie byłam w stanie się poruszyć na wąskim łóżku. Spał, a ja leżałam przytulona do niego, wpatrzona

w tę ukochaną, znajomą twarz. Wersja Juliana, który nie był do końca ani mężczyzną, ani dzieckiem: trochę żołnierz, trochę uczeń, mimo to było w nim już wszystko, co kochałam.

Czy kiedykolwiek pogodziłam się z jego urodą? Tak do końca to nie. W moim umyśle splatała się z jego pięknem, z jego istotą. Julian, którego kochałam. I zdałam sobie sprawę, że nie mogę mu pozwolić tu zostać, by zginął gdzieś nad Sommą, pod Passchendaele albo podczas jakiegoś nieistotnego nocnego patrolu jak ten, na który się wybierał. Było pewne, że ma przed sobą dwanaście lat życia, w tym jedno idealne lato. W tym czasie zrobił tak wiele dobrego. Wszyscy ci inwestorzy Southfield, wszystkie darowizny i zapewnione emerytury... Ocalał od bankructwa Sterling Bates dzięki samej sile swej osobowości i pomysłowości. Dziecko, które ze mną poczują i które będzie żyło jeszcze po nim, a raczej przed nim. Dziecko, które kochałam ze wszystkich sił, które wychowam, by czciło pamięć swego wspaniałego ojca. Każda z tych rzeczy była o wiele ważniejsza niż moja egoistyczna potrzeba, by spędzić z nim trochę więcej czasu skradzionego losowi.

W pewnej chwili, sporo po północy, poruszył się, jakby jakiejś części jego podświadomości przeszkadzała obecność obok drugiego ciała. Sennie otworzył oczy, trochę zdezorientowany i bardzo chłopięcy. Spojrzał na mnie.

- Kate - wyszeptał.

Wyciągnęłam rękę, położyłam na jego policzku, a potem go pocałowałam z całą tą czułością i namiętnością, jaką do niego czułam. A później kochałam się z nim. Miałam przewagę. Wiedziałam dokładnie, co uwielbia, od czego jęczał z rozkoszy. Miałam za sobą wszystkie te cudowne godziny i dobrze je wykorzystałam. Sprawiałam, że drżąc, osiągnął spełnienie, niemal wyszedł z siebie od intensywności orgazmu, a potem przycisnęłam go do piersi, chłonięłam go skórą, szeptałam, że go pożadam, uwielbiam, kocham na wieczność.

Później nie będzie już miał potrzeby, by to ode mnie słyszeć. Będzie o tym wiedział.

Gdy nastał świt, znów się obudził i tym razem wziął mnie w ramiona i posiadł z pełną uniesienia męską pewnością siebie. Był już przecież prawdziwym światowcem! To sprawiło, że się uśmiechnęłam, nim bolesna rozkosz odebrała mi wszystkie myśli i chwyciłam jego silne ramiona, zachwycona nim. Nie, nie zmarnowałam ani chwili. Nawet jednej sekundy.

Wstał niechętnie, obsypując całe moje ciało pocałunkami we wszystkich tych dopiero co odkrytych miejscach, szepcząc słowa zachwyty, miłości i wdzięczności. Umył się i ubrał w chłodnym pokoju. Pomogłam mu zapiąć guziki, poprawiłam krawat. Potem doprowadziłam się do porządku, a on wrócił do swojej kwatery, by się ogolić i pozbierać rzeczy. Nie trwało to długo. Gdy

się ubrałam, usiadłam i napisałam na papierze kilka linijek, choć wiedziałam, że to nic nie zmieni i nie miałam prawa, żeby nawet próbować. Kiedy skończyłam, przemknęłam się korytarzem do jego pokoju i zapukałam w podniszczone drzwi. Natychmiast się otworzyły.

- Kochanie. - Wziął mnie w ramiona, przytulił wilgotny, gładki policzek do mojej skroni. - Mój pociąg odjeżdża za pół godziny. Odprowadzisz mnie na dworzec?

- Oczywiście - odparłam.

Schowałam nos w jego szyi i chłonełam jego zapach.

- Wszystko zapamiętam. Zmienię porę patrolu i będę ostrożny. Żadnego szalonego ryzyka. Wrócę po ciebie cały i zdrowy. Nie zawiodę cię, obiecuję.

- Oczywiście, że nie, mój kochany. Oczywiście, że mnie nie zawiedziesz.

Usiedliśmy oboje na łóżku przy wtórze skrzywienia starych sprężyn. Odwrócił mnie tak, bym oparła się plecami o jego pierś.

- Musisz wracać do Anglii. Tam jest bezpieczniej. Za jakiś miesiąc czy dwa będę miał tygodniową przepustkę. Wtedy się pobierzemy, to znaczy oficjalnie, bo przecież już jesteś moją żoną, i będziesz mogła zamieszkać w Southfield z moimi rodzicami. Tam urodzi się nasze dziecko. Od razu do nich napiszę i zacznę ich na to przygotowywać. Kochanie, nie martw się - powiedział, całując moje włosy. - Wydajesz się taka strasznie przygnębiona. Nie wolno ci się martwić. Wszystko się

świetnie ułoży. Teraz mam kogoś, dla kogo warto żyć.
Was oboje.

Przesunął rękę w dół. Przykryłam ją moją dłonią.

- Jestem najszcześliwszą kobietą na świecie. Bo cię znalazłam. Twoje kochające, otwarte serce. Ledwie mnie znasz, a przyjąłeś mnie, uwierzyłeś w każde moje słowo. Dałeś mi tę idealną noc, choć myślałam, że już nigdy cię nie przytulę.

Zaśmiał się cicho.

- Kochanie, to był dla mnie zaszczyt. - Przekręcił nadgarstek, zerknął na zegarek i westchnął. - Już pora.

Wziął mnie za rękę i przerzucił plecak przez drugie ramię. Potem sprowadził mnie po schodach i dalej, na wyludnioną ulicę. W nocy przestało padać i świeże, jasne słońce podświetlało szczyty dachów bladym złotem. Kilka ulic dalej dzwony katedry zabrzmiały smętnie, zwołując wiernych na jutrznię - to samo nabożeństwo, po którym dwa dni temu odnalazłam Juliana. Ścisnął moją dłoń. Myślał o tym samym.

- Tylko dwa dni - powiedział - a czuję się jak nowo narodzony.

- Jesteś szalony - roześmiałam się. - Ty ufny głuptaś. Oczywiście, że jestem oszustką, próbuję cię wrobić, żebyś został moim mężem. No wiesz co? Naprawdę! Podróże w czasie... Uwierzyłybyś we wszystko, prawda?

- Jeśli usłyszę to z twoich ust - odparł, również się śmiejąc.

Dotarliśmy na dworzec z kilkuminutowym wyprzedzeniem. Na drugim końcu peronu dostrzegłam Geoffa Warwicka. Stał sam. Spojrzał w moją stronę z pełną złości pogardą, a potem odwrócił wzrok.

- Ten człowiek po prostu mnie nie lubi - powiedziałam.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Zmieni zdanie.

- Nie, nie zmieni.

- A teraz - rozkazał po oficersku - przede wszystkim żadnego smutku. Wkrótce znów będziemy razem. Będę pisał tak często, jak będę mógł. Wyślę ci też trochę pieniędzy na utrzymanie, dopóki nie zrobimy wszystkiego właściwie, legalnie i tak dalej. Co teraz zamierzasz?

- Chyba zostanę w Amiens jeszcze dzień czy dwa, by się upewnić, czy wszystko potoczyło się tak, jak zaplanowaliśmy. Mógłbyś wysłać mi kartkę pocztową albo coś takiego? Dać mi znać? Bo będę się o ciebie martwić.

- Oczywiście. Od razu. Zatrzymasz się przy rue des Augustins?

- Tak. A potem chyba wrócę do Anglii. Tak jak sugerowałeś.

- No to świetnie. A teraz, kochanie - powiedział, wyciągając z notesu kopertę - muszę nalegać, byś to przyjęła. To ci się przyda w podróży, na lekarzy i tak dalej. W tej chwili nie mam żadnej większej kwoty, ale napiszę do moich bankierów...

- Nie! Nie rób tego, proszę. W tej chwili nie brakuje

mi pieniędzy. Tego ostatniego dnia praktycznie obsypałeś mnie biżuterią. Spójrz tylko na to - wysunęłam z kieszeni fragment naszyjnika z pereł. Poranne światło odbiło się od nich z blaskiem. - Twój prezent ślubny.

- Dobry Boże!

- Tak, jesteś bardzo hojny. O wiele za dobry dla mnie.

- Och, wyszłaś za mnie dla pieniędzy, prawda?

- Oczywiście. A z jakiegoż by innego powodu?

Wcisnął mi w rękę kopertę.

- I tak to weź, kochanie. Proszę. Choćby tylko dla mojego spokoju.

- Julian, nie mogę. Ostatniej nocy...

Jego twarz się zaróżowiła.

- Jeśli o mnie chodzi, to była to moja noc poślubna.

A mężowie i żony nie rozliczają się z sobą.

Coś we mnie nagle pękło, niemal bezboleśnie.

- Weź to. - Zamknął moje dłonie wokół koperty. - Proszę.

- Dobrze - powiedziałam niechętnie. - Ale tylko pod warunkiem, że ty weźmiesz to. - Wyciągnęłam z kieszeni poskładaną kartkę.

- Co to takiego?

- Na wszelki wypadek. Gdyby to się jednak zdarzyło. Pokręcił głową.

- Nie zdarzy się, Kate. Nie opuszczę cię.

- Proszę. Możesz mi zrobić tę przyjemność?

Rozległ się gwizd pociągu, długi i przeciągły, coraz głośniejszy.

- To mój - powiedział.
- Proszę. - Wyciągnęłam rękę, by wsunąć karteczkę do jego kieszeni.

- Kochanie - uśmiechnął się. - No dobrze. Pisz do mnie, kiedy będziesz mogła. Daj mi znać, jak się czujesz, co porabiasz... Będę o tobie myślał w każdej chwili. Będę walczył jak szalony, żeby jak najszybciej dostać przepustkę.

Kiwnęłam głową.

- Będę pisać. Codziennie.

Teraz słyszałam już lokomotywę, głośną i ogromną, wjeżdżającą na dworzec. Wielka czarna masa przetoczyła się obok nas, sycząc parą, wypełniając nasze nozdrza wilgotną, brudną wonią węgla i dymu.

- I oczywiście podaj mi swój adres, żebym mógł do ciebie odpisać - listy miłosne, może jakąś bzdurną poezję, jeśli będziesz miała niesamowitego pecha.

Kiwnęłam głową niezdolna wypowiedzieć słowa. Wsunął rękę pod mój podbródek, drugą objął mnie w pasie.

- Jeszcze raz - powiedział, pochylając się nade mną.

- Kocham cię, Julianie Ashfordzie. Po prostu o tym pamiętaj, dobrze? To ważne.

Przycisnął czoło do mojego.

- I ja cię kocham, Kate Ashford.

- Nie, nieprawda. Jeszcze nie.

Pociąg zatrzymał się gwałtownie, po raz ostatni wyrzucając z siebie parę, i na peronie zapanował ruch:

ludzie wsiadali, wysiadali, zaroiło się od mundurów. Tu i ówdzie mignęły mi pielęgniarki w niebieskich spódnicach, białych fartuchach i krótkich pelerynach.

- Mylisz się - zapewnił. - Kocham cię.

- Nie, nie kochasz. Ale pokochasz.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Cóż, na to możemy przystać oboje. Do widzenia, kochanie. Uważaj na siebie. Wkrótce się odezwę.

- Do widzenia, kochany. Mój najdroższy.

Ucałował moją dłoń, a potem ją puścił.

- Niech cię Bóg błogosławi - wyszeptałam.

Kiwnął głową, spojrzał na mnie twardo, a potem odwrócił się i zaczął przepychać przez tłum w stronę pociągu, nie oglądając się za siebie.

Gdy skład ruszył, desperacko wpatrywałam się w okna, ale nie dostrzegłam go w tłumie żołnierzy w identycznych mundurach i czapkach.

Skurcze zaczęły się wieczorem, a nim nadszedł ranek, straciłam dziecko.

Kartka od Juliana nigdy nie przyszła.

Rozdział 29

Tydzień później stałam na nabrzeżu w Hawrze, znów otoczona przez żołnierzy w mundurach w kolorze khaki, pielęgniarki i słońa woń ruchliwego portu. Cały świat zdawał się nosić jakiś mundur.

Nie byłam do końca pewna, jak udało mi się tam dotrzeć. Ostatnich kilka dni zatarło się w mojej pamięci jak jakiś koszmar. Istniałam, wkładałam sobie jedzenie do ust, ubierałam się, oddychałam, a nawet spałam po kilka nędznych godzin.

Znalazłam notatkę, którą napisałam dla Juliana, w mojej wewnętrznej kieszeni kurtki. Wsunął mi ją tam zapewne, gdy odwracał moją uwagę ostatnim pocałunkiem.

Odczekałam cztery pełne dni po jego odejściu i udałam się do portowego biura, by zarezerwować kolejną do Nowego Jorku w drugiej klasie. Wiedziałam, że nie mogę zostać we Francji ani udać się do Southfield,

wiedziałam, że Ameryka jest moim domem niezależnie od tego, które to stulecie.

Na pocztce wysłałam list, który napisałam w trakcie podróży do Hawru, męcząc się nad każdym słowem:

Proszę, nie oplakujcie Juliana. Został wybawiony od tego okropieństwa i przeniesiony w inny czas i miejsce, zdrów i cały. Dotrzymał tam każdej wcześniej złożonej obietnicy jak najwspanialszy i najbardziej honorowy człowiek, jaki kiedykolwiek chodził po tym świecie. W tym miejscu jego jedyną troską jest świadomość waszej żałoby. A ponad wszystko jest tam kochany, jak nigdy nie był kochany żaden człowiek, przez

Kate Ashford

Zaadresowałam list do wicehrabiny Chesterton, Southfield, Anglia.

Spędziłam dzień, zastanawiając się, co powinnam zrobić. Błakałam się przecież gdzieś w połowie pierwszej wojny światowej i w przyszłości nie czekało mnie nic prócz hiszpanki, hiperinflacji i Hitlera. Jaki był sens żyć dalej, skoro nie było Juliana? Nie było naszego dziecka. Skoro wszystko i każdy, kogo znałam i kochałam, jeszcze nawet się nie narodził. Co prawda istniała szansa, że Hollander w swej dobroci spróbuje sprowadzić mnie do siebie, ale w tamtym świecie Juliana również nie było. Stałabym się wdową po nim, tragiczną panią Laurence

otoczoną przedmiotami, które by mi o nim przypominały, umierającą kawałek po kawałku. Zmieniłabym się w jakąś stroniącą od ludzi miłośniczkę kotów w moim domu na Manhattanie. Wszystko, tylko nie to.

Ale Julian byłby wściekły, gdybym się zabiła. Tym właśnie najbardziej gardził. Sam przecież nie skoczył z mostu. Żył dalej. Oczywiście wiedział, że kiedyś mnie spotka, ale w tych pierwszych latach ta perspektywa musiała mu się wydawać odległa i nie do końca jasna.

A więc będę istnieć dalej. Spróbuję znaleźć jakiś sposób, by się na coś przydać, zrobić coś dobrego dzięki mojej wiedzy. Może będę mogła spędzić lata dwudzieste na Wall Street, gromadząc fortunę, a potem spożytkować ją na jakiś dobry cel podczas wielkiego kryzysu i kolejnej wojny. Byle tylko zająć czymś myśli. Znaleźć jakiś cel. Zadośćuczynić temu, że opuściłam Juliana, zrzucając na Hollandera i Andrew Paulsona obowiązek złożenia go do grobu.

Ale w tej chwili byłam odrętwiała i byłam za to wdzięczna. Jakby obrosła mnie jakaś gruba błona śluzowa. Czułam ból tylko na powierzchni. Nie przenikał on przez wszystkie warstwy. Nie. Było. Już. Juliana. Nie było nawet naszego dziecka. Choć ta myśl nadal do mnie nie docierała.

Nie czułam tego świata. Po prostu, obserwując gwarne doki, siedziałam na spokojnej ławeczce i czekałam, aż zegar na wieży wybije jedenastą, sygnalizując, że czas

wejść na pokład „Columbii”, statku Cunarda, i wrócić do domu, do Ameryki. Przeleciałam Atlantyk w prywatnym odrzutowcu, a teraz miałam wracać na pokładzie starego liniowca, który został wyciągnięty z lamusa tylko z powodu braków w czasie wojny. Ten niegdyś piękny statek w celu kamuflażu pomalowano na szaro, ale i tak miał w sobie jakiś urok. Dawniej pobił rekord i najszybciej przepłynął Atlantyk, jak zapewnił mnie z dumą pracownik linii. Rekord ten utrzymywał się przez jakiś tydzień, nim pobił go niemiecki liniowiec.

- Halo, panienko?

Aż podskoczyłam.

- Halo, panienko? Angielska pani?

To był jakiś mały chłopiec, chudy i bosy, miał około ośmiu lat i patrzył na mnie wygłodzonym wzrokiem z pełną nadziei miną. Aż tak strasznie rzucało się w oczy, że nie jestem Francuzką?

- Wezmę twoją walizkę, tak? Tylko dziesięć centymów, panienko.

- *Oui, merci.* Płynę „Columbia”, wiesz o tym?

- *Oui*, oczywiście, panienko. Pani idzie za mną, tak?

Zegar na wieży zaczął wybijać jedenastą. Wstałam i podałam chłopcu moją maleńką walizkę. Miałam tylko pidżamę, jeden zestaw ubrań na zmianę, ładną suknię, którą kupiłam na mój ostatni wieczór z Julianem, oraz kilka przyborów toaletowych. Nie za wiele, by zbudować nowe życie.

Chłopiec wziął mnie za rękę i zaczął prowadzić w stronę statku. Do portu zawinął właśnie jakiś okręt wojenny i schodzili z niego ludzie. Maszerowali nabrzeżem w luźnej formacji, śpiewając jakieś skoczne piosenki - niekończący się strumień w kolorze khaki najeżony plecakami, karabinami i hełmami. Byłam tak skupiona na Julianie, na tym, by w jakiś sposób zachować go dla siebie, że nie znalazłam czasu, by docenić również to: fakt, że na moich oczach działa się historia.

Wszyscy ci ludzie brali udział w wojnie. Może powinnam zostać? - pomyślałam nagle. Może powinnam wstąpić do Czerwonego Krzyża albo jakiejś innej organizacji dla ochotników? Zostać kierowcą karet jak Hemingway albo pielęgniarką. Mogłam pomóc.

Zatrzymałam się nieopodal trapu dla drugiej klasy, gdzie zaczynał się już gromadzić tłum. Głównie kobiety, niektóre z dziećmi, jeden śliczny chłopiec o jasnych lnianych lokach, drepczący tuż przy matce. Dokładnie taki, jak zawsze wyobrażałam sobie Juliana w tym wieku. Kilku mężczyzn po cywilnemu. Ich proste garnitury wydawały się niemal egzotyczne w tym zmilitaryzowanym krajobrazie. A więc musieli to być Amerykanie wracający do Nowego Jorku, uświadomiłam sobie. Stany Zjednoczone miały nie brać udziału w tej wojnie jeszcze przez kolejny rok.

Chłopiec odwrócił się do mnie.

- Czemu stoimy, panienko?

- Muszę chwilę pomyśleć.

Przycisnęłam dłoń do skroni.

Chłopiec pociągnął mnie za ramię.

- No, chodź, panienko. Wchodzą na statek. Przepapiesz statek.

- Nie. Czekaj. *Attendez, s'il vous plaît.*

Stałam tam, patrząc na przesuwany się tłum, rozśmianą ciżbę pasażerów wchodzących po trapie na pokład. Ameryka czy Francja? Nowy Jork czy Paryż? Nie mogłam się zdecydować. Byłam rozdarta.

Usłyszałam wycie syreny statku, które ciągnęło się w nieskończoność, a mały chłopiec stał i gapił się na mnie zdumiony. I wtedy poczułam, że powietrze ucieka mi z uszu i znów toczyłam się przez lodowatą pustkę. A potem była nicość.

Chłodne powietrze, wilgotne i słone, musnęło mój nos. Otoczyło mnie coś ciepłego i solidnego. Spróbowałam otworzyć oczy, ale powieki wydawały się ciężkie i leniwe. Poddałam się.

- Przecież ci mówiłem, żebyś poszła do domu i na mnie czekała - wymruczał z miłością ktoś do mojego ucha.

- Nie mogłam - wyszeptałam zimnymi ustami. - Nie mogłam po prostu na ciebie czekać. A co, gdybyś mnie potrzebował?

- A więc popędziłaś mi na ratunek - powiedział głos nieskończenie czule - i niemal straciłem cię na zawsze.

Coś ciepłego poruszyło się pode mną i usłyszałam już bardziej szorstkie:

- Dochodzi do siebie, dzięki Bogu. Samochód gotowy?

Jakieś słowa w oddali.

- Nie, myślę, że dalej, do Paryża - mówił głęboki, wyrazisty głos przy moim uchu. - Chyba czuje się na tyle dobrze. Niech Allegra zawiadomi hotel. Powinniśmy być na miejscu za dwie godziny. - Potem znowu zwrócił się do mnie: - Możesz się już poruszać, kochanie? Samochód czeka.

- Samochód - powtórzyłam.

Znów spróbowałam otworzyć oczy, wiedząc, że z jakiegoś powodu to jest ważne. Tym razem mi się udało, choć tylko odrobinę. Na tyle, by zobaczyć, że wokół jest ciemno, ciemno jak w środku nocy, a twarz tuż obok mojej należy do Juliana.

- Ale ty nie żyjesz - powiedziałam ochryple.

- Nie, kochanie - odparł i poczułam, jak znajomym gestem odgarnia mi włosy z czoła. - Żyję. Szukałem cię, próbowałem cię sprowadzić, zanim wejdiesz na pokład tego cholernego statku.

- C o ?

Powoli zaczynałam przytomnieć na tyle, by pojąć, że nic nie ma sensu.

- Julian?

- Tak, kochanie. To ja.

- Ale ty nie żyjesz. Gdzie jestem?

- W Hawrze. Miałaś wejść na pokład „Columbii”, żeby wrócić do Nowego Jorku. Wreszcie cię mamy. Trzeba było wielu prób. Nigdy nie dotarłaś na trap, jak zakładam?

- Nie. Próbowałam się zastanowić... O mój Boże. Julian. To niemożliwe. Jesteś duchem. Poczekaj chwilę. Który Julian?

Roześmiał się.

- Kochanie, nie mówiłem ci? To przecież ten sam człowiek.

- Tak, ale...

- Ten starszy, kochanie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Ten, za którego wyszłaś.

- Ale... ale Arthur mówił...

- Cicho. Opowiem ci wszystko później.

- Ale Geoff cię zabił...

- Jak widać nie. Możesz się już poruszać? Mogę cię zanieść do samochodu?

- O mój Boże - powtórzyłam i wybuchłam płaczem.

Czułam jak przez mgłę, że przytula mnie mocniej i unosi w powietrze. Szlochałam bezradnie tuż przy jego piersi. Już dawno przekroczyłam punkt, w którym mogłabym nad tym zapanować, powstrzymać łzy tak, jak robiłam to na peronie. Wszystko mnie opuszczało,

każda ostatnia cząstka smutku, strachu i przerażenia, wsiąkając w jego koszulę i skórę pod nią.

Musieliśmy dotrzeć już do samochodu, bo poczułam, że kładzie mnie w nim, wciąż trzymając w ramionach. Usłyszałam, jak drzwi zatraskują się za nami, a potem dźwięk kolejnych, zamykanych z przodu.

- Jesteśmy w komplecie - powiedział Julian i auto ruszyło.

Stopniowo przestałam szlochać. Nie dlatego że czułam się lepiej, ale dlatego że znów opuszczała mnie energia.

- Ssz... - usłyszałam jego głos przy moich włosach.
- Wiem, że jesteś w szoku, kochanie. Przepraszam.

- Przepraszam. - Czknęłam. - Nie przepraszaj. Ty żyjesz. Ty żyjesz. Ty żyjesz. - Wciąż to powtarzałam, próbując przekonać samą siebie. To nie mógł być sen: w ogóle nie czułam się jak we śnie. Ale to nie mogła też być rzeczywistość.

- Żyję - powiedział. - I ty też, dzięki Bogu. Kocham cię, kochanie. Dzielna, wspaniała Kate. Żyję. Moje dzielne kochanie. Moja cudowna żono - mruzczał w moje splecione włosy, zręcznymi palcami głaszcząc mnie po ramieniu, aż jego czułe słowa i ruch samochodu ukołysały mnie do snu, głębokiego i bez marzeń.

Rozdział 30

Kiedy się obudziłam, Julian leżał przy mnie w jakimś nieznanym, niesamowicie miękkim łóżku. Obejmował mnie lewym ramieniem, a prawą ręką głaskał po skroni.

- Dzień dobry, ukochana - powiedział.

- Ty żyjesz? - Czułam drapanie w zaschniętym gardle.

- Tak, kochanie. Żyję. Nigdy nie było inaczej.

Znów zamknęłam oczy, próbując się skupić.

- Wiedziałaś. Gdy się spotkaliśmy w Nowym Jorku, wiedziałaś, że to ja. Że to ja... Czekałaś na mnie przez te wszystkie lata?

Roześmiał się cicho.

- Po takiej nocy jak tamta, kochanie, wiesz chyba, że czekałbym całą wieczność, gdybym musiał.

- Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

- Żaden żołnierz nigdy nie miał lepszego pożegna-

Schowałam twarz w poduszkę.

- Kocham cię - powiedziałam stłumionym głosem.

- Kochanie, chyba cię nie dosłyszałem. Co mówiłaś?

- Kocham cię.

- Hmm. Wciąż nie do końca słyszę. Śmiejesz się ze mnie? Zwodzisz mnie? Stroisz sobie ze mnie żarty?

Odwrociłam twarz i pochyliłam się nad jego uchem.

- Kocham cię - wyszeptałam.

- Jeszcze raz. Tak dla pewności.

- Kocham cię, Julianie Ashfordzie. - Uśmiechnęłam się i pocałowałam go w czubek nosa. - I już od dawna o tym wiesz.

Znów jego piękny śmiech. Przyciągnął mnie do siebie i musnął moje usta swoimi.

- Tak, kochanie. Wiedziałem o tym od dawna. Możesz mi wierzyć. Słyszałem twój słodki głos mówiący mi te słowa do ucha przez dwanaście długich lat. Dręczyły mnie, bo byłem głupim osłem i arogancko sądziłem, że mogę w jakiś sposób zmienić bieg losu. Zostawiając żonę i dziecko.

Dziecko. Nagle usiadłam tak, że kołdra zsunęła mi się do pasa, i zauważyłam przelotnie, że ktoś zdjął mi staromodne ubrania i przebrał mnie w piękną jedwabną pidżamę. Miałam nadzieję, że to był Julian.

- Poczekaj chwilę. Gdzie my w ogóle jesteście?

Znów zaczął się śmiać z ulgą i ze szczęścia. Podparł się na łokciu, patrząc na mnie.

- Jesteśmy w suicie w Crillon, kochanie. W Paryżu.

- Och - westchnęłam, rozglądając się po pokoju.

Dostrzegłam cienie mebli i złoczone zdobienia na wysokim suficie. Zasłony były szczelnie zaciągnięte, ale stróżka światła powiedziała mi, że jest dzień.

- Która godzina? - spytałam.

Zerknął na zegarek.

- Jedenasta rano. Jesteś głodna? Mogę zadzwonić na dół po rogaliki i co tam jeszcze.

- Od jak dawna tu jesteście?

- Odkąd przywiozłem cię tu w środku nocy. Z Hawru. Dobrze się czujesz? Wydajesz się trochę otępiała.

- Oczywiście, że jestem otępiała! Ja... Poczekaj. Naprawdę muszę iść do toalety.

Dotknął moich pleców.

- Nic ci nie jest, prawda?

- Nie. Nie. Tylko... no wiesz. - Wciąż kręciło mi się w głowie i jedyną wyraźną myślą, jaką byłam w stanie rozróżnić, była pilna potrzeba, by opróżnić pęcherz.

- Pozwól, że ci pomogę.

Pomógł mi zsunąć się z łóżka i stanąć na nogi.

- W porządku?

- W porządku. Tak. Mogę chodzić. To tam?

Było to pytanie retoryczne, bo drzwi do łazienki były uchylone. Usłyszałam za plecami cichy śmiech Juliana.

Łazienka była oczywiście luksusowa: ogromna, marmurowa, z lustrami i słabą wonią frezji unoszącą się

w powietrzu. Gdy skończyłam, przemyłam sobie twarz wodą i spojrzałam na moje odbicie w lustrze: oczy trochę opuchnięte i zarumieniona skóra po śnie. Dotknęłam palcami ust, które przed chwilą całował Julian.

- To rzeczywiście - powiedziałam do siebie i poczułam, jak w głębi mnie zaczyna promieniować światło.

Gdy otwierałam drzwi, niemal oczekiwałam, że go nie będzie, ale stał tam, przy biurku, energicznie rozmawiając przez telefon, ubrany w biały bawełniany T-shirt i niebieskie prążkowane spodnie od pidżamy. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, unosząc brew. Wyciągnął do mnie rękę i przyskoczyłam do niego.

- Tak, jak najszybciej, proszę - powiedział do telefonu. - Bardzo dziękuję. - Rozłączył się i objął mnie drugim ramieniem. - Zamawiałem ci tylko małe śniadanie. Czujesz się już lepiej?

- Straciłam dziecko - usłyszałam, jak mówię to w jego koszulę. Zupełnie nie tak, jak planowałam. Wypełniające mnie światło zgasło.

- Kochanie - poczułam jego usta na szczycie głowy. - Najdroższa, wiem. Kiedy cię przebierałem... Tak strasznie mi przykro... Ja... Dobrze się czujesz? Pomyślałem, że może powinienem wezwać lekarza, ale wydawałaś się zdrowa, a nie chciałem, żeby ktoś cię budził...

- Nie. Nic mi nie jest. To było tydzień temu. Tej nocy, kiedy odszedłeś.

Piekły mnie oczy. Wtuliłam twarz w jego piersi.

- Kochanie, kochanie, tak mi przykro. Siądź przy mnie.

Pociągnął mnie na ogromny fotel i posadził sobie na kolanach. Jego ciepło przenikało mnie niczym balsam. Bo od przejścia bolała mnie każda część ciała, jakby ktoś rozciągnął mnie jak gumkę, a potem puścił.

- Przepraszam - powiedziałam. - Nie wiem dlaczego... Jestem taka szczęśliwa, tak bardzo się cieszę i czuję ulgę... Ale kochałam je, Julianie. Kochałam nasze dziecko i...

Poczułam, że przytula mnie mocniej lewym ramieniem, i usłyszałam drżenie w jego głosie, gdy się odezwał:

- Och, kochanie. Wiem, wiem, ja też je kochałem.
- Ukrył twarz w moich włosach. - Biedna Kate. Co ja ci zrobiłem? To wyłącznie moja wina, że zostawiłem cię tak...

- Ale ja wiedziałam. - Przycisnęłam policzek do jego piersi, zapadając się w niego, zupełnie jakbym mogła stać się jego częścią. - Pozwoliłam ci odejść. Gdy tylko zobaczyłam, co kazałeś wygrawerować na obrączce, wiedziałam. Że nic nie mogę zrobić, że wszystko wydarzy się dokładnie tak samo jak kiedyś, że nie mogę, nie powinnam próbować bawić się w Boga. Więc po prostu pozwoliłam ci odejść. W porządku. Miałeś moje pozwolenie.

- To nie jest żadne usprawiedliwienie, kochana. - Jego głos brzmiał dźwięcznie i wyraźnie tuż przy moim

uchu. - Spędziłem za to dwanaście lat w czyścicu, czekając na ciebie i nie wiedząc, kiedy cię odnajdę. Desperacko cię pragnąłem, a potem, gdy już cię spotkałem, uświadomiłem sobie, że byłem skończonym egoistą, i najlepsze, co mogłem zrobić, to trzymać się od ciebie z daleka. Spróbować nie dopuścić, żeby to wszystko się stało.

- Julian, ty idioto! - wyszeptałam, bo bałam się, że jeśli spróbuję powiedzieć to głośniej, mój głos się załamie. - Wszystko byłoby lepsze, niż nigdy cię nie poznać.

Poczułam jego palce głaszczące mój policzek.

- Nie rozumiesz, Kate. Nie rozumiesz. Przez te pierwsze miesiące szukałem cię, próbowałem się dowiedzieć, co się z tobą stało. Byłem zrozpaczony, musiałem wiedzieć, czy przeżyłaś. Dokąd się udałaś, co zrobiłaś. Oczywiście nie pojechałaś do moich rodziców. Nie sądziłem jednak, byś została we Francji. Zacząłem więc sprawdzać dane o parowcach, szukając list pasażerów. Ale nie wiedziałem nawet, jakiego nazwiska mam szukać. Bo przecież nie znałem twojego panieńskiego. I wreszcie znalazłem Katherine Ashford na listach pasażerów „Columbii”, wypływającej z Hawru do Nowego Jorku 2 kwietnia 1916 roku. - Zamilkł. - Druga klasa, naprawdę... Można by pomyśleć, że dzięki tym perłom będzie cię stać na coś lepszego.

- Nie mogłam ich sprzedać. Były ślubnym prezentem od ciebie.

- Kate, a jak myślisz? Po co ci je dałem? Jak myślisz, po co ci w ogóle dawałem tę całą biżuterię? Wiem, że nie lubisz krzykliwych klejnotów, ale musiałem się upewnić, że niezależnie od tego, co się stanie, będziesz miała środki. Tak na wszelki wypadek.

- O c h !

- Nie rozumiesz? To wszystko było dla ciebie, każdy drobiazg. Southfield, to wszystko. Tylko dla ciebie. - Po-całował mnie pieszczotliwie, namiętnie. - Musiałem znaleźć jakiś sposób: najpierw, by cię odszukać, a potem, by cię chronić. Nie wiedziałem, skąd nadejdzie zagrożenie. Podałaś mi tak niewiele informacji, a ja, arogancki idiota, oddałem ci karteczkę, która mogła wszystko rozwiązać. Pamiętałem, że będziesz pracować na Wall Street, więc zacząłem tam. Byłem świadom, że będę potrzebować bogactwa, wpływów, wszystkiego, co pomoże mi w walce z zagrożeniem, czymkolwiek ono było. Harowałem jak wół, siłą woli doprowadziłem tę firmę do sukcesu, żebym miał ci coś do zaoferowania, kiedy cię wreszcie odnajdę. Żeby naprawić to wszystko, co ci zrobiłem.

- Ale to była moja wina...

- Cicho. - Położył mi palec na ustach. - Kilka lat temu kupiłem ten domek na wsi, bo pomyślałem sobie, że odpowiadałoby ci takie miejsce. Potem, gdy coraz lepiej mi się powodziło, podczas spaceru w pewien niedzielny poranek znalazłem dom w mieście. Zawsze, zawsze byłaś w moich myślach, Kate. A tego dnia w maju, gdy

pojawiałaś się na podjeździe, myślałem, że serce wyrwie mi się z piersi. Przyszłaś do domu, do mnie.

- Przestań, to zbyt wiele. To wszystko dla mnie?

Masował brodą czubek mojej głowy.

- Cóż, potrzebowaliśmy domu, prawda? A potem, w sierpniu, gdy wykradłaś się na Manhattan, przyszło mi do głowy, że jeśli będziesz rzucać się w oczy, jeśli my będziemy rzucać się w oczy, to zapewne trudniej będzie komuś cię skrzywdzić. A więc podjąłem ryzyko, że ktoś mnie rozpozna, doda dwa do dwóch, w zamian za nadzieję, że w ten sposób zapobiegnę katastrofie. Później zaś powiedziałaś mi o dziecku.

- Byłeś przerażony.

- Wiedziałem, że jesteśmy bezpieczni, dopóki nie spodziewałaś się dziecka. Bo właśnie w takim stanie miałaś się zjawić u mnie w Amiens, nosząc w sobie moje dziecko. A więc tej nocy, gdy mi powiedziałaś, wiedziałem, że kryzys jest blisko. Być może nawet już się zaczął.

- A l e i tak się ze mną ożeniłeś. Choć wiedziałeś, że małżeństwo również było tego częścią. Dałeś mi tę obrączkę z inskrypcją.

- Cóż, to była inna sprawa. W przeciwnym razie byłbym na zawsze przeklęty. Jeśli zaś chodzi o obrączkę, to musiałem przygotować się na różne ewentualności. Nie mogłem pozostawić niczego przypadkowi. Nie masz pojęcia, Kate, nie masz pojęcia, ile planów i pomysłów kotłowało mi się w głowie. Dręczyłem się całą tą cholerną

metafizyką: co można zmienić, a czego nie, przyczyny i skutki, co będzie właściwe. Czy to wszystko było po prostu wolą Boga? Odchodziłem od zmysłów.

- Wiem, wiem - oparłam się o niego. - Ja też. Ale tak naprawdę to nie musiałeś. Wiedziałeś, gdzie będę 2 kwietnia 1916 roku. Wiedziałeś, że przybędę do Nowego Jorku. Że będzie mnóstwo możliwości, by mnie odnaleźć, sprowadzić z powrotem.

- Kate, nie wiedziałem, że to ten cholerny Hollander to wszystko robił! Nie wiedziałem, że będę w ogóle w stanie cię sprowadzić z powrotem. Myślałem, że będę martwy. Nie miałem o tym zielonego pojęcia **poły**, póki go nie znalazłem, jak rzygał w lesie niedaleko Southfield po tym, jak dopiero co wysłał cię do 1916 roku. Wiedziałem natomiast na pewno jedno. „Columbia” poszła na dno Atlantyku 4 kwietnia, storpedowana przez niemieckiego U-Boota. Nikt nie przeżył.

W pokoju rozległo się pukanie. Julian zsunął mnie ze swych kolan i wstał.

- Poczekaj chwilę, kochanie. To śniadanie dla ciebie.

Zasłoniłam usta dłonią. Wszyscy ci ludzie na nabrzeżu, pasażerowie tłoczący się na trapie. Mały chłopiec o jasnych lokach. Wszyscy martwi.

Julian szybkim krokiem przeszedł przez pokój i otworzył jedno z dwojga żaluzjowych drzwi. Pomyślałam, że prowadzą na korytarz, ale zamiast tego ujrzałam salon

wypełniony słońcem i pięknymi pozłocanymi meblami. Julian zniknął mi z oczu. Słyszałam głosy, brzęk metalu i porcelany, a potem wrócił z tacą w rękach.

- Proszę, kochanie - powiedział, stawiając ją na stole przy fotelu, i włączył porcelanową lampę. - Kawy? Rogalika?

- Ja to zrobię - powiedziałam drętwą, wstając.

Julian jednak już napełniał mi filiżankę z eleganckiego srebrnego dzbanuszka. Zmarszczyłam brwi. Poruszał się sztywno i posługiwał głównie lewą ręką. Wzięłam z koszyka wielki puszysty rogalik i nadgryzałam go z jednego końca, nie czując się jeszcze szczególnie głodna.

- Czarną, jeśli mogę - poprosiłam.

Podał mi filiżankę i upiłam z niej łyk. Przymknęłam oczy, czując gorący, ziemisty zapach.

- Lepiej? - spytał.

Zerknęłam na jego zaniepokojoną twarz.

- Twoja ręka - powiedziałam, pokazując na nią głową. - Zraniłeś się w nią?

- Trochę. Siedź, odpoczywaj. Pozwól mi się tobą zająć.

- Nic mi nie jest, Julian, naprawdę. To tylko zmęczenie. Jestem... och, chodź tutaj. Usiądź znów ze mną. Opadł na fotel, a ja z westchnieniem usadowiłam się na jego kolanach. Odchylił głowę i obserwował mnie przez chwilę, gdy balansowałam z filiżanką kawy i rogalikiem.

- Teraz rozumiesz, dlaczego byłem taki rozgorączkowany? - spytał cicho. - Nie chodziło tylko o to, że miałem zginąć, a ty przenieść się w przeszłość. Potem wsiadłabyś na ten statek i zginęłabyś. Wtedy nie wiedziałem nawet jeszcze, jak się przeniosłaś. Wiedziałem tylko, że znalazłaś jakiś sposób. Dzięki Bogu znalazłem potem Hollandera i wyciągnąłem z niego prawdę. Ta ulga, ta nadzieja, jaka mnie ogarnęła... Nie potrafię tego opisać. Gdy zdałem sobie sprawę, że tylko myślałaś, iż nie żyję, i że mogłem cię uratować. Że możemy nawet oboje wyjść z tego żywi.

- Tak mi przykro. Ale narobiłam kłopotów. Tak spa-
nikowałam. Usłyszałam strzały, a Arthur powiedział...
On się zabił, Julianie. Włożył sobie broń do ust, stojąc
tuż przy mnie, i strzelił... Pomyślałam, że na pewno nie
żyjesz, bo w przeciwnym razie by tego nie zrobił...

Odstawiłam filiżankę na stolik i wtuliłam twarz w je-
go koszulę. Nie mogłam się nasycić jego realnością.

- Kate, to się nie miało wydarzyć. Zaplanowaliśmy
to wszystko, Geoffrey i ja. Wiedziałem, że ktoś chciał
mnie zabić. Ale gdy w końcu zdaliśmy sobie sprawę, że
to nie jest jakiś wielki spisek, tylko Arthur, pomyśleli-
śmy, że może uda się go powstrzymać. Zwabić go jak
najdalej od ciebie, a potem spróbować go przekonać,
doprowadzić do jakiegoś kryzysu, który by wszystko
rozwiązał. Lecz to był chyba głupi pomysł. Choć prze-
cież nie mogliśmy się zwrócić do policji. Nie mogliśmy

go zamknąć i pozwolić, by to się ciągnęło w nieskończoność, aż w końcu sam naciśnie spust. Ale gdybym wiedział, że tam będziesz, że będziesz na to wszystko patrzeć...

- Ja słyszałam strzały, Julianie. I próbowałam cię szukać, ale wtedy wpadłam na Arthura. O mój Boże, biedak!

- Gorzko tego żałuję. Nie masz nawet pojęcia jak.

- Ale czego konkretnie? - Uniosłam głowę, by przyrzec się jego twarzy. - Czekaj. Chwileczkę. Julianie, dlaczego Arthur myślał, że Geoff do ciebie strzelił?

- Cóż, bo tak zrobił - mruknął pod nosem.

Zerwałam się na równe nogi.

- O mój Boże! Postrzelił cię? Gdzie?

- Tylko w ramię. Powierzchowna rana. Bardzo uważał. Właściwie już się zagoiła. Był snajperem, kochanie. Potrafi porządnie wycelować broń.

- O mój Boże! Mam nadzieję, że obejrzał to jakiś lekarz?

- Oczywiście, że tak. Opatrzyli mnie i wypuścili.

Gapiłam się na jego prawe ramię w białym podkoszulku. Teraz już wiedziałam, czego szukać, dostrzegłam lekki kwadratowy zarys opatrunku pod spodem. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego krawędzi.

- Za dużo się martwisz, kochanie. Teraz wszystko będzie dobrze, obiecuję.

- Julian. Julian. Nie mogę uwierzyć. I Geoff to z tobą

zaplanował? - Pokręciłam głową, próbując uspokoić bijące serce, zastanowić się. - Ale to on za tym wszystkim stał, Julianie! Przysłał mi tę książkę, kazał przeszukać moje rzeczy, pomógł Alicii mnie zrobić...

- Wcale tak nie było. To był od początku Arthur.

- Tak, ale... numer komórki... i Alicia powiedziała...

Co właściwie powiedziała Alicia?

- Arthur podszywał się pod Geoffa, kochanie. Używał jego telefonu, udawał, że jest nim. To było bardzo łatwe. Mieli wspólny gabinet, jak pamiętasz.

- Och, proszę! Tak ci powiedział Geoff?

- Zastanów się nad tym, kochanie. Geoff nigdy z własnej woli nie zdradziłby takiego sekretu, nie wysyłałby ci tej książki. I z całą pewnością nie zaryzykowałby istnienia Southfield.

Temu nie mogłam zaprzeczyć.

- Ale dlaczego Arthur miałby udawać, że jest Geof-fem?

Julian wzruszył ramionami, sprawiając, że moja głowa uniosła się i opadła.

- Przypuszczam, że aby odwrócić od siebie moje podejrzenia. A może nie miał odwagi, by stawić czoło mojej reakcji, kiedy już się dowiem.

- A co z Hollanderem? Za tym też stał Arthur?

- Teraz wszystko stało się takie oczywiste, prawda? Ale aż do samego końca byłem przekonany, że mamy dwa problemy: prawdziwe zagrożenie, czyli człowieka,

który polował na Hollandera i być może na ciebie, i bardziej osobistą sprawę biednego Arthura, który musiał patrzeć, jak się w tobie zakochuję. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to Arthur próbował wydostać od Hollandera informacje o tobie. To w ogóle do niego nie pasowało. I bądź co bądź nigdy nie rozmawiał ze mną na temat Amiens. Zakładałem, że po prostu nie wiedział, co się pomiędzy nami wydarzyło, że być może nawet w ogóle cię nie pamiętał. Tak więc nie dodałem dwóch do dwóch dopóty, dopóki Geoff nie przyszedł do mnie ostatniego ranka.

- Pamiętam to. To było, gdy wracałam do domu po wizycie u lekarza.

- Tak. Geoff miał już swoje podejrzenia z powodu tej książki, a zwłaszcza po zachowaniu Arthura w operze. Arthur bardzo nalegał, by cię poznać, zdradzał coś w rodzaju obsesji na tym punkcie. A następnego dnia, gdy zadzwoniłem do niego, by poprosić, aby był świadkiem na naszym ślubie, poszedł prosto do Geoff a, w panice odchodząc od zmysłów. Miał poczucie, że wałą się ostatnie filary jego świata. Wyznał mu wszystko: że kazał cię obserwować, spłoszyć, cały ten przekręt ze Sterling Bates... I poprosił Geoff a, by ten pomógł mu zapobiec naszemu małżeństwu. Jeśli to będzie konieczne, siłą.

Jego słowa wirowały mi w głowie, przybierając różne formy, ale za nic nie chciały się poskładać w jakże obcy obraz Geoffa jako sojusznika, jako przyjaciela. Zamiast

tego zobaczyłam jego gniewną twarz, na której malował się wyrzut.

- I uwierzyłeś w wersję wydarzeń, którą przedstawił ci Geoff? - zapytałam w końcu.

- Kate - odparł. - Jest na tym świecie dwoje ludzi, którym całkowicie ufam. Ty i Geoffrey Warwick.

- W tej kolejności, mam nadzieję.

- Mała zazdrosna kokietka. Tak, w tej kolejności, jeśli sobie życzysz. - Sięgnął lewą ręką po moją filiżankę z kawą stojącą na stole. - Zjedz jeszcze rogalika. Musisz umierać z głodu. I napij się trochę kawy.

- Ale że po tym wszystkim pozwoliłeś mi się postrzelić?! Mój Boże!

- Cóż, nie mieliśmy wielkiego wyboru. Zgodziliśmy się, by Arthur zabrał mnie do Southfield na cmentarz. Próbowałem mu wszystko wyjaśnić, powiedzieć, że wciąż czuję pamięć Florence. Pokazać mu jej grób, tak by stało się dla niego całkowicie jasne, że odeszła, a wraz z nią odszedł dawny świat i pora stawić czoło rzeczywistości i iść dalej. Używając twojego współczesnego słownictwa, chodziło o zamknięcie. Ale to tylko jeszcze bardziej pomieszało mu w głowie. Wyjął broń, zaczął mi grozić. Próbowałem mu ją odebrać, ale uciekł, jak pewnie widziałas. - Pokręcił głową. - Gdybym tylko cię dostrzegł na tej cholernej półce...

- Próbowałam krzyczeć, ale wiatr wiał mi w twarz. Nie słyszałeś mnie.

- I to by było na tyle, prawda? Wszystko było przeciwko nam, każdy możliwy element. - Potarł czoło. - Goniiliśmy go z Geoffem aż do starego hangaru na łodzie i przyparliśmy go tam do muru. Miał w rękach tę cholerną broń. To była dokładnie taka sytuacja, jakiej mieliśmy nadzieję uniknąć. Ale nie mógł tego zrobić.

- Czego nie mógł zrobić?

- Zastrzelić mnie.

- Oczywiście, że nie mógł. On... - urwałam, dopiłam ostatni łyk kawy i odstawiłam filiżankę na stół.
- Za bardzo mu zależało.

- A więc dał broń Geoffowi i kazał jemu to zrobić. Wyjął drugi pistolet z kieszeni płaszcza i przystawił go Geoffowi do głowy. Jego też próbował potem zastrzelić, ale nie trafił. - Pokręcił głową. - Biedaczysko.

Zamknęłam oczy.

- Te dwa strzały. Leżałeś tam, ranny, krwawiłeś...

- Kochanie, Geoff musiał to zrobić. Omówiliśmy to nawet wcześniej - możliwość, że umyślnie mnie zrani. Widzisz, coś w stylu uderzenia wyprzedzającego, żeby uświadomić Arthurowi, że nie warto doprowadzać do rozlewu krwi. Geoffowi nie podobał się ten pomysł, ale naprawdę się cieszę, że chociaż byliśmy w pewnym stopniu przygotowani, gdy Arthur zmusił go, by wziął broń do ręki...

Otworzyłam oczy.

- Bilet do domu! O Boże! To o to mu chodziło, kiedy

razem odjechaliście! Tylko że wtedy tego nie rozumiałam.

- W prawe ramię, jak postanowiliśmy, bo zacząłem się już posługiwać lewą ręką. - Pomachał mi nią przed oczami.

- Ty stuknięty idioto.

- Kochanie, a co innego mogliśmy zrobić? Musieliśmy trzymać go z dala od ciebie. Musieliśmy znaleźć jakiś sposób, by rozwiązać tę sprawę, nie robiąc mu krzywdy, ani nikomu innemu. Aby nie trzymać go gdzieś pod kluczem przez resztę jego nędznego życia. Szaleniec na strychu.

- I byłeś gotów zaryzykować życie, licząc na to, że to się uda?

Julian wzruszył lewym ramieniem.

- To była ostatnia nadzieja dla tego biedaka. - Przesunął ręką po moich plecach. - I ocalając siebie, zawiedliśmy jego.

- To nie była twoja wina, Julianie - stwierdziłam z przekonaniem. - Mój Boże, zrobiliście dla niego wszystko, co mogliście. Daliście mu każdą możliwą szansę. On chciał umrzeć, szukał tylko pretekstu. Nawet nie próbuj się o to obwiniać. Nigdy nie było jakiegoś idealnego rozwiązania, Julianie. Czasami rzeczy są po prostu skomplikowane.

- Mówiłem Geoffowi, żeby za nim pobiegł, ale ten głupiec martwił się o mnie...

- O mój Boże! - Zakryłam oczy, tłumiąc płacz.

Pogłaskał mnie po włosach.

- Cóż, wiesz już to wszystko. Ale ty poświęciłaś się bardziej. Uczyniłaś najodważniejszą rzecz, jaką można było zrobić, i cofnęłaś się w czasie.

- To nie było odważne. Nie miałam wyboru. Nawet się nad tym nie zastanawiałam. Najtrudniejsza część przyszła dopiero później: stać tam na dworcu i pozwolić ci odejść.

Jego ręka zamarła w moich włosach.

- Rozumiesz teraz, kochanie - spytał cicho - dlaczego nigdy nie potrzebowałam słów? Bo już mi pokazałaś. Widziałem twoją miłość. Wprawiła mnie w podziw, zawstydziła. Zastanawiałem się, jak mogę w ogóle mieć nadzieję, że sobie na nią zasłużę.

- Julian.

Wyciągnęłam rękę i nasze dłonie się spotkały. Splotliśmy palce i poczułam obcą twardość jego obrączki wciśkającej się w moją skórę.

- Słowa wydają się tak nieznaczące - powiedziałam.

- A poza tym ty zawsze mówiłeś to o wiele lepiej niż ja.

- No nie wiem.

- Tak cię przepraszam za to wszystko.

- Za co? Za to, że mnie kochasz? Za to, że podążyłaś za mną na koniec świata, nawet się nie zastanawiając?

Przyciągnął mnie do siebie. Poczułam, jak moje mięśnie się rozluźniają, jak całe to przytłaczające napięcie znika kawałek po kawałku, zastąpione spokojem.

W końcu poczułam drżenie jego cichego śmiechu.

- Co? - spytałam.

- Myślałem o tej nocy w domku na wsi. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jak się czułem, znów trzymając cię w ramionach po tych wszystkich latach. Cała ta tęsknota, wszystkie nieprzespane noce, przypominanie sobie każdego szczegółu naszego spotkania w Amiens.

Odwrociłam się i wtuliłam w jego koszulę.

- Cóż, to twoja wina. Spędziłeś dwanaście lat jak mnich, na litość boską. To znaczy, kiedy Hollander cię tu sprowadził, miałam tylko trzynaście lat. Nawet nie miałabym pojęcia.

- Katherine Ashford - powiedział Julian, wstrząśnięty. Podniósł mnie odrobinę, bym spojrzała mu w twarz.

- Czy sugerujesz, że powinienem być cię zdradzić?

- Cóż, to był bardzo długi czas bez seksu. A poza tym, technicznie rzecz biorąc, to nie byłaby zdrada. Nawet jeszcze nie wiedziałam o twoim istnieniu.

- Kate, jak miałem pozwolić sobie na to, by chociaż spojrzeć na inną kobietę, skoro wiedziałem, że żyjesz gdzieś na tym świecie i czekasz, aż cię odnajdę? - rzucił z irytacją.

- Dwanaście lat to długo. Jest mnóstwo pięknych kobiet, które dałyby się zabić, byle tylko trafić z tobą do łóżka, Julianie. Chybabym to zrozumiała.

- Mam nadzieję, że znów sobie żartujesz.

- Nie chciałabym myśleć o tym, jak byłeś z inną, ale... No cóż, to wyrównałoby rachunki, prawda?

- To było coś innego. Nie znałaś mnie. Nie byłaś moją żoną.

- Ty też nie byłeś moim mężem.

- Byłem. W sercu. Czy własnoręcznie nie wsunąłem ci na palec tej obrączki? Czy nie przypieczętowałem tego własnymi ustami? - Odchylił moją głowę, by spojrzeć mi w oczy. - Kate, ukochana, wszystko, czego pragnąłem przez te długie, nędzne lata, to odzyskać moją żonę. Moją Kate. Nic innego nie mogło tego zastąpić. Żadna inna nie była tobą. Gdy wszedłem na tę salę konferencyjną i uświadomiłem sobie, kim jesteś...

- Po dwunastu latach? Po jednym szybkim spojrzeniu?

- Cóż, nie byłem absolutnie pewien - odparł, ale zapewniam cię, że bardzo pragnąłem się dowiedzieć. Wymyśliłem jakiś pretekst, odszukałem twoje biurko. I byłaś tam, z tymi twoimi włosami związanymi tą cholerną gumką... Światło odbijało się srebrem w twoich niezwykłych oczach i już wiedziałem. Wiedziałem, że to ty.

- Nie miałam pojęcia, co myśleć. Startuje do mnie wielki Julian Laurence. - Roześmiałam się i wtuliłam nos w jego kołnierzyk. Zapach ciepłej skóry przywołał cały kalejdoskop wspomnień. Odwróciłam głowę i spojrzałam nad jego ramieniem na szerokie łóżko z rzeźbionym wezgłowiem i pomięte prześcieradło. - Ale wiesz, mogłeś mi powiedzieć. Mogłeś mnie ostrzec, żebym nie wracała. Że już mnie spotkałeś i to nie zadziała.

- Zupełnie, jakby to cię mogło powstrzymać! Kate, myślałaś, że nie żyję. Ja też myślałem, że będę martwy, jeśli cofniesz się w czasie. I wiedziałem, że się poświęcisz, jeśli dostrzeżesz choćby najmniejszy cień szansy ocalenia mnie, moje dzielne kochanie. Że i tak odkryjesz, jak cofnąć się w czasie, tylko po to, by spróbować, bo kochasz mnie o wiele, wiele bardziej, niż na to zasługuję.

- Pocałował mnie długo i namiętnie.

- Zawsze ci się wydaje, że możesz załatwiać różne sprawy za mnie.

- W takim razie może przynajmniej czegoś się nauczyłem. Jesteś moim życiem, kochanie. Nie poradzę sobie bez ciebie. - Zamilkł na chwilę. - Ale być może masz rację. Może powinienem był powiedzieć ci więcej. Popełniłem tak wiele błędów, najdroższa, a ty za nie wszystkie musiałaś zapłacić...

- Na litość boską, Julianie! Jak możesz tak w ogóle mówić? To ty dałeś się dla mnie postrzelić.

- Kochanie, to tylko draśnięcie, naprawdę.

- Mój kochany, wierny, niezastąpiony idiota - powiedziałam z ustami tuż przy jego ustach.

Mruknął z zadowolenia. Poczułam, jak jego ręce obejmują moje plecy i powoli suną w górę, ujmując głowę. Sięgnęłam do tyłu, przypominając sobie o czymś, i przyciągnęłam jego lewą rękę.

- Masz na palcu obrączkę.

- Oczywiście, że tak. Czemu miałbym jej nie nosić?

Jestem twoim prawowitym małżonkiem. „Wreszcie, do cholery”, mógłbym dodać.

Obróciłam ją, patrząc, jak światło odbija się na wąskiej złotej powierzchni.

- Jeszcze do tego nie przywykłam, to wszystko.
- Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się. - Wspaniale wygląda na twojej dłoni.

- Ale to wciąż trochę dziwne uczucie. Choć mi się podoba.

- Wciąż? A ile czasu tak w ogóle upłynęło? Jaki dziś dzień?

- Chyba 10 października. Musiałem spędzić kilka nocy w tym cholernym szpitalu...

- Rany, Julian...

- ...podczas gdy Geoff porządkował sprawy biednego Arthura. A potem pojechałem z Hollanderem do Hawru i wreszcie udało nam się ciebie odnaleźć. - Wysunął się spode mnie i podszedł do ogromnych okien. - Skupiliśmy się na obszarze przy nabrzeżu, gdzie musiał być ten trap, ale bez powodzenia. A więc zaczęliśmy rozszerzać go...

- Rozsunął story, pozwalając, by do pokoju wpadło jasne światło paryskiego poranka. - O, tak lepiej. Cholerne mauzoleum. Oczywiście mogliśmy próbować tylko w środku nocy, by nie widziało nas zbyt wielu ludzi. Zajęło nam to cały tydzień. Ale próbowałbym w nieskończoność, gdybym musiał. - Podszedł do drugiego okna i też je odsłonił, po czym odwrócił się do mnie z szerokim uśmiechem.

- I wreszcie cię znaleźliśmy, taką żywą i niewysłowienie piękną. Nigdy w życiu nie byłem szczęśliwszy, kochanie. A teraz chodź tu, chcę ci coś pokazać.

Wstałam z fotela i podeszłam do niego. Przyciągnął mnie do siebie lewą ręką.

- Nie masz jakiegoś temblaka albo czegoś w tym stylu? - spytałam podejrzliwie.

- Mam, później go włożę.

- Nie. Teraz. Nie zamierzam ryzykować z tym ramieniem. Założę się, że wciąż masz szwy, zgadza się?

Zmrużył oczy.

- Uparta kokietka.

Odwróciłam się i popatrzyłam, jak podchodzi do komody. Spodnie od pidżamy układały się perfekcyjnie poniżej jego białego T-shirtu. Bezwstydnie pożerałam wzrokiem jego pośladki, a gdy odwrócił się w moją stronę, z moich piersi wyrwało się westchnienie.

- O co chodzi? - zapytał, podchodząc do mnie z jasnoniebieskim temblakiem w ręce.

- Po prostu cię podziwiałam. Daj, ja to zrobię.

Przełożyłam mu go przez głowę i dokładnie zapięłam. Uśmiechnęłam się.

- Przez kilka kolejnych tygodni będziesz musiał się wykazać pomysłowością, bo w przeciwnym razie będziesz zmuszony do szczególnej uległości.

- Ha! - Przyciągnął mnie do siebie. - To tylko pokazuje, ile wiesz o tym, do czego jestem zdolny.

- A co, potrafisz zrobić pompkę na jednej ręce?
- Potrafię wszystko, jeśli mam odpowiednią motywację.

- Dobrze ci tak - powiedziała zadowolona, przy-
mykając oczy, gdy poczułam cudowne ciepło jego piersi
tuż przy mojej twarzy. - Za to, że byłeś takim cholernym
superbohaterem.

Poczułam, że bawi się moimi włosami opadający-
mi mi na plecy dokładnie tak, jak robił to kiedyś. Ten
prosty gest wydał mi się teraz największym luksusem
na świecie.

- Pytałaś mnie kiedyś - odezwał się po chwili - czy
mógłbym na ciebie poczekać w łóżku i budzić się z tobą,
zamiast wstawać o świcie. A ja opowiedziałem ci o stanie
gotowości.

- Podobało mi się, gdy dziś obudziłam się w twoich
ramionach. To było tak boskie, jak sobie wyobrażałam.

- A co z Amiens?
- Nie spałam całą noc. To nie było to samo.
- Nie zmrużyłaś nawet oka?
- Jak mogłabym zasnąć? - Wzruszyłam ramionami.
- Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

Przez chwilę nic nie mówił.

- Jest jeszcze jeden powód - odezwał się w końcu.
- Masz w ogóle pojęcie, jak ślicznie wyglądasz, kiedy
śpisz? - W jego głosie zabrzmiał liryczny ton, jakby re-
cytował poezję. - Twoja zaróżowiona skóra, piękne rysy,

lekko skośne oczy, włosy kłębiące się dziko na poduszce albo rozsypane na mojej piersi, ciemne i jedwabiste. Te twoje pełne różowe usta, odrobinę rozchylone. Przez całe lato budziłem się o świcie i zamiast błotnistych ścian oficerskiej ziemianki widziałem ciebie, spoczywającą w moich ramionach niczym anioł. Nie byłem w stanie tego znieść. Gdybym cię obudził, rozplakałbym się.

- To nic takiego. Nie trzeba się wstydzić łez.

- Mmm... - Odwrócił mnie i znów przytulił do piersi, obejmując lewą ręką w pasie. - Wyjrzyj przez okno, kochanie.

- Jest pięknie.

Widok ciągnął się na południowy wschód przez Place de la Concorde aż do Tuileries i olbrzymią bryłę Luwru na horyzoncie. Znajdowaliśmy się kilka pięter nad ziemią: wielkie mansardowe dachy lśniły w południowym świetle, tworząc dziki, nieregularny wzór pełen bulwarów i parków. Dalej, po prawej między budynkami połyskiwała Sekwana. Przypomniałam sobie, jak trzy lata temu mozolnie maszerowałyśmy z Michelle i Samanthą po Pont Neuf, spierając się o to, czy powinnyśmy roztrwonić pieniądze na filiżankę kawy w ulicznej kawiarence. To było oczywiście doświadczenie, które każdy w Paryżu musi przeżyć, ale bardzo obciążało budżet takich dziewczyn jak my.

- Stąd jest o wiele ładniejszy widok niż ze schroniska młodzieżowego, w którym zatrzymałam się ostatnim razem - stwierdziłam. - To było chyba gdzieś w Marais.

Usłyszałam tuż przy uchu jego śmiech.

- Mam nadzieję. Dziś po południu wyjdziemy, kochanie, i zrobimy dla ciebie małe zakupy. Znajdziemy ci coś, w co mogłabyś się ubrać.

- Przydałaby mi się szczoteczka do zębów.

- A dziś wieczorem wezmę cię na kolację. Do najlepszej restauracji w Paryżu. Cudownie cię upiję szampanem, burgundem, och, i może trochę muskatem do deseru. A potem co tylko zechcesz. Pójdziemy tańczyć albo do teatru. Wynajmiemy barkę tylko dla siebie. Paryż leży u twych stóp, kochanie. Cały świat leży u twych stóp.

- Pochylił głowę i pocałował mnie w szyję. - I ja też.

- To najważniejsze.

Roześmiał się głośno.

- Kate, nie rozumiesz. Teraz jesteśmy całkowicie wolni. Możemy robić, co tylko zechcesz, kochana. Wszystko i wszędzie. Już ja ci zapewnię wymarzony miesiąc miowowy! Powiedz tylko, dokąd chcesz jechać.

Wtuliłam głowę w jego szyję i westchnęłam.

- Nie mam pojęcia. Jedźmy po prostu gdzieś, gdzie będziemy mieć spokój. Chciałabym... niech pomyślę... fortepian, żebyś mógł dla mnie grać wieczorami. Tęskniłam za tym. I plażę, gdzie moglibyśmy razem leżeć i patrzeć, jak kołyszą się palmy.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, podziwiając widok za oknem. Odwróciłam się w jego stronę i zobaczyłam, że zatroskany zmarszczył czoło.

- O co chodzi? No, wyrzuć to z siebie, Ashford!

- No cóż - powiedział ostrożnie. - Chyba najpierw powinniśmy znaleźć dla ciebie jakiegoś lekarza. Upewnić się, że wszystko jest w porządku.

Opuściłam głowę.

- Chyba za kilka dni wszystko będzie dobrze. To był dopiero siódmy tydzień. Będę potrzebować... nowej recepty oczywiście i...

- A poza tym? - Zaczął głaskać mnie ręką po plecach długimi łagodnymi ruchami.

Nie byłam w stanie mówić, nie szlochając, więc milczałam przez chwilę, pozwalając, by jego ciepło i pieszcząca mnie dłoń ukończyła ból.

- Tak bardzo je kochałam - powiedziałam wreszcie. - Nie wiem, co się stało. Czy to była rozpacz, gdy patrzyłam, jak odchodzisz, czy tylko wyczerpanie. A może... może ta podróż w czasie... je zabiła. Ale tak bardzo je kochałam. To było wszystko, co mi zostało po tobie. Twój syn, może córka... Teraz nigdy się nie dowiem... I nigdy nawet nie myślałam... nigdy przedtem nie myślałam o dzieciach...

- Nie obwiniaj się.

Stałam tak obok niego bardzo długo, próbując zrozumieć, w jaki sposób radość i smutek mogły istnieć równocześnie w moim sercu. Milczał, z tą swoją niesamowitą cierpliwością głaszcząc mnie po plecach. Czekał, aż odezwę się pierwsza.

- Byłbyś takim wspaniałym ojcem. Tak bardzo pragnęłam ci to dać.

Pozwolił, by moje słowa na chwilę zawisły między nami.

- Być może - wyszeptał - gdy będziesz gotowa, moglibyśmy spróbować znowu.

Objęłam go w pasie.

- Może jeszcze nie teraz - powiedziałam. - Ale kiedyś.

Epilog

Gdzieś na Wyspach Cooka

Halloween 2008

Choć bezpośrednio nad nami paliło słońce, biały piasek pod stopami wydawał się chłodny i sycki, gdyż od świtu chroniły go długie, powiewające leniwie liście palmy, o którą się opierałam.

Julian leżał z głową na moich kolanach, wysoki i szczupły, w granatowych kąpielówkach i białej płóciennej koszuli chroniącej przed słońcem. Dziś nie nosił temblaka. Wreszcie pozwoliłam mu go zdjąć. Rozmawialiśmy o jego ojcu.

- Tak bardzo żałuję, że nie mogłam go poznać - powiedziałam, okręcając wokół palca jego włosy rozjaśnione jeszcze słońcem.

- Uwielbiałby cię - powiedział Julian, przytykając z zadowolenia oczy. - Jesteś dokładnie takim typem

kobiety, za jakim przepadał. Dowcipna, pewna siebie, naturalna. Gardził afektacją.

- Co myślał o Florze Hamilton?

Julian otworzył jedno oko.

- Nie przepadał za nią. To była jedna z tych niewielu rzeczy, o które kłócili się moi rodzice.

- Chyba coraz bardziej go lubię.

Julian znów zamknął oko.

- Czasami wyobrażam sobie was oboje. Jaki byłbym dumny, przedstawiając cię jako moją żonę. Jak świetnie byście się dogadywali.

- Przestań, rozpłaczę się przez ciebie.

Wyciągnął rękę, odnalazł moją dłoń i w milczeniu głaskał mnie po kciuku. Z uwielbieniem spoglądałam na jego twarz. Teraz była rozluźniona; wreszcie znikł z niej ten ogromny ciężar trosk, które go przytłaczały. Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, jak duży wpływ miało to na niego, ten lęk o mnie i pewność, że zbliża się jakaś tragedia, której być może nie będzie w stanie powstrzymać. W jego duszy zapanował prawdziwy spokój. Dzięki temu nasz miesiąc miodowy był naprawdę niesamowity.

- Mogłabyś mi powiedzieć jakiś wiersz? - poprosiłam po chwili.

- Co chciałabyś usłyszeć?

- Coś romantycznego. Jedną z tych starych ballad.

Uśmiechnął się i nie otwierając oczu, zaczął recytować *Zbójcę*. Nie był głupi. Wiedział, że zanim dojdzie

po raz drugi do „przybędę do ciebie w blasku księżycy, choćby piekło zastąpiło mi drogę”, ma spore szanse na dobry seks. Dzisiejszy dzień nie był pod tym względem żadnym wyjątkiem. Tak więc dopiero jakiś czas później, otrzepując moją skórę z piasku, zauważył:

- Wiesz, jest jeden wiersz, o który nigdy nie prosiłaś.

- Jaki? - Oparłam się na jego piersi, uważając, żeby trzymać się lewej strony, i obsypałam jego rozgrzaną od słońca skórę pocałunkami. - Mmm... Pysznie smakujesz. To ten kokosowy olejek do masażu.

- Mój.

Spojrzałam na jego podbródek.

- Julianie, to przepiękny wiersz, ale naprawdę nie mam ochoty słuchać o twojej niezaspokojonej tęsknocie i urodzie innej kobiety. A już zwłaszcza Florence Hamilton.

- A co ma z tym wspólnego Flora?

- Cóż, to ona opublikowała ten wiersz. Najwyraźniej go jej wysłałeś - odparłam, próbując zachować lekki ton.

- Chyba że był ktoś inny, o kim nie wiem. - Ujęłam jego dłoń leżącą na piasku i zaczęłam z wielkim skupieniem lizać koniuszki jego palców.

- Kate Ashford! - wybuchł, usiłując się podnieść.

- Chcesz powiedzieć, że po całym tym czasie wciąż jeszcze myślisz, że *Zanim mnie pokochasz* było odą do cholery Florence Hamilton?

Usiadłam i spojrzałam na niego zdziwiona.

- A nie było?

- Nie wiesz, kiedy napisałem ten wiersz?

- No cóż, zakładałam po prostu...

- Kate - westchnął. - Nabazgrałem go w moim notesie, siedząc w pociągu, gdy jechałem na front z Amiens tego ranka po najcudowniejszej nocy mego życia, gdy dopiero co desperacko i nieodwołalnie się zakochałem. Nie słuchałaś go nawet? „A jej piękno lśniące w deszczu...” To było o tobie, ty głuptasie. O tobie przed katedrą.

- O c h !

- Bądź co bądź - powiedział już łagodniejszym tonem - obiecywałem ci przecież bzdurną poezję. Nawet jeśli Flora uznała za słuszne zagarnąć ten wiersz, gdy już przesłali do domu moje rzeczy.

- Czyli - odezwałam się - kiedy siedziałam na sali i pisałam ten głupi esej na egzaminie z literatury, analizując wszystkie te wersy...

- ...pisałaś o sobie.

Zaczęłam się śmiać.

- Cóż, no wiesz... Mogłeś mi to powiedzieć. - Chwycałam go za rękę, położyłam je na moim nagim brzuchu i całowałam go długo i namiętnie. - Mój wspaniały mężczyzna. I co ja mam z tobą zrobić?

- Jeśli po prostu będziesz dalej taka, jak jesteś, już na zawsze, będę doprawdy bardzo szczęśliwy - mruknął, odwzajemniając pocałunek.

- Już na zawsze? To znaczy: jeśli nigdy się nie zestarzeję? Nigdy nie będę miała na przykład urodzin?

Pochylił głowę i parsknął tuż przy moim ramieniu.

- Jeśli o to chodzi, kochanie... to jestem zdruzgotany, że tak słabo we mnie wierzysz.

- Kiedyś mi mówiłeś, że będę ci musiała przypominać.

- Miałem nadzieję, że nie za pierwszym razem.

- Och, rozumiem. A więc to był mój prezent urodzinowy? Dziś rano? - spytałam.

- Kate, moja ukochana - roześmiał się, ciągnąc mnie na piasek. - Ten prezent będziesz dostawać przez cały czas.

- I zawsze będę go bardzo doceniać.

Zaczęłam całować jego ciało, przesuwając się coraz niżej.

- Kate, rozpraszasz mnie. Próbuję właśnie coś powiedzieć. Muszę być w stanie myśleć.

Podparłam się na łokciu.

- Julian, naprawdę nie potrzebuję żadnego prezentu. Tylko żartowałam, żeby zobaczyć, czy pamiętasz. To znaczy dałeś mi cały ten magiczny miodowy miesiąc, nie wspominając już nawet o wykupieniu połowy rue du Faubourg podczas oczekiwania, aż zdejmą ci szwy.

- Podobało ci się, kochanie. No, przyznaj. - Pieszczotliwie pociągnął mnie za nos.

Wydęłam wargi.

- No dobra, trochę. No ale w końcu potrzebowałam

przecież ubrań. I teraz, kiedy wiem, że spotkałeś mnie wcześniej, jest mi już z tym łatwiej. Pamiętam o tym, że byłam w twoich myślach przez wszystkie te lata, kiedy prowadziłeś Southfield, że w pewnym sensie ci pomagałam.

- Pomogłaś? Wielkie nieba, kochanie! Bez ciebie by nie istniało. Więc nie chcę już słuchać tych nudnych bzdur o tym, że od czasu do czasu wydam trochę pieniędzy. Dzięki Bogu jesteś teraz moją prawną żoną i mam ogromną przyjemność, gdy czasami korzystam z mego męzowskiego prawa, by kupować ci, co tylko mi się żywnie podoba.

Otworzyłam usta, ale położyłam na nich palec.

- Mimo wszystko, kochanie, nie jestem na tyle gruboskórny, żeby dawać ci coś, czego nie chcesz, tylko po to, by zaspokoić własną próżność. Na pewno się ucieszysz, że na twój prezent urodzinowy w ogóle nic nie wydałam. Ani jednego centyma. - Promieniał zadowolony z siebie.

- Naprawdę?

- W rzeczy samej. Właściwie to równie dobrze mogłabyś powiedzieć, że to coś, co już do ciebie należy.

- Usiadł i sięgnął do piknikowego kosza.

- Co? Kanapka z szynką? - spytałam.

- Człowieku małej wiary!

Uniósł wieko i zaczął szukać czegoś w środku.

- Tak naprawdę to dwie rzeczy. Pierwsza jest raczej

praktyczna. Zwędziłem to kierownikowi hotelu w Paryżu. - Podał mi żółty notes i długopis.

- To bardzo miłe, Julianie. Przyda mi się taki.

- Kochanie, to na twój biznesplan.

- Mój biznesplan? - spytałam ochryple.

- Mmm... - Objął mnie ramieniem. - Podczas którejś kłótni, jeszcze na Manhattanie, mówiłaś coś o tym, że nie możesz już po prostu wrócić do pracy z mojego powodu. O tym, że zawsze będziesz w moim cieniu. I uświadomiłem sobie, że miałaś rację.

- Julianie, to nie twoja wina. I po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, to się wydaje takie głupie. Nieistotne.

- Może na razie, ale gdy wrócimy do domu i urządzi-
my sobie życie, będziesz pragnęła czegoś więcej. - Umilkł i zaśmiał się cicho jakby z siebie. - Przez wszystkie te lata, moja najdroższa, myślałem, że wystarczy, jeśli zdobę fortunę i złożę ją u twych stóp. Wyobrażałem sobie, że sprzedam Southfield, by móc zapewnić mojej słodkiej Kate leniwe, luksusowe życie. I byłem dość dumny z siebie. A potem wreszcie cię odnalazłem i zacząłem dostrzegać, rozumiesz, przez spowijające cię mgły mojego uwielbienia, że moja ukochana pod tą dość spokojną powierzchownością kryje wyjątkowo niezależny charakter. Że nie będzie zadowolona z roli... jak to było?... Ślicznotki uwieszanej u mojego ramienia?

- A nie zauważyłaś tego podczas tych dwóch dni we Francji, kiedy twierdziłaś, że się we mnie zakochałaś?

- Kate, zlituj się. Byłem wtedy jeszcze szczeniakiem zachwyconym twoją urodą i nie miałem zielonego pojęcia o tym, jak myślą nowoczesne kobiety. Ale teraz znam cię lepiej, kochanie. Chcesz osiągnąć coś sama i bez tego nie będziesz szczęśliwa.

- Ale nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Na pewno coś wymyślisz. Bo nie chcę już słuchać tych bzdur o lalkach, pozłacanych klatkach i cholernych szowinistach...

- Nie mówiłam poważnie, Julianie, przecież wiesz.

- W takim razie pozwól, żebym ci to udowodnił. Możesz robić wszystko, co chcesz, kochanie. Założyć księgarnię. Kawiarnię. Własną fundację, jeśli chcesz. A nawet... jak się wyraziłaś? Fundację filantropijną dla mięczaków! Mamy wszystkie środki, jakich potrzebujesz!

- Dałbyś mi kapitał na start?

Kąciki jego ust uniosły się w czułym uśmiechu.

- Najdroższa, cała ta nasza fortuna, nasza Kate, nie jest po to, by zamknąć cię w klatce, by cię ograniczyć, ale dać ci wolność. Wolność, byś mogła robić wszystko, co cię uszczęśliwi, co da ci spełnienie.

- A co z tobą?

- Ze mną? - Wzruszył ramionami. - Będę miał dość zajęć, załatwiając do końca sprawę tej przeklętej bankowej katastrofy. Albo ratując Hollandera przed jego ostatnim szaleństwem, niech go dunder świśnie. Będę po prostu przy tobie, by dodawać ci otuchy.

- Och, naprawdę? - Trąciłam stopą jego nogę. - A jak myślisz, ile to potrwa? Znam cię, Julianie, i wiem, że nie będziesz potrafił się powstrzymać. - Pochyliłam się nad nim. - I wiesz co? Nie przeszkadza mi to. Wiesz, nie mogę tego zrobić bez ciebie. Będę liczyć na twoją pomoc. Na twoje rady.

- Uważaj, kochanie. Jeśli mnie w to wciągniesz, będę chciał kierować wszystkim za ciebie. Będę się wtrącał bez żadnych skrupułów. I chronił cię przed zmiennymi kolejami losu.

- Och, nauczę się, jak sobie z tobą radzić. Jak cię trzymać na dystans kilkoma zgryźliwymi uwagami rzuconymi w odpowiednim momencie. - Spojrzałam na notes, który mi dał. Był pusty. Otwarta obietnica. Czegokolwiek się spodziewałam, to było coś zupełnie innego. - Dziękuję. Jestem naprawdę wzruszona. To... to najcudowniejszy prezent, jaki mogłeś mi dać. I trochę mylący, wiesz? - Popatrzyłam na niego. - Bo koniec końców to będzie dość drogie.

- O c h , nie wątpię, że dzięki temu przyniesiesz nam niezłe zyski. - Pogłaskał kciukiem mój podbródek i uśmiechnął się szeroko. - A teraz przejdźmy do twojego drugiego prezentu, który jest raczej bardziej sentymentalnej natury.

- Będę płakać?

Odłożyłam notatnik na piasek.

- Mam ogromną nadzieję.

Znów sięgnął do koszyka.

- Ach! Tu jest. Tylko dwanaście i pół roku opóźnienia. Ech, ta nieznośna poczta.

Patrzyłam zdumiona na kopertę w moich dłoniach.

- Co to takiego?

- Ty powinnaś to otworzyć, kochanie. Wtedy wszystko będzie jasne.

Odwróciłam ją. Była zaadresowana strzelistym czarnym pismem do pani Katherine Ashford, rue des Augustins 29, Amiens. Zdumiona spojrzałam na twarz Juliana.

- O Boże! Jak...?

- Miałam ją w kieszeni munduru, kochanie. Chciałam ją wysłać, gdy tylko wrócę do okopów.

Koperta nie była zaklejona. Drżącymi palcami uniosłam skrzydełko i wyciągnęłam złożoną kartkę papieru. W dotyku wydawała się świeża i nowa, tylko przez środek biegło jedno wyraźne zagięcie.

- Nigdy jej nie otwierałeś? - spytałam.

- Nie. Zawsze myślałam, że poczekam, aż ty to zrobisz. No i proszę. - Wyciągnął rękę i pogłaskał mnie.

- Jaką ty się zrobiłaś płacziwą kobietą.

- Przepraszam - wyszeptalam.

Rozłożyłam list. Wypadła z niego mniejsza karteczka, trochę poszarpana z lewej strony.

- Napisałem dla ciebie poprawioną wersję. Cóż za ironia - powiedział, cedząc słowa - że nieśmiertelną sławę, jak to ujęłaś, przyniósł mi pierwszy szkic.

Przysunęłam karteczkę bliżej oczu. *Zanim mnie pokochasz* - napisał na samej górze, a poniżej było czternaście wersów, oszczędnych i sugestywnych, kończących się w sposób, który teraz był dla mnie niesamowicie jasny:

w tej ciemnej godzinie

Ta wizja dodaje mi wiary, gdy za morzem

Jej serce bije zamiast mego, pokonując wieczność.

- Twój wiersz - powiedział.

Kiwnęłam głową. Nie było sensu dodawać niczego więcej. Sięgnęłam po załączony list. Odchrząknęłam.

- Nie jest długi. Pisałem go w pośpiechu.

Przeczytałam go dwa razy, a potem wiersz. Z powrotem schowałam jedną karteczkę w drugą, złożyłam na pół i wsunęłam do koperty.

- I jak? Może być?

Kiwnęłam głową, odwróciłam się i pozwoliłam, by przyciągnął mnie na piasek.

- Wszystkiego najlepszego.

- Rok temu - odezwałam się po długiej chwili milczenia - nawet cię jeszcze nie znałam. Nie wiedziałam, że na świecie może istnieć tyle miłości. Czy to nie zabawne?

Położyłam dłoń na jego piersi i rozsunęłam palce. Patrzyłam, jak powoli oddycha, a jego pierś unosi się i opada.

- Charlie i jeszcze kilku analityków zabrało mnie

na dwudzieste piąte urodziny na miasto. Poważna sprawa. Poszliśmy do tego baru T e x - M e x w Tribeca i piliśmy tequilę.

Julian prychnął.

- Aż tyle nie wypiłam - powiedziałam obronnym tonem. - Kiepska ze mnie imprezowiczka. Ale następnego dnia miałam małego kaca.

- Moje biedactwo.

- Tak czy inaczej, tak wyglądały moje ostatnie urodziny. A teraz, proszę!

- No właśnie. Obawiam się, że nie będzie tequili.

- Nie. I dzięki Bogu. Tylko ty. - Odwróciłam się w jego ramionach i uniosłam, żeby pogłaskać go po policzku.

- Dziękuję. To były najwspanialsze prezenty urodzinowe na świecie. Obydwa. - Pochyliłam się i go pocałowałam.

- Mmm... Proszę bardzo.

- Wiesz, jesteś w tym wszystkim świetny. W miłości. W małżeństwie. W całym tym byciu mężem.

Uśmiechnął się szeroko.

- W końcu to dzieło mojego życia.

Pocałowałam go w czubek podbródka.

- Kiedy już wrócimy, nie masz pojęcia, jak dobrze się tobą zajmę.

- Już to robisz.

- Będę wstawać wcześniej i robić ci naleśniki.

- Ha, do diaska! Ha, ha! Uwierzę, jak zobaczę. Au!

Właśnie uszczypnęłam go w bok.

- Może tylko w niedzielę. - Połaskotałam go. - I kąpiele z pianą.

- Kąpiele z pianą? Och... na litość... boską! - Wyduśił z siebie między wybuchami śmiechu.

- I masaże pleców. Z tym pysznym olejkiem kokosowym.

- To... już... bardziej... Kate, przestań! - Wił się bezsilnie pod moimi palcami.

Zwinęłam się w kłębek i pochyliłam nad jego uchem.

- Kto pierwszy do wody.

Puściłam się biegiem, ostrym sprintem. Piasek wylatywał w górę spod moich stóp. Przedemną, za ciągnącym się przez jakieś sto metrów stokiem czystego, jasnego piasku w białym słońcu lśniła akwamaryną laguna.

Jak zwykle miał świetne wyczucie czasu. Chwytał mnie w pasie lewą ręką i pociągnął za sobą, gdy tylko drobne fale sięgnęły moich ud. Wokół nas trysnęły krople krystalicznej wody. Jego lśniące w słońcu ciało przywarło do mojego. Śmiejąc się, równocześnie wystawiliśmy głowy na powierzchnię.

Kuszając bogów.

Od autorki

Tak wielu ludzi - świadomie i nieświadomie - przyczyniło się do publikacji *Zanim mnie pokochasz*, że to nie fair, iż mam tylko tyle miejsca, by móc wymienić jedynie nielicznych.

Jestem dozgonnie wdzięczna za to, że moje poszukiwania agenta literackiego zaczęły się i skończyły na niezrównanej Alexandrze Machinist, która wybrała mój z całej sterty manuskryptów pewnego pełnego zawirowań tygodnia i której wiara w to, co piszę, sprawia, że wszystko jest możliwe.

Moje najgorętsze podziękowania należą się Rachel Kahan, Lauren Kaplan i całemu cudownemu zespołowi z Putnam za niesamowity entuzjazm dla *Zanim mnie pokochasz* oraz profesjonalne porady i wskazówki przy przekształcaniu manuskryptu w książkę, którą ludzie rzeczywiście będą chcieli czytać.

Choć spędziłam większość życia zawodowego na obrzeżach Wall Street, zwróciłam się do mych bliskich

przyjaciół Anne i Davida Juge'ów z prośbą o wyjaśnienie mi szczegółów dotyczących struktury banków inwestycyjnych, a zwłaszcza działów rynku kapitałowego. Jestem im bardzo wdzięczna za pomoc i wsparcie. Oczywiście wszelkie przekłamania czy wręcz błędy są wyłącznie moją winą.

Zawdzięczam więcej, niż jestem w stanie wyrazić, Sydneyowi i Caroline Williamsom, którzy na każdym etapie wspierali moją pisarską karierę i dodawali mi otuchy i którzy codziennie pokazują mi, jak być bardziej kochającą żoną, bardziej oddanym rodzicem i lepszym człowiekiem.

Moim rodzicom, którzy dali mi te solidne podstawy literackie, mojej siostrze, która zachęcała mnie na każdym kroku w tej podróży, Janie Lauderbaugh, która czytała pierwszy szkic: ta książka jest w równym stopniu wasza, jak i moja.

Miłość i wsparcie ze strony mojej rodziny dały mi odwagę, by podjąć szalone wyzwanie i napisać tę powieść. Czwórce moich ukochanych dzieci i mojemu drogiemu mężowi Sydneyowi mogę zaoferować w zamian tylko moje najszczerze podziękowania i obietnicę, że następnym razem nie będę pisała do trzeciej nad ranem, gdy następnego dnia są zajęcia w szkole.

Zaciągnęłam też wielki dług u pewnej młodej profesor historii, której nazwiska niestety już nie pamiętam, choć jej twarz i fryzura w stylu Dorothy Hamill utkwily

mi w pamięci niczym fotografia. Na przedostatnim roku college'u uczęszczałam na jej seminarium poświęcone Europie na przełomie wieków oraz pierwszej wojnie światowej. Wstrząśnięta, uświadomiłam sobie wówczas istnienie pokolenia błyskotliwych młodych ludzi, którzy ruszyli z okopów frontu zachodniego wprost w zapomnienie. Tworząc postać Juliana Ashforda, zapożyczyłam szczegóły biograficzne od wielu z tych historycznych postaci. Badacze tego okresu rozpoznają między innymi odrobinę z Rolanda Leightona, Ruperta Brooke'a oraz Juliana Grenfella, który użyczył mojemu fikcyjnemu bohaterowi zarówno imienia, jak i daty urodzenia (ta ostatnia to czysty przypadek, przysięgam). Ale nawyki i osobowość Ashforda są wyłącznie jego własne. Wyskoczył z mojej głowy na strony tej książki i mam nadzieję, że choć w niewielkim stopniu oddaje sprawiedliwość ludziom, którzy swoją śmiercią powołali go do życia.